

Józef Hen

SZÓSTE, NAJMŁODSZE  
I INNE OPOWIADANIA

## Spis treści

### BOKSER I ŚMIERĆ

Bokser i śmierć  
Cud z chlebem  
Krzyż Walecznych  
Kłopot z psem  
Nieznany  
Hitler w naszych rękach  
Wdowa po Joczysie  
Portret  
Ojciec  
Wielki bieg Deptały  
Bicie po twarzy (opowiadanie sekundanta)  
Ona  
Wielka rola dla Feruły  
Nikaragua  
POWIERNIK SERC  
XXX  
Morderca  
Raskolnikow  
Człowiek, który miał powiesić Greisera  
Konie  
Wybraniec  
Mira L.  
Czechow  
Człowiek, który zmarnował swoje życie  
Rozwód  
Klarysa  
NIEBO NASZYCH OJCÓW  
Niebo naszych ojców  
Szóste, najmłodsze  
Długa chyża łódź

# BOKSER I ŚMIERĆ

## Bokser i śmierć

Rudowłosy młodzieniec zdziwił się, że nie słyszeliśmy o Januszu Kominku. Ten pędrak, ten żółtodziób – intruz niemal w naszym towarzystwie starych wyjadaczy – ośmielał się wyrażać nam z tego powodu swoje łaskawe ubolewanie. Wreszcie ktoś przypomniał sobie:

– Ach tak, Kominek, naturalnie... Bokser wagi półciężkiej. Widziałem go tuż przed wojną w meczu Rzeszów – Lublin. Wygrał swoją walkę przez k.o. Miał niezły cios. Czy jeszcze boksuje?

Rudowłosy odpowiedział nonszalancko:

– Powiedzmy, że jest prowincjonalnym działaczem sportowym. Chociaż zapowiadał się na mistrza świata. Ale nie to jest ważne. Chciałem opowiedzieć wam coś z jego życia.

Niesamowita historia! Najpierw jednak małe pytanie: czy słyszeliście o Walterze Krafcie?

Byliśmy oburzeni. Gołową! Czy słyszeliśmy o Krafcie? Takie pytania mogą zadawać tylko pisklęta, które zaczynają dopiero świat poznawać.

Kraft – to epoka w dziejach niemieckiego boksu. Długoletni kandydat do tytułu mistrza świata. Słyszeliśmy, że podczas wojny był spadochroniarzem, brał udział w desancie na Krym, ale co potem – nie wiadomo.

– Tak, był spadochroniarzem – potwierdził rudowłosy. – I brał udział w desancie na Krym, zgadza się. Został ranny. Podobno rozzłościło go to tak, że wyraził się w słowach niezbyt parlamentarnych o polityce Hitlera. Język niemiecki nie obfituje wprawdzie w taką ilość drastycznych określeń jak rosyjski, ale za to są to słowa zdecydowanie brzydkie, cuchnące na odległość. Gdzież im do poezji wymyślań rosyjskich! To uwaga na marginesie. W każdym razie wiadomość o tym, co powiedział Walter Kraft, doszła do Hitlera. Führer nie był, jak wiadomo, obdarzony poczuciem humoru. Nie potrafił przebaczyć nawet ulubionemu bokserowi. Ale zemsta nad popularnym Kraftem nie była rzeczą prostą. Wódz wymyślił więc dla niego coś w rodzaju pokuty: mianował go naczelnikiem obozu koncentracyjnego, i to nie jakiegoś obozu numer 1, Oświęcimia czy Mauthausen, nie, trzeciorzędnego obozu w okolicach Kluczborka.

Jakim lagerführerem był Kraft? Niestety, lojalnym. Ten olbrzym był tchórzem i chociaż nienawidził Hitlera, więźniowie szybko pojęli, że słowa krytyki wyrwały mu się w chwili wyjątkowego rozgoryczenia. W obozie zbudowano komorę gazową i krematorium i dokonywano wyniszczenia na małą, trzeciorzędną skalę. Kraft nienawidził swoich więźniów, bo czuł się zesłańcem jak oni. Wydawało mu się, że gdyby ich nie było, nie musiałby tkwić tutaj, mógłby błyszczeć w salonach kupieckich Hamburga, skąd był rodem. A przede wszystkim – bić się. Trzydziestosiedmioletni Kraft wciąż miał piekielną bombę z prawej, wciąż miał bokerskie oko i duże wyrobienie techniczne. Boks był nie tylko jego zawodem, ale i namiętnością. Nie odznaczał się szczególną inteligencją. Jak wielu mieszczan niemieckich czytał książki, chodził do opery i na koncerty – z obowiązku. Przeczytał nawet kiedyś Nietzschego, z którego zrozumiał, że dobry bokser jest „nadczołowiekiem”, i Schopenhauera, z którego wyniósł, że skoro tak, to wszystko mu wolno. A więc trudno, w obozie giną ludzie, ale po pierwsze – jest „Befehl”, po wtóre – są to niewątpliwie podludzie. Polacy i Żydzi. I cóż za cherlaki! Zresztą wolał się w to wszystko nie zagłębiać! Przeciwnie, należało się zasłużyć w oczach góry hitlerowskiej, by znów móc wrócić na ring.

Kiedy rana przestała dolegać, Kraft postanowił wznowić treningi. Kazał wybudować specjalny barak, do ściany przybić drabinę; ustawiono kozioł, powieszono gruszkę i worek treningowy. Ćwiczył skakanę, obijał worek i gruszkę, walczył z cieniem. Siły wracały.

Trzej lekarze obozowi, przysłani tu, jak i Kraft, za karę, lubili przyglądać się treningom

komendanta. „Widziałem trening Krafta” – ostatecznie, móc tak powiedzieć, to nie byle co. Jego zastępca, ponury esesman Holder, też był zadowolony z fanaberii swego szefa; stawał się przez nie faktycznym władcą obozu. Pucybut Willi przyglądał się ćwiczeniom Krafta z lekką wzdardą. Boże, i za takie wygłupasy ludzie płacą grube pieniądze! Ten Willi, musicie wiedzieć, był wśród tych panów najpocziwszym chłopem, bo – zwykłym rzeźmieszkiem. Wiedział z doświadczenia, że najlepszy prawy hak jest niczym wobec zgrabnego uderzenia nożem.

Ale najbardziej zadowolona z treningów Krafta była Helga, rosła Niemka, którą Pan Bóg przeznaczył do rodzenia dzieci, a której Führerowi udało się swego czasu wmówić, że powinna podawać do stołu w kantine oficerskiej w Jugosławii i nie odmawiać swych wdzięków ludziom broniącym „tysiącletniej Rzeszy”. W kantine poznał ją spadochroniarz Walter Kraft. Przypomnił sobie o niej, gdy został lagerführerem. Przypomnił sobie choćby dlatego, że jego żona, starzejąca się kobieta, nie chciała udać się z nim do obozu. Gdyby Kraft wszczął z tego powodu kroki rozwodowe, mogłoby to się dla niej źle skończyć. Ale Kraft wolał milczeć. Sprowadził sobie jasnowłosą, potężną Helgę (Teresa Kraft była mała i szczupła) i wydawał się zadowolony.

Jedna Helga wiedziała, co się dzieje w duszy Krafta. Bała się, że chandra może w każdej chwili wrócić i wtedy świat znów usłyszy, co mistrz Niemiec naprawdę myśli o Führerze. Kiedy Kraft wznowił treningi, Helga odetchnęła. Spokój młodej pary został uratowany.

Ale nie na długo. Bo oto pewnego dnia Kraft, rzeźki i świeży po prysznicu, powiedział otaczającym go lekarzom:

– Panowie, żałuję, że nikt z was nie lubi rękawic! Bez sparing-partnera formy nie osiągnę. – I zwrócił się do swego pucera: – Willi, przynajmniej ty, gamoni, mógłbyś się dać znokautować.

– *Zum Befehl!* – wrzasnął Willi.

– Nie rób z siebie Szwejka – mruknął Kraft. – Nie mogę przecież walczyć z „kogutem”.

Jeden z lekarzy zauważył:

– Powinien pan poszukać wśród więźniów.

– Polacy i Żydzi – odparł cierpko Kraft.

– Czy nigdy nie walczył pan z Żydami? – zapytał inny lekarz, przysłany tutaj za rozpowszechnianie żartów o Goebbelsie.

– Mój panie, zarabiałem na tym nielicho. Nie byłem wtedy jeszcze uświadomiony (wszyscy się uśmiechnęli, Kraft też) i nie zwracałem uwagi na rasę. Ale teraz... znam swoje obowiązki Niemca. Zresztą nie ma o czym mówić. Wśród tych cherlaków nie znajdzie przeciwnika. Nie mam tu żadnych warunków. Pisałem do swego menedżera, ale nabrał wody w usta.

Do baraku wszedł Holder, ów zastępca Krafta, a właściwie jego nadzorca, drań bez skrupułów.

– Panie majorze, skazańcy czekają! – zameldował.

– Skazańcy? – spytał zdziwiony Kraft. Lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Holder wyjaśnił:

– Zbiegowie. Schwymano ich piętnaście kilometrów od obozu. Schwypanych zbiegów zabija się bez sądu. – Dodał: – To jedyny sposób utrzymania więźniów w karności.

Helga odezwała się:

– Więc po co major Kraft ma ich oglądać? Niech pan robi swoje, panie kapitanie.

– Chwileczkę – powiedział Kraft. „Krowa – pomyślał o Heldze. – Znów wtrąca się do nie swoich rzeczy. Może tę ucieczkę wymyślił Holder? Bestia! Gdybym był więźniem, też bym usiłował stąd uciec. A czyż nie jestem więźniem? Jestem. Ale nie uciekam”. – Chwileczkę –

powtórzył Kraft. – Ma pan rację, panie kapitanie, powinienem ich zobaczyć. Oko pańskie konia tuczy...

Jak zwykle dziedziniec tonął w błocie. Holder udowadniał, że błoto jest konieczne. „To oddziaływa na psychikę więźnia, łamie go i rozbraja”. A więc jest błoto. Opryskuje pięknie wyglansowane buty Krafta. Kraft się nie martwi, od tego jest Willi. Willi też się nie martwi: te buty to podstawa jego istnienia. Ale ci tam...

Stali w szeregu. Było ich sześciu.

– Zdaje się, że uciekło dziewięciu – powiedział Kraft.

– Trzech Żydów – wyjaśnił Holder. – Tych kazałem sprzątnąć od razu.

Sprzątnął od razu. Nic dziwnego, Żydzi. No, nie wdawajmy się w jałowe mędrkowanie. Powiedzmy parę słów tym ludziom. Idą na śmierć. Trzeba ich przekonać, że sobie na nią zasłużyli.

Spojrzał na nich, ale nie zobaczył twarzy. Uświadomił sobie tylko cyfrę. Sześciu. To nie tak dużo. Nie patrzą na niego, nie oczekują od niego niczego. I słusznie. Za ucieczkę – śmierć bez sądu. Jest rozkaz – i rozkaz słuszny. Jak każdy rozkaz.

Krzyknął:

– Uciekliście! Wiedziecie, że nie wolno uciekać. Poniesiecie słuszną karę, zostaniecie straceni w komorze gazowej. Czyż nie uprzedzaliśmy was, że tylko praca daje wolność?! Zlekceważyliście to! To, co was spotyka, to sprawiedliwy wyrok. Tylko sprawiedliwość, zapamiętajcie to sobie!

Któryś z sześciu poruszył się, szurnął sandałem po błocie. Aha, chce żyć! Czy każdy musi żyć? Cóż taki ma z życia? Po co mu to życie? Spójrzmy mu w oczy. Ależ to chłop, naturalnie, chłop o jasnych źrenicach, tak przezroczystych jak woda źródłana.

– Czy lubisz operę? – zwrócił się zniecierpliwiony do więźnia Kraft.

Niemcy poruszyli się niespokojnie. Helga załamała ręce. Zaczyna się. Walter ma napad „humanizmu”.

Więzień nie odpowiadał.

– Czy widziałeś kiedy operę?

Więzień potrząsnął przecząco głową. Nie, nie widział. Polski chłop. Czy musi żyć? Po co? Po co tyle energii wkłada w obronę marnego życia – znojnego, twardego, pełnego potu, strachu, nędzy, bez kina, opery, luksusu, aut?

Teraz dopiero zauważył, że więźniowie byli obszarpani i pokrwawieni. Stawiali opór? Zakrzepłe strugi krwi widniały na ich policzkach, czole, na kolanach wyzierających spod porwanych spodni, a jeden, najwyższy, miał rozkrwawiony nos. Ten nos był szeroki, mięsisty, spłaszczony pośrodku. Ileż takich nosów Kraft porozbijał w życiu? Nie mógł się powstrzymać od tego, by nie zauważyć:

– Nos masz jak bokser.

Więzień drgnął. Był przeraźliwie chudy, skóra i kości, młody zapewne, ale o starczych oczach. Stał niepewnie, jakby z trudem utrzymywał się na nogach. Bąknął:

– Bo byłem bokserem.

I zaraz pomyślał: „Po co mu to mówię? Po co draniowi o tym mówię? Bo póki mówię – to żyję. Wciąż jeszcze żyję”.

Kraftowi zaświeciły się oczy.

– Byłeś bokserem? A dobrym? Jakiej wagi?

– Półciężkiej.

– Półciężkiej! Ty – półciężkiej? Kłamiesz!

– Wyglądałem trochę inaczej.

„Tak, to możliwe” – pomyślał błyskawicznie Kraft i spytał:

– Nazwisko?

– Kominek.

– Przyjmij postawę bokserką. – Kiedy Kominek ociągał się, wrzasnął: – Do kogo mówię?!

Kominek stanął w postawie bokserkiej. Nic nie rozumiał. „Czego on chce? Czego on ode mnie chce?”

– Teraz uważaj – powiedział Kraft.

Błysnął lewą pięścią i nagle wypuścił piorunującą prawą. Był to hak, który kładł wielkoludów. Gdyby spadł na głowę Kominka...

Ale rzecz w tym, że nie spadł. Ten ruch głową, który Kominek uczynił, był na wpół świadomy, ale uratował go od ciosu. Kraft zaśmiał się aprobująco:

– *Gut. Sehr gut.* Za mną marsz.

Dla pozostałych więźniów stracił nagle zainteresowanie. Holder do niego przyskoczył:

– Można już? – zapytał, wskazując na więźniów.

– Naturalnie, naturalnie.

– A ten?

– Będzie moim sparing-partnerem.

– Tak jest, panie majorze. Czy będzie mieszkał na bloku?

– Jak każdy więzień. Z apelów zwolniony. Co rano przyjdzie do mnie, do mojej dyspozycji.

Kominek udał się za majorem Kraftem. Słyszał oddalające się człapanie nóg: tamci szli na śmierć. Pechowcy, którzy nie byli bokserami. Pechowcy, którzy nie mieli pokrwawionych nosów. „Ale ja żyję – uprzytomnił sobie. – Jeśli okaże się, że nie nadaję się na sparing-partnera, pośle mnie do gazu. Oczywiście, że się nie nadam. Taki patałach, taki łazęga, taki muzułmanin” – lżył siebie w myśli.

W baraku nie było ringu. Walczyć należało między ścianami. Jeden z lekarzy podjął się mierzyć czas.

Kominek patrzył na wszystko osłupiałymi oczyma. Drabinka – kozioł – gruszka. Przedmioty z nierealnego świata. Skąd się wzięły tutaj – w tej otchłani piekieł? To wszystko jest nieprawdziwe! Prawdziwe jest tamto, co się dzieje za barakiem. Prawdziwy jest gaz i piec, i popiół. Za chwilę jego towarzyszy zamkną w komorze. Może już zamknęli. Duszą się, łakną powietrza... Cóż robić, nie mieli bokserkiego nosa.

– No, rusz się – usłyszał.

Stał przed nim Kraft, zdrowe, muskularne byczysko, szeroki w ramionach, wąski w pasie – prawdziwy Apollo boksu. Włosy miał czarne, skórę śniadą, pierś mocno obrośniętą, nogi szczupłe, zgrabne, o łagodnej, podłużnej muskulaturze, także gęsto owłosione.

– No rusz się, zrzucaj łachy, zrób przysiad.

Willi wszedł z Polakiem za przepierzenie, rzucił mu spodenki, koszulkę i buty. Potem zawiązał rękawice.

– Mucha jesteś – przygadywał. – On takich gasi w locie. Trach – i po tobie. Pójdiesz do pieca! Na co mu się zdasz!? Nawet żeby się przed Helgą pochwalić, i do tego mu się nie nadajesz.

Kominek ze zdziwieniem spoglądał na rękawice na swoich dłoniach. Za chwilę stoczy walkę! Zrobił przysiad, podskoczył kilka razy w miejscu, aż w stawach zachrobotało. Czuł się słaby jak po długiej, wyczerpującej chorobie, słaby jak dziecko. I musi walczyć – z kim? Z mistrzem nad mistrzami! Jeśli okaże się do niczego, pójdzie do pieca.

– Gotów? – zapytał promieniejący przeciwnik.

Helga nie odrywała od Krafta wzroku. Jak wspaniale wygląda! I nareszcie jest sobą. Można bez obawy patrzeć w przyszłość, Walter nie będzie już robił żadnych głupstw. Była gotowa obdarzyć cieplejszą myślą nawet tego wychudłego Polaka.

Lekarz niemiecki spojrział na zegarek i skinął głową.

– A więc zaczynamy.

Omal nie podali sobie rąk.

Kominek stał na straconej pozycji i wiedział o tym. Chyba że jakiś cud... Może nastąpi? Czy tamta historia na dziedzińcu nie miała w sobie czegoś nadprzyrodzonego? Może właśnie teraz nastąpi coś cudownego? Przypatrywał się hipnotyzującym wzrokiem Kraftowi, który spokojnie, z nonszalancją starego zawodowca, przyjął postawę. „Wytrzymać dwie rundy – pomyślał rozpaczliwie Kominek. – Jedną rundę! Tylko jedną rundę!”

Cały wysiłek skupił się tylko na tym: nie dać się trafić. Prawa Krafta – to koniec sparingu. Zostanie wówczas zwykłym więźniem. Więźniem, który zbiegł. Zbiegów posyła się do komory gazowej.

Kraft wypuścił lewą. Podwoił ten cios i potroił. Kominek przyjął serię na zablokowane rękawice. Wyleciała błyskawicznie prawa. Ale Kominek odstąpił o krok. Cios Niemca przeszył powietrze. Lewy i prawy sierp minęły o centymetryczną głowę Polaka.

– Bravo! – krzyknął lekarz, ten sam, który żartował z Goebbelsa.

Willi zaśmiał się sucho, gdy lewy prosty Krafta znów natrafił na łokieć Polaka. Ale zaśmiał się niepotrzebnie, siła ciosu odrzuciła Kominka do tyłu. Kraft poszedł natychmiast za nim. Dwa szerokie cepy nie doszły do celu. Piekielny prawy sierp musnął szczękę Janusza. Niemal równocześnie Janusz wypuścił prawą kontrę. Rąbnął swego naczelnika w otwartą pierś, w samo serce. Wszyscy się zaśmieli, tak słaby był ten cios. Jak dotyk rączki niemowlęcia.

„Ach, wytrzymać rundę, tylko rundę – myślał gorączkowo Kominek. – Gdybym nogi lepiej chodziły, gdyby sobie chociaż trochę podjadł, tamtemu nie poszłoby tak łatwo”.

Ale nogi już drętwiały, a ręce odmawiały posłuszeństwa. Z trudem łapał oddech. Pięści Krafta migwały mu przed oczyma, coraz bliższe i większe. Instynktownie uchylał głowę, dawał kroki w przód i w tył, blokował, czasem wysuwał lewą do przodu, czasem kontrolował prawą. Ale wiedział, że to już koniec. Nie wytrzyma rundy.

Zwycięski Kraft przyparł go do ściany. Kominek zdołał uniknąć dwóch silnych cepów. Lewy sierp wstrząsnął nim. Pochylił się do przodu, jakby chciał rzucić się na przeciwnika. Kraft poprawił potężnym prawym hakiem i Polak zwałił mu się do nóg.

Kominek leżał na podłodze. Przytomność powoli wracała. Nie czuł bólu, tylko wielkie znużenie. Gdzieś w pobliżu ulatniał się zapach dymu – ach, to pewnie pociąg przejechał, w głowie tak dudniło... A więc jest w domu u swego ojca zawiadowcy, u swojej młodej, dobrej żony. Jakim sposobem się tu znalazł? Halu! A Hala tak się śmieje, tak głośno się śmieje, nigdy się tak denerwująco nie śmiała, rzy jak koń...

Śmiech się urwał i Helga powiedziała:

– Jesteś w świetnej formie, Walt. Ten cios był boski.

„Znokautował mnie” – uprzytomnił sobie nagle Kominek. Był znokautowany i pies z kulawą nogą o niego nie dbał. Próbował zerwać się, ale zdołał zaledwie stanąć na czworakach.

Kraft mruzczał niezadowolony:

– Też przeciwnik! Z kim mam się tu bić, u diabła?

Lekarz, który sędziował, oświadczył:

– Walczył minutę trzydzieści pięć sekund.

– Walczył! Nie trafił mnie ani razu. – Kraft spojrział ponuro w okno. – Trzeba go zwrócić



Holderowi.

Kominek poczuł zapach dymu. A więc tamci mają już wszystko za sobą.

Helgę przeraził wyraz twarzy Waltera, gdy mówił o Holderze. Jeśli ten Polak pójdzie do pieca, jej chłop narobi głupstw.

– Mój drogi, on jest wyraźnie niedożywiony – perswadowała.

– Tak jest, panie majorze! – wtrącił naraz Willi. – On waży co najmniej o dwadzieścia kilo za mało. Pozwolę sobie zameldować, że i ja głodny – jestem do niczego, nie potrafię nawet butów wyglansować.

Kraft rozjaśnił się.

– Tak, to prawda, panowie. Poza tym on jest bez treningu. A więc dobrze, spróbujmy.

Willi, daj mu się nażreć! W ciągu trzech dni ma mu przybyć sześć kilo. Jeśli będzie deko mniej, stracisz miejsce. Panowie! Za cztery dni wielkie spotkanie Niemcy – Polska. Były mistrz Europy Walter Kraft kontra mistrz uciekinierów... *Wie heisst dul?*... Kominek, Janos Kominek... *Also, auf Wiedersehen, meine Herren!*

Willi zaprowadził oszołomionego Janusza do swojej komórki. Poklepał go nawet po ramieniu.

– Jedz! – rozkazał, podsuwając mu garnek z gęstą zupą.

Powiadają, że kuchnia niemiecka nie jest smaczna. Bzdury! Kominkowi zupa Willego wydawała się niebiańska. Być może, ktoś powie, powinien był w tej chwili pomyśleć o towarzyszach, którzy zginęli. Ale nie pomyślał. Trzęsącymi się rękami pchał do ust łyżkę po łyżce. Tylko to miało znaczenie: zupa. Gęsta zupa na jarzynach, z mięsem. Dojadał do niej ogromny kęs razowca. A więc żyje – i je! Ma przed sobą trzy dni. Cztery noce. Noc należy już tylko do niego. W nocy śni się Hala, jej jasny, pachnący warkocz, jej gorący uścisk. W nocy śni się ich pokój w domku rodziców, brązowe belkowanie sufitu, miękka pierzyna, kolejarska czapka ojca, świst lokomotyw, dudnienie kół, malwy i słoneczniki, lipy, kasztany i klony, kolorowy świat, który dawno nie istnieje, a może i nigdy nie istniał. Cztery noce! Żołądek napełnia się, jest coraz cieplej, powieki ciężą. A więc jednak stał się cud.

– *Genug!* – krzyknął Willi.

Sprzątnął mu garnek sprzed nosa. Kominek przyglądał się ordynansowi naczelnika wystraszonego. Dlaczego zabiera garnek? Po chwili zrozumiał: nie wolno się obżerać, to się może źle skończyć.

Willi dał mu bochen chleba, kubek marmolady, kawał słoniny.

– To na potem – wyjaśnił pucybut. – Będziesz tu przychodził trzy razy dziennie. Utuczę cię jak wieprza na ubój.

Było już po apelu, kiedy Kominek wrócił do baraku. Blokowy wiedział o wszystkim, przywitał go z szacunkiem. Zmęczony bokser dowlókl się do swojego miejsca na pryczy. Boleśnie odczuł zetknięcie ciała z twardymi deskami. Zaczynała się pierwsza z czterech nocy życia. Teraz zamknąć powieki – i śnić.

Ale, rzecz dziwna, nie mógł spać. Zobaczył ze zdumiewającą wyrazistością, jakby w zwolnionym tempie, dzisiejszą walkę z Kraftem. Odżyła w jego pamięci – cios po ciosie, unik po uniku. Poruszył niespokojnie nogami: jakie sztywne! „Czy mogłem uniknąć ostatnich dwóch ciosów? Nie, nie mogłem. W żaden sposób nie mogłem”. Minuta trzydzieści pięć sekund – bronił się dosyć długo.

Usłyszał czyjś chropawy szept:

– Kominek?

– He?

– Nie śpisz?

– Nie.

Na pryczę wgramolił się szerokoplecy, zgarbiony mężczyzna o wyblakłych brwiach i obwisłych policzkach. Janusz widział go w baraku nieraz, ale bliżej się jeszcze nie poznali.

– Pamiętam cię, Kominek – szepnął mężczyzna. Ochrypłość jego głosu wydała się Januszowi bardzo przyjemna, jakby ojcowska. – Widziałem twoją walkę przed wojną... Pomyślałem sobie: gdybym był trenerem, zająłbym się tym chłopcem. Węźlak jestem.

Nazwisko to nic bokserowi nie mówiło.

– Nie słyszałeś? No, taki szczeniak nie mógł jeszcze słyszeć. Ale starzy bokserzy mnie znają. Stały kibic. Nie opuściłem ani jednego poważnego meczu. Jeździłem nawet z naszą drużyną do Berlina, Essen i Hamburga. Czuli się lepiej, kiedy wiedzieli, że jestem na trybunach. Ale o czym mówić? W kronikach o tym nie piszą. Trenerem nie byłem. No i co, bardzo cię obił? Trafiłeś go?

– Ech, co tam... Jakby go mucha trzepnęła. Powiedział, że będzie mnie dożywał. Walczę z nim za cztery dni.

Węźlak wyciągnął się na pryczy, podłożył pięść pod głowę.

– Za cztery dni... Dobremu trenerowi dwa tygodnie wystarczą dla przywrócenia bokserowi nawyków technicznych, trzy – do doprowadzenia go do jakiej takiej kondycji. Ale przecież żaden bokser nie przychodzi do trenera w takim stanie jak ty. Chleba nie masz?

– Mam. Mam, a jakże. – Kominek odłamał sąsiadowi sporą porcję chleba.

Węźlak jadł w milczeniu. Kiedy skończył, powiedział:

– Uważaj, cudów nie ma. Cała twoja taktyka na razie – nie dać się wykończyć. Bo Kraft może wykończyć na amen. Byli tacy, którzy po walce z nim zawieszali rękawice na kołku. Ale ty się nie bój. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. On też ma słabe miejsca. Ale na razie nic z tego. Jutro do niego idziesz?

– Idę. Jeść i trenować.

– Nie trenuj. Przez dwa pierwsze dni nie trenuj. Musisz nabrać sił. Najwyżej pięć minut gimnastyki rozluźniającej. Trzeciego dnia forsowniejszy trening: dziesięć minut gimnastyki, minuta gruszki, minuta walki z cieniem, dwie minuty skakanki. Nie więcej, bo się zarżniesz. Czwartego dnia, przed walką – powtórz to wszystko. Dla rozgrzewki. Zapamiętasz sobie?

– Tak – powiedział Janusz. I stwierdził: – Mądrze pan mówi.

– No, coś niecoś się na tym rozumiem. Znaczy się, ufasz mi?

– Co mam nie ufać.

– No to uważaj. Staraj się przetrzymać dwie rundy. Unik, blok i odstępowanie to jeszcze za mało. Pamiętaj też o zwrotach.

– Nogi mam sztywne.

– Jasne. Ale może gimnastyka zdąży ci je trochę wyrobić. Więc zwroty. Dwie rundy ataku dadzą mu dosyć zadowolenia. W trzeciej połóż się.

– To znaczy jak?

– Frajerze, nie daj się znokautować. To morderca, potrafi zniszczyć boksera ciosami. Przewalczyłeś dwie rundy – koniec, moje uszanowanie. Nie daj się zniszczyć. Musisz przecież dociągnąć do chwili, kiedy będziesz w pełnej formie. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Ale chciałbym go czasem trzepnąć.

– Co ci to da? Chowaj cios, magazynuj go. Może przyjdzie chwila – i wtedy jak władujesz! Uważaj, Kraft nigdy nie lubił być bity. Jemu wystarczy, jeśli ty się będziesz umiejętnie bronił. Wytrzymaj dwie rundy.

– Dwie rundy! Czy pan wie, jak on bombarduje?

– Czy wiem? Widziałem go trzy razy. Ale ci zawodowcy nie są tak szybcy, jak dobry

amator. Poza tym Kraft sygnalizuje trochę ciosy. Przy twoim refleksie...

– Skąd pan wie o moim refleksie?

– Wiem. Gdybym nie wiedział, czyżbym pomyślał sobie wtedy, że chciałbym się tobą zająć? Daj, synu, kawałek chleba...

Zasnęli.

Nazajutrz Węzłak poszedł wraz z innymi na apel. Janusz usiadł na pryczy, patrząc nie tylko z góry, ale i jakby trochę z boku na kotłowaninę w baraku. Nie ludzie, lecz cienie, zziębnięte cienie – cóż może być gorszego? Wychodzili jeden po drugim w szarość przedświt, obrzucając boksera zawistnymi spojrzeniami. On mógł leżeć i spać. Więcej: mógł uderzyć w twarz Niemca! Przymknął oczy jak od nadmiaru rozkoszy. Kropnąć w mordę lagerführera! – o rany! – czego się tu namyślać? Kropnąć go raz – tak, żeby poczuł, żeby się zachłysnął własną krwią – krwią pomordowanych – a potem niech zabiją, niech spopiela, wszystko jedno!

Podszedł sztubowy i powiedział przymilnie:

– A ty, chłopie, śpij, śpij...

Nie, nie będzie spał! Poczul głód – i to z taką siłą jak nigdy przedtem, nigdy wówczas, gdy nie miał nic do jedzenia. Ale teraz miał. W woreczku leżało pół chleba, kawał słoniny, kubek marmolady. O Boże, kiedyż ten sztubowy odejdzie? Poszedł! Kominek rzucił się na chleb, rozgryzł słoninę, oblizal palce, zjadł marmoladę, wylizal kubek. Poczul się silniejszy. „No, no – pomyślał – rąbnąć takiego Krafta to można, ale co z tego? Nokautu nie będzie. Węzłak ma rację. Taki facet z trybuny często widzi więcej niż sam bokser. Trzeba magazynować siły. I nie pozwolić się zniszczyć. Następną walkę komendant wygrywa w trzeciej rundzie przez k.o. O ile uda mi się, rzecz jasna, przetrzymać dwie rundy”.

Tak myślał w baraku. Ale gdy dzwignął sztywniejące nogi i wyszedł, poczuł się bezradny i zagubiony. Bezkres błota. Powietrze było szare jak popiół. Szarość oślepiła, ziębiła ciało, przenikała do krwi. Czul się nią przekłuty jak stalowymi igłami. W oddali wylaniał się z niej kontur komina krematoryjnego. W powietrzu unosiły się strzępy okrzyków jak charkot gruźliczy.

Widok Willego sprawił mu niemal przyjemność. Znow jadał tę niebiańską zupę, a Willi tłumaczył:

– Frykasów nie ma, chyba że dla nich tam. Dla pucerów i bokserów – system jednego garnka... Będziesz trenował?

Kominek potrząsnął przecząco głową.

– No, no – mruknął Willi. – Ja ci pokażę! Tylko nażreć się chcesz? A kogo pan komendant będzie objiał? Może wolisz kąpiel gazową – to proszę, u nas to raz-dwa.

Kominek przyglądał mu się badawczo. Kpi z niego czy z komendanta? Chyba jedno i drugie.

– Nie mogę trenować, Willi. Mam za mało sił. Muszę przytyć.

– Jak uważasz. Ale pan komendant musi mieć kogo bić.

– Spokojna głowa, Willi.

– Mów: „panie Willi”... Nie daj się zbyt szybko trafić, bo w ten sposób komendant nie uzyska formy.

– Mam nadzieję, że tym razem będzie to trwało dłużej.

– O właśnie. To-to! Ile wytrzymasz?

– Postaram się ze dwie rundy.

– Postawię na ciebie 10 marek.

Kominek trzymał się ściśle treningowego planu Węzłaka. Po dwóch dniach jego nogi rozluźniły się, twarz ożywiła, policzki z lekka wypełniły. Trzeciego dnia „tuczenia” gimnastyka trwała nieco dłużej. Minuta walki z cieniem zmęczyła go porządnie. Odsapnąwszy, wziął się do

objiania gruszki. Postanowił robić to do zmęczenia i okazało się, że zabrało mu to prawie rundę. A więc czuje się o wiele lepiej. Potem dwie minuty skakanki, całkowicie nieudanej.

Kraft przyglądał się temu treningowi, udzielał nawet Polakowi wskazówek.

Nazajutrz Kominek powtórzył dokładnie wczorajszą porcję. Przed wieczorem do baraku treningowego, w którym Polak i Willi już czekali, przyszli lekarze, Helga i oczywiście sam Kraft.

Mistrz Niemiec zbliżył się do Polaka i pomacał mu ramiona.

– Przytyłeś. Willi, zważ go!

Kominkowi przybyło pięć kilo i sto pięćdziesiąt gramów.

– Znakomicie. On jest już czymś w rodzaju człowieka – cieszył się Kraft.

Helga zapytała:

– To chyba długo nie potrwa, Walt? Czuję się nieszczególnie.

– Najwyżej jedną rundę.

Willi wtrącił pośpiesznie:

– Niewątpliwie, droga pani. Ale żeby było ciekawiej... warto by się zabawić. Postawię na to, że ten przeklęty Polak przetrzyma dwie rundy...

– Ile stawiasz, Willi? – zapytała Helga.

– Dziesięć marek w zamian za wolny dzień. Nie mam kobiety na miejscu, panie majorze.

– Świntuch jesteś, Willi – rzekł Kraft. – Dobrze, przyjmij zakład, Helga.

Kraft od razu ruszył na przeciwnika. Poprzednie zwycięstwo nie dało mu satysfakcji.

Znokautować na wpół żywego człowieka to niewielka sztuka. Ten zaś, bądź co bądź, trochę się rusza i już coś umie... A więc macajmy go lewą.

Kominek cofnął się pod naporem lewej Krafta. Od czasu do czasu wylatywała prawa mistrza i wówczas Polak starał się lekkim zwrotem tułowia uniknąć ciosu i pozbawić przeciwnika równowagi. Raz udało mu się to znakomicie. Mógł wtedy trzasnąć go mocno, ale powstrzymał się. „Kraft odpowie gradem ciosów, przełamie mi gardę – i leżę. Spokój, tylko spokój. Węzłak miał rację: mistrz sygnalizuje ciosy. Może nie jaskrawo, ale dla mojego oka wystarczy. Oto idzie bomba z lewej. Łapiemy na rękawicę. Prawa spada jak grzmot. Uskok!”

Kraft znów się zachwiał. Teraz można go trzepnąć! Ale nie, spokój. Zdaje się, że ktoś zaklaskał. Chyba ten, który krzyczał wtedy „brawo”. Kiedy ta runda się skończy? Och, trafił mnie. Tylko nie upaść!... Zdaje się, że go równocześnie skontrolowałem, bo nie poszedł za ciosem. Koniec rundy.

Przydałby mu się sekundant. Jest zmęczony, warto by się powachlować, wypłukać usta. Kraft stoi sobie jak gdyby nigdy nic, rozmawia z Helgą. Naturalnie, rzuci się teraz na niego jak zwierz. Założył się przeciw! Ale tę rundę Kominek musi przetrzymać. Jeśli przetrzyma, zostanie na długo sparing-partnerem mistrza – życie uratowane.

Stało się tak, jak przewidywał. Kraft z miejsca wypuścił dwie bomby z obu rąk. Trafiły Polaka w łokcie, ale sprawiły ogromny ból. Kominek cofnął się. Kraft poszedł za nim. Znowu dwa ciosy z obu rąk. Znowu Kominek cofa się o krok. Ale za nim jest już tylko ściana. Kraft bije zamachowym prawym, Kominek daje nura pod jego rękawicę, Kraft chwije się na nogach, leci na ścianę. Teraz! Teraz można go rąbnąć w tę piękną maskę – za tamtych pięciu – za siebie, za, za, za... Upadłby twarzą na ścianę, rozkrwawiłby nos, a ja go raz jeszcze! i jeszcze, i jeszcze! Spokój, spokój, nie dajmy się ponosić marzeniom.

Znów walka toczyła się na środku sali. Kraft napierał, Polak rozpaczliwie unikał jego ciosów, w pewnej chwili zanurkował mu pod rękawicę i wszedł w zwarcie. Przykleił się do Krafta tak, że wyczuł zapach jego potu. Przytrzymał go łokciami. „Teraz mógłbym go...” Co by mógł! Nic! Jest przy nim niby mucha przy słoniu. Dotykał przedramieniem muskularnych pleców Krafta, wychudłą pierś przywarł do potężnej, znakomicie umięśnionej klatki piersiowej

tamtego. Coś mu to przypominało. Coś przyjemnego, coś, za czym tęsknił. Ach, już wiedział, wuja Stefana. Jako dziecko stawał bosymi nogami na jego klatce piersiowej, też takiej szerokiej i owłosionej, a potem wuj Stefan wolno, wolniutko podnosił go na rękach w górę.

– *Break!* – krzyknął sędziujący lekarz. Odskoczyli od siebie. Janusz zajrzał Kraftowi w oczy. Zimne, bezlitosne oczy zawodowca. „Wuj Stefan!” Niech go diabli! Przyjemnie byłoby mu wsolić! Ale to as. I zarazem pan życia i śmierci. Och, przetrzymać tę rundę do końca i będę miał dosyć satysfakcji.

Jak z chmur spadła na niego bomba z prawej. Zadzwoiło w uszach. Rzucił się na deski. Nie upadł, ale właśnie rzucił się, żeby uniknąć następnego ciosu, który by go wykończył.

Usłyszał:

– *Eins...*

A więc w porządku: słyszy liczenie, to znaczy, że nie stracił przytomności. Teraz będzie „zwei”.

– *Zwo...*

„Zwo”? Dlaczego „zwo”? Przymrużył oczy, udając, że ma przymglony wzrok. „Drei” – leżał spokojnie. Na „osiem” poderwał się i stanął w pozycji. Kraft skoczył na niego. Kominek bronił się rozpaczliwie. Byle dotrzeć. Byle dotrzeć. Koniec rundy zastał go na deskach.

Dźwignął się z nich niemal uśmiechnięty. Spojrzał na Krafta: naczelnik też był zadowolony. Zachowywał się bardzo łaskawie.

– Wygrałeś zakład, Willi – powiedział. – Kominek, dlaczegoś nie zadał ciosu, kiedy leciałem na ścianę?

– Nie zorientowałem się.

– Trzy razy nabrałeś mnie na uskoki. Byłem zbyt pewny siebie, dlatego ci się to udało. Więcej się to nie powtórzy. A w zwarcu walczysz nieczysto, trzymasz. Panie doktorze, możemy zacząć następną rundę?

– Jeszcze dwanaście sekund.

„Nie będę z tobą walczył ani o sekundę dłużej, niż muszę” – postanowił Kominek i pomyślał, że trzeba wystrzegać się silnych ciosów z prawej. Za to pierwszy lewy sierp Krafta przyjął na twarz i natychmiast upadł.

Sędzia liczył do dziesięciu. Willi podszedł, żeby podźwignąć Kominka. Usadził go na ławie.

– Żyjesz? – spytał Kraft zadowolony.

– Tak jest.

– To była niezła walka – pochwalił Kraft. – Chociaż ten ostatni cios nie był najmocniejszy.

– Widocznie trafił na „punkt”.

– Był precyzyjny. Precyzja – to grunt. No, dwa dni przerwy i spotkamy się znowu.

Willi dał mu w swej komórce kawałek czekolady.

– Dziękuję ci, stary. Wyświadczyłeś mi przysługę. Znam jedną niezłą dziewczuchę w Kluczborku, bierze niedrogo. Teraz będę mógł ją odwiedzić. Będę ci odtąd wierzył jak rachmistrzowi Pana Boga. Następnym razem stawiam na trzy rundy.

Życie Kominka nabrało odtąd pewnej regularności. Dwa dni treningu indywidualnego, na trzeci dzień sparing z Kraftem. W zasadzie Kominek postawił sobie za zadanie przetrzymywać trzy rundy. W czwartej chwytął jakiś słabszy cios Krafta i kładł się do dziesięciu. „Oto co taki Polak potrafi – mówił zadowolony Kraft. – W ciągu trzech rund jest jeszcze bokserem, w czwartej – szmatą”.

Ale bywało i inaczej. Zdarzało się, szczególnie w pierwszych walkach, że cios Krafta zwałał Kominka z nóg w drugiej lub trzeciej rundzie. Początkowo Kraft był z tego dumny, później kazał w takich wypadkach cucić Polaka i po piętnastominutowej przerwie podjąć walkę. Niech nie zapomina, że jest tylko zawodowym sparing-partnerem, i to dobrze płatnym: całym życiem.

Forma Krafta bowiem też zwyżkowała. Nie bił już teraz tak zamachowo, jak w pierwszych walkach. Czaił się do ciosu, lewa ręka pracowała precyzyjnie, prawa wylatywała jak piorun. A jednak po którymś tam sparingu Janusz wyczuł, że niepotrzebnie się kładzie. Walka nie musiała się skończyć nokautem. Przewyższał prawdopodobnie Krafta refleksem, szybkością i wyczuciem dystansu. Siła ciosu też wracała. Na pewno walczył nie gorzej niż przed wojną. Poza tym cechowało go coś, o czym dawny Kominek nie mógł marzyć: przekonanie, że ta walka to jest wszystko, absolutnie wszystko. Poza nią nie ma życia.

Poza walką była tylko śmierć. Szary, zabłocony obóz. Podczas gdy on robił przysiady, ćwiczył skakankę, obijał gruszkę, sparował z Kraftem, przekomarzał się z Willim, słuchał śmiechu Helgi i jej nieprzyzwoitych żartów – w obozie toczyło się wszystko normalnie. Bito, głodzono, poniewierano, duszono jak dawniej. Krzyk oprawców nadal wstrząsał powietrzem. Przez kominy krematoryjne wciąż ulatywał dym o mdlącym zapachu.

Stosunek współwzięniów do boksera zmienił się. Pogodzili się z tym, że jeden z nich jest wybrańcem bogów, jada lepiej niż inni, nie pracuje, nie chodzi na apele. Zaczęli się interesować jego postępami. Czy naprawdę bije się z Niemcem? Z samym komendantem? Więc naprawdę może go uderzyć – tak po prostu trzasnąć w mordę, żeby łajdak się wykopyrtnął? Czemuż go nie znokautuje? Mistrz Europy – tak, no i cóż z tego? Gdybym ja... gdybym tylko mógł... nic by go nie uratowało, tego łotra szwaba, żadne mistrzostwo Europy!

Wieczorami, leżąc obok siebie na pryczy, Janusz i Węźlak omawiali zagadnienia techniki i taktyki.

– Czy wiesz, że Kraft miał złamane żebro? – mówił Węźlak. – To robota Schmelinga. Zapamiętaj to sobie: z prawej strony. I jeszcze jedno: jego szczeka jest dosyć miękka. Louis wykończył go dwoma ciosami – właśnie na szczekę.

– Podejmuję się go trafić.

– Nie śpiesz się. Wolno ci go najwyżej czasem zahaczyć, niech nabierze szacunku.

– Willi powiedział mi: „Ty uważaj, Janos. Jeśli go rzucisz na deski, odda cię Holderowi.

To świnią”.

– Mówiłem ci: nie lubi być bity. Nigdy nic dobrego nie powiedział o żadnym swoim zwycięzcy. Gdy dostaje cios w żołądek, symuluje faul. Wygrał w ten sposób kilka walk.

– A więc nie wolno mi pokazać, co potrafię?

– Nie wolno. Zapomnij o tym.

Któregoś wieczoru Kominek powiedział Węźlakowi:

– Trzasnąłem go w szczekę.

– No?

– Zachwiał się. Gdybym poprawił!... Ledwie się pohamował. Doskoczyłem tylko i złapałem go w clinch. Staliśmy tak, trzymając się w objęciach, jakbyśmy się nie wiem jak kochali. Czulem, że głowa zwisa mu na moje ramiona, a nogi się pod nim uginają. Dopiero kiedy podniósł głowę, puściłem go.

– Aha... dobrze, dobrze... – powtarzał Węźlak.

– Wie pan co? – rzekł po namyśle Kominek. – To trwało chyba dłużej niż do dziesięciu.

– A więc wygrałeś przez nokaut – zachrypiął Węźlak i dodał: – Strzeż się, Janusz.

– Ja już nie mogę – powiedział Kominek z udręką w głosie. – Kiedy widzę tę jego

zadowoloną gębę... A przecież nie jestem gorszy od niego! On chce mieć ze mnie worek treningowy. Ale ja już nie jestem workiem. Czasami wydaje mi się, że gdybym chciał, załatwiłbym się z nim szybko.

– Janusz – szepnął gorąco Węzłak – to nieprawda. Pamiętaj, że to nieprawda. On się teraz będzie lepiej krył. Nie wiesz jeszcze, co to jest kontra Krafta. On musi o tym twoim ciosie zapomnieć, rozumiesz? Inaczej sprowokuje cię do ataku. I albo leżysz, albo... albo wygrasz – i co wtedy?

– Nie wiem. Ja już nie mogę.

– Niech on atakuje. Tylko on. Zawsze on. Niech zapomni o sztuce obrony. Niech myśli, że ma do czynienia z bokserem wyłącznie defensywnym, z bokserem, który nie umie zdobyć się na cios. Rozumiesz?

– Rozumiem. Chciałbym cię objąć, staruszk.

– Zrobisz to, jak stąd wyjdziemy. Zauważ też jedno: zdaje się, że zadając cios z prawej, Kraft ma zwyczaj opuszczać lewą. Może ci się to przydać do kontry.

– Ale kiedy?

– Nie wiem. Jeśli nastąpi coś nieprzewidzianego. Może nigdy.

Innym razem Kominek zwierzył się Węzłakowi:

– Wie pan, brak mi kondycji. Walczyliśmy dziś sześć rund. Willi znowu zarobił dzień urlopu. Dzięki mnie ta dziewczyna z Kluczborka robi na nim majątek. W drugiej i trzeciej rundzie położyłem się na deskach, żeby sprawić Kraftowi przyjemność. Ale w szóstej... w szóstej naprawdę zabrakło mi pary. Serce – owszem, niczego sobie, ale nogi, a zwłaszcza płuca...

– Musisz biegać. Kilka kilometrów dziennie. Bez tego nie ma kondycji.

– Tak. Powiem Kraftowi.

Komendant obozu zgodził się.

– *Ja, ja, natürlich...* Ja też muszę. Stoczmy dziesięciorundową walkę, co?

– Tak jest, panie komendancie.

– No, więc proszę, wyjdź na dziedziniec i biegaj.

Kominek stropił się. Bąknął:

– *Aber, Herr Kommandant...*

– Co?

– Nie mogę biegać na dziedzińcu.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Kraft.

– Nie mogę – powtórzył Polak. Jego stanowisko zaczynało być interesujące. – Ten dziedziniec...

Kraft wzruszył ramionami.

– Błoto? Bieżni ci nie wybuduję.

– Nie, nie to. Tylko więźniowie. To by było... niesportowe. Tak, niesportowe.

Kraft załapał oczyma. Co mówisz, człowieku? Jaki sport? Od kilku lat, od chwili gdy włożył mundur spadochroniarza, nie przechodziło mu przez myśl to słowo: „sport”. Myślał: „boks”. Albo: „mecze”. Albo: „mistrzostwo” lub „pieniądze”. Sport! Dziwny człowiek z tego Polaka. Ależ tak, przecież my z nim tu uprawiamy sport – pośrodku tego świństwa, tej nędzy – sport! On ma rację, ten ciemny Polak, biegać na oczach ich wszystkich – to świństwo.

– *Ja, ja... Sport. Schweinerei!* – zaklął. – W porządku. Jutro pojedziemy sobie za obóz.

Kraft i Kominek biegali truchcikiem obok siebie lub jeden za drugim, wzdłuż lasu albo obok ściernisk (bo była już jesień), za nimi zaś sunęło auto, w którym przy kierownicy siedział Willi, koło niego Helga, a z tyłu esesman z odbezpieczonym pistoletem automatycznym. Gdyby

ten Polak ośmielił się uciekać, nie zrobiłby nawet pięciu kroków. Samochód skakał po wybojach, a Willi nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie dla rozrywki, od czasu do czasu trąbił. Kominek odwracał się: w oddali za szarą mgłą widniały wieżyczki wartownicze obozu. Przyśpieszał kroku, mijał Krafta, obejmował prowadzenie. Esesman zaczynał się niespokojnie wiercić, a Willi trąbił, trąbił dla kawału.

Wycieczki te odbywały się cztery razy w tygodniu w ciągu niespełna miesiąca. W międzyczasie pięściarze odbyli kilka lekkich sparingów. Jak zwykle, Kominek nie zadawał prawie ciosów, za to z coraz większą łatwością unikał uderzeń przeciwnika. Czuł się lepszy, wyraźnie lepszy od swego starzejącego się partnera. Przede wszystkim – o tuzin lat młodszy! Rzecz ciekawa: następstwem długodystansowych biegów było zwiększenie u obu pięściarzy wytrzymałości, ale Kraft utracił przy tym wyraźnie szybkość. Wzrosła może jego odporność na ciosy, prawdopodobnie także ich siła, ale równocześnie walczył jakby ciężiej, nie przypominał sprintera, to był boks maratończyka.

Sam Kraft, dla którego ten stan był od lat normalny (większość walk rozstrzygał po ósmej rundzie), nie zwracał na to uwagi, a może i wcale tego nie zauważył. Zachwycony tym, że jest sobą, nie zajmował się rozwojem swego przeciwnika, zresztą szybkość i zwrotność Polaka były mu potrzebne do sparingu, a siłą jego ciosu nie interesował się. Polak nie umiał czy też nie lubił bić. Któregoś dnia Kraft odezwał się do Kominka:

– *Also, Mensch*, możemy sobie pozwolić na dziesięćrundową walkę. Jutro.

– Tak jest, panie komendancie.

– Zaprosiłem kilku przyjaciół z Bytomia. Mam nadzieję, że nie zrobisz mi wstydu.

– Postaram się, panie komendancie.

Willi zapytał potem Kominka:

– Co, Janos, ile wytrzymasz?

Kominek uśmiechnął się.

– A ile byś chciał, Willi?

– Mów: „panie Willi”. Wszystkie dziesięć! Mam już inną dziewczynę, wiesz? Całkiem darmowa. Miłość, bracie. Więc co?

– Zaryzykuję.

– A na deski go nie rzucisz?

– Tego nie można przewidzieć.

– No, no, Janos... Gdybyś tylko chciał...

Kominek nic na to nie odrzekł. Wieczorem rozmawiał z Węzlakiem. Stary był bardziej osowiały niż zwykle.

– Męczą mnie czyraki – powiedział. – Praca sprawia mi ból. Dostałem dziś harapem po grzbiecie. Te łotry nie lubią się patyczkować. Gdybym mógł kilka dni poleżeć... Ale nie mam przecież czterdziestu stopni gorączki.

– Powiem komendantowi.

– Nie, nie.

– Powiem. Ostatecznie nigdy go o nic nie prosiłem. Nie chcę, żeby cię bili – powiedział zdławionym głosem Kominek. – Nie chcę, mój stary...

I pomyślał: „Gdyby nie ty, nie wiem, czy dałbym radę. Jesteś moim kibicem, trenerem i przyjacielem. Dałeś mi możliwość rozważyć rozsądnie każdy szczegół postępowania. Wyrwałeś mnie z gubiącej samotności”. Ale nie powiedział tego. Takich słów się nie mówi. Takich słów trudno też słuchać.

Można powiedzieć najwyżej tyle:

– Pokaż mi te czyraki.



I dotykać ich współczującymi palcami. Najgorsze są te na kolanach i w pachwinie. Utrudniają poruszanie się.

– To z przeziębienia – stwierdził Kominek.

– Tak, z przeziębienia. Myślę, Janusz, że powinieneś zastosować jutro aktywną obronę.

Dziesięć rund – to dużo. Możesz go nawet posłać na deski.

– Będą jego przyjaciele.

– A więc on musi wygrać. I powinieneś powąchać podłogę.

Kominek powiedział zapalczywie:

– Czy wiesz, stary, że jestem lepszym bokserem? Podjąłbym się go znokautować do trzech rund. Wierzysz imi?

Węźlak nie odpowiedział.

– Nie wierzysz. Szkoda, że nie widziałeś naszych walk. Ja się z nim czasem bawię.

Jestem w piekielnej formie. Myślę, że w takiej formie mógłbym walczyć z samym Louisem. Ja przecież hamuję ciosy. Widzę: luka jest, można rąbnąć – i nie wykorzystuję tego. Jego ciosy w ogóle do mnie nie docierają. Przez dziesięć rund udawać patalacha – to trochę za dużo.

Rano obudził go więzień – młody chłopiec o krótkich, jasnych, szorstkich jak szczecina włosach na guzowatej głowie (wszyscy tu mieli nagie, guzowate głowy). Twarz miał ziemistą, a oczy nieproporcjonalnie duże. (Wszyscy mieli ziemiste twarze i oczy niesamowicie duże).

Kominek zlął z przycy.

– Czego chcesz?

– Ma pan kawałek chleba? – spytał chłopiec. Kominek dał mu chleba i czekał. Tamtemu nie chodziło chyba tylko o to. Wszelkie rozmowy z Kominkiem zaczynało się od chleba, do tego się już przyzwyczało. Padło następne pytanie:

– Walczy z nim pan dzisiaj?

– Tak. Skąd wiesz?

– Wiem. Tu się wszystko wie. Pan go uderzy, prawda?

Janusz rozłożył ręce.

– Niech pan go uderzy. Widzi pan, co on tu z ludźmi robi? Niech go pan mocno uderzy.

Niech poczuje.

Odchodząc, chłopiec uśmiechnął się.

– Dziękuję panu za chleb. Niech pan nie zapomni go uderzyć.

Kominek szedł na spotkanie wzburzony.

„Czego on ode mnie chce? No i co, jeśli ja tamtego uderzę? Najwyżej go rozwścieczę.

Nie jestem mścicielem wszystkich krzywd obozowych. Nie, u diabła! Ratuję tylko swoje życie. Mam chyba prawo...”

Przemknął chyłkiem przez zabłocony dziedziniec. W baraku treningowym wyglądało dziś uroczyściej niż zwykle. Było kilka osób więcej, i to na ogół dobrze wypasionych i hałaśliwych. Wszyscy w mundurach. U sufitu świeciło kilka mocnych lamp. Poza tym – czujny, stąpający na palcach Holder. Sędziujący lekarz uzbroił się w mały talerz cynowy na sznurku i młoteczek – kawalarzowi zachciało się rozpocząć i kończyć rundę gongiem.

Kiedy Kominek się przebrał, Kraft przedstawił go towarzystwu:

– Panie i panowie! Mój znakomity przeciwnik, mistrz Polski i wszystkich obozów, więzień Kominek. Sądzę, panowie, że jego talent i końcówka nazwiska – „eck” świadczyłyby o pochodzeniu niemieckim.

Helga nie lubiła tych napadów krasomówstwa Waltera. Zawsze coś powie niestosownego. Można by się było na przykład przyczepić do wzmianki o „mistrzu Polski”, skoro żadnej Polski nie ma, a jest tylko General Gouvernement. Poza tym nie uszło jej uwagi również i to, że Walter

był podenerwowany.

Kominek uklonił się publiczności. Willi zbliżył się do niego, sprawdzić raz jeszcze rękawice.

– Postawiłem sto marek na dziesięć rund – powiedział. – Sto przeciw dwustu. No jak?

– Zobaczymy.

– Czuję pieniądze w kieszeni – zapewnił go Willi.

Lekarz krzyknął:

– Ring wolny, pierwsze starcie!

Zagrzmiał gong.

Kominek ruszył do przodu. Wypuścił lewą prostą, przebił nią nieszczelną gardę Krafta, odrzucił zdumionego Krafta do tyłu. Wystarczyło pójść za ciosem... I zaraz się opamiętał. „Człowieku, nie szalej. To on ma wygrać”.

Przybrał pozycję wyczekującą. Kraft zbliżył się. Zwodził przez chwilę Polaka kołyszącymi ruchami przygarbionego ciała. Wyleciała lewa – wpadła na rękawicę, wyleciała prawa – wystarczyło dać pół kroku do tyłu. Jeszcze raz prawa Krafta; tym razem Kominek nie ruszył się, odchylił tylko lekko głowę. Dłonie świerzbiły go do kontry. Węzłak miał rację: zadając cios prawą, Kraft opuszczał lewą. Trwało to ułamek sekundy, jednak można było władować.

Ale wygrać ma on. Nie ma żadnej okazji, żadnych pokus. Trzeba nałożyć więzy na ręce, myśl i serce, zaprzeczać pięściami oczom. Jest niby pustelnik spętany ślubami. Nie istnieją dlań żadne uroki świata. Cała żarliwość jest zwrócona ku umartwianiu się. Wymaga to więcej uwagi i skupienia niż otwarta walka. Wymaga to gry. Przez pięć rund Kominek jest pięściarzem i aktorem, i dramaturgiem. Widzowie muszą coś mieć „za swoje pieniądze”.

Idzie do zwarcia, wpada w clinch, trzyma, próbuje iść do ataku, nie udaje się, znów się broni, łapie cios, kontruje i...

Kraft na deskach! Co u licha? Ach tak, Janusz nie wytrzymał, kropnął tak, że widzowie podskoczyli. Kominek usłyszał przeciągły gwizd jednego z lekarzy. Tego się nikt nie spodziewał. Polak bronił się dotąd doskonale, ale wydawał się niezdecydowany w ataku. No cóż, wyszła mu kontra, to się zdarza.

Na „siedem” Kraft gramoli się, staje na nogach, ale minę ma niewyraźną. Dlaczego Polak nie idzie do ataku! Kominek stoi ze zwieszoną głową: widocznie sam oberwał też tęgo.

Kiedy pięściarze podjęli walkę, zabrzmiał gong; skończyła się piąta runda. Kraft podszedł do Kominka.

– To była świetna kontra, człowieku – powiedział komendant. – Zbyt rzadko jej używasz. Janusz uśmiechnął się z przymusem.

– Nie wychodzi.

– Za mało atakujesz. Moja obrona jest przez to do niczego. Potrzeba mi drugiego sparing-partnera, który by atakował.

Kominek drgnął.

– Spróbuję atakować, panie komendancie – zapewnił.

Przez całą następną rundę Kominek był w ofensywie. Widzowie muszą coś mieć za swoje pieniądze – i mieli. Zepchnął Krafta do obrony. Naturalnie, Kraft bronił się świetnie – przynajmniej wszystkim się tak wydawało. Publiczność była zachwycona zarówno zmianą postawy Polaka, jak i łatwością, z którą Kraft parował jego ataki. Dwie lewe proste dosięgły jednak szczęki komendanta, jak również kilka szerokich cepów prawą. Sam Kominek oberwał dwie potężne kontry, które wstrząsnęły nim porządnie. Widzowie szaleli.

W siódmej rundzie Janusz zaczął odczuwać zmęczenie. Tracił szybkość. Ręce nie

nadażały już za okiem. A Kraft przeszedł do ataku. Janusz zdawał sobie sprawę, że szanse Krafta będą odtąd rosnać. Dotychczas jego przeciwnik był bezwiednym uczestnikiem zabawy, teraz staje się równorzędnym uczestnikiem walki.

Kraft szedł naprzód, bił zamachowymi cepami, nietrudnymi do uniknięcia. Od czasu do czasu w gryzał się jednak prostą i ciosy te sprawiały Kominkowi wiele kłopotu.

Widzowie wyli, klaskali, wybuchali śmiechem lub gwizdem. Kominek łowił jednym uchem te głosy. A więc jednak sądzą, że tamta kontra była przypadkowa? I tak myśli sam Kraft. Doskonale! Tym lepiej! Ale równocześnie ogarnęło go głupie, przewrotne pragnienie: pokazać im wszystkim, że jest lepszy. Nie mógł się oprzeć tej idiotycznej chęci. Jest lepszy, jest wciąż lepszy, nawet teraz, kiedy nogi nie niosą go tak lekko, jak w pierwszych rundach, kiedy pięść wylatuje z mniejszą szybkością, kiedy oko zachodzi mgłą zmęczenia.

Kraft zaatakował. Głupiec, znów opuścił na mgnienie lewą rękę. Masz!

Kraft zatoczył się do tyłu i upadł na jednego z widzów. Ten podniósł go, postawił. Mistrz stał na szeroko rozkraczonych nogach, z chwiejącą się głową. Janusz ocierał rękawicą pot z czoła. Boże, tamten już czterokroć, pięciokroć został znokautowany.

– *Komm! Komm!* – warknął Kraft. – Walcz.

Kominek zbliżył się i stanął w pozycji. W oczach Krafta dostrzegł niepokój. „Nie bój się, trupkarzu, sam jestem w strachu”. Janusz udał atak i wpadł w zwarcie. Klincz. Przez chwilę tak trwali, obejmując się ramionami jak Leszek i Mieszek. Janusz myślał: „Muszę mu się położyć, bo mnie drań zeżre”.

W ósmej rundzie Kraft pięknie trafił. Kominek padł na deski. Wstał przy „ośmiu”. Kraft był teraz wciąż w ataku. Polak bronił się z trudem. Zmęczenie pętało mu nogi. W dziewiątej rundzie ciężkie ciosy Krafta dwukrotnie go zwały. Wstawał, bo nie chciał przegrać przez nokaut, którego nie było. „Dotrwam. Nie wykończy mnie”.

W dziesiątej rundzie – ostatniej – pozwalał sobie na otwartą walkę. Gdy tylko chwycił okazję, zadawał cios. Sam oberwał też niemało. Kraft miał lepszą kondycję, bił ciężkimi cepami, aż dudniło. Kominek przypuścił go na półdystans, kilkakrotnie pomacał zadufanego przeciwnika lewą pięścią. Kraft obrabiał go teraz bezlitośnie. Lewa, prawa, lewa, prawa – bił na pół odkryty. Kominek pochylił się, zablokował, większość ciosów nie doszła do celu. I nagle – teraz! Rozkosz, jak iskra elektryczna, przebiegła wzdłuż nerwów do mdlejącej pięści. Cios był krótki, dynamiczny, w sam podbródek. Trzasnął sucho jak wystrzał.

– O, klasycznie! – wykrzyknął któryś z widzów.

Kraft odleciał o dwa metry i zwał się na podłogę.

Kominek stał przerażony. „Co ja narobiłem?” Ale równocześnie nie mógł oprzeć się mściwemu zadowoleniu. A więc jest zawsze lepszy od tamtego. Nokautuje go, kiedy i jak chce. „Mógłbym go zmasakrować” – myślał, z trudem tłumiąc radość.

– *Drei* – liczył sędzia.

– Czas – szepnął doń Kominek.

– *Ja, ja, es ist schon Zeit...* – przyznał lekarz, nie spoglądając na zegarek. Uderzył w gong. Willi podbiegł, podniósł komendanta.

Kraft miał otwarte oczy. Helga podała mu sole rzeźwiące. Kraft uśmiechnął się.

– Gratuluję, Kominek. Wyrabiasz sobie cios. Nie myśl, że wygrałbyś przez nokaut. Chciałem odpocząć na deskach do ośmiu. Kto wygrał spotkanie, doktorze?

– Ma pan siedem rund wygranych, panie komendancie – odpowiedział sędzia, zaglądając do kartki. – Trzy są dla Kominka.

– To był wielki mecz – zawyrokował Kraft i poszedł pod prysznic.

Kiedy wrócił – wyświeżony, wypoczęty, bez szczególnych śladów walki na twarzy –

Janusz postanowił powiedzieć mu o Węźlaku.

– Panie komendancie, mam pewną prośbę.

– Jeśli tylko nie jest sprzeczna z prawem...

– Chodzi o jednego więźnia, mego przyjaciela. Zależy mi na nim bardzo.

– Jeśli ci bardzo zależy, zrobię wszystko, co zechcesz. Kapitanie Holder, proszę tu!

Holder podszedł.

– Nazywa się Węźlak – mówił Kominek. – Chodzi o to, żeby poleżał przez pewien czas w szpitalu. Ma czyraki, nie może pracować.

– A więc zrobione – rzekł Kraft.

Holder nagle sobie coś przypomniał.

– Czyraki? Wenschlag? Nie potrzeba.

– Ależ...

– Nie potrzeba – powtórzył, uśmiechając się Holder. I zwrócił się do Krafta: – To ten...

Kraft zrozumiał.

– Aha. Zajęliśmy się już nim, Kominek. Czy masz coś jeszcze?

– Dziękuję, panie komendancie, to wszystko.

Wracał do bloku jak na skrzydłach. Ale się stary ucieszy! Powie mu: „Węźlak, mógłbym go zmasakrować, wierzysz? Bawię się z nim jak kot z myszką”. Pomimo zmęczenia czuł się silny, młody, prawie szczęśliwy. Teraz tylko objąć tego kochanego staruszka, przycisnąć go do serca: „Stary, mogę cię uradować. Masz ze mnie pociechę”.

W drzwiach baraku natknął się na chłopca, z którym rozmawiał dziś rano. Chłopiec schwycił go za rękę i Kominek musiał się zatrzymać.

– Wsolił mu pan? – spytał żarliwie chłopiec.

Kominek obejrzał się. Nie, nikt nie mógł słyszeć. Gdzie Węźlak? Nie widać go.

– Tak – powiedział z dumą chłopcu. – Pokazałem mu, gdzie raki zimują.

– Pan go uderzył?

– Trzy razy był na deskach.

Chłopiec zaniemówił z przejęcia.

– Ja... Dziękuję panu, panie Kominek.

Bokser, uśmiechnięty, wzruszony, podszedł do swojej pryczy. Miejsce Węźlaka było puste. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co to znaczy, potem domyślił się: wzięli go do szpitala. Ale kiedy odwrócił się, zobaczył wpatrzony w siebie ogromne oczy chłopca. I tyle w nich było smutku, tyle tragicznego milczenia, że ogarnął go niepokój.

– Węźlak w szpitalu? – spytał niepewnie.

– Nie.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Wiem. Zabili go.

Kominek przyskoczył do niego.

– Tyś to widział?

– Widziałem. Przez te czyraki. Nie mogłem ustać na apelu. Zastrzelili go.

Siły opuściły Janusza. Usiadł na dolnej pryczy. Ktoś warknął: „Uważaj pan na moje nogi”. Kominek nie słyszał. Zwiesił głowę. Czuł olów w barkach. Och, naharował się dziś. A stary nigdy go w takiej walce nie widział, nigdy.

Chłopiec nie odrywał od niego oczu. Kominek podniósł głowę i szepnął:

– Wiesz, ja go mogłem zmasakrować, tego całego Krafta. Bawiłem się nim jak kot z myszą. Węźlak by się ucieszył. On mi kładł rozum do głowy, wiesz?

Przypomniał sobie, że Kraft powiedział, że się nim „zajęli”. Holder się nawet uśmiechnął.

I Kraft też, Kraft też się uśmiechnął!

„Zabiję go! Zmasakruję przy pierwszej okazji!” Obsypie go gradem ciosów, zmiotosi mu tę cacaną gębę, rozkrwawi, rozkrwawi, roz... Bić! Bić. A potem – wszystko jedno! Jak długo można to znosić? Ten dym, smród, ten chichot nad człowiekiem, nad sercem, myślą, uczuciem! Bić! Bić! Dlaczego czekać na okazję? Jutro! Im prędzej, tym lepiej. Póki gniew – ostatnie ludzkie uczucie – rozszarpuje pierś! Jutro! Zmusi go do walki, tego podłego tchórza.

Kominek wstał.

– Idę spać – powiedział do chłopca. – Muszę się porządnie wyspać.

Wszedł na pryczę. Ale chłopiec wciąż stał.

– Czego? – szarpnął się Kominek.

– Ja chciałbym tutaj leżeć. Na miejscu Wężlaka.

Nie, nie zostaliśmy wyprani z wszystkich uczuć. Coś się tam jeszcze kołacze pod skórą.

Wzruszenie potrafi jeszcze ścisnąć gardło, zwilżyć oczy.

– Dobrze. – Dlaczego głos miał taki twardy? – Gramol się.

Deski pryczy zatrzeszczały.

– I ani słowa – dodał jeszcze Kominek. – Ja muszę spać.

I spał rzeczywiście. Kiedy z rana się obudził, to go najbardziej zdumiało: spał całą noc! Prycze obok niego opustoszały, było już grubo po apelu, karki gięły się już w niewolniczej robocie, pochylały pod ciosami obelg. On leżał tu sam – wypoczęty, świeży, wyspany – jakby żadna zhora go nie trapiła, jakby nie było tamtej śmierci. Prawda, że miał w kościach dziesięć rund walki. Ale spał nie z tego powodu, ale dlatego, że sobie powiedział, że musi spać.

Zeskoczył na ziemię. Wyprostował się z przysiadu, jakby go wyrzuciła w powietrze sprężyna. A więc czuje się nie najgorzej po wczorajszej młócce i jeśli tylko uda mu się sprowokować Krafta do walki, to zemści się na jego bandyckiej gębie. Wystarczą mu na to trzy rundy. Ułożył już sobie, w jaki sposób zmusi go do walki. Byle Kraft się zgodził.

Do baraku treningowego wszedł z kamiennym wyrazem twarzy.

– Serwus, Willi, będę trenował – oświadczył pucybutowi.

– Aha, mistrz przyszedł. Szczęniaku, ile razy będę ci powtarzał, żebyś mówił „panie Willi”? Zapominasz, że masz do czynienia z wyższą rasą. Jakim prawem wczoraj niższa rasa sprząła wyższej gębę? Hamuj się, bo piec dymi! Coś taki milczący? Nie możesz przeboleć, żeś go trafił?

– Jak się czuje komendant?

– O, jest dość zadowolony. Uważa, że wygrał po stoczeniu zacieklej, męskiej walki. W takiej formie może zarobić mnóstwo marek.

– Willi – szepnął Kominek – chciałbym z nim dziś sparować.

– Nie wiem, czy zechce. Jest trochę zmęczony.

– Powiedz mu, że ja trenuję. Tylko tyle.

– Dobrze, zrobi się.

– I szepnij lekarzom, żeby przyszli.

– Dobrze, ale po co?

Kominek przez chwilę się wahał. Wreszcie postanowił: nie, nie powie! Wzruszył obojętnie ramionami.

– Po takim ciężkim meczu dobrze jest na drugi dzień posparować kilka rund. Dla rozruszania kości.

– A tak, możliwe – potwierdził obojętnie Willi i zniknął.

Kominek rozpoczął trening. Gimnastyka, skakanka, walka z cieniem. Co chwila przerywał, nasłuchując: Idzie? Jeszcze nie. Nagle kroki. On! Stoi w drzwiach. Zabójco! „Zająłeś

się” Węzlakiem! Czekaj, ja się tobą zajmę!

Stał naprzeciw Krafta blady, spokojny na zewnątrz. Pięści krzyczały.

– Trenujesz? – spytał miękkim barytonem Kraft. Spoza jego pleców wyrzała Helga.

– Tak, panie komendancie. – W skroniach zapulsowało boleśnie. – Uważam, że to rzecz pożyteczna rozruszać sobie po wczorajszej walce kości.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście, panie komendancie. Czy nie ma pan ochoty posparować?

Chwila wyczekiwania. Potem:

– Prawdę mówiąc – nie.

– Komu by się chciało – rzekł wesoło Kominek. – Ale miałem trenera, on już nie żyje („tyś go zabił! twój podły obóz!”), otóż ten trener twierdził, że po ciężkiej walce nie wolno nazajutrz rzucać rękawic. Trzy rundy nigdy nie zaszkodzą, panie komendancie.

– Co o tym sądzisz, Helga? – spytał Kraft. – Jest w tym jakaś racja. Zdaje się, że sercu należy dać pewną porcję pracy.

– Trzy rundy – wtrąca szybko Kominek – to nie byłoby za dużo.

Kraft uśmiechnął się.

– Za dużo, Kominek. Nie należy przesadzać.

– Dwie! – wypalił Polak.

– Dwie? Aleś gorliwy. Masz ochotę zostać mistrzem świata? Wystarczy jedna runda, Kominek.

„Jedna runda! Podczas tej rundy – jednej rundy! – moje pięści powiedzą ci wszystko, co o tobie myślę”. O, i lekarze są. Znakomicie, mamy więc publiczność.

Zbliżył się Willi.

– Spokojny jesteś, Janos?

– Jak głąz.

– Kolana ci drżą – zauważył Willi cicho.

Kominek zrobił przysiad. Raz, drugi. Zaciśnął wargi do krwi. Spokój! Spokój! Gorączka jest niepotrzebna. Niepotrzebny nawet gniew. Wystarczy sama sztuka bokserska. Oko i pięść.

Kraft zjawił się gotowy do walki. Powiedział, kłaniając się wytwornie lekarzom:

– Panowie, tylko jedna runda. Serce musi przetoczyć pewną porcję krwi. Wy się zresztą na tym lepiej rozumiecie.

Lekarz-sędzia skinął głową. Tak, słusznie. Zakomenderował:

– A więc – uwaga!

Spojrzał na zegarek, wyczekał kilka sekund i uderzył w gong. Przez chwilę w powietrzu wisiał lśniący dźwięk mosiądzu.

Kraft ruszył jak zwykle do przodu. Próbował dosięgnąć lewą ręką twarzy Kominka, ale odepchnięty do tyłu, poleciał na ścianę. Zanim zdołał przyjąć postawę obronną, dwa ciosy Kominka spadły na jego szczękę. Zdołał zanurkować pod pięścią Polaka. Kominek zrobił błyskawiczny zwrot: znów go dopadł. Przez chwilę okładali się pięściami z półdystansu. Ale Polak bił jak opętany. Nigdy go jeszcze takim nie widziano. Znów jego lewa odrzuciła komendanta. Poszedł natychmiast za ciosem. Krótki prawy hak zakołysał Kraftem. Lewy sierp – ciężki, huczący – wybuchnął na policzku komendanta. Niemiec zwinął się i upadł.

Kominek odskoczył. Z napięciem przypatrywał się raczkującemu Kraftowi. „Niech wstanie, niech się podniesie, niech walczy. Chcę go jeszcze bić, chcę go jeszcze dosięgnąć”.

Wstał.

Kominek omal nie krzyknął. Dwa ciosy natrafiły na staranny blok mistrza. Kraft zaczął uważniej się bronić. Stosował uniki, wypuszczał kontry. Och, stary lis! Widzowie przyglądali się

młócce z zapartym tchem. Czegoś takiego jeszcze tu nie było. Ten Polak szaleje! Coś mu się stało! Cokolwiek się stało – jest lepszy od Krafta. Prawdziwy mistrz!

Helga ścisnęła kurczowo za rękę jednego z lekarzy.

– On go zabije... Przerwijcie mecz...

– Kto kogo zabije? – spytał lekarz. – Tego Polaka czeka piec.

Nie pomogły uniki – Kominek bił. Przypierał Krafta do ściany i tu walił w niego seriami. Kraft miał twarz zmasakrowaną; pod oczami wyskoczyły puchliny, policzek był rozcięty, nos krwawił.

Znów upadł na deski.

Sędzia przyskoczył do niego.

– Przerwywamy walkę?

Kraft klęczał i patrzył na niego nieprzytomnie.

– Widzi mnie pan? – spytał sędzia.

– Ja, ja... widzę...

– Przerwywamy walkę?

Kraft zrozumiał. A więc ma przegrać przez nokaut? Zerwał się i stanął w pozycji obronnej.

– Nie! – wyrzucił z siebie. – Runda nie skończona. – I nagle krzyknął na lekarza: – To jest sport, doktorze! Sport!

Sport! Posyłać ludzi do pieca to dla ciebie też – sport! Kominek zbliżył się do Krafta. Chciał mu coś powiedzieć – krzyknąć, dlaczego go tak bije, niech wie, niech zrozumie, ale jego pięść była szybsza od myśli. Kraft nastawił rękawicę. Zwód ciała Kominka nastąpił prawie automatycznie. Kontra Krafta przeszła powietrze właśnie wówczas, gdy na jego szczęce wylądował cios z prawej. Drugi już groził z lewej. Kraft nie mógł się powstrzymać przed odruchem samoobrony: zakrył twarz. Zanim zdołał krzyknąć, było już za późno: potężny cios w żołądek przełamał go na pół. Padał czepiając się rozcapierzonymi palcami nieistniejących lin. Nie tracił przytomności. Leżał, nie mogąc złapać tchu, postępując.

Sędzia wyliczył go – nie bez zadowolenia, jak się wydawało Kominkowi – chłodno, rzeczowo wymawiając liczby. Potem oznajmił:

– Nokaut nastąpił po dwóch minutach dwudziestu sekundach walki.

Teraz dopiero Kominek zrozumiał, co się stało. To, że był najlepszym bokserem Europy, a może i świata, nie miało w tej chwili znaczenia. Jedyna myśl, która go zaprzętała, sprowadzała się do pytania „co dalej?”.

Co dalej? Zginie. Wszyscy tu giną. On jeden ginie – walcząc.

Chciał, żeby ta myśl dała mu pociechę. Ale nie dawała. Wygrał przecież – powinien żyć! Chwilami zaczynał żałować tego, co się stało. Czy nie lepiej byłoby leżeć tu na deskach, a potem widzieć zadowoloną minę Krafta? *Ja, ja, Mensch, gut, sehr gut* – mówiłby ten łotr, zadowolony ze zwycięstwa. Kominek poszedłby do baraku, do starego Węzłaka. „Wie pan, znów go zaczarowałem” – pochwaliby się przed Węzłakiem... Ale Węzłak nie żyje. Zabili go, bo nie potrafił ustać na bacność podczas apelu.

Kraft siedział na krześle, wracał powoli do siebie. Jeden z lekarzy masował mu brzuch. Kraft mruczał:

– Cios był za niski... To podłósć... Dziękuję – powiedział, wstając.

Odszukał wzrokiem Kominka. Polak stał już bez rękawic, patrzył na niego wyczekująco. Kraft podszedł i spoliczkował go. Kominek nie ruszył się z miejsca.

– Ty świniou! – ryknął Kraft. – Nauczę cię walczyć prawidłowo! Ty wszo obozowa! Uratowałem cię od śmierci! Bijesz poniżej pasa! Chcesz wygrać ze mną faulami?

Kominek zacisnął pięści. Teraz uderzyć mu nie wolno – walka skończona. Jest znów więźniem, a tamten komendantem. Ale walka była – przed chwilą jeszcze była. „Zginę, ale mu to przypomnę!”

– Cios był prawidłowy – powiedział drżącym głosem Kominek.

– Milczeć!

– Cios był prawidłowy.

Wszyscy oczekiwali następnego policzka. Nie nastąpił. Kraft odwrócił się i powiedział:

– Kapitanie Holder!

– Na rozkaz.

– Zwracam panu więźnia. To bandyta. Nie mogę korzystać z jego usług.

Holder trzasnął obcasami. Był podwójnie zadowolony: i że major oberwał lanie, i że on sam miał rację, twierdząc, że z więźniami nie wolno się cackać.

– Za mną marsz! – usłyszał Janusz.

Po raz drugi już słyszał owo „za mną marsz”. Wtedy oznaczało ono: życie. Teraz: śmierć. Zawsze oznaczało to samo: nie należysz do siebie. Podniósł dumnie głowę. „Niech to diabli! Wlałem mu nieźle. Zdeptałem go. Czy muszę umrzeć? Nie, nie, nie wolno im nic dostrzec na mojej twarzy”. Przeszedł spokojnie obok lekarzy, Helgi, Willego. Chciał coś powiedzieć Willemu, ale nie mógł wykrztusić słowa, przełknął tylko ślinę. Wymienili spojrzenia. Willi uśmiechnął się żałośnie – a więc skończone, stary, idziesz do pieca, *auf Wiedersehen*, mów mi „panie Willi”. Wyszedł, Holder za nim. Trzasnęły drzwi.

Lekarze milczeli.

Kraft powiedział półgębkiem:

– Łajdak... Chciał wygrać faulem. Nie ma dla niego miejsca wśród żywych!

Helga dodała:

– Naturalnie, Walt, on należy do Holdera. Niech Holder robi z nim, co uważa za stosowne.

Willi roześmiał się sucho.

– Pani wie dobrze, co Holder uważa za stosowne.

Helga:

– To nie nasza sprawa.

Lekarz, który sędziował, zauważył:

– Wydawało mi się, że cios był prawidłowy. Widocznie się omyliłem. Ale, panie Kraft (to „panie Kraft” było dla wszystkich niespodzianką: sprowadzało całą sprawę do wymiarów cywilnych; jak gdyby nie istniał żaden obóz, tylko trzej panowie doktorzy i pan Kraft), ludzie powiedzą, że wydał pan więźnia na śmierć dlatego, że pan z nim przegrał. W ciągu tej rundy był pan kilkakrotnie na deskach.

– To się zdarza – odparł, wzruszając ramionami Kraft. – Wygrywałem takie walki.

Lekarz-żartowniś roześmiał się:

– Naturalnie, że go się pan boi. Bił w pana jak w bęben!

– Tak pan sądzi? – spytał Kraft przeciągle.

Trzeci lekarz podał mu lusterko.

– Niech pan spojrzy, panie komendancie. Radzę nie pokazywać się w ciągu kilku dni więźniom. Te sińce muszą zniknąć.

Lekarz-żartowniś używał sobie na całego:

– Posłał go pan na śmierć, bo pana zbił. Jest lepszy, mistrzu, szkoda gadać. Zresztą to dobry pomysł. Doktor Worm zabrał mi jednego z najbogatszych pacjentów: czy nie mógłby go pan ściągnąć tu, do obozu? Nie powiem, żeby to było pociągnięcie sportowe, ale za to



praktyczne.

- Zwróciłem go tylko Holderowi.
- Naturalnie, Holder go wyczuł i wypieści.

Kraft czuł się jak osaczony zwierz. Poza tym dokuczały mu cięgi, które oberwał od Polaka. To, że miał pobitą twarz, poniżało go we własnych oczach. Usiadł skulony na ławie. Jego źrenice biegały niespokojnie. Wysłuchał bez sprzeciwu zdania sędziego:

- Chodzi o pański autorytet, panie Kraft. Holder to roztrąbi na cały obóz.
- Ja też – powiedział nagle trzeci lekarz. – Nie powinien go pan zabijać.
- Nie zabijam go – bronił się Kraft.
- Ależ tak, zabija go pan, to oczywiste.

– Chodzi o pański autorytet – powtórzył lekarz, który sędziował. – Pani jest też tego zdania, Helgo?

Ta idiotka zdobyła się chociaż raz na niegłupie sformułowanie:

- Myślę, Walt, że możesz być wobec niego wspaniałomyślny.

Kraft dźwignął się z ławki. Pomacał dłonią spuchnięte policzki. Zbliżył się do Willego.

- Willi – szepnął – sprowadź natychmiast Kominka. Z Holderem. Do mojego gabinetu. –

Zwrócił się do lekarzy: – Dziękuję panom.

I wyszedł. A Willi pomknął szukać Kominka. Przy komorze gazowej go nie było. Jeszcze nie było. Gdzie Holder? U siebie!

Kominek siedział na ziemi przed barakiem – wysoki, potężny, z pochyloną głową.

Przyglądał się, nie wiedzieć czemu, szarej jak popiół ziemi. Obok stał esesman.

- Janos – szepnął Willi.

Kominek uniósł leniwie głowę. Esesman poruszył się niespokojnie.

- Czego chcesz? – zwrócił się do Willego. Ordynansa uderzył jego piskliwy, kobiecy

głos.

- Kapitana Holdera!

Wyszedł Holder. Kiedy dowiedział się, że ma wracać razem z Kominkiem, zaczął kłąć.

Gówniarza postawili na czele obozu – i oto skutki. Dziesięć razy każdą decyzję odwoła. Bokser! Dostał lanie od tego zawszonego Polaka, wstyd. Chodźmy.

Major siedział w gabinecie za biurkiem – w eleganckim mundurze, gładko uczesany, dostojny. Ale na policzku miał plaster, oczy zaś zagubiły się między opuchlinami, to psuło wygląd. Na widok Kominka Kraft odwrócił nieco twarz bokiem i powiedział:

- Aha, jesteście! Tam w kącie są łachy, włóż je. Szybko!

„Coś się stało – zrozumiał Janusz – ale co?” Willi pociągnął go do kąta. Szybko, szybko.

Komendant każe – trzeba słuchać.

Stanął przed Kraftem przebrany w zwykłe ubranie – takie, jakie noszą ludzie spoza drutów. Kraft zmierzył go spojrzeniem. Przesunął doń przez biurko papiery.

- Bierz!

Wziął.

– Nazywasz się Lipiński – wycedził Kraft. – Antoni Lipiński. Rozumiesz? Przyszedł rozkaz zwolnienia Lipińskiego, miał być zwolniony, ale on już dawno... – Kraft rozłożył ręce – fiut! nie ma go... *Verstanden?*

- Tak jest.

– Ty jesteś Lipiński. Jest za pięć jedenasta. O jedenastej kapitan Holder przeprowadzi cię przez bramę obozu. (A więc wolny! wolny!) O trzynastej ogłaszamy alarm: uciekł Janusz Kominek. *Verstanden?* Ale ty jesteś już Lipiński.

- Rozumiem. („Wolność! Coś się stało, coś dobrego – wszystko jedno co. Ale coś, co

pozwała żądać, stawiać warunki”). Ilu za mnie pójdzie do pieca?

– Głupcze! Co cię to obchodzi? Bierz wolność, kiedy ci dają.

– Ilu pójdzie do pieca? Chcę fair-play, panie komendancie.

– Ach, sport... – Kraft uśmiechnął się cierpko. – A więc nikt nie pójdzie. Nikt. – Zajrzał

Polakowi w oczy. – Ale ten cios nie był prawidłowy...

W tej chwili komendant wydał się niemal sympatyczny. Kominek schylił lekko głowę.

– Ja też tak myślę, że ten cios był za niski – powiedział cicho.

Kraft zamyślił się, chciał coś powiedzieć.

Nagle zmarszczył się i z ust wystrzeliła mu komenda:

– Odmaszerować!

Kominek szedł, za nim Holder. Zostawiał za sobą obóz, błoto, kłującą szarość powietrza, gaz i dym, snujących się więźniów, rozwarte oczy chłopca, krzyki bitych, chropawy szept Węzlaka. Przyśpieszył kroku. Uciekał. Przeszedł bez słowa bramę obozu, nie spojrzął na wartowników, nie obejrzał się ani razu za siebie. Jeśli Holder zechce go zastrzelić – niech strzela.

Zapachniały wrzosy, pomieszały się z oddalającym się mdłym zapachem dymu. Nogi stąpały już po trawie, nad głową chwiały się sosny. Napłynął zapach igliwia, żywicy, rozdeptanych grzybów. Szedł po ścieżce leśnej usłanej zeszlými szpilkami sosen i każde stąpięcie sprawiało mu rozkosz.

W dwie godziny później, gdy siedział w ciemnej knajpie nad kuflem piwa, uszu jego dobiegły dalekie dźwięki syren i poszczekiwanie psów.

– Oho – usłyszał głos bufetowego. – Alarm w obozie. Ktoś uciekł. Jeden uciekł, czterdziestu pójdzie do pieca.

Pomyślał wówczas o obietnicy Krafta. Czy jej dotrzyma?

## Cud z chlebem

W Krakowie pluton łączności podporucznika Nagraby rozlokował się w kamienicy przy ulicy Łobzowskiej. Dom był solidny, wygodny, z kamiennymi schodami, lśnił mosiądzem i chromoniklem. Ale nie było czasu na zachwyty. Od razu zaczęła się ta sama krzątanina, która towarzyszyła oddziałowi od szeregu wieczorów podczas każdorazowej zmiany postoju. Spora część żołnierzy udała się z plutonowym Leskim do sztabu na Józefitów zakładać sieć łączności. Dwóch powędrowało z bidonem po grochówkę. Pozostali znieśli łóżka do piwnicy, rozpostarli na posadzkach sienniki, materace i płaszcze i zaczęli rozglądać się za drzewem. Wreszcie zdecydowali rozłupać podwórzowy trzepak i kilka ciężkich krzesel.

Kierował tym wszystkim Marcin – zaufany Nagraby, młody dryblas o cynicznym wejrzeniu. Z turzych jego ramion wystawała szyja zaskakująco chuda, a na niej chwiała się jasna głowa też nieproporcjonalnie mała, z charakterystycznie cofniętym podbródkiem. Marcin wydawał swoje polecenia spokojnym głosem, z lekką ironicznym, przechodzącym chwilami w drwinę. Nie miały te jego komendy nic wspólnego z manierą wojskową. Żołnierze mówili, że taki z niego wojskowy jak z pietruszki gwóźdz.

Sam Nagraba gdzieś się zapodział. Może poszedł zameldować się do dowódcy łączności, a może polazł do tej Rosjanki, z którą zaprzyjaźnił się w Tarnowie. Kiedy wrócił, żołnierze już spali. Leski chrapał najgłośniej, czuwał jedynie dyżurny, a także – nie wiadomo dlaczego – Marcin.

Nagraba stał w ciemnym przedpokoju i wycierał buty z błota. Rzucił szmatę do kąta i odpowiedział na nieme pytanie Marcina:

– Oglądałem Kraków. Jest na co popatrzeć.

Marcin pochylił się nad nim.

– Właśnie, mój drogi. Widło załatwił się do bidetu. Cywilizacja zastaje naszych chłopców w stanie absolutnego nieuświadomienia. Trzeba wzmocnić szkolenie ideologiczne. Granice nad Odrą i Nysą a toalety w Krakowie.

– Piłeś? – spytał Nagraba owiany oddechem kolegi.

– Poczęstowali. Chciałem odmówić, ale względy polityczne przeważały. Dobrą wódę mają burżuje! Hańba im!

Nagraba uśmiechnął się.

– Ty jak zwykle... Oglądałem Kraków, wiesz?

– Miałem zaszczyt słyszeć.

– W dzieciństwie podziwiałem to na fotografiach. Wawel, kościół Mariacki, no wiesz...

– Zjesz coś? – spytał Marcin.

– Nie. Mnie też częstowano.

Porucznik otworzył drzwi do pokoju. W gęstym powietrzu zgrzytały oddechy śpiących żołnierzy. Nagraba zwalił się na pierwsze z brzegu krzesło.

– To nie wygląda brzydziej niż na obrazkach – powiedział cicho. – Naprawdę. I w tych starych murach głosić coś nowego. Tu wszystko tak narosło... Łatwo coś rozdeptać.

– Tak jest, obywatelu por... A także ośmieszyć się. O to też nietrudno. Ale... są ważniejsze sprawy.

Marcin wyciągnął Nagrabę z powrotem do przedpokoju. Tutaj, w ciemności, szepnął tajemniczo:

– Dziwa...

– Co?

– Tss. Kobita. Taka! – Wskazał na sąsiednie drzwi. – Tam. – Nagraba zaświecił zapałkę. Na przeciwległych drzwiach wisiała kartka z napisem: „Kwatera zajęta przez Polską Armię Ludową”.

– Co to za zwierz?

– Nie wiem. Jakiś kant... Ale za to dziewczyna – cud! Daje chyba, bo niby dlaczego nie miałyby dawać? Nazywa się Ludwika Gałęzowska. Mieszka z jakimś zbutwiałym babskiem, do której mówi „pani majorowo”. Opowiadałem jej o tobie, zaprosiła nas na radio. Chodź, posłuchamy Londynu.

Nagraba wydawał się zakłopotany.

– Idź sam – powiedział. – Ja ten twój Londyn... A na majorową chęci nie mam.

– Jaką majorową? Ją podłap, Stefanku. Bo ja tylko dla zwierchności się staram. Zanim polegnę dla sprawy ludu, chcę mieć świadomość, że zwierchność rozkoszy cielesnej zażyje. Ja u niej, Stefan, żadnych szans nie mam. Patrzy na moją zdegenerowaną gębę jak przez szkło. Za to ty! Proletariusz! Robotnicza krew! Czarny jak Cygan! To coś dla niej. Wstrząs psychiczny. Perwersja. Tajemnica przenikania ras, czyli rozkosz w kratkę.

Marcin zapukał. Za drzwiami ktoś z hałasem przesunął krzesło.

– To my, pani Ludwiko – powiedział cicho Marcin.

Dziewczyna, która otworzyła im drzwi, była rzeczywiście piękna.

Miała twarz podłużną, rysy delikatne. Ostrzyżona była krótko, po wojskowemu, i wcale to nie kolidowało z jej fioletowymi oczyma o jedwabistym połysku – przeciwnie, wydawało się, że dziewczyna odgrywa z humorem, może trochę wyzywającym, jakąś zabawną rolę. Tym bardziej że i ubrana była po wojskowemu: bluza i spodnie.

Nagraba przyglądał jej się z niezbyt mądrą miną. Nigdy z taką nie rozmawiał! Tylko w puchu i ciepłe może dojrzeć coś tak subtelnego.

Na stole leżała kabura z pistoletem. Nagraba spytał:

– Umie się pani z tym obchodzić?

Majorowa, która wcale nie była jeszcze takim zbutwiałym babskiem, wykrzyknęła z zapalem:

– Ludka? Szkoda, że jej pan nie widział w powstaniu! Obsługiwała karabin maszynowy. Teraz ten przekłety Marcin:

– Oto przyczynek do naszych tragicznych dziejów... Pani Ludwiko! Zbliża się uroczysta chwila. Chciałbym pani polecić mego dowódcę. Zanim polegnę, zasłaniając go przed śmiertelną kulą mym zgniłym ciałem krwiopijcy, chciałbym mieć pewność, że znajdą się takie czułe ręce, które otoczą go ciepłem. Zaznaczam, że nie jest to bynajmniej człowiek z towarzystwa. Zwykły robotnik! Cham bez okrziesania. I do tego kryminalista. Siedział w więzieniu, podczas gdy pani ojciec ssał jego krew. Jest mściwy, jak Dżyngis-chan. Chce u nas zaprowadzić krwawy reżym bolszewicki. Ale nade wszystko spragniony jest kobiet. Kiedy dopadnie której, bije ją tymi samymi kajdankami, którymi ongiś dzwonił w celi, a następnie doprowadza do tego, że nieszczęsna mdleje w jego potężnych ramionach.

– To bardzo interesujące – powiedziała dziewczyna.

Majorowa wstrząsnęła się.

– Ludka, co ty pleciesz!

– Nie wygląda pan co prawda na Dżyngis-chana. – Nagrabie wydało się, że w słowach dziewczyny brzmi nuta prowokacji. Na jej ustach kołysał się zagadkowy uśmiezek.

– Ach, pani go onieśmiela – wstawił się Marcin.

Nagraba zaczerwienił się. Próbował się tłumaczyć, ale w miarę jak mówił, jego zmieszanie rosło coraz bardziej.

– Ale robotnikiem pan jest? – spytała dziewczyna.  
– Byłem nim. Wszystko jednak tak się układa, że wątpię, czy do tego wrócę.  
– Wrócisz, kochanie, wrócisz – odezwał się Marcin. – O ile my zwyciężymy, rzecz jasna.  
Chociaż, w drodze łaski wezmę cię na stangreta. Panno Ludko, prosimy o Londyn.

Dziewczyna zaśmiała się, a majorowa, trochę przerażona bezceremonialnością Marcina, podeszła do radia.

Z Londynu nadawano piosenkę o dżemie.

Z rana żołnierz je dżem, w południe dżem, wieczorem dżem. Dżem, dżem, dżeeem!  
Marcin zamknął radio.

– Nie wygramy – powiedział melancholijnie. – Stefek, proszę cię, wystaraj mi się o posadę dozorczy w fabryce wódek. Będzie nam się obu dobrze powodziło.

Majorowa rozparła się w fotelu i szepnęła w rozmarzeniu:

– Łobuzy, na dżem narzekają. A tu człowiek skręca się z głodu.

Nagraba zwrócił ku niej gwałtownie głowę. Nie, nie żartowała. Potem przyjrzał się Ludwice. Przylepił się spojrzeniem do jej rozchylonych nakarminowanych warg. Głodna! Wydało mu się to niepojęte. „Takim istotom nie wolno głodować. Nie powinny. A nasze dziewczęta mogły zdychać bez żarcia?” No więc trudno – tamto było, minęło, nie powinno wrócić. Wciąż patrzył na jej wargi.

– Panie naprawdę głodują? – spytał, jakby wciąż jeszcze trudno mu było w to uwierzyć.

Głos Ludki brzmiał kokieteryjnie jak szelest sukni:

– Umieramy z głodu.

Nagraba przez chwilę milczał.

– Co ty na to, Marcinie? – zapytał wreszcie.

– Melduję, że to jest sprawiedliwość dziejowa.

– Dziękuję za taką sprawiedliwość – powiedziała Ludka.

I zapytała Nagrabę, jak to było w Rosji. Bo oni, Nagraba musi wiedzieć, nie są organizacją prawicową, tylko „armią ludową”. Z dodatkiem, że „polska”. A czy Nagraba czytał *Potop*? To napisał jej dziadek. Tak, Henryk Sienkiewicz to jej dziadek. Przemiły! To znaczy, przepraszam, ona wie, co porucznik chce powiedzieć: że ona nie mogła znać Sienkiewicza; rzecz jasna, że nie, mama jej opowiadała. Tę kameę mama dostała właśnie od Sienkiewicza. Ludwika mieszkała z rodzicami w cichym, białym dworku. Dokoła te... aha, cisy. Na ścianach zbroje, portrety dygnitarzy jagiellońskich. Jakichś tam hetmanów, podkomorznych. Wieczorami często odbywały się zabawy. „Wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny”. Zupełnie tak samo. Boże, jakie pan ma czarne włosy! Istny Cygan. A ręce? Niech no pan pokaże ręce. Rzeczywiście: spracowane. Ale szkoda, że mnie pan nie widział podczas powstania. Dookoła piekło, a ja – tratatata. Jak przyjechaliśmy do Krakowa, to krakusy drapnęli do Zakopanego. Bali się, żeby warszawiacy nie zrobili im powstania. W naszej rodzinie było zawsze pełno powstańców.

Wyglądała prześlicznie, kiedy tak sobie beztrudno plotła. Wnuczka Sienkiewicza! Nagrabę znów zaczęło ogarniać onieśmienie. Ale oczu z niej nie spuszczał. Tak się różniła od tych wszystkich kobiet, z którymi dotąd miał przygodnie do czynienia!

Z zamyślenia wyrwało go niespodziewane pytanie:

– Czy głodował pan kiedyś?

– Oczywiście!

Wydawała się zdumiona tym „oczywiście”. Majorowa westchnęła:

– Mój Boże! – I dodała: – To pan nas rozumie.

Skinął głową. Rozumie. Ogarnął Ludwikę ciepłym spojrzeniem.

– Proszę się nie bać. Nie pozwolimy ludziom głodować.

A pomyślał: „Nie chcę, żebyś ty głodowała”.

Marcin podniósł się.

– Obywatel Morfeusz nas wzywa. Czy nie miałyby panie kąta dla porucznika? Przespałby się na kanapce.

– Daj spokój – mitygował go Nagraba.

– Bo u nas tam chłop na chłopie – ciągnął Marcin.

Ludwika zgodziła się.

– Ależ tak, na kanapce można. – I dodała: – Mam nadzieję, że nie będzie nas pan gwałcił.

Nagraba wydusił z siebie:

– Za to nie ręczę. – Przez chwilę gryzł wargi. Nocować czy nie nocować? Czy naprawdę ona miała ochotę – z nim? Przypomniał sobie swoją nie pierwszej czystości koszulę, wojskowe kalessony podarte na kolanie i zrobiło mu się gorąco. Powziął decyzję. – Proszę nie kłaść pistoletu pod poduszkę. Nie będę paniom przeszkadzał. Dobranoc.

Ludwika odprowadziła ich do drzwi. Jej oczy były szeroko rozwarte, kiedy mówiła do Nagraby na pożegnanie:

– Prosimy o nas nie zapominać, panie poruczniku.

Te oczy wydawały mu się przesłonięte jakby mgłą, a równocześnie, niepojętym sposobem, przenikały w głąb. Nigdy jeszcze nie spotkał się z czymś podobnym. Kobięce oczy! Potrafią wyczytnąć z nami niesamowite rzeczy.

Poszli na piętro, gdzie Marcin przygotował był nocleg. W niewielkim pokoiku znajdowało się łóżko i skórzana kanapa. Marcin, który nigdy nie zapominał o zachowaniu pewnych pozorów, położył się na kanapie. Nagraba wiercił się na łóżku.

– Międko, psiakrew! – narzekał. – Głowa ulatuje mi gdzieś w przepaść. Chyba rzucę tę poduszkę do stu diabłów.

Marcin zaśmiał się. Po chwili w ciemności rozległ się jego szyderczy głos:

– Musieli ją w powstaniu porządnie wytarosić. Dla niektórych było wtedy używanie, jak nigdy. Ciężki frajer z ciebie, Stefanku. Jak mówiła, że można spać – to znaczy, że się zgadzała. Przyszłaby na twoją kanapę, szkoda gadać.

– Nie przyszłaby.

– Dlaczego?

Nagraba nie odpowiedział. Marcin gadał jak najęty:

– Niezła z niej mitomanka. Wnuczka Sienkiewicza! Znam całą rodzinę Sienkiewiczów i zaręczam ci, że to wszystko jest wyssane z palca. A ci hetmani na ścianach! Mój drogi, przecież ona wcale nie jest z tych Gałęzowskich. Żadnego dworku nigdy nie miała. Jest warszawską mieszczańeczką. Prawdopodobnie córka jakiegoś adwokacyny. Niepojęte, czego też ludzie w dzisiejszych czasach nie wymyślą. Jedni chlipią nad losem swoich rzekomo bezrobotnych rodziców, drudzy wymyślają sobie landlordów.

– Jest piękna – szepnął Nagraba.

– Tak, obserwowałem, jak cię kokietowała. Stare, ograne chwyt, którymi posługują się tylko siedemnastoletnie gimnazistki. Jak wystawiła na ciebie te swoje wymowne oczęta, myślałem, że zdechnę ze śmiechu.

Nagraba szarpnął się.

– Zamknij mordę. Nie wszystko nadaje się do oplucia. – Zauważył spokojniej: – Sam uprzedziłeś mnie, że jest piękna.

– Owszem. Na jedną noc! Ale mowy nie było o jakichś romantycznych wzdychaniach. I to ma być proletariusz?

– Odczep się... Jest głodna.

– To ją nakarm. Ja śpię.

Marcin rzeczywiście zaraz zasnął. Szczęśliwe usposobienie! Bezsensowność, wraz z władzą, przeszła od nich do nas. A może to ta cholernie miękka poduszka? Jej oczy. Wawel. Jest głodna. Jeśli nawet nie pochodzi z tych Gałęzowskich – Marcin chyba wie – to i tak jest piękną, wyhodowaną w ciepłe orchideę. Kościół Mariacki. Renesans. Silna formacja kulturalna. Łatwo się ośmieszyć. A przede wszystkim – nie wolno nam niczego zdeptać. Jej oczy patrzyły na niego tak ufnie... Ufnie? Chwilami omdlewająco. A może przenikliwie. Albo drwiąco. Sam nie wiem. Podobno każda gimnazystka tak umie. No i cóż – głodna to ona jest naprawdę. Któż wie lepiej od nas, co to jest głód?

Mógłby im oddać część swojej porcji chleba. Chociaż kiedy człowiek głoduje, potrafiłby spałaszować trzy takie porcje. Pamięta swoją żarłoczność z najgorszych czasów. Był okropny. Nic, tylko jedzenie – i bunt. Cały był naładowany buntem. Pamięta: nihilistycznym buntem przeciw ludziom, religii, moralności, państwu, idei – wszystkiemu. Nagła myśl: „Czy naprawdę mogłem tej nocy całować jej wargi?”. Przymknął oczy. Gdyby nie ta brudna koszula, miałby ją może w objęciach. Jego ręka na jej nagim biodrze. Strach podpłynął do gardła.

I znowu – myśli o głodzie. Jest głodna, a przecież nie przejawia nic z tamtego buntu. Rozprawiała o Sienkiewiczu, Chopinie, Wyspiańskim. Powiedziała, że ma ochotę wpaść do Żelazowej Woli. Trzeba pamiętać o sercu Chopina. Groby królów... Serce Chopina... Serce Chopina...

Obudziło go szarpnięcie za ramię.

Stał nad nim Marcin i wskazywał na okno.

– Przepraszam za brutalny gest, ale dzień już jasny. Spałeś jak zabity. Leski poszedł z chłopakami na zajęcia. Melduję, że do kasyna chyba nie zdążysz.

Marcin miał rację. Kiedy Nagraba przyszedł do kasyna, w kotłach nie było ani kropli zupy. Ale kelnerka zlitowała się nad nim i zaproponowała:

– Może pan porucznik dostać chleba. A na drugi raz proszę spać po nocy, a nie wyprawiać zakazane rzeczy.

Nagraba zaśmiał się i nagle urwał.

– Pani powiedziała chleba? Ile chleba?

– No, bochenek.

Nagraba porwał chleb i pobiegł z nim z powrotem na kwaterę. Z bijącym sercem, jak smarkacz, stał pod drzwiami, na których wciąż jeszcze wisiała ta irytująca kartka.

Ludwika nie zastał. Była tylko majorowa. Wcale go to nie speszyło. Poczekał chwilę i powiedział uroczyście:

– Przyniosłem chleb. – Położył go na stole. – Myślę, że na razie wystarczy – dodał.

Majorowa skinęła z godnością głową. Wycofując się do drzwi, poprosił:

– Pani powie Ludwice, że ja... To znaczy, przepraszam, chciałem się wyrazić, że chleba wam już nie zabraknie...

– Pan jest bardzo uprzejmy – powiedziała majorowa. Zupełnie jakby coś recytowała.

Za drzwiami stał chwilę bez ruchu. Potem przycisnął głowę do zimnej boazerii przedpokoju i znużony uśmiechnął się do siebie.

Kiedy wieczorem siedział u kobiet z Marcinem, był o wiele bardziej ożywiony niż poprzednim razem. Naturalnie, nie mogły wiedzieć dlaczego. Nie mogły wiedzieć, że ma już na sobie czystą, całą bieliznę.

Ona mówiła o Tetmajerze. Że daleki kuzyn. Bardzo zabawny. Przychodził do nich do domu na kołduny. Ach Boże, zjadłaby chyba wagon kołdunów. Najmilsza śmierć musi być z przedzenia. Zjeść misę jajecznicę i umrzeć!

Nagraba spytał:

– Czy chleb smakował?

– Chleb? Zaraz przypomnę sobie. – Zrobiła zamyśloną minkę. – Smakował.

– To wojskowy – zachwalił Nagraba.

Marcin nie rezygnował z roli rajfura.

– A więc porucznik powinien dostać całusa.

Ludwika roześmiała się.

– Zgoda. We włosy.

Potargala mu włosy i pocałowała powyżej ucha. Potem zajrzała mu w oczy.

– Dlaczego pan zbladł? – spytała z wyrzutem. – To jest raczej okazja do zaczerwienienia się.

Czuł, że rzeczywiście zbladł i że ciarki przebiegają mu pod skórą, jak przed atakiem malarii.

Ona rzuciła się rozmarzona na kanapkę.

– Jezus Maria, jajecznicy!

Śmiać mu się z niej chciało. Była przemiła, nawet wzruszająca.

– Umrę z głodu – narzekała.

A na pożegnanie znów go obdarzyła tym przeciągłym spojrzeniem.

– Gdyby pan miał trudności z noclegiem, to kanapka czeka. Pistolet pod poduszką też.

Nazajutrz wstał wcześniej. Wyprawił żołnierzy na zajęcia. Potem zagadnął Marcina:

– Która u ciebie?

Marcin wręczył mu niezły ręczny zegarek.

– Za piętnaście dziewiąta. Masz i nie spóźniaj się.

Nagraba wyszedł na ulicę i spacerował po Plantach. Piętnaście po dziewiątej zjawił się w kasynie. Kelnerka przywitała go jak starego znajomego:

– Znów ten spóźnialski. Zupa zjedzona!

– A dostanę chleb?

– Tak dobrze to nie ma. Pół bochenka.

– Dzięki za dobre serce.

Na ulicy poczuł głód. Z rana zawsze mu się chciało jeść. Wczoraj z trudem dotrwał do obiadu. Ostatnio wypiek chleba znacznie się poprawił. Być może, iż mąka jest lepsza. W każdym razie chleb jest teraz dobrze wypieczony, pulchny, pachnący, skórkę ma cieniutką, brązową, lśniąca. Na obiad będzie zupa i mięso. One nie mają nic – tylko ten chleb i w dodatku dziś jest go mniej.

Tym razem zastał także Ludwikę.

– U pana te chleby się mnożą – powiedziała z westchnieniem. – Jak pan to robi? Istny cud.

Język go świerzbił, żeby jej powiedzieć: „Spóźniam się na śniadanie i dają mi chleb, przynoszę go tobie. I jestem szczęśliwy”. Ale wybąkał tylko:

– Gdzie tam mnożą... Dziś dali tylko pół. Ale zawsze, wie pani, dobre i to.

Szef sztabu zmył mu głowę za spóźnienie. Koledzy drażnili: „Przestała ci smakować wojskowa kuchnia, Nagraba? Pewnieś sobie znalazł jakiś ciepły kącik”. On robił dalej swoje. Codziennie spóźniał się na śniadanie i codziennie otrzymywał pół bochenka chleba. Ludwikę rzadko zastawał w domu. Najczęściej otwierała mu drzwi majorowa w różowym szlafroku, czasem jeszcze z papilotami we włosach. Nigdy nie dziękowała za przyniesiony chleb – uważała widocznie, że jej się to należy – czasem tylko mówiła:

– Jaki pan uprzejmy...



Wieczorami bywał tam coraz rzadziej. Zdarzały się o tej porze odprawy, alarmy, niespodziewane zakłócenia w sieci łączności. W każdym razie nie zauważył więcej, żeby dziewczyna go kokietowała. W jej spojrzeniu nie odnajdywał już owego magnetycznego połysku, który tak mu się raz spodobał. Używała szokujących wyrażen ze słownictwa żołnierskiego. Często marzyła na głos o jajecznicy. Twierdziła, że głód ją wkrótce wykończy.

O noclegu na kanapce nigdy już nie było mowy.

W pokoiku na pięterku Marcin szydził z Nagraby:

– Ośmieszyles się w jej oczach z kretesem. Po diabła taskasz jej dzień w dzień chleb jak sztubak kwiaty? Kto widział, żeby zdobywać kobiety chlebem?

– Ja jej nie zdobywam – bronił się Nagraba. – Jest głodna, więc przynoszę jej chleb.

– To już lepiej ją zamorzyć. Niech ona przyjdzie tutaj na pięterko i szuka chleba u nas. A zresztą, czy ona tego od ciebie oczekuje? Miałaś być krwawym bolszewikiem, dostarczycielem nieznanego dreszczu, a jesteś lirycznym Filonem, do tego z bochnem razowca zamiast fleta pastuszego. Z bochnem razowca!

– Odwal się! Mnie ona jest niepotrzebna. Całe to zalecanie się ty sam wymyśliłaś.

Potem Nagraba powiedział cicho:

– Mnie wystarczy, że ona jest.

– Sentymentalizm.

– Nieprawda. Mówię całkiem realnie. Jest, przetrwała – i to mnie cieszy. A że jest głodna, więc przynoszę jej chleb. Proste.

– Właśnie. Aż zanadto.

Ludwika nie było, kiedy Nagraba przyszedł z chlebem nazajutrz po tej rozmowie.

Ostatnio wolał nawet jej nie zastawać. Nie lubił jej obojętności.

Przywitawszy się z nim, majorowa powiedziała jak zwykle:

– Znowu chleb... Pan go naprawdę rozmnaża.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Człowiek głodny mógłby zjeść wołu.

– Wołu? O tak, tak, na pewno – potwierdziła skwapliwie majorowa.

– Czy paniom tego chleba wystarcza?

– Czy wystarcza?

Majorowa patrzyła w bok, jakby nad czymś medytując.

– Pan się pyta, czy wystarcza? – Energicznym krokiem podeszła do kredensu. – Niech pan spojrzysz!

Otworzyła drzwiczki. Półki wewnątrz były całe zavalone chlebem. Chleb na chlebie. Same połówki, jeden cały. Kilka spleśniałych. Ile chleba! Wszystko, co przyniosł.

Patrzył na to osłupiały.

– Ja... nie rozumiem. Panie mówiły, że są głodne.

– No, tak. Jesteśmy. Ale przecież nie mówiłyśmy o chlebie. Jajecznicą, dżem, szynką.

Zresztą ja nie znoszę razowca.

– No dobrze, ale głód...

– Naturalnie! Chciałoby się przecież zjeść coś dobrego.

– Nie wiem... panie mówiły, że są głodne. No więc jak głodne – to chleb...

– Pan rozumie, chciałoby się kawałka szynki.

– Panna Ludwika mówiła, że umiera z głodu.

Majorowa wzruszyła ramionami.

– Pan to wziął dosłownie? Dziwny z pana człowiek. Nie należy wszystkiego brać tak dosłownie.

Próbowała mu to jakoś wytłumaczyć wzmożoną gestykulacją. Wreszcie dała spokój. Powiedziała z rezygnacją w głosie:

– Wy wszyscy jesteście jacyś tacy... dosłowni.

– Tak, ma pani rację. Ten chleb... – Korciło go, żeby jej powiedzieć, skąd on brał ten chleb. Dowiedziałyby się, ile taki razowiec kosztuje. Tego ona nie wie. Tego oni wszyscy nie wiedzą. A my dla odmiany jesteśmy dosłowni. I tak w kółko.

– Będzie pan dziś u nas wieczorem? Może by pan mógł się wystarać o kawałek schabu? Umieram z tęsknoty za schabem.

– Obawiam się, że dziś nie będę mógł przyjść. Ja... do widzenia!

Wyszedł. Dopiero w przedpokoju uświadomił sobie, że trzasnął drzwiami. Spojrzał: naprzeciw stał Marcin.

– Czegoś taki blady? Znów cię Ludka pocałowała?

– Idź do diabła ze swoją Ludka!

Marcin chwycił go za rękaw.

– Co ci jest?

Nagrabą przez chwilę jakby się zastanawiał. Oparł się plecami o ścianę i wyszeptał spieczonymi wargami:

– Jeść mi się chce.

Nie kłamał.

## Krzyż Walecznych

W drugim batalionie, w szóstej kompanii służył żołnierz nazwiskiem Socha, Celestyn Socha. Był to szczupły, nawet kościsty blondyn, o czerwonej twarzy i bezręsyh oczach. Uważano go za najdzielniejszego, choć może nie najmądrzejszego żołnierza w kompanii. Łazł w każde niebezpieczeństwo, jakby znajdował w nim jakieś szczególne zadowolenie. Jedni uważali go za bohatera, drudzy za głupca, wszyscy jednak wyrażali się o nim z podziwem.

Tak czy owak – po bitwie pod Lenino Socha otrzymał radziecki medal „Za odwagę”, a podczas walk o Pragę przyznano mu Krzyż Walecznych i rangę kaprała. A że wieś, z której pochodził, Kopytów, leżała po prawej stronie Wisły, dano mu tydzień urlopu, żeby mógł pokazać się w domu.

– Do diabła, to ci heca! – mówił Socha, żegnając się z kolegami. – Pięć lat w domu nie byłem! Ale oczy zrobią, co? Krzyż Walecznych mam. „Za odwagę” mam. Kapralem jestem. A to się ojciec ucieszy! Cała wieś się zbiegnie, słowo daję! A ja wtedy, proszę bardzo, gorzałę na stół i opowiadam. Jest o czym?

– Jest – przyznali koledzy.

– Ani się komu z nich śniło o tych krajach, w których byłem. Tajgę widziałem i białe noce, i wieczne ciemności, i metro, i ludzi ze skośnymi oczyma, bawełnę i ryż zbierałem, w grzędawisku tonąłem, z Kozakami się przyjaźniłem, z Mongołką się przespałem. A najważniejsze, że wyszedłem na człowieka. Nie poznają mnie starzy – mówię wam, nie poznają.

Żołnierze żegnali go życzliwymi uśmiechami. Szofer ciężarówki, która przywiozła na front amunicję, zatrąbił. Socha wskoczył na platformę i pomachał kolegom ręką.

Samochód mknął przez kraj przyfrontowego zniszczenia. Ale kaprał na nic nie zwracał uwagi, myślał tylko o tym, jak to będzie w Kopytowie. Z czułością spoglądał na swój Krzyż Walecznych. Ale oczy zrobią! Przypomniał sobie Marylkę Staniuchównę, tę, do której przed wojną umizgał się bez powodzenia. Teraz chyba go dziewczyna inaczej przyjmie. Bo kim on wtedy był? Nikim, smarkaczem. Mogła wiedzieć, co on wart? Wojna go dopiero wypróbowała! Więc jak już sobie do syta popłaczą z rodzicami, pójdzie do Marylki, wszystko jej powie: „Marylko, com ja widział, czegom nie przeżył! Patrz, order mam. Kapralem jestem”. Zaraz dadzą na zapowiedzi. A potem zaczną odwiedzać kolegów. Z Józkiem Flisem kiedyś razem do dworu na robotę chodzili. A teraz – panie Flis, jak się panu podoba taki Krzyż Walecznych? Pójdzie, jak gdyby nigdy nic, do Walczaka, co mu Marylkę odbijał. I do szwagra Jakuba, który go kiedyś od dziadów zelżył. No, niech zobaczy, jak „dziad” teraz wygląda! Przypomniał sobie innych kolegów: Maciejczyk, Zając, Dębina, Chróściak. No, obywatele, przypatrzcie się swojemu Celestynowi! Spodziewaliście się tego?

Nigdy nie miał we wsi szczególnego znaczenia. Kiedy w trzydziestym dziewiątym roku odchodził do wojska, żegnano go bez łez. Jedyne matka trochę się popłakała. A Marylka nic. Koledzy się podśmiewali: hohoho, jeszcze jeden wojak!

– Jesteśmy, kapralu! – krzyknął z kabiny szofer i zatrzymał samochód. – Dalej musicie iść piechotą.

Kaprał zlął na ziemię, rozejrzał się. Znajome kąty! W oddali, za ścianą chwiejących się brzoź, dostrzegł wieżyczkę kościoła. To ich, kopytowski. Pomyślał, że nieźle będzie pokłonić się i dobrodziejowi. „Nic dobrego z ciebie nie wyrośnie” – mawiał ksiądz. A teraz, proszę, proszę bardzo, niech się przekona. Mamy Krzyż, prawdziwy, w ogniu zdobyty Krzyż Walecznych. W obronie ojczyzny, w tęsknocie do niej, do nich wszystkich – rodziców i Marylki, i szwagra, i kolegów, do dobrodzieja i nawet do pana Turlujskiego. Tak, pójdzie i do dziedzica – postanowił

nagle. – Stanie przed nim, nogi rozkraczy, przymruży drwiąco oczy: „A pamięta pan, jak na pańskim pracowałem? Skończyło się, obywatelu! Teraz reforma rolna, ziemia i praca dla wszystkich. Żaden kawał się nie uda, ja tu wszystko przeprowadzę! Ja, pański parobek, Celestyn Socha! A oto order, proszę, może pan sobie obejrzeć”.

Podrzucił raźnie plecak i ruszył ścieżką do wsi. Ale nie mógł iść tak szybko, jak by chciał. Kilka zwalonych wierzb tarasowało drogę. Tu i ówdzie dziurawiły ją bombowe leje. Co prawda żołnierzowi sprawiało przyjemność określenie pocisku, który zniszczenia tego dokonał: „To mina, moździerz pułkowy. A to bomba, pół tony. A to znów mina. Wyspecjalizowałem się, nie ma co”.

Po wilgotnej ścieżce skakała ropucha. Ominął ją ostrożnie, jak również kilka różowych dżdżownic. Ścieżka przeszła w łąkę, rozmokłą, uginającą się pod stopami. Potem jeszcze cienisty szum brzezinki – i światło.

Stał na polanie, za którą rozpościerała się jego rodzinna wieś. W pierwszej chwili sądził, że pomylił drogę. Coś tu nie tak. Uderzył go zapach spalenizny. Smakował go przez chwilę nozdrzami – i nagle zrozumiał.

Cisza wisiała w przezroczystym powietrzu uroczysta, przeraźliwa. Tylko gdzieś w oddali zajadle czekał pies.

Kapral kilka razy głęboko odetchnął. „No, odwagi – powiedział sobie. – Naprzód!”.

Szedł jak w gorączce między sterczącymi żałośnie kominami spalonych chałup. Nagle zatrzymał się. Jakaś osmolona jabłoń wydała mu się dziwnie znajoma. „Tutaj mieszkałem”. Trochę go zdziwiło, że nie potrafi zdobyć się na żaden gest, krzyk, odruch rozpaczny.

Usiadł na kamieniu i patrzył tępo w piasek, po którym uganiały bezmyślnie mrówki.

Usłyszał kroki. Podniósł się raptownie, więc tamten, przestraszony nagłością jego ruchu, zatrzymał się. Był to staruszek. Włosy miał białe jak mleko, a wąsy długie i obwisłe.

– Czego się mnie boicie? – zawołał ochryplym głosem żołnierz. – Przecież Polak!

– Widzę, widzę – odpowiedział stary skwapliwie. – Tylko że teraz się nie rozeznasz.

– Socha jestem – mówił kapral. – Tutaj moja chałupa stała. Przyjechałem z frontu na urlop, rodziców zobaczyć. Kapralem jestem. Krzyż Walecznych mam. A tu, widzicie... – pokazał bezradnie ręką na zgliszcza.

Stary pokiwał głową.

– Nie ma twoich rodziców – powiedział. – Spalili ich Niemcy w tej chałupie.

– Ży... wych?

– Może i nieżywych, ale spalili. Pacyfikacja tu była. A ja z tamtej strony rzeki mieszkam, to im umknąłem.

Żołnierz znów usiadł na kamieniu. Po chwili milczenia zaczął opowiadać:

– Kaprała się dosłużyłem, wiecie? Na człowieka wyszedłem. Order mam. Com przeżył, czegom to nie widział! Tajgę i tundrę, i wieczne ciemności, i skośnookich ludzi.

Stary milczał. Żołnierz uniósł głowę i spytał:

– A mego szwagra Jakuba znacie?

– Znałem. Zabili go przy szmuglu.

– A siostrę moją?

– Do Niemiec wywieźli.

– A Maryłę Staniuchównę?

– Wyszła za Walczaka – poinformował stary. – Ale się im nie podarzyło. Znalezione u nich broń i... – Stary strzelił palcami.

– A Józek Flis? – spytał żołnierz.

– Gadają, że w Anglii.

– Maciejczyk?  
– O tego nie pytaj. Za folksdojczka się podał!  
– Aha. A Dębina?  
– Zginął w partyzantce.  
– Zając?  
– W wojsku ponoć.  
– Chróściak?  
– Ano wywieźli go z innymi. Wszystkich mężczyzn przy pacyfikacji wywieźli.  
– Tak to, tak to – powiedział machinalnie żołnierz. Nagle spytał: – A ksiądz dobrodziej?  
– Zmarło mu się w czterdziestym drugim. Na serce.  
A więc nikt nie został!... Ale dziedzic? I, czepiając się tej myśli, spytał:  
– A państwo Turlujscy?  
Stary zaśmiał się gorzko.  
– Oho! Tych i ze świecą nie znajdziesz! Uciekli na tamtą stronę Wisły. Jak tylko wojska  
sowieckie zaczęły się zbliżać, wzięli nogi za pas i uciekli.  
– Uciekli... – powtórzył ogłuszony żołnierz.  
Po chwili powiedział jeszcze:  
– Dziękuję wam, ojczulku.  
I poszedł sobie.  
Kiedy wrócił do jednostki, koledzy go zapytali:  
– Jak tam było, kapralu? Opowiedziałeś im, co trzeba?  
Rozłożył ręce.  
– Nikogo nie ma. Nikogo. Pacyfikacja była.  
Więcej nie rozpytywali.  
Wieczorem do ziemianki zaszedł porucznik.  
– No, chłopcy – powiedział – wybieramy się zwiadem bojowym na tamtą stronę. Pięciu  
na ochotnika!  
Zaraz się kilku zgłosiło.  
– A wy, Socha? – spytał oficer.  
Kapral szepnął:  
– Spać mi się chce.  
I już nigdy nie zgłaszał się na ochotnika. Koledzy często mawiali zdziwieni:  
– Ale się tchórz zrobił z tego Sochy! Kat go zrozumie. Sam jest na świecie, to co tak  
głowę szanuje? Co on ma do stracenia? Nic!

## Kłopot z psem

Jak tylko zrobiło się trochę luźniej z tym rozminowywaniem, Buško zaczął namawiać, żebyśmy się kropnęli willysem do Oświęcimia. Bo wtedy tośmy mieli z minami prawdziwe urwanie głowy. Mówię: „prawdziwe”, bo Kończakowi naprawdę głowę urwało, a Brzezickiego i Łupkowicza odwieźliśmy do szpitala w stanie, jak to mówią, ciężkim. Zresztą obaj z tego wyszli, Łupkiewicz nawet odznaczył się potem nad Nysą, tylko Brzezickiemu widać ta śmierć była pisana, bo go szpetnie trafiło w lasach za saskim Rothenburgiem – ale nie o tym teraz mowa.

Tylko o tym, że się zrobiło trochę luźniej z robotą, więc Buško mówi: „Kropnijmy się do Oświęcimia”. Na szosach spotykało się wtedy mnóstwo wychudłych ludzi w pasiakach. Wlekli się krok za krokiem, trzymając się za ręce, trochę jakby nie wierząc, że to już po wszystkim. Owszem, było po wszystkim, ale niezupełnie: o Kończaku, co zginął, rzecz można, na posterunku, i o Łupkowiczu, który padł później, już mówiłem. Więc nasz porucznik wysłuchał Buškę i powiada: „Dobra, kapralu, dymajcie. Ale uprzedzam, że wrażenie jest niesamowite”.

Miał nasz stary rację. Jakeśmy to wszystko zobaczyli, to aż nas zatkało. Gardło ściśnięte, jakby kto postronkiem związał. Zawidowski zasiadł do kierownicy bladej i jakiś taki. Buško warczał: „Jezu kochany, daj którego drania w moje ręce”. Te duże swoje żuchwy zacisnął tak mściwie, że mu twarz krwią nabiegła. Sypniewski, szczupły młodziak, który całą rodzinę stracił w pacyfikacji, nic nie powiedział. On nie był taki od gadania. To znaczy powiedział – kiedyśmy do willysa siadali – tylko tyle: „Nie macie tam który trochę gorzały?”. Aleśmy nie mieli.

No więc wracamy. Droga śliska, bo te grudy, które już roztajały, teraz znowu poprzymarzały. Pola pokryte śniegiem wyglądały też nieszczególnie, wcale nie były białe, brudne były.

– Stań! – rozkazał nagle Buško.

On był kapralem, to go słuchano. Zawidowski zatrzymał wóz, a wtedy Buško powiedział:

– Weźmiemy tych dwóch.

Bo w rowie, pośród szczerego pola, siedziało dwóch oświęcimiaków. Widać odpoczywali. Pomogliśmy im wgramolić się na willysa i Zawidowski już chciał ruszać, kiedy Sypniewski zawołał:

– Poczekaj!

On nie był taki od gadania, ten Sypniewski, może z powodu tej swojej rodzinnej historii. To trochę się zdziwiliśmy, co on takiego ma nam do powiedzenia.

– Co się stało? – spytał Zawidowski.

– Pies.

Na to Zawidowszczyk – ten to miał jęzorek:

– O wa, pies. I co, że pies? Będę ci tu stał z powodu psa!

Ale Sypniewski już dawno był w polu i biegł w stronę krzaczka, wokół którego kręcił się ten pies, duży, ciemny wilczur, mocno ma się rozumieć wychudły. Zachowywał się, jakby brak mu było piątej klepki, biegał wciąż dokoła krzaczka jak głupi, biegał jak w tańcu jakim – dziwne jakieś stworzenie – biegał i biegał, wolniutko co prawda, z wywieszonym jęzorem, aż para z niego biła. Dopiero jak zobaczył Sypniewskiego, przystanął. Potem położył się na brzuchu, wyciągnął przed siebie łapy i zaczął grzebać nimi w śniegu. I jeszcze zaskomlał. Sypniewski rzucił mu coś, chyba kawałek chleba, pies poderwał się, chwycił to w locie i rozgryzł.

– Sypniewski! – zawołaliśmy. – Wracaj, do jasnej!...

Wrócił się, a pies za nim. Gramolą się do auta, a Buško na niego z góry:

– Co ty?

- Co ma być? Pies.
- Wyrzuć go!
- Dlaczego? To mój pies.
- Jeszcze go rozerwie na jakiejś minie.
- E tam.

Samochód ruszył, a wilczur zwinął się tymczasem w kłębek u nóg oświęcimiaków i przymknąwszy ślepią, dyszał. Jeden z tych oświęcimiaków cofnął nogę, jakby go gad dotknął, a drugi pomacał obrożę i mruknął:

- To pewnie obozowy.
- To znaczy jaki? – spytałem.
- Esesmański.
- Buśko kazał zatrzymać auto.
- Słyszałeś, Sypniewski?
- Słyszałem.
- Wyrzuć go! Wyrzuć diabelskie nasienie!

Sypniewski wzruszył ramionami.

- Jakie tam nasienie. Pies jak pies.

– Co ty wygadujesz! – obruszył się Busko. – Taki pies to może niejednego człowieka rozszarpał. Sługa hitlerowski. Zbrodzień.

- E, co on tam rozumiał – powiedział Sypniewski.

– Jedziemy – rzucił zniecierpliwiony Zawidowski. I nie czekając, co z tej sprzeczki wyniknie, dał gazu. A Buśko denerwował się:

– Ty, Sypniewski, to chyba głupi jesteś. Ten suczy syn może ci ojca przy pacyfikacji pilnował albo może mu się w tydę wczepił. A ty go chlebem karmisz. Niech zdechnie łajdak za naszą krzywde!

Sypniewski zamrugnął oczyma.

– Co kapral mówi? Pacyfikacja – to jest jedno, a pies – to jest drugie. Pies to pies i szkoda gadać. Co ma pies do tamtych drani?

Byliby się długo kłócili, ale już były Katowice. W mieście jeden z naszych pasażerów zasłabł i trzeba go było odwieźć do szpitala. Za to jak przyjechaliśmy na kwatery, Buśko od razu pobiegnął do porucznika w sprawie tego psa. Stary nie dał mu żadnej odpowiedzi. Niby, że „nie zawracaj głowy, sam sobie radź”. Ale powiedział jeszcze, że sam nie chce tego psa widzieć na oczy.

Teraz zaczęły się hece z wilczurem. Mieliśmy trochę wolnego, więc Sypniewski szorował psa, karmił i zachwycał się, jaki mądry i uczony.

- Ma gestapowską szkołę – mówiliśmy – nic dziwnego.

- Krzyknij mu „Achtung, Banditen!” – zobaczysz, jak się najeży!

Pies strzygł uszami i już nie było wątpliwości, że rozumie. Potem Sypniewski namyślał się, jak go nazwać. Tu się zaczęło.

- Nazwij go „Ernie”.
- Nazwij go „Himmler”.
- Nazwij go „Heftling”.
- Nazwij go „Verfluchte”.
- Nazwij go „Arbeit macht frei”.

Sypniewski rozgniewał się:

- Coście się uwzięli? Pies jak pies. No pies. Pies i tyle.

Nazwał go „Partyzant”.

Buśko i ja poszliśmy raz do jednego hotelu, w którym miało się zatrzymać kwatermistrzostwo dywizji. Dom był w zasadzie rozminowany, ale mówiono nam, żebyśmy to jeszcze raz sprawdzili. I dobrze się stało, bośmy wykryli minę bardzo sprytnie podłączoną do muszli klozetowej dla pań. Miałyby tu któraś przygodę! Życie jest pełne niespodzianek, no nie?

Wracaliśmy czarnymi od sadzy i ludzi ulicami. W Katowicach wtedy było nadzwyczajnie, co krok to jacyś nietutejsi, a to Anglicy czy inni Francuzi z obozów jenieckich, a to rosyjskie dziewczęta wracające z wywózki, to znowu żołnierze radzieccy. A najwięcej tych pasiastych, oświęcimiaków – też różnych narodowości.

Buśko mówił:

– Ale narobili bigosu! Nie podarzy się, choroba, takiego syna esesa złapać. Kanarki – ci to mają używanie, łowią drani, a my nic, tylko miny rozbrajaj.

Potem znów:

– Jezus Maria, za to wszystko, co nam narobili, toby się przydało odpłacić! Aż mnie coś pali w środku. Gdzież tu, Florczak, sprawiedliwość? Gdzie sprawiedliwość, powiadam?

Dochodziliśmy do kwatery. Buśko obejrzał się i szepnął mi do ucha:

– Pojutrze ruszamy.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Gęba na kłódkę.

Zauważyłem:

– Będzie historia z psem.

– Guzik. Ja tego himmlera przystrzelę. Żebyśmy mieli takiego gestapowca ze sobą taskać! Ja go, bandziora, przystrzelę.

Weszliśmy na górę i odstawiliśmy aparaty. Zabieramy się do menażek, aż tu czuję, że coś ciepłego mi się ociera o kolano.

– Partyzant – mówię.

Pies łapami sięgnął stołu.

– Paszoł won! – krzyknąłem.

Wszystkie psy świata rozumieją po rosyjsku, niech skonam. Nasz himmlerek frygnął na bok. Buśko zamyślony zapytał chłopców:

– A gdzie Sypniewski?

– Ma służbę u dowódcy saperów.

Wtedy Buśko wstał.

– Dosyć na dzisiaj. Chodź, Florczak, pójdziemy na spacer.

Zrozumiałem, o co chodzi. Mówię:

– Psu też by się spacer przydał.

– No chyba. Sypniewski to się na psach rozumie jak kura na pieprzu. Zniszczy zwierzaka.

Włożyliśmy płaszcze, przepasaliśmy się, zarzuciliśmy pepesze. Buśko zajrzał do lufy, sprawdził, czy magazynek jest naładowany. Dyżurny podał nam hasło, gwizdnęliśmy na psa – i nie ma nas.

Wieczór był szary, ulice puste, okna ciemne. Dwa razy zatrzymał nas patrol – raz nasz, raz radziecki. Pies szedł posłusznie za nami. Czasem wybiegał naprzód, kilkoma susami zdobywał dziesiątki metrów przewagi. Potem zatrzymywał się i czekał na nas dumny z siebie.

– Już ma zdrowie – zauważyłem.

– Tak – zgodził się Buśko – ten łobuz ma krzepę. Jemu żaden więzień by nie uszedł.

– Co nabroił, to nabroił – powiedziałem. – Masz rację, nie ma się co z nim cackać.

– Zaraz go przystrzelę.

Znajdowaliśmy się już za miastem. Wiatr dął lekki, ale mroźny. Buśko opuścił nauszники,



zatarł ręce. Rozejrzawszy się, powiedział:

– Zejdziemy z szosy.

Zboczyliśmy na ścieżkę. Wilczur rozhasał się – to za nami, to przed nami. Przypomniało mi się:

– Ale Sypniewski zrobi minę!

– Pewnie. Cholera go będzie trząść.

– Zaraz zapyta o gorzałę.

Buśko mruknął:

– Głupi ten cały Sypniewski, ja ci to mówię.

Staliśmy w szczerym polu. Z daleka widać było cienie hałd.

– Może teraz? – spytałem, bo już miałem tego dość.

– Dobrze.

Busko ściągnął z ramienia pepeszę.

– Partyzant!

Pies przyskoczył i strzygł uszami.

– Partyzant – mówił Buśko – wiesz, że jesteś zbrodzień?

Pies merdał ogonem.

– Masz bandyckie ślepia. Szwabski pachoł. Iluś ludzi rozerwał? Ty krwawy zbirze!

Wilczur wspiał się na tylne łapy.

– Chodźmy gdzieś dalej – powiedział nagle Buśko i przerzucił znów pepeszę przez plecy.

Kiedyśmy uszli spory kawałek, spytałem:

– Może teraz? Nos mi zmarzł.

– To se go potrzyj.

– Ten Sypniewski to ma pecha – powiedziałem.

– Czego znowu?

– Rodzinę mu wykończyli, a z psem też mu się nie poszczęściło.

Buśko westchnął:

– Tak, z psem to on pechowo trafił. Ale ja ci coś powiem: jakbym miał mieć takiego drania w rodzinie, to już wolałbym być sam jak palec. Tak!

Przyznałem mu rację, Buśko zatrzymał się.

– Chyba teraz.

Kiedy znów zdjął pepeszę, Partyzant przybiegł jak na zawołanie.

– Połóż się! – rozkazał Busko. Pies wciąż stał i merdał ogonem.

– Widzisz go, gestapowca – nie rozumie. *Nieder*, łajdaku!

Pies wyciągnął się na śniegu. Buśko krzyknął:

– Zapłacisz nam za wszystko!

I położył palec na spuście. Stał tak dłuższą chwilę. Przymknąłem oczy. Niech to diabli! Niech już raz to będzie!

Trwała cisza, tylko wiatr rzucał ziarnistym śniegiem. Otworzyłem oczy, patrzę: Buśko stoi zamyślony.

– Co ci się stało? – pytam z gniewem.

– A co, Florczak, gdybyśmy go tu zostawili?

– Twoja sprawa.

– Zostawimy go tu w polu. Żebym ja miał naboje marnować dla głupiego psa!

Niedoczekanie.

I pogroził palcem wilczurowi.

– Leżeć, Partyzant! Leżeć, draniu!

Szliśmy pośpiesznie z powrotem, ale pies skradał się za nami. Więc Buśko chwycił kamień i łup nim w psa. Wilczur uskoczył, skowycząc. Zaczęliśmy rzucać w niego kamieniami, żeby to bydlę zrozumiało wreszcie, że go nie chcemy, nie chcemy krwawego kata, gestapowca, mordercy. I chyba wreszcie zrozumiał. Bo zawył przeciągle i stanął w miejscu. Patrzył osłupiały, jak się oddalamy.

Kiedyśmy się znajdowali już u rogatek miasta, Buśko powiedział:

– Nie myśl, że ja jestem taki miętki, Florczak. Wcale nie, ale co ja mam na godzinę marnować nabój? Racja, Florczak, może nie?

Udałem, że nie słyszę.

## Nieznany

Na krótko przed świtem pisarz pułkowy pojawił się w okopach. Mógł, oczywiście, wylegiwać się jeszcze w łóżku pod czerwoną niemiecką pierzyną albo spokojnie czekać przy biurku na meldunki. Ale wojna jest dla wszystkich – myślał pisarz – i nie będę ja się tu wymigiwał. Telefonicznie nie udało mu się zdobyć żadnych informacji. W sztabie batalionu nie wiadomo, czy pluton podporucznika Lipskiego wrócił już z tamtej strony Nysy, a do ziemianki dowódcy kompanii pisarz w ogóle się nie dodzwonił. Możliwe, że połączenie było przerwane. Pójdę sam – pomyślał pisarz – i dowiem się, jakie mają straty.

To właśnie należało do jego obowiązków: codziennie podliczać stan osobowy pułku, ilość koni i sprzętu. O sprzęcie można było pisać po prostu „Bez zmian” lub też, jeśli zmiany były: „Uszkodzony został 1 ckm i 2 kb”. Pisarz wiedział wszystko, co się w pułku dzieje, bo z batalionów przybiegali łącznicy z raportami, które on zestawiał, i tak sporządzony wykaz dawał do podpisania dowódcy pułku, a następnie przekazywał do sztabu dywizji.

Pisarz pułkowy, w randze plutonowego, nie należał ani do tych młodych awanturników, których sporo kręciło się przy wojsku, ani też do spryciarzy, co to za pomocą znajomości lub pochlebstw lokowali się na wygodnych miejscach. Był to człowiek skrupulatny i pracowity, zarzucano mu tylko, że jest zamknięty w sobie. W swoim poprzednim wcieleniu, tym przedżołnierskim, pracował jako nauczyciel geografii na Podolu, co chyba nie było lekkim chlebem, jeśli zważyć, że pisarz popadał czasami, może z nadmiaru gorliwości, w jąkanie.

Tak więc, gdy pisarz pułkowy pojawił się w okopach, był zimny i szary przedświt, a jego samego, zziębniętego i skulonego, męczył katar. Jakiś napotkany żołnierz poinformował go, że pluton Lipskiego już wrócił, a po chwili nadszedł sam Lipski.

– No i jak? – spytał pisarz. – Dobrze poszło?

– Nieźle.

– Straty są?

– Nie ma. Ale i języka nie ma.

Bez zmian – pomyślał automatycznie pisarz. I powiedział:

– Gratuluję.

– Czego znowu?

– Że bez strat.

– Dwóch rannych – uzupełnił podporucznik. – A zresztą może i ktoś padł, nie wiem, jeszcześmy nie podliczali. Tak na oko – to nikt. Idźcie do ziemianki, tam jest sierżant i w ogóle wszyscy, to się dowiecie.

Pisarz skwapliwie skorzystał z rady. W ziemiance było ciepło, pisarz precyzyjnie przycisnął się do piecyka, zdjął buty i kucnąwszy, zaczął suszyć onuce. Obok suszył onuce sierżant.

– Dobrze po-poszło? – spytał znowu pisarz.

– Prima.

– Słyszałem, że jest dwóch rannych.

– Jest. Dwóch. Ale lekko.

Pisarz wydobył notes.

– Kto?

– Skoczyński i Poręba.

Nie mam wiele roboty – pomyślał pisarz z ulgą. Myślałem, że dziś to się zacznie, będzie robota z listą poległych, ale nie, nie mam roboty.

– Nikt nie padł? – spytał dla pewności.

– Nikt – odpowiedział sierżant i potoczył wesoło wzrokiem po żołnierskich głowach. – Kogo brak, zamelduj się! – zawołał.

Roześmieli się. Pisarz schował notes do torby polowej. Wtedy jeden młody żołnierz, zupełny żółtodziób, też suszący właśnie onuce, odezwał się:

– A ja widziałem, jak jeden padał.

Sierżant na to:

– Człowieku, jakie padał? Kiedy padał? Może tak sobie tylko przyległ?

– Nie przyległ, panie sierżancie, nie, nie, tylko jak go dziabnęło, to aż wrzasnął, mówię panu, jak wrzasnął, skręcił się w powietrzu i ryms na krzaki. Aż gałęzie połamało.

Pisarz znów wyjął notes. Jest robota – pomyślał, za wcześnie się cieszyłem.

– Kto to był? – spytał sierżant obrażonym głosem.

– A ja wiem? Zapieprzałem jak głupi.

– Śniło ci się! – zawołał sierżant.

– Może i śniło, niech pan sprawdzi.

Sierżant zarządził zbiórkę. Odliczono kilkakrotnie. Rzeczywiście, brakło do stanu jednego żołnierza.

– Kogo brak? – spytał rozdrażniony sierżant. – Kogo by mogło brakować? – Nagle zdecydował: – Poszukaj każdy swojego kumpla, może się komuś przypomni.

Zaczęli się nawoływać: Ty, taki! Siaki! Józek! Franek! Imiona. Nazwiska. Przewwiska.

– Wszyscy są – odezwały się głosy.

– Ale przecież jednego brak! – denerwował się sierżant. – Jak brak, to znaczy, że nie wszyscy.

– Wszyscy swoi są – upierano się.

– Obliczyć w drużynach! – zarządził sierżant.

Brak było jednego w drużynie kaprała Słomki.

– Widzisz – prychnął sierżant. – Kogo brak?

Pisarz czekał z notesem w rękę. Kapral usiłował sobie przypomnieć. Cholera wie – myślał. – Stefański jest. Kapłaniuk jest. Rozwadowski jest. Przedpełski jest. – Zajrzał do listy. Brak było Majby.

Pisarz zanotował.

– Więc Majba? – przepytał.

– Majba Jan.

– Aha, dobrze. Resztę danych znajdę w ewidencji.

Ale sierżant był czegoś niezadowolony.

– Co za Majba? – spytał. – Nazwisko pamiętam, ale człowiek mi umknął. Co za jeden?

Dobry był żołnierz? – spytał kaprała.

Kapral wzruszył ramionami.

– Taki sobie.

– A jak wyglądał?

– Czy ja wiem... Taki jakiś.

Ktoś przypomniał sobie:

– To ten, co koło mnie stał. Drugi od prawej.

– Ładny chłopak?

– Nie przyglądałem mu się. Jak wszyscy. Twarz taka, wie pan... niewyraźna.

Były nauczyciel geografii poprawił:

– Chciał pan powiedzieć: bez wyrazu?

– Może i tak.

Sierżant obudził się z zamyślenia.

– No to co zrobimy, chłopcy? Myśleliśmy, że nie było strat. A jednak ktoś zginął.

– Na to wychodzi.

– I nawet nie pożałujemy tego tam...? Słomka, jak mu było?

– Majba.

– Nie pożałujemy go?

Stali stropieni. Tylko żółtodziób odezwał się:

– Jak go żałować? Żeby go był znał... a to go nawet nie pamiętam. Jakby na przykład Stefański rymnął, to co innego – wszyscy wiedzą, wszyscy znają.

I byłoby zawodzenie – pomyślał pisarz. Ty, Stefańskiego trafiło. Stefański padł. Patrz, taki Stefański. To był chłopak. Mówię ci, że świecą takiego. A pamiętasz, jak zasuwał w karty? A jak trzasnął butem Kowalczyka? A wtedy, jak w pa-ce siedział? O rany, a jakim się z tej jego Niemry nabijał! A w Poznaniu ze spirytusem? A w Kępnie jak z karabinu? To było w Obornikach. Nie, w Święcichowie, pamiętam jak dziś.

– Czy był żonaty? – spytał pisarz.

Nie wiedzieli.

– Dostawał listy?

Nie wiedzieli.

– Czy był wesoły?

Nie zauważyli.

– To może smutny?

Nie zauważyli.

– Jaki był?

Nikt nie wiedział. Sierżant i pisarz zwijali w milczeniu onuce. Kiedy się już obuli, pisarz powiedział:

– Pójdę na pocztę, może zostały dla niego jakieś listy.

– Pan to załatwi? – ucieszył się sierżant.

– Tak, ja już wszystko załatwię. Napiszę, komu trzeba, że poległ śmiercią bohatera.

– To-to. No co, chłopcy? Może uczcimy tego, jak mu tam, strzelca Majbę, podług ewidencji niby liczył się u nas... Uczcimy go minutą milczenia, co? No to baczność!

Stali w milczeniu, a pisarz myślał: Gdybym był prawdziwym pisarzem, a nie tylko pułkowym, gdybym umiał liczyć sylaby i ustawiać słowa w rzędkie jak kolumny marszowe, gdybym miał ten dar, który posiadał mój kiepski kolega z gimnazjum kowieńskiego – z Bogiem bym się prawował. Klóciłbym się o tych wszystkich, którzy rodzą się, istnieją i znikają, o wszystkie niezapamiętane twarze, o wszystkie płacze, których nikt nie słyszy, i udręki, których nikt nie dostrzega. Ale ci tutaj są u mnie w ewidencji, ja nikogo nie zgubię, nie znałem żadnego Majby, ale go zapiszę; będzie o nim w raporcie i w liście do domu – będzie, że Majba Jan poległ śmiercią żołnierza.

– Koniec minuty – powiedział sierżant. – Stefański i Kulesza, marsz po śniadanie.

Znów był dziarski i rubaszny. Załatwił wszystko. Zwrócił się jeszcze do pisarza z pytaniem, co tam słyhać w radio. „Powódź w Chinach” – chciał odpowiedzieć były nauczyciel geografii, ale nie powiedział nic, uśmiechnął się i wyszedł z dusznej ziemianki.

Znalazłszy się na powietrzu, rozpiął szynel i odetchnął głęboko. Było świeżo, wiosennie, słońce już grzało, brzozy pęczniały i parowały. Rowem łącznikowym doszedł pisarz do lasu. Tam, przy kuchni polowej, spotkał wąsatego listonosza pułku: siedział na ściętym pniu, ściskając kolanami pełną menażkę. Ujrzawszy pisarza, stary zameldował:

– Listu nie ma.

- A dla Majby? – spytał pisarz.
- Jakiego Majby?
- Jednego. Poległ tej nocy. Jan Majba.
- Zaraz poszukam.

Listonosz odstawił menażkę i zajrzał do torby. Nawet długo nie mruczał pod wąsem, list wnet się znalazł. Pisarz odebrał go podniecony i rozsiadł się na sąsiednim pniu. Zaraz się czegoś dowiem – myślał. *Kochany Janku* – przeczytał. No, nareszcie. Napiszę im, że poległ śmiercią żołnierza. Czytał dalej. *Na te twoje nalegania to śpieszę odpisać, że nie kocham ja ciebie...* Pisarz pułkowy zmiażdżył kartkę. Nie wiem, czy mam prawo czytać cudze listy – pomyślał. Potem rozprostował kartkę i dalej czytał: *...nie kocham ja ciebie ani od ciebie listów nie chcę. Bo co sobie pan listonosz pomyśli i Jadźka, co mu pomaga, że ja flertuję z takim, co ani domu, ani rodziny nie ma, nie wiadomo skąd się wziął, ani majątku, ani przyszłości. Ja nie mam nic naprzeciwko tobie i życzę ci dużo szczęścia, i może cię jaka weźmie, ale mnie ty zostaw i nie pisz, bo mi opinię psujesz, a mnie swatają za Bialonia, a ty wiesz, jaki to gospodarz, i czwórka koni, i jakie obejście. To już żegnaj, kochany Janku, i wojuj szczęśliwie, a do mnie nie pisuj, niech cię Matka Boska ma w opiece. Twoja znajoma Weronka.*

Adresu nadawcy na kopercie nie było. Pisarz schował list do kieszeni. Siedział przez chwilę z pochyloną głową.

Gdybym był kapłanem dywizji – myślał – a nie pisarzem pułkowym, gdybym wierzył w sześć dni stworzenia, a nie w różne ery, trzeciorzędy i czwartorzędy, padłbym na kolana i modlił się tak: Boże miłosierny, spraw, byśmy wiedzieli o każdym głodującym Hindusie i każdym tonącym Chińczyku, o każdym zakochanym Melanezyjczyku i każdym rozgniewanym Pigmeju. Dobrze zagnojona jest ta ziemia. Mają na czym rosnąć twoje kwiaty, mają na czym zakwitać kultury i artyzmy, wykwintne obyczaje i błyskotliwe inteligencje. Ale gdybym był sierżantem, a ty byś był nade mną, modliłbym się może tak: Spraw, by sierżanci mieli wielu nieznanych, by zawsze ginęli nieznanymi, których nazwiska nic nie mówią i których twarze się nie pamięta.

Pisarz pułkowy podniósł się i potarł obolałe od ischiasu biodro. Listonosza już nie było, kuchnia odjechała, zostawiwszy po sobie koleiny we mchu. U nóg pisarza przemaszerowała kolumna mrówek. Pisarz pułkowy ostrożnie przez nią przestąpił i w rozpiętym szynelu, poddając twarz słońcu, skierował się do kancelarii pułku, ażeby tam wciągnąć na listę strat poległego tej nocy strzelca, niejakiego Jana Majbę.

## Hitler w naszych rękach

Hitlera chcieli złapać wszyscy. Ile milionów żołnierzy się biło, każdy po cichu sobie myślał, że to on dostanie go w swoje ręce i się z nim osobiście porachuje. Anglicy nie Anglicy, Rosjanie, Żydzi czy brat Polak – każdy miał chrapkę. Im bliżej końca, tym więcej o tym myśleli. Ale my, mówię o plutonie porucznika Nagraby, myśmy mieli Zawidoszczaka, a Zawidowski miał oko jak nikt.

Zawidowski spod ziemi wszystko wytrzasnął. Tylko rozejrzał się po kwaterze, już wywąchał, gdzie co ukryte. Raz nawet futro znalazł, kapelan powiedział, że brajtszwance. Takiego Zawidowskiego Anglicy nie mieli i on nam złapał Hitlera. Wlazł kiedyś do jakiejś ciemnej stodoły, rozgląda się po swojemu i naraz spostrzega, że w kącie na kupie siana siedzi nędzny szkop w podartym mundurze. Podchodzi bliżej, a to sam Hitler. Drugi by może dał nogę, ale nie Zawidowski. O! – pomyślał sobie. – Będą chłopaki mieli uciechę. – Hände hoch! – zawołał. Hitler podniósł swoje krwawe łapska do góry. Zawidowski wziął go za kark i wypchnął na dwór.

– Hitlera mam! – krzyknął. – Hitlera złapałem!

– O rany, Hitler! – wrzasnęliśmy. Zbiegło się nas sporo, żeby popatrzeć na drania.

Patrzmy: naprawdę Hitler, tylko mina już inna, dziadowska, całkiem na psy zjechał.

Stoimy, gapimy się na Hitlera, on na nas. Lewandowski plunął mu w twarz, Koziołek krzyknął: – W ucho go! – I dał mu w zęby. Hitlerowi poleciała z ust strużka krwi, a myśmy się zbliżyli i gapili na tę jego krew, co wyglądała całkiem normalnie, jak twoja i moja. – Patrz – powiedziałem do Zawidowskiego – Hitler krwawi. – Brzydki jak choroba – na to Zawidoszczak. – Ma pietra. – A ma.

Ktoś krzyknął:

– Obetrzyj sobie juchę!

I Hitler obtarł.

Potem inny krzyknął:

– Na gałąź z nim!

I Hitler zadrzał. Pewnie rozumiał po polsku, może się poduczał ostatnimi czasy, bo chyba sam widział, że prędzej czy później będzie z Polakami miał do czynienia. Bylibyśmy go rozerwali na miejscu, ale tu wtrącił się Zawidowski:

– Co wy, obywatele? Mój Hitler, każdy widział, że ja go złapałem, i nie pozwolę tak raz dwa się z nim załatwić. Najpierw trzeba mu parę słów powiedzieć do słuchu.

– Do klatki go! – zawołano. – Dawać klatkę!

Nie było klatki, bo skąd żelazna klatka we wsi, ale Musiałek i Piegas zorganizowali duży wiklinowy kosz do bielizny, wsadziliśmy Hitlera do tego kosza, potem kosz na furgon i tak obwoziliśmy go po całej wsi, co ją kompania zajmowała. – Ludzie, ludzie! – wołaliśmy. – Hitler w tej budzie!

– Nie dałeś rady! – krzyczeliśmy.

Albo:

– Chciałeś nas zgnoić, i co? Za krótkie ręce!

Albo:

– Ty taki owaki!

Hitler starał się na nas nie patrzeć, skulił się i drzał. Piegas i Lewandowski przerzucali się z dwóch stron furgonu kamykami nad głową Hitlera, on podrygiwał jak ostatni oferma, wciąż robił uniki głową i mrugał powiekami.

– Tchórz! – zaczęliśmy wołać.

– Tchórz!

– Tchórz, tchórz, tchórz!

Potem, kiedy furgon stanął, Musiałek pokazał na swój nos.

– Ale smrodzisz – powiedział do Hitlera. – Pewnie masz pełne portki.

Hitler zaczerwienił się, opuścił wzrok, a wtedy my:

– Że też cię która baba zechciała!

– Że też cię matka wykarmiła!

– Że też się na tobie twoi żołnierze nie poznali!

– Że też od takiej pokraki tyleśmy wycierpieli!

Tłum otaczał Hitlera i po każdym „że też” jedni pokładali się ze śmiechu, a drugich aż w gardle od złości ścisnęło. A Hitler patrzył przerażony wokoło i śmierdział coraz mocniej. Potem Koziołek się wziął do rzeczy.

– Zaszczekaj, skurwysynie – powiedział. – No, hau, hau! Zaszczekaj, taki owaki, żeby żołnierz polski miał z ciebie przyjemność. Hau, hau, biegiem!

Hitler nie chciał szczekać, to Koziołek świsnął mu przed oczyma witką. I Hitler zaczął szczekać. Szczekać jak pies. Nikt się nie śmiał. Nie wiem dlaczego, ale nikomu się nie chciało śmiać, ja na przykład myślałem o wszystkim, co mi się podczas okupacji przydarzyło. – Patrz – powiedziałem do Zawidowskiego – Hitler przemówienie wygłasza. – Tak – mówi Zawidoszczak – tylko trochę niewyraźnie.

Potem z daleka odezwało się ujadanie prawdziwych psów. Wtedy Hitler urwał.

– Jeszcze – ponaglił go Koziołek.

I Hitler szczekał dalej.

– Dostyc!

I Hitler urwał. Potem nie wiadomo było, co robić z nim dalej. Ktoś podsunął myśl, żeby pogadał z nim starszy strzelec Grozberg, któremu Hitler wymordował całą rodzinę.

– Grozberg! – zawołaliśmy. – Chodź tu, Grozberg! Pogadaj sobie z Hitlerem.

Grozberg wystąpił z tłumu i zbliżył się do kosza, w którym siedział Hitler. Jak Hitler zobaczył Grozberga, to takie spojrzenie na niego rzucił, że Grozberg się cofnął. Ale myśmy krzyknęli: – Nie bój się, powiedz mu swoje! – i Grozberg znowu stanął przed Hitlerem, malutki, chudy i smutny. Obaj przez chwilę milczeli – Hitler i Grozberg. – Teraz mu zasunie – powiedziałem do Zawidowskiego. – Tak – na to Zawidowski – teraz mu powie wszystko.

Grozberg powiedział:

– Ty. Ty.

I więcej nie mógł nic wykrztusić.

– Pokaż mu... – poradził Koziołek.

Grozberg tak zrobił. Wysunął naprzód jedną rękę i przyłożył do niej drugą.

– Widzisz? – zawołał. – Na! Na! Takiego.

Hitler się skulił jeszcze bardziej niż przedtem.

– Dobra jest – dopingowaliśmy Grozberga. – Zasuważ!

Nasz chłopak ujął się pod boki i powiedział głośno:

– Ja jestem Żydem.

Hitler skurczył się jeszcze bardziej. Grozberg odwrócił się do nas, a kiedyśmy go pochwalili, ciągnął dalej:

– Żydem. Jude, wiesz? Lausige Jude.

Hitlerowi oczy latały, tak się zestruchał.

– Dalej, dalej! – podbechtywaliśmy Grozberga. – Dobrze mu tak!



– Chciałeś mnie zniszczyć? – mówił Grozberg. – I kto kogo złapał, co? Kto lepszy? Wtedy Hitler się rozplakał. Płakał nad swoim psim hitlerowskim losem. Patrz – powiedziałem do Zawidoszczaka – Hitler płacze. – Widzę – odpowiedział. I dodał: – To ja go złapałem. – Ty – przyznałem. – Ty to masz oko.

Grozberg wzruszył ramionami na ten hitlerowski płacz i cofnął się. Głos zabrał Koziółek: – Nie płacz, z kuriera wycięty, nic ci z tego płakania nie przyjdzie. Nie słyszałeś ty naszego płaczu, kiedyś niewinnych ludzi mordował. Aleś wpadł w polskie ręce, pluton łączności porucznika Nagraby, i my teraz sąd nad tobą sprawimy, i tak będzie po sprawiedliwości, bo po to wojowaliśmy.

Wybraliśmy sąd, Koziółka na przewodniczącego, dwunastu ławników, Grozberga na prokuratora, ale był kłopot, bo nikt nie chciał podjąć się obrony, próbował Zawidowski, bo tego Hitlera znalazł, próbowali inni, ale każdy w końcu zrzekał się, bo można bronić człowieka, mówili, ale to jest dzika bestia, smok, który ział ogniem, chociaż teraz popłakuje i w portki robi. Hitler zupełnie zgłupiał. Jak słuchał naszego sądu, to mu oczy latały, głowa się trzęsła, ręce dygotały, odpowiadał, „jawohl”, „jawohl” i „bitte”, podlizywał się Koziółkowi, jakby wstydu nie miał. Potem kazaliśmy mu wstać, a przysięgli na pytanie przewodniczącego odpowiadali kolejno: „Winien, winien, winien”. I tak dwanaście razy. Skazaliśmy Hitlera na śmierć. W komorze gazowej, w jednym z tych jego obozów. Ale przedtem, żeby go w klatce po świecie obwieźli, tam gdzie najwięcej nabroił, a jeszcze przedtem po wszystkich jednostkach polskiego wojska.

Z tym wyrokiem odesłaliśmy go do sztabu pułku, a stamtąd posłali go do sztabu dywizji, a stamtąd jeszcze gdzieś wyżej, i co z nim dalej zrobili, nie wiem, ale chyba to, co uchwalił żołnierski sąd.

Pisali potem, że Hitler popełnił samobójstwo w Berlinie, ale to nie może być prawda, bo Hitler był u nas, w plutonie łączności, złapał go Zawidowski, on miał oko do tych rzeczy, i myśmy się z tym Hitlerem załatwili jak należy. Jak drań tyle narobił okropności, że aż się myśleć nie chce, i jak tyłu żołnierzy padło, to trzeba go było złapać i trzeba było mu pokazać, czyje na wierzchu. I myśmy to zrobili.

## Wdowa po Joczysie

Kapitan Joczys był bohaterem walk nad Nysą. Kiedy zginął, dywizyjny poeta napisał o nim pieśń, którą jeszcze dziś śpiewają czasem po pijanemu osadnicy wojskowi w Luborzu. Imieniem Joczysa nazwano tam cichą, zieloną uliczkę prowadzącą od rynku do kościoła. Siwowłosy porucznik Ołdak, szef osadnictwa wojskowego, napisał serdeczny list do wdowy, pani Małgorzaty Joczysowej z Jasła: przyjeżdżaj, pani, czekają cię tu przyjaciele. I wiele przejmujących zdań o bohaterstwie jej męża. Wkrótce nadeszła odpowiedź. Okrągłym, kobiecym pismem zawiadamiła Joczysowa porucznika, że z zaproszenia skorzysta, że nie wie, co z sobą począć, życie jest jej już niemiłe. Za pamięć dla męża dziękuje z całej duszy. „Niech Was Bóg błogosławi za to, coście dla Jego pamięci i dla mnie uczynili”.

„Niech Was Bóg błogosławi” – to brzmiało dostojnie, może trochę naiwnie, wsiowo, w każdym razie czuło się za tym osobę poważną. Jak wygląda? Ile ma lat? Kapitan, na krótko przed swą śmiercią, opowiadał o żonie Ołdakowi, pokazywał nawet fotografie, ale fotografie były wiadomo jakie, oszczercze, wyblakłe, a o żonie kapitan nie mówił inaczej tylko: „moja stara”. Kochał ją żarliwie. Ołdak wyczuł to, słuchając jego niskiego, trochę chropowatego głosu. Sam Joczys liczył sobie już wówczas czterdziestkę, do piękności nie należał, włosy miał rudawe, policzki jego często lśniły złotawym zarostem. Wszystko to jednak niewiele mówiło o jego żonie.

Przyjazdu kapitanowej oczekiwano więc z niecierpliwością. Wdowa po Joczysie – taka osobistość miała dodać blasku Luborzowi. Przygotowano dla niej mieszkanie, dwie krowy, parę świń, akt nadania. Ołdak osobiście sprawdził działanie przewodów elektrycznych, dopilnował remontu pompy. Nadeszła długo oczekiwana depecha z Jasła: przyjedzie w poniedziałek. Luborz ogarnęło podniecenie. Wybrano delegację, by powitać uroczyście wdowę po kapitanie, czcigodną matronę, która dzieliła łożę bohatera, jego troski i niepokoje, jego dzień powszedni.

Był pochmurny, ale ciepły ranek. Rosa kapała z żółkniejących liści. Spora gromadka luborzan zebrała się na stacji, na którą miał zajechać pociąg wiozący panią kapitanową. Zwrotniczy, szpakowaty i wysuszony Niemiec, trzymał się z szacunkiem w należytej odległości. Kiedy usłyszano daleki gwizd i na horyzoncie pojawił się słupek dymu, zebranych ogarnęło wzruszenie. Niemiec wyprostował się na baczność. Pociąg zagdakał i wtoczył się na stację. Porucznik Ołdak zagryzł nerwowo wargę.

Otworzyły się tylko jedne drzwi. Wyszła z nich pomarszczona, trzęsąca się trochę starucha – nie, to nie ona! – a potem wyskoczyła szczupła, średniego wzrostu dziewczyna, w gabardynowym płaszczku, w bereciku na jasnych włosach zebranych z tyłu w gruby węzeł. Z przedziału podano jej usłużnie walizki. Ledwo zdążyła zdjąć je ze stopni, pociąg ruszył. Dziewczyna stała między walizkami, rozglądając się ciekawie dokoła.

Szturchnięto Ołdaka: ruszże się. Porucznik wysunął się z tłumu i zasalutował przed młodą.

– Czy pani?... – Musiał odchrząknąć, bo aż ochrypl z tremy. – Pani kapitanowa?  
– Tak – odpowiedziała młodemu, dźwięcznym głosem. – A to moja mama, pan pozwoli.  
Porucznik złożył pocałunek na dłoni staruszki. Potem zwrócił się z ukłonem do młodej:  
– Witamy, witamy panią kapitanową. – Podała mu rękę, a on długo, ceremonialnie nie odrywał od niej ust. – Całym sercem! – powiedział, prostując się. Powtórzył raz jeszcze: – Całym sercem!... Pamięć o panu kapitanie nigdy nas nie opuści! Wszyscy czujemy się jego żołnierzami – zapewniał ją.

Była wzruszona. Jej podbródek, z lekka wystający, drgnął nerwowo, oczy zwilgotniały.

– Dziękuję – szepnęła.

– Teraz Ala – przypomniał ktoś w tłumie...

Do Joczysowej zbliżyła się chuda dziewczyna z naręczem kwiatów w dłoni. Wybąkała kilka słów i podała kapitanowej kwiaty. Kapitanowa nie mogła już powstrzymać łez. Kobiety rzuciły się do niej, zaczęły na prześcigi pocieszać. Odpowiedział im gwałtowny szloch kapitanowej.

Jej matka stała obok pochmurna, zniecierpliwiona.

– Dosyć już, dosyć, Małgosiu – uspokajała córkę.

Kobiety ocierały łzy.

Ołdak wskazał chłopcom na walizki. Rzucili się do nich skwapliwie. On sam ujął Joczysową pod rękę i poprowadził ją przodem. Za nimi podążyła gromadka luborzan. Na końcu szli chłopcy z walizkami, obok nich matka pani Małgorzaty.

– Byłem przyjacielem pana kapitana – mówił Ołdak. – Nie mieliśmy w dywizji lepszego oficera. Żołnierze go uwielbiali. Często mówił mi o pani.

Joczysowa otarła wierzchem dłoni oczy.

– Spodziewałem się jednak – rzekł niepewnie porucznik – że jest pani znacznie starsza. Omal się nie uśmiechnęła.

– Nie jestem znowu taka młoda. Mam dwadzieścia jeden lat. I tyle przeżyłam...

Nagle przystanąła. Pochód zatrzymał się.

– Magnolie... – szepnęła, przyglądając się pożółkłym liściom na pokraccie powykęcanych gałęziach. Uśmiechnęła się. – Nigdy nie widziałam, jak kwitną.

W tłumie zaszemrało. – „Śmieje się?” – „Śmieje”. – „A mówi co?” – „Mówi, że magnolie”. Magnolie? Wszyscy się zdziwili. Co jej po magnoliach?

Joczysowa obejrzała się i uśmiech spełził z jej twarzy.

– Przepraszam – szepnęła zmieszana.

Znów szła. Powiedziała jeszcze:

– Bo Zygmunt pisał mi, że w tych stronach są magnolie.

Więcej nie było już o tym mowy. Za kościołem Ołdak pokazał jej tabliczkę na rogu ulicy.

– Widzi pani?

Omali nie krzyknęła. Ulica kapitana Joczysa! Patrzyła na napis w zdumieniu i prawie ze strachem. Po chwili twarz jej złagodniała, podbródek cofnął się, zmiękł jakby i usta rozchylił uśmiech. Tłum znów zaszemrał. – „Aha, widzicie?” – „Cieszy się, że męża uczczono”. – „Takie to wdowie szczęście” – dodał ktoś filozoficznie.

Pokazano jej wreszcie dom, w którym będzie mieszkać: piętrowy, murowany budynek, z ogródkiem otoczonym siatką drucianą. W domu cztery umeblowane pokoje, kuchnia z garnkami i stołkami, komora; za domem całe obejście: stajnia, obora, chlew, trochę inwentarza, betonowa gnojówka; w składzie pełno równiutko narąbanego drewna i brykietów z nadrukiem fabryki. Ludzie oglądali i chodzili jak po swoim. Nadeptali, nabrudzili, zaglądali za szafy, opukiwali ściany. Stara, podenerwowana, poszła do kuchni rozpałać ogień, a pani Małgorzata siedziała w fotelu, milcząca, może trochę oszołomiona, słuchając z roztargnieniem pocieszeń. Wreszcie porucznikowi Ołdakowi udało się przepędzić towarzystwo. Sam zachowywał się taktownie, wiele w życiu widział. Żegnając się z Joczysową, powiedział:

– Może pani żyć z gospodarki, a może pani pracować w gminie. Otwieramy pocztę. Chce pani?

– Chcę.

– Młoda pani jest i już takie nieszczęście... Ale ma pani tu oddanych przyjaciół.

– Wiem.

– Te wszystkie kobiety, co panią witały, to albo wdowy, albo żony żołnierzy naszego

pułku. Ludzie Joczysa czczą panią jak jego samego. Jeśliby pani się zgodziła, wybralibyśmy panią do zarządu Związku Bojowników. Trzeba nam ludzi z autorytetem. Wdowa po Joczysie – to byłaby dla nas gwarancja, że...

– Tak – przerwała mu. – Zgadza się.

– To do widzenia. Ręce całuję. Do widzenia.

Wyszedł.

Przychodził odtąd rzadko, tylko w razie istotnej potrzeby. Inni tak samo. Trzymano się od Joczysowej z daleka, przez szacunek. Była dumą osady. Mówiono o niej: „pani kapitanowa”. Każdy wiedział, o kogo chodzi. Nie przeszkadzało im wcale, że jest młoda i ładna. Przeciwnie, dodawało jej to niespodziewanego blasku, jak złocenia na obrazach świętych. Tak też i mówiono: „To święta kobieta! święta!”. Zapewniał o tym porucznik Ołdak i wszyscy się z tym zgadzali, nawet ksiądz.

Prowadziła pocztę, mając do pomocy jednonogiego Windaka, dawnego ordynansa swego męża. Kiedy przywoził listy ze Lwówka, zawsze stawał przed nią na baczność.

– Kapitanowa, ho-ho! – opowiadał babom. – Zaczyna! Nie krzywduję siebie. „Masz, mówi, strzelec Windak, popij sobie”. A ja: „Melduję podziękowanie, pani kapitanowo. Ku chwale ojczyzny!”. Dla ojczyzny to ona – wszystko. Wykapany kapitan.

Żadna akademia nie mogła się odbyć bez niej. Sama co prawda nigdy nie przemawiała. Siedziała zwykle w prezydium zasłuchana, nieruchoma, może zamyślona nad swoim wdowim smutkiem. Czasem coś na sali zwróciło jej uwagę, uśmiech przewijał się przez jej twarz, ale natychmiast gasł. Do niej zwracali się mówcy. Ją brali za przykład. „Jak ów bohaterski kapitan, którego żona dzieli nasze twarde, pionierskie życie... razem z nami współtworzy... razem z nami tu, na rubieży polskośći...”.

Kiedy ktoś zalegał z podatkiem, z kontraktacją, z dostawą, z czymkolwiek, na zebraniu wołano:

– To o tośmy walczyli? Po to zginął kapitan Joczys, żebyś ty, chłopie, ojczyzny-matki nie szanował? Patrzcie, siedzi tu wdowa po kapitanie Joczysie! Spójrzcie jej w oczy, jeśli macie odwagę!...

Nikt z ociągających się nie miał odwagi spojrzeć w oczy wdowie po kapitanie, który zginął dla Polski Ludowej. Wdowa zaś siedziała milcząca, czasem oblana rumieńcem, jeszcze częściej kredowo blada.

Zapraszano ją na wieczornice. Luborzanie tańczyli, aż się w gospodzie podłoga ugięła. Ona siedziała na ławie pod ścianą w otoczeniu matek i teściowych. Nikomu w głowie nie powstało, żeby Joczysową zaprosić do tańca. Tylko fryzjer Pietrak, dawny kapral, a teraz po prostu pijaczysko, przystąpił do niej kiedyś:

– Kapitanowa, co? Poskakałaby sobie pani, co? Żeby tylko miał lepszy frak!

– Ta idź ty! – ofuknęły go kobiety. – Widzieliście batiara! Będzie ci kapitanowa z takim łajdusem tańczyć!...

Joczysowa wodziła roztargnionymi oczyma za tłumem tańczących. Grzmiał mazur, huczny, zawrotny, hołubcowy. Słychać było bezładne tupotanie, przyśpieszone oddechy, salwy śmiechu. Powietrze gęstniało od wódki, potu i roztańczonych par.

– Baby! – woła do tych pod ścianą pijany fryzjer Pietrak. – A opowiedzieć wam wica? Ale takiego tłustego, że od razu każda porodzi!

– Poszedł precz! – przeganiały go. Dodawały z oburzeniem: – Ty przy pani kapitanowej się hamuj. Z każdym słowem trza wiedzieć, gdzie się odezwać.

– Wica!... Tłustego!... – wykrzykiwał Pietrak, odchodząc w tłum tańczących. – Tłuuu... Zniknął. Tupotano nadal. Joczysowa opuściła głowę. Ktoś szepnął:

– Nieboszczyk jej się przypomniał.

Nie miała bliskich przyjaciół. Nikt nie ośmielił się z nią spoufalać. Przypatrywano jej się, ale z daleka. Ktoś kiedyś opowiedział, że widział ją, jak stała w oknie i, nucąc coś, rozczesywała swoje długie, jasne włosy. Nie chciano wierzyć. Nuciła? A co? Wesole jakieś czy takie do płaczu? Nie – odpowiedział tamten. – Niech mnie krew!... Takie coś: „taratarara...”.

W niedzielę spacerowała samotnie po lesie. Widziano ją raz na porośłym wrzosem wzgórze. Gdy znalazła się na jego szczycie, wyciągnęła w górę ramiona. Potem odrzuciła je w bok. Potem przed siebie. Potem znów w dół. Gimnastykowała się. Zrobiła kilka podskoków, następnie koziołka i suknia fajtnęła jej przez głowę. Roześmiała się w głos. Zstępowała ze wzgórza uśmiechnięta, z pękiem wrzosów w ręku. Nagle przystanęła. Przez chwilę nasłuchiwała i uśmiech znikł z jej twarzy. Znów była skupiona, czujna. Z gniewem rzuciła pęk wrzosów na ziemię. Z opuszczoną głową szła powoli do domu.

Mijały lata. Wiosną zakwitwały magnolie. W akademiach pierwszomajowych Joczysowa zasiadała w prezydium. W lipcu udawała się do pobliskiej spółdzielni produkcyjnej pomagać w żniwach. 22 lipca – święto, znów akademie. 1 września uczestniczyła w otwarciu roku szkolnego. Chór dziecięcy śpiewał pieśń o kapitanie Joczysie. Drzewa żółkły. Wzgórze pokrywało się rdzawym wrzosem. Dał chłodny wiatr. Chwiały się nagie drzewa. W listopadzie – znów akademie. „Pamięć o panu kapitanie nigdy nas nie opuści!...” Zimą chłopcy przycwałowywali do Luborza na rozdzwonionych sankach. Dzieci hasały na nartach. Na poczcie trzaskał ogień w purpurowym piecyku. Otwierały się drzwi – buchała przez nie para. Jednonogi Windak pił... „Pani kapitanowo – melduję, ku chwale ojczyzny, rraz!” Na zabawach sylwestrowych Joczysowa siadywała pod ścianą z matronami. Grano mazura, fryzjer Pietrak się wyglupiał. Potem znów wiosna, słońce połyskiwało, drogi parowały. Magnolie, magnolie...

Do Luborza przyjechał nowy człowiek: zootechnik Tadeusz Więcek. Rodem był z Karczewa, miał lat około 25, czarniawy, niewysoki, szczupły, sprytny. Zdążył już wypróbować wiele zawodów. Tuż po wojnie był burmistrzem w małym miasteczku koło Zielonej Góry. Siedział potem pół roku w więzieniu. Następnie pracował w urzędzie repatriacyjnym, śpiewał w chórze, był kasjerem w kinie, konduktorem w PKS-ie. Wreszcie znudziło mu się to wszystko, postanowił się czegoś nauczyć. Zapisał się do dwuletniej szkoły rolniczej, wydział hodowlany, ukończył ją i przyjechał na praktykę do Luborza. Podobało mu się tu: ładny rynek, magnolie, renesansowy kościółek otoczony wysmukłymi topolami, wieża głodowa z XIV wieku, fragment starych murów obronnych. Wybrał się na pocztę, by nadać list polecony do rodziny: zostają tu, owszem.

Ta pani na poczcie zwróciła jego uwagę. Właściwie jej podbródek: nieregularny, z lekka wystający, ale tak łagodnie, że przez cały czas, gdy na nią patrzył, chciało mu się go pogłaskać. Wydawało mu się, że kobieta nie spuszcza z niego wzroku. Choroba, skąd tu takie baby?

Próbował nawiązać rozmowę:

– Prędko list dojdzie?

– Jak zwykle.

– To znaczy?

– Jak Bozia da – powiedziała z uśmiechem.

Jej głos też mu się spodobał.

– A pani nie mogłaby się postarać, żeby Bozia chciała prędzej? – zagadnął kokieteryjnie.

Przez chwilę nie mogła go zrozumieć. To był chyba żart, tak? Nikt nigdy z nią nie żartował. Odpowiedziała:

– Ode mnie to nie zależy.

„Szorstka – pomyślał. – Do luzu”. Skierował się ku wyjściu. Nagle usłyszał jej głos:

– Pan nietutejszy?

Zatrzymał się.

– Nie. Z Warszawy.

– O! – wykrzyknęła zdumiona. Potem zapytała: – Dawno pan tutaj?

Odpowiedział. Mówił jeszcze o tym i owym. Obiecał przyjść popatrzeć na jej krowy, które, jak twierdziła, niedomagały.

– Mnie nie tylko krowy interesują – zauważył zaczepnie.

Roześmiała się. „Fajna” – pomyślał zootechnik. Ale w tej samej chwili skrzypnęły drzwi i kobieta natychmiast urwała śmiech. „Nerwowa – stwierdził zootechnik. – Z taką lepiej się nie zadawać”.

Ale w niedzielę po nabożeństwie wybrał się do niej. Ubrany był trochę inaczej niż ci wszyscy tutaj: miał na sobie granatową angielską wiatrówkę, spodnie nieco podniszczone, ale z dobrego materiału. Warszawianin, to się czuło. Ujrzawszy go, Joczysowa nie potrafiła ukryć radosnego wzburzenia. Częstowała go najpierw herbatą i konfiturami, potem namówiła, by został na obiedzie. Podała barszcz ukraiński, pieczeń wołową, pyzy, jabłecznik, makowiec. Pan Tadeusz jadł z apetytem, chwalił, namawiał panią Małgorzatę do picia, opowiadał anegdotki o różnych warszawskich dygnitarzach, a stara pani, matka Joczysowej, drżącym głosem przypominała o zdolnościach kulinarnych córki:

– To ona... ona sama...

O krowach nie było mowy.

Zootechnik Tadeusz Więcek szedł do domu podniecony alkoholem i własnym szczęściem. „To ci kobieta! – rozmyślał. – I do łóżka, i do gospodarstwa. Trochę mrukliwa. Ale, mój Boże, w życiu mi tak dobrze nie było jak u niej. Jabłecznik w dechę, wołowina trochę przytwarda. Nnnic”.

Nagle przystanął, zaskoczony pewną myślą.

„Joczysowa jej jest, nie? Joczysowa! Przecież ta ulica właśnie tak się nazywa: Joczysa. Co u diabła?”

W domu zagadnął o to swoją gospodynię. Opowiedziała mu wszystko o Joczysie i o Joczysowej.

– A za mąż jej nie swatacie? – spytał lokator.

– Jak tak za mąż? Jej pierwszy był bohater! Za kogo jej teraz iść?

– Za kogo, za kogo... – powtarzał z rozdrażnieniem. – Za mężczyznę! A choćby za mnie. Gospodyni spojrzała na niego surowo.

– Joczysowa za nikogo nie pójdzie. Po takim bohaterze nie weźmie pierwszego lepszego. Już by wstydu nie miała. A to święta kobieta, panie.

„Jak święta, to niech sobie siedzi na zydłu – pomyślał ze złością zootechnik. I zdecydował: – Jabłecznik był kwaśny”.

Całą noc myślał o niej. Całował jej wystający podbródek, a ona, z przymkniętymi oczyma i odrzuconą w tył głową, pokorniała mu rozkosznie w ramionach. Obudził się wściekły, że tego nie będzie.

„Dlaczego ma nie być? – buntował się, idąc do pracy. – Będzie!”

Dzień był upalny, zootechnikowi pracowało się leniwie i niechętnie. Wróciwszy do domu, wymył się zimną studzienną wodą i pobiegł do niej. Przywitała go radosnym uśmiechem. Zaproponował jej spacer. Przez chwilę się namyślała, potem kazała mu czekać. Długo oglądała swoje suknie. Z westchnieniem wybrała wreszcie jakąś w groszki.

Kiedy przechodzili przez rynek, kilka osób odwróciło się za nimi, jakaś staruszka zajrzała jej badawczo w oczy. Usłyszeli czyjś przerażony szept: „Ludzie, co to? Joczysowa z

kawalerem...”.

Udali się na to jej wzgórze. Szli powoli. Dzień był bezwietrzny, duszny, oddychało się z trudem. Pokryte kurzem trawy i krzewy zastygły w bezruchu.

– Pięknie tu, prawda? – powiedziała Joczysowa i spojrzała na swego towarzysza oczyma, w których było tyle naiwnego zachwytu, że mężczyzna się zmieszał.

– Tak, pięknie – zgodził się. – Tylko gorąco.

Objął ręką jej talię. Ale Joczysowa łagodnie się usunęła. Usprawiedliwiła się:

– Gorąco.

Wydawało się jej, że ktoś ich podpatruje. Ścisnęła kurczowo mężczyznę za rękę i poprosiła:

– Chodźmy stąd, chodźmy.

Wyszli na szosę. Spacerowali wśród szpaleru pachnących lip, obok białych słupków wytyczających zakręty. Spotykali inne pary i wszystkie one oglądały się za nimi – ze zdziwieniem i rozczarowaniem. Usłyszeli klekot bryki. Minęła ich i zatrzymała się o kilkanaście kroków dalej. Wyskoczył z niej potężny mężczyzna, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, dawny żołnierz Joczysa. Stał w poprzek szosy, nogi rozkraczył, ręce oparł na biodrach – i patrzył. Nic nie powiedział, mruknął coś tylko i wskoczył na powrót do bryczki. Świsnął gniewnie batem.

Joczysowa zdecydowała:

– Musimy kończyć spacer. Niech pan sobie pójdzie. Proszę! – dodała błagalnie.

„A więc to prawda” – pomyślał mężczyzna.

– Jedno słowo – rzekł.

– Słucham.

– Pani... bardzo kochała swego męża?

Joczysowa skinęła kilkakrotnie głową.

– Tak. Tak. Bardzo.

– I nie myśli pani wyjść drugi raz za mąż?

Kobieta zmieszała się. Myśli jej rozbiegły się, na policzki wystąpił rumieniec.

– Za mąż... nie. – Obejrzała się, jakby szukając czyjejs pomocy. – Nie myślę. Nie mogę.

Przez chwilę stała z opuszczoną głową.

– Nie – powtórzyła.

I znów:

– Nie, nie. – Kiedy zobaczyła, że on odchodzi, powiedziała: – Ale...

Przystanął.

– Co?

– Nic, nic. Niech pan już idzie.

Poszedł. „Dziura przekłeta! – myślał ze złością. – Pospacerować z kobietą nie można”.

Na rynku podszedł do niego jakiś siwowłosey mężczyzna w starym mundurze oficerskim bez oznak. Za nim stali dwaj muskularni chłopcy w klubowych koszulkach. Z czoła siwowłosego spływał strugami pot, ale wszystkie guziki munduru miał starannie zapięte. Stuknął obcasami:

– Towarzysz inżynier Więcek?

„Inżynier? Niech będzie”.

– Ja.

– Porucznik rezerwy Ołdak. – Ukłonili się sobie. Porucznik otarł pot z czoła i przesunął ręką po guzikach munduru. – Chciałem zwrócić towarzyszkowi uwagę, że jego zachowanie pozostawia wiele do życzenia.

– Moje za...

– Tak, towarzyszu! Niech towarzysz nie udaje zdziwionego. Chodził towarzysz pod rękę z towarzyszką Joczysową. Czy towarzysz wie, kto to jest towarzyszka Joczysowa? Wdowa po kapitanie bohaterze. Tutaj jest tabliczka, proszę spojrzeć. A towarzysz usiłuje splamić jej godność w oczach Luborza! Skompromitować ją. Pani kapitanowa – to „pani” wystrzeliło niespodziewanie z nawału „towarzyszy” – pani kapitanowa z nikim się nie zadaje. Wypraszamy sobie podobne poufałości. W naszym miasteczku te warszawskie kawały się nie udadzą!

– Ależ dajcie mi spokój! – Wykrzyknął zootechnik. – Przecież chciałem się z nią ożenić!  
Porucznik drgnął.

– Ożenić?

– Tak.

– Mówił jej towarzysz o tym?

– Mówiłem.

– No i?...

– Odmówiła – przyznał niechętnie zootechnik.

Porucznik uśmiechnął się.

– No widzi towarzysz. Bo towarzysz nie zdaje sobie sprawy, kto to jest pani kapitanowa. To postać. Osobistość. A wy... Towarzyszu inżynierze, to jest sprawa polityczna. Tak dalece! Czy nie lepiej byłoby, gdyby towarzysz inżynier zainteresował się którąś z naszych dziewcząt? Byłbym gotów towarzyszowi w tym pomóc. Może wybierzemy się do Mirska? Miałbym świetną partię dla towarzysza inżyniera! Ona zarabia czterysta dniówek rocznie. Skarb, towarzyszu!

Zootechnik odwrócił się i odszedł bez słowa. W tydzień później wyjechał do Mirska.

Wrócił w rozterce: dziewczyna niczego sobie, młoda, zdrowa, pali się do zamążpójścia, czterysta dniówek rocznie rzeczywiście jest. Tylko to nie tamta. Jabłecznik też kwaśny, za to pierogi ruskie były – znakomitość.

Minęły trzy tygodnie i zootechnik znikł z Luborza. Osiadł w Mirsku.

Po jego wyjeździe Joczysowa jeszcze mniej się udzielała niż dawniej. Z poczty wracała wprost do domu. Wszelkie sprawunki załatwiała jej matka. Widywano czasem kapitanową, jak, stojąc w oknie, rozczesywała swe długie, jasne włosy, ale nikt już nie twierdził, jakoby przy tym nuciła. Tylko krawcowa Kopczyńska, która już trzeciego męża pochowała, mogła się poszczycić wizytą Joczysowej. Była u niej i zostawiła materiał do szycia: dwie sukienki, krótki rękaw, kolory żywe, dekolt taki, że wdowie nie przystoi.

W przededniu otwarcia roku szkolnego wybrał się do Joczysowej porucznik Ołdak.

– Pani kapitanowa zna moje uczucia dla niej – zaczął.

I on, i stara matka, która siedziała w kącie pokoju na fotelu, byli zdumieni ostrością jej odpowiedzi:

– Znam! Znam!

Ale zaraz pohamowała się i zapytała spokojnie, tylko głos jej z lekka dygotał:

– Czemu mnie pan nigdy nie nazwie Małgorzatą? Ja mam imię, proszę pana. Zawsze „kapitanowa”, „kapitanowa”...

– Bo ja... Widzi pani, dla nas będzie pani zawsze panią kapitanową. Nigdy nie zapomnimy...

– Ale, panie poruczniku – przerwała mu – pana zapewne sprowadza do mnie jakaś sprawa?

– Tak. Znakomity jabłecznik, proszę pani – zauważył nagle. – I ten piernik – pyszności. Pani sama?

– Sama! Ja wszystko umiem! I przy gospodarstwie, i przy kuchni. Gram na banjo! Pan nigdy nie słyszał?



Odpowiedział zaskoczony:

– Nie słyszałem.

– Zygmunt często mnie prosił: graj. Lubił się przysłuchiwać.

– Tak – powiedział Ołdak – pan kapitan to był dusza człowiek. Właśnie o tym chciałem mówić.

Jej podbródek zeszywniał.

– Proszę.

– Od dawna chcieliśmy już uczcić jakoś trwalej pamięć pana kapitana. I teraz właśnie udało nam się.

– Dom Kultury? – domyśliła się.

– Tak. Chcemy go nazwać jego imieniem. To już postanowione. Tabliczka też już jest.

Więc prosimy uświetnić. Będą przemówienia. Bez pani to wszystko wyjdzie nie tak. Więc prosimy pamiętać: o piątej. Będą dzieci, delegacje, ktoś z województwa. Ksiądz też. Przyjdzie pani?

Domyślił się raczej, niż dosłyszał:

– Przyjdę.

Wyszła z nim na dwór. Tam, szczypiąc listki akacji, zapytała:

– To prawda, że ten pan... pan Więcek?...

– Że ożenił się? Prawda. Z Maciejewską. Więc nie zapomni pani?

– Nie zapomnę!

Prawie krzyknęła. Wbiegła po schodkach do domu. Porucznikowi wydało się, że słyszy jakiś przeciągły spazm.

Przez chwilę stał niezdecydowany, wreszcie machnął ręką i poszedł sobie.

Nazajutrz na próżno jej oczekiwano. Minęła piąta, a kapitanowa wciąż nie nadchodziła.

Wszyscy zebrali się już w komplecie. Był jakiś towarzysz z województwa, delegacje, dzieci, hurma luborzan. U stóp wbitego w klomb masztu leżała biało-czerwona flaga – na maszt miała ją wciągnąć Joczysowa. Ludzie sarkali: „zaczynać!” Orkiestra kolejarzy jeleniogórskich wierciła się w miejscu, instrumenty pobłyskiwały w słońcu i niecierpliwie dędołyły.

Porucznik postanowił pójść do Joczysowej, przynaglić ją trochę. Wiadomo, kobieta, guzdrze się. Trochę niepokoiła go wczorajsza rozmowa. Postanowił zwrócić się o pomoc do księdza, ten potrafi przekonywać. Poszli we dwójkę.

Drzwi otworzyła im stara pani. Ksiądz pochwalił Boga, a porucznik zdobył się na rubasność:

– Co to z panią kapitanową? Zegarek zgubiła? Cały powiat czeka.

Starej latały ręce.

– Na Małgosię? Nie ma Małgosi. Nie ma jej.

Ksiądz i porucznik wymienili spojrzenia.

– Jak to nie ma?

– Nie ma. Wyjechała. Wczoraj wieczorem.

Porucznik przymknął ciężko powieki. Poczul się nagle stary i niedołączny. Stary i głupi.

Ksiądz zapytał rzeczowo:

– Dokąd wyjechała?

– Do Wrocławia.

– Na długo?

– Na zawsze, mówiła. Na zawsze, mamusiu. Napiszę do ciebie, mamusiu, i przyjeżdżaj.

Wszystko rzuć, mówiła, i przyjeżdżaj.

Ołdak usiadł na krześle, ścisnął głowę dłońmi.

– Dlaczego? Dlaczego? – powtarzał. – Tak ją kochaliśmy. Tak się staraliśmy. I pamięć jej męża... i wszystko.

– Nie wiem – mówiła stara. – Nie wiem. Powiedziała: rzuć wszystko, mamusiu, wszystko rzuć. Niczego mi nie trzeba.

Powtarzała, trzęsąc głową:

– Niczego. Niczego.

– Bóg ją wspomóż – wydusił z siebie ksiądz. – Przez pamięć dla wdowiego grosza...

Stara zwróciła się do porucznika:

– To już pan wybaczy...

Ksiądz przypomniał:

– Ludzie czekają.

W milczeniu szli obok siebie – ksiądz i porucznik rezerwy Ołdak. Ciemna, przejrzała zieleń drzew wisiała nad nimi nieruchoma. Tylko drobne liście osiki trzepotały pod muśnięciami nieistniejącego wiatru i iskrzyły się jak zimne ognie. Ksiądz odetchnął głęboko: lubił ten pejzaż. Asfaltowa, wysadzona lipami szosa, białe słupki na zakręcie, wzniesienie porośnięte wrzosem, a za nim, na przeciwległym zboczu – młody sosnowy zagajnik. Nie było go stąd widać, ale wydawało się, że jego żywiczny zapach dociera aż tu.

Nagle ksiądz znieruchomiał. Widział wyraźnie, jak dwie trzymające się za ręce postacie wspinają się chyłkiem na wzgórze. Tak! Kobieta w białej sukience, a on miał na sobie kraciatą, kolorową koszulę.

– Zgroza – szepnął ksiądz. – To żona Pietraka. Zgroza – powtórzył. – Nie można na to pozwolić, panie poruczniku. Nasz obowiązek... Chodźmy!

Porucznik chwycił go za ramię.

– Zostawmy ich – powiedział zduszonym głosem. – Nie trzeba.

Ksiądz wzruszył ramionami. Ach ci partyjni! Nigdy nie wiadomo, na jakim są etapie...

– Zostawmy ich – powtórzył energicznie porucznik. I przypomniał: – Ludzie czekają.

– Tak, to prawda – przyznał ksiądz. – Idziemy.

Po drodze kilkakrotnie jeszcze odwracał się, wypatrując tamtych. Ale już ich więcej nie zobaczył. Zdążyli się ukryć za wzgórzem.

## Portret

Rzuciłem młot w zboże. Do diabła z robotą! Nie będę się zapracowywał na śmierć dla pana Daladiera. Przerwa!

Rozprostowałem ramiona i plecy, aż zatrzeszczało. Mimo wszystko pracowałem uczciwie, nie lubię odwalać roboty byle jak, taki już jestem.

Była godzina pierwsza po południu, słońce piekło, z dojrzałej pszenicy sypał się gorący kurz. Wygramoliłem się ze zboża, w którym spał Armand – rozwalony, jak to on zwykle – i dałem nura w ścieżkę. Potem przesadziłem jakiś płot, przeszumiały nade mną lipy, usłyszałem gdakanie pierzchających kur i stanąłem przed werandą „mojej starej”. Przywitała mnie swoim nieodmiennym uśmiechem, niby dobrym, ale dziwnie przykrym, bo prawie nie miała już zębów. Prosiła siadać. Usiadłem i zaraz poczułem ogromne znużenie. Myślałem ze złością: do diabła z tą szosą! do diabła! do diabła! Stara podsunęła mi pod nos szklankę wina i kawałek bułki. Mówię: nie mam czym zapłacić; a ona na to, że nie trzeba, bo ja jestem swój; nie taki pierwszy lepszy, z szosy, tylko swój, z miasta.

Wszyscyśmy byli na szosie nie pierwsi lepsi. Ale spróbuj jej to wytłumaczyć. Wiedziała swoje i reszta jej nie obchodziła.

Chłptałem więc to niebiańsko zimne wino, chłonałem potworne ilości bułki i niepostrzeżenie, spod oka, zerkalem na portret. Wisiał na ścianie w głębi pokoju. Była to fotografia dziewczyny, jakiej ani ty, ani ja jeszcze nie widzieliśmy. Tak, mów, co chcesz, ale takiej nigdy nie widziałeś. Patrzyłem na nią i z wrażenia przestawałem nawet jeść. A przecież przed chwilą opowiedziałem, jakie to wszystko było świetne.

Aż stara pytała:

– Nie smakuje, Rajmundzie?

A ja nic, tylko patrzyłem. I dziewczyna z fotografii patrzyła na mnie także. Miała łagodne, duże oczy, tkliwe spojrzenie, ciemne, miękkie włosy i z lekka wydymające się wargi. Uśmiechnąłem się do niej w myśli, zacząłem się nawet przekomarzać, w ogóle robiłem głupstwa. W pewnej chwili (prawdopodobnie przymknąłem właśnie oczy) wydało mi się, że przytulam usta do jej ust – i z wielkiego przejęcia serce zaczęło mi łomotać w piersi. Stara zapytała:

– Co ci się stało, Rajmundzie?

Odparłem pytaniem:

– Więc pani ma córkę?

– Tak, pracuje w mieście. Ale wkrótce przyjedzie.

– Jak jej na imię?

– Yvonne.

– Yvonne – powtórzyłem. – Pięknie. Naprawdę.

Podziękowałem i odszedłem. Wróciłem na szosę, wyciągnąłem młot z pszenicy (Armand ciągle jeszcze spał) i rozbijałem kamienie jak nigdy. Ostatecznie szosa nie jest dla jakiegoś tam sobie ministra – jest dla ludzi, dla całej Francji. Majster nigdy jeszcze nie był ze mnie tak zadowolony. A ja biłem młotem w skalne bryły – nie żałowałem ramion, nie – i myślałem: „To dla ciebie. Dla ciebie, Yvonne”.

Co tu gadać – byłem zakochany. Codziennie rzucałem na pół godziny młot – najpierw w pszenicę, potem już na ściernisko, bo zdążyli zżąć – codziennie przybiegałem do mojej starej i przypatrywałem się fotografii. Pytałem starej:

– Kiedy córka przyjedzie?

Odpowiadała:

– Już wkrótce.

I uśmiechała się bezzębnymi ustami. Miała straszliwie puste oczy, zupełnie bez wyrazu, martwe. Ale nie zwracałem na nią uwagi, cóż mi tam ona. Spoglądałem na portret i kiedy starej nie było, robiłem do Iwonki miny. Albo zwierzałem się, oczywiście w duchu: „Kocham cię. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham”.

Po pracy wlokłem się zmęczony do domu z młotem przerzuconym przez ramię. Oszczekiwały mnie złe, krwiożercze, wiejskie psiska. I jak zwykle szumiały drzewa. A ja szedłem i marzyłem.

Marzyłem tak: Teraz nie mam nic, tylko kąt i ławę, na której śpię. Cóż, jestem jedynie uchodźcą, świadkiem klęski. Ale przyjedzie Iwona, a ja zegnę swoje plecy i będę pracował, harował, napnę mięśnie, nie poskąpię tchu. Usta będę całował, oczy, usta i oczy, wszystko. Wynajmiemy sobie izbę – wybielimy ją, wstawimy stół i ławkę. A kiedy będę wracał z pracy, nieludzko zmęczony, ona będzie czekać na progu. Rzuci się na mnie, a wtedy ja powiem: hola! Najpierw muszę się umyć.

A co dalej?

Nie wiem. Znosi się na wojnę. Ale dla nas to nie nowina. Znowu wezmę karabin do ręki. Obronię ją.

Przyszedłem do domu, położyłem się na swojej ławie, wyjąłem spod wezglówka kawał bułki i chciwie ją jadłem. Znowu marzyłem.

A więc powiem: „Muszę się umyć”. Umyję się i wtedy ona... no, wtedy to już się będziemy całować.

Zjadłem bułkę i marzyłem dalej. Zapytam:

– Masz coś do zjedzenia?

Ona powie:

– Naturalnie. Kluski na mleku. Lubisz?

Psoznica! Lubię? Przepadam! Iwona przygląda mi się, jak łapczywie jem, gładzi mnie po włosach i szepcze: „Mój dobry, pracowity chłopiec... mój kochany chłopiec...”.

Łzy zakręciły mi się w oczach... Kiedy ona wreszcie przyjedzie?

Zasnęłam, a przez sen ciągle słyszałem szept: „Mój dobry, pracowity chłopiec... mój kochany chłopiec...”.

Przez kilka dni powtarzałem całą tę swoją opowieść temu leniuchowi Armandowi. Nie dawałem mu spać w rowie, dokąd teraz chronił się przed słońcem.

– Nie, Armand, dosyć tego spania. Słuchaj.

I zaczynałem:

– Będę pracował jak osioł. Rozwałę trzy razy tyle kamieni co dziś. I będę wracał nieludzko zmęczony. Młot, uważasz, będzie mi po prostu z ręki leciał. Pot będzie lał się ze mnie strumieniami. Przyjdę, chwieję się ze zmęczenia, a ona stoi na progu, chwilę patrzy i biegiem do mnie. I zechce mnie całować. Ale teraz, uważasz, Armandzie, powiem: hola! muszę się wprzód umyć.

Pytał:

– Kiedy to będzie?

– Już wkrótce. Jak tylko ona wróci z miasta.

– Czy pozwolisz mi przynieść jej czasem coś do wyprania? – zagadywał niepewnie Armand.

– Nie wiem jeszcze. To zależy, czy ona zechce pracować. Ale wolałbym, żeby lubiła pracować i żebym ja harował jak osioł. I żebym, mimo zmęczenia, potrafił się do niej uśmiechać. To wspaniała dziewczyna, Armandzie, mówię ci.

– Wierzę – odpowiadał.

Trudno było mi nie wierzyć, taki byłem zakochany. Wieczorami leżałem na swojej ławie, rozprostowując znużone mięśnie, i tylko o niej myślałem. A przed snem zawsze powtarzałem sobie jak pacierz: „mój kochany chłopiec” – i twardo zasypiałem.

Tylko raz nie mogłem zasnąć. Było to wtedy, kiedy stara powiedziała mi:

– Rajmundzie, jutro przyjeżdża moja córka.

Kręciłem się niespokojnie całą noc, układając sobie, co to jej jutro powiem. Chyba powiem tak: Będę rozbijał trzy razy więcej kamienia. Wybielimy sobie izbę, wstawimy stół i ławkę. Kocham cię bardzo. Armand może poświadczyć, że ciągle mówię tylko o tobie. A jeśli wybuchnie wojna – wezmę karabin do ręki. Obronię cię! Tylko bądź ze mną, bądź ze mną – powtórzę to kilkakrotnie, to dobrze zrobi.

Nazajutrz była niedziela. Włożyłem czystą koszulę, wyprałem kombinezon w strumyku, wysuszyłem go na sobie, przyczesalem włosy i przejrzałem się kilkakrotnie w szybie. Podobałem się sobie bardzo. Stara przywitała mnie jak zwykle: bezzębnym uśmiechem. Kazała mi usiąść, ale mnie nie do tego było.

– Czy jest córka? – zapytałem.

– Jest. Zaraz ją zawołam... Iwonka!

Serce zaczęło mi kołatać, już wiecie jak. Spojrzałem na portret w głębi pokoju: piękna! po stokroć piękna! Zaraz jej to powiem. Zaraz jej wszystko powiem.

– Iwonka! – zawołała znów stara.

W tej chwili na werandę weszła wysoka, chuderlawa kobieta po trzydziestce. Miała szare włosy, szare oczy i szarą suknię, a twarz ziemistą. Stara przedstawiła nas sobie:

– Moja córka Yvonne. Pan Rajmund z Warszawy.

Zdębiałem. Po chwili pojąłem, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

– A druga córka? – spytałem.

– Nie mam drugiej córki – odpowiedziała stara.

Wodziłem dokoła błędnymi oczyma. Jak to nie ma? A tamta? Dziewczyna na portrecie wydymała słodko wargi i uśmiechała się.

– A ta?

Wówczas starucha spojrzała na portret, jej chuderlawa córka też, wszyscy tylko na tamtą patrzyli.

– To ja – wyjąkała starucha. – Ja – powtórzyła.

Usiadłem i zwiesiłem głowę. Szepnąłem:

– Więc ta dziewczyna wcale nie istnieje?

– Dlaczego? Istnieje. To przecież ja – powtórzyła stara. W twarzy jej było coś okrutnego.

– Zmieniłam się, prawda?

Podniosłem się ciężko z ławki. Bąknąłem „przepraszam” i popędziłem przed siebie. Psy goniły za mną jak wściekłe. Wybiegłem na szosę i rzuciłem się do rowu. Nic mi nie dawało ulgi. Nawet to, że położyłem się na ziemi, rozcapierzyłem palce i płakałem.

Tego dnia nie tknąłem ani kęsa. Wieczorem położyłem się na swojej ławie w powalonym ziemią kombinezonie.

Kiedy zapadła noc, otworzyłem okno. Były gwiazdy i tak dalej, lipy szumiały i pachniały niemal tak silnie jak gnój z obory. Powoli, powoli, ciągle łkając, zapadłem w sen. I znów – poprzez szum lip i topól – słyszałem: „mój biedny chłopiec... mój dobry, kochany, pracowity chłopiec...”.

Nazajutrz wszystko szło mi niemrawo. Armand przyglądał mi się podejrzliwie i pytał:

– Cóż tam, twoja nie przyjechała?

Nie odpowiedziałem. Kiedy przyszła godzina pierwsza, rzuciłem rozgrzany młot do rowu i powiedziałem:

– Słuchaj, Armand. Słuchaj mnie uważnie.

– O niej?

– Tak, o niej. Będę pracował dla niej jak osioł, wiesz o tym. Dzisiaj to nic, nie zwracaj na to uwagi. Kiedy ona przyjedzie, rozwałę trzy razy tyle kamienia co dziś. Kiedy będę wracał do domu, ona będzie czekać na progu. I rzuci się do mnie, żeby mnie całować. Ale tu, uważasz Armandzie, tu powiem: nie, kochanie, tak nie można, przecież jestem spocony, muszę się najpierw umyć.

– Dawniej mówiłeś, że krzykniesz „hola!”

– Rozmyśliłem się. „Kochanie” – to będzie lepiej. A teraz pójdę sobie popatrzeć na jej portret. To wspaniała dziewczyna, Armandzie, wierz mi. No, idę.

– Poczekaj – zawołał Armand. – Czy pozwolisz mi przynieść jej czasem coś do wyprania?

– Myślę, że tak – zgodziłem się.

I poszedłem ścieżką do wsi.

## Ojciec

Potem wysłali nas do Afryki.

Tu było znacznie gorzej. Obozowaliśmy na takiej lokalnej pustyńce pod Algierem. O kilka kilometrów od naszego obozu kwitły pomarańcze, kołysały się plantacje oliwek i trzciny cukrowej, szumiały jeziora pszenicy. A u nas – suchy, szorstki od żwiru piasek, rozpalone niebo, ziejący ogniem brezent namiotów. I sierżant René – gruby, wcale niezły, ale potwornie głupi. W ustach miał zawsze trzy słowa: „Pétain, Darlan i historia”. „Pétain, Darlan i historia wiedzą o tym lepiej, chłopcy”. Za tych „chłopców” nawet lubiliśmy go – był głupi, ale mogliśmy trafić gorzej.

No więc poszliśmy do pracy, do budowy szosy, jak to my zwykle. Pracowałem dobrze, przynajmniej, myślałem sobie: „Hoho, jeszcze nie wiadomo, kto po tych drogach będzie jeździć”. A w ogóle nie lubię próżnować, taki już jestem, wiecie o tym dobrze. Rozwalałem młotem granitowe bryły, deptałem bosymi nogami po graniastym kamieniu szosy, a najbardziej lubiłem rozładowywać piasek morski, bo czasem był jeszcze chłodny, jeszcze wilgotny, pachniał morzem i wodorostami. Z rana było zupełnie przyjemnie. Powietrze było czyste, świeże, drgające, słońce łagodne, piasek chłodny; obok szumiała pszenica i szemrał strumyk – przyjemniej było niż u nas w obozie. Dopiero później niebo rozplómięło się, słońce buchało żarem i lało potoki ognia. Piasek parzył mi stopy, a kamień, no mówię wam – po prostu płonął. Spróbuj na nim ustać! Inni mieli jakieś takie buty, tylko ja nie. Biegałem z kilofem po tych kamieniach, przestępowałem z nogi na nogę, z bólu chciało mi się wyć, ale trzymałem się, już taki jestem, wiecie o tym.

– René – poprosiłem wreszcie kiedyś sierżanta (tak nazywaliśmy go wszyscy: po prostu René) – pozwól mi odpocząć. Widzisz przecież, że nie mogę ustać na nogach.

– Do diabła, szczeniaku! – powiedział René. I wybuchnął gniewem: – Do diabła, czy to ja jestem winien, że jesteś bosy? Gwiżdż na to! Odpocznij, szczeniaku, póki słońce trochę nie zjedzie w dół. Połóż się tam, w pszenicy.

Biegając we wskazanym kierunku słyszałem, jak René mrucał:

– Pétain, Darlan i historia... *merde!*

Potem była rozkosz: zielonozłota pszenica i ciepły, wilgotny szmer strumyka. Poszedłem trochę wzdłuż brzegu, żeby oddalić się od kolegów: chciałem dać nura w zboże, zanurzyć nogi w wodzie, położyć się brzuchem do góry, przez chwiejące się kłosa oglądać niebo – i marzyć. Marzyć, *sacrebleu!*

Nie wiem, jak długo siedłem, pewnie długo, bo kiedy obejrzałem się, nie widziałem już nikogo. Usiadłem na ziemi, nogi w wodę – tak jak tego pragnąłem (René, jakżem cię wtedy błogosławił!) – i wyjąłem chleb, pszenny razowiec, piekielnie smaczny, mówię wam. Ale nie zdążyłem przełknąć pierwszego kęsa, kiedy usłyszałem nagle z tyłu głos:

– Chleb?

Odwrociłem gwałtownie głowę. W pszenicy stał Arab, stary, brodaty, w brudnym ciemnym zawoju, w podartym chałacie. Jak wyglądała jego twarz? Nie wiem, nie pamiętam. Arab jak Arab, z bródką – i to wszystko. I na ramieniu trzymał łopatę.

– Chleb? – powtórzył ochryplym głosem pytanie.

Skinąłem głową:

– Chleb.

Arab zbliżył się. Zboże zaszeleściło.

– *Très bien*. Bardzo dobrze. Chleb jest – dobrze. Chleb nie ma – źle. Prawda?

– Prawda – powiedziałem. I pomyślałem sobie: „Idź do diabła, daj mi zjeść mój chleb, słońce zaraz zjedzie w dół i muszę wracać. René się wścieknie”.

Arab stał i patrzył na mnie (ciągle trzymałem nogi w strumyku i tylko głowę miałem odwróconą), patrzył na mój kawałek chleba i milczał. Potem nagle rzekł:

– Będzie bułka.

Powiedział to cicho, jakby mi chciał powierzyć jakąś tajemnicę. Wstałem.

– Co powiadasz? – spytałem.

– Będzie bułka – powtórzył Arab. – Biała, długa bułka. Biała, smaczna bułka.

– Siadaj – powiedziałem. – Siadaj, pogadamy.

Usiedliśmy obok siebie, nogi oczywiście zanurzyliśmy w wodzie.

– Skąd wiesz, że będzie bułka? – zapytałem.

– Pszenica już dojrzeła – powiedział Arab. – Zaczniemy zbierać. Potem zawieziemy do młyna. Młyn jest nad wodą, ma duże koło. Zmielemy, mąka będzie biała – biała. Będzie bułka.

– Czy to twoje pole? – zapytałem dla pewności.

– Nie. To pole Fajzi el-Kariba. Ale ja tu pracuję. Wyrwam chwasty. Zamykam i otwieram dopływ wody. Fajzi obiecał mi dwa worki pszenicy. Fajzi powiedział: „Jak zbierzemy pszenicę, dostaniesz dwa worki”. Zawieziemy ją do młyna, zmielemy na białą – białą mąkę, będzie bułka. Czy wy codziennie dostajecie chleb? – zapytał nagle.

– Codziennie.

– Dobry?

– Skosztuj.

Odłamałem kawałek chleba. Nieduży, bo sam byłbym głodny. I tak jestem zawsze głodny. Jedliśmy obaj w milczeniu. Kiedy zjedliśmy, Arab znów stwierdził:

– Chleb – dobrze; chleba nie ma – źle.

I zapytał mnie:

– Francuz?

– Nie, Polak.

Pomyślał chwilę, nagle coś sobie przypomniał, bo zapytał:

– Wojna? Hitler?

– Tak. Byłem w Hiszpanii. Słyszałeś?

Słyszał o Hiszpanii. Jeszcze by nie! Każdy muzułmanin wie, co to jest Hiszpania.

– Kiedy zbierzecie pszenicę? – spytałem.

– Za tydzień zaczniemy.

– Potem będzie bułka?

– Długa, biała bułka. Fajzi obiecał dwa worki mąki. Moja żona upiecze bułki. Przynoś mi chleb, ja ci będę dawał bułki, co?

– Dobrze – zgodziłem się. I pomyślałem: „Ba, ale czy to mi się opłaci?”.

– Dawno z domu? – zapytał Arab.

– Trzy lata – obliczyłem szybko.

– *Le père* gdzie? Pewnie tęskni. I tobie bez ojca też smutno.

– Smutno. Ojciec daleko, w Warszawie. Warszawa, słyszałeś?

Arab pokiwał głową:

– Słyszałem, tam była wojna. – I nagle zaproponował: – Polak, ja będę twój ojciec. *Ton père*. Ja będę, co?... *Ton papa*. Co?

Przyznaję, że coś mnie ścisnęło w sercu.

– Ty?

– Nie chcesz? Twój ojciec daleko, twój ojciec *à Varsovie*. Ja będę ojciec, *le père*, *le papa*... Ja nie mam dzieci. Gdybym był bogatszy, kupiłbym sobie drugą żonę, miałbym dzieci. Nie jestem bogaty, jestem już stary, nie będę mieć syna. Polak, słuchaj, ty będziesz moim synem.



*Mon fils, bien?*

– *Bien*. Nazywam się Rajmund.

– Ja cię będę nazywać Rajmund-beg, Rajmund-aga, Rajmund-światło światłości. Będę mieć syna, a ty ojca, *papa*... Przyniesiesz chleb?

– Przyniosę – powiedziałem. Teraz mi się żal zrobiło, że wszystko sam zjadłem. Trzeba mu było dać jeszcze trochę, nic by mi się nie stało. No to co, że jestem głodny, wielka mi rzecz. *Le père!* Tu, na pustyni pod Algierem! Uściskam dziś samego René, słowo daję.

A Arab siedział, patrzył na przepływającą leniwie wodę i opowiadał:

– Fajzi powiedział, że da dwa worki pszenicy. Pojedziemy do młyna i zmielemy. Moja żona ugotuje kluski, upiecze bułki – zaprosimy cię do nas na kluski i bułki. Ona nie rodzi dzieci, ale za to dobrze gotuje. Ty przyniesiesz chleb, niech i ona zje kawałek waszego wojskowego chleba. Przyniesiesz?

– Przyniosę.

– Bułki będziemy jadać razem.

– Dobrze, *mon père*. – I nagle powiedziałem czule: – *Mon papa*, muszę już iść. René się tam wścieknie. René to nasz sierżant. Słońce już trochę zjechało w dół, sam widzisz. René puścił mnie tylko dlatego, że jestem bosy i nie mogę wytrzymać, kiedy kamienie parzą zbyt mocno.

*Adieu, mon papa!*

– *Adieu, mon fils*. Przynieś chleb.

– Przyniosę.

René powitał mnie gniewnie:

– Gdzieś był, szczeniaku? Poczekaj, już ja cię drugi raz puszczę! *Pétain, Darlan* i historia – *nom de nom de dieu!* – a ja muszę się z wami użerać!

– René – zwierzyłem się – znalazłem ojca.

– Ojca! Skąd? Gdzie? Też jeniec?

– Nie, René. To jest stary, brudny, biedny Arab, ale on będzie moim ojcem. A jak mi dasz wolne, pójdę do wsi, do jego chaty, René.

– Ojciec... *merde!* Bierz się za kilof!

Wziąłem się za kilof i pracowałem, myśląc: Nie wrzeszcz, durniu, nie wiesz jeszcze, dla kogo tę drogę buduję. Mój ojciec to stary, brudny, biedny Arab, ale zawsze to ojciec.

I odtąd codziennie na tym samym miejscu i o tej samej porze – kiedy kamienie parzyły mi nieznośnie stopy – spotykałem się z Arabem, moim ojcem. Przynosiłem mu chleb, opowiadałem o Polsce, a on – o Fajzim, o dwóch workach ziarna, o młynie nad wodą (młyn ma duże, duże koło), o mące białej – białej, o żonie, która nie rodzi, ale umie piec i gotować – jak ona to umie! A jeszcze Fajzi ma dać pomarańcze i bańkę oliwy, i chałat.

Na pole wyszli kosiarze, w chałatach, w zawojach, żęli łany pszenicy. Wyglądało to tak, jakby ziemię powoli obnażali z sukien. Strumyk wysechł, bo wodę skierowano na inne tereny. Pole ogołocono, nie miałem już więcej gdzie kryć się przed słońcem. Wyciąłem sobie z namiotu kawałek brezentu i uszyłem sandałki, ale po dwóch dniach rozleciały się, i jeszcze dostałem karniaka za niszczenie dobra państwowego, którym tylko „*Pétain, Darlan* i historia” mogą rozporządzać.

Z Arabem – moim ojcem – ciągle się spotykałem. Najczęściej rozmawialiśmy tak:

– *Mon papa*...

– *Mon fils*...

I to wszystko. Mnie to wystarczało. To było na pustyni, miałem 19 lat. René stawał się coraz bardziej gburowaty. Słyszeliśmy, że Niemcy doszli do Dniepru, może dlatego.

Kiedyś Arab powiedział mi:

– Rajmund, mój synu, nadszedł czas, że możesz nas odwiedzić. Jutro jest niedziela i wy macie święto. Przyjdź do nas jutro, Fajzi dał dwa worki mąki.

Ucieszyłem się bardzo:

– Więc dał?

– Tak, będzie bułka. I kluski. Jutro będzie długa biała bułka i białe kluski z kozim mlekiem. Nie jedz jutro chleba, Rajmundzie, przynieś całą swoją porcję. Moja żona nigdy nie próbowała waszego wojskowego chleba, przynieś i poczęstuj ją. Przyniesiesz?

– Przyniosę.

– Dom mój poznasz łatwo. To bardzo stara lepianka, Rajmundzie, ale niech cię to nie smuci. Pójdiesz ścierniskiem, natrafisz na glinianą lepiankę, a przed nią będą rosły trzy oliwki. Oliwki to własność Fajzi, ale za to lepianka jest moja. Własna!... Trafisz?

– *Oui, mon papa...* Trafie.

Wieczorem męczyłem René:

– René, pójde jutro do wioski, daj przepustkę.

– *Au diable*, nie dam! Dwa miesiące temu uciekł Armand, a teraz chcesz ty! Dokąd uciekacie? Do Brazzaville? *Merde*, gwizdź na to, uciekajcie. A kogo będą za to tłuc, pytam, co? Pétain...

– René – przerwałem mu – po co mam uciekać, kiedy Niemcy przekroczyli Dniepr? Jak się będą cofać, to ucieknę. Ale teraz – po co?

Tym go przekonałem: dostałem przepustkę. Nazajutrz wziąłem swoją porcję chleba i poszedłem ścierniskiem do wsi. Pokrwawiłem sobie nogi, niech to diabli. Ale najgorsze, że po drodze zjadłem większą część chleba. Chciało mi się bardzo jeść, chleb pachniał, był smaczny, czarny, z różnymi takimi świństwami w środku, ale naprawdę smaczny, piekielnie smaczny. No i zacząłem odrywać po kawałku, bo pomyślałem sobie, że oni teraz mają przecież mąkę i bułki, i kluski, to po co im mój chleb? A jeśli żona *de mon père* chce spróbować wojskowego chleba, to przecież wystarczy jej tylko kawałeczek. No i właśnie taki kawałek chleba zostawiłem i włożyłem do kieszeni.

Lepiankę Araba odnalazłem łatwo, stała pochylona, przygięta, starcza, za trzema smukłymi oliwkami. *Mon père* wyszedł na próg i witał mnie przyciśnięciem dłoni do czoła, ust i piersi. Wprowadził mnie do ciemnej izby, nagiej i zakopconej. Pokazał mi żonę – była to pomarszczona, maleńka staruszka. Stała przy kuchni zastygła w nienaturalnym uśmiechu.

– To nasz syn – przedstawił mnie Arab.

– Ty jesteś moją matką – powiedziałem jej. Uśmiechała się nadal tak samo, bez wyrazu, jak mumia.

– Ona nie rozumie po francusku – wyjaśnił ojciec.

Podszedłem bliżej, zjrzałem do dużego czarnego garnka: był pusty. Dotknąłem ręką kuchni: była zimna. Zdziwiło mnie to, ale nic nie powiedziałem. Arab sam wyjaśnił:

– Rajmund-aga, muszę ci coś wyznać. Fajzi nie dał nam pszenicy. Powiedział, że w tym roku za mało zebrał i nie może dać. Powiedział, że da mi jęczmień. Rajmundzie, z jęczmienia nie można, niestety, robić długich, białych bułek. Ale Fajzi obiecał, że na przyszły rok da pszenicę. Na przyszły rok będę miał bułki, Rajmundzie.

Ścisnęło mnie w gardle. Wykrztusiłem:

– *Mon père, mon pauvre père...* Fajzi jest niedobry człowiek. Ja ci to mówię, strzelałem w Hiszpanii do takich Fajzich.

– Na przyszły rok będzie bułka.

– Mój biedny ojciec...

– Fajzi obiecał, że na przyszły rok da trzy worki pszenicy. Słyszysz? Trzy worki... A

teraz siadaj i wyjmij swój chleb. Pożywimy się.

Wyjąłem z kieszeni chleb, ale palce mi zadrżały, upadł na podłogę. Arab pochylił się natychmiast i podniósł go.

– To wszystko? – zapytał.

– Wszystko. Myślałem, że macie bułkę i przyniosłem tylko dla twojej żony, żeby spróbowała naszego wojskowego chleba. Bardzo mi się chciało jeść.

– Jeść mu się chciało! – krzyknął gniewnie Arab. – Taki mały kawałek chleba chciał mi dać za moje kluski i moją bułkę! Oszust! Francuski oszust! Za bułkę i kluski przyniósł taki kawałek chleba!

– Ależ ojciec...

– Ojciec! On mi mówi ojciec! A co mi dajesz za kluski i bułkę? Jesteś oszust!

Spojrzałem na niego zdumiony – i nagle zrozumiałem. Wybiegłem z lepianki, przez chwilę stałem nieruchomo, potem znów zerwałem się i poszedłem długim krokiem przez kolące ściernisko. Do obozu, do namiotu. Wypłacę się. Potem ucieknę. Ucieknę stąd do Brazzaville, do Konga albo do Dakaru, dokądkolwiek.

Nagle usłyszałem, że Arab biegnie za mną. Przyspieszyłem kroku, pościnane łądygi raniły mi łydki, bolało – lepiej, że boli.

– Stój! – krzyczał Arab. – Rajmund-aga, stój!

Nie odpowiadałem. Biegłem. „Czegoż on jeszcze ode mnie chce?” – myślałem z rozpaczą.

– Rajmund-beg, stój! Stój!

Nie miałem już siły biec, tamten chyba też, broda mu się trzęsła, chałat rozwiewał się na wietrze.

– Stój! – krzyczał. – Fajzi obiecał, że da trzy worki! Na przyszły rok będzie bułka!

Przynies jutro chleb, na przyszły rok będzie bułka!

Znowu szedłem długim krokiem, Arab za mną. Słyszałem tylko pojedyncze słowa:

– Fajzi obiecał... Młyn... Bułka. Bułka. Bułka.

I nagle odwróciłem się i krzyknąłem:

– Ja nie chcę bułki! *Merde!* Ja chcę ojca! *Le père!*

Arab stanął nieruchomo. Szedłem dalej. Szedłem – i w gorączce, w złości, w dławiącej krtani rozpaczliwie powtarzałem:

– Ja chcę *le père... le père...*

I jeszcze czulej:

– *Papa...*

## Wielki bieg Deptały

Trzydzieści dwie minuty cztery sekundy – 32:04 – tak przedstawiał się cyfrowo wynik Deptały. I oto tyle hałasu? – zapyta ktoś rozzuchwalony dzisiejszymi rezultatami. A jednak człowiek, o którym mówiono, że przebiegł dziesięć kilometrów w tym właśnie czasie, przez kilka tygodni trzymał w napięciu polski świat sportowy. Niepojęte? Cofnijmy się do czasów, w których to się działo, a zrozumiemy.

Była późna wiosna 1946 roku. Sport polski nie wyrównywał jeszcze strat poniesionych przez wojnę. Na mistrzostwach kraju uzyskiwano żałosne rezultaty, gorsze od osiągniętych obecnie na prowincjonalnych zawodach międzyszkolnych. Marzono o wynikach, o międzynarodowych zwycięstwach, o nowych Kusocińskich i Kucharskich. Każde pchnięcie kulą ponad trzynaście metrów, każdy bieg na 5 km niżej siedemnastu minut był przyjmowany – i zupełnie słusznie – za zapowiedź odrodzenia. Ale wszystko to było tak dalekie od jakiegokolwiek klasy mistrzowskiej, od prawdziwego wyczynu!...

W tę atmosferę wpadł niespodziewanie wynik Deptały. Przyniosło go jedno z naszych pism sportowych. Tytuł: „32:04 – świetny wynik Deptały w biegu na 10 km”. Podtytuł: „Nieznany polski zawodnik gromi biegaczy szwedzkich”. O, to było warte czytania. Przeczytałem tę wiadomość chyba z pięć razy i nic dziwnego, że potrafię ją jeszcze dziś przytoczyć z pamięci: „Od naszego korespondenta w Gdańsku, tel. wł. Wczoraj w godzinach rannych przybył do Gdańska szwedzki statek pasażerski «Hrabia Bernadotte» wiozący na swym pokładzie ponad 300 repatriantów polskich. Znajduje się wśród nich Stefan Deptała, były marynarz internowanego w Szwecji podczas wojny polskiego statku s/s «Wojciech». Biegać zaczął Deptała w Szwecji, gdzie odniósł liczne sukcesy. Ostatnio wygrał w Svendö wielki bieg na 10 km, w którym pokonał doborową stawkę szwedzkich biegaczy: Jacobsona, Linharta i Björnga. Czas 32:04 – najlepszy z uzyskanych u nas po wojnie – rokuje nadzieję, że po systematycznym treningu Deptała będzie w stanie odnosić sukcesy na arenie międzynarodowej”.

To było wszystko. Nazajutrz dzienniki przedrukowały tę wiadomość, zaopatrując ją w bardzo dowolne komentarze. Najczęstszy tytuł tych wzmianek brzmiał mniej więcej tak: „Czyżby nowy następcą Kusocińskiego?”. Jedno pismo zamieściło obszerniejszą korespondencję: wywiad z Deptałą, dokonany w jego mieszkaniu, we wsi pod Sosnowcem. „Rolnik spod Sosnowca gromi szwedzkich mistrzów” – brzmiał tytuł tego artykułu. I znowu, że Jacobson, że Linhart, że Björg. Te nazwiska oddziaływały na naszą fantazję, szczególnie ten Björg przez ö był przekonujący.

W sporcie zaczął się ruch. Wynik Deptały poruszył młodzież. Wylegli na bieżnię. Pobiec z Deptałą! Usłyszeć od niego o szwedzkich długodystansowcach! Czy widział fenomenalnego Gundera Haegga? Jak on trenuje, że uzyskał takie wyniki?

Sam Deptała prawie się nie odzywał. Nie było żadnych jego oświadczeń ani wyników. Siedział w swoim Jackowie czy Pęckowie i doprowadzał do porządku zrujnowane gospodarstwo. Zaproszono go do biegu ulicznego w Sosnowcu. Odpowiedział odmownie: nie trenuje, nie ma kiedy. Czy w tym roku w ogóle nie będzie startował? Odpowiedział: będzie, na mistrzostwach Polski. We wrześniu! Czekaliśmy tego września z niecierpliwością. Tymczasem...

– Pojedziecie do Deptały – poleciał nasz redaktor naczelny Adamowi, który prowadził u nas dział sportu. – Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o nim samym. Nie ma u nas jeszcze masowości – trudno, zajmijmy się jednostkami. A w ogóle co to za Svendö? Na mapie nie mogłem tego znaleźć. Aha, i przywieźcie jakieś zdjęcia.

W trzy dni później, już dobrze po północy, obudziło mnie stukanie do drzwi.

Otworzyłem: Adam! Z walizeczką, z płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Będę mógł u ciebie przenocować? – zapytał. – Idę z dworca. Byłem u Deptały.

Oczywiście ucieszyłem się bardzo. Zaparzyłem mu mocną herbatę, poczęstowałem tym i owym...

– Więc Svendö? – spytałem.

– Miasteczko koło Göteborga. Duże tradycje sportowe. Bieg, o którym mowa, odbył się na wiosnę, na otwarcie sezonu. 32:04 w tych warunkach to bardzo dobry wynik. – Zaczął obliczać. – Stać go w tej chwili, powiedzmy, na równe 31 minut.

– A on sam? Młody?

– Z tym jest gorzej. Ma 29 lat. Oczywiście, dla długodystansowca nie jest to jeszcze sygnał do wycofania się, ale... Widzisz, w tym wieku trzeba już było do czegoś dojść. Ma żonę i dziewięcioletniego synka. Przywiozłem zdjęcia...

Mniejsza o żonę i synka, ale od fotografii Deptały nie mogłem długo oderwać wzroku. Szczupła, sympatycznie mysia twarz ze zgrubieniami poniżej policzków, przy kącikach ust. Ulizane gładko włosy z wyraźną krechą przedziału. Uderzał wygląd jego oczu: zupełnie jak u dziecka! Dorosły mężczyzna, ojciec dzieciom, chłop, marynarz, biegacz – i raptem takie długorzęse, niewinne oczęta.

– A budowa? – spytałem.

– Szczupły, wyższy niż średniego wzrostu, lekko przygarbiony. Jego bieg to zupełny prymityw – nie ma pojęcia o stylu. Nie ma również pojęcia o gimnastyce Kusocińskiego. Jeśli nauczy się tego wszystkiego, to będzie go można szacować wyżej. – Adam zrobił tajemniczą minę.

– Ile? – spytałem zaintrygowany.

– 30 minut – powiedział uroczyście Adam. Sypał tymi minutami, jak mu się chciało. Już wtedy czułem, że należy być ostrożniejszym w horoskopach. Adam mówił niefrasobliwie dalej: – Z tych trzech Szwedów najlepszy jest jednak Jacobson. Deptała twierdzi, że teraz, kiedy Haegg został zdyskwalifikowany, Jacobson nie ma równego sobie w Szwecji. Opowiadał mi jeszcze o jakimś niesamowitym stadionie: bieżnia z dziesięciotorową prostą, 800 metrów okrążenie. Co ty na to? Rozmach!

– Ale przepisy... – zaprotestowałem nieśmiało.

– Rozmach! – powtórzył z przekonaniem Adam. – Dziesięć torów, fiu, fiu!

Rozmawialiśmy do trzeciej nad ranem. Nazajutrz Adam sporządził artykuł, który zatytułował: „As dziesięciotorowej bieżni”. Było w nim i o Jacobsonie, i o tym, na co stać Deptałę, i że przykład musi brać z „Kusego”, i że jeszcze przez jakieś 7– 8 lat może odnosić sukcesy na długich dystansach. Do tego zdjęcia i tabela najlepszych tegorocznych wyników na 10 km. Na pierwszym miejscu Deptała (32:04), potem długo, długo nic i wreszcie Wielosz z czasem o przeszło półtorej minuty gorszym.

W końcu sierpnia miały się odbyć w Oslo mistrzostwa lekkoatletyczne Europy. W związku z tym do redakcji napływały listy, niektóre bardzo groźne: „Żądamy wysłania Deptały do Oslo?”. Polski Związek Lekkoatletyczny zorganizował obóz dla wyjeżdżających. Zaproszono Deptałę. Nie przyjechał! „Teraz mamy akurat żniwa i jak tak rodzinę zostawić bez pomocy? – pisał. – Sześć lat nie było w chałupie męskiej ręki. Nie mogę pojechać do żadnego Oslo, a jeszcze, że jestem bez formy”. Kilka gazet zamieściło artykuły, w których pisano bez ogródek, że „Deptała uchyla się od startu”. Jedna podawała nawet w wątpliwość wynik uzyskany w Svendö, przypuszczając, że Deptała przebiegł o 2– 3 okrążenia za mało. Natomiast samego biegu i dziesięciotorowego stadionu nikt w wątpliwość nie podawał.

Najpopularniejsze nasze czasopismo sportowe wysłało znów korespondenta do

Marcysiowa (tak nazywała się wieś Deptały) i okazało się, że wszystko w porządku: rzeczywiście żniwa. Korespondent opisywał, jak musiał w poszukiwaniu Deptały pójść w pole, jak go tam zastał urobionego po łokcie, ogorzałego i zdrowego jak tur. Przy nim ten dziewięcioletni chłopak – Kajtek – pierwszy ojcowy pomocnik. Chwalił się korespondent, że pomagał Deptale w żniwach i co to za zdrowa praca. „Gdyby nie moja łysina – pisał – może bym wrócił na bieżnię i pokazał jeszcze młodym, gdzie raki zimują”. A Deptała? Do mistrzostw Polski będzie gotów! – powtórzył jeszcze raz przyrzeczenie.

– A więc w końcu września?

– W końcu września.

Zrobione. Czekamy. Cała, psiakość, sportowa Polska czeka. Tymczasem w Oslo nasi dostają zdrowego, pouczającego łupnia. Kobiety ratują honor: Kwaśniewska i Wajsówna zajmują punktowane miejsca. Ale czy to nas może zadowolić, nas, którzyśmy przeżywali tak gorąco każdy sukces i każdą wspaniałą porażkę Kusocińskiego? (Innych porażek on nie znał – każda była przejmująca i nieledwie tragiczna!)

W końcu września jedziemy z Adamem do Krakowa na mistrzostwa lekkoatletyczne Polski. Adam służbowo, a ja tak, uprosiłem redaktora. Nie przyszło mi to specjalnie trudno. On miał „nosa”, ten nasz redaktor!

– Jedź – powiedział – może ci się z tego co wykroi.

W Krakowie o niczym nie mówiono tylko o Deptale. Trybuny nabite do ostatnich granic – rzadkie zjawisko na zawodach lekkoatletycznych. Jasne było, że ludzie ci przysli tu przede wszystkim dla Deptały. Odwalano konkurencję po konkurencji, przedbiegi, międzybiegi, eliminacje do skoku w dal. Adam zapisywał skrzącnie każdy wynik, odnotowywał talenty, przeprowadzał rozmowy z bardziej gadatliwymi zawodnikami. Takim dobrze – zabija czas. Ja czekałem z niecierpliwością na bieg Deptały. Będzie z niego pociecha czy nie? W Czechosłowacji pojawił się jakiś Zatopek – w Oslo był piąty, to już zawsze coś. A u nas? Ech, Deptała, nie zawieź, bracie! Ale trzeba było czekać. Dziesięć kilometrów, według ustalonych już na całym świecie tradycji, jest ostatnią konkurencją pierwszego dnia igrzysk lekkoatletycznych.

Rozglądałem się tymczasem po trybunach. Ludzie śledzili bez specjalnego zainteresowania rozgrywane się konkurencje. Rozmawiali, jedli lody i cukierki, popijali ciepłą jak zupa oranżadę. Na samym środku trybuny, naprzeciwko skoczni, zauważyłem grupę umundurowanych cudzoziemców: dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Mężczyźni byli tacy sobie, nie szczególnego, natomiast kobiety zwracały uwagę swą oryginalną brzydota.

– Kto to? – zapytałem sąsiada, znakomitego dziennikarza sportowego.

– Ci? Z misji szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Skorzystali pewnie z okazji, żeby przyjrzeć się Deptale. Bądź co bądź wsunął temu Jacobsonowi jakie trzydzieści metrów.

– Jacobson w Oslo nie startował – zauważył inny dziennikarz. – Mają widocznie lepszych.

– Nie startował, no i co z tego? – sprzeciwił się ktoś. – Mało co bywa? Może kontuzja, ścięgno, brak formy?

– Kontuzja – powiedział inny z niezachwianą wiarą. – Czytałem w „L’Equipe” – zapewniał.

– Czytaliście? – zdziwił się znakomity dziennikarz. – W naszej redakcji studiujemy każdy numer „L’Equipe” – zapewniał.

– Nie pamiętam zresztą – ustępował ten drugi. – Może to było w „World Sports”... A może w... – Zaczął wyliczać tytuły zagranicznych pism sportowych. – „Oho – pomyślałem sobie – ten jest poinformowany, trzymajmy się go”.

Adam, który się ulotnił, żeby przeprowadzić wywiad, wrócił właśnie i usiadł koło mnie zadyszany, niezadowolony.

– Do Deptały nie można się dostać. Ukrył się w szatni. A tam tłum taki, że postawiono milicjantów. Niby racja: zawodnik musi odpocząć. Ale przecież prasa! – wykrzyknął zgorzony.

– Szwedzi przyszli – powiedziałem krótko.

– Co? Gdzie?

Pokazałem mu ruchem głowy.

– Aha! To już jest coś – zasapał zadowolony.

Muszę powiedzieć, że Adam, nasz redaktor sportowy, sylwetki sportowej nie miał absolutnie. Nie, u licha, z taką tuszą nie można robić kariery sportowej!

– Zawodnicy do biegu na dziesięć kilometrów na start! – ogłoszono przez megafon.

Trybuny ucichły. Zawodnicy wychodzili kolejno z szatni, stawali pod drabiną sędziowską koło startu. Zerwały się oklaski. Ktoś krzyknął:

– Deptała!

I zaraz tysiące głosów huknęło:

– Dep-ta-ła! Dep-ta-ła! Dep-ta-ła!

Nie chciał się pokazać, ale koledzy wypchnęli go na bieżnię. Uśmiechnął się z trudem, pomachał ręką. Trybuny szalały. Podniósł się ryk:

– Deptała – rekord! Dep-ta-ła – rekord! Re-kord!

Odwrócił się nagle i z pochyloną głową poszedł na start. Wskazano mu miejsce w środku pierwszej linii zawodników. Rozległ się gwizdek sędziego. Linia wyrównała się.

– Czternastu – obliczył Adam.

– Słońce zachodzi – powiedział mój sąsiad, znakomity dziennikarz.

– Skończą po ciemku.

Słuchałem tego wszystkiego jednym uchem. Nie spuszczałem oczu z Deptały. Wydawał mi się niezbyt pewny siebie. Stał ze spuszczoną głową i teraz było widać wyraźnie, że plecy ma trochę zaokrąglone. Za to nogi miał długie, szczupłe. „Kto wie, kto wie – pocieszałem się. – Tak wygląda chart. Nie podoba mi się jego mina, nie ma w niej nic z radości walki, tężyzny fizycznej”.

Tak mi się wydawało. Naraz stało się coś, co zupełnie zaprzeczyło moim przypuszczeniom: Deptała podniósł głowę i spojrział w stronę bandy, tam gdzie stały dzieciaki. Wodził po nich wzrokiem i nagle uśmiechnął się, ale tak jakoś ujmująco, po ojcowsku, że i mnie zrobiło się cieplej. Mrugnął szelmowsko okiem i pochylił się, gotów do biegu.

Gotowi!

Strzał!

Ruszyli. Kilkadziesiąt metrów biegli prawie sprintem, walczyli o prowadzenie. Po dwudziestu–trzydziestu metrach kilku zrezygnowało z tej zabawy, ale Deptała nie. Chciał prowadzić bieg. Widocznie jednak rozmyślił się, bo mijając wiraż, szedł już na drugiej pozycji, za Wieloszem. Na przeciwległej prostej przyspieszył Dziedziński, pociągnął za sobą Owsika i obaj minęli Deptałę, który biegł równo, nie zmieniając kroku. Za nim sunął niziutki, barczysty Wionczek. Szli noga za nogą. Zaledwie jednak minęli drugi wiraż, Wionczek wydłużył krok i zaatakował. Przez chwilę biegli obok siebie.

– Odeprze! – wykrzyknął ktoś za mną.

– Ma czas – powiedział znakomity dziennikarz. – Bieg ma dwadzieścia pięć okrążeń.

Tak, Deptała ani myślał ścigać się z Wionczkiem. Kiedy przebiegał przed trybunami, był już piąty. Wionczek pośpieszył, minął Dziedzińskiego i Owsika i zaatakował – na wirażu – Wielosza! Bez rezultatu. Na przeciwległej prostej sytuacja była bez zmian: Wielosz – Wionczek

– Dziedziński – Owsik – Deptała. Potem kilka metrów przerwy i znów grupa złożona z sześciu zawodników. Znowu dziesięć metrów przerwy i biegają trzej ostatni. Beznadziejni.

Do następnej krzywizny kolejność się nie zmieniała. Deptała biegł w czołówce jako piąty. Dziennikarze dzielili uwagi:

– Surowy. Bez stylu.  
„Poinformowany” wyjaśnił:  
– Styl dziś nie ma znaczenia. Każdy biega tak, jak mu wygodnie.  
– Krótki krok – zaobserwował znakomity dziennikarz.  
– Nie szkodzi – wstawił się ktoś. – W ten sposób można pobiec daleko. A widział kto z panów Wanina? Kroczył jak u panienki.

– Nie podoba mi się to, że on puścił tak Wionczka.  
– A taktyka, kolego? – sprzeciwił się „Poinformowany”. – Zobaczymy, co się będzie działo po dwudziestym okrążeniu.

Deptała biegł równym, trochę krótkim krokiem, z rozstawionymi, nierytmicznie pracującymi rękami. Ale jeśli tak mu jest rzeczywiście wygodnie? Noji też miał brzydki krok. Kiedy czołówka przebiegła przed trybunami, klasnąłem w dłonie, a tłum zahuczał:

– Deptała! Deptała!  
Minęli krzywiznę. Wtedy właśnie zaczęło mi się wydawać, że krok Deptały jest jakby wolniejszy od kroku tamtych czterech z czołówki i że odległość między nim a Owsikiem wynosi już trzy metry. Ze zdziwieniem obserwowałem, jak odległość ta rosła. Cztery... pięć... sześć metrów!... Przez trybuny przetoczyło się ciężkie westchnienie. Co to ma znaczyć?

– Wszystko lipa! – powiedział łysy dziennikarz, ten sam, który odwiedził Deptałę podczas żniw. – Biegać chłop nie umie!  
– Osłabł – próbował ktoś bronić Deptałę. – Zdarza się.  
– Co? Po dwóch okrążeniach? – zaprotestowano. – Zawodnik o międzynarodowej klasie?  
– A ja wam mówię, że on ich swoim krokiem robi. Oni się będą śpieszyć, a potem spuchną.

– Jeszcze dwadzieścia dwa okrążenia – powiedział „Poinformowany”. – Oczywiście, on ma swoje, równe tempo. Po dziesiątym, piętnastym okrążeniu zaczną się do nich przybliżać...

Znakomity dziennikarz spojrzał na stoper. Mruknął:  
– Tempo czołówki jest na 33:30. Bynajmniej się nie śpieszą.

A Deptała coraz bardziej zostawał w tyle. Publiczność wciąż go jednak nie opuszczała. Znowu przywitano go owacją. Odpowiedział na nią nieokreślonym uśmiechem, co wywołało falę entuzjazmu.

– Ech, on ich wykołuje!  
– Wrzepi im!  
– Puszczaj ich naprzód: pobawcie się, dzieci, ja mam czas!

Nie opuszczała publiczności ta wiara nawet wówczas, kiedy do Deptały zbliżyła się środkowa grupa i zagarnęła go między siebie. Znalazł się w niej zaraz na czwartym miejscu, potem na piątym.

Za mną ktoś zauważył:  
– On się wśród nich chowa, a potem jak wyskoczy!  
Łysy dziennikarz roześmiał się.  
– Nie wyskoczy. Wszystko lipa! Zrobił z nas wariatów, a ja, stary dureń, dałem się na to nabrać.

Ze środkowej grupy oderwało się dwóch zawodników i zaczęło doganiać czołówkę. Teraz nawet „Poinformowany” pokręcił głową z niezadowolaniem.



– O, na to nie powinien pozwolić. Goń! – krzyknął ochryplym głosem.

– Deptała, biegać! – krzyczano ze stojących miejsc.

Ktoś gwizdnął. Ale nic nie pomagało. Działy się niezrozumiałe, okropne rzeczy. Cała środkowa szóstka minęła Deptałą, oderwała się od niego i zostawiła go o kilkadziesiąt metrów za sobą. Stało się to tak szybko, że nim minęło czwarte okrążenie, Deptałą dopędziła ostatnia trójka – ci beznadziejni. Przez chwilę biegli razem.

– Deptała, gazu! – krzyknął ktoś.

Nikt nie podchwycił okrzyku. Trybuny milczały. Jeszcze czekano. Może to wszystko wybieg? Może on chce tym wspanialszym uczynić pościg? Może jednak... Jeszcze się łudzą.

Jeden z tej ostatniej trójki, całkiem beznadziejny facet, przyspieszył nagle kroku. Dwaj pozostali rzucili się za nim. Deptała został sam. Zostawał coraz bardziej. Biegł samotnie, o jakie trzydzieści metrów za ostatnią trójką. To była klęska. Nikt z dziennikarzy nie odezwał się słowem.

Po szóstym okrążeniu Wielosz, który prowadził stawkę, ujrzał przed sobą sylwetkę zamykającego bieg zawodnika. Może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że to Deptała, ale raczej tak, bo przez jego usta, z wysiłkiem łowiące powietrze, przewinął się złośliwy grymas. Wydłużył krok. Wionczek natychmiast odpadł, nie miał sił dotrzymać mu kroku. Za to długonogi, miękko biegnący Dziedziński przyspieszył, minął Wionczka i dopadł Wielosza. Biegli teraz ramię w ramię, zbliżając się coraz bardziej do Deptały.

– Zdublują! – wyraził łysy ogólne przypuszczenie. Publiczność powstała z miejsc. Deptała obejrzał się, otworzył usta jak ryba, przez chwilę próbował przyspieszyć, ale po kilkudziesięciu metrach dał widocznie za wygraną, biegł nadal swoim krótkim krokiem, wymachując chaotycznie rękami. Kiedy przebiegał przed trybunami, ktoś przeraźliwie gwizdnął. Deptała drgnął, ale nie przyspieszył. Nadbiegli Wielosz z Dziedzińskim i teraz na trybunach rozległ się okrzyk:

– Wielosz, goń mistrza!

Kilka osób parsknęło śmiechem, inni zaczęli krzyczeć:

– Goń Szweda, goń!

– Wolniej, Wielosz! To nie zając – nie ucieknie!

Tamci dwaj, Wielosz i Dziedziński, zbliżali się nieustępliwie, bezlitośnie. Jeszcze piętnaście metrów. Dwanaście. Dziesięć. Wbiegli na przeciwległą prostą. Osiem metrów. Pięć. Są już za nim! Przez chwilę biegli trochę za Deptałą, jakby dla odpoczynku, potem minęli go z zupełną łatwością.

Adam zapisał: „Zdublowany dokładnie po trzech kilometrach”.

Ale to jeszcze nie było wszystko. Przed trybunami złapali Deptałą Wionczek i Owsik, a potem mijał go kolejno każdy zawodnik. Nim przebiegł dziesiąte okrążenie, został zdublowany dokumentnie.

Adam szalał:

– Niesłychane! Należałoby go postawić przed sądem! Tak sobie zakpić z opinii! – Ale zaraz zaczął medytować: – No dobrze, ale Svendö? I Jacobson?...

– Żaden Jacobson w Oslo nie startował – przypomniałem.

– Że też nikt nie wpadł na to, żeby sprawdzić w Szwecji. Przecież to było najprostsze! – Rzucił się do znakomitego dziennikarza: – Nawet wy! Czy nie mogliście zadzwonić do „Svenska Dagbladet”?

Znakomity dziennikarz pochylił skruszony swą piękną, błyszczącą wybrylantowanymi włosami głowę.

– Tak, to prawda. Ale któż mógł przypuszczać, że się ma do czynienia z łajdakiem?

Łysy wciąż się śmiał.

– Nawet ja, stary dureń!... Co? Wpadunek, co?

– Nieprawda! – krzyknął młody dziennikarz w zetwumowskiej bluzie. – Was należałoby nauczyć! Wasza wina. Kto z niego zrobił mistrza? Wy! Może chłopakowi coś się pomyliło, może sobie coś tam wyfantazjował, ale przecież do gazet o tym nie pisał, opowiadał w kole znajomych, tak? Kto zaczął?

Łysy wyjaśnił:

– Nasz z Wybrzeża zaczął.

– Aha, widzicie? – triumfował młody. – A wy? Bohatera z niego zrobiliście. Próbowaliście sprawdzić? Nikt! – Teraz młody wyglądał zupełnie tak, jakby przemawiał na wiecu. – Dopóki będziemy gonić za sensacją, dopóki zamiast troski o sport, o umasowienie, będziemy się entuzjasmować jednostkami, dopóki nie postawimy sobie za naczelną zasadę rzetelnej informacji, będziemy mieli takie historie! A na Deptałą nie zwalajcie. On tej sprawy nie wydmuchał!

Znakomity zapalił wytwornym ruchem fajkę.

– Publiczność żąda sensacji. I wyników. Nic na to nie poradzimy.

– Zupełnie słusznie – zgodził się „Poinformowany”. – Proszę wziąć za przykład „The Ring”. Albo ostatnią stronę „The People”.

Adam chwycił się za głowę.

– As dziesięciorowej bieźni, pamiętasz? Podpisałem imieniem i nazwiskiem; jestem skom–pro–mi–to–wa–ny! Bez reszty. Nasz stary, pamiętasz, jak mnie posłał do tego Marcysiowa? Miał nosa! On jeden podejrzewał. – Adam nie mógł się uspokoić. Biadał: – Wszystko, łotr, wymyślił. I Svendö na żadnej mapie nie ma, i biegacza Jacobsona, i tego Björnga. A dziesięciorowa bieźnia? Po co mu to było? Kogo spytać?

– Szwedzi – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie, jakbym mu nie wiem jaką przysługę wyświadczył, i pobiegł, przeciskając się przez tłum. Szwedzi zabierali się właśnie do wyjścia. Adam zdążył ich złapać. Widziałem, jak zatrzymali się i udzielili mu jakichś wyjaśnień. Na bieźni ostatnia trójka już po raz drugi mijala Deptałą. Kiedy Adam wrócił, zarzuciłem go pytaniami:

– Znają go? Jest Svendö? Co z tym Jacobsonem?

– Nie, nie znają go. Przyszli tu tak sobie, dla rozrywki. Tylko... – Nachylił mi się do ucha. – Wiesz, nie wszystko jest bujda. Coś w tym prawdy jest. Svendö to mała osada koło Göteborga. Zgadza się, tak? Znana jest z tego, że większość mieszkańców zajmuje się szewstwem i że od niepamiętnych lat cech szewski każdej wiosny urządza tam masowy bieg na przełaj. Dla rozprostowania kości. Oczywiście, o żadnej dziesięciorowej bieźni nie ma mowy – w całej Szwecji takiej nie ma. Po prostu łąka, las, jakiś ugór, można z tego zrobić i sto torów, tak? Staram się iść za biegiem jego fantazji, rozumiesz? Teraz uważaj: jedna z tych Szwedek jeździła do tego Svendö z ramienia Czerwonego Krzyża, bo tam było trochę tych internowanych. Zgadza się, tak? Powiada, że internowani, którzy tam pracowali, byli zaproszeni do biegu na równi z mieszkańcami miasta. I podobno jakiś internowany ten bieg wygrał. Zgadza się, tak? Ona nie pamięta, czy to był Polak, przecież jej to absolutnie nie interesowało, zapamiętała to przypadkowo. Otóż mnie się zdaje, że Deptała wygrał ten bieg: wwalił dobre kilkadziesiąt metrów tamtejszym szewcom – i to wszystko.

– Dystans?

– Nie wiadomo. Biegli pewnie tak, na pałę.

– A trzydzieści dwa zero cztery? – spytałem.

Adam zastanawiał się.

– Widzisz, ja myślę, że on sobie to przeliczył „na nasze”. Sportowcy mają taką namiętność, że wszystko sobie „przeliczają”. Nie ma gościa, który by tak nie kombinował: „Jeśli biegnę setkę w 11 sekund, to powinienem zrobić 200 metrów w 22,3, a czterysta metrów w 44,6 i trzy sekundy na zmęczenie to 47,6 – rekord Polski mam murowany”. Takie obliczenia są idiotyczne, bo sprinter nie jest czterystumetrowcem, a na zasadzie pchnięcia kulą nie obliczysz rzutu dyskiem.

– Tak – przypominam sobie – ty stale tak robisz. Deptałę obliczyłeś na 31 minut, potem na 30, a potem...

Urwałem, bo widziałem, że Adam zrobił się czerwony. Fantasta! On sam! Może większy od Deptały... Po chwili przyznał:

– No widzisz, ja też...

– A Jacobson? A Linhart i Björg? – spytałem niecierpliwie.

– Szwedzi nic o nich nie słyszeli. Należy przypuszczać, że są to rzeczywiście pokonani przez Deptałę zawodnicy – szewcy ze Svendö. W jego fantazji mogli oni wyrosnąć na „czołowych zawodników Szwecji”. Ale bębenka podbiliśmy my – dziennikarze. Może on nawet nie czytał tych wszystkich bzdur, któreśmy o nim wypisywali? Siedział w swoim Marcysiowie i doprowadzał chałupę do porządku. Wreszcie wszyscy się uwzięli: musisz pobiec. Dobrze, pobiegnie na mistrzostwach Polski. Wykombinował sobie przecież, że przebiegł 10 kilometrów w 32:04, że po dyskwalifikacji Heegga w całej Szwecji nie znajdzie się biegacz równy Jacobsonowi. Przyjechał, patrz, biegnie przecież!

Biegł rzeczywiście. Które to było okrążenie – trudno się już było zorientować. To, co się działo na bieżni, to był groch z kapustą. Wszyscy zawodnicy kilkakrotnie już minęli Deptałę. Wielosz i Dziędziński dwukrotnie zdublowali ostatnich, Wionczek zdublował ich raz, a Owsika minęli trzej pierwsi ze środkowej grupy i w tej chwili zbliżał się do niego Wielosz. Nie, w tym naprawdę trudno było się zorientować. Różnica poziomu między startującymi była zbyt duża i znakomity dziennikarz udawał, że nie wolno było zawodników dopuszczać do biegu bez określonego minimum. Łysy wybuchnął śmiechem.

– Najlepsze minimum miał Deptała. Jak go tu nie dopuścić?!

Deptała przebiegał właśnie przed trybunami. Powietrze rozdarły gwizdy, posypały się wyzwiska:

– Aferzysta!

– Do Szwecji go!

Ktoś cisnął w jego stronę skórka od pomarańczy. Przez megafon proszono o spokój. Trybuny szemrały. Część publiczności wstała z miejsc, skierowała się ku wyjściu, unosząc w ustach cierpki smak zawiedzionej nadziei. Inni, ci, którzy czuli potrzebę doraźnej zemsty, skupili się przy bandzie. Ja, Adam i młody dziennikarz czasopisma zetwuemowskiego przeszliśmy na to miejsce, gdzie banda zaginała łuk wokół wirażu. Stała tam kupa dzieciaków – tylko ich ten bieg nie rozczarował! – rozgrzanych emocją, pokrzykujących i ściskających w zapale pięści.

Adam chwycił mnie za ramię i zezując w bok, szepnął:

– Kajtek.

– Kto?

– Kajtek. Deptały chłopak. Na prawo.

Poznałem go: pamiętałem przecież zdjęcie, które Adam przywiózł z Marcysiowa. Był to chudy, niziutki, opalony chłopiec, o takiej samej mysiej buzi jak jego tatuś. Tylko włosy miał obfitsze, nie tak ulizane, czupryna opadała mu gęstymi lokami na niskie czoło. Położył chude ręce na drewnianym oparciu bandy i wspiąwszy się na palce, wodził wzrokiem za ojcem jak zahipnotyzowany. Nie widział nikogo – tylko ojca. Podszedłem do niego i szepnąłem:

– Nawalił tatuś, tak?

Odwrócił się i zmierzył mnie nienawistnym spojrzeniem.

– Nie nawalił. Tatko nie nawala. Tatko wygra.

– Co?

– Wszyscy przegrają, a tatko wygra.

W tej chwili usłyszeliśmy dzwonek. Dla Wielosza i Dziedzińskiego – ostatnie okrążenie! „No, nie wygra już twój tatuś” – pomyślałem sobie. Wielosz trochę przyśpieszył, oderwał się o kilka metrów od Dziedzińskiego, na przeciwległej prostej dogonił, nie wiadomo już po raz który, Deptałę, minął go, ale tuż przed następną krzywizną osłabł. Dziedziński szedł równym tempem. Na krzywiźnie minął Deptałę, a na prostej zaczął zbliżać się do Wielosza, który biegł, chwając się i potykając. Mógłby to być jednak pojedynek pełen emocji, ale naprawdę nikogo z widzów nie obchodziło, kto z nich dwóch wygra – i kiedy na piętnaście metrów przed metą Dziedziński złapał Wielosza, nie słycać było ani jednego westchnienia, ani jednego okrzyku entuzjazmu. Zwycięzcę nagrodzono rzadkimi, zdawkowymi oklaskami.

Większość publiczności skierowała się ku wyjściu. Przy bandzie zostaliśmy my, dziennikarze, zostały dzieci i kilkudziesięciu widzów.

Zapadał zmierzch. Sędziowie z trudem rozróżniali czas na stoperach. Biegacze kończyli kolejno konkurencję. Przybiegł mały, suchy jak patyk Owsik, złapał cytrynę, otulił się kocem i zwałił na ziemię jak podcięty. Następnego, Wionczka, z trudem doprowadzono do szatni. Potem kończyli bieg dublowani. Kiedy przedostatni zawodnik, dwukrotnie zdublowany przez zwycięzcę, minął metę, jeden z sędziów podniósł tablicę z cyfrą „3”. Jeszcze trzy okrążenia miał przebiec Deptałę! Gdzieś na przeciwległej prostej zamajaczyły jego białe spodenki, natomiast wiśniowa koszulka całkiem wtarła się w ciemny fiolet zmierzchu. Po białej plamie spodenek orientowaliśmy się, gdzie on teraz jest. Zbliżał się powoli, opornie, pracując z wysiłkiem rękami – zupełnie jak dzieci, kiedy naśladowują lokomotywę.

– Powinien się wycofać – orzekł znakomity dziennikarz, który także znalazł się przy bandzie. – Sprawa przegrana...

Biała plama poruszała się powoli. Minęła krzywiznę i zaczęła zbliżać się do nas po prostej.

– Łobuz! – przedarł nagle powietrze wysoki, histeryczny krzyk. Podchwyciło go kilkadziesiąt głosów.

– Ło-buz! Ło-buz! Ło-buz! – skandowano.

Spojrzałem na Kajtka, na te jego szczuplutkie rączki: drżały. Ale w suchych, zawziętych oczach nie było śladu łez. Tłum wył i szalał z nienawiści. Jakiś uzbrojony w butelkę młodzienc przeskokzył przez bandę i stanął na bieżni. Był to sygnał. Bieżnia zapełniła się. Porządkowi byli bezsilni. Krzyczeli „cofnąć się! cofnąć się!” – ale bez rezultatu. A biała plama zbliżała się tak niesamowicie powoli.

„Wycofa się – pomyślałem. – Jest wycieńczony. Chuliganeria! – Dławiłem się z wściekłości. – Trzeba żelazną miotłą zrobić porządek na boiskach! Uzdrowić to wszystko. Sport to nie ruletka”.

Ktoś cisnął w stronę zbliżającego się zawodnika kamieniem. Nie trafił. W tej samej chwili Kajtek machnął jak piórko przez bandę i pobiegł na bieżnię. Stanął na drugim torze, tuż przy mecie. Przcisnąłem się do niego i wziąłem go za rękę. Wyrwał ją. Wśród wywisk, pogrózek, łobuzerskich gwizdów zbliżał się niepewnie jego ojciec. Zwalniał coraz bardziej kroku, uczynił taki ruch, jakby chciał się zatrzymać, ale nie mógł – tak maszynista chwyta za hamulec, ale lokomotywa toczy się jeszcze bezwładnie dalej.

Kajtek rozwarł szeroko oczy, wlepił je w ojca – zdziwione, proszące. Deptałę spojrzał na

niego znękany, dał jeszcze krok do przodu, i jeszcze, następny był już bardziej energiczny, potem kolano podniósł wyżej i nogę wyrzucił dalej – wydłużył krok! Kiwnął głową Kajtkowi, uśmiechnął się nawet, minął i jego, i sędziów i pobiegł dalej jak gdyby nigdy nic.

– Trzy okrążenia! – ryknął w ślad za nim zaskoczony sędzia i wałnął ze złością tablicą o ziemię. – Nie! – krzyczał. – To już szczyt wszystkiego! Nie może się taka oferma wycofać? Najpierw zrobił z nas wariatów, a teraz mamy przez niego siedzieć tu do nocy?

Inni sędziowie też szemrali, krzyknęli: „przerwać bieg”, ale sędzia główny był na miejscu.

– Spokój, panowie! Bieg trwa!

Tych kilkudziesięciu, co się tak szykowało na Deptałę, patrzyło teraz skonsternowanym wzrokiem za oddalającym się zawodnikiem. Jeden odwrócił się i poszedł, z wciągniętą między ramiona głową, ku wyjściu. Kajtek, z rękami założonymi do tyłu, spacerował wzdłuż bieżni, jakby wygrał wielką bitwę.

Czekano. Nie padały żadne uwagi, żadne przekleństwa. Coś niesamowitego było w tym człowieku, który biegł tam w ciemnościach, samotnie, pod okiem wrogo usposobionego tłumu, uzbrojonego w kamienie i butelki. Cisza zaległa stadion.

Ale kiedy za prostą wypłynęła na powrót biała plama spodenek Deptały, tłum znowu zawrzał:

– Zawracaj!

– Z bieżni go!

– Z bieżni!

– Teraz ci ten numer nie przejdzie!

Milicji było co kot napłakał. Porządkowi schowali się, a może uważali, że pobić sportowca, który zawiódł publiczność, jest to rzecz naturalna i zdrowa. Tylko sędzia główny wrzeszczał:

– Spokój, obywatele! Spokój! Bieg trwa!

Wysoko w ciemnościach mignęła butelka i rozprysła się tuż pod nogami Deptały. Biegacz wstrząsnął głową, jak pod zimnym prysznicem, przeskoczył odłamki szkła i pobiegł truchtem dalej. Tłum wył. Ale teraz Deptała w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Z podniesioną wysoko głową minął chwiejnym krokiem sędziowską drabinkę.

Dziennikarz w zetwuemowskiej bluzie spojrział na mnie, spojrział na Adama, zamrugał oczyma, jakby doznał olśnienia, i nagle, ściągając nerwowym ruchem czapkę z głowy, wykrzyknął:

– To przecież bohater!

Naprzeciw pieklił się tłusty sędzia. Przedtem biegał przez pewien czas obok Deptały: Deptała na bieżni, a on na trawniku. Brzuch mu się trząsał, ale kroki stawiał wcale – wcale, aż przykro było myśleć, że był to może przed laty czołowy nasz średniodystansowiec. Teraz, tłukąc się pięściami w zwały tłuszczu na piersiach, spocony jak na czterdziestostopniowym upale, biadolił:

– Ja go prosiłem: wycofaj się, oferma. Durniu, mówię, nie mogę przecież tu przez ciebie sterczeć do północy.

Słyszałem słowa sędziego głównego: – ... nie wolno... zabraniam... presja...

Biała plama poruszała się na przeciwniejszej prostej. Powoli tłum poddawał się uporowi zawodnika. Słyszałem, jak mówiono:

– Taki zupełny „florek” to on nie jest: bądź co bądź kończy.

– Ale w ile? Czterdzieści jeden minut.

– Przebiegnij pan w pięćdziesiąt!

– O mnie mowy nie ma. Ja za mistrza Szwecji nie jestem.

– Mistrz – nie mistrz, dziesiątkę odwala.

Zetwuemowiec zachowywał się zupełnie jak zahipnotyzowany Deptała. Powtarzał:

– A ja wam mówię: to jest bohater. Ja wam mówię: to jest sportowiec.

Znów z krzywizny wypłynęła biała plamka. Deptała zbliżał się. Tym razem nie powitały go jednak żadne wrogie okrzyki. Ani jedna butelka nie poszybowała w powietrzu. Napiętą ciszę przerwało zaledwie kilka gwizdów. Ale zaraz na zmianę im przyszedł czyjś okrzyk:

– Brawo, Deptała!

W pierwszej chwili okrzyk ten podzielał na zawodnika gorzej niż poprzednio butelka: zachwiał się, omal nie upadł. Ale młodzieniec z prasy młodzieżowej uderzył w dłonie. Adam, ja i jeszcze kilku innych dołączyliśmy się i Deptała obejrzał się na nas zdziwiony. Jeszcze nie wierzył. Kpią czy naprawdę biją mu brawo? Dopiero kiedy przez nasze oklaski przebił się rozradowany, ostry pisk Kajtka: „Brawo, tatusiu!” – uwierzył. Z szeroko otwartymi ustami pobiegł dalej. Dźwięk dzwonka, oznajmiającego ostatnie okrążenie, przyjęliśmy wszyscy z ulgą. A jednak dobiegnie! Wydawało nam się nawet, że po tym dzwonku Deptała jakby zebrał się w sobie, podskoczył, wydłużył krok, przyspieszył.

Publiczność przeszła z bieżni na murawę boiska. Śledziliśmy teraz każdy ruch samotnego zawodnika walczącego tylko z ciemnością i przestrzenią, z chropawym żwirem, z własną bezsilnością. Gdzieś w połowie przeciwległej prostej wydało nam się, że Deptała oklapł i zwolnił. Jeszcze kilkanaście metrów – i nagle zaczęło nam się wydawać, że nie, on tego biegu nie ukończy: teraz, na dwieście metrów przed taśmą, zwali się na ziemię, usiądzie i zapłacze.

Ten młody dziennikarz miętosił w zapamiętaniu czapkę, widziałem, jak zaciska pięści, jak całą duszą jest z tamtym. Ach, wszyscyśmy już byli z tamtym, wszyscyśmy życzyli mu sukcesu. A pod nim ugięły się nogi.

Nagle padł okrzyk:

– Deptała!

Ten sam głos, który przedtem krzyknął „brawo!”

– Deptała! Deptała! – odezwały się inne głosy. Biała plamka przyspieszyła.

Zaczęło się skandowanie:

– Dep-ta-ła! Dep-ta-ła! Dep-ta-ła!

Zupełnie tak samo jak na początku biegu. Kilka osób pobiegło mu naprzeciw. Sędzia główny krzyczał:

– Spokój! Zabraniam! Bieg trwa!

Kiedy Deptała przybiegł – wśród naszego skandowania i okrzyków „hura” – zapanowało jednak małe zamieszanie. Niektórzy rzucili się, żeby połuścić go na rękach, ale czy wypada nieść człowieka, który przebiegł 10 kilometrów w 40:28? Tylko mały Kajtek nie miał wątpliwości.

Podbiegł do ślaniającego się ze zmęczenia ojca i przytulił się do jego chudej, mokrej jak po ulewie piersi. Po chwili zobaczyłem, że ciałem chłopca wstrząsa szloch, i usłyszałem jego łkanie:

– Tatusiu, ty najładniej... tak się bałem... Ale ty najlepiej, ty najlepiej, tatusiu...

Deptale drżały szczęki i te zgrubienia w kącikach ust. Przytulił mocno Kajtka do siebie i zdaje się, że też zapłakał.

Poszliśmy wszyscy w kierunku szatni. Było ciemno i niczyjej twarzy nie można było rozeznaczyć. Słyszałem tylko, jak łysy sprzeczał się z zetwuemowcem. Łysy śmiał się („ja, stary dureń – ho-ho!”), a ten młody perorował zapalczywym głosem:

– No i co, że czterdzieści dwadzieścia osiem? Czy sport jest tylko dla fenomenów? Ja mówię, że to jest prawdziwy sportowiec! Tak twierdzą! Jeśli sport nie ma być szkołą ambicji, charakteru, walki – dla nas wszystkich, a nie tylko dla garstki wyczynowców! – no to na diabła

on nam potrzebny, ten wasz sport! Prawdziwy sport... – Żółtodziób zaczął wyjaśniać swoje stanowisko spokojniejszym głosem i dlatego nie mogłem go dosłyszeć.

Poszedłem ku wyjściu. Była ciepła, świeża wrześniowa noc. Pachniało wędzącymi liśćmi. Odetchnąłem kilka razy głęboko. Ale nie przyniosło mi to ulgi: w skroniach waliło jak młotem.

*1953*

## Bicie po twarzy (opowiadanie sekundanta)

Przyznaję się – trochę mi palce latały, kiedym mu zawiązywał rękawice. Przeżywałem to już tyle razy, wszystkie te finałowe historie, a przecież za każdym razem zachowuję się jak panna na wydaniu. Może to i dobrze, może bez tego to by mi się już dawno cała ta zabawa znudziła i wolałbym kwiatki w ogródku podlewać niż uczyć dorosłych chłopów pracować po mordzie. Teraz też tak było: ręce mi latały – jakże, mój pupilek w finale mistrzostw Europy w wadze lekkiej – nic rozsądnego z siebie wydobyć nie mogłem, mówiłem tylko: „Głowa do góry, Stefek. Głowa do góry. On jest twój. Zachowaj siły na końcówkę, to się ceni”.

Stefan był spokojniejszy niż ja.

– Bez nerw, panie Wicku. Zrobię tego turka na szaro.

– No widzisz. On już, bracie, psychicznie leży.

– Myśli pan, że się boi?

– Może się trochę boi, ale to nie to. Dziecko mu umarło. Idź, przywitaj się.

Stefan odwrócił się i wyszedł na środek ringu. Perroquet już na niego czekał. To był szczupły, śniady, czarnowłosy Francuz. Na powitanie uśmiechnął się blado do naszego Stefana. Czuję już nosem mistrzowski tytuł. Wiedziałem, że Francuz był szybki i dobry technik, ale to za mało na mojego chłopaka. Karaś umiał bić. Miał to, co najprościej nazwać talentem. Urodził się do boksu. Nieomylny lewy prosty, serie, pójście za ciosem – co kto lubi. A najważniejsze, że miał tę intuicję i refleks, bez których najsumienniejszy pięściarz jest tylko wyrobnikiem. Błyskotliwość Perroqueta nie na wiele tu się mogła zdać. Do tego ta paskudna tragedia rodzinna. Nie wątpię, że wybiła Francuza z konceptu.

Sędzią był potężny, łysy Włoch. Włoszysko obmacał im ręce i coś tam, jak zwykle, nagadał. Stefan wrócił do swojego rogu. Zapytał:

– Co pan mówił o jego dziecku?

– Umarło. W nocy odbył się poród, nad ranem umarło.

– To pech.

– Paskudna historia. Depesza przyszła w południe. Facet na pewno nerwowo wykończony.

Stefan przebierał nogami w pudełku z kalafonią.

– Żona żyje? – spytał.

– Żyje. Ale stan nie najlepszy.

– W takim dniu!

– Tak. Chciał dwa zajęcia ustrzelić: medal i dziecko. Uważaj, ring wolny. Idź na całego.

Zabrział gong i nasz chłopak odwrócił się gwałtownie. Dwoma susami znalazł się na środku ringu. Przez chwilę jego szerokie plecy kołysały się z boku na bok i nagle dwie suche lewe, jedna po drugiej, znalazły się na szczękę Francuza. Francuz odskoczył, próbował odpowiedzieć serią, ale Karaś złapał wszystko na rękawice i zaraz sam przeszedł do ataku. Francuz cofał się

Karaś szedł za nim. Tamten ustępował, kłując tylko lewą, długą, chudą i jakby łamliwą. Nie, to nie było na mojego Stefana. Lewa Karasia runęła na szczękę Perroqueta, w ostatniej chwili natrafiła na blok rękawic, powędrowała niżej, na żołądek, znów garda Francuza, trzeci cios wreszcie siedział, i to mocno. Aż mnie w gardle ścisnęło. Jak ten chłopiec boksuje! Artysta! Teraz powinien znów zaatakować lewą i pójść za ciosem. Kto wie, czy sędzia nie przerwie walki przed czasem...



Lewa znowu siedziała. Teraz tylko poprawić. W tej chwili dostrzegłem oczy Francuza: duże, przerażone źrenice człowieka, którego biją. Nic z nieodzownego skupienia, nic z zaciekleści – tylko przerażenie. I chyba jeszcze krzywdą. A może mi się tylko zdawało. O jakiej krzywdzie może być mowa, kiedy się jest bokserem? Wiadomo przecież z góry: albo ty skórę łoisz, albo tobie łoją. Na to się jest przygotowanym.

Cios, na który czekałem, nie nastąpił. Jakby się w Stefanku coś załamało. To, co się dalej działo, było zdumiewające: rzekłbyś, inny bokser. Żaden cios Karasia nie dosięgał celu. Jeżeli mu coś wyszło, to tak słabo, jakby tuż przed ciałem Francuza ręka traciła siłę. Perroquet kilkakrotnie przechodził do ataku i Karaś spóźniał się z obroną. Publiczność przyglądała się walce niezadowolona. Nie było gwizdów ani krzyków – to nie to, co u nas, panie szanowny – czułem jednak owo rozczarowanie tysięcy ludzi, tak dotkliwie, jakbym ja był wszystkiemu winien. Pot wystąpił mi na czoło, a ten redaktor z „Przeglądu”, co to zawsze wszystko lepiej wie, tym razem się ze mnie nie nabijał, tylko pytał zdumiony:

– Co to jest, panie Wicku? Co to jest?

A ja skąd mogłem wiedzieć? Kiedy Stefan wrócił do swojego rogu, napadłem na niego:

– Chłopie, co z tobą? Na miłość boską – przecież nie straciłeś chyba formy w ciągu jednej nocy?

Stefan siedział na krześle, rozkraczywszy nogi, a ja wachlowałem ręcznikiem jego osowiałą twarz.

– Będzie chryja, panie Wicku – powiedział.

– Nie bój się, runda była wyrównana.

– Ale będzie chryja.

– Dlaczego?

– Nie mogę go bić.

Wzdrygnąłem się.

– Co powiadasz?

– Nie mogę go bić. Jak sobie przypomnę o tym dziecku, od razu się coś we mnie zmienia.

Nie mogę go bić. Nie mogę bić faceta, któremu właśnie umarł dzieciak.

– Idiota – warknąłem.

– Ja wiem, panie Wicku. Ja wiem. Ale nie mogę. Pan widział jego oczy?

– Do diabła, to przecież nie jest bicie! To jest sport! Taka zabawa jak... jak w oczko. W oczko byś go ograł?

– Ograłbym.

– No więc?

– Nie mogę go bić. To nie jest oczko. To jest bicie.

– Ale z Nowakiem i Millerem bijesz się. Są twoimi przyjaciółmi i nokautujesz ich. A takiego turka...

– Spróbuję, panie Wicku.

– Idź na całego. Bez głupstw, Stefku. Zbieraj punkty! – krzyknąłem, bo uderzono już w gong.

Zeskoczyłem z ringu i przyglądałem się walce. Jeśli to można było nazwać walką. Chociaż sekundant Perroqueta, niski, starszawy facet z brzuszkiem, na pewno był z niej zadowolony. Perroquet po gongu od razu ruszył do ataku. Wcale mnie to nie zmartwiło. Będzie dobrze, niech rozjuszy Stefana. Byłbym wiele dał, żeby Francuzowi wyszedł jakiś cios. Ale Karasia nie tak łatwo trafić. I chociaż Perroquet bił dużo, nieraz celnie, rzadko wychodziło mu to czysto.

Karaś bronił się. Oddychał szybko, twarz mu poczerwieniała, policzek miał w jednym

miejscu rozcięty. Bronił się pracowicie, ale nie odpowiadał tym, co mogłoby mu zapewnić sukces: kontrą. Nie przechodził do przeciwnatarcia. Ręce pracowały sztywno, jak nigdy. Raz potknął się i część publiczności skwitowała to tłumionym śmiechem.

Redaktorek z „Przeglądu” dawał mi znaki na migi. Pokiwałem smutno głową i zrobiłem kółko na czole. Ma fioła ten nasz Karaś, oto cała prawda. Jak mu coś strzeli do łba, to umarł w butach. Akurat w finale mistrzostw!

Znów miałem Stefana przed sobą na krzeselku.

– To samo? – spytałem ponuro.

Skinął głową.

– Filozof! Poeta! – złościłem się. – Trzeba było zostać gryzipiórkiem, a nie pchać się do boksu!

Stefan nie odpowiadał.

– Zobaczysz, jak cię przywitają w kraju – powiedziałem. – Ten łachudra redaktor, ten redaktorek już szykuje artykuł *Kompromitacja Karasia*. Przeczytasz te jego wymądrzania się, to zrozumiesz, coś nabroił.

– Pan myśli, że ja nie chcę wygrać?

– Nie wiem, czego ty chcesz. Wiem, że takiego boksera jeszcze nie miałem. Miałem już złodziejów, poetów, majdaniarzy, aktorów, rzeźników, polityków – kogo chcesz. Ale każdy wiedział, że bić – to bić.

– No właśnie.

– Zamknij gębę. Oddychaj swobodnie. Ja gadam!

Zaczerpnałem tchu. Chciałem zdążyć wszystko powiedzieć. Wtłoczyć do tego głupiego łba tę jedną prawdę, że musi wygrać. Reszta mnie nie obchodziła. Zacząłem go agitować:

– Kilka milionów ludzi czeka w kraju, żebyś mu nabił mordę. Tu, na cudzoziemskiej sali, ma być grany nasz hymn. Jak grają hymn, to każdy Polak płacze. Kusociński płakał. Chychła płakał. Nie ma mocnych! Cały świat wtedy wie, że Polska jeszcze nie zginęła. Co ty, psia twoja mać, sobie myślisz? To jest jak wojna! Na wojnie to myślisz co? Każda twoja kula trafia drania? Leży przed tobą jakiś tam Niemiec, może mu dziecko umarło, a ty go w czapę, i po nim.

– To jest Francuz.

– Francuz czy Niemiec – jeden diabeł. Boks nie wybiera. Nie filozofuj. Bij.

Stefan podniósł się.

– On ma przewagę punktową? – spytał.

– A coś ty myślał? Ale jest do odrobienia.

– Dla jego żony to byłaby jakaś pociecha, ten tytuł?

Byłem bliski rozpaczy.

– Chłopie! Co ty sobie nim głowę zawracasz? O swoim marnym losie myśl! O swoim powrocie do kraju. Jak cię wygwizdzą. Jak ci się dziewczucha w twarz roześmieje.

Musiałem przerwać, bo znów uderzono w gong. Ostatnia runda. Odchodząc, Stefan zdążył dotknąć rękawicą mojej dłoni. Niby że dobra, panie Wicku, zrobi się.

Od razu przy pierwszej akcji posłałem spojrzenie redaktorowi.

Spójrz, pętaku, przekonaj się, co znaczy moja szkoła. Stefan zapędził Francuza do rogu i zaczął go tam okładać seriami. Publiczność rozgrzała się, rozkrzyczała: „Karash! Karash!”. Ja z emocji wstrzymałem oddech. Po drugiej stronie sznurów francuski sekundant otworzył szeroko usta. Takiego lania się nie spodziewał. Dobrze! Znaj klasę!

Perroquet zasłonił się blokiem z rękawic. Potem nagle schylił się i dał nura pod ramieniem Stefka. Wylądował na środku ringu. Stefan zrobił prawidłowy zwrot. Stali naprzeciw siebie, gotując się do akcji. Perroquet znów wpatrywał się w Karasia tymi swoimi szeroko

otwartymi oczyma bitego zwierzęcia. Wyglądał jak pies skrzywdzony przez własnego pana. Karaś zaatakował, ale jego cios nie doszedł celu. Znowu nie był w stanie bić tamtego. Wszystko było stracone.

Zaczął się wzajemne obtańcowywanie. Niezbyt szybkie, bo to zawsze trzecia runda. Więcej punktów zbierał Francuz. Polak boksował z roztargnieniem, wzrok uciekał mu gdzieś w bok, jakby stamtąd oczekiwał zakończenia tej mitręgi. Już się nawet na niego nie złościłem. Żał mi go było, przecież opiekowałem się nim niemal od pierwszego kroku bokserskiego. Redaktorek też mi już nie dokuczała, siedział ponuro, stukając nerwowo kulkowym piórem o pulpit.

Publiczność milczała zawiedziona. Ożywiła się, kiedy Francuz wykorzystał chwilę roztargnienia Polaka i władował mu dwa ciosy w żołądek. Karaś stracił gardę i wtedy dostał czysty cios w szczękę. „Koniec” – pomyślałem. Ale te ciosy właśnie rozwścieczyły Stefana. Wydały mu się nieojalnością. Jak to – to ja cię, bracie, szanuję, całą, panie, filozofię tworzę, a ty mnie ordynarnie lejesz? W ucho łobuza! W Stefanku obudził się warszawiak z przedmieścia. Wdał się w bijatykę. Francuz nie wytrzymał, zaczął się cofać. A Stefan leje. Lu go z lewej, lu go z prawej. Potem coraz techniczniej, według sztuki pięściarskiej. Wreszcie przy głośnym „och” widowni – hak z prawej, aż gościem zatrzęsło. Francuz upadł na kolana.

Sędzia odesłał Stefana do rogu. Odszedł powoli, z pochyloną głową.

A sędzia liczył.

Przy sześciu rozległ się gong. Bo to były ostatnie chwile walki. Francuski sekundant już był na ringu i pomagał swemu pupilowi wstać. Od razu dał mu soli rzeźwiących. Stefan podszedł do sekundanta i dziękował mu za walkę. Sekundant poklepał go po ramieniu, a Perroquet kilkakrotnie kiwnął głową. Musieli być obaj szczęśliwi, że mają to już za sobą.

Stefan zbliżył się do mnie poblady i spytał:

– Kto wygrał?

– Jednak on.

– Na pewno?

– Chyba tak. Za późno wzięłeś się do roboty.

– Wygwizdają mnie na lotnisku?

– No, co znowu – pocieszałem go. – Wicemistrz Europy to też niezłe.

– Panie Wicku, jeżeli ja jestem taki ciężki frajer, to może lepiej, żebym przestał boksować?

– Daj spokój, chłopie. Wicemistrz Europy – wiesz, co to jest wicemistrz Europy?

Gruby Włoch przywołał obu bokserów. Stał między nimi – chwila oczekiwania – i podniósł do góry rękę Francuza. Rozległo się kilka gwizdów. Trzasnęły „blice” aparatów fotograficznych. Zagrano *Marsyliankę*. A mogli grać nasz hymn. No, ale trudno, Marsylianki też mogą posłuchać. Potem publiczność długo wiwatowała. Francuz uśmiechał się rozpromieniony. Twarz Polaka była kamienna. Odezwał się do Perroqueta:

– *Votre femme...*

– *Merci, merci* – dziękował uprzejmie Francuz.

– *Heureuse... Votre femme heureuse...* żona będzie szczęśliwa, *n'est ce pas?*

A Francuz tylko „*merci, merci*”, jakby więcej nie znał słów we własnym języku.

Podeszliśmy z redaktorkiem do jego sekundanta.

– Powiedz mu pan po ichniemu – powiedziałem redaktorowi. – Powiedz mu pan, że w Warszawie Stefan wykończy jego mistrza w drugiej rundzie. Powiedz mu pan.

Francuz wysłuchał i zaczął coś ze śmiechem tłumaczyć.

– Mówi, że Perroquet przechodzi na zawodowstwo – tłumaczył redaktor. – Dzięki

dzisiejszej walce będzie miał niezły kontrakt.

– Powiedz mu pan, że to była lipa, a nie walka – mówiłem, drżąc z gniewu. – Żeby nie ta historia z dzieckiem, toby się przekonali, co wart jest Karaś.

– Tak, ta historia z dzieckiem jest okropna – przyznał francuski sekundant. – Nie wiemy wprost, jak go o tym powiadomić.

– Powiadomić?

– *Oui*. Trzymaliśmy to przed Perroquetem w tajemnicy. Powiemy mu o tym dopiero jutro. Proszę panów o dyskrecję.

Pobiegłem do szatni. Karaś siedział zgarbiony w kątku, czekając na masaż. Potrząsnąłem jego ramieniem i wyrzuciłem z siebie:

– Ty ciemiego! Ty ofermo! On o niczym nie wiedział! O niczym! Mogłeś w niego bić jak w bęben. O niczym nie wiedział!

Podniósł na mnie oczy zmęczone i matowe jak śliwki, kiedy pokryte są jeszcze puszkami. Rozłożył bezradnie ręce i powiedział:

– No i co z tego, panie Wicku? Co z tego?

## Ona

Od miesięcy już nie padał deszcz. Słońce paliło niemiłosiernie i wysuszało strumyki. Zieleń pokryła się grubą warstwą pyłu. Groził tyfus, brat wojny. Mężczyźni golili sobie głowy, kobiety przycinały włosy. Brakło chleba.

Dla niej – udało mu się go zdobyć. Zardzewiały piecyk przykrył nową gazetą, do glinianego kubka włożył kwiaty polne. Przyszła o zmierzchu – smukła i opalona, w płóciennych spodniach przylegających szczelnie do wąskich bioder. Wszystko odbyło się jak zwykle: zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła śniady policzek do jego opalonego na brąz policzka. I wtedy poczuł ten dziwny zapach. Nie był to zapach nieprzyjemny, ale trochę zaskakujący. Kojarzył się ze wspomnieniem hal fabrycznych, łoskoczących maszyn, tłoków i śrub. Skąd ten zapach tu, w jego ciemnej, małej izdebce, w jej włosach?

Kilkakrotnie poruszył lekko nozdrzami i zapytał:

– Co to jest?

Uśmiechnęła się.

– Nie poznałeś? Nafta. Myłam włosy naftą.

Nie chciała ściąć włosów. Broniła swej czystości – i urody. Zasnął, tuląc wargi do jej miękkich włosów, odurzony ich słodkawym, mdlącym zapachem. Obudziła go raniutko.

– Wstawaj, spóźnisz się do pracy.

Podzielili się równo resztą chleba.

Umył się w wysychającym strumyku. Do fabryki poszedł senny, znużony, ciepły jeszcze od jej pieśczoł, wciąż czując smak jej warg na swoich wargach. Powoli pchał taczki z ceglami do oddziału mechanicznego. Jednooki Bezzubow docinał dobrotliwie:

– Niemrawy dziś czegoś jesteś, kawalerze.

A ciocia Niura chichotała:

– Zamęczy cię twoja dziewczyna.

Uśmiechał się zakłopotany. Nie, nie, sił ma dosyć. Pcha taczki powoli, bo chce mu się pomarzyć. Przypomnieć sobie całą tę noc – jej szczupłe, kochające ręce i nieśmiały szept, i rozsypane na poduszce miękkie włosy.

I nagle mu się wydało, że ona jest tuż obok. Przystanął. Wyraźnie poczuł tamten mdlący zapach. Kiedy obejrzał się, zauważył, że pod murem stoi beczka z naftą i paruje na słońcu. I pomyślał:

„Jak pięknie pachnie nafta...”

## Wielka rola dla Feruły

Naradę zaczął reżyser od rozstawienia kieliszków. Zawsze tak było, bez kieliszka nie potrafi już pracować. Potem wyjął z szafeczki butelkę zagranicznego koniaku. Taki koniak kosztuje sporo grosza, ale na te rzeczy reżyser, zresztą uchodzący za skąpca, nigdy pieniędzy nie żałował. Był to człowiek apodyktyczny, nie znosił sprzeciwu, wszystko wiedział lepiej, na markach wódek też się znał lepiej niż my wszyscy, nazywaliśmy go więc „Duce”, także i dlatego, że często wspominał o tym, jak to przed wojną zwiedzał włoskie galerie sztuki.

Nie wiem, czy to było oznaką lekceważenia nas, czy też przez roztargnienie, ale nalał tylko sobie, wypił duszkiem (taki znakomity koniak) i wstrząsnąwszy się, powiedział:

– Zaczynamy, panowie. Spróbujemy sztukę obsadzić. Krecha – zwrócił się do mnie – nalej pan osobnikom.

„Krechą” przezywano mnie od czasu, gdy sypnąłem się w jakiejś klasycznej sztuce i zamiast wyrecytować: „A oto finał posepny”, wymamrotałem: „No i krecha”.

Nalałem. Wypiliśmy. „Duce” otworzył swój reżyserski kołonotatnik.

– Przede wszystkim Borkman – zaczął. – Są jakieś propozycje?

Posypało się kilka nazwisk. Siedziałem cicho, bo myślałem o tej roli dla siebie. Reżyser słuchał i, niezadowolony, kręcił głową. Wypił znów kielicha.

– Feruła – powiedział nagle.

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Feruła?

– Tak – potwierdził reżyser. – Jedyne na Borkmana.

Asystent delikatnie wtrącił uwagę:

– Feruła nie może grać.

– Dlaczego? – zdziwił się „Duce”.

– Bo nie żyje. Będzie dwa lata, jak umarł.

– Hm... umarł – mruzczał reżyser. Nalał sobie kieliszek koniaku, podniósł do ust, ale nie wypił, odstawił go na stół. Wzruszył ramionami. – No to co, że umarł?

– Jak to co? – spytałem zdziwiony.

– Umarł, umarł – przedrzeźniał reżyser. – I co z tego? To już nie może grać? Całkiem nie może? Feruła! Taki Feruła!

Ktoś zachichotał, reszta milczała. Wziąłem się w milczeniu do nalewania kieliszków. Reżyser mówił:

– To tak nie jest, panowie. Zawracanie głowy. Facet gra, gra i nagle trach, umarł i już nic nie może. A jak teatr go potrzebuje, to co?

Znowu ten sam tłumiony chichot. Mnie wcale nie było do śmiechu. Próbowałem perswadować:

– Ale przecież umarł.

Reżyser pociągnął spory łyk. Zapytał spokojnie:

– Ile lat jesteś w teatrze?

– Dziesięć, jedenasty rok.

– Pętaku! – zachrypiał. – Trzymaj język. Trzydzieści lat już tu tyram! Wiem, co znaczy dla artysty rola, upragniona rola. Jak ją wreszcie dostaje, to ją zagra, żeby nie wiem co. A ten wyjeżdża mi z tym, że ktoś tam nie żyje. No to co? Panowie, skąd ten pesymizm? Skąd ta niewiara w człowieka? I wy jesteście ludźmi teatru! Wstyd!

Wypiłem następny kieliszek i poczułem, że rzeczywiście trochę się wstydzę. Nie jest

chyba aż tak źle, żeby Feruła nie mógł zagrać Borkmana. Rola jest dla niego jak ulał i nikt temu nie zaprzeczy.

– Nalewaj, nalewaj – popędzał mnie reżyser. – Chcę wam powiedzieć, kochani, że ja znałem Ferułę – no, pud soli i beczkę spirytusu, i coś tam jeszcze. Zawsze chciał grać Borkmana, ale nie mógł na tę rolę natrafić. Ta sztuka nie miała szczęścia. Wystawia się wciąż różne dzikie kaczki, nory i wrogów ludu, ale Borkmana, najbardziej finezyjnej, najbardziej nowoczesnej w przedstawianiu człowieka sztuki Ibsena – mam na myśli jej wielowartościowość, jej bogactwo psychologiczne, rozumiecie: podteksty, podteksty, dwuznaczność etyczna bohatera – jednym słowem, musimy go grać, i to grać genialnie, i tylko Feruła to potrafi. Panowie, do dna!

Kiedyśmy wypili, zapytał:

– No i co? Zgoda na Ferułę?

Zaszemraliśmy niezdecydowanie. Reżyser spojrział tęsknie na butelkę: była próżna. Wtedy asystent pokazał, co potrafi: hokus-pokus i w rękach zakwitło mu szkło z niebieską nalepką. Reżyser obejrzał je z pogardą i oddał mnie, żebym się zajął otwieraniem.

– Za Ferułę! – wzniósł toast reżyser.

I zanotował w swoim kołonotatniku: „Borkman – Feruła”.

– Czy ktoś ma zastrzeżenia?

Nikt się nie odezwał.

– To najważniejsze załatwione. Radźmy dalej. Borkmanowa...

Asystent odchrząknął:

– Pozwolę sobie zauważyć... chciałbym nadmienić...

– Co znowu?

– Że Feruła – on o tym nic nie wie.

– Dowie się.

– Był zawsze nieobliczalny.

– Trzeba go surowo przestrzec – powiedział reżyser. – Żadnych nawalanek! Przyjdzie na próbę urżnięty – straci rolę. Skreślę. Wyrzucę. Na-na-na zbity pysk. – Miał czkawkę.

– Ośmielę się... – zagadnął znów asystent. – Nie wiem, jak go zawiadomić. Myślę o stronie technicznej.

Reżyser rozłożył ręce.

– Panowie widzą sami, na jakich pracowników jestem skazany. Mnie się pyta, jak go zawiadomić! Ależ iść do niego i powiedzieć mu, jasne?

– Tak, panie dyrektorze. Tylko dokąd iść?

– Do niego! – krzyknął rozzłoszczony reżyser. – Na cmentarz!

Wszystkim nam ulżyło. Rzeczywiście, prosta sprawa. Ktoś sobie przypomniał:

– On leży na ewangelickim.

– A tak, miał jakąś historię z rozwodem.

Reżyser wstał. Drżącymi palcami poprawił krawat, nadął się.

– Jedziemy do niego – postanowił.

Z trudem dotarł do drzwi. Wskazującym palcem chwilę błdził po swojej twarzy, zanim odnalazł wreszcie usta. Wtedy, zmarszczywszy się, powiedział:

– Panowie, ani-ani! Pary z gęby! Żadnych wywiadów, żadnych oświadczeń. Konspiracja! Tajemnica! To będzie największa bomba w historii teatru, a teatr... teatr to wszystko. – Wskazał na butelkę i kieliszki. – Krecha, węz.

Dwoma wartburgami pojechaliśmy na cmentarz. Było wiosenne popołudnie, druga połowa kwietnia, ciepło, śpiew ptasząt, poszum traw i to i owo jeszcze w tym guście. Dozorca zaofiarował się odnaleźć grób Feruły. Szliśmy cmentarnymi alejkami w należyтым skupieniu,

sprawa była poważna, teatr to w ogóle poważna sprawa, a występ Feruły w roli Borkmana w szczególności.

Grób jak grób, przyzma ziemi porosła trawą i mały pomniczek z napisem, że Feruła i że „od-do”. Otóż to „do” było śmiechu warte, nie było dla nas żadnego „do”.

Wiał ciepły wietrzyk i trawa na grobie Feruły leciutko falowała. Dozorca poszedł sobie, myśmy obsiedli mogiłę, reżyser zajął miejsce przy pomniczku. Odchrząknąwszy, zawołał:

– Feruła!

Ciarki mnie przeszły, ale reżyser był bez tremy, gadał jak na setnym przedstawieniu:

– Feruła, piliśmy dziś twoje zdrowie, stary. Nie myśl, że co z oczu, to z serca. Nie u mnie, panie szanowny. Feruła! To ja, ja, „Duce”, nie żaden z tych cholernych wazeliniarzy, tylko ja, kapujesz, ja. Chcę ci, uważasz, zaproponować rolę.

Przerwał i popatrzył tryumfująco na grób.

– Aha, wzięło cię? Ja, mój stary, nie zapomniałem, coś mi nagadał o Borkmanie, zawsze o tym pamiętałem – na czczo i przy kielichu – krótko mówiąc: wystawiam Borkmana, a dla ciebie rezerwuję tytułową rolę. Odpowiadaj.

Feruła nie odpowiadał.

– Nalej – mruknął do mnie reżyser. – Jemu też.

Potem znów przemówił:

– Rozumiem twoją nieufność. W twojej sytuacji ja też bym od razu nie ryzykował.

Myślisz, że cię znowu wystawię do wiatru, jak tyle razy przedtem. Feruła, oświadczam ci pod chajrem, że będziesz miał taką „publicity”, o jakiej nigdy ci się nie śniło. Radio, telewizja, prasa, fotosy. Zastanów się, Feruła. Nie bądź taki drętwy. Gaży nie wyśrubujesz. Może nie dosłyszałeś, więc powtarzam: Borkman. Borkman. Rola, o której marzyłeś. Daję ci ją! Daję ci ją, jak katolik katolikowi. *Pardon*, zapomniałem, *faux pas*, wybacz nietakt. No i co ty na to?

Nic. Grób milczał. Tylko trawy się poruszyły, ale oczywiście dlatego, że zadął wietrzyk.

– Feruła – zaszeptał uwodzicielsko reżyser – nie wypijesz z nami kielicha?

Milczenie.

Zrobiło mi się czegoś cholernie przykro. Wychyliłszy szybko swoje kieliszki, jeden został na trawie wciąż pełny, kielich przeznaczony dla Feruły.

Reżyser opuścił głowę pokonany. Chwilę milczał. Potem zaszeptał wibrująco:

– Mój stary, mój przyjacielu, nie rób mi tej przykrości. Nie chcesz mi chyba wmówić, że skoro leżysz tu, to już nic a nic nie możesz, to już za skarby nie wstaniesz, nawet do najlepszej roli. Feruła, odezwij się, nie rób staremu reżyserowi przykrości.

Ktoś szepnął:

– On... Zostawmy go, dyrektorze.

Reżyser podniósł się.

– Tak – powiedział. – Szkoda zachodu. Krecha, jest jeszcze tam coś?

Nie było nic. Podałem reżyserowi kieliszek Feruły. Zmarszczył brwi.

Mruknął:

– Niech tam!

Wypił i rzucił kieliszek na trawę.

– Chodźmy – zdecydował.

Znów szliśmy w milczeniu cmentarnymi alejkami, ale tym razem z uczuciem zawstydzenia. Za bramą, kiedyśmy się łądowali do wartburgów, reżyser odezwał się:

– Między nami mówiąc, Feruła nie był taki nadzwyczajny aktor. Maniera, skłonność do tremola. Nie, nie. I ta historia z rozwodem. I w ogóle, panowie, to nie była ta klasa. Panowie rozumieją. To nie była ta najwyższa klasa!





## Nikaragua

Słuchał namiętnych słów kędzierzawego, śniadoliciego młodzieńca i myślał:  
„Ile słów. Boże, ile słów. Nawet tu, w tej dziennikarskiej knajpie, nie ma od tego ucieczki, prowadzą wojnę, wiem, Nikaragua–Honduras, jeszcze jedna eliminacja polityczno-sportowa. Diabło daleko. Takie rzeczy powinny się odbywać gdzieś bliżej, żeby dziennikarz mógł wiedzieć, co ma o tym myśleć. Zdaje się, że i ci, i ci mówią po hiszpańsku. *Idioma castellana*. Mają piękne imiona: Pedro, Juan, Manuel, Miguel, Pablo. Po tej i po tamtej stronie co dzień ginie jakiś Pedro, Juan, Manuel”.

Kędzierzawy urwał. Pokazywał teraz zdjęcie.

– Proszę, to nasi w ataku na góry. Walka o fort. Miała rozstrzygające znaczenie, ten żołnierz padł, zatykając sztandar właśnie na wieży fortu. Sztandar naszej republiki powiewał na wietrze... A to jest wysadzenie mostu. Fotograf zginął, aparat się uratował. Nasza wojna obfituje w niezwykle dramatyczne i wzniosłe momenty.

Oglądał zdjęcie żołnierza rzucającego granat. Twarz wykrzywiona determinacją, oczy pałające.

– Bohaterski gość – szepnął.

– Przywiozłem to, żebyście zrozumieli – mówił kędzierzawy ze wzruszeniem. – Taka jest moja misja: wywołać oburzenie i zarazem współczucie wszystkich ludzi dobrej woli w Europie. Naszym żołnierzom potrzebna jest świadomość, że cywilizowany świat ocenia i popiera ich poświęcenie. Tam u nas rozgrywa się w tej chwili batalia o sprawiedliwość historyczną. To poczucie właśnie wcisnęło nam broń do ręki. Walczymy o każdą piędź ziemi, bo zbyt wiele naszej krwi w nią wsiąkło. Ofiary będą liczne, ale pokolenie nasze spełni swoją misję z honorem.

– Tak – szepnął.

– Nie wątpimy, że jesteście z nami. Ale chcielibyśmy, żebyście dali wyraz swoim uczuciom na łamach prasy, może jeszcze w jakichś uchwałach, rezolucjach – przekazemy je naszym żołnierzom. Doda im to skrzydeł.

– Oczywiście – zgodził się.

– A wy możecie liczyć na naszego ducha bojowego. Nie zawrzemy żadnych kompromisowych umów. Sprawiedliwość musi wreszcie zatriumfować. Mamy wiele wad, ale nie jesteśmy – nimi. Oni – to ludzie bez fantazji. Sknery i dusigrosze. Kobiety bez wdzięku. Artyści bez talentu, bez esprit i lekkości. Mają tylko siłę. Ale niech nasz żołnierz ruszy do ataku – rzucają się do ucieczki. Byłoby dla nich lepiej, gdyby się od razu poddali. Ale czy można się z nimi porozumieć? Nienawiść ich zaślepia. Szowinizm przeszkadza im trzeźwo myśleć. Każdego naszego utopiliby w łyżce wody.

– Jakie jest wyjście?

– Tylko całkowite zwycięstwo. Potem nauczyć ich demokracji. Oczywiście, bez użycia siły nie da się tego dokonać. Ale trudno. Nasz żołnierz jest świadomy celu, o który walczy. Najwyższe ideały ludzkości wchodzą tu w grę.

– Tak – powiedział raz jeszcze. Miał dosyć kędzierzawego. Miał dosyć tych wszystkich słów. Ale kędzierzawy żądał tak niewiele: właśnie tylko słów. Powiedział mu więc: – Macie nasze pełne poparcie. Może pan być dumny, przywiezie pan do swej ojczyzny pełne poparcie ludzi dobrej woli.

– Spełniam tylko swoją misję.

– Może pan przekazać swoim żołnierzom, że myślimy o nich z dumą. Ja i wszyscy moi koledzy. Zrobimy, co możemy. Niech pan powtórzy tam u siebie, że lud Nikaragui ma w nas

oddanych przyjaciół.

Kędzierzawy zmienił się na twarzy.

– Jak pan powiedział?

– Że macie tu oddanych przyjaciół.

– Pan powiedział: „lud Nikaragui”!

– Czy wyraziłem się niestosownie?

Kędzierzawy krzyknął:

– Ja nie jestem z Nikaragui! Nie! Ja jestem z Hondurasu! Honduras! Honduras!

Westchnął z ulgą.

– Oczywiście, Honduras. Bardzo pana przepraszam. Lud Hondurasu, oczywiście. Lud Hondurasu ma w nas oddanych przyjaciół. Niech pan to przekaże swoim bohaterskim żołnierzom.

# POWIERNIK SERC

### XXX

Nocne rodaków rozmowy różnią się zapewne od tych, które są prowadzone w biały dzień w ogródkach kawiarnianych czy w rozgwarze stołóvkowym, przy szczęku talerzy i siorbaniu zupy. Ale jedne i drugie wyrażają naszą potrzebę komunikowania o sobie innym. Dusimy w sobie ją nieraz – ze względu na konieczność zachowania dyskrecji. Albo przez wstydlivość. Odnotowujemy swój ból w notatniku, potem drzemy zapisane kartki. Przyjaciółka przyjaciółce zwierza swój sekret, potem szczerze tego żałuje. „Masz długi język” – powie z wyrzutem, czasem nawet z pogardą ktoś, kto sam, owszem, lubi mówić o sobie, ale wydaje mu się, że on to co innego, on stanowi temat naprawdę interesujący. Nikt nie bierze pod uwagę, że zbrodnia opowieści została dokonana pod przymusem; oprzeć się – było ponad siły.

Ja sam nie raz padałem ofiarą cudzych zwierzeń. Ponieważ kręciłem się ostatnio bez zajęcia, pomyślałem sobie: dobrze, niech się zwierzają, ile dusza zapagnie, wysłucham każdego – ale czemu za darmo? Przecież zabierają mi to, co jest moją najcenniejszą (i najbardziej ulotną) własnością – mój czas. Skoro im to przynosi ulgę, to niech mi to jakoś zrekompensują, pieniędzy jest w bród, towarów brak, więc oto ja ofiaruję im towar całkowicie deficytowy: uszy ku słuchaniu. Moje usiłowanie rozumienia ludzkich serc. (Chociaż: czy im ta moja umiejętność jest rzeczywiście potrzebna? Gdyby na moim miejscu siedział automat, który potrafiłby kiwać głową, wzdychać w odpowiednim miejscu, czasem mruknąć: „Coś podobnego...”, zaspokoiłby ich równie dobrze jak ja). Rozlepiłem ogłoszenia na kartkach papieru: STARSZY PAN Z DOŚWIADCZENIEM wysłuchuje zwierzeń i żalów. Podałem telefon i godzinę. O pieniądzech nie wspomniałem, pieniądze rozumieją się same przez się. Na słupie telefonicznym, na budce przystanku autobusowego, na pniu rozrosłej lipy, tuż koło domu, w którym mieszkam – białe przez dni kilka te kartki, czwartego dnia zmył je deszcz, a ja wtedy je zerwałem: pomyślałem sobie, że może się pomyliłem, może to niegodne zarabkować w taki sposób, jakby żerując na cudzym bólu. (Ale czemu akurat bólu? Skąd pewność, że ludzie nie zechcą opowiadać o swoich radościach? Radość też jest czasem trudna do zmanifestowania, czasem wręcz nie wypada jej okazać, a tu można się nią podzielić z kimś bezinteresownie życzliwym – życzliwym już choćby dlatego, że to radosne wydarzenie przysparza mu klienta. Słowo „bezinteresowne” może się komuś wydać zadziwiające, ale to nie tak, bezinteresowność wypływa właśnie z zainteresowania finansowego: szczęście mojego klienta w niczym mi nie przeszkadza, niczego mi nie odbiera, przeciwnie, korzystam na nim, podczas gdy przed innymi mój klient tę swoją najbardziej intymną radość ukrywa, ma swoje powody, nie moja rzecz jakie).

Tak czy inaczej zerwałem te ogłoszenia. Ale już było za późno, już się rozniosło. Już kioskarz powiedział kilku namiętym palaczkom: „Pani wie, ten cwaniaczek z drugiego piętra, ten stuknięty trochę redaktor – dla niego w tych określeniach «cwaniaczek» i «stuknięty» nie zawierało się nic obraźliwego – to on wysłuchuje”. Powtórzył emeryt emerytowi, owocarka gosposi, docent adiunktowi, nawet do cielęciny dotarło.

Seans musiałem zaczynać od przypominania, że ja nie udzielam żadnych rad ani niczego nie załatwiam. Ja tylko słucham. Nie godzę zwaśnionych małżeństw. Mogę podjąć się, oczywiście, wysłuchania obu stron, ale każdej oddzielnie. I zdarzyło się, że małżonkowie, po wylaniu przede mną swoich żalów, uzyskiwali jaśniejszy pogląd na własną winę, godzili się ze sobą, przypisując swoje odzyskane szczęście mnie i dochodząc do wniosku, że moje skromne honorarium nie uiszcza ich długu; dostawałem więc dodatkowo koniak, kwiaty, czekoladę z orzechami, czasem tort makowy od Bliklego. Powtarzam: żadnej mojej zasługi w tym nie było. Zdarzyło się też, że przyszedł do mnie ktoś z historią swojego życia i zażądał pieniędzy ode

mnie: ten ktoś (całkiem logicznie) zrozumiał ogłoszenie w ten sposób, że ja płacę za wysłuchiwanie historyjek, i był bardzo rozczarowany, kiedy okazało się, że jest odwrotnie. Zdarzali się mitomani. Opowie taki fascynującą historię, pod której wrażeniem jestem; dzwonię więc do niego, żeby uściślić jakieś szczegóły, a on w ogóle tej historii nie pamięta albo opowiada ją całkiem inaczej, nie tak fascynująco, trochę płasko, czyli tym razem tak, jak było naprawdę.

Bardzo szybko zorientowałem się, że wolę opowieści mężczyzn niż kobiet. Może się to wydać dziwne czy nieszczerze (zwłaszcza łasym na kobiece zwierzenia panom), ale mężczyźni mają ciekawsze rzeczy do przekazania. Wcale nie dlatego, że ich opowieści dotyczą frontu, obozu, konspiracji – właśnie tego mam po uszy, chociaż niektóre relacje przedstawię i tutaj. Początkowo, przyznaję, zwierzenia kobiet mnie także interesowały, oczekiwałem ich z podnieceniem. Ale zaspokoiwszy z kilkoma klientkami ciekawość, dowiedziawszy się, jak straciły dziewictwo, jak osiągają orgazmy, jak zdradziły czy zdradzone zostały, doszedłem do wniosku, że w tych sprawach nic już nowego nie usłyszę. Poza tym te opowieści – o kochankach, mężach, czasem o niespełnionych idealnych romansach – odznaczały się pewną psychologiczną monotonią. Można było z góry przewidzieć klimat i nastrój emocjonalny tych opowieści, niemal słownictwo. Kobiety, wylewając swą gorycz, poddają rzeczywistość swoistej kastracji, eliminując z niej wszystko to, co im nie pasuje do upragnionego obrazu: siebie pokrzywdzonej i jego wyrodnego. Mają pamięć selektywną, wyrzucają z niej całe obszary niewygodnych przeżyć, a zarazem pamięć znakomitą, wydobywają z niej jakieś szczegóły, które mają potwierdzić jego podłość, szczegóły dla mężczyzny trudne do zapamiętania, ponieważ nie stanowiły dlań przeżycia dramatycznego. Dla niej – tak, teraz, po latach... Kobieta – zdradzona czy zdradzająca – widzi obrazy czarno–biało: mąż, zakochany w „innej”, jest nie tylko podły, ale i komiczny; ona, zakochana, jest patetyczna. Silnie rozwinięty instynkt samoobrony usuwa z niej wszelkie wątpliwości. Inaczej mężczyzna – w podobnej sytuacji częściej żywi wątpliwości czy poddaje się rozterce, chętniej usprawiedliwi tę, którą krzywdzi czy nawet która jego krzywdzi. Opowieści mężczyzn – przynajmniej te, których ja wysłuchiwałem – były na ogół opowieściami o rozdartym sumieniu. Może dlatego w ogóle do mnie przychodzili. Przyznaję, że opowieści kobiet były barwniejsze: umiały opisać umeblowanie, deseń tapet, odzież, gesty, zachowanie przy stole, różne śmieszności; w ich opowieściach brały udział psy, koty, doniczki z kwiatami, gosposie, talerze z Chodzieży, czasem prześcieradło (lub jego brak), fryzura, klipsy, pierścionki, połamany obcas, oczko w rajstopach. Opowieść wojenna kobiety lepiej, bardziej zmysłowo oddawała dzień powszedni okupacji. Ale ja woląłem opowieści męskie: ten właśnie niepokój sumienia, wahania. Woląłem męską słabość od kobiecej siły.

Piszę to na zimno, nie jako przeciwnik kobiet, którym nie jestem, ale jako ktoś, kto wysłuchawszy wielu zwierzeń, uchwycił w nich pewien rys wspólny. Ja sam, kiedy mam kłopoty, wołałbym się z nich wypowiedzieć kobiecie: one naprawdę interesują się przeżyciami innych, wykazują w tym czasami dużo osobistego zaangażowania. Pocieszają, ocierają łzy, poprawiają poduszkę. Mężczyzn zwierzenia osobiste często niecierpliwia.

Co innego ja: jestem instytucją. Kiedy do mnie dzwonią, odzywam się głosem specjalnie postarzałym: to budzi zaufanie. Staram się podczas seansów o odpowiednią oprawę: kieliszek koniaku (czasem dwa), kawa lub herbata wkalkulowane są w koszty własne. Papierosy klient w zasadzie powinien mieć swoje, zwłaszcza jeśli pali jednego po drugim. Klient sam sobie wybiera miejsce, na którym chce spocząć: fotel, krzesło, kanapę (jak u psychoanalityka) – nie bez sugestii z mojej strony. Niektórzy mężczyźni wolą spacerować po pokoju. Kobietom czasem proponuję zrzucenie zbyt ciasnych pantofelków – od razu robi się serdeczniej. Dwa razy zdarzyło się, że młode panie wołały siedzieć na poduszce na podłodze, a któraś poprosiła, żebym i ja usiadł podobnie. Nie pamiętam, czy to była ta, czy też jakaś inna (chyba inna i dużo starsza), co zapewniła mnie,

że zna doskonale moją twórczość, najbardziej mnie ceni za – i tu wymieniła tytuł książki mojego kolegi, którego na domiar złego nie znoszę.

Ten wstęp nie byłby pełny, gdybym nie podziękował serdecznie tym moim klientom, którzy zgodzili się, bym ich zwierzenia wykorzystał w książce, zwłaszcza zaś wypada podziękować moim kolegom po piórze, którzy z różnych względów „odstąpili” mi swoje własne przeżycia. I wreszcie dziękuję wszystkim, którzy mi zaufali. Było to niezwykle krzepiące doświadczenie. Chcę ich zapewnić, że zawdzięczam im wiele – nawet jeśli nie znalazło to odbicia w formie bezpośredniego zapisu literackiego.

## Morderca

– Nie czytałem pańskich książek, nie znałem przedtem nawet pańskiego nazwiska, nikt nigdy nie wymienił go w moim otoczeniu, a przecież rozmawiamy czasem o literaturze. – Wysłuchałem tego jak zwykle spokojnie, chociaż nie ma co ukrywać, że z przykrością. Już chciałem odpowiedzieć zastyszana gdzieś ripostą: „To jest szczegół z pańskiej biografii, nie z mojej”, kiedy on powiedział: – I to właśnie usposobiło mnie do pana przychylnie.

Mężczyzna, którego nie będę opisywał, bo jeszcze go ktoś rozpozna, a mnie obowiązuje dyskrecja, ciągnął:

– Kiedy postanowiłem przyjść do pana, pisarza, o którym nigdy nie słyszałem, powiedziałem sobie, że może warto wpierv zajrzeć do pańskich książek. Przeczytałem dwie powieści i tom nowel, zdobyłem trochę danych biograficznych. I zdecydowałem, że przyjdę, bo pan wysłucha mnie ze zrozumieniem, ponieważ panu w życiu też się coś załamało. Jest pan pechowcem.

– Nie mówimy o mnie – zastrzegłem się dla porządku. Zdaje się, że zbladłem, w każdym razie poczułem się nagle jak odsłonięty bokser, wystawiony na cios. – Nie, proszę pana – powiedziałem – nie mam pewności, czy jestem pechowcem. Może nawet wręcz przeciwnie, może mam sporo szczęścia.

– O, nie – zaprotestował, chmurniejąc. – Ja wiem, że pan jest mi bliski. Jestem mordercą – wyznał nagle.

– Ja nie.

Zapadło milczenie, podczas którego on zapalał papierosa. Ja tymczasem zastanawiałem się, co robić: morderca u mnie – nie, tego nie przewidziałem – nie mogę wysłuchiwać morderców, nie ten rodzaj zwierzeń miałem na myśli, kiedy dałem ogłoszenie.

– Wolę, żeby mi pan nie opowiadał – odezwałem się. – Do pewnego typu dyskrecji nie chcę się zobowiązywać. Uważam, że zbrodnia powinna być ukarana.

– Ja też. Ja też – powtórzył nerwowo. – Ale niech pan mnie jednak wysłucha. Bo ja nie jestem pewny, czy zabiłem. Ale czuję się jak morderca. – Zdusił papierosa i uśmiechnął się blade. – Właściwie nie palę. Wie pan, dlaczego zapaliłem? Bo ona pali, i to te właśnie papierosy, i mnie kiedyś takimi poczęstowała. – Znów ten żalorny uśmiech. – Zachowuję się, jakbym miał jeszcze jakąś szansę, jakbym wciąż żywił jakąś nadzieję, a przecież nie ma już żadnej nadziei, teraz to już na pewno nie... On był moim najbliższym przyjacielem.

Nie odezwałem się. Czekałem, aż mężczyzna podejmie opowieść. Może tylko kiwnąłem zachęcająco głową.

– Tak, był moim najbliższym przyjacielem – usłyszałem. – Nie jestem łatwy do zawierania przyjaźni, słowo „najbliższy” lepiej zrozumieć w znaczeniu „jedyń”. Był o kilka lat młodszy ode mnie, chyba pięć, sześć, to się liczy, traktował mnie też trochę jak starszego brata. Był to umysł żywy, przyjazny ludziom, niepodejrzliwy. Trochę głodny przeżyć, więc brykał w kawalerskim stanie, chociaż wiedziałem dobrze, że marzy o ognisku domowym, z wierną żoną i gromadką dzieci. Moja pierwsza żona, która go lubiła, mawiała czasem z właściwą kobietom skłonnością do swatania: „Oj, Jędreku, Jędreku, kiedy ty się ustatkujesz?”. On odpowiadał: „Najpierw się ustatkuję, potem ustatkuję” – i temu podobne wygłupy. I słusznie, bo po co akurat ona się do tego wtrącała, kiedy właśnie pertraktowała z adwokatem, jak przeprowadzić nasz rozwód?

Powiedziałem panu, że był moim najbliższym przyjacielem, ale to nie znaczy, że ja byłem jego. W przyjaźni jest jak w miłości: wzajemność rzadko bywa całkowita. Możliwe, że dla mnie



on był kimś bardzo ważnym, ale ja na pewno znałem o wiele mniej dla niego. Bo inaczej, jak to mogło się stać, no niech pan sam powie, że o tym, że ma narzeczoną, że wkrótce ślub, dowiedziałem się całkiem przypadkowo. Zresztą chyba to nieprawda, że był moim najbliższym przyjacielem: to potem sobie tylko tak to wyobraziłem, potem, kiedy zacząłem w związku z nim odczuwać rozterkę, tak, potem, bo czasem nasze uczucia się nakładają, dramatyczność urasta przez próbę jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, cofamy nasze napięcia emocjonalne, adresujemy je do innej chwili. I teraz spostrzegam się, że w mojej pierwszej próbie opowieści coś uległo zniekształceniu – fakty, bardzo mi przykro.

Próbowałem mu pomóc:

– Tutaj, u mnie, nie musi się pan trzymać faktów, to nie jest takie istotne. Czy przyszedł pan opowiadać o tym, co się wydarzyło, czy o tym, co pan czuje? Fakty są takie, jakimi je pan widzi.

– Ale ja bardzo chcę, żeby pan mi uwierzył.

– Wierzę w to, co pan czuje.

– Nie, nie byliśmy sobie nadzwyczajnie bliscy – podjął opowieść. – Wpadał czasem do mnie, zwykle w konkretnej sprawie, pożyczyć pięć stów albo książkę, albo żebym mu coś załatwił w pracy. Przestał się pojawiać od czasu, kiedy w jego obecności moja żona trzasnęła drzwiami. Nikt nie lubi domu z ciężką atmosferą, zwłaszcza młody, pełen życia i optymizmu mężczyzna.

Właściwie zniknął mi na kilka miesięcy z oczu, jeśli nie liczyć jakichś przelotnych spotkań na ulicy. Do owego popołudnia, kiedy zobaczyłem go na koktajlu środowiskowym połączonym z odczytem któregoś z naszych kolegów. Obok niego stała młoda pani, kobieta trzydziestoletnia, rozwódka, jak się potem dowiedziałem. Wszyscy wiedzieli, że to jego narieczona, całe nasze koleżeństwo, tylko ja jeden nie wiedziałem – najlepszy dowód, że niewiele dla niego znałem. Przedstawił nas sobie: „To Jurek, to Bernadetta”. Czy pan doznał kiedyś oszołomienia, zderzywszy się z urodą kobietą? To było bolesne, jak gdybym dostał cios w głowę. Nie mogłem wykrztusić słowa. Pocałowałem dłoń, którą mi łagodnie podała, uśmiechnęła się uprzejmie – pani miała dobre maniery – i to było wszystko. Już następny pochylał się ku jej dłoni. Tak, nie zwróciła na mnie uwagi. Ot, jeden z wielu kolegów Jędrka. Chyba z jego ust nigdy o mnie słowa nie usłyszała, bo nie powiedziała żadnego: „Ach, to pan, Jędrak mi tyle o panu opowiadał”. Znowu ktoś się do niej pchał, jakiś grubas, przywitał się z obojgiem hałaśliwie: „Bernadetta, ślicznie wyglądasz w tej sukni” – potem jeszcze ktoś, a ja odszedłem na bok, pod ścianę, ogłuszony. I jakoś przybity, nie wiadomo dlaczego. Nie było we mnie żadnej radości, takiej, jaką powinno budzić piękno. Boże, myślałem, Boże, co się dzieje? Bałem się zerknąć w ich stronę, bałem się, że dostrzegą mój zachwyty, i bałem się zarazem, że jeśli lepiej jej się przyjrzę, mój zachwyty się ulotni. Ale kiedy spojrzałem wreszcie, nie tylko nie doznałem rozczarowania, lecz mój stan zachwyty jeszcze się utrwalił. Stwórca może być dumny ze swojego dzieła, pomyślałem. Jak on to wymodelował, jak wyrzeźbił? Usłyszałem jej głos – coś mówiła, nie rozumiałem co, ale wyczułem inteligencję, finezję; jej głos, sposób mówienia, nie pomniejszał jej urody, dotrzymywał jej kroku. Potem rozsiedliśmy się, ja o kilka krzeseł za nią, i zaczął się odczyt – o niewydolności naszego systemu gospodarczego – jeden z wielu w tamtych czasach. Do mnie nic nie docierało. Myślałem wciąż o niej. „Bernadetta” – powtarzałem jej imię. Genialne dzieło natury. Pokolenia na nie się złożyły, przemyślna krzyżówka ras, które przetoczyły się przez stopy Ukrainy, powiewy wichrów, promienie słońca, sok i tęczyowy aksamit jędrnych, nabrzmiących ciepłem owoców. Te jej oczy, to urzekające spojrzenie. „Moja narieczona” – powiedział. Okropne słowo „moja”, zagarniające ją dla siebie. Jego, jego – czemu nie moja? Mój zachwyty nie łączył się więc z uczuciem szczęścia, dostąpienia, stąd właśnie moje

przygnębienie. Czuję się oszukany. Zupełnie jak gdyby on, mój Jędrak, roześmiany, miły, ale przecież nic specjalnego, jak gdyby on wydarł mi tę, która była przeznaczona dla mnie, którą tylko ja – tak, byłem o tym przekonany – tylko ja mógłbym naprawdę kochać. Czemu się na niego zdecydowała? Jak to się stało, że nie odszukała mnie, jak mogła żyć w takiej nieświadomości, że ja istnieję, i to właśnie dla niej? Och, niech pan nie sądzi, że przypisuję sobie jakieś szczególne właściwości – ja wiem, że nie rzucam się w oczy, i pozostać niedostrzeżonym to dla mnie znowu nic takiego nowego. Ale tym razem szło o nią, która – poczułem to, gdy tylko na nią spojrziałem – była moja, musiała być moja, od razu ją wyróżniłem, a ona – nic, absolutnie nic. (Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało; później nie byłem już o tym tak bezwzględnie przekonany). Więc byłem przygnębiony, ponieważ mój los nie wyszedł. Bo to jest loteria, niewątpliwie, Jędrak wygrał i ja mu zazdrościłem, wygrał i nawet tego nie docenił jak trzeba, tak mi się zdawało, traktował swoje szczęście jak coś naturalnego, nie błogosławił nieba, że ma przy sobie Bernadettę, wydawało mi się, że w jego stosunku do niej jest pewna nonszalancja. Wyszliśmy z odczytu oddzielnie.

Huczalo mi jej imię w głowie, kiedy znalazłem się w domu. Bernadetta, Bernadetta. Gdzie on ją wytrzasnął? Czemu ja na nią nie natrafiłem? (Wkrótce wyjaśniło się czemu: mieszkała w Krakowie. Jędrak poznał ją w górach, kiedy pojechał na narty – ja w góry nie jeździłem, nie dawałem Panu Bogu szansy – i stamtąd sprowadził ją do Warszawy). Bernadetta. Nie mogłem zasnąć. Słuchaj, powiedziałem sobie, zapomnij o niej, to będzie żona Jędraka, nie ma sensu, żebyś spędzał bezsenne noce, szarpiąc się z marzeniami o jego dziewczynie. Zażyłem tabletkę nasenną. Myślałem potem czasem o niej, ale bez robienia sobie nadziei, tylko tak: że jest, że to dobrze i że nie chcę się szarpać.

Na ich ślubie w urzędzie stanu cywilnego byłem oczywiście. Wręczyłem pani Bernadecie gałązkę białego cieplarnianego bzu, ona przypomniała mi sobie, uśmiechnęła się z obowiązkową wdzięcznością (ale mnie się zdawało, że ze szczególną sympatią), wstrzymałem oddech, potem wykrztusiłem: „Życie szczęśliwie”. Nie zdobyłem się na ucałowanie jej w oba policzki, do czego była okazja, nawet dłoni nie ucałowałem, skłoniłem się tylko głęboko. Jędrak promieniał. Dostałem i ja kieliszek szampana. Sączyłem go powoli, kiedy jakoś nagle, znad brzegu kielicha, dostrzegłem spojrzenie Bernadetty: przyglądała mi się! Posłałem jej słaby uśmiech, odwzajemniła go. Nie wiem, dlaczego wydało mi się, że ona się czegoś domyśla. Czy dlatego mi się przyglądała? Nie wiem, doprawdy nie wiem. A może dlatego, że uśmiechnęła się do mnie raz jeszcze? Ale cóż, to był jej ślub, jej z Jędrakiem, więc tych czarownych spojrzeń, uśmiechów pełnych słodczy było rozdzielonych oczywiście więcej. Ale ja poczułem się wyróżniony. I poczułem niepokój.

Rozwiodą się, myślałem, muszą się rozwieść, dla mnie się rozwiodą – i ona będzie moja. Oszalałeś, odpowiedziałem sobie, trzeba się leczyć. Ale jak? Potrzebna ci nowa miłość, inna kobieta. Rzucałem się z przygody w przygodę. Jednak nie kochałem żadnej z tych nowych kobiet, chociaż dla niejedynej miałem sporo wdzięczności, ratowały mnie rzeczywiście. Śniłem o tej, o której tak mało wiedziałem, właściwie nic. Wygląd, uśmiech – przecież to tylko pozory, zewnętrznosc. Dlatego wystrzegam się słowa „kocham”; byłem zafascynowany, otumaniony, opętany – te określenia lepiej oddają stan, jaki mnie ogarnął. Co ciekawsze, nie marzyłem o Bernadecie w łóżku, nie próbowałem nawet sobie tego wyobrazić, wiedziałem, że tego chcę, że to się musi tak skończyć, nie miałem wątpliwości, że to będzie cudowne – więc tak, nie myślałem o jej ciele, widziałem tylko jej oczy, uśmiech w tych oczach, któremu towarzyszyło szczęśliwe rozchylenie ust – coraz więcej przypominałem sobie takich szczegółów – tak, czarne, gęste brwi uniosły się, wargi się rozchyliły (błysnęły dwa górne zęby), jakby nagle dostrzeżenie mnie, pijącego szampana za jej szczęście, sprawiło jej przyjemność, coś w rodzaju: „Ach, jak to miło z

pana strony”. A może i więcej. Ten promień w jej ciemnych oczach, blask uśmiechu, w którym było coś świadomie uwodzicielskiego. („Strzeż się pięknych kobiet – powiedziała kiedyś moja przyjaciółka, stara kobieta – strzeż się, bo one wiedzą, że są piękne”). Ale to był jej ślub – prawda, że stanowiący uwieńczenie stosunku, który już trwał jawnie od pewnego czasu – więc ona, oblubienica, promieniała szczęściem, którego odrobina oblała i mnie.

Po ślubie już ich nie spotkałem. Ktoś mi napomknął, że Bernadetta jest w ciąży. Nie, nie rozwiodą się. Później usłyszałem, że urodziła dziecko, chłopaczka. Nie rozwiodą się. Przestałem o niej myśleć, czasem tylko coś poćmiło, zamajaczył zamglony obraz, w mózgu dźwięczało to rzadkie, dziwne u nas imię: Bernadetta. Już nie bolało. I byłbym zapomniiał o niej całkowicie, ot, jeszcze jedna przelotna fascynacja, gdyby nie on sam, Jędrrek. Szedłem kiedyś od placu Trzech Krzyży Alejami Ujazdowskimi w stronę placu Na Rozdrożu, kiedy tuż przed Wilczą, koło Klubu Aktora, zna pan chyba to miejsce, zahamował gwałtownie mały fiat. – Stary! – krzyknął ktoś ze środka pudełka. Podszedłem. – Stary! – wykrzykiwał Jędrrek. – Co się z tobą dzieje? Czemu nie dajesz znaku życia? Mógłbyś czasem do nas wpaść. (Nie znałem ich adresu). Cholera, czy to tak trudno podnieść słuchawkę i zadryndolić. (Nie znałem numeru ich telefonu). Wsiadaj, nie wykręcaj się, zawiozę cię do nas! – Wsiadłem. Wszystko wróciło, wszystko, proszę pana, serce biło, a w myślach tylko: zobaczę ją, zobaczę, podczas gdy on gadał, przerzucał biegi, roześmiany, szczęśliwy, tak, czuło się to, jeszcze by nie, Bernadetta bardzo się ucieszy, słowo, zobaczysz Januszka, śmieszny szkrab, wczoraj skończył cztery miesiące, a co u ciebie?

Chociaż przedtem powiedziałbym, że to niemożliwe, ale wydała mi się jeszcze piękniejsza, w oczach było coś nowego, mądrość macierzyństwa, mądrość i łagodność zarazem, straciła trochę na dziewczęcości, zyskała na kobiecości, przedtem wydała mi się trochę szorstka, bałem się jej błyskawicznych ripost, teraz mówiła jakby wolniej, śpiewniej, w oczach pojawiło się trochę rozczulającej babskiej naiwności, mądrość życiowa z domieszką nabytej głupoty, coś, co tylko kobietom dodaje wdzięku, czym tylko one potrafią operować.

Wszystko przebiegało, jak nakazuje przyzwoitość. Przywitała mnie z uśmiechem, prawie okrzykiem radości, ona też wyraziła zgorszenie, że o nich zapominam, ja udawałem swobodę, nazachwyciałem się Januszkiem, który był cały w ojca, parę żarcików na ten temat, potem dziecko zanesiono do pokoju obok, do łóżeczka, my rozmawialiśmy z ożywieniem, i tu muszę dodać, że pani Bernadetta była w dzinsach, które ciasno opinały jej biodra, ponętnie, nawet jakoś wyzywająco. Mój wzrok ślizgał się po kuszącym załukowaniu tych bioder, delikatnym, a zarazem wyzywającym, jak już powiedziałem, starałem się, żeby oczy mnie nie zdradziły, tak, to wtedy po raz pierwszy pomyślałem o jej ciele, była opalona, opalone ciało, myślałem, oczy zachodziły mi mgłą, przełknąłem ślinę, jak pies, dopadnę cię jak pies sukę – pomyślałem – i czy mój oddech mnie nie zdradza?

Jędrrek zagadał o odczytach, to uratowało sytuację, prelegenta aresztowano, prelegenta wypuszczono – mnie przypomniał się jakiś dowcip, Gomułka w więzieniu, opowiedziałem go – roześmiała się – i nagle Jędrrek: – Poczekajcie, zrobię herbaty, mamy znakomitą herbatę, siedź, Detka, siedź, ja się tym zajmę. – Ona powiedziała z uśmiechem: – Jędrusiowi się zdaje, że tylko on umie parzyć herbatę. – Ale ja wiedziałem, że nie o to chodzi, że on chciał uczcić gościa.

Zostaliśmy we dwoje. I chyba mogła się domyślić, co się we mnie dzieje. Bo ja zamilkłem. Siedzieliśmy oboje w fotelach, ja wpatrzony w nią, wargi mi się poruszały jak w modlitwie, opuściłem więc wzrok, znowu go podniosłem, przypatrywałem jej się w milczeniu, i wtedy dostrzegłem coś w jej oczach, rozwarły się szeroko, jej spojrzenie nabrało intensywności, jakby i ona chciała mi coś przekazać, coś, czego nie mogła powiedzieć głośno, coś, do czego nawet przed samą sobą nie mogła się przyznać, a jednak chciałaby, żebym ja się domyślił, było jak most przerzucony między dwojgiem ludzi, po tym moście słałem moje zakazane pragnienie,

mój podziw, moje oddanie, i ona to czuła, i odbierała, i było jej to miłe, co najmniej miłe, jeśli nie więcej. I to też było zabronione, oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Ciężar nas gniótł, ciężar wspólnej tajemnicy. Nagle ona uśmiechnęła się. „Chyba zapalimy”, powiedziała. Ten uśmiech, pełen łagodnej rezygnacji, nie ukrywał tego, że papieros ma nas ratować przed milczeniem. Pałac ofiarowanego mi przez nią papierosa, mówiłem przez chwilę o tym, że uchodzę za lekkoducha, cóż na to poradzę, ludzie sądzą po pozorach, a pozory są przeciwko mnie. „Niech się pan tym nie przejmuj, panie Jurku, lekkoduchy budzą sympatię”, powiedziała i przechyliła się w moim kierunku, wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć mojej dłoni, ale nagle cofnęła się w głąb fotela. Wszedł Jędrak z filiżankami herbaty. Pani Bernadetta szybko zaczęła mówić o czymś innym, było to związane z dzieckiem, a więc jednak tajemnica, coś sekretnego nas łączy – ona już wie, co ja czuję, i ja wiem, że ona to zachowa dla siebie...

Kiedy wychodziłem, Jędrak był bardzo ożywiony i serdeczny.

– Stary – mówił na korytarzu – nie bądź świnia, pokaż się czasem.

Ona mu sekundowała, chociaż bardziej powściągliwie:

– Mam nadzieję, że pan Jurek o nas nie zapomni.

Nie, pomyślałem, znalazłszy się na ulicy, nie, to bez sensu. Będę grzęznąć w uczuciu, będę się ludzić wzajemnością, a wreszcie zdradzi mnie spojrzenie, głos, Jędrak nabierze podejrzeń, zniechęci mnie, i słusznie. Nie należy wnosić niepokoju do jej życia i podsycać go też nie należy. Nie wykręcałem ich numeru telefonu, oni do mnie też nie dzwonili. Może Jędrak się czegoś domyśla? Może woli, żebym ich nie odwiedzał? A ona? Gdyby tego pragnęła – myślałem – pierwsza by zadzwoniła. Ale co by mi mogła powiedzieć? „Niech pan przyjdzie, tęsknię za panem”? Przecież nie tęskniła. To tylko mój niepokój w jej obecności sprawił, że i ona stała się niespokojna – kiedy mnie nie było, jej życie toczyło się wyżłobionymi koleinami, więcej sobie mną głowy nie zaprzętała.

Tak myślałem. Ale chyba się myliłem. Zrozumiałem to w pewien mroźny i słoneczny dzień, kiedy zobaczyłem Bernadettę na Nowym Świecie. Szła objuczona torbami, jak na polską gospodynię przystało, na głowie miała dużą czapkę z rudego lisa przechyloną zawiadziacko na bok. Była zamyślona i nie widziała, że się zbliżam. Stałem przed nią i spytałem: „Pomóc?”. „O, to pan! – uśmiechnęła się. – Nie, dziękuję, pan chyba jak zwykle się śpieszy, a za rogiem czeka Jędrak z samochodem. – Pochwaliła się: – Dostałam białą emulsję w sklepie chemicznym. – I zaraz zreflektowała się: – Och, przepraszam, pana to w ogóle nie obchodzi. Czemu pan Jurek się nie pojawia? Niech pan nas odwiedzi, porozmawiamy jak ostatnim razem”. Nie uśmiechnęła się, zapraszając mnie, mówiła to z powagą, nawet jakby z odrobiną smutku. „Nie rozmawialiśmy – przypomniałem. – Milczeliśmy”. „To pomilczymy”. Miałem ochotę powiedzieć: „Nie, nie przyjdę, bo kocham panią” albo: „Tak, tak, przyjdę, muszę przyjść, kocham cię” – ale znowu milczałem.

Oboje czuliśmy chyba to samo: że wszystko między nami rozgrywa się pod powierzchnią słów, ona coś mówi, ja coś mówię, a pod spodem coś się kłębi, wrze, tylko nie wolno nam tego ujawnić, wszystko musi zostać stłumione; na zewnątrz uprzejmość, takt, powściągliwość, a pod spodem – słuchaj, chcę cię, twoich ust, twojego ciała, ja też, też chcę, moja, mój... – I w miarę jak we mnie wzbierało wrzenie pod pokrywą obojętnych słów, w jej oczach narastał niepokój. „Niech pan biegnie, bo spóźni się pan na randkę”. „Nie mam żadnej randki” – wydusiłem z siebie kłamstwo, bo szedłem na randkę. Powiedziała bardzo serio: „To dobrze”. Nadstawiła policzek do pocałunku. Dotknąłem wargami chłodnej skóry i pobiegłem przed siebie, potrącając przechodniów.

Teraz mogłem czekać. Będzie moja, myślałem, a jeśli nawet nie dojdzie do łóżka – ach, czy to zawsze takie ważne – to w każdym razie zasygnalizowała mi, że pragnie mojej obecności.

I nawet swojej wyłączności. Byłem szczęśliwie wzburzony. Człowieku, pomyślałem, ależ ci się powodzi. Zamieniłeś z nią kilka słów – i już jest twoja. Nie narzekaj na loterię życia, nie wyciągasz samych pustych losów. Rozwiodą się, myślałem znowu z uporem. Wydrę ją Jędrkowi. Oczekałem kilka dni, żeby pozwolić dojrzeć jej tęsknocie, i dopiero wtedy zadzwoniłem. Ona odebrała telefon. Ucieszyłem się, że poznała mnie po głosie. Ale zaraz moja radość zgasła, bo Bernadetta była podenerwowana. Chwilowo nieaktualne, powiedziała, Jędrak jest chory. Czy mam go odwiedzić? Nie, na razie nie, on nie chce odwiedzin. Kiedy się poprawi, zawiadomię pana. Szepnąłem: „Będę o pani myślał”. Usłyszałem cichutkie: „Ja też” – i zaraz po tym konwencjonalne: „Dziękuję za telefon. Do widzenia”.

Nie dzwoniła. Od znajomych lekarzy usłyszałem, że choroba Jędrka przeciąga się, że coś się komplikuje. Boże, pomyślałem wystraszony, żeby tylko nic mu się nie stało. Ona wciąż mnie nie zawiadamiała. Mój niepokój rósł. Musiałem się upewnić, że to nic takiego, musiałem uwolnić się od poczucia winy. Więc to ja zadzwoniłem. Telefon odebrał Jędrak. Poczulem rozczarowanie – i to mi się we mnie nie spodobało. „Jak się czujesz?” „Chyba lepiej” – odpowiedział. „Kiedy będziesz do ludzi?” „Czy ja wiem? Porozmawiaj z Detką, ona jest moim aniołem stróżem”. Zrozumiałem, że rozmowa go męczy. Niedobrze. Bernadetta przejęła słuchawkę: „Ach, to pan... Trochę nam się to skomplikowało. Ale wszystko będzie dobrze, na pewno. Jędrak ma mocny organizm i jest wzorowym pacjentem”. Chyba nie może przy nim powiedzieć prawdy. Spytałem cicho: „To poważne, tak?” „Tak” – przyznała. „Musi pani być dzielna. Proszę mi przyrzec, że będzie pani dzielna”. Cóż innego miałem do powiedzenia? O żadnych wyznaniach w tej sytuacji nie mogło być mowy. Choroba Jędrka zadała wszystkim cios. Powiedziała cicho: „Jestem dzielna”. „Gdyby czegoś trzeba było, pani wie... możecie na mnie liczyć”. „Wiem. Dziękuję”. Po chwili szepł: „On zasnął”. „Bardzo pani ciężko?” – spytałem. „Bardzo. To zakrawa na koszmar”. Nagle dodała pośpiesznie: „Jestem dobrej myśli. Wyciągniemy go z tego, na pewno”. Widocznie się ocknął, pomyślałem i powiedziałem: „I ja tak myślę. Całuję panią gorąco” – pozwoliłem sobie na zakończenie, ponieważ słowo „całuję” rzucone przez telefon nic już ostatnio nie znaczy, podobnie jak słowo „love” w angielskich listach. Ale w moich ustach ono oczywiście coś znaczyło, poczułem smak tego słowa na wargach.

Odtąd zaczęła się moja udręka. Nie wiem, czy pan spostrzegł, czy pan ośmielił się spostrzec, bo do pewnych spostrzeżeń trzeba właśnie śmiałości, odwagi myśli, heroicznego zanurzenia się w ciemnej otchłani naszych stłumionych pragnień – jak to robił Dostojewski, jak zrobił Freud – otóż czy pan zauważył, że nie ma prawie śmierci przyjmowanych całkowicie bezinteresownie? Obojętnie – tak, ale nie bezinteresownie. Kiedy człowiek odchodzi z tego świata, prawie zawsze sprawia tym komuś głęboko skrywaną satysfakcję, przez sam fakt odejścia zostawia miejsce dla innego, rzecz coraz istotniejsza na tym naszym zatłoczonym świecie. Powstaje próżnia, w którą od razu wciska się ktoś inny. Zostają po tamtym rzeczy, książki, posada. Pieniądze w banku. Renta. Zostaje łóżko, maszyna do pisania. Już nie trzeba się nim opiekować. Już nie trzeba się liczyć z jego zdaniem. Jest trochę samotnie, ale nie ma zrzędzenia, fochów, gadulstwa, humorów, krępującej kontroli. Niech pan zauważy, że ja nie mówię o spadkobiercach po zamożnej cioci: ci niemal nie ukrywają buchającej z nich radości, nie znają niepokojów sumienia. Ja mówię o nas, ludziach uczciwych, skromnych, którzy pozornie nic nie dziedziczymy, a przecież coś na cudzej śmierci korzystamy. Mnie Jędrak zostawiał Bernadettę.

Teraz pan wie, dlaczego zacząłem siebie podejrzewać, czy nie jestem czasem mordercą z premedytacją? Chciałem przecież jakiegoś rozwiązania tej sytuacji, chciałem rozpadu ich związku, zaspokojenia mojej szaleńczej, beznadziejnej miłości – oczywiście myślałem o rozwodzie, nie o jego śmierci – ale oto on sam przychodzi mi z pomocą, ułatwia przejście Bernadetty, umiera na tajemniczą chorobę, z którą lekarze nie wiedzą jak walczyć. Poszedłem do

kościół, pierwszy raz od wielu lat, modliłem się gorąco o jego życie. Ale zaraz na ulicy, stojąc w zimnym wicherze, poczułem w tym jakiś fałsz. Cóż ci szkodziło się pomodlić, skoro w gruncie rzeczy jesteś niewierzący? Prawdą jest, że chciałeś mieć Bernadettę, chciałeś jej dla siebie. Jędrak ci przeszkadzał, twój przyjaciel stał na zawadzie – i proszę, on umiera, będzie wedle twoich życzeń. Przypomniałem sobie, jak to było, kiedy dowiedziałem się od kolegów lekarzy, że ta choroba jest cięższa, niż myślano, przypomniałem sobie, że chociaż od razu ciężar legł mi na piersi i błagałem los, żeby mu się nic nie stało, to równocześnie przeleciało mi przez mózg jak błyskawica, że jest szansa, jest! będzie twoja! Przeraziłem się tej rozświetlającej mroki błyskawicy, zgasilem ją, zdusiłem, ale odtąd to wciąż za mną szło. Myśl drgająca radością, przyspieszonym biciem serca, zbrodnicza w swojej istocie, zadręczająca mnie swoim natręctwem. Nie mogłem się jej pozbyć, wdzierala się we mnie, pojawiała się nieoczekiwanie, w samotności, najczęściej w stanach przedsennych, dopadała mnie wyrazistym szeptem: „Będziesz ją miał”. Przepędzałem ten głos, wściekałem się na siebie, na swoją nadwrażliwość. Bo przecież to nie była prawda! Ja wcale nie chciałem śmierci Jędraka! Ja naprawdę chciałem, żeby on wyzdrowiał, taki miły, fajny chłop, to tylko moje nieczyste sumienie, nieczyste bez wyraźnego powodu, mąciło mi umysł, szepcząc jak mały złośliwy szatanek: „Skorzystasz”.

Nasze myśli biegną czasem dwutorowo. Świadomość mówi: „Biedny, kochany Jędrak, ojciec uroczonego bobaska, to okropne, że on umiera, byli ze sobą tacy szczęśliwi” – i nawet łyżki wzbierają nam w oczach. A drugim torem biegnie zupełnie inna myśl, ta, nad którą nie panujemy, przemyka się i przekrzywia, i chichocze: „A przecież po prawdzie...”. Powiem więcej: takiej złej myśli może wcale w nas nie być, ale obawa, że coś takiego moglibyśmy sobie pomyśleć, już sama ta obawa powoduje, że taka myśl się rodzi. Tak chyba było ze mną: mój niepokój wyłączył się z obawy, że mogę sobie pomyśleć coś podłego.

Czy pan wierzy w moce nadprzyrodzone? Ach, odmawia pan odpowiedzi. Ja w całej tej sytuacji czułem działanie mocy nadprzyrodzonych. Nie chciałem śmierci Jędraka, tego byłem pewny, ale moja namiętność ku jego żonie wyzwoliła siłę, która go zabijała. I zabijała całkiem bezsensownie, bo przecież w tych okolicznościach Bernadetta nie mogłaby się stać moja. Nigdy bym nie mógł po nią sięgnąć, a już na pewno nie mógłbym z nią być szczęśliwy, wiedząc, że trzeba było wprzód zamordować Jędraka. Tak więc Jędrak, odchodząc, wytrącał mi ją z ramion. Niby mi ją zostawiał, ale właściwie – w konsekwencji – zabierał ostatecznie. Bo musiałem sam sobie udowodnić, że nie chcę skorzystać na jego śmierci. Chciałem też ratować Jędraka. Przekonać tajemne moce, które go zabijały, że fatygują się niepotrzebnie.

Zaproponowałem mojej ostatniej dziewczynie małżeństwo. Była zaskoczona, nigdy między nami nie było o tym mowy, trochę ją to nawet zastanowiło, ale w końcu się zgodziła. Załatwiłem nasz ślub w pośpiechu. Głowę w toń, ratowałem siebie, odcinałem się od zbrodni, ale po cichu wierzyłem, że ratuję i jego. Przed samym ślubem zadzwoniłem do Bernadetty, przyrzekłem sobie, że po raz ostatni. Poznała mnie po głosie. Zaczęła coś mówić i naraz usłyszałem szloch. Pogorszyło się, niestety. W kilka dni później Jędrak zmarł. Za późno zacząłem go ratować, za późno.

Ostatni raz widziałem ją na pogrzebie. Wyglądała prześlicznie w czerni, spłakana, bezbronna, i może przez to nieoczekiwanie dziecinnie. Ja też w pewnym momencie zalałem się łzami. Ale starałem się, żeby tego nie zauważyła. Miała już suche oczy i surowy, napięty wyraz twarzy, kiedy podchodziliśmy do niej my, jego i jej przyjaciele, żeby ją ucałować w oba policzki. Ja nie ucałowałem – bałem się, że to będzie świętokradztwo, podstępne spełnienie tego, o czym marzyłem. Pochyliłem się i ucałowałem jej dłoń. Usłyszałem westchnienie i wycofałem się. Spojrzałem na nią jeszcze z daleka: wyglądała prześlicznie, już raz to powiedziałem. Ale pomyślałem sobie, że jednak nie aż tak, żeby z jej powodu zamordować przyjaciela.

Nigdy do niej nie zadzwoniłem. Ona też się nie odezwała. Rozumiała chyba to samo co ja: że właśnie teraz stało się to trudne. Słyszałem, że wychodzi za męża, za lekarza, zdolnego chirurga, jednego z przyjaciół Jędrka. On bierze ją z małym dzieckiem. Cóż pan chce? Kobieta z powodzeniem. I tyle jeszcze życia przed nią...

A mnie gniecie tajemnica. Jestem czy nie jestem mordercą? A ona: czy przeżywała coś podobnego co ja, czy czekała na coś, żeby się ze mną połączyć? Czy ją też dręczył złośliwy szatanek? A może ja sobie jej uczucia tylko ubzdurałem? Może nic takiego wobec mnie nie żywiła, prócz sympatycznej reakcji kobiety, która zauważyła, że jest uwielbiana? Tajemnica. Chodzę, coś tam robię, milczę – nie mogę nikomu pisać na ten temat słowa. Nawet własnej żonie, z którą żyje nam się poprawnie. Dziwi pana to „nawet”? Ale kiedy człowiek przeżywa coś istotnego, intymnego, to jest w nim impuls, śmieszny, przyznaję, żeby zwierzyć się z tego przede wszystkim żonie, człowiekowi najbliższemu, przyjaciółce i współnikowi. Aż czasem zdumiewa, że właśnie jej jednej nie wolno się zwierzyć.

I dlatego przyszedłem do pana.

1985

## Raskolnikow

Głowę miał ogoloną. Jeszcze nie był więźniem, ale już wyglądał jak więzień. Mimikra – pomyślałem najpierw. Jemu się zdaje, że przez upodobnienie się do skazańca będzie poza podejrzeniem. Ale potem skorygowałem tę myśl: nie, to charakteryzacja – on chce wyglądać jak przestępca. Bo to też jest coś, jakiś wyróżnik. Mały, drobny, twarz chuda, piwne oczy niespokojne, ale nie ze strachu, nie, to były oczy, o których można powiedzieć, że nie są w stanie usiedzieć w miejscu. Zdaje się, że bardzo chciał mi się spodobać. Zastanawiałem się, czy nie po to tu przyszedł – po moją aprobatę. Nieważne, powiedziałem sobie, wysłuchaj go, to jest klient jak każdy inny. Poczęstowałem go papierosem – odmówił – woli palić swoje, mocniejsze.

– Ja pana w to nie wmieszam – powiedział – ale i pan się w to nie będzie pchał. Umowa? Pan nic nie wie i już. A jakby gliniarz zechciał coś od pana wyciągnąć, to pan może powiedzieć, że tajemnica zawodowa. Ja tak rozumiem, że u pana tutaj to jak na spowiedzi, dobrze mówię? No!... Bo jak ja stąd sobie pójdę, to mnie pewno capną, może już na mnie na ulicy czekają, a może wezmą z domu, a jak nie capną, to sam się zgłoszę, tak będzie lepiej, zresztą Heniek mnie i tak sypnie. My to tak między sobą ułożyliśmy, że jak jednego wezmą, to sypnie drugiego, nie ma co grać bohatera, kiedy i tak to na nic się zda, a jak się sypnie kumpla albo samemu się zgłosi, to może być okoliczność łagodząca. Jak trzeba będzie, to i skruczę okazemy, popłakać też można – czemu nie, nie tacy płakali. Na niby, ma się wiedzieć. Bo myśmy się umówili, że tak naprawdę, tak między nami, to żadnej skruchy. „Pamiętaj, Heniek – uprzedziłem go – nas na to stać i ani be, ani me”. Czyli że tu, u pana, mistrzu, są ostatnie godziny prawdy. Bo to fakt, że człowiekowi czasem tej prawdy trzeba, względem tego to ten Rusek trochę racji miał. A jak tylko stąd wyjdę, to od razu zaczynam teatr i kiwanko.

– Jaki Rusek? – spytałem zaintrygowany.

– Raskolnikow. – Wypowiedział to nazwisko, prawidłowo akcentując. – Słyszał pan chyba przecież. W telewizji pokazywali. Widział pan? *Zbrodnia i kara* się nazywa, ten film. Ja normalnie to ruskich filmów nie oglądam, chociaż czasem zdarzy się, ale wtedy to byliśmy u Joli, to taka duża dziewczyna z włosami punk, chodzi do zawodówki, ale już dawno jest w wieku poborowym, biodra ma niezłe, a na tym spódniczkę mini, rajcowna, wtedy miała chatę wolną, bo były Zaduszki i starzy pojechali na wieś na groby, no to zebraliśmy się u niej, sześć czy siedem osób, a może całe osiem, a ona w pewnym momencie nadmienia: „Dzisiaj *Zbrodnia i kara* leci, trzeba obejrzyć”. To oglądaliśmy, a jak kto się z czymś odezwał, to Jola warczała: „Co za towarzystwo, do nagłej cholery. *Zbrodni i kary* nie potrafią obejrzyć”. Bo ta Jola to, trzeba przyznać, zawsze wiedziała co do czego. Raz pamiętam, siedzą sobie panienki w sopockim Grandzie, w kawiarni, a tam dokoła wiszą obrazy, zawsze tam jakieś wystawy robiono, ze sprzedażą nawet, i ta Jola, pamiętam, bo chyba nigdy tego nie zapomnę, oglądała te obrazy, ale z jaką miną, jak ten stary w telewizji, co zawsze o wartościach nadmienia – musimy, powiada, chronić wartości – a co to są za wartości, nikt nie zrozumie, on sam chyba też nie – no i ogląda Jola te obrazy, a pali przy tym takie długie eleganckie cygarety, czarny tytoń, i na temat każdego obrazka coś ma do powiedzenia: w jakim stylu, z jakiej szkoły. Siedział z nami wtedy jeden lubiący się zabawić literat w dżinsach, co pod Malborkiem ma swoją posiadłość i zamyśla muzeum swojej osoby w nim założyć, i widziałem, że go to bawiło, naraz wyjął taki mały notesik i szybko coś zapisał. Jej słowa, założyłbym się. Zbliży się kelner i mówi: „Pani Jolu, Finowie czekają”. A Jola na to: „To niech tu przyjdą, bo ja chcę jeszcze na ten taszyzm popatrzeć”. Pamiętam dobrze, że powiedziała „taszyzm”, bo nawet myślałem, że się pomyliła i miało być „faszyzm”, ale okazało się, że wszystko w porządku – właśnie „taszyzm”. Ale ona z tym



patrzeniem to nadmieniała tylko dla pucu, bo zaraz kuper podniosła i kręcąc nim elegancko, jak księżna Monako, poszła sobie dorabiać.

Jeszcze nam ta Jola zdążyła powiedzieć przed emisją, że *Zbrodnia i kara* jest według powieści, ale tego bym się domyślił i bez niej, bo zawsze jest według jakiejś powieści. Niezła historyjka, wciągnęło nas, i trzeba przyznać, że jak towarzystwo jest cicho, to lepiej się ogląda. Widział pan to? No pewno, jeszcze by nie. To nie będę panu streszczał. Tylko tyle powiem, że to wszystko przez ten film. Gdyby nie Raskolnikow, nie siedziałbym tu przed panem. Wtedy to się zdecydowało. Jak się film skończył i Jola wyłączyła telewizor, Heniek parsknął: „Ale numer!”. Na to jego Bejbi, taka mała, dosyć w sobie panienka, co lubi pociągnąć, już ze szklanką owocowego w ręku, zaczęła recenzować i wykrzywiać się nie gorzej niż jakaś paniusia z gazety: „W ogóle to owszem, nie powiem, ujdzie w tłoku, tylko ta Sońka. Co jej strzeliło, żeby pójść za chłopca z wyrokiem? Jaką przyszłość z nim mogła mieć? Chyba miała w głowie nie po kolei. Kto by tak zrobił?”. I zniszczyła artystów: „Niemożliwe!”. Jola na to: „Bo ona miała dobre serce”. „Dobre, dobre, ale w kinie” – na to Bejbi w śmiech. Jola zaś: „Co ty tam wiesz, przecież to Dostojewski”. I powtórzyła, wypuszczając dym z ust, jak wtedy z tym taszyzmem: „Do-sto-jewski”. Był z nami Długi Dżon, czyli Janek S., chwilowo niepracujący, i on podtrzymywał Jolę: „Bo dawniej to ludzie byli bardziej uczuciowi. Nie ta znieczulica co dzisiaj”. „Co?! – na to zjeżyła się Misia – Jaka znowu znieczulica? Może ja nie jestem uczuciowa? Jak słuchałam Bloody Dogsów, to żyły sobie chciałam poderżnąć i tak wrzeszczałam, że mnie wynieśli z sali”. To zgodziliśmy się, że i my jesteśmy uczuciowi, tylko jakoś inaczej, bardziej tak dla siebie, a nie żeby pobiec na policję przyznać się, że się kogoś ciachnęło, bo sumienie, bo to, sio. Heniek powiedział: „A ja wam mówię, że to dlatego, że ten Raskolnikow był Ruski, nasz chłopak by się nie podłamał, zrobiłby swoje, forszę wziął i tyle go widzieli”. No i zaczęliśmy się sprzeczać o Ruskich, zwłaszcza że panienki były innego zdania. Pamiętam, że Długi Dżon, czyli ten Janek S., powiedział, że jak się taką rzecz robi, to nie ma potem co roztrząsać, bo wtedy to koniec z tobą, bracie, trzeba po męsku: zrobione i cześć. Heniek jeszcze powiedział, że czytał o takim, a może kino oglądał, co się przyznał do czegoś, czego wcale nie popełnił. I nie żeby go zmusili, ale że trapiły go wyrzuty sumienia – tak w ogóle: że on jadł, pił, bawił się, kiedy ktoś tam został zamordowany, a w Afryce ktoś głoduje i tak dalej. No to było z tym trochę śmiechu i cała owocówka poszła, na szczęście Janek S. przytaskał ze sobą bimberk. I jak sobie podgazowaliśmy i z dziewczynami zrobiliśmy, co obowiązek nakazuje, to Miśka – tak, ona – pamiętam, że miałem ją na kolanach i że ona ześlizgnęła mi się z tych kolan i jeszcze zasapana warknęła, nie wiadomo dlaczego, bo przecież powinna była być zadowolona, a ona odwrotnie, warknęła, cholera wie dlaczego: „Ty capie (bo wtedy miałem bródkę), do tego toś ty dobry, niech cię choroba, ale czego ty Raskolnikowa masz za nic? To był ktoś i dlatego o nim jest książka. Jakbyś był na jego miejscu, tobyś się jeszcze bardziej rozkraczył”. „A właśnie, że nie...” „No to idź, bierz siekierę i rąbnij staruszkę. Dasz radę, akurat”. Aż mi się gorąco zrobiło: „Co, ja nie dam rady?”. I już chciałem powiedzieć, że jest taka jedna starka na Targowej, o której mówi się, że ma w tapczanie odłożone – rozpierało mnie, żeby to krzyknąć, bo krew mnie zalewała, za kogo ta głupia dziwka mnie ma, warszawskiego rodaka, czy ja gorszy od jakiegoś Raskolnikowa – kiedy nagle patrzę, a tu Heniek daje mi gwałtowne znaki, żebym trzymał gębę. O, myślę sobie, coś w tym jest. Dałem mu znak, że rozumiem, już milczę, a Heniek kiwnął głową, dobra jest.

Jak tylko wyszliśmy na ulicę, Heniek do mnie: „Pamiętasz starą Wyżymaczkę z Targowej?”. „A jak? Myślałem o niej”. „To ty też?”. „Jest głowa czy nie?”. „A nie pęknie?” Spojrzał na mnie, jakby on był ten lepszy. Oburzyłem się: „Ja?! Chyba mnie nie znasz”. „A co z wyrzutami sumienia?” „Chromolę”. „Żadnego chodzenia do gliniarzy?” „No pewno”. „Ani na miejsce przestępstwa?...” „Ty już naprawdę z byka spadłeś”. Spytałem: „Co ona może mieć?”.

„Co dusza zapragnie. Paczki dostaje z Kanady”. „A dolary?” „No chyba, dolary też. Dla kogo ona to wszystko chowa? Jak to tamten powiedział? Zasluguje, psiakrew, żeby jej przedstawić rachunek. Takie chłopaki jak my dwaj, młodzież można powiedzieć, przyszłość narodu, i nic, ciągle nic, a tu ta stara Wyżymaczka rozsiała się na swoich paczkach. I tak jej już niedługo, a my tylko wyręczymy sprawiedliwość, bo nie ma się, cholera, kto nią zająć”. Nie podobało mi się, że Heniek tyle tłumaczył. Cały wykład w telewizji miał, jak ten w okularach przed filmem. Źle to wróżyło. Mówię: „Nie, Heniek, jak rany, nie o to się rozchodzi. A o to, że ona ma, a my nie – to raz. I trzeba ją załatwić, nie że to sprawiedliwe, ale że nas stać na to. Zrobimy swoje i nawet w nocy nam się nie przyśni, jasne?”. On na to: „Jasne. To jest właściwe podejście”. I już nie patrzył na mnie z góry.

Ułożyliśmy plan. Trzeba będzie przez parę dni obserwować co i jak, żeby wykonanie było na medal. Przygotować pudło z jakimś szmatami, czarnym tuszem wypisać na nim jej adres, niby że przynosimy jej paczkę, bo wie pan, jak to teraz jest, można sobie dorobić rozwożeniem paczek. Najlepiej by to było zrobić między szóstą a siódmą, bo po siódmej może się jakaś sąsiadka wmeldować, żeby obejrzeć dziennik i film. „A co z siekierą?” – pytam. „Jaką siekierą? – Heniek aż się obruszył. – Czy to ja chłop ze wsi, co ojca, matkę chce zabić? Młotek i linka” – powiedział i uciął dyskusję, bo co racja, to racja, nie ma co się sprzeczać.

Mieszkała na drugim piętrze, dwa okna wychodziły na ulicę: kuchnia i pokój. Z obserwacji wyszło według planu: gdzieś o pół do szóstej zapalało się w tych oknach światło, dni były jeszcze krótkawe, znaczyło to, że o tej porze Wyżymaczka jest w domu, po siódmej światło się zmieniało, stawało się pomarańczowe od nocnej lampki, ze smugą siną od telewizora, czyli że stara ogląda dobranockę, bo one to lubią, te stare kobiety, lubią wszystko co dla dzieci. To sporządziliśmy tę paczkę, pudło wzięliśmy z mydlarni po proszku do prania Dixan, żeby wyglądało zagraniczniej, wypchaliśmy je makulaturą, czarny flamaster kupiliśmy u prywaciarza na Wilczej i dużymi literami wypisaliśmy nazwisko naszej Wyżymaczki i pierwszą literę imienia. Potem przewiązaliśmy paczkę sznurem i jeszcze wymyśliliśmy nadawcę z Australii: Jan Kowalski, Sydney, John Lennon Street czterdzieści osiem łamane przez sześc. Fachowo! Ale się pokapowaliśmy, że nie ma na paczce znaczków. „Co to szkodzi – na to Heniek – u nich często jest bez znaczków, tylko nadruki dają”. „Ale nie ma i nadruków”. Heniek machnął tylko ręką: no to nie ma, o co chodzi, ważne żebyśmy się tam dostali. Niby racja.

Krytycznego dnia wypiliśmy po secie, wzięliśmy naszą paczkę i wędrujemy pod ten dom. „A co, jak kogoś drugiego zastaniemy? – pytam. – Tamten zastał i musiał zaciukać dwie zamiast jednej”. „Bo był niefartowny. Od początku mu nie szło. My jesteśmy fartowni”. „Dużo możesz wiedzieć”. „Wiem. Mnie to, choroba – chwalił się ten Heniek, niech za to szczęście – wszystko w życiu się udaje. Ja to mam już taki glik. Jeszcze mnie nie znasz? Nawet Bejbi mówi, że ja to chyba z samym diabłem trzymam sztamę”. „Dobra, niech będzie, ale jak się jednak napatoczy, to co? Chodu?” Heniek się zastanowił, potem powiedział: „Chodu. Po co nam jakieś komplikacje?”. Było tak za piętnaście szósta, kiedy stanęliśmy przed tym domem. W obu oknach na drugim piętrze widać było światło. Zobaczyłem cień starej kobiety w kuchni, coś tam pewno sobie pitrasila, takie stare kobiety to dziobią jak te ptaszki, ale za to ciągle. Serce mi zabiło, w gardle poczułem suchość, nie ukrywam, nawet pomyślałem: żeby mi tylko kolana nie drżały, a Heniek, jakby mnie odgadł, spytał: „Dygoczesz?”. „Nie. Ale jeszcze jedną setę to bym wychylił”. Heniek na to, że owszem, nie zaszkodziłoby. Bo co tu gadać, jakieś nerwy to są. Najpierw człowiek myśli, że nic go nie ruszy, a potem, jak mu się wszystko na łeb wali, to dostaje drgawek. Nic, idziemy, krok po kroku. Klatka schodowa brudna, za co ten cieć pieniądze bierze, nie wiadomo. Stanęliśmy przed jej drzwiami, drewniane, brązowa farba trochę odrapana, napis kredą „K + M + B”. Mruknąłem do Heńka: „Nasze drzwi”. Była tam jeszcze karteczka z nazwiskiem

Wyżymaczki, a przed nim całe imię, Zofia. Zapamiętałem, bo moja pierwsza dziewczyna też była Zośka, no to mi się rzuciło w oczy. I w ogóle w takiej chwili dużo rzuca się w oczy, tylko wcale nie to, co powinno.

Heniek, że wyższy, to był z paczką, ja nacisnąłem dzwonek. Ostry był, jakby kto świdrem uszy przeszył, nie tak, jak te dzisiejsze, te z muzyką. Usłyszeliśmy człapanie, musiała być w papuciach, a potem, pod samymi drzwiami, zaskrzeczała:

– Kto tam?

Heniek odpowiedział wesoło, tak jak sobie ułożyliśmy:

– Poczta!

Ale stara cholera ostrożna była. Spytała, nie otwierając drzwi:

– Jaka poczta?

– Paczka z Australii.

– Z Australii? Do mnie? – Zdziwiła się widać, ale drzwi uchyliła, tylko że jeszcze łańcuch trzymał. I zobaczyliśmy jej twarz, z osiemdziesiąt lat ma, pomyślałem, ale potem z nekrologu dowiedziałem się, że siedemdziesiąt dwa, tylko mnie się tak wydawało, że osiemdziesiąt. Ale siedemdziesiąt dwa też ładny wiek, ja tyle nie pożyję, niechby połowę tego i wystarczy. Patrzyliśmy na nią, ona na nas, znaleźliśmy się trochę po sąsiedzku, z kolejki, więc powiedziała: „To panowie teraz przy paczkach dorabiacie?”. „Taki czas – Heniek na to – trzeba pomagać”. Stara pokiwała głową i otworzyła drzwi.

Heniek wszedł pierwszy, ja za nim. Coś jej nagle na myśl przyszło, bo spytała, podnosząc na mnie oczy:

– A pan tu właściwie po co?

Mogłem ją od razu stuknąć młotkiem, ale co się było śpieszyć, byliśmy w środku, to najważniejsze.

– Taki teraz porządek, proszę pani, żeby we dwóch. Do jednego nie ma zaufania – może przesyłkę podwędzić, to ten drugi go pilnuje.

– Coś takiego – westchnęła. – Ale się świat zrobił.

– Tak, tak, pani ma rację – Heniek na to i idzie z paczką do pokoju, wprost do okrągłego stołu, na którym leżała ręcznie haftowana serweta, cudo, mówię panu, ona to sama robiła. – Demoralizacja, jakiej świat nie widział – mówi dalej Heniek. – Toteż – powiada – pani szanowna nie powinna sama przebywać, mogą się zdarzyć jacyś źli ludzie – pytluje – lokatora trzeba wziąć, żeby nikt obcy się nie połakomił.

I mrugnął do mnie okiem, jaki on zręczny. I popatrz, jest sama – ano prawda, mieliśmy fart, on go miał jak zawsze, ale czy to naprawdę był fart, czy nie byłoby lepiej, żeby nam się zdarzyło trochę niefartu, to się jeszcze okaże. Stara Wyżymaczka zaskrzeczała.

– Po co mi lokator? Żeby cudze humory znosić? Do mnie tu nikt po nic nie przyjdzie, dobrze wiedzą, że nie ma się tu czym pożywić. Ale czemu pan paczkę wciąż trzyma? Od kogo to?

– Kowalski – odczytał. – Kowalski Jan.

– Kowalski? W Australii? Nie znam takiego...

– Nie trzeba znać – odezwał się. – Teraz na świecie jest taka akcja: pomagają Polakom. Ktoś podał pani nazwisko, może się pani cieszyć.

– Może Helenka – rozmyślała na głos. – Ile się panom należy?

– Sto pięć złotych dopłaty. – Tak to sobie czegoś wymyślił, ten Heniek.

Stara podreptała do szafy, wyjęła torebkę, z torebki portmonetkę z pieniędzmi. Podczas gdy ona liczyła, ja nie wytrzymałem i spytałem:

– Oglądała pani w telewizji *Zbrodnię i karę*?

– Oglądałam, wszystko oglądam.

– Fajne, nie?

– E, wie pan – powiedziała – dawniej to artyści byli przystojniejsi. Do zakochania się! Teraz takie byle co jest za artystę.

– No, ale historia życiowa, nie? – Strasznie mi się chciało wiedzieć, czy jej przez myśl przejdzie kojarzyć to z nami.

– Czy ja wiem. Może. Może być – przyznała. – Ale, wiedzą panowie, ja to myślę, że nie powinni takich smutnych rzeczy pokazywać. O zabijaniu, dobrze, ale żeby tak mu się nie powiodło. W telewizji, jak artysta sympatyczny, to wszystko powinno się mu udawać. A nie żeby zabijał. Weselsze powinno być.

Jak już się wypowiedziała, to wręczyła Heńkowi pieniądze, dała sto pięćdziesiąt, reszta dla nas na piwo. Heniek liczył monetę strasznie poważnie, jeszcze udawaliśmy panów z poczty, chociaż można już się było do niej dobrać. Wsypał pieniądze do kieszeni i powiedział:

– Jeszcze drobiazg, pani Zofio. Trzeba podpisać.

I położył na stole zużyty kwit z pralni.

– Tutaj – pokazał starej gdzie.

– Poszukam okularów.

– Ale po co? Po co jakieś okulary? – Heniek bał się, że ona rozpozna, że to nie ten kwit. – Pani podpisze o tu, na dole.

I nawet podał jej długopis. Ona pochyliła się nad stołem i właśnie kiedy gryzmoliła swoje nazwisko, ja stuknąłem ją młotkiem w ciemię. Wydała okrzyk, taki krótki, jakby głośno westchnęła, i padła twarzą na stół, na tę swoją serwetę. Ale nie mogliśmy polegać na tym uderzeniu, zresztą było umówione, że jak dwóch, to dwóch, więc Heniek wyszarpnął linkę z kieszeni, zarzucił jej przez głowę i ścisnął wokół szyi. Trzymał tak kilkanaście sekund, aż był już na pewno koniec. Cholernie szybko to idzie z człowiekiem, cholernie.

Przenieśliśmy ją na fotel, żeby wyglądało, że zmarła w drzemce, „Życie Warszawy” położyliśmy obok, tak że niby wysliznęło jej się z rąk, otworzyliśmy na stronie ogłoszeń, bo takie stare to najbardziej lubią ogłoszenia i nekrologi. A potem zabraliśmy się do przetrząsania domu. W szafach nic, pod materacem nic, pod poduszką tak samo. W torebce osiemset złotych. W kuchni trochę zapasów, nie powiem, kawa, herbata, zagraniczna margaryna, w łazience trochę mydełek i proszków, ale przecież nie po takie barachło przyszliśmy. Zielonych ani śladu. Zegarek znalazł się, owszem, cebula sprzed stu lat, z łańcuszkiem, pewnie po ojcu, może i coś wart, ale nie chodził. Czyli tylko ta portmonetka, a w niej osiemset złotych i trochę drobnych. „Wystawiła nas do wiatru, stara Wyżymaczka – powiedziałem. – Teraz to ona może się śmiać. Osiemset złotych! Nie do wiary”. „Bo przed pierwszym. – Heniek zaraz się kapnął, w czym rzecz. – Jeszcze nie nadeszła emerytura. Po pierwszym byłoby kilka tysięcy”. „Teraz toś mądry. Czegoś przedtem nie pomyślał?”

Heniek nie odpowiedział. Podarł ten kwit z pralni i spuścił go z wodą w ubikacji. Potem rozbiliśmy naszą paczkę, podarliśmy ją na strzępy, żeby wyrzucić do pojemnika na śmieci na podwórzu, jak już stąd wyjdziemy. A potem jeszcze trochę myszkowaliśmy po mieszkaniu, każdy na własną rękę. Aż tu Heniek krzyczy:

– Mam!

– Co masz? – Ucieszyłem się, że zielone.

– Wino!

– Cholera z winem. Jakie wino?

– Cabernet. No to chodu.

– Poczekaj, otworzymy.

Znalazłem korkociąg, otworzyliśmy butelkę i dopiero wtedy wyszliśmy, z winem pod pachą i z tymi kawałkami po paczce. Jak się ich pozbyliśmy, to poszliśmy parę domów dalej, gdzie była fajna brama, cicha jak sypialnia, przedwojenna, nawet trochę kafelków zostało. I tutaj wysuszyliśmy nasze wino. Ja mówię:

– Heniek, wiesz co? Zabiliśmy starą Wyżymaczkę dla ośmiuset złotych.

– A wino? – przypomniał Heniek.

– Tamten to załapał niezły szmal, celował w ładowaną staruchę, a my co? Jak małe dzieci. On wiedział, po co to robi, siostrę miał w biedzie, i to, i tamto. A my po cholere?

– Pękasz? – spytał Heniek.

– Nie, nie pękam. Mówię, jak jest.

I śladów, mówię, pozostawiliśmy od cholery. Odciski palców jak stąd do Piaseczna. „Kichaj na to” – powiada Heniek. Fachowcy, przypominam mu, to w rękawiczkach pracują. No to on, że to nie dla nas taka robota, albo–albo, powiada, jak iść, to na całość. Ja za brakoróbstwem nie jestem, powiadam, a my spartaczyliśmy robotę i na dobitkę guzik z tego mamy. Na to Heniek, że za te osiemset złotych trzeba kupić pół litra i coś do tego, konserwę albo żółtego sera. Rozprawiliśmy się z tą półlitrówką w następnej bramie. Miałem porządnie w czubie, chwiałem się, pamiętam dobrze, bo film mi się nie urwał, ja zawsze wszystko pamiętam, i pamiętam, jak Heniek powtarzał:

– Zabiliśmy starą Wyżymaczkę?

– Zabiliśmy. Dla ośmiuset złotych.

– Nie, bracie. Dla porządku. Stara, głupia, dosyć pożyła.

– Ja nie wiem – mówię – dosyć, nie dosyć. Czy ja Pan Bóg, żeby mówić, kto ile ma żyć?

A ty co – Pan Bóg jesteś?

– Pękasz.

– Nie, ja tylko mówię.

Heniek pochwiał się trochę i znowu:

– Te, zabiłeś człowieka czy nie?

– We dwóch.

– We dwóch – ale zrobiłeś to czy nie?

– No, zrobiłem.

– To teraz dopiero jesteś facet – powiedział Heniek i klepnął mnie po barku. Mnie się zdaje, że to też było z jakiegoś kina, z francuskiego filmu, nie pamiętam tylko, o co szło. – Teraz – mówił Heniek – możesz powiedzieć, że jesteś chłop, a nie kiedy szorujesz Misię. – I pogroził mi palcem: – Nie pękaj!

– Bądź spokojny.

– Idę do Bejbi – powiedział. – Mam teraz kategoryczne życzenie dotknąć jej boskiego ciała.

Gównu boskie, chciałem powiedzieć, ale nie powiedziałem, niech mu będzie, jak taki zaślepiony.

Ja powlokłem się do starych, bez pośpiechu, bo muszę panu powiedzieć, że nogi się podę mną płątały, a poza tym to się czułem jak głupi, bo taki wyczyn i nic. Za to Heniek, chociaż na gazie, pobiegł do swojej supermiss. Wcale go nie chciała wpuścić, bo akurat była trzeźwa, a w mieszkaniu matka i ojczym. To on, że ma ważną gadkę, i zaprosił ją do kawiarni. Poszła z nim do takiej małej kawiarenki bliżej Brukowej, wzięli dwie herbaty, bo on był niezłe splukany i jeszcze go suszyło, i w pewnej chwili, jak mi to potem nadmienił, patrzy jej uwodzicielsko w oczy: „Bejbi, a chcesz coś na szczęście?”. „Daj”. To on tę linkę wyjmuje z kieszeni i ofiaruje. „Co to jest?” – pyta zdumiona Bejbi. „Dla ciebie, najukochańsza. Żeby ci się powodziło”. „Od tego ma

mi się powodzić?” „Od tego. To jest linka, którą dwie godziny temu udusiłem staruchę”. Nie uwierzyła. „Zostaw to, powiada, po co takie żarty, pijany jesteś”. „Pijany to troszkę jestem, ale żarty to to nie są. Udusiłem”. Bejbi spytała: „A po co?”. „Trzeba było”. „Trzeba? Dlaczego?” „Co ci będę tłumaczył...” – tyle wystękał, bo nagle nie wiedział, co jej powiedzieć. „Po pijaku?” – spytała. „Nie, potem się upiłem. Chcesz tę linkę?” „Chcę, dziękuję”. Schowała linkę do torebki i spytała: „Sam to zrobiłeś czy z Capem?”. Wtedy on skłamał, że sam, nie dlatego, żeby mnie nie sypać, tylko dlatego, żeby całą zasługę sobie przypisać. „A co? – zaperzył się. – Czy mnie kto potrzebny?” „I kogoś tak utłukł?” – spytała. „Dowiesz się z gazet”. „To o tym będzie w gazetach?” „A jakże. We wszystkich”. „Ty gniole – wybuchnęła. – Nie myśl, że mnie w to zamieszasz! Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego!” Poderwała się. „I proszę do mnie nie dzwonić ani mnie nie nachodzić. Żegnaj pana”.

I wyszła jak obrażona dama, z tą linką w torebce. Znała już całą historię i miała nawet dowód rzeczowy. Jasne było, że sypnie. One zawsze to robią. To się zawsze tak kończy, że kochanki wydają swoich amantów. Jest taki moment, że mają dosyć, i wtedy chcą się zasłużyć, żeby ich się nie czepiano. Dillinger, wróg publiczny numer jeden, film o nim był – to jak skończył? Ukochana go wskazała policji, jak wychodzili z kina. „To ten, mówi, strzelajcie”. Na sito go przeszli. I one z góry wiedzą, że kiedyś swoich kochanków wydadzą, tylko jeszcze nie znają dnia i godziny.

Ale minęło kilka dni i nic. Heniek chodził jakiś niespokojny. Nekrolog był, pogrzeb, a tu wciąż nic. Heniek coraz bardziej niespokojny. Nie żeby jakieś wyrzuty sumienia, ale że tak nic się nie dzieje. Kamień w wodę. Mówi do mnie: „Ty, a może byśmy poszli rzucić okiem na to mieszkanie”. „Po co?” „Czy się kto wprowadził. Albo czy sąsiadkę szlag nie trafił”. „Aha – mówię – już ciągnie przestępcę na miejsce zbrodni”. „Ale gdzie tam. Tylko tak pójść, dla draki”.

Znowu chciał się sprawdzić. A może tęsknił do mamra albo do pojedynku z prokuratorem. Może spodziewał się, że go wykiwa i jak dobrze pójdzie, to Bejbi będzie miała nieprzyjemności za fałszywy donos. Powiedziałem: „Okej, to ja za tobą o kilka metrów, bo jak kogoś szukają, to nie mnie”. I rzeczywiście. Jak tylko Heniek zbliżył się do tego domu, a tu patrzeć spod muru odlepia się taki wysoki facet w ortalionowej pikowanej kurtce i podchodzi do mojego współnika. „Obywatel Heniek?” – zapytuje. To już wiedziałem, że muszę zatrzymać się, stoję koło kiosku z gazetami, patrzę na „Rzeczpospolitą” i słucham. „A bo co? – pyta Heniek. – Znamy się?” „Czekam tu na ciebie. Jest interes”. „Jaki?” Na to nadeszło dwóch mundurowych. A cywil pyta: „Zabiłeś staruchę?”. „A może nie zabiłem, co?” Ale cywil już nie odpowiada, gliniarze zakładają Heńkowi kajdanki i wrzucają go do taksówki, która właśnie podjechała. A ja kupiłem gazetę i z nogami ciężkimi jak ołów poszedłem do domu.

To było wczoraj. W nocy spać nie mogłem, chociaż wypięłem sam do lampy trzy sety wódki. Leżę i myślę: już po mnie. I przypominam sobie, jak to się stało. Wszystko mi się przypomina, szczególnie po szczególnie, minuta po minucie. I po co, po co, pytam ja pana, po co było w to leżać? A może to nie tak, myślę, może mi się ubrdało tylko, a naprawdę stara żyje. Gdyby tak dało się wszystko cofnąć do tego momentu, zanim weszliśmy na schody. Gdybym na przykład powiedział wtedy: „Heniek, po diabła nam to potrzebne? Czy to źle jest, jak jest?”. I zaraz sobie wyobrażam, jak by to było, gdybyśmy tam nie poleżli, Heniek na wolności, z Bejbi albo z jakąś lepszą, wszystko jest po staremu. Ale co się bujać, powiadam sobie, stało się i już się nie odstanie, zabiłeś Wyżymaczkę dla ośmiuset złotych plus butelka wina, to teraz płać za swoją głupotę. A potem pomyślałem: komu by to wszystko po porządku opowiedzieć? Nie to, co będę czarować do pana śledczego, ale to, co naprawdę się zdarzyło. Zrzucić z siebie trochę tego ciężaru. I przypomniałem sobie, co Jola kiedyś nadmieniła o panu. Że pan wysłuchuje. I jak postanowiłem sobie, że przyjdę do pana, to od razu zasnąłem. I spałem prawie do południa.



## Człowiek, który miał powiesić Greisera

– Nie poznajecie mnie, panie kolego, a przecież my się znamy. – Mężczyzna wydał mi się rozżalony i ja, oczywiście, od razu poczułem się winny. – Po wojnie, w Poznaniu, w sztabie Drugiej Armii. Był pan tam, prawda? – Przytaknąłem: był taki poznański epizod w moim życiu, trwał kilka miesięcy. Więc, owszem, mogliśmy się zetknąć, ale tylko przelotnie, i czemuż ten starszy, tęgi pan (którego wyglądem nie będę się tu zajmował, bo opowieść tyczy innego czasu i innego człowieka, młodego, szczupłego, właściwie chłopca jeszcze), czemu on żąda, żebym ja go pamiętał? Nie wiem, czy mieliśmy okazję zamienić ze sobą choć kilka zdań. – Czytywałem wówczas pańskie felietony w gazetce armijnej, nawet niektóre mam wycięte, proszę. – Pokazał mi plik podłużnych, pożółkłych wycinków gazetowych. – Wasze, nie? – Boże, westchnąłem w duchu, więc to wciąż się za mną wlecze, ten grzeszek romantycznej młodości, nie lekkomyślnej, o nie, strasznie serio to było, pełne złudzeń, dobrej wiary, prawdziwie zielony grzech. Powiedziałem mu, że prawie o tym zapomniałem. – A ja pamiętam – mówił. – A wie pan dlaczego? Bo wszystko co jest związane z tym okresem, pamiętam. Poznań – to najważniejsza część mojego życia. Nie było już frontu, strzelaniny, nic mi już nie groziło, ale tam zdarzyło się spięcie, kto wie, czy nie najbardziej dramatyczne w moim życiu. Musiałem sobie nagle odpowiedzieć na pytanie: tak czy nie? chcę czy nie chcę? A nie sztuka tylko pomyśleć, trzeba jeszcze postanowienie wprowadzić w czyn. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem – może nie chciałem do tego wspomnienia wracać. Człowiek wiele odpycha. Ale panu opowiem. Bo pan tam był, pisał pan te śmieszne felietoniki i chociaż pan mnie nie pamięta – no tak, był pan tam krótko – ale ja pana pamiętam, to wystarczy.

– Byłem kierowcą generała D. – opowiadał mężczyzna. – Pamięta go pan chyba? Z taką piękną laską. Przedwojenny oficer, wtedy major dyplomowany, zgłosił się do nas jeszcze na Wołyniu, jak tylko wyszedł z ukrycia – przez tę ranę, po której okulał, nie mógł brać udziału w partyzantce – ale u nas wykorzystywano go w wydziale operacyjnym i on szybko awansował. Szanowano go za tę jego przedwojenność, fachowość, ale więcej może za nienaganne maniere, o które bardzo dbał w trosce zapewne o dobre imię przedwojennej kadry. Wyrażał się zawsze elegancko, pił umiarkowanie, schludny, zapięty, pracowity, trochę milczek, uważano go za wzorowego sztabowca. Niech pan nie myśli, że ja cały front przeszedłem jako generalski wozak. Gdzie tam. Tonęło się w Wiśle, a tak, paliłem się w czołgu na Wale Pomorskim, a kiedy podreperowano mnie w szpitalu, poszedłem do Drugiej Armii, forsowałem w kwietniu Nysę i znowu było mokro, ale już nie tak, i znowu mnie drasnęło, tak że i ja okulałem. Ale prowadzić łazika mogłem, szoferki wyuczyłem się w Ferganie, woziłem tam beczki z benzyną, bawełnę, buraki cukrowe, wszystko; to później w Poznaniu, jak czasem podskoczyliśmy sobie na wybojach, generał mi te rosyjskie doświadczenia wypominał:

– Mundek, do cholery – w takich chwilach na choleryzowanie to on sobie pozwalał – człowieka wieziesz, a nie worek kartofli! – Ale mnie lubił, wyróżniał nawet, mogłem się o tym nie raz przekonać. Generał kulas i jego kierowca kulas – zabawne, nie? – chociaż po wojnie to znowu nie takie nadzwyczajne, nie? – jego to czasem bawiło, ale może w jego stosunku do mnie było coś więcej, może czuł wspólnotę losu, trochę solidarności, nie za dużo, bo niby skąd, między nami była przepaść, i to jest w porządku, bez tego nie ma wojska – gdzie generał, a gdzie kierowca, nawet jeśli w stopniu starszego sierżanta, z dwoma Krzyżami Walecznych.

Prócz mnie miał jeszcze pan generał adiutanta, był nim chorąży P., młody człowiek, ale nieprawdopodobny bigot, ciągle latał do spowiedzi – zastanawiałem się, kiedy zdąży coś nagrzeszyć między jedną a drugą spowiedzią – i był jeszcze ordynans, czterdziestolatek,



Wołyniak z tej wsi, w której pan generał się ukrywał, pocziwy, ale raczej niezaradny. Poznań to było dla niego trochę za duże miasto, zanadto kamienne, elektryczne, tramwajowe, ani drzew, ani bagien, Wołyniak sechł w tej kamiennej obcości i żeby całkiem nie uschnąć, podlewał się po cichu bimbrem. Stale zajeżdżał buraczanką. Żeby wytrzasnąć skądś tej buraczanki, to ten Rzepka – tak się nazywał: Rzepka – do tego to on był zmyślny. A w Poznaniu to wcale nie było łatwe, Poznań to wtedy było porządne miasto, bimbru pędzono mniej niż gdzie indziej, on chyba ten bimber brał od repatriantów na stacji, wymieniał za część naszego suchego prowiantu, dostawialiśmy go wcale niemało i było z czego podszczypywać.

Było nas więc przy generale trzech, ale nie ma co ukrywać, że mnie on wyróżniał. Życie generała jest często w rękach kierowcy, spędza się długie godziny razem – to wszystko zbliża. Ale on mnie chyba wyróżniał także za moje rany i Krzyże Walecznych. I za wszystko, co przeżyłem. Nie mam specjalnego daru opowiadania, jak pan zdołał zauważyć, ale generałowi to nie przeszkadzało. Sam był człowiekiem zamkniętym – nigdy żadnych zwierzeń, nie wiedzieliśmy, co stało się z jego żoną, dziećmi, mówiono różnie, podobno okrutna historia, on nigdy się nie zająknął – ale za to mnie czasem podbechtywał do gadania, zwłaszcza gdy droga była dłuższa i bez wybojów. Na autostradzie pod Wrocławiem, kiedy sunęliśmy gładko jak po stole i robiłem się trochę senny, odzywał się: – No, czego, do cholery, milczysz? Zapomniałeś ludzkiej mowy? No to opowiadałem znowu, jak to u nas w domu było. Strasznie go to ciekawiło, zupełnie jakby słuchał jakichś egzotycznych opowieści. Najbardziej to lubił słuchać o sklepiku moich rodziców na Słonecznej we Lwowie. Może taki mały przedwojenny sklepik to było coś (tak myślę dzisiaj), co stanowiło przedmiot nostalgii. – To coście tam trzymali? – dopytywał się. – Szprotki, panie generale, i piklingi wędzone, złociutki, równiutko ułożone w takich drewnianych skrzyneczkach. – I obok nafta? – Nafta była, ale nie obok. – A masło to pewnie kroilo się drutem? – A tak, panie generale, jakby pan przy tym był. – A pestki były? – Pestki, panie generale, i landrynki, i dropsy, oranżada, kostka mrożona, irysy stolwerki, i sucha kielbasa. – A ogórki? – Jakie ogórki! I śledzie z becзки. – I bajgle – rozmarzył się generał. – Nie, bajgle to nie u nas, bajgle jeszcze gorące kupowało się u przekupniów, z kosza, u nas były kajzerki, i mógł pan dostać parówki cielejące, nawet na gorąco, do papierka z musztardą. – A na borg, Mundek, na borg dawaliście? – A jak inaczej? Kuchta przychodziła z książeczką i tam jej wpisywano, co wzięła. A potem paniusia płaciła... – No i nic dziwnego, że to musiało się zawalić – wzdychał generał – musiał takie porządki szlag trafić.

Tak się tymi rozmowami rozdrażnialiśmy („nie razdrażaj” – mówił w końcu pan generał), że trzeba się było gdzieś zatrzymać, gdzie można było zjeść i wypić, ale chociaż najedzeni, to byliśmy dość zgodni, generał i jego kierowca, że to już nie to.

Z tych rozmów generał dowiedział się, co się stało z moją rodziną. Raz tylko o tym napomknąłem, ale generał zapamiętał. On rozumiał, że ja tylko na zewnątrz jestem pogodny, a w środku stale coś piecze, w środku żrąca nienawiść, pragnienie zemsty – nie, nie to, nie jest mi to łatwo sformułować – raczej straszliwe poczucie utraty, odejścia świata, bezcelowości istnienia, trudnej do ogarnięcia myślą klęski życiowej. Kiedy tak lażem w ogień jak straceniec, to bardziej niż mścić się chciałem zginąć – tak to naprawdę wyglądało. Ale kończyło się wszystko na ranach, za którymi szły orderzy – od czego robiło się jeszcze smutniej.

W tym czasie zaczęły się procesy zbrodniarzy wojennych. W Norymberdze sądzono całą elitę, w Warszawie Fischera, a u nas, w Poznaniu – Greisera. Pasjonowaliśmy się tymi procesami, to była nasza osobista sprawa, nie tylko porachunek z przeszłością, ale też przez sam fakt, że zbrodniarza dosięga kara, że musi stać z pochyloną głową przed polskim sędzią, odpowiadać, tłumaczyć się, kłamać, łykać ślinę, sam ten fakt napawał otuchą na przyszłość. Nauuczka dla wszystkich, którzy zechcą jeszcze raz spróbować. Prawda, że nie wszystkich to

nauczyło. Znaleźli się i później tacy, którzy znowu próbowali szerzyć nienawiść do ludzi innego pochodzenia, badali rasę matki i babki, zaglądali do portek – i nawet nie stanęli za to przed sądem denacyfikacyjnym. No, ale wtedy nie mogliśmy tego przewidzieć. Wtedy z tych procesów czerpaliśmy wiarę, że czas łobuzów minął. Chodziłem czasem na salę sądową, przysłuchiwałem się nudnej procedurze, zdarzało się, że jakiś świadek zemdłał, wszystko to było mało ważne, ważny był ten błady mężczyzna na ławie oskarżonych, ten morderca, jeszcze kilka miesięcy temu nieomylny, pełen pychy, a teraz – zaszczuty więzień, skruszony, bliski płaczu. Ten widok był moim największym zadośćuczynieniem. I generał o tym wiedział.

Kiedy proces się skończył i Greiser dostał wyrok śmierci, czułem się tak, jakby dla mnie też się coś skończyło. Wygrałem moją wojnę, chociaż nie bardzo miałem po co żyć. I robić nie było co, bo akurat mój willys poszedł do remontu, leżałem więc na tapczanie, w mieszkaniu państwa G. przy ulicy Drużbackiej, czytałem, co było pod ręką, pamiętam, że czytałem *Napoleona* Emila Ludwiga, wciągające, można było zapomnieć o własnych sprawach, chyba czytałem właśnie tę książkę, kiedy przyszedł do mnie chorąży P. Wypucowany, pachniał zdobyczną wodą kolońską

– Zbieraj się – powiedział. – Pan generał cię wzywa.

Przyglądziłem włosy, zapiąłem pas. Spytałem:

– Co się stało? Coś z willysem?

– A ja wiem? – powiada chorąży. – Czy on co kiedy powie? Tylko tyle: chorąży, przprowadźcie mi tu Mundka, jest pilna sprawa.

Psia kurtka, myślę, co to może być? Zameldowałem się przepisowo – nasz generał, poza godzinami na willysie, nie znosił żadnych obluźnień. Wydał mi się tym razem jakiś podniecony – powiedziałbym: radośnie. Może ma wiadomość od żony – przeleciało mi przez głowę – może gdzieś żyje i ja mam po nią jechać. Podał mi rękę i powiedział:

– Siadaj i słuchaj.

– Tak jest.

Usiadłem w fotelu, on, opierając się na lasce, kuśtykał po gabinecie.

– Mundek, załatwiłem ci coś – powiedział. Jego głos nie ukrywał satysfakcji. Robił wrażenie chłopca, który nareszcie może wyjawić rozpierający go sekret.

– Dziękuję, panie generale.

– Zaraz mi naprawdę podziękujesz. Wiesz, że pojutrze będą wieszać Greisera?

– Wiem, panie generale.

– Ty go powiesz.

Zrobiło mi się strasznie niewygodnie w tym fotelu. Wstałem, ale ciężko, bo nogi mi sflaczały. Czułem, że jestem błady jak ostatni tchórz. I serce – tukało się aż do bólu.

– No co, nie dziękujesz mi? – spytał generał z uśmiechem.

Wydusiłem:

– Ku chwale ojczyzny, panie generale.

On nadal chodził po gabinecie. Miał regularne rysy twarzy, chociaż twarde, rasowego wojaka, ale teraz ta twarz złagodniała, kiedy tak promieniał, opowiadając mi:

– Nie myśl, Mundek, że to było łatwo zorganizować. Stu ochotników pcha się do tego! Zgłosiła się nawet jedna młoda dziewczyna. Ale ja pomyślałem sobie: to się należy mojemu Mundkowi. Chłopcze – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu – będziesz mógł się zemścić. Za wszystko! Sam, własnymi rękami, zaciśniesz mu pętlę na szyi.

Powiedziałem:

– Dziękuję, panie generale.

Chorąży P. i Wołyniak czekali rozgorączkowani na korytarzu.

- No i co? – spytał chorąży.
- Nic takiego – uciałem i minąłem ich.
- Słyszałem, że chorąży syknął za mną:
- Gówniarz.

Ja dygotałem. Wszedłem do baru, wypilem dwie setki pod śledzia. Zdaje się, że barman przyglądał mi się ze zgorzaniem: że w mundurze i że taki młody. Ale chyba zauważył, że się nie zalałem. Tylko dygotanie ustało. Kto go prosił? – myślałem. Kto go, u diabła, prosił? „Zemścisz się”. Nie prosiłem go, by mi ułatwiał zemstę. I na czym ma polegać moja zemsta? Że zarzucę stryczek na szyję więźniowi...

Pani G. zauważyła, że późno w nocy świecę światło. Była to poczciwa kobieta, ale oszczędna. Weszła do pokoju jadalnego, gdzie stał mój tapczan, była w długiej nocnej koszuli, nic się nie krępowała, swój człowiek byłem i młodziak, i spytała: – Co to, panie sierzancie, już po jedenastej. – Ano tak, przepraszam, nie mogę spać. Już gaszę. – Żenić się trzeba, panie sierzancie – powiedziała. – Córka mojej kuzynki to mnie nawet o pana rozpytywała. – A wie pani – odezwałem się – pojutrze mają tego Greisera wieszać. – No i dobrze. Za dużo z nim ceregieli robili. – A wie pani, więcej niż sto osób zgłosiło się, żeby mu stryczek na szyi zacisnąć. – A pan się dziwi? – Nie, nie dziwię się. A pani nie chciałaby własnoręcznie go powiesić? – Ja? – chwilę się zastanowiła: – E, pan sierżant to takie plecie. Czy to o mnie chodzi? – Ale niech się pani zastanowi. – Nie wiem, może bym i chciała. – Nagle rozzłościła się jakby: – Pan sierżant to tak do śmiechu tylko mówi. Spać i tyle.

I zanim wyszła, przekręciła kontakt. Zostałem sam w ciemnościach. Położyłem się, ale zasnąć nie mogłem. Wciąż widziałem Greisera, tego zbrodniarza, łotra, mordercę – i siebie, jak zarzucam mu stryczek na szyję. I to miało mnie uszczęśliwić. „Mojemu Mundkowi to się należy”. Nie, nie rozumiał mnie zupełnie mój szef, a już na pewno ja nie rozumiałem jego. Greiser, oczywiście, zasłużył na stryczek, tak jak oni wszyscy, tylko że ja nie miałem ochoty być katem. Nie miałem ochoty nikogo wieszać. I sądzę, że moi zamordowani rodzice nie tego ode mnie żądali, żebym wieszał.

Ale przecież był rozkaz! Ale przecież zabijałeś! Tak, zabijałem, strzelałem. „Przeklęta broń palna” – mówi Mickiewicz. Przeklęta? Błogosławiona! Ale boję się, że będę mówić panu o oczywistościach. Jednak dla mnie tamtej bezsennej nocy to wcale nie były oczywistości, musiałem rozgryzać swój opór sam, musiałem dochodzić do swojej decyzji w walce ze swoją słabością. Co nazywam słabością? To, co mi mówiło: „Powieś go, to rozkaz. Powieś go, to zbrodniarz”. Moja siła, czy raczej moja inna słabość, mówiła mi jednak co innego. Jednym słowem czułem, że mi to nie smakuje. Czy muszę konsumować coś wstrętnego? Czytałem kiedyś, jeszcze przed wojną, takie opowiadanie Maupassanta o człowieku, którego czekał pojedynek i który tak się bał, swojego tchórzostwa się bał, że w noc przed pojedyńkiem popełnił samobójstwo. Rozumiałem go teraz dobrze, byłem w podobnym stanie ducha. Raczej zabić się niż dokonać egzekucji na drugim człowieku! A przecież robiłem w życiu różne rzeczy. Rozmyślałem też o tych, którzy różne rzeczy robili. W obozach trupy zwożono taczkami, wrzucano do pieca i robili to normalni ludzie, chociaż teraz, po tym wszystkim, może już nie są tacy zupełnie normalni. Pomyślałem, że i mnie na to było stać, nie uchyliłbym się od tego. Więc nie o jakiś opór natury estetycznej mi szło, nie o odrazę moralną, tylko po prostu o to, że... Że nie chciałem i już. Nie zrobię tego! – powiedziałem na głos i zerwałem się z tapczanu. Teraz, kiedy podjąłem decyzję, ogarnął mnie spokój. Czekala mnie przeprawa z generałem, drżałem z niecierpliwości, paliłem się wręcz do starcia, ale wewnątrz byłem spokojny, bo już wiedziałem, że za Boga tego nie zrobię. Stałem przy oknie, wypatrując z utęsknieniem dnia, aby móc wreszcie to z siebie zrzucić. Kiedy usłyszałem dzwonienie tramwaju, odetchnąłem. Wszedłem do

kuchni, mój gospodarz, mały pan G., urzędnik bankowy przed emeryturą, już jadł śniadanie, pani G. nalewała do dzbanka gorącej kawy z cykorii. Piliśmy tę kawę z panem G., wyklócając się jak zwykle o to, kto w maju 1926 roku reprezentował rację stanu: poznaniacy (czyli rząd) czy warszawiacy (czyli Piłsudski). Pan G. wszystkie wydarzenia rozpatrywał w kategoriach dzielnicowych i to mnie bawiło jako coś absolutnie nowego.

Niewyspany, więc blady, w pomiętym mundurze, bo się nie rozbierałem, zgłosiłem się jak mogłem najraniej do generała i wyrecytowałem ułożoną o świcie przemowę:

– Panie generale, chciałem zameldować, że dziękuję panu generałowi za staranie, ale proszę o zwolnienie mnie z jutrzejszej egzekucji.

– Chwileczkę, chwileczkę! – zawołał generał. – Czy dobrze rozumiem? Nie chcesz powiesić Greisera?

Chorąży P., który stał obok krzesła generała, otworzył usta: a więc to była ta sprawa do mnie!

– Nie chcę, panie generale – potwierdziłem.

– Mundek, Greisera! – wykrzyknął generał, czerwony na twarzy.

– Nie chcę wieszać nikogo.

Generał poderwał się.

– Czyś ty oszalał! – wrzasnął. – To ja się dla ciebie staram, kiedy stu chętnych...

– ...i jedna dziewczyna – podpowiedziałem złośliwie.

– Tak, dziewczyna! – krzyknął generał, który w swojej gorączce nie zwrócił uwagi na to, że odezwałem się bez zezwolenia. – Ona jest bardziej mężczyzną niż ty! Daję ci taką sposobność! Za wszystkie twoje cierpienia... A twoi rodzice! Co oni by na to powiedzieli?

Miałem już coś opryskliwego na języku, ale się pohamowałem. Wiedziałem zbyt dobrze, na czym mi zależy.

– Nie wiem – powiedziałem spokojnie – co by powiedzieli na to moi rodzice. Wiem tylko, że nie chcę nikogo wieszać.

Generał wlepił we mnie spojrzenie, jakby chciał mnie nim przestraszyć, przeniknąć, zrozumieć, co we mnie takiego siedzi, ale byłem dla niego nieprzenikniony właśnie dlatego, że we mnie nic specjalnego nie siedziało, czułem tylko, że ja jestem normalnym człowiekiem i dlatego nie mogę sobie wyobrazić, żebym miał kogoś powiesić, mniejsza o to kogo. I to, że nie może mnie zrozumieć, obrażało chyba mojego generała i w jakiś sposób go upokarzało.

– Ty tchórze – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Pochyliłem głowę. Niech mówi – ja wiem swoje.

– Tchórze – usłyszałem raz jeszcze. – Zawiodłem się na tobie. Jednak wylazło to z ciebie...

Podniosłem głowę. Chciałem zaprzeczyć. Chciałem mu powiedzieć, że wcale się na mnie nie zawiódł. Że jestem nadal sobą. Ale naraz zobaczyłem, że czerwona twarz generała robi się fioletowa. I pomyślałem sobie (przecież go lubiłem), że ugodziłem go już dostatecznie i lepiej zamilczeć.

Generał uniósł laskę i ryknął:

– Do cywila!!! – Obrócił się gwałtownie do chorążego P. – Chorąży, słyszycie? Do cywila z tym tchórzem! Kapelusz mu dać!

P. stuknął obcasami.

– Tak jest, panie generale.

– Natychmiast! – krzyczał generał, wywijając laską – Kapelusz! Kapelusz dla niego! – powtarzał, jakby nie było w Rzeczypospolitej większej hańby od noszenia kapelusza zamiast rogatywki. Wymierzył laskę wprost we mnie. – I precz mi z oczu! Nie pokazujcie mi się nigdy!

Nigdy!!!

Przeszedł od razu na „wy”. Koniec pieszczot.

W ten sposób znalazłem się w cywilu. Pana już wtedy w Poznaniu nie było, pan był w Krakowie. Kupiłem sobie kapelusz, a jakże, borsalino, jakiś Czech mi sprzedał. Nosilem go z tydzień, dwa, a potem kupiłem beret, a kapelusz powiesiłem na ścianie, na makatce, gdzie wisi po dziś dzień – obok dwóch Krzyży Walecznych.

1984

## Konie

Urodziłem się w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Mówi coś panu ta data? Hitler doszedł do władzy! Aha, to pan zorientowany, nawet pan pamięta. Nasze pokolenie – pan jest starszy ode mnie, ale pozwoli pan, że zaliczę go do swojego pokolenia – otóż my, łaskawy panie, znamy niektóre historyczne daty nie z książek, ale dlatego, że mamy je wypisane na własnej skórze. Pan pewno myśli, że ojciec pośpieszył się, by dać mi imię któregoś z ówczesnych prominentów? Otóż nie, łaskawy panie, na imię mam Otto, czyli tradycyjnie, jakby nic się nie stało. I chrzciny były wcale nie uroczyste, ojciec podobno powiedział, że nie czas teraz na bankiety, że ktoś mógłby to źle zrozumieć, z tej czy z tamtej strony, zależy jak kto na to spojrzy, ale na wszelki wypadek lepiej skromnie, bez jublu. Piwa jednak na pewno nie zabrakło. Niech pan pije, to jest wyborne piwo, nie uważa pan? U nas dużo się zmienia, ale piwo, chwała Bogu, wciąż się trzyma. Parówki też mamy niezgorsze, ale z tym to bywały szwindle, i czasem mi się wydaje, że to już nie to, co dawniej. Co innego piwo. Dużo w tej waszej Polsce macie lepszych rzeczy niż my, ale co do piwa, to już nie, wybaczy pan. Inna rzecz, że piwosze są trochę gadatliwi i pana może to razić. Już po drugim kuflu zbiera im się na wspominki, długie opowiadki, które do czegoś tam zmierzają, ale po drodze sami często zapominają do czego. Ci od wódki też czasem powiedzą coś od serca, ale zwięźlej. „Ja człowiek serdeczny – powiedzą – a ty świnia” albo odwrotnie: że ten drugi serdeczny – powiedzą – a on świnia. Najgorzej, jak ktoś miesza wódkę z piwem, to jest ktoś, można rzec, niezdecydowany – ja nigdy nie mieszam, bo jak to zrobić, od razu mi taka obręcz ściska głowę, drętwieję i jestem do niczego. Niech pan powie: kiedy właściwie człowiek jest naprawdę sobą, w całej okazałości? Nie wypije – czegoś mu brak; wypije za dużo – no to za dużo, skacowany; zażyje jakąś tabletkę – dziwnie spokojny, zażyje inną – dziwnie wesoły; ciśnienie w górę – podniecony, ciśnienie w dół – choć żyły sobie poderżnij; wszystko nań wpływa, wiadomość w gazecie, humor żony, niepowodzenie w pracy, wrzask dzieci, ból wątroby, czasem jakiś zapach, czasem jakieś podniecenie erotyczne. Co jest naszym stanem normalnym?

Pan się uśmiecha, i słusznie, piwosze lubią pofilozofować, wracam do tematu. Miałem prawie siedem lat, kiedy zaczęliśmy wojnę. Pamiętam, jak ojciec się z nami żegnał – odprowadzaliśmy go do pociągu, jechał, zdaje się, do Lipska. Byłem dumny, krocząc obok niego, zachwycony tym, że ojciec jest w mundurze i będzie zabijał wrogów Rzeszy. Dziś myślę, że on wcale nie był zachwycony, ale nie dawał po sobie znać, chodził milcząc, to pamiętam dobrze. Z kampanii w Polsce przywiózł nam plecak pełen mydła do prania, takie duże twarde kostki z jeleniem Schichta, i mydełka toaletowe, pachnące, firmy Puls. Mama się ucieszyła, bo wtedy z mydłem były u nas kłopoty. I z solą były kłopoty, woreczek soli też ojciec przywiózł z Polski. Potem, w miarę jak nasi żołnierze brali kraj po kraju, robiło się coraz zamożniej, po pokonaniu Francji pojawiła się szynka i sardynki, oliwa, sery, i nawet masło, zamiast których przedtem były tylko armaty, no i więcej owoców. Ojciec wciąż różne rzeczy przywoził, jak przyjeżdżał na urlop. A mamę, pod nieobecność ojca, zapytał taki *Parteigenosse*, który szarogęsił się w naszej osadzie pod Zittau, miał długi nos i wylupiaste oczy, i z prawdziwego aryjczyka miał tylko buty z cholewami, którymi dziarsko i wiernopoddańczo stukał, otóż on zapytał mamę, dlaczego właściwie mama przestała dzieci na świat wydawać, po co jej mąż dostaje z dowództwa urlop, czy po to, żeby bąki zbijał, i jak ona myśli, czy jeden Otto (niby ja) ma Führerowi wystarczyć? To wkrótce po tym jak ojciec przyjechał na urlop po zdobyciu Belgradu, skąd przywiózł mamie śliczny kożuszek, mama zaczęła chodzić z brzuchem. Kiedy mama urodziła – ale na złość Führerowi urodziła dziewczynkę, moją młodszą siostrę Sabinę – ojciec już nie żył, zginął w

odwrocie spod Moskwy, właściwie zamarzył, bo polskie futro, które mama mu przesłała, nigdy doń nie dotarło.

Co się stało z tym futrem, nie wiem. Tylko ten *Parteigenosse* nadal nagabywał mamę, że powinna mimo wszystko rodzić, że ktoś może ojca w jego funkcji zastąpić, na przykład on sam, zrobi to dla Partii i Führera, zrobi z uniesieniem, a nawet z osobistą przyjemnością, bo mama wciąż jest ładna. I pogłaskał mnie po główce, a ja warknąłem. Chyba dzięki mojemu warknięciu mama się wybroniła. Nie żebym ja coś wtedy miał przeciw Führerowi, tak nie było. Może pan sobie przecież wyobrazić, co wbijał nam do głów nasz wychowawca klasowy. Tak że ja, dzieciak, dumny byłem, że jestem Niemcem, o tyle wyższy cywilizacyjnie od innych, i że my wszystkich bijemy, i nawet że mój ojciec poległ jak bohater. Mieliśmy to czarno na białym, że bohater, i nawet dostawaliśmy za to dodatkową margarynę, chociaż mama jakoś się dowiedziała, że naprawdę to ojciec zamarzył. Mama na temat wyższości Niemców też się specjalnie nie wynurzała – zresztą ona nigdy nie zajmowała się polityką, znała swoje miejsce, jak przystało na niemiecką kobietę, Führer to Führer, wojna to wojna – chociaż w sąsiedztwie mieliśmy takie, co strasznie się Wodzem przejmowały, po nocach im się śnił – a mama nie, spokojna, jest jak jest, pracowała w polu przy pomocy mego dziadka i jego dwóch braci, starych kawalerów. Jeszcze była ciocia Elza. Mieliśmy tu, pod Zittau, niezłe gospodarstwo, dwanaście hektarów, dużo roboty, ale dawaliśmy radę. Ja byłem chłopcem poważnym, poważnym na sposób dziecienny – wie pan, jak to z dzieckiem, umie grać powagę – robiłem swoje z pełnym poczuciem odpowiedzialności, bo ojciec zawsze w listach z frontu dodawał taki kawałek specjalnie dla mnie: „Mój drogi Otto, opiekuj się mamą, jesteś już przecież dorosłym chłopcem”. Ostatni list z takim zaleceniem przyszedł, kiedy ojciec od trzech miesięcy już nie żył. Jak testament. Czyli rozumie pan, że ja byłem niezwykle ważny. Opiekun, nie byle co.

Moja mama nie mogła się doczekać końca wojny. Wcale nie modliła się o zwycięstwo, w ogóle na ten temat nie rozmawiała, ale ja i tak się domyślałem. Najpierw jej to miałem za złe – nie to, że nie przejmowała się klęskami, bo się przejmowała; wzdychała: „Mój Boże, tylu zabitych...” – miałem jej za złe to, że nie wierzyła w zwycięstwo, wszyscy wierzyli mimo cofania się frontu, nasz *Parteigenosse* wciąż zachowywał się tak, jakby jego panowanie miało trwać wiecznie, a mama nie wierzyła i tylko myślała, co będzie, jak przyjdą Ruski. Jak ich przyjąć, co przed nimi schować, czy się będą mścić. Wypisała sobie kilka słów z samouczka turystycznego, wydanego dla tych, co się wybiorą na wycieczkę do podbitej Moskwy: „Niet”, „spasibo”, „nie znaju” – jej zdaniem najbardziej użyteczne słowa. Tamci byli coraz bliżej, potem już zupełnie blisko, domyśliliśmy się tego nie z huku armat, bo go u nas nie było, żadnych walk, tylko kiedy pewnego dnia zniknął *Parteigenosse* z całą rodziną, to zrozumieliśmy, że koniec. Pobiegliśmy wszyscy oglądać jego opuszczone obejście: samochodu nie było, w pokojach szafy prawie puste, na podłodze w nieładzie pisma ilustrowane „Adler” i „Wehrmacht” z reportażami ze zwycięskich bojów naszych żołnierzy, a w szufladzie kupa orderów i dyplomów uznania. Dziadek zdjął ostrożnie portret Führera ze ściany i postawił w kącie, a potem przyniósł z komórki dwie deski i zabił nimi drzwi wejściowe do tego domu, na znak, że właściciela nie ma i nikt nie powinien tu wchodzić. Dziadek miał prawie osiemdziesiąt lat, strasznie był porządnicki i w ogóle nie nadawał się do tej wojny. Kiedy wróciliśmy do swojego domu, mama znalazła kawałek starego prześcieradła i wywiesiła je, a nam zakazała wychodzić z obejścia, dopóki się nie okaże, jak z tymi Ruskami jest.

Nie Ruski do nas przyszły, tylko Polacy. Do Polaków to mama była nawet lepiej przygotowana niż do Rusków, bo jeszcze będąc panną, służyła jako dojarka u jednego gospodarza pod Dreznem i tam była druga dojarka, pyskata dziewczyna przyjezdna z Polski, strasznie dużo pewnie miały sobie do powiedzenia – w każdym razie mama nauczyła się ją

rozumieć.

Jak pan pewno wie, był to początek maja, wiosna już była jak się patrzy, bzy – tak, łaskawy panie, wojna wojną, a bzy robią swoje – a na brzożach takie drobne dygoczące listki, trawa zielona, soczysta, krowy proszą się na pastwisko, ale my siedzimy w domu, bo mama zabroniła się pokazywać. Aż naraz słyszymy skrzywienie kół i na podwórze wtoczyła się karetka, nie taka hrabiowska, z herbami, wygięta, że aż oczy rwie, nie, czarna karetka, strasznie śmieszne pudło, jakie wynajmowano dawnymi czasy do ślubu. Można się było spodziewać stangreta w cylindrze, ale powoził żołnierz w rogatywce, zawołał „tprrru” do koni, stanęły od razu pośrodku dziedzińca, nie że takie posłuszne, ale że umorzone. Bardzo smutno wyglądały te konie, żal było patrzeć. Obok żołnierza siedział na koźle chłopak z naszej osady, w moim wieku, aleśmy się nie lubili, i ten chłopak wskazał żołnierzowi palcem, gdzie jest stajnia. Żołnierz zeskoczył z kozła, z karety wysypało się kilku innych, wszyscy w tych waszych zabawnych rogatywkach, a między nimi oficer. To był młody chłopak, ten oficer, szczupły, czarniawy (pamiętam, bo miałem okazję mu się przyjrzeć), nie wiem, w jakim był stopniu, ale to pamiętam, że miał jedną gwiazdkę.

Żołnierz, który przedtem siedział na koźle, zaczął wyprzęgać swoje konie, dwaj inni poszli do stajni. Obserwowaliśmy to dotychczas przez okno, ale teraz mama wypadła z domu, a ja za nią. Mama krzyknęła do mnie: „Otto, zostań!” Ja: „Nie!” – i pobiegłem za nią, bo przecież musiałem jej bronić gdyby co. Podczas gdy żołnierze wyprowadzali ze stajni nasze konie, mama spytała oficera, co się dzieje. Odpowiedział łamaną niemiecką, że oni tu wymieniają konie. – Zabieracie nam nasze konie?! – mama w krzyk. A on spokojnie: – Nie zabierać, wymieniać. – Nie! – rozdarła się mama. – Nie pozwolę! – Oficer tłumaczył, wciąż jeszcze spokojnie, nawet jakby pogodnie, że ich konie są zmorzone, a oni muszą jechać dalej, dopędzić swoją jednostkę, więc potrzebują świeżych koni. – Przecież my ich więcej nie zobaczymy! – krzyknęła mama czerwona z oburzenia. – My wam zostawimy te – na to ów Polak. – Ja nie chcę tych! – krzyczała mama. – Ja mam swoje konie, to są piękne konie. – I jak nie wrzaśnie: – To jest rozbój!

Wtedy ten młody oficer zbladł. I rozkrzyczał się, wciąż jeszcze po niemiecku: – Nie, nie! Nie rozbój! Pani pamiętaj: to my wygraliśmy wojnę i to wyście ją zaczęli!

Ale mama nie chciała słuchać o tym, kto zaczął wojnę: już nie panowała nad sobą. Rzuciła się między konie i żołnierzy i rozkrzyżowała ręce, krzycząc: – Nie, nie, nie pozwolę! – Oficer podszedł do niej, powiedział coś przez zęby, pewnie nazwał mamę brzydki po polsku, mama wciąż swoje i rękami macha, i sięga mu do twarzy, jakby chciała oczy wydrapać, wtedy on chwycił ją za przeguby, szarpnął, i poleciała na bok, ale nie upadła.

A wtedy ja, syn, opiekun, rzuciłem się na oficera, uchwyciłem się jego paska koalicyjnego i szarpiąc, krzychałem: – Nie śmieć dotykać mojej matki! – I coś jeszcze, coś nieprzytomnego ze złości, oburzenia, łzy ciekły mi po twarzy, wrzeszczałem, szarpałem koalicyjkę, coraz bardziej przejęty swoją rolą, a oficer przyglądał mi się zmieszany, nawet jakby strwożony, zaskoczony atakiem dziecka. Wszyscy wybiegli z domu, nawet moja trzyletnia siostrzyczka, która oczywiście wybuchnęła płaczem, słyszałem też skrzek dziadka, żołnierze też coś krzyczeli „pszy-pszy-pszy”, zaś ten oficer zwrócił się ostrym, rozkazującym głosem do mamy – pewno, żebym się uspokoił, bo mama krzyknęła: „Otto, puść pana!”. Puściłem go, ale nie odstępowałem, zasłaniałem sobą matkę, bo sobie wyobraziłem, że on chce ją bić, więc nie, po moim trupie. Ten Polak, przedtem bladej, teraz poczerwieniał, czoło pokryło mu się kroplami potu, i zaczął coś szybko do mnie mówić po swojemu, więc oczywiście nic nie rozumiałem, ale mama może rozumiała, czasem tylko wystrzelił jakimś niemieckim słowem, tak że mogłem zrozumieć, że mówi o tym, że ktoś został zabity, czy też wszystkich zabito, i że wszystko spalono, i że to my, Niemcy, zrobiliśmy. Palcem wskazał na mnie: „Ty, ty też...”. I do mamy: „I pani, pani też...”. Mama słuchała w milczeniu. Na końcu znowu była mowa o mnie, już



spokojnie, bo mama powiedziała: „Otto, odejdz”.

Odszedłem na bok. Mama zwróciła się do Polaka: „No więc?”. Oficer rozłożył ręce i westchnął. Mama odeszła na bok, stanęła koło mnie. Trzymając się za ręce, patrzyliśmy, jak żołnierze zaprzęgają nasze konie do karety, dwa piękne kasztany, proszę mi wierzyć, wychuchane, zdrowe, lśniące. Wiedziałem, że pójda na południe, w stronę Sudetów, i że już nigdy ich nie zobaczymy. Dusilem łzy, bo co to za opiekun, który płacze, ale płakać mi się chciało, bo te konie, które ja sam czyściłem, to była moja duma. Tamte, które żołnierze wprowadzili do stajni, to nie były może takie złe konie, też kasztanki, ale to całkiem co innego, już nie moje, nawet imion nie miały, a moje nazywały się Erna i Nora, jak śliczne dziewczątka. Usłyszałem skrzyp kół karety, ruszyła, i jeśli czegoś nie mogłem naszym kobyłom wybaczyć, to tego, że tak posłusznie z tymi Polakami potruchały, nawet się za mną żadna nie obejrzała.

Wieczorem zgromadziliśmy się przy lampce naftowej, żeby jeść kartofle w mundurkach. Spytałem:

– Mamo, co on wtedy powiedział, ten Polak? Wtedy, kiedy kazałaś mi odejść...

– Ach wtedy... – mama obierała starannie kartofle z łupiny. – Powiedział, żebym cię zabrała, bo on nie może się bić z dzieciakiem.

Widziałem, że dziadek chce coś powiedzieć, ale tylko charknął. Ja dalej się dopytywałem.

– A przedtem, co on krzyczał?

– Ot, takie tam...

– Ale ty już nic nie mówiłaś.

– A co będę język szarpać, kiedy on i tak musiał te konie wymienić.

– Wojna to wojna – odezwał się dziadek. I nagle do mnie ze złością: – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby spuścił ci lanie. Żeby rzucać się na oficera!...

Przypomniałem sobie, że ten oficer najpierw zbladł, a potem poczerwieniał i aż się spocił. I stał jak wrośnięty w ziemię.

– Mamo – napierałem – ale on wykrzykiwał o jakimś mordowaniu. Kto mordował? Kto palił?

– My – powiedziała opryskliwie mama. – Mówił, że on chce tylko konie wymienić i ja robię z tego powodu wielki krzyk, a my u nich nie takie rzeczy wyprawialiśmy. Że jego cała rodzina została wymordowana. Że gdyby taki szczeniak jak ty rzucił się na niemieckiego oficera, to...

– Miałby za swoje! – charknął dziadek. – Oficer to oficer.

– Ale to chyba nie jest prawda, co? – dopytywałem się. – Z tym mordowaniem...?

– Chyba nie. Nasz ojciec nie mógłby zrobić nic złego, to był dobry ojciec, dobry człowiek. Z pewnością nie zabrałby takich pięknych koni, żeby zamiast nich zostawić jakieś zmęczone.

– Z tymi końmi – przyznał dziadek – to nie jest w porządku.

Młodszy brat dziadka wtrącił się:

– Nie trzeba było przegrywać wojny. Kto wygrywa, ten rządzi.

A ten starszy też miał coś do powiedzenia:

– Te nowe konie nie są takie złe. Oporządzi się je i wrócą do formy.

– Mamo – powiedziałem cicho – ale ty nagle zamilkłaś.

– Miałam krzyknąć?

– Uwierzyłaś mu?

– Nie chciałam, żeby cię uderzył.

– On mnie nie uderzył!

– Jedz – powiedziała mama.

Dziadek, który lubił mieć ostatnie słowo, powiedział z takim przymadrym westchnieniem:

– Wojna to wojna... Taak...

Długo jeszcze płakałem po moich koniach. A tych nowych, chociaż były dobre, to wcale nie lubiłem. Później dowiedziałem się o wszystkim, co Niemcy robili. To, mówię panu, miałem ochotę oddać nie tylko konie, ale zegar, szafy, koszulę z siebie zedrzeć – огоłocić się na czysto. Ale było już za późno. Czasem mi się to wszystko przypomina, cała ta scena, on i ja, ja i on, jego bladość, potem jego spocone czoło i mój wrzask: „Nie śmieję ruszać mojej matki!” – i robi mi się gorąco.

Ale coś mnie pociesza. Wie pan, ten oficer, wtedy, przed samym ich odjazdem, kiedy już wszystko było gotowe, usiadł na stopniach karety i siedział jakoś ociężale, jak stary człowiek, nie jak młody, zwycięski mężczyzna. Wydał mi się niezadowolony z siebie. Z czego był niezadowolony? Że mnie nie uderzył? Że nie był dostatecznie brutalny? Przecież i bez tego konie wymienił. A potem podniósł się i przywołał mnie gestem do siebie. Ja podszedłem śmiało. Bo wie pan, byłem czupurnie nastawiony. A on coś do mnie mówił, po polsku, cicho, na pewno bez złości, ze smutkiem mówił, oczy miał spuszczone. Na pewno mi nie wygrażał. Co on mógł mówić? Czasem się nad tym zastanawiam. A pan jak myśli?

– Może panu dziękował?

– Mnie? Za co?

– Za to, że się pan na niego rzucił. Może jemu to było jakoś potrzebne? A może on tego chłopca przeproszał.

– Co znowu. Jak panu to przyszło na myśl?

– Bo i ja bywałem wtedy na froncie i gdzieś w pańskich okolicach.

– Co pan powie! A to niezłe. A może to pan był wtedy u nas, w tej karecie, co?

– Nie – powiedziałem – to nie byłem ja.

## Wybrańiec

Jestem wybrańcem – powiedział młody żołnierz w futrzanej czapce uszatce zuchowato przekrzywionej na głowie. Staliśmy w ścisku w wagonie towarowym wlokącym się z Kalisza do Poznania, wydało mi się, że nadepnąłem mu niechcący na odcisk, przeprosiłem, i to wtedy właśnie on powiedział: „Nie szkodzi, mnie już nic nie może dotknąć, jestem wybrańcem. Nie wierzysz, bracie, co? – uśmiechnął się. – To brzmi jak żart, ale daję ci słowo, że ja naprawdę miałem w życiu chwilę, kiedy poczułem się tym jedynym, a kiedy ktoś raz czegoś takiego dostąpił, już go byle czym nie ruszysz. Wojowałeś, prawda? Gdzie? Aha, no to niedaleczko ode mnie. Krajan, rzec można. No to posłuchaj opowieści. Mnie ona wciąż się śni, odczepić się od tego wspomnienia nie mogę. Nie każdemu się zwierzę, ale krajanowi wypada.

Wojowałem w kompanii karnej – zaczął żołnierz, i ten początek mi się spodobał, *in medias res*, pomyślałem, a poza tym rzecz od razu została ustawiona obiecująco. – Nie myśl, że ze mnie był jakiś wyrwidąb, zawadiaka, przeciwnie, chłopak raczej spokojny, nie bardzo obrotny, nawet nieśmiały, dobrze, że nie prawiczek. Więc skąd ta kompania kama? – spytasz. Nieporozumienie, kolego: wisiał nade mną wyrok, ot, pomyłka sprawiedliwości, cóż, zdarza się. Odkomenderowanie do kompanii karnej dawało szansę. Powiedziano mi to, co się mówi w takich wypadkach: wyróżnisz się, zatkniesz sztandar na wrogiej placówce, a może zgoła polegiesz, to zrehabilitujemy, ojczyzna wybaczy. Ale robiło się już późno, wojna się kończyła, nie było jakoś okazji, żeby zatknąć sztandar, a polec tak tylko dla fasonu – wybacź, ale wcale na to nie miałem ochoty. Byliśmy zwycięzcami! Z pepeszą w ręku tropiłem nieprzyjaciół, ale ci, jeśli przede mną nie uciekali, to podnosili ręce do góry. Zresztą, mówmy wprost, nie czułem się w tej kompanii na miejscu. Moi kamraci, jak sobie zapewne wyobrazasz, była to hołota najgorsza z możliwych: przerażająca zbieranina, złodzieje, defraudanci, gwałciciele, podpalacze, mordercy, którzy wojnie zawdzięczają to, że uniknęli kar.

Wzięto ich z cel albo z za drutów, albo wprost spod luf plutonów egzekucyjnych, i też im powiedziano: obywatele, macie szansę zginąć za ojczyznę – wtedy wybaczymy. Tylko ja jeden byłem niewinny, tak mi się przynajmniej zdawało, ja nikogo nie zgwałciłem i żadnego spichlerza nie puściłem z dymem. Ja byłem z innego paragrafu. Nie uwierzysz, jak to bractwo znało się na paragrafach: wiedzieli, z jakiego ile się dostaje, może nie znali całego kodeksu na pamięć, ale to, co było istotne – bądź spokojny, o tym wiedzieli wszystko. Między sobą prawie nie używali imion, tylko tych numerów paragrafów. «Ty, sto pięćdziesiąty drugi, chcesz wódki?» Albo: «Siedemdziesiąty czwarty, zmień mnie dziś na dyżurze». Im kto miał groźniejszy paragraf, tym większego zażywał szacunku. Posiedli też ci panowie mnóstwo rozmaitej wiedzy praktycznej: jak na trzech patykach ugotować kaszę w menażce, jak tępić wszy, jak spowodować, żeby gorączka skoczyła do czterdziestu stopni.

Myślałem, że nauczę się od nich różnych sekretnych sztuczek złodziejskich, ale tu właśnie spotkało mnie rozczarowanie: żadnej fachowości nie zauważyłem. Byli to amatorzy, nędzni wulgaryzatorzy sztuki kryminalnej, bardzo często działający w afekcie, ot, coś ich skusiło, coś podnieciło, czasem ktoś ich doprowadził do ostateczności. Tak czy owak różnili się ode mnie, i to oni to podkreślali, nie ja. Byłem ten gorszy, najgorszy z nich wszystkich, nazywali mnie prawiczkiem, chociaż wiedzieli, że to nieprawda, mieli na myśli mój charakter nieszczęsny, i żadnych względów, oszukiwali mnie bezczelnie przy podziale łupów, sztydziłi w sposób okrutny, byłem dla nich mazgajem, ze słabym charakterem, miękiszem nienadającym się do wojaczki, do życia w ogóle – zginiesz, mówili, przepadniesz bez wieści, i nikt nawet nie zapłacze – i doprowadzili do tego, że ja sam się za takiego uważałem.

Aż wreszcie nadszedł ten dzień, ten, o którym mówię. Zdobyliśmy Weissburg, miasteczko leżące na wzniesieniu, z resztką starych murów, myśleliśmy, że sobie tam odpoczniemy, koszule zmienimy, ale nie: nam, kompanii karnej, nie pozwolono wkroczyć do miasta, musieliśmy je obejść zboczami. Wściekli byliśmy, możesz sobie wyobrazić. Ale dzięki temu natrafiliśmy na ten klasztor. Żeński klasztor, białe wysokie mury schowane za starymi lipami, które właśnie się zieleniły. Schowane, dobre sobie – ale nie dla naszego bractwa. Ci wszystko wywęszą. «Klasztor! Mniszki! – wrzasnął jeden. – Mniszki, ty to rozumiesz?» Runęliśmy we wrota i naprzód, naprzód, jak huragan, przez sień, po korytarzach, spragnieni kobiet, mniszek, ja razem z innymi, nie mogłem być gorszy, a zresztą rozumiałem ich, odczuwałem dobrze tę zwierzęcą tęsknotę, bo mnie zżerała już przedtem, po wyroku, no i potem, w tym szybkim przemarszu. Nie, ta tęsknota nie była tylko zwierzęca, tkwiły w niej też jakieś pierwiastki romantyczne, to znaczy byłem gotów pokochać, zapamiętać, odwdzińczyć się, byle mi się oddała czule, otoczyła ramionami – rozumiesz, bracie? rozumiesz? Ja mówię o sobie, niewinnym, w dusze tamtych nie włązę.

Pędzimy po korytarzach, aż huczy pod sklepieniami od tupotu buciorów. Przed nami w popłochu uciekają zakonnice. Tu i ówdzie trzaskają drzwi celi, słychać krzyk, klaśnięcie policzka, już słychać jęk, przyspieszone oddechy, jęczą nasi, jęczą one, a ja wciąż w tej grupie, która jeszcze pędzi, jeszcze szuka. W końcu korytarza zamajaczyło kilka uciekających zakonnic w długich granatowych habitach. My, posapując, za nimi, a one gdzieś w bok – nie szkodzi, dopadniemy. I nagle widzimy, że jedna została. Stoi sama na końcu korytarza, pod ścianą. Idzie ku nam! Idzie powoli, szurając prawie habitem po kamiennej posadzce, wyprostowana, z uniesioną głową. I wtedy my – było nas siedmiu czy ośmiu – zatrzymaliśmy się. Przygwoździło nas na miejscu. Stoimy, czekamy, oczom nie wierzymy. Po raz pierwszy coś takiego się zdarzyło: zamiast ucieczki – wyzwanie. I chociaż korytarz był mroczny, można było rozpoznać, w miarę jak zakonnica się zbliżała, że była niewiarygodnej urody. Stała wreszcie. Piękne oczy mierzą nas surowo spod kornetu. Mocne to było spojrzenie. My stoimy i czekamy, co z tego będzie.

Podniosła palec ku górze, zupełnie jak gdyby wzywała Boga na świadka, i powiedziała głośno: – *Nur einen!*

Dzięki temu palcowi uniesionemu do góry każdy zrozumiał: «Tylko jednego!». Zapadła cisza. Nikt z nas się nie ruszył. Do niej należał ruch. Ona wybierała: przyglądała nam się badawczo, przenosiła wzrok z jednego na drugiego, oglądała od stóp do głów, bo czasem spoglądała w dół, na buty, jakby i to mogło jej coś powiedzieć o człowieku. Była blada, pamiętam, i wargi miała blade, choć pełne, ale te oczy, ciemne oczy, w których była taka siła, taka stanowczość. Wcale nie miała łatwego zadania: musiała nas odgadnąć, wybrać jednego z tej gromadki, musiała wybrać najlepszego, tego, który na wybór zasługiwał. To ona, a i myśmy wiedzieli, że i dla nas jest to ważna chwila, godzina próby. Teraz się okaże, kto tu naprawdę lepszy. Ta mniszka, piękna kobieta, ślubowała Bogu, ona miała dokonać wyboru, więc jej wybór stawał się jakby i wyborem niebios, ten palec uniesiony ku górze był palcem Bożym. Wysunąłem się do przodu. Na nic specjalnego nie liczyłem, nie jestem bardziej pociągający niż inni, liczyłem na to, że jestem niewinny. Ja, ten gorszy, tym razem powinienem być lepszy dzięki temu, że byłem z innego paragrafu. Powinno to być wypisane na mojej twarzy. A jeśli nie jest, jeśli tego nie widać, to przecież ona, Boża oblubienica, powinna to wyczuć, odgadnąć. Przemknęło mi też przez myśl, że ja jeden jestem ogolony.

Jej spojrzenie spoczęło wreszcie na mnie. Od stóp do głów, i z powrotem. Wciąż mi się przypatrywała. Zdawało mi się, że w kącikach oczu zabłysło coś ciepłego, lekki uśmiech, który od razu zgasł. Westchnąłem głośno. I wtedy, pośród ciszy, w której słychać było tylko ciężkie

oddechy, odezwała się ona, wyciągając przed siebie dłoń: – *Du*.

Ta dłoń wskazywała na mnie. Nie było wątpliwości: to ja byłem wybrańcem. Nie pobieglem jednak ku niej, wciąż jeszcze stałem, jakby nie rozumiejąc, co mi się przydarzyło. Ktoś z tyłu mnie lekko popchnął, usłyszałem za sobą szept: «Idź, prawiczek, idź, nie bój się». Dwa kroki do przodu. I zaraz odwróciłem się zaniepokojony: ale niepotrzebnie, moi kamraci stali nieporuszeni, twarze mieli poważne, niemal kamienne. Tylko jeden – chyba ten, który mi szepnął «idź» – zrobił do mnie oko. Podciągnąłem pepeszę na pasie, to był znak, że niech no który, to ja będę jej bronił, będę bronił swojej kobiety.

Kiedy stanąłem przy niej, ona dotknęła mojej dłoni, biorąc mnie w ten sposób dla siebie. Pośpieszyłem za nią, starając się iść dziarskim krokiem. Za mną niknęły oddechy moich kompanów”.

## Mira L.

Będzie to opowieść o kobiecie cnotliwej – zaczął mój klient, zawodowy pisarz, kolega z Klubu Dramaturgów. – Czas akcji: tuż po wojnie. Może cię to zdziwić, ponieważ obaj wiemy dobrze, z własnych doświadczeń, że wojna nie sprzyja wysokiej moralności. Ale trudno, musisz mi wierzyć na słowo.

Ta cnotliwa pani – ciągnął mój klient – była wielbicielką mojej pisaniny. Powiadam ci o tym bez zażenowania, bo ostatecznie każdemu się zdarza mieć wielbicieli (częściej wielbicielki), nawet miernym literatom. Sam byłem raz świadkiem tego, jak do księgarni wpadła zadyszana licealistka i zapytała, rumieniąc się: „Czy macie jakieś książki pana Ygreka?”. „O jaką idzie?” „O wszystkie! Poproszę wszystkie!” Ponieważ książki Ygreka zalegały półkę raczej nietknięte, ta młoda dziewczyna wyszła obładowana swoim szczęściem. Więc skoro Ygrek może mieć zwolenniczkę, to mogę i ja. Osobliwością w moim przypadku było może to, że uwielbienie tej pani towarzyszyło mi od pierwszych moich prób, kiedy naprawdę jeszcze mało kto mnie zauważył. Można rzec, że ona mnie sobie wybrała na idola. Ponieważ mianowała mnie swoim autorem, to kto wie, czy nie jej uporowi zawdzięczam pasowanie na pisarza.

Pamiętasz moje początki? Debiutowaliśmy niemal równocześnie, ty i ja, obaj w Krakowie, z tym że ty poważnie, pamiętam twoje pierwsze próby w „Odrodzeniu”, a ja, cóż, zacząłem od felietonów i humoresek w ilustrowanym tygodniku firmowanym przez wojsko. Humoreski, nie do wiary! Czy możesz mi wytłumaczyć tę zagadkę? Jak to się stało, że po strasliwej rzezi, ja, osamotniony, pozbawiony gruntu, rozbity wewnątrz – krótko mówiąc: osobnik niemal tragiczny – pisałem wyłącznie rzeczy pogodne, czasem tryskające humorem? Zresztą nie ja jeden. Przypomnij sobie owo wyrojenie się humorystów... Czy to dlatego, że mimo napięcia czasów powojennych wszystko wydawało się do zdobycia? Był w nas, debiutujących, impet tych, którzy nacierają, rozsadzają tamę wzniesioną przez okupację, energia ofensywy. No i były w nas soki młodości – koszmar koszmarem, ale wola życia, radość od pulsowania krwi – okazały się niezmożone.

W moim przypadku to przebicie się młodej krwi, mówiąc obrazowo, przez skorupę smutku, najzwyczajszego smutku, było doprawdy zastanawiające. Zostałem po wojnie sam, bez rodziny, bez dachu nad głową, bez swojej ulicy, swojego miasta, rodzina zgładzona, przyjaciele wyginęli, a jeśli nie wyginęli, to się rozpiechli po świecie. Była co prawda dziewczyna, którą kochałem – mieszkała tysiące kilometrów ode mnie – czekałem na nią, ale ona wciąż odkładała przyjazd. Dostałem wreszcie list, że bardzo przeprasza, ale ona zawsze miała inne plany, nie śmiała mi tego przedtem powiedzieć, teraz musi, nie przyjedzie, mój świat nie jest jej światem, a w ogóle to zgłosił się ktoś, komu obiecała sobie na początku wojny, on przeżył, odnalazł ją i ona musi – ta dziewczyna miała to do siebie, że zawsze było jakieś „musi” – musi być z nim. Bądź dzielny – zakończyła list. Kiedy się ma dwadzieścia kilka lat, to po takim liście człowiek albo strzela sobie w łeb (byłem w mundurze i miałem służbowy pistolet), albo jest naprawdę dzielny. Na drugi dzień napisałem humoreskę i przyniosłem do redakcji. Gdyby ją odrzucili, może bym się rozkleił. Ale nie, wydrukowano ją. Inna rzecz, że potem przez dwa tygodnie ostro piłem. Zostało mi po tym pijaństwie trochę pieniędzy, kelnerzy w „Feniksie” wykazywali dla mnie dużo zrozumienia. Przeliczyłem forszę i wytrzeźwiałem. Zaszedłem do antykwariatu Taffeta na ulicy Świętego Krzyża, kupiłem *Historię literatury* Chmielowskiego, kupiłem Feldmana, Brücknera, *Dzieje Anglii*, *Historię filozofii*, *Braci Karamazow* i przez kilka tygodni – nie wiem ile, trzy, cztery – zachłannie czytałem, popijając herbatę i zagryzając chlebem z kiełbasą żywiecką. Współlokatorka tego mieszkania, pani Kosibowa, tęga zacność, czasem do mnie pukała i wносиła

nieśmiało miskę kapuśniaku. Mój naczelny, major P., nie niepokoił mnie, wiedział o mojej katastrofie, czekał cierpliwie, aż się podźwignę z zapaści.

Ale to już nie była zapaść: starałem się być dzielny (wykonywałem nakaz, jakbym wciąż jeszcze jej podlegał), na przykład goliłem się skrupulatnie, sprzątałem pokój, a jeśli czytałem, to porządnie ubrany, na tapczanie przykrytym ciężką kapą. Kiedy po kilku tygodniach zameldowałem się w redakcji wychudły, pobladły, ale spokojny (może zanadto spokojny, jakby się coś we mnie wypaliło i zostały zgliszcza), czułem się zarazem jakiś naładowany, wyraźnie wzbogacony wiedzą, rozmyślaniami, prawie erudyta. Już nie ten walący po omacku chłopek-roztropek.

Naczelny nie zająknął się ani słowem, nie zapytał, jak się czuję, tylko po powitaniu powiedział:

– Przyszedł list dotyczący pana. Przeczytajcie sobie.

Okrągłutkie czyste pismo grzecznej pensjonarki. Pisała do szanownej redakcji z pretensją, że już dawno nie było na łamach tygodnika nic pióra HIPOLITA (HIPOLIT – to był, jeśli pamiętasz, mój pseudonim). „Tydzień bez pana Hipolita jest smutny. Jego pióro...” et cetera. „Czy Szanowna Redakcja nie mogłaby spowodować, żeby pan Hipolit przestał się lenić i żeby znów ucieszył nas, swoich czytelników, czymś tak uroczym jak zawsze? Załączam gorące pozdrowienia i życzenia sukcesów. Mira L.”

– Na kopercie jest pełny adres – powiedział Naczelny. – Może jej odpowiecie?

– Pisała nie do mnie.

– Słusznie. – Naczelny przez chwilę marszczył brwi. Pamiętasz go: to były piękne, gęste czarne brwi. Czoło miał kształtne z podłużnymi bruzdami zmarszczek, a nad nimi włosy także gęste, faliste, tylko lekko szpakowate. Był doktorem filozofii, skończył gdzieś w Pradze, i na pewno wolałby ubranie cywilne od munduru. I pismo starał się robić także raczej cywilne, takie dla wszystkich, nawet dla pani Miry L. – Damy fragment jej listu w redakcyjnej poczcie – powiedział. – Skoro ktoś was aż tak chwali, no to trudno, czytelnicy muszą się dowiedzieć. – Uśmiechnął się. – No a teraz, Hipciu, masz coś dla nas? – Milczałem. On znowu się uśmiechnął. – Ja aż tak nie przepadam za tym, co wy piszecie, ale skoro ta pani sobie życzy, to musicie coś dać.

Stanąłem za nim i zerknąłem na rozłożony na biurku plan numeru.

– Tu – powiedział, wskazując na stronę czternastą – tu by się zmieściło opowiadanie. – Obrócił ku mnie głowę. – Pojutrze najpóźniej.

Napisałem to opowiadanie, zamieszczono je, a wkrótce po tym nadszedł następny list od pani Miry L. Tym razem adresowany już wprost do mnie. „Mój drogi Panie Autorze – pisała – czy to tak ładnie narażać mnie na kompromitację? Trzeba nie mieć sumienia” – pisała. Trochę mnie to zaniepokoiło – co ja takiego nabroiłem? – już-już byłem gotów przyznać się do winy, chociaż zachodziłem w głowę, co to może być – ale czytajmy dalej. „Jechałam tramwajem do pracy – pisała – i czytałam pana najnowsze opowiadanie, za które przede wszystkim ślicznie dziękuję. Pochłonięta lekturą, zapomniałam o Bożym świecie. (Aha – odgaduję – przejechała trzy przystanki i miała awanturę w pracy). Pamięta pan tę rozmowę z kołchoźnikiem, który przepytuje pana i jego kolegów, czy życie zgodnie z nakazami Ewangelii i kolejno różne nakazy wylicza? A wy wijecie się i kręcicie, bo jakoś tu u was nie bardzo. Aż on pyta: «A pereł przed wieprze nie rzucacie?». A wy chórem: «Nie rzucamy!». I kiedy usłyszałam ten chór i tę ulgę, że nareszcie coś możecie potwierdzić, parsknęłam śmiechem. Wszyscy w tramwaju spojrzeli na mnie jak na nienormalną. Czy to tak można?” – zapytała.

Ton trochę kokieteryjny, nie uważasz? Dalej były komplementy dla opowiadania – „jak wszystko, co wychodzi spod Pana pióra” – i jeszcze postscriptum: „Ze zdumieniem zobaczyłam

w skrzynce odpowiedzi wydrukowane swoje imię i inicjał. Aż mi się gorąco zrobiło! Czy to Pana sprawka? Ale cieszę się, że już jest Pan zdrow i serdecznie Pana pozdrawiam”.

Odpowiedziałem: „Szanowna Pani, to nie ja, to nasz Naczelny, który, jako redaktor ambitny, chce sprawić wrażenie, że jesteście zasypywani listami. Z jego polecenia przygotowuję czasami listy z obelgami na nasze pismo, na które potem on zjadliwie odpowiada. Te listy pisuję za darmo, ale nie bez przyjemności. Co do tego niesłychanego zakłócenia spokoju publicznego w tramwaju, to pragnę z całą powagą zaznaczyć, że jadąc do pracy, nie należy czytać autorów podejrzanej konduity, ale myśleć z natężeniem o czekającym Panią zadaniu służbowym, o dźwiganiu Polski wzwyż, o naszych sojusznikach i walce z wrogiem klasowym i reakcyjnym podziemiem. Postaram się – pisałem dalej – jeśli okaże się pani niepoprawna i nadal będzie zajmowała się w tramwaju tym, co nie należy, aby następnym razem Pani się popłakała, ewentualnie zgrzytnęła zębami. List Pani – dodałem jednak – sprawił mi, jako autorowi, prawdziwą satysfakcję i zachowam go we wdzięcznej pamięci”.

„Niedobry pan Hipolit! – przeczytałem w odpowiedzi. – Jak można ze mnie tak kpić? Bawi się Pan moim kosztem”. – Ten list dostałem już w Warszawie, dokąd przeniosła się redakcja. Rozstawałem się z nieocenioną panią Kosibową, uwożąc ze sobą słoik gęsiego smalcu ze skwarkami. Mieszkałem teraz na drugim piętrze, w dużym owalnym pokoju, dawnym salonie, oddzielonym chyba na skutek wybuchu bomby burzącej z apartamentu przedwojennego mecenasa. Miałem tam stary tapczan, niedomykającą się szafę, dwa ozdobne krzesła pamiętające czasy świetności ich przedwojennego właściciela, prymus spirytusowy na żelaznym taborecie i chwiejący się dębowy stół, resztkę jakiejś wspaniałości. Nad cienkim sufitem był dach bardzo niepewnej wytrzymałości, podzwaniający blachą. Wchodziło się po zaimprovizowanych drewnianych schodach, których powinni unikać ludzie z chorobą przestrzeni. Ale za to mieszkałem sam! Opowiadam ci o tym nie po to, żeby zarysować egzotykę tamtych czasów, bo pamiętasz ją równie dobrze jak ja, zresztą chyba znałeś mój salon, odwiedzałeś mnie przecież, a ja cię poczęstowałem zupą fasolową własnego pomysłu, otóż opowiadam ci o tym pokoju dlatego, że odegrał on pewną rolę w całej tej historii. „Bawi się Pan moim kosztem – pisała – i chyba Pan nie myśli, że ja jestem w stanie mu w tym dorównać i odpowiedzieć w równie ironiczny sposób. Tym bardziej że nie umiem myśleć o Panu z ironią. Jeśli myślę, a wyznam, że myślę często, to całkiem inaczej... – (Mnóstwo kropek). – Ale i tak jestem Panu wdzięczna za list, bo nareszcie mam coś napisanego Pana ręką, to wzruszające, a poza tym w tych Pańskich kpinach, chociaż używa Pan sobie na mnie, jest ten sam pazurek, który...” et cetera. „Muszę więc Panu wybaczyć, bo czyż mogłabym inaczej?”

Na ten list nie odpowiedziałem. Chyba nie miałem obowiązku, jak uważasz? Minął miesiąc, może i więcej, zamieściłem jakiś drobiazg – pamiętam, że Naczelny się krzywił. – Hipciu – powiadał – to już nie to, popraw mi się. – Ja nie uważałem, by to było takie złe, było po prostu inne. Nikt mnie za ten ostatni kawałek nie pochwalił, nikt absolutnie, odezwała się tylko ona, wierna czytelniczka z miasta Łodzi. „I znowu coś ślicznego! – takim wykrzyknikiem zaczęła ten list. – (Więc jej nie zawiodłem). – Czemu – pytała – tak rzadko pan pisze?” (Jakby jedno opowiadanie na miesiąc to było mało). A dalej przeczytałem, że było jej smutno, bo spodziewała się listu ode mnie, czekała, czekała, listonosz się z niej śmieje (znowu ją kompromituję), ale cóż, ona dobrze wie, że nie ma prawa wymagać ode mnie listów, czas pisarski jest zbyt drogi, żebym miał sobie zwracać głowę jakąś samotną, nieznaną mi i niezbyt mądrą kobietą. Za to ona o mnie nieraz myśli – i nic na to nie poradzi. Zastanawia się często, jak wyglądam. Na pewno jestem przystojny i mam miły uśmiech. Na pewno też jestem bardzo z tego powodu zarozumiały i traktuję lekko kobiety. Wie, że jestem młody, dużo młodszy od niej, ale ponieważ mój umysł i moje pióro... et cetera. Na szczęście nie mogę jej zabronić, by o mnie myślała. Nic ode mnie nie



żąda, tylko trochę pamięci, że istnieje taka życzliwa i oddana Mira L.

Jak wyglądam... Czyżby oczekiwała zdjęcia z dedykacją? Nie czułem się jeszcze Tomaszem Mannem, żeby rozsyłać czytelnikom swoje fotografie z autografem, do błahostek mojego pióra miałem dystans, chociaż coraz częściej – kiedy rzecz była ambitniejsza – dołączałem do owego Hipolita także nazwisko. Nazwiskiem właśnie podpisałem długi reportaż z objazdu uzdrowisk Ziemi Odzyskanych ilustrowany kilkoma fotografiami. Na jednej z nich byłem i ja: siedziałem na obmurowaniu klombu w Cieplicach obok kolegi i popijałem wodę mineralną z dzbanka, który zakrywał mi dolną połowę twarzy. Uważałem, że zdjęcie w tygodniku powinno zaspokoić ciekawość mojej czytelniczki. „Więc już Pani wie, jak ja mniej więcej wyglądam, przynajmniej od nosa w górę – napisałem jej. – Ale za to ja nic nie wiem o Pani. Tyle tylko, że Jej listy sprawiają mi radość. Czy nie powinniśmy się spotkać w połowie drogi, na przykład w jakimś Łowiczu, lub na gruncie neutralnym, na przykład w Wiedniu? A na razie całuję Pani dłonie...” Kiedy to napisałem, wyobraziłem sobie jej dłonie, długie, piękne palce – i poczułem, że nie było to konwencjonalne ucałowanie dłoni, i kto wie, czy ona, odczytując mój list, także tego nie odebrała.

„Nie, nie, na litość boską, nie – odpisała – lepiej się nie spotykajmy! (Z tym Wiedniem to Pan zażartował, prawda?) Wolę zostać dla Pana nieznaną z twarzy Mirą L., na której temat snuć Pan może różne domysły. Boję się naszego spotkania. Muszę Panu powiedzieć, że bardzo mnie poruszyło Pana zdjęcie, co prawda prawie nie widać twarzy, ale dużo w nim swobody. Czy musiał Pan akurat pić wodę, nie mógł Pan siedzieć spokojnie jak ten Pański kolega? Czuję, że straszny musi być z Pana wiercipięta. Wie Pan co? Śnił mi się Pan tej nocy. Ale był Pan małym dzieckiem, właściwie niemowlęciem, nosiłam Pana na ręku, Pan płakał, i ja dałam Panu pierś do ssania i mówiłam: „Mój mały Hipciu, nie płacz, nie płacz, proszę”. Wybaczy mi Pan ten głupi sen? Nie mogę go sobie wytłumaczyć, chyba tylko tym, że dużo o Panu myślę i tęsknię do Pana, nie znając go. Chociaż właściwie znam, przecież Pan jest cały w tym, co Pan pisze. Drogi Panie Hipolicie, dziękuję za ucałowanie dłoni i niech Panu Bóg da szczęście i kobietę, na którą Pan zasługuje”.

Ostatnie zdanie mnie zdumiało: więc odgadła moją samotność? Wyczuła moją rozterkę? A może w którymś z listów wymknęło mi się coś mimochodem? Nie pisałem swoich listów z kopią, skrobałem je żywiołowo i nie zawsze pamiętałem, co naplotłem. Nie zdążyłem zasiąść do odpowiedzi, kiedy nadszedł następny list. „Och, ten Pana ostatni felieton! – zaczęła od pełnego zgorszenia okrzyku. – Chyba się pokłócimy. Kpi Pan sobie z najświętszych spraw. Zabolalo mnie to, bo jestem głęboko wierząca. I żal mi się Pana zrobiło: mój drogi Hipolit pozbawiony wiary, to musi być okropne uczucie. I wie Pan co? Poszłam do kościoła i modliłam się za Pana, bardzo gorąco się modliłam. A kiedy wyszłam z kościoła, poczułam, że sprawiło mi przyjemność, że mam za kogo się modlić i że tym kimś jest właśnie Pan. A potem pomyślałam sobie, że Pan dlatego pisze, bo jest kimś w rodzaju politruka i tak Pan musi pisać i już”.

„Nie, nie muszę, proszę Pani! – odpowiedziałem ze złością. – Piszę tak, jak myślę. Nie jestem politrukiem, ale literatem (mam nadzieję). Jeśli mimochodem uraziłem Pani uczucia religijne, to bardzo mi przykro. Przykro mi w ogóle, ponieważ nie jestem nieprzyjacielem Pana Boga. Mam wprawdzie swoje przekonania, ale bynajmniej nie chcę ich narzucać innym. Za modlitwę dziękuję, jestem nią szczerze wzruszony, tak samo jak jestem wzruszony, że raczyła Pani o mnie śnić”. Dopisałem jeszcze: „Wolałbym ssać Pani pierś nie jako mały Hipcio, ale jako dorosły Hipolit” – ale zaraz to zdanie skreśliłem. Znowu ją urażę, a co gorsza spłoszę. „I ja o Pani często myślę – dopisałem – jakoś ją sobie wyobrażam i właściwie, proszę mi wybaczyć, tęsknię. Czy jednak nie powinniśmy się spotkać?”

„Nie – odpowiedziała. – Jestem brzydka. Mam 35 lat i wciąż jeszcze jestem panną. To

chyba coś Panu mówi?”

„Nie wierzę w Pani brzydotę – odpowiedziałem. – To Pani siebie tak określa – przez skromność albo przez próżność, bo stawia Pani swojej urodzie duże wymagania. A ja jestem pewny, że ma Pani wdzięk, czuję jak mnie Pani uwodzi. A to, że jest Pani niezamężna – mój Boże, przecież była wojna... A może nikt nie był Pani naprawdę godny?”

„Ach, mój mały Hipciu – odpowiedziała – jak Pan umie być miły. Ale czy może Pan sobie wyobrazić kobietę, która jest tak brzydka, że nie zna nawet smaku pocałunku? To ja. Już teraz Pan rozumie? Nie chcę się z Panem spotkać, nie chcę, by nasza korespondencja się urwała. Co prawda jestem zgrabna, piszę o tym trochę zawstydzona (ach, co za zwierzenia Pan ze mnie wyciąga), i tego lata na plaży w Jastarni panowie się na mnie czasem gapili, kiedym się opalała”.

„Nikt Pani nie całował? Naprawdę?! – wykrzyknąłem w odpowiedzi. – Znakomicie, więc ja będę całował! Ale uprzedzam, że gdy już raz zacznę, nieprędko wypuszczę Panią z ramion”.

„Ach, Pan sobie trzepnie piórem byle co – na to ona – i nawet nie pomyśli, jakie to robi wrażenie. A mnie się gorąco zrobiło”.

Miała rację: napisałem to w przystępie jakiegoś zawadiactwa, wysłałem list i od razu zaniepokoiłem się, że ona odpowie: „No to proszę, spotkajmy się”. Co wtedy ujrzę? Może zechcę pod ziemię się schować... Była jednak dość przenikliwa, by domyślić się, co się we mnie dzieje. I ambitna, jak się okazało. „Rozumiem – pisała – że Pan się nade mną lituje, ponieważ wyczuwam, że ma Pan dobre, chrześcijańskie serce, mimo że chęłpi się Pan, iż jest poganinem. Więc przemaga Pan odrazę i z wysokości swoich 25 lat (chyba się nie mylę?) pochyla się Pan nad moją żalną osobą i chce mnie Pan całować tak, jak mężczyzna powinien całować kobietę. Czy Pan sobie wyobraża, że ja na to pójdę? Sposób, w jaki Pan mi to zaoferował, był dość nieprzyzwoity, nie sądzi Pan? Ta wzmianka o niewypuszczaniu z ramion. Owszem, przyznaję, że udało się Panu stworzyć pewną pokusę, zwłaszcza że ja tak Pana lubię, a może więcej niż lubię, przez dwa dni nie mogłam dojść do równowagi. Wreszcie wypowiadałam się i zaręczam, że już jestem spokojna, przepędziłam pokusy. Proszę już do tego nie wracać”.

Bardzo dobrze, pomyślałem sobie, nie to nie. Diabli wiedzą, dlaczego poczułem się zawiedziony. Ale to ona wróciła do tego problemu, chociaż trochę okrężną drogą. Czy prowadziła kiedyś tego rodzaju wymianę listów? Otóż jest jej cechą szczególną, że obie strony rozgrzewają się w miarę pisania. Stopniowo rośnie temperatura słów, nie wiadomo jak wciskają się wyrażenia, których nie miałeś zamiaru użyć, sformułowania coraz ryzykowniejsze, pragnienia coraz gorętsze. Bo też piszesz nie do osoby ci znanej, ale wyobrażonej, a ta twoja wyobraźnia kreuje ją na miarę twoich nadziei, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew na przykład zapewnieniom tej Pani, że jej brzydota jest odrażająca. Nie, nie chciało mi się wierzyć, że pani Mira L. jest tak strasznie brzydka. Jest zgrabna – napisała to chyba nie dla przechwałki – jacyś mężczyźni się na nią gapili, wyczułem w zgrabnych kształtach jej ciała jakąś możliwość dla mnie, możliwość ucieczki przed brzydotą ku niej, Mirze L, kobiecie jak wszystkie inne i zarazem różnej od wszystkich innych.

Rozmyślałem o niej dużo, chyba tyle, ile ona o mnie. Miewałem w tym okresie jakieś sporadyczne okazje, ale żadna z moich partnerek nie mogła mnie do siebie przywiązać – pochłonięty byłem tylko nią, moją brzydką wielbicielką. Jednak nie ponawiałem już tamtej propozycji – postanowiłem być ostrożny – jej spowiednik trochę mi przeszkadzał. Pisałem więc w listach o literaturze w ogóle, o moich planach, o tym, co właśnie czytam, zabawnie referowałem książki – ona twierdziła, że uwielbia takie listy („napisane Pana kochaną łapką”) – dumna jest, że je dostaje. „Pan nawet nie wie – pisała – ile Panu zawdzięczam, ile przy Panu zyskałam – ale też jaki Pan potrafi być złośliwy, jaki okrutny, dreszcz mnie przechodzi, kiedy pomyślę, że mogłabym się stać przedmiotem Pana szyderstw”.

Nie zdążyłem odpowiedzieć (bo prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, o czym pisać), kiedy znowu nadszedł list zaadresowany okrągłymi dziewczęcymi literkami, ale tym razem nadany nie z Łodzi, lecz z Warszawy. „Piszę na dworcu – czytam – za chwilę wrzucę ten list do skrzynki. Piszę, bo Pana widziałam! Tak, mój Hipciu, widziałam Pana, i to nie na zdjęciu, nie we śnie (we śnie Pana często widuję), ale żywego. No i owszem, w porządku. (To „w porządku” mnie uderzyło: co za dziwna reakcja. Zapamiętałam to sobie). Spędziłam przedtem dwie niespokojne noce, tęskniąc za Panem. (Chyba niepotrzebnie znowu poczytałam sobie ten stary list o całowaniu i niewypuszczaniu z ramion). Miałam coś do załatwienia w Warszawie i kiedy już się tu znalazłam, wśród tych ruin, to zamiast myśleć o nich (i o dźwiganiu Polski wzwyż, jak mi to Pan kiedyś zalecił), pomyślałam sobie, że muszę na Pana spojrzeć. Czy Pan kiedyś odczuwał w sobie taki przymus – jak nakaz z góry? Udało się! Obserwowałam Pana z ulicy przez witrynę pańskiej redakcji, rozmawiał Pan z jakąś panią, nie widziałam jej twarzy, zresztą wolę się nie wypowiadać, musiała to być wasza maszynistka, bo po chwili pochyliliście się oboje nad rękopisem, to była zgrabna panienka, tyle widziałam, i ja, Panie Hipciu, proszę wybaczyć, poczułam, że jestem o nią zazdrosna. A potem – pisała – znikł Pan za jakimiś drzwiami, pewnie wszedł Pan do swojego Naczelnego, więc sobie poszłam. Jestem usatysfakcjonowana”.

„Czemu Pani do mnie nie zatelefonowała? – odezwałem się z pretensją. – Usłyszałbym przynajmniej Pani głos”.

„Bałam się – odpowiedziała. – Pan by nalegał na spotkanie, ja bym nie umiała odmówić (Boże, wybac mi, coraz trudniej jest mi Panu odmawiać), i wszystko byłoby stracone. Czy nie jest pięknie tak, jak jest?”

„A jak jest?” – spytałem.

„Więc Pan się nie domyśla? Mój miły, niedomyślny Hipciu. Przecież ja Pana kocham. Och, Boże, wybac – ale to prawda. Kocham Pana.

I już nic w tym nie zmieniamy”.

Na to ja: „Pani Miro droga, przecież ja wciąż o Pani myślę. I proszę mi wybaczyć, ale myślę zuchwale”.

„Kochany. Drogi. (Jak cudownie jest pisać te słowa, Pan nawet domyślać się nie może). Ulituj się nade mną. Ja siebie skazałam na to sama, takie już będzie moje życie. Nie jest najgorsze. Wyżywam się w pracy, mam swoje satysfakcje (przede wszystkim Pana kochane listy), ludzie mnie szanują, często przychodzą do mnie ze zwierzeniami. Jedno mnie tylko martwi: że moje życie minie bez macierzyństwa. A coraz częściej marzę o dziecku. Tak na co dzień to nie chodzę przygnębiona, jestem nawet pogodna, ale kiedy widzę kobietę w ciąży, ogarnia mnie zazdrość i melancholia”.

„A czy może Pani mieć dzieci?” – spytałem natychmiast.

„Chyba tak. Jestem normalnie zbudowana”.

„Więc o co chodzi? Niech Pani sprawi sobie dziecko!”

„Pan oszalał! – wykrzyknęła. – Pan naprawdę nie wie, co mówi. Nieślubne dziecko? Ja?”

„Tak, Pani Miro, Pani – pisałem coraz bardziej podniecony, co ona, czytając, musiała wyczuwać. Zapuszczałem się w kazuistykę. – Po takiej wojnie zasługa wydania na świat dziecka otoczonego miłością, po tym strasznym pohańbieniu ludzkości, jest taka wielka, że niweluje grzech nieślubnego poczęcia. Nie ma zresztą grzechu cudzołóstwa tam, gdzie nie ma zdrady. – Udawałem znawcę przedmiotu. – A zresztą czy Chrystus nie wybaczył jawno grzesznicy? Pani i dziecko – tylko wy dwoje jesteście ważni, między wami zaś nie może być stanu grzechu”.

„Poradzę się księdza” – odpowiedziała.

Ksiądz, na ile go zrozumiałem, uchylił się od wyraźnej odpowiedzi.

„Ale ksiądz to nie wszystko, jestem jeszcze ja – przeczytałem. – A ja się waham. A

zresztą, jak do tego przystąpić? Nie mam żadnych narzeczonych. W pracy jest dwóch panów, ale jeden jest żonaty, więc wykluczone, zresztą obaj starają się mnie nie dostrzegać. Ten drugi, kawaler, nie bardzo mi się podoba, świńskie oczka, kartoflowaty nos, niska inteligencja. I to miałyby być ojciec mojego dziecka? Och, mój Autorze drogi, przecież i ja mam swoje wymagania”.

Zapytałem:

„A czy zgodziłaby się Pani na mnie?”

„Pan nie napisał tego serio, prawda?”

„Całkiem serio. Chciałbym być ojcem Pani dziecka. Jeśli Pani to odpowiada...”

„Nie, nie, Pan mnie wtedy zobaczy, i to będzie koniec naszego obcowania”.

„Powiedzmy, że tak (choć sądzę inaczej) – odpowiedziałem. – I cóż z tego? Pani dziecko jest ważniejsze niż wymiana naszych listów. Pani się po prostu wymiguje, tylko nie wiem – od dziecka czy ode mnie”.

„Mój najdroższy, Pan wie, że jeśli o kimś marzę, to o Panu. Ale o ileż to wszystko prościej wygląda w listach niż w życiu. Jestem w straszliwej rozterce. Boję się”.

„TAK CZY NIE” – wysłałem telegram.

Czekałem teraz na odpowiedź, cały w gorączce. Męczyło mnie pożądanie. Tak, pożądałem Jej, tej mojej zakochanej brzyduli, trzydziestokilkuletniej dziewczycy, paliłem się do tego, by rozebrać ją z tej jej nieśmiałości, którą była opancerzona, rozmiękczyć ją, rozgrzać, nauczyć rozkoszy, pieszczot, grzechu – w tym pragnieniu był jakiś nieznany mi dreszcz, moja uczynność przeistaczała się w chęć użycia, dobroć – w bolesną żądzę, poświęcenie – w przeczucie niezwyklej rozkoszy, bo czego chciałem najbardziej, to tę nieznaną mi kobietę zapłodnić, spełnić swoje męskie przeznaczenie, i żeby mnie pamiętała przez całe życie. Jej brzydota już mi w ogóle nie przeszkadzała, przeciwnie, stała się podniętą, bez tej brzydoty wszystko byłoby może banalne, dopiero z tym... Słuchaj, nie uwierzysz, jak mnie podniecało to, że ona, ta brzydka, niecałowana, będzie wreszcie miała swojego mężczyznę – ja to sprawię i ja będę tej chwili świadkiem.

Dostałem telegram: „TAK. ZA TYDZIEŃ ZADZWONIĘ. MIRA L.”.

Przez cały ten tydzień jej zagadkowa nagość była stale ze mną. Moje uczucia nie były jednak wcale jednoznaczne: oscyływały między pragnieniem, od którego biło serce, a lękiem, że w ostatniej chwili stchórze i ucieknę. Co też ona mi szykuje? Tydzień minął w piątek – i nic, żadnego telefonu. W sobotę warowałem w redakcji – nic. Niedzielę można było skreślić. W poniedziałek przyszło mi na myśl, że wolałbym, aby ona jednak się rozmyśliła. Dzień minął bez telefonu, odetchnąłem z ulgą; chyba się rozejdzie po kościach – pomyślałem. Ale nie byłem wesół. Gdzieś tam, w bliskiej podświadomości (bo uważam, że podświadomość należy dzielić na bliższą, czy raczej płytszą, i dalszą), otóż w tym płytszym miejscu czułem żal, że coś mnie ominęło, żal jak lekkie podskórne swędzenie. We wtorek szedłem do pracy bez pośpiechu. Najpierw była narada z Naczelnym, omawianie następnego numeru, zeszło tak do południa, poszliśmy z kolegą do karczmy „Rzym”, przy Karowej, na wątróbkę ze szpinakiem, wypiliśmy kufel ciemnego piwa, a on do mnie: – Czegoś taki osowiały? – Daj papierosa – odpowiedziałem, chociaż wtedy jeszcze nie paliłem. A kiedy zapaliłem, zwierzyłem się:

– Baba puściła mnie w trąbę.

– Będzie druga.

– Takiej drugiej nie będzie.

– Oho, taka ładna?

– Przeciwnie. Taka brzydka.

Roześmiał się, bo uznał, że to wszystko moje wygłupy. Wróciliśmy do redakcji, a wtedy

Tola, ta maszynistka, o którą pani Mira zechciała być zazdrosna, odezwała się:

– Hipciu, był do ciebie telefon. – Tola zauważyła chyba, że ze mną się coś dzieje, bo spojrzała na mnie z ukosa, odpowiednio ironicznie, i dodała: – Nie martw się, zadzwoni o drugiej.

Nikogo już nie było w redakcji, tylko Tola i ja, kiedy równo o drugiej zadzwieczał telefon. Tola odebrała, kiwnęła głową, mruknęła „już proszę” i przekazała mi słuchawkę:

– Do ciebie.

I wyszła dyskretnie do archiwum. „Hipolit” – powiedziałem do słuchawki i usłyszałem:

– Mówi L. – Przedstawiła się samym nazwiskiem. – Dzień dobry.

Ten jej głos, który słyszałem po raz pierwszy w życiu był ściszony, pełen skrępowania, i dlatego pewno wypadł nisko. Jego chropowatość wydała mi się nienaturalna, chyba powinna odchrząknąć.

– Dzień dobry – odpowiedziałem. – Nareszcie panią słyszę.

Nie dzwoniła jednak po to, by wdawać się w rozmówki. Czulem pośpiech po tamtej stronie drutu, mówiła jak ktoś, kto drży z emocji, a zarazem stara się przemóc tremę, być rzeczowym, właściwie oschłym.

– Czy pan jest gotów? – spytała w ten właśnie sposób. – Nie rozmyślił się pan?

– Jestem gotów. Dzisiaj? – upewniłem się.

– Najlepiej dzisiaj. To odpowiedni dzień. A co z zasłonami? – usłyszałem dziwne pytanie.

– Jakimi zasłonami?

Teraz dopiero odchrząknęła. I zaraz jej głos, niski, piersiowy, zabrzmiał metalicznie:

– Pytam, czy ma pan w domu zasłony?

– Mam.

– Musi być ciemno, rozumie pan?

– Koniecznie?

– Absolutnie koniecznie. Zupełnie ciemno. I niech się pan nie stara mnie zobaczyć. To warunek!

– Cóż, przyjmuję.

Tak sobie to przecież wyobrażałem: w całkowitej ciemności, kobieta bez twarzy, tylko kształtne ciało. I nasze wspólne zadanie.

– Spędzę u pana noc – powiedziała. – Czy to panu odpowiada?

– Tak, oczywiście. O której pani przyjdzie?

Zamiast odpowiedzi, usłyszałem pytanie:

– Są jacyś sąsiedzi?

– Na parterze i pierwszym piętrze. Ja mieszkam na drugim.

Wyczułem wahanie. Po chwili usłyszałem:

– Będę po kolacji. O dziesiątej.

– Nie za późno? Co pani będzie robić do tego czasu?

– Pokręcę się po mieście. Tak będzie najlepiej, proszę mi wierzyć.

Chyba miała rację: przecież w ciemnościach nie będziemy biesiadować.

Wyjaśniłem, jak ma do mnie trafić bez błędzenia. Potwierdziła, że trafi, i rzuciła: „Do zobaczenia”. Ja: „Nie, zobaczenia nie będzie”. Krótki śmiech z tamtej strony: „Rzeczywiście”. Usłyszałem jeszcze: „Całuję” – takie sakramentalne „całuję”, jakim Polacy tak lekko kończą rozmowy – w jej ustach zabrzmiało to inaczej, jak obietnica. I pomyślałem sobie, że podoba mi się jej głos.

Powiedziała, że przyjdzie po kolacji, ale ja na wszelki wypadek kupiłem u Braci Pakulskich kawałek łososa, udało mi się zdobyć suchą kiełbasę, tatarą, kupiłem pyszny chleb

sitkowy i z tymi zdobyczami wróciłem do domu. Miałem trochę wódki i butelkę węgierskiego wina, śledzie marynowane, ostatecznie mogłem zrobić jajecznicę na boczku, kartofelki smażone, co sobie zażyczy. Herbata, kawa, woda mineralna – okej, pomyślałem, w porządku – pochwaliłem się na głos, powtórzyłem to za nią. Zasłony, tak, zasłony miałem, wisiały od jesieni, ciemne, gęste, w jakieś podzwrotnikowe, wyfantazjowane liście, służyły pewno jakiemuś zamożnemu mieszcuchowi przed wojną. Zasunąłem je i zgasilem na próbę światło, zrobiło się ciemno, noc zupełna.

Trudno będzie dotrzeć do dziesiątej. Prześcielenie tapczanu trwało kilka minut. Posprzątanie, ustawienie wszystkiego jak należy – pół godziny. Nastawiłem radio – miałem Sabę z magicznym okiem, jeszcze z krakowskich czasów, szukałem poważnej muzyki, wcale niełatwo było znaleźć, a przecież są chwile, kiedy można słuchać tylko poważnej muzyki, każda inna drażni, Rosjanie okazali się tu niezawodni, z Kijowa szedł Czajkowski, *Patetyczna*. Leżałem na tapczanie i czytałem *Panią Bovary*, pełen podziwu, to jednak arcydzieło, czytałem, zastanawiając się chwilami, czy trochę tego bowaryzmu nie odnajdzie się w mojej Mirze L., choć była o wiele inteligentniejsza od tamtej (najlepszy dowód, że wybrała sobie mnie). W każdym z nas trochę tego pokutuje – myślałem dalej – i to miał na myśli Flaubert, kiedy szokował swoich przyjaciół, oświadczając: „Pani Bovary to ja”.

O pół do ósmej usmażyłem sobie jajecznicę, wypilem herbatę i spojrzałem tęsknie na zegarek. Czajkowski już dawno przebrzmiał, Warszawa nadawała wiadomości, potem muzykę taneczną, więc zgasilem radio. Za kwadrans dziewiąta usłyszałem kroki na schodach. Zamarłem. Ona? Ktoś stanął pod moimi drzwiami, usłyszałem słabe pukanie. Zerwałem się. Ona! Już przysła! Spytałem jednak:

– Kto tam?

Usłyszałem zduszony głos:

– Niech pan zgasi światło.

Przekręciłem kontakt, zapadła ciemność. Powiedziałem:

– Zgaszone.

– Niech pan uchyli trochę drzwi.

Zrobiłem jak kazała. Stała bokiem, sylwetka szczupła, prawie wysoka, twarz zwrócona w półmrok klatki schodowej. Dłoń trzymała na klamce.

– Okna zasłonięte? – spytała cicho.

– Tak.

– Cofnij się – szepnęła i to „ty” zabrzmiało cudowną intymnością – Wejść.

Cofnąłem się posłusznie. Ona weszła i mogłem usłyszeć, jak po omacku szuka zasuwki, a potem jak ją zasuwawa.

Słyszałem w ciemności jej strwożony oddech, wyczułem, że wyciąga ku mnie ręce.

– Jestem – szepnęła.

– Jesteś. – Potwierdziłem to z ulgą. Dotknąłem jej palców, przycisnąłem je do ust. – Och, jakaś ty zmarznięta. – Pachniała mrozem i dopiero po chwili poczułem zapach perfum, delikatny, w dobrym guście, ale nie będę udawał, że się na tym znam. Była smugą zapachu i niemym, zagadkowym posągiem. Dotknąłem futerka kołnierza, musiało to być coś taniego, najpewniej królik, wtedy, w naszych ruinach jakieś wyszukane drogie futro było nie tylko niemożliwe, ale i w złym tonie. – Szalona, szalona próżna pani – mówiłem, wodząc palcami po jej twarzy jak ślepiec. Czoło, nos, zdaje się zgrabny, podbródek też kształtny, zaokrąglony, a to w nim, w jakiejś jego wstrząsającej deformacji, podejrzewałem siedlisko owej brzydoty. Ale nie mogłem tego palcami odczytać. Usta wypukłe, potoczyłem po nich palcami. – Jakie zziębnięte – powiedziałem i chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale już nie mogłem mówić, bo poczułem jej

wargi tulące się do moich warg, a potem ssące je zachłannie, westchnąłem i połączyliśmy się w długim, pełnym milczenia pocałunku.

Smak jej ust! Więc to tych soczystych ust nikt nigdy nie całował, nie do wiary! Teraz to sobie odbijała, nie było wątpliwości. Ja, jak przystało na aktywnego mężczyznę, ściągałem z niej długie palto, które opadło na podłogę, potem wyczułem pod dłońmi, poprzez sukienkę, piersi, niewielkie, ale mocne, zadziwiająco młode. Domyślałem się, że ma opuszczone powieki, domyślałem się, że rozkoszuje się dotykiem moich dłoni, całowała mnie w usta, szyję, oczy i szeptała: och, mój, mój jesteś, mój wymarzony, mój jedyny... Jedyny – to było najpewniejsze w tym wszystkim, jedyny, więc i najlepszy. Coraz więcej zagarniałem dłońmi jej ciała, obserwowałem je dotykiem i myślałem sobie: jest zgrabna, rzeczywiście, nawet nieprzeciętnie zgrabna. Ona szepnęła:

– Rozbiorę się.

Doprowadziłem ją do tapczanu, usiadła, pomogłem jej zdjąć boty. Podczas gdy ona się rozbierała, ja odnalazłem na podłodze jej palto z króliczym kołnierzykiem i przewiesiłem starannie przez krzesło. Wtedy właśnie powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała determinacja:

– Muszę cię o czymś uprzedzić.

– Proszę.

– Nie jestem dziewicą.

Ponieważ milczałem, wyjaśniła:

– Ale nie oszukiwałam cię.

– Nie?

– Zgwałcono mnie.

Ja nadal milczałem, czegoś naburmuszony, bez sensu, zupełnie jakby to była jej wina. Ponieważ usiadłem obok niej na tapczanie, położyła mi dłoń na ramieniu i spytała:

– Czy to coś zmienia?

– Prawdę mówiąc – przyznałem – niewiele. – Mruknąłem: – Chyba powinienem ci współczuć.

– Nie wiem, czy powinieneś. Ja nic nie pamiętam – mówiła. – Uderzono mnie i straciłam przytomność. Więc to się chyba nie liczy, co? Powiedz, że się nie liczy.

Tak, jestem pierwszy, pomyślałem. Na mnie czekała całe swoje życie. Mnie zawdzięczy prawdziwe doznania. Podczas gdy ja rozbierałem się w milczeniu, słyszałem, jak ona naciąga na siebie kołdrę. Rzuciłem w ciemność:

– Usta masz dziewicze.

Ściągnąłem z niej kołdrę, obwiodłem palcami obrzeża jej nagiego ciała i powiedziałem:

– Masz kształty boginki.

Przywarła do mnie i objęła z całych sił, jakby szukała ratunku. I naraz krzyknęła. Jak dziewczica.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że był to krzyk rozkoszy. Nie dziwiłem się już niczemu. Czekala na mnie przez wszystkie te lata, jej ciało czekało na mężczyznę, na tę noc grzechu – i nagradzała go teraz namiętnością, spazmatycznym uniesieniem, szalonymi szeptami, wykrzyknikami, w których adoracja dla autora, dla każdego słowa, które napisał, spletała się z bezbronnością kobiety pogrążającej się w rozkoszy i z tej bezbronności czerpiącej szczęście.

A ja byłem w siódmym niebie. Bądź pewny, że tego, co przeżywałem z tą brzydulą, nie doznałbym z kobietą o wybitnej urodzie. Ponieważ jesteś pisarzem i bądź co bądź mężczyzną, nie muszę ci tłumaczyć, że nawet bez jej gorących szeptów, bez zapewnień, wiedziałbym, że jest rozczulona do łez – tak, kilka razy wyczułem jej łzy, to kiedy była wyczerpana rozkoszą. Nie

chcę odtwarzać całej tej nocy – chyba mi to wybaczysz – dość, że była pełna uniesienia, rzeczywiście niezwykła. To, co mnie trochę zaskoczyło, to wzrastająca sprawność jej gorącego ciała, niewyszukana, naturalna, owszem, ale przecież to jednak wyglądało tak, jakby znała dobrze jego tajemnice, najbardziej utajone pragnienia. Ktoś napisał kiedyś, że młodych kobiet nie trzeba niczego uczyć – zawsze uważałem, że to nie tak – powiedział, że mają tę naukę w sposób naturalny w swoich lędźwiach – ale gdy idzie o panią Mirę L, to on miał rację, ona niewątpliwie miała w sobie instynkt miłości. Było już chyba dobrze po północy, kiedy szepnęła mi wprost w ucho:

– Prawda, że ci ze mną dobrze?

Byłem zakochany. I powiedziałem jej to.

– Och, nie mów tak! – wykrzyknęła. Wydawało się, że jest przerażona. – Nie, nie trzeba, nie trzeba. To wszystko robisz dla mnie, prawda, kochany? To dlatego, że jesteś taki dobry, taki... Umiesz się poświęcić i zrobiłeś to. Dla takiej brzyduli jak ja – przekonywała mnie. – Ale ja chciałabym, żeby ci było przy tym dobrze.

– Pragnąłem cię bardzo – mówiłem w ciemność. – Taka jest prawda. – I powtórzyłem raz jeszcze: – Kocham cię.

Chwilę milczała. Potem odezwała się niskim głosem – już go znałem, zwiastował stanowczość:

– Ja chcę, żeby było po mojemu.

– Jest po twojemu.

– Nie. Żeby było tak, że to wszystko jest dla mnie.

– I że ja się poświęcam?

– A nie robisz tego?

– Oczywiście. – Pieściłem leniwie jej piersi. – Chętnie się poświęcę jeszcze wiele, wiele razy.

– Myślisz, że się udało? – szepnęła.

– Ty powinnaś lepiej wiedzieć.

– Dzień jest odpowiedni. – Muskała ustami moje usta. – Będzie mały, śmieszny Hircio.

Panie autorze, wie pan co?

– Co?

– Kocham pana.

Po tych słowach złożyła głowę na mojej piersi. A ja długo nie mogłem zasnąć. Kusiło mnie, żeby nagle zapalić światło i obejrzeć ją sobie. Ale bałem się trochę tego, co mogę zobaczyć. Ona miała rację: lepiej nie burzyć tego stanu cudowności, w jakim się znajdowaliśmy. Światło rzucone na nią może obnażyć wszystko aż nazbyt brutalnie. Niech już tak pozostanie. Ciekawe, zastanawiałem się, jak to będzie rano. Ucieknie przed brzaskiem? Mam ją budzić czy pozwolić jej spać? Oparty na łokciu słuchałem jej spokojnego oddechu, oczy miałem otwarte i stopniowo zaczęło mi się wydawać, że coś widzę. W ciemnościach rysowały się kontury kobiecej twarzy: czubek nosa, wypukłość policzka, jaśniejsza plama podbródka. Nie ma zasłon doskonałych. Na ulicy wprawdzie żadne latarnie nie świeciły, ale leżał śnieg i jego szarosrebrny blask przesączał się zdradziecko przez zasłony. Zdziwiająca zdolności twórcze półmroku: rysuje wszystko po swojemu, nie tyle zniekształca, ile tworzy od nowa, nie bez ambicji artystycznych – to, co widziałem z tej kobiety, to, co dla mnie wyłaniało się z mroku, wydawało mi się piękne. Tak, stała się piękna. Wiedziałem, oczywiście, że to złudzenie. Wiedziałem, że ja sam jestem współtwórcą tej iluzji, ale jaka to siła – myślałem z podziwem – jaki słaby jest człowiek. Żyjemy złudzeniami i majakami, myślałem, zniekształcamy świat stosownie do swoich zachceń. I tak dalej, w tym stylu. Najciekawsze, że wcale mi nie zależało, żeby była taka piękna, jaką mi się



teraz wydawała, ale uznałem to za cudowne, niewątpliwy przejaw uczucia, że piękną mi się wydaje. Kocham ją – rozumiałem – poczułem przyływ czułości i przytuliłem się do niej.

Obudziła mnie pieszczota. Najpierw miałem uczucie, że płynę w czymś cudownym, że unoszę się na jakiejś rozkosznie ciepłej fali, było to coś jeszcze nieokreślonego, potem rozumiałem, że pieści mnie kobieta, ogarnęła mnie wdzięczność za intymność i wyrafinowanie tej pieszczoty, jeszcze nie mogłem sobie uprzytomnić, gdzie i z kim jestem, i naraz uświadomiłem sobie, że to dalszy ciąg mojej niezwyklej przygody: Mira L. Usłyszałem jej natarczywy głos: „Obudź się, obudź się...”. Wyzwolilem w niej diabła – pomyślałem. Traktowała moje ciało jak własność, bez skrępowania, jej dłonie w ciągu jednej nocy nabrały zadziwiającego doświadczenia i zuchwałości. Poczułem się trochę zmieszany, jakbym spodziewał się czegoś innego. Długą drogę przebyliśmy oboje w ciągu kilku godzin, ona i ja, i pomyślałem sobie, może to absurdalne, pomyślałem, że żal mi jakoś tych chwil, kiedy znajdowaliśmy się u początku tej drogi. Ale – jak zwykle w historii – również w historii miłości początek jest okresem bajecznym, więc w jakiś sposób nierealnym, a do tego, co nierealne, wrócić nie można.

Naraz spojrzała na swój fosforyzujący zegarek i z krzykiem zerwała się z tapczanu. Ona też dostrzegła, że ciemność nie jest absolutna i dlatego poprosiła, nie, rozkazała:

– Odwróć się twarzą do poduszki.

Uczyniłem tak, ale buntowałem się:

– Och, skończmy z tym wreszcie!

– Nie, nie – zaprotestowała żywo – nie próbuj nic zmieniać.

Więc leżałem z twarzą zatopioną w poduszce i poprzez senność, która napływała, słyszałem, jak ona się krząta, jak korzysta z moich ubogich urządzeń sanitarnych.

– Już – usłyszałem.

Stała u drzwi, gotowa do wyjścia, plecami do mnie.

– Możemy się pożegnać – powiedziała.

– Zjedz coś, wypij... Mam łososia – kusilem.

– Nie, nie.

Szarość przesączająca się przez zasłony była teraz bardziej natarczywa. Tak, świtało, i ona musiała uciekać. Zwlokłem się z pościeli, wciągnąłem spodnie i stanąłem za nią.

– Obejmij mnie – powiedziała.

Objąłem ją posłusznie i wtuliłem twarz w miękkość futrzanego kołnierza. Znowu pachniała tak jak wieczorem, kiedy przyszła.

– Chodź – powiedziałem. – Rozbierz się, wrócimy do łóżka.

– Wiesz, że nie można. Ale chcę ci coś powiedzieć. – Zaczerpnęła tchu i mówiła twarzą do drzwi: – Przeżyłam coś... nie umiem ci powiedzieć... od pierwszego dotknięcia. Coś niezapomnianego, prawda?

– Ja też.

– Nie zapomnimy oboje. Ty też, prawda?

– Tak.

– Więc pamiętaj: to tak musi pozostać. Nie szukaj mnie.

– Chcę cię mieć. Chcę mieć to dziecko.

– Umówiliśmy się inaczej – przypomniała. – Umówiliśmy się, że robisz to dla mnie.

– Ale przecież dziecko będzie także moje.

– Nie! Wyłącznie moje! Tak się umówiliśmy, prawda?

Milczałem. Ona odezwała się:

– Przrzeknij, że nie będziesz mnie szukać.

– Skoro tego żądasz...  
– Błagam!  
– To przyrzekam.  
– Kocham cię – słyszałem jej głos, znowu melodyjny. – Wszystko, co mam, jest od ciebie. Najpierw listy od ukochanego autora... a teraz to... I niech tak zostanie. Już nie będziemy do siebie pisać.

– Ależ dlaczego?  
– Czy nie rozumiesz? Już nie ma tej niewinnej starej panny, która do ciebie pisała. Już nigdy nie będę dla ciebie ani śmieszna, ani naiwna, ani tym bardziej cnotliwa. I ty dla mnie będziesz inny. Już nie autor, tylko... kochanek, chłop.

– Czar prysnął?  
– Ależ skąd! – zachnęła się. – Czy nie rozumiesz, że jest to coś innego? Ja... ja po prostu nie mogę sobie na to pozwolić. Dla ciebie też tak będzie lepiej. – Chwilę trwało milczenie, byłem pewny, że gryzie wargę. – Zawiadomię cię, jak się sprawy mają. Chyba cię to ciekawi, prawda? – w głosie wyczułem jakiś tonik żartobliwy, może nawet szelmowski. – A teraz zamknij oczy, chcę cię pocałować.

Przymknąłem oczy, ona odwróciła się ku mnie, ale nic się nie działo.

Spytałem, nie otwierając oczu:

– Czemu nie całujesz?

– Chcę ci się przyjrzeć. Zapamiętać cię. Kochany – wybuchnęła, i znowu poczułem smak jej ust, tylko teraz wydały się mi trochę osłabłe. – Nie otwieraj oczu, nie otwieraj – szeptała gorączkowo. Obejmowała mnie mocno ramionami, obsypując pocałunkami, i szeptała: – Czujesz? czujesz? – I nagle podniosła moją dłoń i przycisnęła do ust. – Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję – powtórzyła.

Odwróciła się. „Nie odchodź!” – chciałem krzyknąć. Usłyszałem zgrzyt odsuwanej zasuwki i uświadomiłem sobie, że wciąż stoję z przymkniętymi oczyma. Kiedy otworzyłem je, zobaczyłem Mirę przemykającą przez uchylone drzwi; znikła za nimi jak zjawą.

Nie, nie znikła. Pokój był pełen zapachu naszej szalonej nocy, pościel pomiętoszona. Podbiegłem do okna i rozchyliłem zasłony. Szła wyprostowana, równym, harmonijnym krokiem, niemal tanecznym, mimo śniegu, który grudami przymarzył na chodniku; widziałem futrzany kołnierz, na który spływały ciemne włosy, na głowie miała beżowy beret; twarzy nie można było dostrzec, ale to, co się czasem wylaniało, nie mówiło nic o brzydocie. Skręciła za róg ulicy i straciłem ją z oczu.

Stan euforyczny nie mógł trwać długo. Owszem, tęskniłem, ale przecież nie cierpiałem – ostatecznie nie zostałem porzucony, wszystko odbyło się według obopólnej umowy, przeżyłem niezwykłą przygodę. Zdawałem sobie sprawę, że szkoda mi przede wszystkim tego, że tracę świetną kochankę; kochanka – to nie byle zdobycz dla młodego człowieka, nawet jeśli ma ona dziwactwa, dzięki którym można po ciemku wyróżnić nosem o kant szafy. Brak mi też będzie jej listów; przeżywałem dzięki nim trochę dopieszczień psychicznych, żaden napisany drobiazg nie został bez pokwitowania, i to pozytywnego, miałem zawsze jej recenzję, czasem wyjątkowo wnikliwą, zauważała odcienie, które widzi tylko życzliwy czytelnik. Napisałem do niej o tym wszystkim raz, drugi – dyskretnie, żeby nie wyglądało na to, iż szantażuję ją naszym wspólnym przeżyciem – tylko aluzja, trochę czułości i prośba o odpowiedź. Odpowiedzi nie było. No tak, myślałem, nie miało być. Ale co z naszą wspólną sprawą? Któregoś wieczora zastukał do moich drzwi listonosz. Telegram: „WSZYSTKO W PORZĄDKU STOP DZIĘKUJĘ STOP MIRA L.”.

Więc miałem być ojcem. Napisałem list z gratulacjami. Bez odpowiedzi. Napisałem następny: bardziej namiętny i jeszcze coś o tym przyszłym dziecku. Bez odpowiedzi. Ale twarda!

– podziwiałem. Przestało mi się to podobać: przecież powinna ku mnie biec z otwartymi ramionami, przecież było jej ze mną tak dobrze. Czy otworzyły się jakieś inne możliwości? Ktoś pojawił się w jej życiu?

Postanowiłem się z nią rozmówić. Zaraz po Świątach Wielkanocnych pojechałem ciężarówką do Łodzi. Odnalazłem dom przy ulicy Pomorskiej, w którym mieszkała; to już była ulga, jakiś ślad mam. Ale ponieważ nigdy nie podawała numeru mieszkania, stanąłem przed tablicą z listą lokatorów, żeby go odszukać. Nie było na niej żadnej Miry L...! Do diabła, czyżby to wszystko było mistyfikacją?

Chciałem odnaleźć dozorcę, ale to on mnie odnalazł, pamiętam go jak dziś, stary, przedwojenny cieć, nie widuje się już takich, obwisłe wąsy, maciejówka, jakby wycięty z ilustrowanego tygodnika z carskich czasów.

– Pan młody co tu uważa? – spytał.

– Szukam pani L., Miry L. – sprecyzowałem. – Nie widzę jej na liście lokatorów.

– Ano nie ma na liście, bo już tu nie mieszka.

– Jak to nie mieszka? Od kiedy?

– Będzie dwa tygodnie, jak wyjechali. – Zlekceważyłem zrazu tę liczbę mnogą. –

Pojechali na Zachód. Mąż dostał tam robotę, w kilka dni się uwinęli i pojechali. Panie – mówił, nie dostrzegając mojego osłupienia – pośpiech był taki, jakby im paliło się pod nogami.

– Pan mówi: mąż? – Wiedziałem, że muszę udawać obojętność. – Słyszałem, że pani Mira jest samotna.

– Jaka samotna? Ona? Gdzie by taką kobietę zostawili w spokoju. Jak mąż był w oflagu, to próbowali się koło niej kręcić różni starający się, ale co do tego, to ona nie, honorowa pani, złego słowa nie powiem. Czekala na ślubnego.

– I wrócił? – spytałem odrętwiały.

– Będzie więcej jak rok. Tylko wie pan – dozorca spojrział na mnie porozumiewawczo – wrócił jakiś nie taki, nadłamany. Ja myślę, wie pan, jak w domu nie ma dzieciaka, to smutno, a pani ma już dobrze po trzydziestce.

– I widać po niej lata, co?

– Po niej? Panie, to przecież misspolonia! Najładniejsza kobieta na całej Pomorskiej! Człowiek stary, a przecież zawsze się za czymś ładnym obejrzy. To ona jak uśmiechnie się do mnie, to aż się ciepło robi, taka buźka w tym uśmiechu. – Urwał i popatrzył na mnie podejrzliwie: – A pan co?

Próbowałem się uśmiechnąć.

– No właśnie, ja tak samo. Słyszałem, że samotna, ktoś swatał. Nikt nie mówił, że mąż wrócił.

– Ludzie rzucą tak byle co, a potem świeć oczami – zakończył rozmowę dozorca.

Siedziałem w barze na dworcu i usiłowałem zebrać myśli. Oszukała mnie ta piękność, ta cholerna Miss Polonia, zabrała mi moją brzydulę, zniszczyła moją niezwykłą przygodę. Wszystko było mistyfikacją! Wszystko – od pewnego momentu. Ale od którego? Kiedy zaczęła kreować tę inną Mirę L., kogoś specjalnie dla mnie, kobietę, której nikt nigdy nie pocałował? Myślę, że wtedy, kiedy poprosiłem ją o spotkanie. Musiała na to jakoś zareagować: była cnotliwą mężatką, bała się trochę, co z tego spotkania wyniknie. Bawiło ją, że przedstawi się jako brzydka, nawet odrażająco brzydka – powinienem od razu wpaść na to, że tak może napisać tylko pani pewna swojej urody. A potem bawiło ją wcielenie się w tamtą brzydką, tę niecałowaną, dziewczynę (choć z gwłconą). I czyj to był pomysł z tym, żeby wybrać mnie na ojca – jej czy męża? Kiedy powstał? Może pod wpływem wzrastającej temperatury moich listów? Czy pokazywała mu moje listy, czy też stanowiły one jej własny świat? Ale to chyba on radził

pojechać do Warszawy, popatrzeć na mnie z daleka, upewnić się, że nie jestem degeneratem – „w porządku”, przypomniałem sobie z wściekłością – truteń był w porządku! O mało nie rąbnąłem szklanką o podłogę w tym cholernym łódzkim barze. Ale wówczas tak trudno było o szklanki...

Nie szukałem jej. Ostatecznie można znaleźć człowieka, jeśli nie wyjechał z kraju, są biura adresowe, milicja, mogłem dać ogłoszenie do gazety. Ale kiedy uspokoiłem się, zrozumiałem, że nie mam prawa jej prześladować. Jeśli tak przede mną uciekli, to dlatego, że to dziecko nie mogło o mnie nic wiedzieć – i ja o nim – ono miało być jego, męża. Po to do samego końca, do ostatniego pocałunku u drzwi, ciągnęła swoją mistyfikację. Przeżyliśmy oboje niezwykłą noc, ale jej nie było wolno tej nocy powtórzyć. Była przecież kobietą moralną. Jak to ten cieć powiedział? Honorową. Zresztą ta noc była nie do powtórzenia także dlatego, że piękna Mira L. mnie nie interesowała, zafascynowany byłem tą brzydką, niecałowaną. Myślę, że ona to też rozumiała.

Obiecałem ci opowieść o kobiecie cnotliwej, a więc ją masz, i nie moja wina, że tyle w niej grzechu. Chyba to jest regułą: cnota zawsze boryka się z grzechem. Możesz to wykorzystać – ja tego nie zrobię, dla mnie to zbyt bliskie, zbyt rzeczywiste. Jej córka, a może syn – ale dla jakiegoś powodu myślę, że to córka – nasza córka – mogłaby wpaść na trop. Bo pani Mira raz się odezwała. Wiele lat później, więcej niż dwadzieścia – możesz łatwo policzyć, że dobiegała sześćdziesiątki. Miałem wtedy różne kłopoty, w kilku pismach zaatakowano moją książkę, prawdę mówiąc, mieszano mnie z błotem. I wtedy do tygodnika, z którym współpracowałem, nadszedł list napisany takimi samymi okrągłutkimi literkami, co ten sprzed lat – ilu? Chyba dwudziestu trzech, i do tego niemal identycznej treści: że jestem jej ulubionym autorem, że tydzień bez mojego felietonu czy opowiadania jest smutny, że rzucam perły przed wieprze, że... et cetera. Podpisano: „Mira L.”. Bez adresu nadawcy. Stempel na znaczku był wrocławski. Tygodnik tej laurki nie zamieścił, czasy się zmieniły, ale dostałem go od Naczelnego na pamiątkę.

Nie sądzisz, że ten list to sygnał dla mnie? Że ona pamięta i że nic się nie zmieniło. Te „perły przed wieprze” – w tych słowach to zaszyfrowała. Na pewno już nie była „misspolonią” i teraz całkiem szczerze wołałaby się ze mną nie zobaczyć.

Przypomniała mi się ta historia, kiedy porządkowałem korespondencję z dawnych lat. Nie wszystkie listy się zachowały. Ale ten ostatni wciąż mam. I ten mnie najbardziej intryguje. Ona mnie chyba jednak kochała... Jak myślisz?

## Czechow

Może pan wierzyć albo nie, ale Czechow kochał się w mojej mamie. Czytałam o różnych jego romansach, ale te głośne wcale nie musiały być najważniejsze. Właśnie ta jego cicha miłość, o której świat nie słyszał – żaden badacz się o niej nie zająknął! – właśnie to uczucie, tak pilnie skrywane, mogło być najgłębsze.

Wiem o wszystkim z ust mojej matki nieboszczki. Jak tata zmarł – pod koniec wojny bolszewickiej zabrał go tyfus – to mama zrobiła się nostalgiczna, zaczęła wspominać panieńskie czasy, kiedy mieszkała w Moskwie i kochał się w niej Czechow. Moja babka cioteczna, którą ja nazywałam ciocią Narcyzą, poświadczyła, że mama sobie tej historii nie wymyśliła, wszystko prawda i że nawet między nimi mogło być więcej, tylko że ona, ciocia Narcyza, dobrze uważała, żeby młodzi nie mieli za dużo okazji. Kiedy potem ja sama wyszłam za mąż, byłam w ciąży, jednym słowem zrobiłam się dorosła, ośmieliłam się spytać mamę wprost, jak z tym było, a mama powiedziała, że wcale nie tak, bo oni często zostawali z Czechowem we dwoje i on zawsze zachowywał się przyzwoicie, mama formułowała to po rosyjsku: on był oczeń uważatielnyj młodoj czelowiek, zawsze *comme il faut*. Czechow, proszę pana, to był Europejczyk! Mama mówiła, że to ją zdumiewało: bo w końcu wiejski chłopak, który świata nie widział – skąd się taki wziął, subtelny, wrażliwy, z delikatnymi manierami, z poczuciem humoru finezyjnym, jakby wychował się w salonach z francuskimi encyklopedystami – ach, proszę pana, mama nie mogła się go dość nachwalić. A wcale nie chodziło jej o to, że wspaniały pisarz, zresztą wtedy jeszcze mało kto wiedział, że to wspaniały pisarz.

W Moskwie mamuśka mieszkała z rodzicami, czyli moimi dziadkami, i z ciocią Narcyzą w niezłym apartamencie przy ulicy Nikolskiej. To była ulica bardzo ruchliwa, pełna sklepów, dużo hurtu, były restauracje, kawiarnie, hotele, ale przede wszystkim księgarnie, większość wydawnictw tam była skupiona, i właśnie któregoś dnia w księgarni u Sytina poznał Czechow dziadka Ilariona, czyli mamy tatę. On już był wtedy bardzo stary, ożenił się późno, bo miał burzliwe życie, pokażę panu kiedyś jego zdjęcie. Na Nikolskiej żyło się nie nazbyt wystawnie, ale całkiem przyzwoicie. Dziadek dostawał ze skarbu państwa pensję, bo po tym jak go zwolnili z zesłania, pracował w dyrekcji kolei i nawet kupił sobie kamienicę, która dawała trochę dochodu. Trzymali wtedy dziadkowie troje służby – kiedy ja się urodziłam, już tylko dwoje – w tamtych czasach trudno było prowadzić duży dom bez służby, więc była kucharka, pokojówka i stary służący Ignat, który pracował przy Dziadku jeszcze na kolei, a może i był z nim na zesłaniu, tak mi się zdaje.

Mama miała wtedy lat dziewiętnaście chyba, a Czechow dwadzieścia sześć–siedem, nadawali się do siebie wiekiem. Czechow już po studiach, praktykował jako lekarz, nieźle zarabiał piórem, co zaś do mamy, to już najwyższy czas był za mąż iść. Tylko że on miał całą rodzinę na karku: rodziców, jakąś okropną liczbę braci i siostrę – i wszystkich on utrzymywał.

Czechowowie mieszkali wtedy jakby na przedmieściu, na Sadowej-Kudrińskiej, w piętrowym domu, który odnajmowali od doktora Korniejewa. Do nas Czechow przyjeżdżał konką, czyli tramwajem konnym, czasem, przy dobrej pogodzie, zajmował miejsce na dachu. Musiał lubić taką jazdę, bo przecież mógł sobie pozwolić na izwozczyka, ale nie, on wołał konkę. Chyba że mu się śpieszyło albo że był obładowany książkami. I pociągiem jak jeździł, do Petersburga czy do Taganrogu, to też wołał trzecią klasę – pierwsza co prawda była piekielnie droga – ale on mówił, że trzecią klasą ciekawiej, człowiek różności się nasłucha, podczas gdy w klasie pierwszej milczą z nosem wetkniętym w „Birżewyje wiadomości”, a jak już o czymś zagadają, to o sojuszach najjaśniejszego pana i tym podobnych głupstwach.

Czechow, kiedy pierwszy raz do nas wpadł, to właśnie po to, żeby przetrząsnąć księgozbiór dziadka Iłariona. Mówię „do nas”, bo tyle się tego nasłuchałam, że czasem mi się wydaje, że ja sama tam byłam, że byłam tą zapłonioną, drżącą z niepokoju panienką, w której kochał się Czechow. Mama mówiła, że od razu wtedy, za pierwszym razem, pan Antoni wycygał od Dziadka jakąś książkę o łowieniu ptaków – strasznie był łasy na takie zdobycze, wciskał potem do swoich śmiesznych opowiadań różne takie dziwaczne wyrażonka – zresztą chyba tę książkę potem zwrócił, jak już ją wykorzystał; a za to sam pochwalił się kupionym na Suchariewskim rynku poradnikiem pisania listów miłosnych. Przeczytał na głos niektóre listy i mama mówiła, że wszyscy dosłownie się tarzali ze śmiechu, bo on strasznie potrafił błaznować, ten młody Czechow, a miał talent aktorski, jeszcze w Taganrogu parodiował popów, czynowników, kupców, jadovite baby i od tego się podobno zaczęło. Babka Jadwiga kazała Ignatowi postawić obok samowaru karafkę ze smorodinową nalewką, nie wiem, czy pan to kiedyś pił, od tego w ustach pachnie leśnym poszyciem, taka cudowna cierpkość, co na nogi stawia lepiej niż najdroższe lekarstwo, ale trzeba, żeby to była nastojaszczaja podmoskiewska smorodina. Czechow, wypiwszy, spytał panienci, to znaczy mojej mamy, czy dostała kiedyś taki list. Mama zmieszła się, ale powiedziała kokieteryjnie: „Kto wie”. „Ach, jakże pani zazdroścze – miał powiedzieć Czechow. – Do mnie nikt takiego listu nie napisze, a ja sam do siebie nie potrafię”. Potem babka Jadwiga, ciocia Narcyza i mamuśka siadły w jednym kącie salonu z haftami, a w drugim kącie muzycy, czyli jak dziś się mówi chłopcy, jednym słowem panowie: Dziadek i Czechow. Czechow trochę sumitował się, chciał odejść, ale Dziadek go zatrzymywał, częstował nalewką i coś tam opowiadał o pracy na kolei, o Tatarach, wreszcie wsiadł na zesłanie, i jak się spotkał z jakimiś dekabrystami czy pietraszewcami, czy z kimś późniejszym jeszcze. Jak wsiadł na tego konika, to żegnaj, swobodo, końca temu nie było. Czechow, zawsze grzeczny, udawał, że słucha, bo co go to mogło obchodzić, to dziadkowe bajdurzenie, a jeszcze przyłączył się Ignat i nachylony nad głowami panów – jedną siwą, drugą ciemną, z dłonią przy uchu, bo trochę już niedosłyszał, raz po raz prostował: „Pozwolę sobie zauważyć, Iłarionie Stiepanyczu, że to niezupełnie tak było...”. Czechow, uprzejmy nawet dla służby, szybko wtrącał: „A jak?”. I wtedy ten stary Ignat zaczynał „tara-tara tara-tara”, a Czechow cierpliwie słuchał. I Bóg wie, jak długo by to trwało – opowiadała mama – gdyby nie babka: „No, dosyć, dosyć, Ignat, zamęczyli młodego człowieka. A na Kudrino szmat drogi”. Babka nie chciała być niegrzeczna, ale bała się, żeby Czechow nie miał jakiejś nieprzyjemnej przygody, bo przedmieścia nie były wtedy bezpieczne, srożyła się banda jakiegoś Czarnego Kota, bezczelnie wypisywali kredą na parkanach „do dziesiątej palto wasze – po dziesiątej nasze”, taki Janosik, z którym gradonaczelnik nie mógł sobie w ogóle poradzić, chociaż niektórzy mówili, że mógłby, tylko że ręka rękę myje.

Po wyjściu Czechowa zaczęły się babskie ochy i achy: jaki miły! jaki ułożony! jaki przystojny! Bo, proszę pana, musi pan wiedzieć, że Czechow wtedy to był niezwykle przystojny mężczyzna. Wyżej średniego wzrostu, wyprostowany, zgrabny, cudowne oczy, ślicznie wysklepione czoło, a nad nim bujne ciemne włosy o odcieniu kasztanowym, ładne dłonie i jeszcze uderzająca inteligencja, bezpośredniość, ujmujący sposób bycia. Ogromny urok, proszę pana, ogromny. I ten głos! Mama długo miała go w uszach: metaliczny bas, pobrzmiwający jakimś uwodzicielskim ciepłem. Czarował nim kobiety i gdyby tylko chciał, mógłby je wszystkie mieć u swoich stóp. Ale jemu podobała się moja mamuśka. Żałuję, że nie przyniosłam ze sobą jej panińskiego zdjęcia. Ma na nim takie niewinne oczy. Proszę pana, dziś już nie widuje się takich oczu.

Kiedy babka Jadwiga i ciocia Narcyza tak na wypródkę chwaliły gościa (mama milczała, bo panience nie wypadało zabierać głosu), Dziadek uznał, że też ma coś do powiedzenia:

– A i utalentowany. Tak, tak, to też... Coście panie tak oczy wybałuszyły? Przecież to pisarz.

– Nie – na to babka – lekarz. Wyraźnie powiedział: jestem doktorem. I obiecał, że wypisze receptę na moje migreny.

– Doktor, doktor – mruzczał Dziadek rozeźlony, zupełnie jakby go ktoś obraził. – Wiadomo, że doktor. W aptekach możesz zobaczyć jego nazwisko na listach lekarzy. Ale i pisarz. Antosza Czechonte. Onże Czechow. – Dodał po chwili, z westchnieniem, nie wiadomo żalu czy podziwu, mama nigdy się nie dowiedziała: – Coraz częściej Czechow.

Panie nie słyszały w ogóle o żadnym pisarzu Czechowie, to Dziadek pokazał im „Oskółki” i różne inne gazety, które gromadził na etażerce koło swojego łóżka.

– Tu znajdziecie – powiedział. – Zdolny, a ostry, że niech Bóg strzeże wpaść takiemu między zęby. Zgryzie na miazgę.

Babka przyjęła to z rezygnacją.

– Daj mu Boże wszystko dobre – mówiła. – Jak pisarz, to my go tu więcej nie ujrzymy. Co by pisarz miał do roboty w naszym domu? – I spojrzała żałośnie na córkę, czyli moją mamuszkę, na znak, że sprawa przegrana. Ale Dziadek się zaperzył:

– A właśnie, że obiecywał przyjść.

– Nie słyszałam.

– Mnie obiecywał, Jadwigo Stanisławowna. Wpraszał się nawet: „Jeśli pan pozwoli, mówię, wpadnę za dni kilka, złożę paniom uszanowanie”.

– Powiedział „paniom”? Jesteś pewny?

– Ignat! – zawołał Dziadek. – Słyszałeś, co pan Czechow mówił?

– Słyszałem, Iłarionie Stiepanyczu. Dokładnie tak było.

– Mówił „paniom”? – nalegała babka.

– „Paniom”, a jakże. A może „państwu”. Nie: „temu domowi”, tak było powiedziane.

– Nakłamał pan doktor – zdecydowała babka. – Nie ma on czego szukać w naszym domu. Jakiś lekarz – to co innego, ustatkować się trzeba, gabinet, praktyka, owszem – ale żeby pisarz, co to, to nie. Pisarze innymi drogami wędrują. Na przykład Mickiewicz – gdzie by on tu do nas przyszedł? Po co? Chyba że... – I znowu zerknęła na moją mamę. – Chyba że... do Maryli.

Moją mamę Dziadek nazywał Maszeńką, Ignat – najczcigodniejszą Marią Iłarionowną, ale babka wołała ją Maryla. Więc tu jej się z Mickiewiczem zgadzało.

Dziadek bardzo rozsądnie zauważył:

– Nie każdy pisarz to od razu twój Mickiewicz.

Ale pisarz jednak przyszedł, bo widocznie go bardzo do Maryli ciągnęło. Przyniósł bukiet pięknych kwiatów i wręczył go babce Jadwidze, a mamie podarował pudełko karmelków, jak to wtedy było przyjęte, by panny traktować jak dzieci. Mama opowiadała, że był starannie ubrany, jak zwykle zresztą, popielate ubranie świetnie na nim leżało, tylko krawat wydał się mamie jakiś niefortunny. W ogóle, mówiła mama, z krawatami nie umiał sobie radzić, i mamę później czasem korciło, żeby mu kupić jakiś modny krawat, ale bała się, że co on sobie pomyśli.

Była pora kolacji, ciotka Narcyza pilnowała blinów, stary Ignat postawił nalewkę. Nie, nie – na to Czechow – pozwoliłem sobie przynieść coś innego. I wydobył z lekarskiej torby, którą często miał ze sobą, butelkę wódki. – Proszę się nie gniewać – mówił – ale ja czasem lubię wypić. – Babka Jadwiga przerażona: a to ci zięć!... – Czy nie boi się pan popaść w nałóg, panie doktorze? – Nie, nie – zaprzeczył żywo – nie boję się. Moi bracia – mówił – tak, niestety, to zdeklarowani pijacy, właściwie alkoholicy, patrzę i serce mi się krwawi, utalentowani, a marnują się. Nie – mówił dalej – ja nie pozwolę sobie zniszczyć, dwa kieliszki można wypić, no trzy, i stop. Talentu, widzi pani, we mnie niewiele, ale siła woli jest, a poza tym medycyna, droga pani,

to też ma znaczenie.

W rzeczywistości wszystko było na odwrót. Myślę, że ci bracia talentu mieli, co kot napłakał, to tylko Antosza im go przypisywał, dawał im wskazówki, pouczał ich, często z wysoka, a oni męczyli się chcąc mu dorównać – i pijaństwo dawało im usprawiedliwienie. Czechow powiedział, że jako lekarz często musi przeprowadzać sekcje zwłok – wołają go w przypadkach podejrzanych zgonów. Jak tu nie golnąć sobie jednego? Mama to rozumiała. A babka spytała: – Obiecuje pan, że się nie rozpije? – Obiecuje.

Ten wieczór mamie wbił się w pamięć, bo wyznaczył jakby przebieg wszystkich następnych. Po kolacji mama zasiadła do fortepianu, grała Schuberta i Czajkowskiego, który akurat wtedy robił się sławny, mama grała może nie porywająco, ale dobrze, miała solidne podstawy, i Czechow słuchał z opuszczoną głową, bo tak się złożyło, że lubił Czajkowskiego, swojego znajomka zresztą, i Schuberta też lubił. I potem bardzo wylewnie mamie dziękował, powiedział: „kрасиво, пanna Maryła, bardzo – bardzo”, powiedział po polsku, często wstawiał różne polskie słówka, czasem nazywał mamę „panną Manią”, bo w Taganrogu, z którego pochodził, było sporo Polaków, w okolicach polskie majątki, i była też jakaś Mania. Kiedyś to się pochwalił, że umie powiedzieć: „Nie pieprz, Pietrze, wieprza pieprzem” i tak dalej, całe porzekadło wyrecytował; to był taki zmyślny małpizson, ten Czechow, wszystko błyskawicznie sobie przyswajał.

Po muzyce mama z babką wzięły się za hafty, ciocia Narcyza rządziła się w kuchni, a mężczyźni (mama zawsze mówiła: mężczyzy), mężczyźni zasiedli do warcabów, pili przy tym czaj z konfiturą z wisien, ale wiele się nie nagrali, bo Dziadek zaczął trajkotać, a Ignat raz po raz mu wtórzył. Mama mówiła, że podziw ją brał, jaki ten Czechow cierpliwy, ile z jej powodu tej dziadkowej gadaniny zniesie, i jeszcze taki zgrywus, udaje, że go to wszystko strasznie interesuje, pytania zadaje, podbechtuje Dziadka. A kiedy babka Jadwiga, litując się nad doktorem, powiedziała: „Marylka, spać... A i na pana doktora już czas, bo szkoda tego pięknego palta”, on – mama opowiadała to ze śmiechem – on na to, że nie musi spać, bo okazało się, że Czarny Kot to jego wielbiciel, pakłonnik, czyta „Osłki” i zaśmiewa się do łez. – W ten oto sposób – zakończył niespodziewanie – wyrósł mi dodatkowy cenzor, bo jeśli temu się coś nie spodoba, to może się to źle skończyć.

Moja mama była wzorową panienką. Spać to spać, podeszła więc do Czechowa i dygnawszy, powiedziała:

– Dobranoc, panie doktorze.

On chwilę milczał, patrzył na te jej niewinne oczy, mama stała zapłoniona, była pewna, że on zaraz coś powie, coś takiego nadzwyczajnego, na to się zanosilo – ale on tylko uśmiechnął się sympatycznie i, pochyliwszy głowę, odpowiedział:

– Dobranoc, panna Maryła.

Tylko tyle. Ale spojrzenie go zdradzało i wszyscy zrozumieli, że Czechow zakochał się w mojej mamie. Pierwszy raz ktoś się w niej kochał, pan nie wie, co to znaczy dla młodej dziewczyny – to jest prawdziwe odkrycie siebie samej – że ma się jakieś znaczenie, że można się umieścić w życiu. Wie pan, przedtem wszystko jest dla dziewczęcia zagadką, przyszłość napawa lękiem, a tu nagle – on kocha, kocha, mnie kocha – i kto? Doktor Czechow, ten uroczy Czechow. Mama była szczęśliwa i odurzona.

Odtąd Czechow był stałym gościem w domu przy Nikolskiej. Przychodził regularnie raz na tydzień, w czwartki. I zawsze odbywało się wszystko tak samo. Ciocia Narcyza przynosiła z kuchni bliny, a Czechow rozlewał wódkę. – Nie rozpije się pan? – przypominała babka Jadwiga. – Nie rozpiję. – Doktorze Czechow, to już trzeci. – Dziękuję za podliczenie. – Oboje się śmiali. Mama zasiadła do fortepianu. Czajkowski. Nokturn Chopina. Potem w jednym kącie hafty, w



drugim warcaby. Oczywiście, pogaduszki. Oczywiście, stary Ignat to i owo lepiej pamięta. Czasem Czechow wyjmując notes i szybko coś zapisuje. Pytając. – Co pan tak zapisuje, doktorze Czechow? – On na to: – Ach, receptę dla epileptyka, byłbym zapomniawszy. Zawsze ta medycyna! – A Dziadek dalej pyta. Znowu opowiada tę samą historię o zesłańcu, który wyrzucił się wszelkich potrzeb. Nie chciał ani żony, ani córki, ani odmiany życia, ani nadziei. Wszystko to, bracie, głupstwa – mawiał – trzeba głupstwo z głowy wyrzucić, nawet drzwi od baraku nie chciał domknąć, bo po co, niech tam, i ostry wiatr nanosił śnieg pod próg. – Najbardziej konsekwentny nihilista, o jakim w życiu słyszałam – powiadała mama. Opowiadał też Dziadek z zadziwieniem o młodym chłopskim małżeństwie, które rozbiło się po tym, jak żona odmówiła święconego choremu kozakowi. „Ach, więc ty taka” – odkrył mąż i ze zmartwienia się rozpił. Babka mitygowała znad swojego haftu: „Harion, już trzeci raz to panu doktorowi opowiadasz”. A Czechow, ten arcygrzeczny Czechow, broni Dziadka: „Niczewo, pani Jadwiga, ja mogę tego słuchać bez końca”. Bardzo lubili się, Czechow i babka, teściowa byłaby z niej niezwykła. Babka znała francuski, abonowała „La Vie Parisienne” czy coś podobnego, i czasem relacjonowała Czechowowi jakieś francuskie anegdoty. „Zapiszę”, mówi Czechow i wyciągnął notes, „a nuż da się podkraść”, błaznował. Ale kiedyś przyniósł babce 25 rubli. „To dla pani, Jadwigo Stanisławowna”. Jak to? A tak to, połowa honorarium za anegdotę, która go zainspirowała, „jarym–jarym” powiedział, co po tatarsku znaczy, musi pan wiedzieć, tyle co pół na pół, jak u nas teraz fifty-fifty. I babka odtąd wyławiała dla niego skrzętnie te anegdoty, bo chociaż nie była chciwa, ale straszną miała ochotę zarobić do spółki z tym czarującym młodzieńcem. Nie tylko mama była pod jego urokiem.

Dziadek zapytał kiedyś Czechowa, skąd bierze pomysły do opowiadań. A on: – Zewsząd. Byle co może być pomysłem. Widzi pan tę popielniczkę, Harionie Stiepanyczu? – To co? – Mogę napisać i o tej popielniczce. – Dziadek nie dał za wygraną: – Aha, to proszę bardzo, pisz pan. – Ale na przykład co? – Czechow zastanowił się. – Na przykład – odezwał się – no, powiedzmy, że ta popielniczka nie znosi dymu. Jej istnienie staje się pasmem udręki. – Rozumiem – mówi Dziadek – popielniczka cierpi, czyli pan zakłada... – Naturalnie – na to Czechow – każda rzecz może cierpieć, nawet kamień przydrożny. A wie pan – ciągnął – to jest myśl: napisać opowiadanie o kamieniu przydrożnym. A popielniczka, cóż, ona też ma chwile uniesienia: to kiedy dotykają jej piękne, czułe palce Warwary Dmitrijewny. – Warwary? – spytał Dziadek. – Słusznie, błąd, to nie mogła być Warwara. Łarysa Dmitrijewna, oczywiście, Łarysa, kochanka praporszczyka Jewstigniejewa. Dla Łarysy nasza popielniczka może cierpieć, jej papierosa wyczekuje. Pewnego dnia jednak piękny praporszczyk rzucił wściekle cygaro i wybuchnął wulgarnymi słowami na delikatną Łarysę. Łza kapnęła z jej oczu. – Na popielniczkę, rozumie się? – podchwycił Ignat. – A jak inaczej! – Roześmiał się: – Bez obaw, proszę państwa, obiecuję, że takiego opowiadania nie napiszę.

Babka prosiła go czasem na niedzielę, pojechaliby na piknik za miasto, liczono na to, że natura go rozochoci, ośmieli, ale on odmawiał.

W niedzielę Czechow pisał. W inne dni bywało, że też pisał, ale w niedzielę uwalniał się od praktyki lekarskiej i wtedy już mógł całkowicie oddać się literaturze. A miał coraz więcej zamówień i coraz wyraźniej rósł w sławę.

Było lato, kiedy Czechow znikł na czas dłuższy, wyjechał do miejsc swojego dzieciństwa, do Taganrogu. Jakby na wizję lokalną. Mama bardzo tęskniła, on chyba też, ale listów nie pisał, widać nie wiedział, jak się do tego zabrać, w takim liście siłą rzeczy musiałoby coś być o tęsknocie, może i o miłości, a on był w sprawach intymnych taki powściągliwy, taki nieśmiały. Kiedy wrócił, zjawił się raz, przeprosił, że się nie odzywał, i zapowiedział, że przez pewien czas się nie pojawi, bo zabiera się właśnie do dłuższego opowiadania – dotychczas nigdy nie pisał nic

dłuższego i boi się piekielnie. Czuje, że napisze jakąś brednię i trzeba będzie się wstydić. Wizyta trwała krótko, bo babkę Jadwigę bolała głowa, Czechow zostawił jej proszki, które miał przy sobie, a mamusia odprowadziła go do drzwi.

– Nie zapomni pan o nas, Antoni Pawłowiczu? – spytała.

– Ach, jakże bym mógł, panna Mania... Jakże bym mógł – powtórzył. – Nie ma drugiego takiego domu jak ten – powiedział.

Mama podała mu rękę, a on nachylił się i ucałował jej dłoń.

Ten ból głowy babki to był początek tyfusu – tak, doktorze Czechow, nie postawił pan diagnozy, śpieszył się pan do swojego opowiadania, a w ciągu dni dziesięciu babka zmarła. O jej śmierci Czechow dowiedział się z nekrologu, przyszedł na pogrzeb, a mama, w czarnej woalce, zapłakana, jednak go kątem oka zauważyła, serce jej zabiło. Mnóstwo przybyłych na pogrzeb babki Jadwigi rozpoznało młodego pisarza i mama słyszała szepty: „Popatrz, Czechow”. I rozplakała się jeszcze rzewniej, bo to było wzruszające, że on znalazł czas, żeby przyjść, takie czułe. Nie podszedł do mamy z kondolencjami, bo ten szept ludzki go stropił, nie umiał się w takich okazjach zachować, tylko cioci Narcyzie szepnął: „I kto mi teraz będzie kieliszki podliczał?”. Na co ciocia Narcyza buch w płacz, takie to było rozdzierające – ja bym dziś powiedziała: czechowowskie.

Minęło kilka tygodni, zanim Czechow znowu się pojawił na Nikolskiej. To nie był czwartek, jakiś inny dzień, mama to odnotowała sobie w pamięci. Czechow miał ze sobą bukiet kwiatów jesiennych, chyba to były astry – wręczył je mamie, teraz ona była gospodynią domu – ale wódki nie przyniósł i już nigdy więcej wódki nie przynosił, a wszyscy wiedzieli dlaczego: bo nie ma tej, która go pilnowała. Musiało się też obyć bez gry na fortepianie. Ale bliny były jak zawsze, i nalewki smorodinowej wypito ciut-ciut, i Dziadek, chociaż ze zrozumiałych względów osowiały, powoli się rozkrochmałał i zaczął swoje wspominki i roztrząsania. Nie było komu upomnieć go, że to czy tamto dwa albo więcej razy już opowiadał, córka nie śmiała przerwać ojcu. A zresztą Czechow słuchał z takim zajęciem, wypytywał o szczegóły, na przykład jakiej maści był koń, jakie drzewa rosły przed dworkiem, jaką część podłogi oświetlały o świcie promienie słoneczne, dziwne doprawdy zadawał pytania – wspominała mamusia, nikt nigdy o takie rzeczy nie rozpytuje, wszystkich ciekawi po prostu, kto z kim i co było dalej. A Czechow pytał, jakie warzywa na zesłaniu sadzili i jakie było poszycie tajgi. (Było ciemnoniebieskie od jagód). Ale bardzo często też pytał: „A co pan o tym sądzi, Iłarionie Stiepanyczu? Czym pan to tłumaczy?”.

Mamy już teraz nikt nie pędził spać. Tego wieczora trwała w salonie, aż Dziadek się zmęczył, i sama odprowadziła Czechowa do drzwi. Spytała:

– Czy Czarny Kot nadal jest z pana zadowolony?

– Mam nadzieję – odpowiedział Czechow. – Ale po tym długim opowiadaniu moje palto może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Czornaja Koszka rassierditsja.

– Czemu to?

– Nabredziłem, że strach. Sto stron, nie do wytrzymania.

Mama uśmiechnęła się.

– Na pewno pan przesadza, doktorze.

Czechow powiedział wtedy, że panna Maryla jak zwykle pokazuje anielską stronę swojej duszy.

– A jak się to opowiadanie nazywa? – zainteresowała się mama.

– *Step*.

– *Step*? Tak po prostu?

– Po prostu. A jak inaczej nazwać? – zatroskał się Czechow.

– Nie wiem. Zależy, o czym opowiadanie. Co się tam dzieje?  
– Jest chłopiec... i jedzie furmanką przez step.  
– I co? – dopytywała się mama.  
– I nic. Jedzie i jedzie. Zrywa się deszcz, ulewny, błyska się i grzmi. Step moknie.  
Mama milczała, Czechow też milczał. Po chwili odezwał się:  
– Mówiłem pannie Maryli, że to straszna bzdura. Umieram ze strachu, co będzie, jak wydrukują. Ale wypłacili mi już pięćset rubli.  
– Oho. To pan teraz bogaty.  
– To tylko zaliczka!

Widać było, mówiła mama, że młody autor chce się koniecznie pochwalić: nigdy mu jeszcze takiej sumy nie wypłacono. Mama w lot pojęła:

– Och, Antoni Pawłowiczu, to musi być świetne opowiadanie.  
– Panna Maryla jest jednak bardzo dobra.

Mama:

– To następnym razem już w czwartek, tak? Jak zwykle?  
– Jak zwykle – potwierdził Czechow.

W ten czwartek, w który Czechow przyszedł, mama pozwoliła już sobie zagrać na fortepianie, dla niego grała oczywiście, a on siedział, słuchał, a może i nie słuchał, bo mama mówiła, że wydawał się bardzo daleki. Naraz przestała grać – Czechow nie zareagował. Więc mama trzasnęła wiekiem fortepianu (Czechow wzdrygnął się, jak obudzony gwałtownie ze snu) i odezwała się z irytacją w głosie:

– Nie podoba się panu moja gra, doktorze Czechow?  
– Przeciwnie, Marylka. Lubię, kiedy pani gra.  
– Więc co z panem jest?

Dziadek syknął na nią, ale Czechow uspokoił go:

– Maria Iłarionowna ma rację: nie powinienem był dzisiaj przychodzić. W takim nastroju lepiej zamknąć się w pokoju i pić wódkę.

– Co się stało? – spytał Dziadek.

– Dwie pacjentki mi zmarły. Matka i córka. Razem zmarły, na tyfus. I wiecie państwo co? Zdjąłem tabliczkę lekarską z drzwi.

– Ależ panie doktorze! – zawołała ciocia Narcyza.

– Rzucę do diabła tę całą medycynę. Po co mam oszukiwać się, że umiem leczyć?

Jesteśmy bezradni, bezradni.

Mama odezwała się:

– Pan dobrze wie, że to nieprawda. Pan wie, że jest ludziom potrzebny.

Dziadek to na niego wsiadł.

– No i proszę, oto dokąd zajechaliśmy. W ten sposób to nigdy nic w tym kraju nie zrobimy. Załamuj ręce, proszę bardzo, ale z naszą przyjaźnią koniec. Tyfus wygra! Tyfus tu zapanuje! A z nim trzeba, ot jak. – Dziadek ścisnął pięść. – Siłą trzeba. Wytrwałością. I rozumem. Tak, Antoni Pawłowiczu, rozum tu potrzebny. To ja ci powiadam w imieniu nas, zesłańców.

Czechow uśmiechnął się i powiedział:

– Tabliczkę wprawdzie zdjąłem, ale pacjenci i tak się pchają.

Więcej nie było o jego dezercji mowy. Może dlatego, że „Siewiernyj Wiestnik” wydrukował wreszcie to długie opowiadanie i nastrój Czechowa się zmienił. Co się działo! Wybuch entuzjazmu. Gdzie się poszło, słyszało się tylko: Czechow i *Step, Step* i Czechow. Mama była zachwycona. Popłakała się ze wzruszenia, że takie piękne i że to napisał jej wielbiciel.

Dumna, jakby sama napisała. Dziadek też zadowolony, że tyle hałasu wokół tego młodego człowieka, którego on odkrył. – „Może nie? A kto wam powiedział: czytajcie, utalentowany?” – więc zadowolony, ale na samo opowiadanie trochę sarkał. Czekasz, aż coś zacznie się dziać, a tu nic – step i step. Skończyłeś czytać i nawet morału nie ma: step i tyle. No, ale tak rzeczywiście bywa – dodał, pomyślawszy. Coś się dzieje i nie wiesz dlaczego, co to znaczy. Czujesz tylko, że warto było przez to przejść.

Mogło się wydawać, że teraz, kiedy mama była samodzielna, pani domu, rzecz można, Czechow ośmielił się i wyzna wreszcie, że ją kocha, ale on nadal był nieśmiały, przynosił kwiaty, całował w rączkę, słuchał gry na fortepianie, prawie się do mamy nie odzywał. A jak już, to po to, żeby pobłaznować, tym błaznowaniem opancerzał swoje uczucie. Przyniósł tomik swoich opowiadań, nazywał się jakoś bardzo smętnie, coś ze zmierzchaniem czy z mrokiem, i podpisał go mamie: „Maryli – oddany Schiller Szekspirowicz Goethe”, bo akurat wystawiono mu jakąś sztuczkę, która miała sporo publiczności. Raz o zmierzchu, kiedy Dziadek poczuł się słaby i położył się wcześniej, a Czechow sięgał już po kapelusz, żeby bez hałasu odejść, mama uznała, że czas przejąć inicjatywę. Spytała:

– Czy nie mógłby pan ze mną chwilę porozmawiać poważnie?

– O Boże – zatrwożył się Czechow – czemu poważnie? Ja się nie nadaję do poważnych rozmów, boję się ich. Ale owszem, spróbujmy.

Usiadł na sofie, ale kapelusza nie odłożył, trzymał go na kolanach.

– Proszę mi powiedzieć – zaczęła mama. – Pan tyle wie. Tak pięknie pan o ludziach pisze. Jakby pan wszystko o nich wiedział. Proszę powiedzieć: po co człowiek żyje? Po co to wszystko?

Czechow obejrzał się, czy nikt ich nie słyszy, a potem szepnął, jakby zwierzał się z sekretu:

– Nie wiem.

– Pan nie wie?

– Tak. Tylko błagam, niech pani nikomu tego nie powtarza.

– Ale pan przecież pisze! – wybuchnęła mama. – Ludzie pana lubią, jest pan sławny.

Chyba w tym pisaniu widzi pan jakiś sens.

– Owszem, panna Marylka, jest sens, na pewno. – Chrząknął, coraz częściej, mówiła mama, ostatnio chrząkał. – Ja mam na utrzymaniu rodzinę. Zarabiam piórem. Honorarium i wszystko inne.

– Więc dla pieniędzy? – zgorszyła się mama.

– Dla pieniędzy – odpowiedział Czechow z uśmiechem. – Na chleb nasz powszedni.

Trzeba pracować, tak, to jest praca, każdy powinien robić to, co umie. – Pomyślał i powiedział: – Tak się zaczęło, w każdym razie. A teraz... teraz właściwie – też dla pieniędzy. Owszem, jest różnica – powiedział i znowu się uśmiechnął.

– Więc jednak...

– Tak. Teraz więcej mi płacą

Mama się zezłościła, prawie że do łez. Powiedziała mu:

– Ja wiem, pan uważa, że ze mną nie można poważnie rozmawiać.

On zaprzeczył. Mówił, że są tematy, na które nie umie rozmawiać, i to wszystko.

Mama czuła się trochę obrażona. W czwartki zaczęła demonstracyjnie wychodzić na spacer albo zamykała się w swoim pokoju z książką, także i Czechowa. On czasem się dopytywał, gdzie panna Maryla się podziała, ale bez nacisku, żeby nie dać do myślenia. Ostatni raz, kiedy u nas był, tuż przed śmiercią dziadka Iłariona, mama, żegnając się z Czechowem, potraktowała go chłodno, wyniośle, i Czechow podobno posmutniał.

Dziadek zmarł nagle, bez cierpień. Czechow był oczywiście na mszy i potem przy pochówku. Jak spuszczano trumnę do dołu, podszedł do mamy i ucałował ją w oba policzki, biedną sierotę. A potem powiedział: „Ten cichy starzec to był mędrzec. Bardzo go lubiłem”. Ciozia Narcyza szepnęła mu, że prosimy po ceremonii do nas, wypić za spokój duszy nieboszczyka, ale Czechow wymówił się przeziębieniem. Naprawdę zaś nie znosił tego typu uroczystości, uważał je za barbarzyńskie. Wkrótce, jak pan wie, naprawdę zachorował, początki gruźlicy, pluł krwią, i wszyscy mówili, że ten uroczy młody człowiek starzał się w oczach. Pewno dlatego do nas więcej nie przychodził, stłumił swoją miłość, nie chciał narzucać mamie swojej chorej osoby. Po śmierci Dziadka nigdy już domu na Nikolskiej nie odwiedził.

Ale mama nie mogła go zapomnieć. Wciąż go kochała. Wciąż czekała. Czechow jednak nie przychodził ani kartki nie przysłał, w ogóle nic. Przyzna pan, że to trochę nazbyt daleko posunięta powściągliwość. Ale cóż, taki był Czechow.

Po latach mama spotkała go jednego dnia na naszej Nikolskiej. Wychodził z księgarni Sytina z paczką popularnych wydawnictw zeszytowych. Mama mówiła, że ledwo go poznała, w binoklach wyglądał jak schorowany urzędnik. Ale on mamuszkę poznał, wykrzyknął „Maszeńka!” i strasznie dużo radości włożył w ten okrzyk. Poszli do kafejki. Przy kawie z likierem Czechow rozpytywał mamę, co porabia, czy wyszła za męża. – Nie? Dlaczego? Aha – no, może racja, nie ma pośpiechu. – A pan, Antoni Pawłowiczu? – Ja, cóż ja, choruję – powiedział. – Powinien pan się ożenić – ośmieliła się powiedzieć mama. – Potrzebna panu czuła opieka – dodała cicho i opuściła powieki. (Czechow od razu by zapytał, skąd ja wiem, że opuściła powieki, skoro mnie jeszcze wtedy na świecie nie było. To mówię panu, że ja wiem wszystko – mama mi to ze sto razy opowiadała, to ostatnie ich spotkanie, ze wszystkimi szczegółami). – Mam czułą opiekę – opowiadał Czechow – jest mamasza, jest Ma-Pa (czyli Maria Pawłowna, jego siostra). Mama, wysłuchawszy tego, powiedziała, jak mogła najśpiwniej:

– A może nas pan kiedy odwiedzi, doktorze? Powspominamy dawne bliny.

Czechow nie od razu odpowiedział. Zapytał:

– A jak tam w ogóle? Jak stary Ignat?

– Nie żyje. Bardzo się biedak męczył.

– Miły był starzec. – Czechow westchnął. – Dużo pamiętał. I ile miał w sobie godności...

Boję się, pani Marylka, że nieprędko będę mógł panią odwiedzić. Wybieram się na Sachalin.

– Na Sachalin? Taki chory?

– Ano cóż, zobaczmy.

– A czemu na Sachalin?

– Bo to dla mnie bardzo ważne.

Znowu nie umiał z nią rozmawiać poważnie. Mama zaczęła grzebać łyżką w cukiernicy.

– Antoni Pawłowiczu – powiedziała – szukam pracy.

– Co się stało? Bankructwo?

– Nie, wszystko w porządku.

– Kamienica wciąż daje dochód?

– Tak jak dawniej. Ale sam pan pisał, że to wstyd... Czerpać z czyjejs pracy i czekać w próżniactwie na zameście to wstyd, odczuwam to dokładnie tak, jak pan napisał. Nie chcę być pasożytem.

– Marylka, pani nie jest pasożytem. – Czechow położył swą dużą dłoń na szczupłej dłoni mamusi. – Ten dochód jest pani i kropka.

– Ale pan pisał...

– Człowiek różne rzeczy pisze. – Czechow podobno był wyraźnie zmieszany. – Czasem przez naiwność – zachciało mi się moralizować, świat poprawiać. A ono przecież nic nie zmieni,

to moje pisanie. Czasem znowu napiszesz coś, żeby ładniej wyszło, dla puenty, dajmy na to. – I widząc zdumienie w oczach mamy, szybko ją uspokoił. – Ależ tak, ja w to wierzę, naturalnie, że wierzę w to, co piszę. Ale... Tak, jest pewne ale. Nie chciałbym, żeby to, co piszę, ciążyło nad czymkolwiek życiem. Po co się pani tym przejmuję? Pani jest taka śliczna. – Pierwszy raz skomplementował tak wyraźnie mamulkę. – Pani jest ponad to – powiedział. I zakończył zdecydowanie, jakby rozstrzygając cały problem: – Z panią to co innego!

Mama siedziała zarumieniona, bo nareszcie usłyszała od Czechowa, że jest śliczna, i wszystko inne przestało mieć znaczenie. Czechow spytał bardzo ciepło:

– A co pani właściwie chce robić, Maszeńko?

– Myślę, że będę uczyć muzyki w szkole.

– Muzyki... A to bardzo dobrze, bardzo nawet. Muzyka – tak, to coś dla pani. Ładnie pani gra.

Obiecał, że odezwie się po powrocie z Sachalinu, zapłacił za kawę i likier i wybiegłszy z kafejki, machnął ręką na dorożkę, która go zawiozła do restauracji Weldego, na spotkanie z przyjaciółmi.

Nigdy więcej się nie odezwał. Przestraszył się swojej miłości, mama słyszała potem o różnych jego romansach z aktorkami, ale nie przejmowała się, dopiero jak zaczęło się z Olgą – z tą, z którą się w końcu ożenił – zezłościła się i wyszła za męża za Polaka, proszę pana, właśnie za Polaka, inżyniera kolejnictwa, mojego tatę. W tamtych czasach inżynierowie kolejnictwa to byli najczęściej Polacy i gdzieś czytałam, że cara wprawiało to w zły humor. Dzięki tacie znaleźliśmy się po rewolucji w Polsce i dzięki temu ja jestem Polką, a nie Rosjanką.

Widzi pan więc, że to w końcu przypadek. Wszystko mogło potoczyć się inaczej, ja byłabym córką Czechowa i mieszkała gdzieś w Jalcie albo by mnie w ogóle nie było. Mnóstwo ważnych spraw rozstrzyga na tym świecie przypadek. A ponieważ pan też lubi Czechowa, to pomyślałam sobie, że chętnie pan posłucha, jaki on był i w kim się naprawdę kochał. W mojej mamie.

## Człowiek, który zmarnował swoje życie

Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego, że moim klientem będzie Albin. On tak samo był zaskoczony, kiedy usłyszał mój głos w słuchawce. – Ach, więc ty jesteś tym „powiernikiem serc”! – wykrzyknął czy może raczej westchnął. – Nie zaprzeczaj – mówił – poznałem cię, a skoro tak, to po diabła ma się to odbyć u ciebie? Proponuję ci spotkanie u mnie. – Zastanawiałem się, co temu pogodnemu człowiekowi może dolegać, co go przyduśliło do zwierzeń, jego głos był jak zawsze ożywiony, z nieodłączną nutą optymizmu, autor z sukcesem, może nie jakimś wystrzałowym, ale wystarczającym, by gwarantował swobodę materialną, popularność, trochę honorów, nie nazbyt kompromitujących. On tymczasem kusił: – Zapłacę ci tyle samo, a nawet podwójnie, jak lekarzowi za wizytę domową, a poza tym znajdzie się whisky i coś do przegryzienia.

Umówiliśmy się – i oto pewnego przedpołudnia znalazłem się u niego w domu. Powitał mnie serdecznie, właściwie tak, jakby promieniał ze szczęścia. Pies, meble, obrazy, boazerie – wszystko w dobrym gatunku. Żona oczywiście też, wciąż zgrabna i urocza. Przyniosła tackę z kanapkami (łosos, szynka, ementaler, pomidor), dwie kawy z domowego ekspresu, ucałowała się ze mną z okazji Nowego Roku i pożegnawszy z uśmiechem, znikła. Ledwo wypiliśmy, Albin, jeszcze z pełnymi ustami, zaczął:

– Widzę, że rozglądasz się po moim gabinecie. Przyznaj, że ci się podoba. Nie jest przeładowany, prawda? Ale za to wszystko smaczne, może nie? I zapewniam cię, że raczej cenne. A jak ci się wydała Doryna? No, stary, przyznaj się, że ci się podoba, zawsze ci się podobała, wiem o tym dobrze. To jeszcze wiedz, że jest łatwa w codziennym współżyciu, dobry przyjaciel, można na niej polegać. Czyli szczęściarz ze mnie, co? Otóż ja ci opowiem coś niesłychanie dramatycznego. Trzymaj się dobrze: masz przed sobą człowieka, któremu wszystko wymknęło się z rąk. Zrozumiałem to na krótko przed sylwestrem. Są takie chwile, które sprzyjają rekapitulacjom. Nie mam na myśli kalendarza. On tu może odegrał pewną rolę, ale pomocniczą, i tylko taką; mam na myśli jakieś zdarzenia, które nagle uprzytomniają ci, że coś, do czego dążyłeś z uporem, co było sensem twojego działania, nigdy nie zostanie osiągnięte. Nagle zrozumiałem, że w jakiś sposób zmarnowałem swoje życie. Cała rzecz, że nikt o tym nie wie, tylko ja. I dlatego zadzwoniłem do ciebie.

Znasz Astolfa, prawda? (Czytelnik wybaczy, że będę posługiwał się takimi kryptonimicznymi imionami.) Nie odmówisz mu chyba ostrej jak brzytwa inteligencji, talentu do olśniewających sformułowań, erudycji, smaku, wyczulenia stylistycznego, czy ja wiem czego jeszcze. Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Kiedy zaczynałem, był jeszcze krytykiem młodym, ale dla mnie był to już ktoś sławny. I wyobraź sobie, Astolf pochwalił moją debiutancką powieść. Pochwalił? Wybuchnął entuzjazmem! „Oto prawdziwy głos pokolenia – pisał – słysząc go w każdym zdaniu. Dzięki tej książce – pisał – za lat sto ludzie będą wiedzieli, co myśleli, czym się zajmowali młodzi obywatele naszego kraju”. Tak pisał o powieści, którą najchętniej wykreśliłbym dziś ze swojego życiorysu. Za sto lat – któż to może wiedzieć, co będzie za sto lat, ale ta książka stała się nie do czytania już po latach pięciu. Wszystko mnie w niej drażniło: łatwizna, efekciarstwo, gadulstwo, wtórność stylistyczna, naginanie fabuły, narowy językowe. Znasz to dobrze: pośpieszny debiut, niekontrolowany żadną klęską. Ale cóż, wtedy tego nie widziałem, Astolf pochwalił, Astolf się na tym zna! Posłałem mu list z podziękowaniem za recenzję, napomknąłem, o czym teraz piszę. No i odpisał mi. Czeka z niecierpliwością na moją nową książkę i czy mógłbym wspomóc fragmentem tygodnik literacki, w którym prowadzi dział prozy. Posłałem dziesięć stron, dostałem list z podziękowaniem – bo on, w gruncie rzeczy,

zawsze miał świetne maniery – fragment będzie ozdobą numeru świątecznego, chwalił mnie też za świeżość i liryzm.

Rozumiesz, jak to wszystko na mnie wpłynęło! Byłem pupilkiem Astolfa, ten bezlitosny prześmiewca na mnie stawiał. Boże, myślałem, ażebyż ta następna powieść utwierdziła go w tym wszystkim. Mieć „swojego” krytyka to strasznie ważna rzecz – bez kogoś takiego, kto cię maniakalnie chwali, lansuje, właściwie niemożliwością jest wypłynąć. A ja, ledwo postawiłem pierwszy krok, już kogoś miałem – i to samego Astolfa. Na domiar złego czułem, pracując nad drugą powieścią, że jestem lepszy niż w tamtej, że pozbywam się pewnych łatwizn w dzierganiu akcji, a także pasożytnictwa stylistycznego, tak charakterystycznego dla początkujących. Więcej było w tej książce milczenia, więcej doświadczenia życiowego. Jednak jestem dojrzalszy – myślałem z satysfakcją. Od tamtej książki, tej pierwszej, powoli oddalałem się, to i owo już wtedy mnie w niej drażniło. Spodoba mu się! – myślałem. Teraz dopiero dam rzeczywiście dowód moich możliwości.

Powieść wyszła szybko – wtedy książki wychodziły w ciągu kilku miesięcy – i zaraz zaczęły ukazywać się recenzje, z recenzjami wtedy też nie zwlekano. Kupiłem tygodnik Astolfa, rozpostarłem go na stronie recenzji. Była! Zacząłem czytać pełen nadziei, ale w miarę czytania mina mi rzedła, a potem już nie wierzyłem własnym oczom. Co zdanie to cios! Nie obchodzi go powieść socjologiczna – pisał – chciałby, żeby książka przyniosła mu nie pewną ilość informacji, nie topografię miasta i opis kłopotów ludzi pracy, ale przeżycie wewnętrzne, choćby w świecie kreowanym, jakiś bieg myśli. Chciałby też wyczuć, jak autor zмага się z tematem, postaciami, sam z sobą, niechby poniósł klęskę, ale niech nie będzie taki zręczny, bo to tylko Astolfa drażni i drażni go wszechwiedza autorska. Już ta pierwsza moja książka – pisał (nie wspominając, że powitał ją entuzjastycznie) – nosiła cechy tej obecnej: literatury drugorzędnej, wagonowej. Obecna powieść – konkludował – pozwala już autora zaszerogować: będzie to pisarz poczytny, którego książki dadzą się połknąć na trasie z Warszawy do Katowic lub odwrotnie, ale z których nic nie będzie można zapamiętać. Literatura polska nie ma się czego po mnie spodziewać.

„A to świnia...” – szepnąłem oszołomiony. Tak się zmienić! Już nie pamięta, że chwalił, i nie pamięta nawet, za co chwalił. Ale wtedy zmieniali się wszyscy, tyle że Astolf zrobił to szybciej i radykalniej niż inni, a także inteligentniej. Przeczytałem potem kilka innych jego recenzji – o moich rówieśnikach, też ich zjeżdżał – i musiałem mu przyznać przenikliwość, nienaganną logikę i wysoki pułap stawianych wymagań. Właściwie, pomyślałem, on ma rację: od literatury należy wymagać więcej. Ma rację – muszę mu tylko udowodnić, że pomylił się co do mnie. Że i ja też chcę od literatury więcej. Od samego siebie.

Wybaczyłem mu w końcu. Poznałem go wkrótce na jakimś zjeździe literatów – a może nie, może to było w Oborach, wypiliśmy z okazji czyichś imienin i przeszliśmy na ty, powiedziałem mu wtedy, że jego recenzja była ostra, ale sprawiedliwa – trochę się zdziwił, wyglądało na to, że nie pamięta swojej recenzji ani mojej książki, ot, strząsnął coś z pióra i zapomniał. „Więc tak ostro napisałem?” – zdumiał się. Powiedział z westchnieniem: „Musiałeś mnie zdenerwować”. Ja na to, że wybaczyłem mu, bo miał rację, i że już pracuję nad czymś nowym. „Koniecznie mi przyślij” – powiedział.

Zaprzyjaźniliśmy się. Wycinałem jego felietony i zbierałem je, nie mogąc się doczekać, aż ukażą się po kilku latach w tomiku. Pracowałem pilnie nad powieścią, która miała go przekonać, że się pomylił. To miało być właśnie to: monolog wewnętrzny, subtelności psychologiczne, refleksy minionego czasu – i zmaganie się z tworzywem. Kiedy złożyłem w wydawnictwie maszynopis, bardzo go tam pochwalono. Inny Albin, o wiele ciekawszy. Egzemplarz książki posłałem Astolfowi pocztą, z dedykacją pełną czci – posłałem mu po to, żeby się przekonał, że jestem inny, niż myślał, a nie żeby napisał recenzję, bo on już recenzji



praktycznie nie pisywał. Spodziewałem się listu z krótką opinią (zawsze go podziwiałem za kindersztubę) i pomyślałem sobie: jeśli napisze: „przeczytałem twoją książkę z ogromnym zainteresowaniem”, to znaczy, że ją tylko przerzucił, a jeśli napisze, że żona mu ją od razu wyrwała dla siebie, to znaczy, że nie ma zamiaru nawet do niej zajrzeć. Ale list nie nadszedł. Możliwe, że Astolf nie miał już czasu na pisanie listów, bo stał się profesorem i wykładał historię literatury w Lublinie, dokąd dojeżdżał. Spotkałem go kiedyś na ulicy. Rozmawialiśmy chwilę o tym i owym, wreszcie spytałem: „Dostałeś moją książkę?”. „Książkę? Jaką? Czekaj... A tak, dostałem, dziękuję”. „Ale nie czytałeś” – powiedziałem, nawet z uśmiechem pełnym zrozumienia, no bo niby jaki miał być ten uśmiech. „Nie czytałem” – wyznał, także z uśmiechem. Mógł skłamać, powiedzieć na odczepnego „czytałem, interesujące”, ale był zbyt pyszny, żeby się zniżyć do obłudy. To próżność pozwalała mu na nieoszczędzanie autorów, wysokie mniemanie o sobie, o swoim miejscu strażnika cnót literackich. Przypominał mi w tym piękną kobietę, patrzącą z góry na nieszczęsnego adoratora, taką, która nie zadowala się zwykłą odmową, ale jeszcze dodaje: „Pan ze mną? – oszalał pan chyba!”. Astolf pozwalał się wielbić właśnie jak świadoma swojego oddziaływania kobieta, wielbić bez okrucza wzajemności.

Po tej rozmowie rozumiałem, że jestem dla niego skończony. Zaszeregował mnie, przypisał gębę i ma mnie z głowy. Już nie zmieni zdania. Następnej książki nie pisałem już dla niego. Ale jednak z myślą o nim. Nie umiałem się uwolnić. Nawyk, który przeszedł w coś w rodzaju obsesji. Stał za moimi plecami, kiedy pochylałem się nad tekstem, i uśmiechał się ironicznie. „Bzdura” – słyszałem, jak mówi z ogromną pewnością siebie. Kuliłem plecy, kiwałem głową, znowu ma rację, bzdura – i wykreślałem zdanie czy cały obraz, o którym sądziłem, że Astolfowi mógłby się nie podobać. Był zawsze przy mnie, szczególnie gdy z książką dopływałem do końca. Wówczas, jeśli byłem z siebie zadowolony, co się zdarzało, myślałem ze skrytą nadzieją: a może tę właśnie przeczyta? Nadal bowiem wysoko go umieszczałem. Zdarzało się, że koledzy sarkali przede mną na jego własne pisarstwo – ja go broniłem. Ale moich książek już mu nie ofiarowywałem. Wiedziałem, że ich nie chce, że broni się przed nimi. Czasem, kiedy spotykaliśmy się na Krakowskim, zdarzało mi się zagadywać, czy miał w rękę mój ostatni tom. „Nnie” – odpowiadał po chwili namysłu. Nawet sam tytuł był mu najczęściej nieznany. „Wiesz – powiedział mi kiedyś – powieść przestała mnie interesować. Śledzić losy wymyślonych ludzi – to zbyt męczące, trzeba się do tego przymuszać. Właściwie to mnie nudzi. Chciałbym się dowiedzieć jak najwięcej o ludziach rzeczywistych, nie wymyślonych. Jaki był na przykład Mark Twain? Albo Stendhal. Napisz coś takiego!” – zaapelował gorąco. Spojrzał na mnie z góry, dosłownie, bo wiesz, że jest sporo wyższy, i powiedział z uśmiechem: „Ale to zdaje się nie twoje poletko”. Powiedziałem nieśmiało: „Piszę właśnie o Czechowie”. Zdziwił się: „O Czechowie? Ty? – I zaraz dodał skwapliwie: – Świetny pomysł. Czechow – tak, to cudowne. – Westchnął, wiesz że on lubi wzdychać: – Zazdroścę ci”.

Znowu pisałem dla niego. Pięć lat wytężonej pracy. Bądź przekonany, nikt w tym kraju nie poznał Czechowa tak jak ja. Żaden profesor, żaden dłubacz. Wyczuwałem jego samego w najbliższym opowiadaniu, odczytywałem życie autentycznego człowieka. Szukałem materiałów na własną rękę i docieranie do nich sprawiało mi dodatkową satysfakcję. Domyślałem się rzeczy dotychczas ukrytych przed najbardziej przenikliwymi badaczami. Pisarstwo Czechow uskrzydliło mi pióro, już mnie Astolf nie paraliżował, zdumieje się, myślałem, uderzy się w pierś – no tak, przyzna, nie spodziewałem się tego po tobie, wybac, to jest kawał roboty, przeczytałem twoją książkę dwa razy, trzymam ją na nocnym stoliku i czasem w nocy odczytuję sobie raz jeszcze jakieś piękności. Masz tam wspaniałe sformułowania – komplementowałem siebie niezmordowanie – lepsze niż... Stop. Książka wciąż jeszcze była nieukończona. Wciąż ją poprawiałem, uzupełniałem. Tu nowy cytat, tam skreślenie, jakiś retusz, jakieś uściślenie.

Chciałem, by była to książka jasna, bez dwuznaczności, ale zarazem metaforyczna, z podskórną goryczą i w jakiś sposób dramatyczna, dramatyzmem losu człowieka. Kiedy ją wreszcie przepisałem na czysto, pomyślałem sobie: „To jest to. Na pewno nie literatura wagonowa. Coś dla prawdziwego intelektualisty, jakim jest Astolf”.

Czekałem cierpliwie, aż książka wyjdzie – wtedy czekało się już dłużej, całe dwa lata – potem trochę medytowałem nad egzemplarzami gratisowymi. Posłać – nie posłać? Po taką książkę intelektualista powinien sam sięgnąć, upomnieć się o nią. Jeśli się upomni, to mu ją ofiaruję. Nie upomniał się. Widzieliśmy się, nie wspomniał o niej. Może nie wie? Więc mu powiedziałem: „Wiesz, wydałem książkę o Czechowie”. Skrzywił się: „Powieść?”. „Nie, esej. Rozważania. Właściwie o nas wszystkich” – zachwalałem pośpiesznie. Czułem jednak, że nie chwyciło. Powiedział, że on w ogóle ostatnio mało czyta, a jeśli już, to listy, dzienniki, anegdoty, takie rzeczy. Myśli przeznaczone od razu do druku interesują go coraz mniej. Tylko to, co człowiek pisze sam do siebie, ma autentyczną dramatyczność. Wyobraża sobie, powiedział, współczesne arcydzieło jako takie pomieszanie dzienników z planami powieści, z zarysami postaci, właściwie nie powieść, tylko możliwość powieści, coś niedokończonego, coś jak motyw do symfonii. (Wtedy padło po raz pierwszy to słowo „symfonia”).

Słuchałem go w milczeniu. Zrozumiałem aż nadto dobrze: nie chce mojej książki i nie jest jej ciekaw. Nigdy się nie dowie, że jestem inny niż ta kukła, którą sobie ulepił. Być może, pomyślałem, on po prostu nie chce, żebym okazał się inny. Zmienia poglądy na to, czym powinna być literatura, ale nie chce zmieniać poglądów na ludzi, którzy ją tworzą. Tak, ale mnie to wszystko wydało się straszliwie beznadziejne, ze względu na mnie, moją sytuację w tym wszystkim. Coś mi uciekło, coś wytracono mi z rąk, straciłem cel w życiu. Byłem naprawdę innym pisarzem niż wtedy, u swoich początków, ale on tego nie zauważył. Po tej książce posypało się trochę recenzji, dwie kąśliwe, cztery poklepujące, trzy dobre, jedna entuzjastyczna, książkę wykupiono, ale ja chodziłem przybity, ponieważ ten, dla kogo ją pisałem, nie chciał jej nawet przeczytać.

Na zewnątrz pozostałem pogodny i takim mnie wszyscy znacie. Rozjaśniłem się naprawdę, kiedy przystąpiłem do pisania nowej książki. Nie znasz jej, nie możesz jej znać. To miało być moje ostatnie słowo, suma moich przemyśleń. Nie pisałem jej z myślą o jakimś wydawnictwie, nie starałem się o umowę, pisałem ją dla siebie. Sięgałem do swoich korzeni, do dzieciństwa, ewokowałem czas miniony. Gdzieś w połowie książki przyszło mi na myśl, że to jest może to. Panorama nurtów i szkół. Są kartki z dzienników, są wyciągi personalne bohaterów, listy, rachunki, podania. Jest monolog wewnętrzny. Jest całkowita niemożność dopłynięcia z książką do końca. Joyce, Kafka, Beckett i Andrzejewski stopieni w jedno z moimi zwierzeniami. Dzieło intymne.

Więc nareszcie! – pomyślałem, kiedy ukończyłem książkę. „Ukończyłem” nie jest to może słowo właściwe: przerwałem ją w pewnym miejscu, uznając, że należy tu postawić datę. Zostawiłem wszystko czytelnikowi – tak, nareszcie napisałem, jakby niechcący, powieść otwartą, którą czytelnik mógłby sobie sam dopisać, a raczej którą życie powinno wciąż dopisywać. Dokładnie tak, jak Astolf postulował w jednym ze swoich felietonów. Ta książka nie miała szans się ukazać, przynajmniej na razie, za dużo w niej było miejsc drastycznych, a poza tym cykl wydawniczy wydłużył się do lat czterech, jeśli nie więcej. Ale miałem swój maszynopis, osiemset stron, które przepisałem w pięciu egzemplarzach na papierze przysłanym przez moją tłumaczkę z Czechosłowacji, a potem dałem do oprawy. Miałem swoje arcydzieło, zarazem najbardziej własną swoją książkę. Zadzwoiłem do Astolfa.

Był bardzo miły. „Ależ tak, przyjdź, oczywiście, porozmawiamy”. Wiedziałem, że owdowiał, chyba przed dwoma laty, córka wyjechała za granicę, być może czuł się osamotniony.

Szedłem do niego, dźwigając swoją ciężką kobyłę pod pachą, i myślałem tak: no, teraz cię dopadłem, teraz się nie wymigasz, to jest to, co sam postulowałeś; będziesz musiał przyznać, że przez ostatnie ćwierć wieku widziałeś mnie zupełnie fałszywie.

Wiesz, jak on się zestarzał. Włosy ma wprawdzie wciąż gęste, ale prawie srebrne, twarz poorana bruzdami, ale najgorzej to wygląda z zębami, brak kilku na przodzie i szczęki mu się zapadły. Wprowadził mnie do swojego gabinetu, w którym zapuszczone były ciemne rolety. Nie zapalił światła, tkwiliśmy w mroku. Na szarzyźnie ściany, na której znaczyły się jednak jaśniejsze pasma, ślady po regałach z książkami, wisiał ogromny drewniany krzyż z wyrzeźbionym obolałym Jezusikiem. Coś tu się stało, pomyślałem, coś istotnego. Znałem ten gabinet, byłem w nim przed kilkunastu laty i pamiętałem, że od góry do dołu upchany był książkami, a teraz te gołe ściany, książki ani jednej, tylko na biurku Psalmi i Apokalipsa, niebieska seria paryska w tłumaczeniu Miłosza.

– Astolf – odezwałem się – przyniosłem ci maszynopis.

– Czyj maszynopis? – spytał, jakby nie rozumiejąc.

– Mój. Moja ostatnia praca. Nie ma szans na ukazanie się drukiem – kuśilem. –

Pomyślałem sobie, że może cię to zaciekawia.

Powiedział, ale jakby do siebie, nie do mnie, tyle nieobecności było w jego głosie:

– Więc ty wciąż piszesz...

Czy miałem się obrazić? Wydało mi się, że chodziło mu nie o mnie, ale w ogóle o pisanie.

– No tak – powiedziałem – piszę, to mój zawód. I gdybyś przeczytał... – Zawahałem się, potem ciągnąłem: – Może byś się wypowiedział... Wydaje mi się, że to jest książka mojego życia. Tam jest to, czego ty się domagałeś. Zrozumiałem cię nareszcie. Coś bardzo osobistego – kuśilem.

Wtedy on w milczeniu zapalił świeczkę. Chwilę jej blask pełgał, aż wreszcie uspokoił się i ożłocił ścianę z Jezusem Frasobliwym. Niezły efekt, pomyślałem. Usłyszałem jego głos spod ściany:

– Ja już nie czytam.

– Nie czytasz? Ty nie czytasz?

– Tak, ja. Słucham muzyki. – Odwrócił się do mnie i zaczął przekonywać z ożywieniem:

– Tak, muzyka to jest jedyna sztuka, która... – Urwał. Zanosilo się, widocznie, że powie coś banalnego, a on niczego w świecie nie obawiał się tak, jak banałów i truizmów. Może dlatego jego własny dorobek był tak nikły. Stale odkrywać nowe prawdy jest prawie niemożliwością. – Słowa mnie męczą – powiedział z nutą rozpaczy w głosie. – A cóż to jest literatura? Mielenie słów. I jeszcze trzeba ją przekładać – nie tylko z języka na język. Zawsze trzeba ją przekładać: autor pisze, czytelnik interpretuje. Autor daje jedną tonację, czytelnik odbiera w innej. Z reguły rozumie nas opacznie. Nie, nie można dowierzać słowom. Za to muzyka. Ach, jaka ulga, słuchasz, roztapiasz się w słuchaniu, zapominasz o sobie, dajesz się porwać. Muzyka działa narkotycznie, ale to narkotyk bogów. – Zakończył nagłym: – Muzyka, tylko muzyka. – I spojrzal na mnie: – A ty nigdy nie miałeś ochoty komponować? Nie ciągnie cię do napisania jakiejś symfonii?

Przegrałem. Uciekł mi. Tym razem ostatecznie. Symfonia, dobre sobie. Nie znam ani jednej nuty, umiem tylko wybijać na pianinie jednym palcem *Wlazł kotek na płotek imruga* i na tym koniec, dalej już nie umiem. Ponieważ i ja jestem nie najgorzej wychowany, spytałem uprzejmie:

– A jakiej muzyki słuchasz najchętniej?

– Religijnej, oczywiście. Mam nagrania Bacha w wykonaniu von Karajana. Nastawić? A

może wolisz polską muzykę religijną? Posłuchamy, co?

Powiedziałem cicho:

– Mnie to nudzi.

Zdumiał się.

– Niemożliwe!

– Nudzi – po prostu. Zасыpiam przy tej starej muzyce. Raz podczas koncertu na Zamku spadłem z krzesła, siedziałem w pierwszym rzędzie i był skandal.

Chrząknął coś tylko i zrozumiałem, że chrząknął z zadowoleniem, bo tego się po mnie spodziewał: wagonowy autor, muzyka religijna go nudzi. Wstałem, wziąłem swój maszynopis.

– Muszę iść. – Przyszło mi coś na myśl – ot, mała zemsta. Za to moje zmarnowane życie. Do dużych zemst nie jestem zdolny, ale taka mała, owszem, czemu nie. – Kupuję nowy samochód – powiedziałem. – Audi quattro.

– Ten stary wysiadł? – udał zainteresowanie.

– Nie, dobry. Ale zmieniłem dziewczynę. Nowa dziewczyna – nowy samochód, wiesz dobrze, jak to jest. Dwudziestolatka. Ma pstro w głowie, ale cóż, w tym wieku...

– Czas, byś spoważniał – powiedział ochryplym głosem.

– Może i tak. Ale jakoś mi to nie idzie.

To było kłamstwo, o tej dziewczynie i o tym nowym samochodzie, powiedziałem to dlatego, że pomyślałem, że to może go zabołec. I pewno zabołalo. O tej muzyce religijnej też powiedziałem, żeby go zabołalo, chociaż to już nie było kłamstwo. Ale mogłem nie powiedzieć.

Teraz ja, Powiernik Serc, poczułem, że nastąpiła moja kolej. Chociaż nie należało to do moich obowiązków, spytałem – nie bez skrytego lęku – co z tym maszynopisem.

– Maszynopis? – Mój klient wyglądał, jakbym go obudził ze snu. – Zaraz po powrocie do domu rzuciłem się do czytania i mówię ci: włosy sobie wrywać! Co za pomyłka! Kompletna bzdura. To nie byłem ja. Jak mogłem coś takiego skomponować – ja, cyzelator formy. Nie do pojęcia! – Albin uśmiechnął się smutno. – Na szczęście sprawiłem sobie w domu kominek. Teraz się przydał. Maszynopis palił się opornie, ale w końcu został sam popiół. – Po chwili milczenia: – Oczywiście, zachowałem jedną kopię... jako świadectwo mojego szaleństwa.

Dostałem od Albina honorarium według umowy. On, wręczywszy mi je, zaczął się zastanawiać:

– A może by?... Słuchaj – gdybym tak spróbował? Nauczył się zasad harmonii... Zaciąć zęby... Ostatecznie nie święci garnki lepią... Zresztą ta dzisiejsza muzyka... Na początku jakaś kantata tragiczna. Co radzisz? Spróbować?

Wziąłem z tacki kanapkę z łososiem. Uśmiechnawszy się do niego, przypomniałem:

– Ja nie doradzam. Ja tylko wysłuchuję.

## Rozwód

O pani Dorocie, którą w pewnym okresie spotykałem prawie codziennie w stołówce literackiej, wiedziałem w gruncie rzeczy niewiele. Inni zapewne niedużo więcej. Wprawdzie chętnie rozprawiała na przeróżne tematy, zawsze wiedząc wszystko dokładniej i wysuwając swoją osobę jako wzór racjonalnego postępowania – słyszeliśmy więc, co jej się przydarzyło w ciągu przedpołudnia, donośnym ostrym głosem relacjonowała, jak zmusiła leniwego hydraulika do szybszego operowania „żabką”, jak przerażona jej stanowczością ekspedientka wydobyla spod lady ukryty towar, referowała wymianę nieuprzejmości z kierowcą autobusu czy jak osadziła zarozumiałego kolegę z Instytutu Wzornictwa, w którym pracowała – otóż pomimo tej mowności, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zwierzyła się z czegoś bardziej intymnego. Pojęcia na przykład nie miałem, czy jest mężatką, rozwódką, czy może starą panną. Codziennie podczas przerwy w pracy przybiegała do naszej stołówki na Krakowskim Przedmieściu (na słynne już w literaturze naleśniki z serem), wysoka, szczupła, starannie i gustownie ubrana, nigdy krzykliwie, i później, już przy kawie, uczyła nas, jak należy żyć i jak świat powinien wyglądać. Nie znaczy to, że była w cokolwiek zaangażowana. Nam wszystkim, którzy tak przejmowaliśmy się tym, co działo się wokół, przyglądała się z wyższością entomologa obserwującego oszalałe w świetle insekty. Nawet burzliwy okres Solidarności nie porwał jej ze sobą. Pozostała neutralna, i to nie dlatego, że żadna ze stron nie miała według niej dostatecznych racji, ale dlatego, że wszystko to były podrygiwania żalonych mężczyzn. Nie jej świat. Pani Dorota była skrajną feministką. Nie o jakieś tam równe prawa jej szło, ale o władzę kobiet. Uważała mężczyzn za stwory o niższej inteligencji (najlepszy dowód, że dają się opętywać kobietom), które wydarły podstępnie rządy przedstawicielkom jej płci. Pani Dorota była przekonana, że historia ludzkości zaczęła się od matriarchatu, było to zgodne z naturą, a więc z rozsądkiem – dodawała jadowity komentarz. Mężczyzna po prostu nie jest w stanie pewnych rzeczy objąć swoim wątlym rozumem.

A już o tym, by tęskniła do zmiany stanu cywilnego, mowy być, rzecz prosta, nie mogło. Co do mnie, byłem nie wiadomo czemu pewny, że jej życie przeszło bez mężczyzny. Toteż mogło być dla mnie rewelacją, że któregoś dnia zaczęła opowiadać o swoim mężu. Już mniejszym zaskoczeniem było to, że ten mąż nie żyje; jest pochowany w Dundee, w Szkocji. Mieszkali tam oboje po wojnie, on wykładał chemię na pobliskim uniwersytecie, ona studiowała historię sztuki. Kiedy on zmarł – nie powiedziała, w jakich okolicznościach – pani Dorota wróciła do kraju. Zaczęła o nim jednak znowu rozmyślać, bo ma okazję kupić dla siebie miejsce na cmentarzu pod Warszawą, po znajomości – więc może by kupić na dwoje? Sprowadzi jego zwłoki z Dundee, będą leżeć we wspólnym grobie. Tylko że taka ekshumacja sporo kosztuje – skąd wziąć dewizy?

– Sprzedaj grób w Dundee – poradziła Ewa. – Dostaniesz funty i jeszcze ci trochę zostanie.

Pani Dorota obrzuciła ją spojrzeniem pełnym uznania.

– Wiesz, to jest myśl. – Zwróciła się gwałtownie do mnie: – Słyszał pan? Kobiety umieją myśleć.

Przyznałem jej rację, chociaż w związku z tą cmentarną transakcją miałem lepsze pomysły niż Ewa i całkiem praktyczne, jak się później okazało. Wolałem jednak milczeć. Minęło kilka tygodni i pani Dorota postawiła nam w kawiarni pączki: właśnie odebrała paszport, pojutrze jedzie do Szkocji. Minął jeszcze miesiąc i zadzwoniła do mnie pewna tajemnicza klientka. Powiedziała:

– To pan jest tym powiernikiem serc? To muszę panu coś opowiedzieć, coś niezwykłego, jeśli pan będzie w stanie to zrozumieć.

– O, pani Dorota – zdarłem z mojej klientki jej tajemnicę. – Jak się udała podróż?

Klientka po chwili dopiero odpowiedziała:

– Ja też pana poznaję. Gdybym wiedziała... – Wahanie trwało krótko. – No, trudno – zdecydowała – przyjdę. I nie chcę żadnej bonifikaty! – uniosła się dumą.

Umówiliśmy dzień i godzinę. Przyszła w nowym kostiumie, szarym w drobną brązową kratkę. Stamtąd – domyśliłem się. Musiało się udać. Poczęstowałem ją kawą, a ona obdarzyła mnie swoją opowieścią.

– Z moim mężem żyliśmy jak kot z psem – zaczęła obcesowo, jak to ona. – Pan się dziwi, że ja tak wprost, ale trzeba to wreszcie głośno powiedzieć, a zresztą, skoro już mówię, to mówię, nie ma sensu udawać, że było inaczej. Udawanie nie jest w moim stylu, jeśli pan zdoła zauważyć, że ja mam swój styl. Nie znaczy to, że w miasteczku orientowano się, co się u nas dzieje, wydawaliśmy się raczej przykładnym małżeństwem. To jest, wie pan, kwestia wychowania, kultury osobistej, i może nawet próżności. Ja miałam za dużo dumy, żeby przyznać się do porażki, on może za mało inicjatywy – nie oszukujmy się, mężczyźni to stworzenia leniwe duchowo, nie są zdolni do podjęcia decyzji. Powie pan, że przecież ja mogłam to uczynić za nas oboje – ostatecznie nieraz to robiłam. Nie było mebla w naszym domu, w Dundee, który on ośmieliłby się kupić wbrew mnie. Zresztą on dobrze wiedział, że się na tym nie zna, raz na zawsze wyklarowałam mu, że jest pozbawiony gustu. Mężczyźnie, panie powierniku, jest wszystko jedno, na czym siedzi, śpi, jakiego kształtu lampka rzuca mu światło na gazetę, a także na czym jada, byleby tego jedzenia było dużo i tłusto. (Proszę nie przerywać, pan tu nie ma nic do powiedzenia!) Niech pan nie myśli, że ja mu pozwalałam jeść dużo i tłusto, musiał jeść dietetycznie i higienicznie, pędziłam go do kąpieli i do gimnastyki, i co ciekawsze, on się nie buntował. Żałowałam tylko, że mocno wyłysiał, bo miałam obmyśloną dla niego bardzo stosowną fryzurę... Wiedziałałam, że ma kochankę, która w ogóle o niego nie dba – nie objawiała zazdrości, może mi pan wierzyć, byłam ponad to. Ja się tylko dziwiłam: że też ktoś na niego polecał... Mogliśmy się rozwieść, oczywiście, skoro nasze małżeństwo było bez sensu – ostatecznie nawet kulturalni ludzie rozwodzą się, można taką rzecz przeprowadzić bez hałasu i bez ordynarnych awantur o każdy talerz. W Dundee było trochę rozwodów, najczęściej z inicjatywy kobiet, Szkotki nie mogły się przyzwyczaić do sposobu bycia niektórych naszych panów. Wie pan, dlaczego ja nie wystąpiłam o rozwód? Bo wiedziałam, że jestem mu potrzebna. Bo beze mnie by zginął. On mógł sobie być profesorem, wybitnym specjalistą, ale i tak był jak małe dziecko, nic z tego świata nie rozumiał, chociaż był o jedenaście lat starszy ode mnie. Potrzebował matki i niańki, i kogoś, kto by mu mówił, co ma robić. Jak mogłam go opuścić? Pan tego nie może zrozumieć, bo to są subtelności niedostępne dla mężczyzn, nawet kiedy są pisarzami, i kiedy im się wydaje, że szalenie wnikliwie wgłębili się w psychikę kobietą.

Zresztą powiem otwarcie: nie, wtedy mi nawet przez myśl nie przeszło, że lepiej by było, gdybyśmy się rozwiedli. Wcale nie uważałam, że nasze małżeństwo jest bez sensu. Wszystko wydawało mi się naturalne, po jego śmierci także to, że kiedyś trzeba go będzie ekshumować, żebyśmy mogli spocząć obok siebie. To dopiero ostatnio, kiedy już leciałam do Londynu i jakoś samo przez się zebrało mi się na rozpamiętywanie – przyszło mi na myśl, że on ze mną może nie był szczęśliwy. Że był nawet mocno nieszczęśliwy. I że było to może tak, że nie on potrzebował mnie, ale ja potrzebowałam jego. I że on o tym wiedział, i dlatego przy mnie trwał. No i co pan na to? Czy znajdzie się mężczyzna, który byłby zdolny do czegoś takiego się przyznać? Wy zawsze macie rację! Podczas gdy ja w samolocie, ogryzając kawałek kurczęcia, pomyślałam sobie, że chyba nie zawsze ją miałam. Nie uwierzy pan, ale to kurczę, które może było całkiem

niezłe, nabrało smaku wyschniętej trawy. A ponieważ mój gust przeszedł podczas pracy w Instytucie wyraźną ewolucję – nie powiem, że wysubtelniał, on był zawsze subtelny, w pewien sposób oczywiście – to przypominałam sobie (byłam już przy kawie z ciastem), przypominałam sobie nasze zasłony, obicia i niektóre meble, tę nieszczęsną lampkę nocną przypominałam sobie także, i ze wstydu zrobiło mi się gorąco. Musiał cierpieć, biedak, mając z tym na co dzień do czynienia. Panie powierniku, powiem panu wprost: jestem pewna, że to były okropności.

W Dundee nikogo ze znajomych nie uprzedziłam o swoim przyjeździe. Sprawa wydawała mi się nazbyt własna, prawie wstydliva. Wolałam, żeby nikt z przyjaciół nie narzucał mi się z dobrymi radami. A przede wszystkim chciałam sama, bez asysty, pójść na cmentarz, spojrzeć na ten grób, zanim zacznę cokolwiek załatwiać. To mu się ode mnie należało. Coś w rodzaju wspólnej narady, chociaż pan na to może powiedzieć, że i tak z góry wiadomo, czym się skończy tak zwana konsultacja. Niech się pan nie śpieszy, to nie takie proste. Ten, kto milczy, ma czasem też coś do powiedzenia.

Był to miły dzień październikowy. Cmentarz tonął w zachwycających kolorach – fiolety, żółcie, przygaszona zieleń, srebrzyste jodły – a te klony! jak w ogniu, powiadam panu. Ale gadaj tu chłopu o kolorach. – Pani Dorota westchnęła ciężko. – To jest piękny cmentarz, leżąc na nim to sama rozkosz, zwłaszcza w taki cichy październikowy dzień, nie wiem, kto to wszystko projektował, ale musiała to być jakaś wrażliwa artystka. Szłam ścieżkami w nastroju podniosłym – chyba to rozbarwienie na mnie tak podziałało – i muszę wyznać, że nie bez pewnej tremy. Jakby mnie czekała jakaś konfrontacja. Rozmowa z mężem nieboszczykiem. Pośmiertne wyjaśnienie sobie spraw. Co mu powiem? Wcale nie czułam się mocno. Pan wie, ja na ogół mam rację, ale tym razem nie czułam się swojej racji pewna. Może dręczyło mnie poczucie winy. Co zobaczę? Grób porośnięty trawą? Napis zatarty od deszczu? Ponad dwadzieścia lat nie byłam u tego grobu, ale przecież drogę pamiętałam. Jeśliomal nie minęłam mogiły mojego męża, to dlatego właśnie, że wypatrywałam bezkształtnego wybrzuszenia porośniętego trawą. Nagle przystanęłam: czy przypadkiem ten grób nie znajdował się za mną? Wróciłam się, kilka kroków tylko, i zobaczyłam kamienny krzyż i wyraźny napis z naszym wspólnym nazwiskiem. Proszę pana, ten grób znajdował się we wzorowym stanie, daj nam Boże wszystkim. Więcej nawet: wyglądał jak wypieszczony, trochę aż zanadto wpućowany, tak jakby ktoś przeniósł go z dziecinnego pokoju, z takimi kremowymi ścianami, z zielonożółtą lamperią. A tu lśniące białe cegielki, a tu rząd żółtych chryzantem, z przeciwnej strony białe, przystrzyżona trawa, a pośród niej świeże herbaciane róże. Przedziwne. Rozumiem, że cmentarz ma dyrekcję, dozorcę, ale żeby aż taka dbałość? Może i rodacy pamiętają o swoim profesorze, dzielnym oficerze pancernym spod Falaise, ale trudno było oczekiwać, by posunęli się aż do takiej pieczołowitości. Jak dzieci – pomyślałam – tak, to tylko dzieci mogą być takie skrupulatne w swojej opiece, dzieci, dla których wszystko przemienia się w zabawę. Bo tu ktoś wyżywał się przy tym grobie, zupełnie jakby przyozdabiał tort.

Zapaliłam świeczkę, uklękłam i chociaż z moją wiarą jest nietęgo, zmówiłam za mojego zmarłego męża pacierz i zdrowaśkę. Kiedy podniosłam się, pomyślałam: nie wiem, czy umiałabym aż tak zadbać o jego grób, nawet gdyby znajdował się pod bokiem, w Warszawie – i ta myśl tak mnie zdenerwowała, że poczułam, że muszę natychmiast, ale to od razu, zapalić papierosa – tu, nad jego grobem. Zapaliłam więc, zaciągnęłam się i wtedy usłyszałam za sobą kobiecy głos:

– Co pani robi tutaj?

Bardzo to surowo zabrzmiało. Odwróciłam się i zobaczyłam panią o niebrzydkich rysach, młodszą ode mnie chyba o dziesięć lat, ubraną porządnie, chociaż trochę po staroświecku. Spoglądała na mnie surowo, ale nie wojowniczo. Ponieważ nie lubię, kiedy ludzie wtrącają się do

moich spraw, odpowiedziałam sucho:

– Palę papierosa.

– To widzę. – Ton jej głosu był z lekka wyniosły, przysięgłabym, że go skądś znam.

Może ja sama tak mówię, co? A ona: – Ale co pani robi tutaj, u tego grobu?

– Nic specjalnego. Palę papierosa.

– Pani się tu modliła!

To dla odmiany zabrzmiało tak, jakby mnie przychwyciła na jakimś kompromitującym nietakcie. Moja zimna krew zaczęła mnie zawodzić. Ale jeszcze zdobyłam się na powściągliwą odpowiedź:

– Uważałam, że tak należy.

– I to pani zapaliła tę świeczkę?

– Ja.

– Dlaczego? – Trochę mnie zaskoczyło to pytanie, bo niby co tę panią obchodzi, gdzie, kto i dlaczego zapala świeczkę. Ona nalegała: – Pytam, dlaczego pani zapaliła świeczkę tutaj, właśnie u tej mogiły?

– Bo to mój mąż – odpowiedziałam.

Teraz na nią, tak mi się wydawało, przyszła chwila konsternacji. Ale i ona szybko się opanowała – pod tym względem byliśmy do siebie podobne, zresztą tych podobieństw znalazłoby się więcej – spojrzała na mnie znowu tak wyniosłe jak przedtem, miała przy tym minę nauczycielki korygującej błąd uczennicy:

– Chciała pani powiedzieć, że to był pani mąż.

Zgodziłam się bez trudu.

– A rzeczywiście, powinnam była użyć czasu przeszłego.

Ledwie skończyłam to mówić, kiedy odczułam jakieś tchnienie niesamowitości: pomyślałam, że ona nie gramatykę ma na myśli, ale to, że Robert nie jest już moim mężem. Nie że on umarł – tylko że ja straciłam go już po śmierci z mojej własnej winy. Poza tym ta pani zachowywała się na tym cmentarzu jak gospodyni w swoim salonie. Ogarnęła spojrzeniem ławeczkę, która stała w pobliżu w cieniu starego klonu, i zwróciła się do mnie:

– Czy nie zechciałaby pani usiąść?

– Z przyjemnością.

Usiadłyśmy. Zaciągnęłam się i wypuściłam dym. Ona zauważyła:

– Nie sądzi pani, że w pobliżu jego grobu nie powinno się palić?

Zdusiłam pośpiesznie papierosa. Ona jest jak ty, pomyślałam nagle, i to samokrytycznie, ona zawsze wie, co gdzie należy czy nie należy robić.

– Ma pani rację – powiedziałam. – Robert nie znosił dymu.

– Naturalnie.

Zdziwiłam się.

– Skąd pani wie?

– Och, wie się różne rzeczy. – Wzruszyła ramionami. – To takie proste.

Czy to tamta? – zaczęłam się zastanawiać. Ta jego kochanka? Ale tamtą pamiętałam, była mała, pulchna. Ludzie się zmieniają, owszem, tyją, chudną, ale przecież nie rosną.

– Ten grób wygląda, jakby się znajdował pod dobrą opieką – odezwałam się.

– Dziękuję – usłyszałam.

– Ach, więc to pani.

– Ja. Mów mi Mary – przedstawiła się. Bąknęłam swoje imię, ona ciągnęła dalej: –

Przychodzę tu za każdym razem, kiedy mam jakiś kłopot życiowy. Więc możesz odgadnąć, że dosyć często. Kłopotów, moja droga Dorothy, nigdy nie zabraknie.



- Modlisz się tu o powodzenie?
- Och, nie. Przychodzę po radę.
- Radę?
- Tak. On mi bardzo dobrze radzi.

Wolałam to odebrać jako przenośnię. Każdy ma takie miejsce, gdzie myśli mu się lepiej niż gdzie indziej. Dla jednego to może być cicha kawiarenka, dla innego spacer w Łazienkach, pan kiedyś wspominał przy stoliku o takiej dróżce pod Warszawą wysadzonej brzoźami.

Zapytałam:

- Jak na to wpadłaś, Mary?

– Opatrzność, Dorothy. Ten grób wydał mi się żałośnie osamotniony. Przychodziłam na cmentarz, by odnaleźć grób pewnego młodego człowieka, który zatonął podczas wojny na Morzu Północnym. Mieliśmy się pobrać, chociaż nie jestem pewna, czy go kochałam. Ale wciąż miałam nadzieję, że go wyłowią i pochowają tutaj, w Dundee, bo on też był z Dundee, tak jak ja. Minęło kilka lat i znowu miałam wyjść za mąż, ale ten mój drugi chłopak też zginął, w Kenii, gdzieś w dżungli, zastrzelony przez partyzantów. Wtedy powiedziałam sobie: „Dosyć, Mary. Nie przynosisz chłopcom szczęścia. Naucz się być sama”.

– To wojna nie przynosi im szczęścia – zaoponowałam. Pan wie, ja zawsze byłam pacyfistką. Powiedziałam żarliwie: – Nie trzeba było wdawać się w romanse z wojskowymi.

- Lubię wojskowych – odpowiedziała po prostu.

Na to nie miałam już rozsądnego argumentu. Domyśliłam się:

- I zauważyłaś, że Robert był kapitanem RAF-u.
- Jestem z niego bardzo dumna.

Ona go sobie przywłaszczyła! Postanowiłam być stanowcza:

- Przykro mi, Mary, ale przyjechałam tu po to, żeby sprzedać to miejsce.

- Czy masz już klienta?

- Jeszcze się nie rozejrzałam.

- Chętnie odkupię ten grób.

To mnie wcale nie zaskoczyło. Powiedziałam:

- A Roberta zabieram do Polski.

Zdaje się, że zbladła.

- Nie, nie zrobisz mi tego! – krzyknęła.

- Jego miejsce jest w ojczyźnie.

– Tu, tu jest jego ojczyzna. – Mówiąc to, biła piąstką w ławkę. – Więcej czasu spędził tutaj niż w waszym kraju.

- Mary, to nie jest sprawa arytmetyki.

- Ale Bob ma tutaj bardzo dobrze. Zrobiłabyś mu krzywdę, Dorothy.

- Bardzo mi przykro...

Przez chwilę milczała. Potem odezwała się:

- To chyba można jakoś załatwić.

- Doprawdy nie wiem jak.

- Zapłacę ci za grób i za niego.

Nie, nie przesłyszałam się. Ona chce kupić ode mnie mojego męża!

- Mary, chyba nie wiesz, co mówisz.

– Ależ nie, wiem, bardzo dobrze wiem. – Chwyła mnie za łokieć. – Po co masz go wozić do Polski? Naruszać jego spokój? To straszny kłopot – dla was obojga. Kupię to miejsce wraz z nim. Jemu to będzie odpowiadać, zaręczam ci.

Ponieważ milczałam (rozpamiętując przy tym nasze pożycie, ale ona o tym nie musiała

wiedzieć), puściła moją rękę i, nie patrząc na mnie, mówiła cicho:

– Ja mam tylko jego. Ten grób to jest miejsce, o które dbam najbardziej na świecie.

Kocham Boba i myślisz, że on o tym nie wie? Jak może nie wiedzieć, kiedy ja tu spędzam całe godziny, rozmawiając z nim.

Jak automat pomyślałam jej słowami: Bob ma tu całkiem dobrze. Nagle usłyszałam:

– Nigdy mi nawet o tobie nie wspomniał.

Miała teraz uniesioną głowę i patrzyła mi prosto w oczy. Widziałam w tych oczach ironię i mój wyrok. Tak, nie wspominał jej o mnie, tego mogłam być pewna, a gdyby wspomniał, nie miałby nic dobrego do powiedzenia. Mruknęłam:

– On był zawsze dyskretny. Prawdziwy dżentelmen.

– Nie, Dorothy, on po prostu o tobie nie pamięta. Jemu jest dobrze ze mną. I ja kiedyś spocznę tutaj, w tym samym miejscu. Zaczęłam pertraktacje z dyrekcją cmentarza, zgodzili się warunkowo – to znaczy, jeśli właściciel miejsca odstąpi mi je. To bardzo dobrze, żeś przyjechała, Dorothy, naprawdę bardzo się cieszę. Bądź taka dobra, załatw to szybko. Zapłacę dobrze – zakończyła.

Wtedy pomyślałam sobie, że gdyby nie lenistwo duchowe Roberta, bylibyśmy się rozwiedli. Teraz, w wiele lat po swojej śmierci, mąż ode mnie odchodził, rozwodziliśmy się wreszcie, i to dzięki temu, że sprawy wzięła w swoje ręce kobieta. Była szalona, oczywiście, co do tego nie miałam wątpliwości – siedziałam obok niej, czując mrówki pod czaszką, jak raz podczas seansu spirytystycznego. Czy można odmówić szalonej kobiecie? To mogłoby wpłynąć fatalnie na stan jej zdrowia. Powiedziałam: „Okej, Mary”, a ona odpowiedziała: „Dziękuję ci, Dorothy. Cieszę się, że cię poznałam”.

Sprzedziałam więc miejsce na cmentarzu wraz ze szczątkami mojego nieboszczyka męża. Odstąpiłam go tamtej kobiecie, ponieważ czułam, że jej on się bardziej należy. Poczułam się jak kobieta, która godzi się na odejście swojego mężczyzny do innej, bo wie, że tamta ma do niego więcej praw. Biedny Robert, nareszcie otrzymał swój upragniony rozwód. Jestem przekonana, że rzeczywiście ma tam czułość i opiekę.

– Chyba że dojdzie do jakichś nieporozumień – wtrąciłem.

– Tak, tego oczywiście nie można wykluczyć – zgodziła się. – Ale czy pan mnie nie podziwia? Tylko po co jemu to wszystko opowiedziałam? Mężczyzna nie jest w stanie zrozumieć całej subtelności uczuć, jakiej wymaga podjęcie takiej decyzji.

– A wie pani – powiedziałem, chcąc jej się przypodobać – ja czasami czuję w sobie takie przyływy kobiecości. Trwa to krótko, piętnaście, dwadzieścia sekund, ale to wystarcza, już świat przedstawia mi się inaczej, już wiem.

– Pochlebia pan sobie! – odpowiedziała pani Dorota i otworzyła torebkę, żeby zapłacić mi za wizytę.

## Klarysa

Pozwoli łaskawa pani, że tym razem nie ujawnię nazwiska mojego bohatera. Było o nim swojego czasu głośno we Francji – a może i poza nią – i to nie zawsze w najkorzystniejszym dla owego pana sensie (bo co jednym wydaje się godne szacunku i niemal wzniosłe, u niewybrednych natur może budzić wesołość), tak więc, miła i czcigodna pani, podam tylko imię: *monsieur Jean-Claude*; chociaż może byłoby zręczniejsze, gdybyśmy nazwali go po prostu merem, był bowiem burmistrzem miasta Clemency, które z trudem znajdzie pani na mapie (chyba że wojskowej, pruskiej, na którą szpiegom udało się nanieść każdą tawernę, strugę czy mostek). Niemniej jest to miasto stare, z tradycjami – i te właśnie tradycje wpłynęły na naszą historyjkę. Jego cesarską mość niechybnie ona zajmie, będzie mu bliższa od innych opowieści, które usiłuję za pani, *gnädige Frau*, pośrednictwem starszemu panu przekazać; bliższa, bo to i czas nie tak odległy – rok 1870 – i okoliczności, na których wspomnienie pokiwa głową, westchnie być może, choć kto wie, może na odwrót, rozbawi go owo wymknięcie się spod ponurości wojny. Idzie, rzecz prosta, o najazd Prus na Francję, co zaznaczam na wszelki wypadek, jako że damy nie mają obowiązku śledzić wydarzeń, którym my w swojej pysze przypisujemy znaczenie historyczne. Chociaż o tobie, *Madame*, powiadają inaczej.

Było to już w październiku – przyjmijmy, droga pani, że w Agen, starym dziedzictwie Henryka z Nawarry, skupili się tu uchodźcy z okolic Paryża i Normandii, ale proszę ich nie żałować, miejscowa socjeta podejmowała ich z atencją, oczywiście wybiórczą, były przyjęcia, odprawiano bale, tańczono z należną powagą, na cele dobroczynne, jak się pani z miejsca domyśliła, zawsze wyznaczane despotycznie albo przez hrabinę T.-L., albo przez jej zacieklą rywalkę hrabinę de F. Znalazł się tam przypadkiem również młody pan Władysław Mickiewicz, dziennikarz i wydawca z Paryża, syn poety (o którym niewątpliwie miała pani sposobność słyszeć, skoro Najjaśniejszy Pan raczył zezwolić na wzniesienie jego pomnika w Krakowie). Właśnie przez wzgląd na wielkie nazwisko ojca był młody redaktor chętnie na salonach widziany – i to mimo że ów tata, niezły zresztą awanturnik, mawiał o sobie, że jest socjalistą, ale cóż, obie hrabiny nie musiały o tym wiedzieć, zresztą ów paryżanin był przystojny, co prawda żonaty, ale i to nie zawsze ma znaczenie.

Pan Władysław, obserwując przenikliwym redaktorskim okiem obecnych, odnotował, że ośrodkiem uwagi stał się niewysoki pan w średnim wieku, ze wstążką Legii Honorowej w klapie tużurka. Wszystko w tym panu było średniej miary, nieprzesadzone: łysina częściowo pokryta szpakowatym włosiem z rozsypanymi pod nim piegami, brzusek nie zanadto wydęty, nos co prawda wydatny, ale raczej kształtny, szpakowata bródka à la upadły cesarz Napoleon III (co teraz mogło być przez pewnych patriotów źle widziane, przez innych patriotów snujących się na tej sali przyjęte z szacunkiem). Podchodzili do niego kolejno wszyscy, którzy się tutaj liczyli, ściskali mu długo dłoń, zaglądali wymownie w oczy, coś tam szeptali, również damy ustawiły się w ogonku do pana Jean-Claude'a (bo to był on), by powiedzieć mu coś ciepłego i podnieść go na duchu – teraz, kiedy przeżywa taki dramat.

W końcu zrobiło się wokół mera luźniej i zdecydował się przystąpić do niego pan redaktor Mickiewicz. Mer przywitał go kordialnie.

– Ach, jakże się cieszę, że pana tu widzę, czuję, że przynajmniej z panem mogę być szczerzy. Znałem pańskiego ojca, pracował w bibliotece Arsenau, ale, ach, Boże, co to była za osobowość. Prorok, młody człowieku, czy mogę tak się do ciebie zwracać? – prorokznaczony do wielkich zadań.

Redaktor podziękował:

– Cieszę mnie te słowa, tym więcej, że zauważyłem, iż obecni darzą pana szczególnym szacunkiem.

– Ach, panie – na to ów mer. – Doprawdy nie wiem, co mam z tym robić, znalazłem się w kłopotcie. Nazywam się Jean-Claude Ch., jestem merem miasta Clemency. Otóż rozeszła się pogłoska, że pruscy żołdacy zgwałcili moją żonę. Stałem się bohaterem Francji, żona w pewnym stopniu też, chociaż, jak pan zna moich rodaków, bohaterką nieco dwuznaczną. – Mer, ku zdziwieniu pana Mickiewicza, zaśmiał się. – Ci wszyscy ludzie, którzy ściskali mi dłoń, chcieli wyrazić współczucie i solidarność.

– Ja też współczuję – wydusił z siebie młody Mickiewicz i z szacunkiem pochylił głowę. Mer znów zachrząścił śmiechem.

– Rzecz w tym, drogi panie – powiedział – że ja jestem starym kawalerem. Nigdy nie miałem żony i nie chciałem mieć. Lokaj, kucharka są mniej ambarasujący. I tańsi. Co do innych rzeczy... – Mer urwał. – I co ja mam teraz zrobić? Jak z tego wybrnąć?

– Powiedzieć prawdę – wypalił bez wahania pan Władysław.

– Cały w ojca! – Mer pokiwał z politowaniem głową. – Jakże tak – prawdę? Zresztą, czy to nie pański ojciec mówił, iż „są prawdy, których mędzrec nie powinien objawiać ludowi”. Nie pretenduję, drogi panie, do stanowiska mędrca, ale nie mogę rozczarować Francji. Jest bohater cierpiętnik, jest ofiara gwałtu – moja domniemana żona – już pieśń gminna ją opiewa, jest inspiracja do zemsty i nienawiści. I do dumy, tak, nawet to. Prawda! Co komu po prawdzie?

– Więc niech pan nie prostuje.

– Łatwo powiedzieć. Ale oni, ci wszyscy tutaj, chcą więcej.

– Czego chcą?

– Jej!

Po chwili młody paryski redaktor mógł się przekonać, że mer wiedział, co mówi. Zbliżyło się grono dam na czele z hrabiną T.-L. w przedziwnym aliansie z hrabiną de P., panie raczej nie pierwszej młodości, więc tym bardziej godne szacunku, ale była między nimi i młoda mężatka, roześmiana, i nic dziwnego, bo bankierówna z domu. Przemówiła hrabina T.-L.

– Drogi panie merze, czemu nie ma u pana boku jego nieszczęśliwej małżonki? Czego się *madame* obawia? Przyjmiemy ją jak kobietę, która poniosła ofiarę dla Francji. Powiem wprost: poczujemy się zaszczycone, jeśli raczy nas odwiedzić.

Pani de P.:

– Należy jej się szacunek i wdzięczność od kobiet, które nie miały tego szczęścia, by ucierpieć za ojczyznę. *Pour la patrie!* – wyrzekła jak w natchnieniu przedstawicielka starożytnego galijskiego rodu.

Usłyszano szczeł ostróg i pomiędzy damy wcisnął się pruski pułkownik, hrabia Johann von Kotwitz, komendant tutejszego garnizonu. Pojawił się przed kwadrans, zaproszony na przyjęcie przez Klub Patriotycznych Obywateli.

– Tak jest, drogi merze! – skandował swoją francuszczyzną pan pułkownik. – Niech pani uprzejmie zjawi się tutaj! Będę miał okazję zapewnić szanowną małżonkę ekscelencji, że armia pruska przeprowadzi nieubłagane śledztwo – zbrodniarze zostaną ukarani. Zastosuje się najwyższy wymiar kary! Tak, proszę państwa, gwałciciele zostaną rozstrzelani. Przepraszam szanowne damy za mój prosty, brutalny język, ale nie ma tu miejsca na subtelności. Nie pozwolimy, by misja cywilizacyjna... eee... – tu nagle pułkownik się zająknął. – Jednym słowem, żołnierz pruski musi być wzorem zachowania. To sprawa naszego honoru, *meine Damen und Herren!*

Pułkownik uściśnął mocno dłoń mera i zakończył:

– Mam nadzieję osobiście poznać pańską małżonkę i złożyć jej wyrazy współczucia w

imieniu naszych żołnierzy!

Damy skwapliwie przytaknęły, a kiedy rozpierzchły się niby stadko spłoszonych perliczek, mer zwrócił się do redaktora:

– No i co teraz? Prusak chce zrobić śledztwo i rozstrzelać dla przykładu kilku żołnierzy. Nie wiem, czy moja żona, gdybym ją miał, tego by sobie właśnie życzyła. Co robić? Przyznać się do wszystkiego? Bismarck pęknie ze śmiechu.

– Trzeba wymyślić panią merową – podsunął pan Mickiewicz.

– Cały w ojca! – zachwycił się mer. – Jak to tak, wymyślić?

– Namówić odpowiednią panią, żeby odegrała jej rolę.

– Co to znaczy „odpowiednią”? Zna pan kogoś takiego?

– Ja nie, skądże, ale Georges, mój dobry znajomy... Georges!

Zbliżył się młody kompozytor zamieszkały w Agen, w dobrym humorze, zapewne dlatego, że mimo stanu klęski zdążył wypić butelkę Veuve Cliquot z ubiegłego rocznika, jeszcze z czasów cesarstwa, łaskawa pani, takiego szampana już nie będzie – zapewniam. Młody Mickiewicz opowiedział w skrócie przyjacielowi to, o czym pani już wie ode mnie.

– Klarysa! – zawołał z błyskiem w oku kompozytor. – Niech mnie diabli – tylko ona! Jest niedaleko, w domu pani Tellier, jej koleżanki przy niej to pomywaczki, mieszczeni, czy ja wiem co. Klarysa – tak, ona, trochę szczupła, ale mimo to ponętna, nikt się nie zdziwi, że Prusak się na nią położył – ilu ich było? – trzech do rozstrzelania? – no, no... Jutro w południe przyprowadzę ją panu.

Panowie uścisnęli sobie dłonie i obrzucili się tak wymownym spojrzeniem, że każdy postronny przysięgłby, że ten młody wyraził głębokie współczucie, zaś ekscelencja pan mer odebrał to z wdzięcznością.

Nazajutrz mer przyjął w apartamencie poleconą mu przez Georges'a dziewczynę. Przyjrzał jej się bacznie: pociągła twarz, ciemne włosy, ironiczne spojrzenie piwnych oczu, podłużne dołeczki wokół ust z kołyszącym się na nich uśmieszkiem, ni to kpiącym, ni to prowokacyjnym.

– Klarysa? – upewnił się mer.

– Tak, ekscelencjo.

– Wiesz, o co chodzi?

– Wiem, ekscelencjo.

– Trochę chudawa jak na panią merową. Ale, ale... krynolina w porządku... wszystko zatai. Fryzura – niech popatrzę – w porządku.

– Wiem, co się należy – powiedziała Klarysa.

I znowu ten uśmieszek. Mer, który nie znosił marnotrawstwa, spytał:

– Ile?

– Do uzgodnienia, ekscelencjo.

Uzgodnili. Klarysa nie żądała zbyt wiele, okazała w tej trudnej sytuacji wielkoduszność, zwierzyła się nawet, że chciałaby się jakoś zasłużyć. Uśmieszek. Na to Jean-Claude:

– Dziękuję, Klaryso. Powściągaj, proszę, tak zwykłą dla kobiet gadatliwość. Na kłopotliwe pytania odpowiadaj: „Przepraszam, policja zabroniła ujawniania szczegółów”. Milcz i tyle.

– Jak mam o panu mówić, ekscelencjo? Czy może być Jean-Claude?

Mer zmieszał się.

– Jean-Claude? No cóż, możesz mówić Jean-Claude.

– Albo mąż – przyszło na myśl Klarysie. – Mój mąż to i to...

– Mąż, no pewnie, chyba tak też będzie dobrze.

Mer wypłacił dziewczynie zaliczkę, wieczorem zaś oboje zajechali eleganckim powozem na przyjęcie.

Jak się pani domyśla, burmistrzowa wzbudziła powszechny aplauz. Więc to miłe, kruche stworzenie poniosło taką ofiarę dla ojczyzny! Tak zostało skrzywdzone! I tym razem poprzez gromadkę dam przecisnęła się pułkownik von Kotwitz. Zadzwoiły ostrogi.

– Szanowna pani, proszę mi wybaczyć ten żołnierski strój, ale przychodzę wprost ze służby. Śpieszę do łaskawej pani, by wyrazić ubolewanie naszego dowództwa, oburzenie i zapewnić ją...

– Dziękuję – przerwała mu Klarysa

– Śledztwo w toku. Mamy trzech podejrzanych. Gdy tylko szanowna pani potwierdzi, że to oni, zostaną rozstrzelani.

Niektórzy powiadają, że słysząc te słowa, dziewczyna zbladła, ale ja sądzę, że znowu delikatny uśmiezek zakłócił się wokół jej ust.

– Panie pułkowniku – oświadczyła z godnością – ja nie mogę nic potwierdzić, ponieważ nic nie pamiętam.

– To tylko formalność – przekonywał hrabia von Kotwitz. – Oni już się przyznali.

– Ale ja, panie pułkowniku, wolę o nich zapomnieć. Jeśli ci biedacy zostaną rozstrzelani, nie uda mi się to nigdy.

– Pani burmistrzowo, armia pruska musi się oczyścić!

– Ale ja chcę zapomnieć...

– Dyscyplina w szeregach naszej armii...

– Zapomnieć – powtórzyła Klarysa.

– To pani ostatnie słowo?

– Tak, panie pułkowniku, tego sobie życzę. – Uśmiechnęła się tak zalotnie, że Jean-Claude się przestraszył. – Liczę na pana.

Ostrogi znów zadzwoiły.

– Stanie się wedle woli pani burmistrzowej. – Pułkownik pochylił się i ucałował urękawiczoną dłoń Klarysy. Przez chwilę odurzał się zapachem jej perfum. – Podziwiam – dodał i przyłgął spojrzeniem do zagadkowego uśmiechu wokół jej ust.

Klarysę znowu otoczyły damy. Pan Jean-Claude, udając pogrążonego w dyskusji z młodym Mickiewiczem, przez cały czas niespokojnie nadstawiał ucha. Hrabina de F., osoba pamiętająca dwie rewolucje i jedenaście zamieszek, nie mogła się powstrzymać (mimo że obiecywała sobie dyskrecję), by nie zapytać, jak na wieść o tragedii zareagował poszkodowany małżonek. Jak to było po...?

Klarysa ciężko westchnęła.

– Dobrze, powiem paniom. Bo kiedy myślę o tym, nie mogę powstrzymać łez. I kocham Jasia jeszcze mocniej niż przedtem.

Mer szepnął do pana M.:

– „Jasio”... To niby ja? Ta dziewczyna szaleje.

– Otóż muszą panie wiedzieć – ciągnęła pani burmistrzowa – iż mam taki zwyczaj, że przynoszę mężowi poranną kawę do łóżka.

Panie wydały okrzyk zdumienia. A od czego pokojówka?

– Ach, moje drogie panie, za nic nie odstąpiłabym tej czulej chwili pokojówce. Tak samo jak prasowania męzkowskich koszul.

– Pani sama...?

– Naturalnie. Kiedy spod żelazka pojawia się gładka biel, czuję się tak, jakbym to jego dotykała i jest mi tak bliski... Och, przepraszam. Ale wrócę do tego dnia po... Oto co się

zdarzyło. Leżałam w łóżka, a mer, mój pan mąż, przyniósł mi kawę z kozuszką. I ze słodkim chrupiącym rogalikiem. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Panie milczały. A Klarysa, która miała milczeć, rozgadała się:

– Zaprowadzę go do krawca. Czy nie sądzicie panie, że tużurek mera jest skrojony staromodnie? Te klapy... Dzisiaj obowiązuje inny krój. Och, wiercie mi panie, znam się na tym. (Uśmiezek). Koniecznie musi sobie sprawić nowy tużurek.

– Słyszał pan? – spytał mer szeptem pana Władysława. – Te opowieści o porannej kawie i koszulach? Wie pan, kto mi podaje kawę? Głupi, spocony tłumok... I ten tużurek. Panie redaktorze, podejrzewam, że ona wie, co mówi. Klaryso! – zawołał mer. – Mogę cię prosić na chwilę?

Klarysa przeprosiła damy i udała się za merem. Wprowadził ją do biblioteki właściciela zamku.

– Czy coś jest nie w porządku? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Nie, bardzo w porządku. – Mer sięgnął do pugilaesu. – Oto należne pani honorarium.

Powiedział do niej „pani” i kiedy dziewczyna to usłyszała, zrobiło jej się gorąco.

Uśmiezek zniknął z jej ust. Wsunęła banknoty za stanik, ale można było zauważyć drżenie jej palców.

– *Mademoiselle* – odezwał się Mer tonem prawie uroczystym. – Jestem, jak pani zapewne wiadomo, starym kawalerem. Bo tak mi się podobało. Wydaje mi się, to znaczy, jestem pewny, że nadszedł czas, żeby to zmienić. Co pani o tym sądzi?

– Wszystko przed panem, ekscelencjo. Wygląda pan wcale, wcale...

– Wprawdzie ta różnica wieku...

– O czym pan mówi? – spytała oszołomiona dziewczyna.

Mer szanował formy. Przyklęknął przed Klarysą i spytał:

– Panno Klaryso, czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zechce zostać moją małżonką?

– Proszę wstać!

Mer wstał. Klarysa, pomrukując, starła chusteczką kurz z jego spodni. Mer przyglądał się temu z ponurą miną. Spytał:

– Czy to znaczyło „nie”?

– To znaczyło: muszę się zastanowić.

– Jak długo?

– Co najmniej dwie minuty.

Teraz na jej ustach znowu igrał uśmiezek. Spytała:

– Czy będę mogła do ekscelencji mówić „Jasiu”?

Mer przypadł do jej dłoni.

– Panno Klaryso, jestem taki szczęśliwy...!

– Jeszcze nie powiedziałam „tak”.

– To proszę się pośpieszyć, bo muszę złapać tutejszego mera, żeby nam dyskretnie udzielił ślubu. Nikt się nie dowie, że małżonkowie się pobrali.

Klarysa wybuchnęła śmiechem.

– A to ci historia! Oto moja odpowiedź, ekscelencjo: tak. Przyjmuję pańskie oświadczenia.

Ucałowali się ceremonialnie, a kiedy znaleźli się znowu w salonie, mer odnalazł pana Władysława Mickiewicza i jego przyjaciela. Spytał szeptem:

– Panie redaktorze, czy zechce pan być świadkiem na naszym ślubie?

Do Georges'a:

– Gdyby znalazł pan chwilę, aby towarzyszyć mi do magazynu krawieckiego...?

– Nowy tużurek, nieprawdaż? – Georges raczej zuchwale klepnął mera w plecy. –  
Najwyższy czas, mój panie.

Kiedy państwo merostwo znaleźli się w powozie, on nieśmiało zagadnął:

– Panno Klaryso, zdziwi panią zapewne moje pytanie.

– Śmiało, ekscelencjo.

– Czy pozwoli pani czasem – powiedzmy w niedzielę – przynieść sobie kawę do łóżka?

– Z rogalikiem?

– Oczywiście.

– To będzie bardzo miłe. Tylko proszę o jednej rzeczy pamiętać.

– Do usług, *mademoiselle*.

– Ja nie znoszę kożuszka.

A jego cesarska mość jak, łaskawa pani Schratt? Woli z kożuszkiem czy bez?

2006



# NIEBO NASZYCH OJCÓW

## Niebo naszych ojców

Zbliżało się południe i znowu nikt się nie zgłosił. Koki złamane! Przekłete smoluchy, bloody creatures, wszawe bestie, ludojady na krzywych nóżkach, psia ich mać, barany nieczesane, doprowadzą nas do ruiny, neandertale cholerne! W ten sposób do niczego nie dojdziemy, wściekał się Korwin. Psiakrew, co by im się stało, gdyby się tak pofatygowali i pokornie poprosili o łopaty, dostaliby przecież papu albo nawet pieniądze, some good nickels... Beznadziejne, leniwe stwory.

Łopaty i kilofy prażyły się w słońcu oparte o namiot, wokół którego nie było już cienia. Trzeba je wnieść do środka, bo drzewca się rozeschną, myślał Korwin. Antoni drzemał na swoim składanym stołku pod palmą. Był w samych szortach, owłosione nogi wyciągnął przed siebie, tłusta mucha krążyła nad jego nagą pierśią, na której zakrzepły kropelki potu. Wykończy nas to słońce. Oczekiwanie i lenistwo. Trzeba wnieść narzędzia. Antoni nie ruszy się z miejsca, siedzi ze zwieszoną głową, ale założę się, że nie śpi. Palma stała nieporuszona, lekki powiew wiatru urwał się nagle i zawisł między mięsistymi liśćmi. Cisza – gdzieś tam bije fala o kamienie nadbrzeżne, ten głuchy pomruk to agregat Hindusów z jednostki ONZ. Korwin otworzył szeroko usta, żeby wtłoczyć do płuc trochę powietrza, spojrzał przy tym w górę, zobaczył znieruchomiałą, strzępiasty obłok. Dwunasta. Antoni wciąż nie rusza się z miejsca. W Londynie druga nad ranem, jeszcze ciemno. A w Warszawie? Ale nas zanosło! Wiać, pomyślał Korwin. Trzeba szybko przekopać to wzgórze, trzysta jardów na dwieście, załadować na jacht posążki i wiać na północną półkulę, południk zerowy.

– Dwunasta dziesięć – ogłosił Korwin. – Koniec zabawy.

Antoni podniósł głowę. Chwilę zmagał się z sennością, twarz miała rozlazły wyraz, ale naraz się uśmiechnął, załśniły zdrowe zęby i białka ciemnych oczu, znów odzyskał swoją urodę hiszpańskiego amanta.

– Nie martw się – uspokajał Korwina. – Jeszcze się będą ustawiać w ogonku.

– Wniesiemy narzędzia.

– Dobrze – zgodził się Antoni i zasłonił usta dłonią. Spojrzał w niebo. – Pogódka, co?

– Znowu dzień przepadł – złościł się Korwin.

– Może wieczorem się zgłoszą.

– Nie, dzisiaj już nie – powiedział Korwin.

Odgadł już tamtych. Gdyby chcieli popracować, byłiby tu o świcie, zaraz po przebudzeniu, kiedy głód im doskwierał. O zachodzie słońca dostaną swoją zupkę od Hindusa, wtedy będzie za późno, bo będą najedzeni.

– Śmierdzące lenie – klął Antoni. – Ciekawe, czy się myją. Nie widziałem którego, żeby chociaż próbował złowić rybę.

– Weź te dwa kilofy, a ja wniosę łopaty – nalegał Korwin.

– Zaraz, nie pali się. Musimy do nich jakoś dotrzeć, bo dołożymy do tego interesu spodnie i brzuchy.

– Możemy spróbować kopać we dwójkę.

– Nie damy rady. Chyba że Jagoda pomoże.

To nie byłoby złe, pomyślał Korwin. Poczulaby, że coś trzeba tutaj robić naprawdę, nie wystarczy tylko spać z Antonim. And what about me? – pomyślał natychmiast, zdanie to wypłynęło jakby bez jego woli, od kilku dni już tak się działo, and what about me, zupełnie jak odpowiednio zaprogramowany automat, przekopmy wreszcie to wzgórze i uciekajmy stąd, chcę się znaleźć w Kensington, sam na ludnej ulicy, pośród tłumu, w długich spodniach i

marynarkach, z dala od tej czulej pary nagusów. Słyszał, jak Jagoda poruszyła się w swoim namiocie, próbował sobie wyobrazić, że to nie ona, to zwierz zakradł się i stąpa po matach, i kołysze płótnem namiotu, „ostrożniej” – chciał zawołać Korwin i wtedy dotarł do niego głos Jagody, wysoki i metaliczny, dźwięczny jak dzwon:

– Słyszałam, że to jakaś tajemnica.

Muzyka, pomyślał Korwin ze wzruszeniem, nad którym nie umiał zapanować.

Nostalgiczna kompozycja w tonacji dur. Chopin, mazowieckie piachy i wierzby. Ta idiotka nie ma nawet pojęcia, jak pięknie mówi. Kobiecość, womanhood. My, niezręczne, bełkoczące samce – Antoni dobywa swoje basy jakby z dna beczki, ja wiecznie ochrypli, diabli wiedzą czemu.

– Co za tajemnica? – spytał Antoni. (Dudnienie z dna beczki, huk jak daleki pogłos haubicy).

– To, że oni nie chcą pracować.

Stała boso na progu namiotu – w pstrokatym kostiumie bikini, nigdy inaczej, od czasu łądowania na Wyspie nie miała na sobie spódnicy – stała smukła i opalona aż po korzonki wypłowiałych włosów, bardzo jasnych i krótko, po chłopięcemu ostrzyżonych. Słońce oślepiło ją, więc sięgnęła po wiszący nad progiem słomkowy kapelusz i ukryła twarz w jego cieniu.

– Od kogo to słyszałaś? – spytał Antoni.

– Od Nawtedża.

Antoni zerwał się z krzeselka. Oby był taki prędko do łopaty.

– Rozmawiałaś z tym Hindusem? – spytał, zbliżając się do niej. – Kiedy?

– Chyba wczoraj wieczorem – odpowiedziała niewinnie Jagoda.

– Nie miałem pojęcia. Dlaczego nic nie mówiłaś?

Korwin wtrącił:

– Jagoda, sandałki! Sto razy ci mówiłem, żebyś nie chodziła boso.

Kobieta zniknęła w głębi namiotu. Antoni spoglądając za nią, ścisnął drzewce łopaty.

Korwin wyjął mu łopatę z ręki:

– No to co? Co ci wskoczyło do łba? Co złego, że rozmawiała z Hindusem?

– Chcę wiedzieć kiedy! – wybuchnął Antoni. – Dlaczego nie mówiła? Powinienem być o tym wiedzieć.

Głos Jagody z głębi namiotu:

– Tak jest, obywatelu dyrektorze! Następnym razem złożę specjalne podanie. – Pojawiła się na progu, już w sandałkach, tak samo w bikini jak przedtem, ale jakby bardziej naga, bardziej wyzywająca, może na skutek tego, że miała taki zły wyraz twarzy, kiedy krzyknęła: – Nie przyjechałam tu, żeby siedzieć cały dzień w namiocie!

Mężczyźni zamilkli. Histeria, ich tajna broń, pomyślał Korwin. Ale nie przychodzi ona Jagodzie łatwo, myślał, tym razem zabieg jest nazbyt wyrozumowany. Antoni zaproponował nieśmiało:

– Mogłabyś nam pomóc w robocie.

W odpowiedzi wysoki ton, rozkołysane zadziwienie:

– Sami chcecie przekopać to wzgórze?

– To jest ostateczność – wyjaśnił Antoni.

Od strony namiotu niefrasobliwa koloratura:

– Jesteście klawe chłopaki, ale nie dacie rady. A ja w życiu łopaty w rękę nie trzymałam.

– A jeszcze mówią, że komuniści wychowują na ludzi! – zadrwił Antoni.

– Ona ma rację – powiedział Korwin – łopata to nie jej specjalność. – Przyglądał się wiotkim ramionom Jagody. Ich delikatna opalenizna miała połysk pastelowy, dziewczyna musi mieć skłonność do anemii. Chwycił ponure spojrzenie Antoniego. No tak, on wie o niej

wszystko, nawet to, czego nie było. – Kopać możemy – powiedział – ale wtedy to potrwa najmniej pół roku. Nie starczy nam zapasów.

– Będziemy łowić ryby – rozmyślał na głos Antoni.

– Owszem, możemy łowić, ale kto wtedy będzie kopać?

– Koki złamane! – wybuchnął Antoni. – Co to za tajemnica, Malinko?

– Coś z ich przodkami. Że się na nich obrażą czy coś takiego.

– Obrażą się za pracę u białych ludzi?

– Nie, w ogóle. Im w ogóle nie wolno pracować.

– To chyba nic groźnego – powiedział Antoni z wyraźną ulgą. – Można im to będzie wyperswadować, trzeba tylko znaleźć właściwe podejście.

– Ale musimy wiedzieć, o co im chodzi – tłumaczył Korwin.

Jagoda usiłowała sobie przypomnieć.

– Zdaje się, że nie o pieniądze.

Antoni westchnął:

– Szczęśliwe głuptasy.

– Nie, nie wyglądają na szczęśliwych – zaprzeczył Korwin.

– Fuck'em all. Grunt, żeby się stawili do roboty. Malinko, co robili komuniści, kiedy chcieli, żeby ludziska wypruwali z siebie flaki? Opowiedz, jak to było w waszym Białymstoku.

– Zapominasz, że tam nie mieszkają Papuasi.

– Sorry, poplątałem. Nie nauczyli cię, jak się agituje do roboty?

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołała Jagoda.

Podniosła zaciśniętą pięść, za chwilę uderzy Antoniego, mąż uchylił się z uśmiechem i wychwycił w powietrzu jej rękę, jego palce zacisnęły się na przegubach jej dłoni, Jagoda znieruchomiała, otoczyło ją brązowe ramię Antoniego, kobieta osunęła się w nie z uśmiechem na rozchyłonych ustach, przymknęła oczy i przywarła nagim ciałem do włochatej piersi mężczyzny.

– Sjestą? – spytał Antoni. – Słońce w zenicie...

Korwin oglądał brzegi sandałów Jagody, różowe paznokcie na grubych palcach nóg.

– Pogadam z Hindusem – powiedział.

– Nie podoba mi się jego broda – odezwał się Antoni. – I ten turban. Myśli, że białe babki polecą na jego zleżałą egzotykę. Nie wie, że w Paryżu sprzedają takich na kopy.

– To sikh, dlatego nosi brodę.

– Wtraja wołowinę jak każdy z nas, ale brodę nosi!

– Brodę widać, wołowiny nie.

– All right, zrób go na perłowo.

– Ale wy wniesiecie narzędzia – zastrzegł się Korwin.

– Don't worry, będzie zrobione.

Po jakimu on mówi? – pomyślał Korwin. Porozumiewamy się żargonem – jak Żydzi na wygnaniu. Jak Nawtedż z Papuasami. Podniósł wzrok znad sandałów Jagody. Kobieta odmuchiwała spoconą pierś Antoniego, ciemne włoski chwiałały się jak korony palm podczas bryzy. Malinka! Pójdę. Do Hindusa czy dokądkolwiek, let them have a good time.

– Na razie – mruknął. Spojrzał na przytuloną parę i dodał: – Nie zapominajcie o narzędziach.

And what about me? – pomyślał, wychodząc. Ale to już nie on, to automat. Ten sam, który zadarł głowę do góry, dostrzegł nieruchomość obłoku i jego niezmiennosc.

Brodaty porucznik nie spał. Siedział w nylonowym namiocie na składanym fotelu, boscie stopy opierał o składany stolik, na którym brzęczał elektryczny wiatraczek. Obok wiatraczka stała graniasta butelka whisky i termos z lodem. Czy przeszkadzam, panie poruczniku? Nie,

bardzo się cieszę, przedstawiciele ludów cywilizowanych mile widziani, przepraszam za moją pozycję, nie spodziewałem się, czym mogę służyć? Pan pewnie spał? Och, nieważne, żołnierz może spać o każdej porze i w każdej pozycji. Pewnie by pan sobie poczytał? Nie, not at all, od pół roku nie miałem książki w ręku, literatura to łgarstwo, perfumowane świństwo, jakbym napisał książkę, jak to w życiu jest naprawdę, to żadne wydawnictwo świata nie zechciałoby jej opublikować, czytać należy tylko książki religijne, umacniające moralność, ale kto by to mógł wytrzymać, taki upał, żałuję, że nie zabrałem jakichś pornografii, mam dwa numery „Playboya”. Znam już te tyłki na pamięć, nuda – niech się pan napije, niestety woda jest zwykła, skończyły mi się ładunki do syfonu, all right, pij pan bez wody, ech wy, Polacy. Wy Polacy i my Hindusi. Salut! – zakończył energicznie i podniósł kieliszek. Ale nie widać było, żeby się poruszyła grdyka, rozrzedzony alkohol rozdał policzki brodacza i opłukiwał mu jamę ustną. My Hindusi. Wy Polacy.

– Przyszedłem w sprawie tubylców, panie poruczniku – zaczął Korwin. Whisky piekła w przeloty, ale Hindus nie ma prawa poznać, my Polacy... Korwin sięgnął po wodę. – Tak piją Rosjanie – wyjaśnił Hindusowi. – Najpierw sam spirytus, potem czysta woda. Znowu nikt się nie zgłosił, panie poruczniku.

– Kłopot – westchnął Nawtedż. – Sto kłopotów. Kedar! – huknął niespodziewanie. – Kedar!

Wszedł żołnierz i zasalutował.

– Jestem, panie poruczniku.

– Rozmawiałeś z Hatuate?

– Tak jest, sir.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem, sir.

– Czy mówiłeś, że panowie dadzą pieniądze?

– Wszystko powiedziałem, sir.

– Znowu nikt się nie zgłosił.

– Spodziewałem się, sir.

– Możesz odejść.

Żołnierz wyszedł.

– Nie lubią białych? – spytał Korwin.

Hindus uśmiechnął się.

– Nie, nie, to jeszcze nie ten poziom. Oni w ogóle nie chcą pracować.

– Jakaś filozofia życiowa?

– Nie, dlaczego od razu filozofia. Po prostu przesąd. Ciemnota. Oni boją się pracować.

Boją się zemsty przodków. Co pan chce, dzikusy, nie do pomyślenia w krajach o starej kulturze. Niech pan weźmie Indie. Albo waszą Polskę. Warszawa. Widziałem film o odbudowie Warszawy; wszyscy pracują, wciąż pracują, z ogromnym pośpiechem.

– Nigdy nie byłem w Warszawie, panie poruczniku. Mieszkam w Londynie, w Kensington.

– Ja też w Londynie, w Soho.

– Miałem rok, kiedy wybuchła wojna i ojciec poszedł do wojska – opowiadał Korwin. –

A ja z matką wędrowałem po świecie. Nie byłem w Indiach, ale zawadziłem o Iran. Nie znam Polski.

– To tak jak ja. Siedem lat nie byłem w Indiach. Trudno, jestem żołnierzem. Gdyby nie te dzikusy, byłbym może w ojczyźnie albo w Londynie, ale nie wolno nam przecież dopuścić, żeby zdechli z głodu. Siedzimy tu, ja i moich sześciu żołnierzy, i gotujemy im zupę.

– Kto to wymyślił?  
– Komisja przy ONZ. Zauważono, że mieszkańcy Wyspy systematycznie wymierają. Od wojny liczba ludności zmniejszyła się trzykrotnie. Wymierają, ale pracować nie chcą.

Porucznik pociągnął trochę whisky i splukał jamę ustną. Korwin spojrzał na swój pusty kieliszek.

– Czy mogę?... – spytał.

– Oczywiście. Chociaż bez wody nie radzę.

Korwin podniósł pełny kieliszek do ust. Wydawało mu się, że w wypukłych oczach Hindusa dostrzegł zaniepokojenie. Fuck him. Wódka ONZ-tu, nasza wspólna własność, wszyscy płacimy składki. Wychylił haustem kieliszek. Poprzez brzęczenie wiatraczka usłyszał: „Marvellous. Ech, wy Polacy”.

– Następny transport będę miał dopiero za dwa tygodnie – poinformował porucznik. – Jacht z Nowej Gwinei.

– Po nas jacht przyplynie za pięć tygodni. Musimy do tego czasu przekopać to wzgórze, panie poruczniku. Mają się tam znajdować zabytki starej kultury przedpapuaskiej. Jakies posągi ludzi nieznaney rasy, podobno naturalnej wielkości.

– Dzieła sztuki?

– Tak się spodziewają.

– Wątpię – uciął krótko Hindus.

– Musimy mieć pomoc, panie poruczniku. Dlaczego te koki nie chcą pracować?

– Czekają na zrzuty z nieba – wyjaśnił sennym głosem Hindus.

– Na co? – Korwinowi wydawało się, że się przesłyszał.

– Na zrzuty. Podczas wojny na Wyspie przebywali jacyś amerykańscy marynarze.

Lotnictwo zrzucało im na spadochronach zaopatrzenie. Część zrzutów dostawała się do rąk tubylców. Zrobiło to na nich duże wrażenie, panie Korwin. Kapłan wytłumaczył im, że to przodkowie się nimi opiekują. I wykończył naród. Odtąd nie chcą pracować, bo przodkowie się obrażą i będą się mścić. Czekają na następne zrzuty.

– Tyle lat?

– To czekanie zmieniło się w religię. Przedtem coś uprawiali, hodowali, łowili. Po tej aferze ze spadochronami wszystko zarzucili, czekają. Słyszał pan to śpiewanie w nocy? Modlą się do przodków o zrzuty.

– Niech ich diabli! Aleśmy trafili! Nic się nie da zrobić, panie poruczniku?

– Porozmawiam z Hatuate. To ich wódz. Osobiście porozmawiam. Me personally.

Znów oplukiwał usta wódką. Korwin podniósł się. Hindus złapał go za rękę. Nie, niech pan nie odchodzi, porozmawiamy o kobietach, lady Yagoda, następuje opis poszczególnych części jej ciała, czy pan ją, pan jej nie, szkoda, opowie mi pan ze szczegółami, kiedy pan to robi, warto, subtelna aluzja do pewnej części ciała Jagody, dobry kawałek, excellent...

– Jestem umówiony, panie poruczniku. Przyjaciel czeka.

Brodacz zmrużył porozumiewawczo oko. Umówiony – z przyjacielem? Niech pan nie robi takiej niewinnej minki, panie Korwin, znamy przecież życie. A więc do zobaczenia, spróbuję osobiście, me personally, porozmawiam z Hatuate. See you later.

Kiedy Korwin wyszedł z namiotu, ten sam obłok wisiał w tym samym miejscu, nieruchomy biały całun, dookoła beznadziejna toń, bezczelny lazur, za którym kryją się nieskończone mroźne światy. Gdzie są ci przodkowie, gdzie, do jasnej cholery, zadrzyjcie głowy i spojrzycie w to błękitne nic, koki złamane!

Lady drzemała pod cienkim prześcieradłem, części kostiumu leżały na kukurydzianej macie. Antoni rozwaliał się w slipach na swojej leżance i czytał wydanego w Polsce Cendrarsa.

Ten polski Cendrars miał twardą żółtą okładkę, pokrytą celofanem, Antoni zawsze zdejmował ostrożnie celofan i odkładał go na bok, żeby się nie pomiął, mył ręce przed lekturą i cackał się z tą książką wyjątkowo. Możliwe, że i do Jagody przylgnął dlatego właśnie, że wyrosła w Polsce. Jakby posiadając ją, jej oddech i jej szept, można było w jakiś magiczny sposób zbliżyć się do Nieznanego.

Antoni odłożył książkę i wysłuchał relacji Korwina w ponurym skupieniu. Jagoda obudziła się, podciągnęła prześcieradło pod szyję. Jej nagie ciało rysowało się pod nim jak w teatrze chińskich cieni.

– Korwin, rzuć mi moją balową suknię – rozkazała. Korwin podniósł z maty rozrzucone części kostiumu plażowego i rzucił za siebie.

– Nie będę patrzył – zapewnił.

Antoni próbował bagatelizować.

– Przodkowie! Przypadek skrajnego idealizmu, Korwin. Co to jednak znaczy odcięcie od naszej zdeprawowanej cywilizacji. Wyobrażam sobie mojego starego w roli opiekuna z zaświatów, Jezu!

– Jak myślisz, czy Williams wiedział, co się tu święci? – zastanawiał się Korwin.

– Oczywiście, że wiedział! – zapewniła Jagoda. – To chytry Szkot.

– Nie Szkot, tylko Australijczyk – sprostował Antoni.

– Wszystko jedno, łobuz – upierała się. – Sam nie dał rady, to was napuścił na tę imprezę.

Mieli rację nasi, kiedy ostrzegali mnie przed imperialistami.

Zawsze to samo, stały numer: kiedy chciała być morowa, parodiowała komunistyczną propagandę.

– Nawtedż porozmawia z ich wodzem, może uda się coś wskórać – powiedział Korwin. – Myślę, że ich w końcu przekonamy.

– Jeśli się nie uda, nie mamy się po co pokazywać w Kensington – przypomniał Antoni. – Nie wygrzebiemy się z długów do końca życia!

– Najlepiej by było, gdyby Nawtedż przestał karmić ich zupą – zauważyła z niewinnym uśmiechem Jagoda.

Mężczyźni przez chwilę milczeli.

– Nie, to za mocne – zdecydował Korwin. – Trzeba inaczej. Zaprzyjaźnić się z nimi i tak dalej.

Jagoda oparła się o jego ramię. Korwinowi przypomniał się Hindus i jego aluzjki. Stary cwaniak, może ma rację.

– Najlepiej, żeby Korwin wziął sobie od nich dziewczynę – mówiła Jagoda. – Wyglądają co prawda niezbyt ponętne, ale ostatecznie...

– To jest pomysł! – zgodził się Antoni. – Ja też mogę się przyłożyć.

– No, no...

Teraz mu pogrozi palcem, pomyślał Korwin. Nie, pomylił się. Nie powiedziała więcej ani słowa, patrzyła w przestrzeń, założyła się, że nie myśli teraz o niczym, wygląda jak kolorowy ptak na gałęzi.

– Włóż spódnicę – poradził. – Pójdziemy posłuchać ich wycia. Będzie brodac. Paradny ma sposób picia wódki: zatrzymuje ją w ustach i płucze podniebienie. Sknerzy, skórkojad... Tłumaczy się, że dopiero za dwa tygodnie przypłynie jacht z nowym transportem.

Jeszcze przez chwilę opowiadał o Nawtedżu. Pachnie smażoną oliwą i jakąś mocną wodą kolońską, źle wymawia angielskie „r”, słychać w tym jakby „I”. Na to Antoni: – Nie podoba mi się ten facet. – Mnie też nie – zgodziła się Jagoda, ale Korwinowi ta jej zgoda wydała się dwuznaczna, czuło się w niej niedopowiedzenia i pogrożki, a może mi się to wydaje, może to ja

jestem taki uczulony, jestem czujny na każde drgnienie kobiecości, na każdą inność jej ciała, aluzyjność słów, melodię mowy. God, help me.

Przed zmierzchem rozległo się bicie bębna. Zupa – odgadła Jagoda. Szeleściła spódnicą, kurpiowska kratka, kupiona w Cepelii na MDM-ie, na ramiona zarzuciła biały wełniany szal, „od znajomej góralki z Bukowiny”. Kokietowała tą Polską, którą beztrąsko opuściła, jakby się domyślała, że to się u nich liczy, to ich czaruje i zniewala, urok prawdziwej polskości, wyrastającej korzeniami z podlaskich piasków, a nie tej orchidei z angielskich tworzyw sztucznych. Korwin i Antoni wypchali kieszenie spodni pistoletami. Znow rozległo się bicie w bęben. Tym razem będzie zawołanie – odgadli. Co wieczór ta sama historia. Po chwili uderzyło jeszcze kilka bębnow i rozległy się klekoczące głosy.

Wokół ciemnego stożka wzgórze zapłonęły ogniska i noc zabarwiła się purpurowymi rozbłyskami. Ogromny księżyc wysunął srebrny hełm i kładł zimne smugi światła między palmami. Tubylcy, zbici w gromadkę u stóp wzgórze, przeciągle zawadzili. Przed nimi stał wódz, wyschnięte jego ciało było wymalowane w białe pręgi, w rękę ścisnął dzidę, którą się posługiwał trochę jak dyrygent na wojskowym pogrzebie. Czarownik w upiornej masce zakończył swoje obłędne skoki i dał znak starczą kościstą ręką, a potem kilkakrotnie coś krzyknął piskliwym głosem. W zaroślach nastąpiło poruszenie. Rozległy się nawoływania, a po chwili młodzi zaczęli wytaczać na wzgórze szkielet ogromnego drewnianego ptaka. Rozpiętość skrzydeł mogła budzić grozę, ale ptak pozbawiony był dzioba.

– Ależ to szkielet samolotu – zdumiała się Jagoda.

– Jakiś stary typ – zauważył Antoni.

Korwin milczał. Stali we troje pod samym wzgórzem, o sto kroków stąd znajdowało się drugie wzgórze, nasz skarbiec, wystarczy przekopać i spłacimy długi. Jagoda opierała się o ramię męża, jej biały szal mienił się purpurowo w blasku ogniska.

– Skąd się tu wziął? Jak myślisz, Korwin? – domagała się odpowiedzi.

– Chyba z czasów wojny.

– Hello! – Porucznik Nawtedź wyłonił się z mroku i zsalutował. – Założę się, że państwo rozprawiacie o tym dziwnym stworzeniu.

– Pan jest bardzo przenikliwy, panie poruczniku – komplementowała go Jagoda. – Proszę przed nami nic nie ukrywać.

– To jest bożek, myłady. Obraz przodków.

– Ależ to samolot!

– Naturalnie, ale ich własnej konstrukcji.

– Nigdy bym ich o to nie posądziła.

– Upletli go z łodyg bambusowych. Oni nie wątpią, że te dziwne ptaki, które zrzuciły konserwy, to byli przodkowie, którzy po śmierci stają się bogami. Skonstruowali więc wizerunek swojego boga i będą się do niego modlić. Proszę tylko posłuchać!

Tubylcy w milczeniu krążyli truchtem wokół bóstwa. Młodzieńcy dorzucili gałęzi do ognisk, płomienie strzeliły wysoko w górę. Na pogodę, pomyślał Korwin, przyglądając się czerwieni pełgającej na twarzach tubylców. – Cherlaki – mruknęła Jagoda; szal ześliznął jej się z ramienia i obnażył srebrne plecy. Tak, miała rację, tancerze nie wyglądali pięknie, głód i choroby skarliły rasę.

Nagle poprzez trzask gałęzi i krzyk papuzi przedarło się wołanie czarownika, bolesna skarga upokorzonego starca. – Oooo! – zawtórowali krążący. – Słuchaj nas, o Panie! – skowytał czarownik. – Oooo! – odpowiadał tłum. – Cierpimy i głodujemy – oooo! – czekamy cierpliwie zmiłowania – oooo! – my, ludzie, twoje posłuszne plemię – oooo! – niech nadlecą twoje ptaki – oooo! – niech nakarmią i napoją – oooo! – ojciec mój, i ojciec mojego ojca, i ojciec ojca mojego



ojca! – oooo! ulituj się nad twoimi dziećmi – oooo! – którzyśmy zostali sami na tej ziemi – oooo!  
– sami przeciw słońcu, wodzie i ogniovi, i trąbom powietrznym, przeciw ssaniu żołądka i  
niemocy ciała – oooo! – którzyście nas zrodzili, nie zapominajcie o nas w swoim lepszym  
świecie, przecież to wy daliście nam życie, to wy poiliście nas mlekiem i uśmierzaliście nasz  
strach i głód, i pragnienie, i kołysaliście nas w ramionach, i strzeżliście przed drapieżcą, i  
zrzuciliście z nieba pożywienie, do was wołamy w naszym czekaniu, bo wciąż czekamy, wciąż  
cierpliwie czekamy, oooo!...

– Korwin – Jagoda ścisnęła kurczowo jego ramię. – Co z tobą?

– Nic. Nic takiego. (Mój głos, mój chrapliwy głos. O Boże, przez chwilę wydawało mi  
się, że to ja wyję, że jestem jednym z nich).

– Wyglądasz, jakbyś miał malarię. Spójrz! Cudownie! – Znów zacisnęła dłoń na jego  
ramieniu. Antoni dostanie szau.

Gromadka rozstała się. Przed skrzydlatym bożkiem stała naga dziewczyna. Miała  
krótkie nogi i nisko osadzoną miednicę, ale twarz delikatniejszą niż inne tubylcze dziewczyny, a  
ciemnoszare małe piersi wydawały się jędrne jak piłki tenisowe. Rozległo się szybkie bicie w  
bębny i dziewczyna zaczęła tańczyć.

– To wygląda na twista – szepnęła Jagoda.

Antoni zauważył:

– Całkiem niezła. Warto ją wyswatać za Korwina.

– Co ona robi? – spytał Korwin porucznika.

– Kusi bóstwo, oczywiście. To dziewczyna i jest możliwość, że bóg się na nią połasi.

– Pan ją zna?

Porucznik skinął głową

– Ikaahua, tak ma na imię. Staralem się o nią, ale warunki stawiali zbyt wygórowane,  
jestem tylko żołnierzem. Podoba się panu?

– Nie. To znaczy trochę, ale niespecjalnie.

Bęben na chwilę ucichł i tancerka, jakby korzystając z okazji, wskoczyła w ciemność. Na  
jej miejsce wybiegła inna dziewczyna, wyższa i chyba starsza, skłoniła się przed drewnianym  
ptakiem i rozpoczęła szybki, zapamiętały taniec. Jej rytmiczne ruchy, wyuzdane gesty, którymi  
wspomagała rozkołysane biodra, powinny były wreszcie wyjaśnić domyślnemu bożkowi, jakie  
rozkosze go czekają.

Jagoda przyglądała się tańczącej z zagadkowym uśmiechem na ustach.

– Co ona wyprawia? – gorszyła się. – Chyba jest pijana!...

Powiedziała to cicho, prawie szeptem, ale Nawtedź dosłyszał.

– To ulicznica, lady – objaśnił spokojnie. – I tę właśnie swoją umiejętność usiłuje ona  
przedstawić samolotowi.

– Jak to ulicznica? – zainteresował się Antoni.

– Och, nie w naszym rozumieniu tego słowa. Po prostu duży temperament i żadnych  
hamulców. Tubylcy nie wykluczają, że przodek może na to polecić.

– Niegłupie – mruknął Antoni. – Jak ma na imię?

– Banu.

W Warszawie już dzień, pomyślał Korwin, ludzie stanęli do pracy, nikt nie czeka na  
zrzuty, nie wygłupiają się jak my troje, których zanosło aż na tę rozmodloną wyspę, sto  
osiemdziesiąt stopni na wschód od Wisły albo na zachód, wszystko jedno. Tubylcy już nie  
tańczą, skończyli swoją rozpaczliwą liturgię, ogniska dogasają, księżyc nad nami wznosi się  
ogromny. Jagoda opatulila się szalem, Antoni położył dłoń na jej plecach, własność, cholera,  
zawsze wieczorem jakimś subtelnym gestem podkreślał swoje prawa, łąpa na plecach albo klaps

w pośladek, idziemy do namiotu, and what about me, księżyc jak weselny tort.

– Mister Korwin.

Obok porucznika stał senny tubylec z dzidą w dłoni. Brzydka, stara twarz pokryta była białymi i czerwonymi liniami. Czym to się zmywa? – zastanawiał się Korwin, przypatrując się sennemu wodzowi, i pochylił głowę. Hatuate odpowiedział mu krótkim kiwnięciem.

– Wódz rozumie trochę po angielsku, ale woli rozmawiać w swoim języku – objaśnił porucznik.

Antoni z Jagodą wycofali się do tyłu, widocznie ufali, że Korwin da sobie radę. Well, spróbuję. Najpierw komplementy.

– Proszę powtórzyć panu Hatuate, że jesteśmy pod wrażeniem tego, cośmy widzieli. Wysoka dusza chóru i piękno tancerek, i czystość wiary. Bardzo, bardzo podoba się.

Hatuate wydudnił szybko kilka słów. Głos miał podobny do Antoniego.

– Wódz dziękuje – zreferował Hindus.

– Jesteśmy też pełni uznania dla wytrwałości ludu Wyspy. Pan Hatuate domyśla się chyba, o co mi idzie.

– Rozumieć – usłyszał Korwin.

– My też wierzymy w duchy nieba, ale myślimy, że na chwałę Boga i przodków trzeba pracować i trzeba odżywiać ciało. Niech pan przetłumaczy.

Hatuate powstrzymał Hindusa:

– Rozumieć. Wy nie wierzyć przodki. Wy wierzyć pieniądze.

Oczy wodza nie były teraz tępe ani senne, były smutne, po prostu. Trzeba było podjąć z nim dyskusję.

– Mister Hatuate, my nie kolonizatorzy, nie Anglicy, nie Amerykanie, my Polacy, nasz kraj jest daleko, pieniądze nie są tam bogiem, tam każdy pracuje i tak czci duchy przodków. (Powołuję się na kraj, w którym nigdy nie byłem, podszywam się pod człowieka stamtąd, na to mi przyszło – pomyślał patrząc w ciemność, w której chwiała się twarz wodza w biało-czerwienne pręgi).

Ale całe przemówienie było, przynajmniej na razie, popisem w pustkę. Spomiędzy białych pręg wystrzeliło krótkie pytanie:

– What?

Nawtędz usiłował wytłumaczyć. Korwinowi wydawało się, że białe pręgi układają się w ironiczny uśmiezek. Ale chyba nie, bo oczy wodza nadal były smutne.

– Tutaj jest Wyspa – odpowiedział krótko.

Bardzo logicznie, pomyślał Korwin. Przejdźmy do sedna sprawy.

– Przybyliśmy tu dlatego, że ziemia ta kryje pewne rzeczy, które interesują cały świat. Te rzeczy nie mają wartości pieniężnej, to są posągi. Są przykryte tamtym wzgórzem. Wiele, wiele lat temu, zanim jeszcze lud pana Hatuate się tutaj osiedlił, mieszkał tu inny lud, który rzeźbił posągi duże jak człowiek. Kiedy wielki człowiek umierał, wódz albo kapłan, zwłoki jego palono, a rzeźbiarz robił posąg naturalnej wielkości i chował tam, gdzie znajduje się tamto wzgórze, żeby obraz wielkiego człowieka trwał wiecznie. My chcemy, żeby cały świat wiedział, jak piękne są posągi z Wyspy, żeby posągi te podziwiał Londyn, Waszyngton, Delhi i mój kraj.

Wódz chwilę milczał.

– To niepotrzebne – powiedział wreszcie.

– To jest potrzebne! – przekonywał Korwin. – Wyspa będzie sławna i biali ludzie będą tu lądować i przywozić konserwy i dużo pożywienia.

– Dużo białych ludzi – mało miejsca dla ludu Hatuate – przetłumaczył Nawtędz odpowiedź wodza.

Korwin zamilkł. Ogniska dogasały, twarz wodza tonęła w mroku i Polakowi wydało się, że dzieli go od tubylca czarna galareta, nieprzenikniona i elastyczna, nie do przedarcia.

– Sława Wyspy przyda się ludowi Hatuate ze względów politycznych – podjął znowu. – Kogo świat nie zna, z tym się nie liczy, niech pan to przetłumaczy, panie poruczniku, jestem u kresu sił.

Tym razem wódz odpowiadał długo i z zapalem. Nawtedź przysłuchiwał się jego enuncjacom z kwaśną miną

– Mówi, że politykę wymyślili ludzie spoza Wyspy – relacjonował Hindus. – Mówi, że człowiek nie rodzi się do polityki, tylko żeby mieć dzieci i żeby te dzieci miały dzieci, i żeby tak było wiecznie.

– Nie będzie żadnego wiecznie, mister Hatuate! – zawołał Korwin. – Ludność waszej wyspy zmniejszyła się gwałtownie i pan powinien o tym wiedzieć.

– Będzie tak, jak oni chcą. – Hatuate podniósł dłoń w górę. – Oni nam dali życie i oni nam je odbiorą.

– Mister Hatuate, to nie jest takie proste. Przewędrowałem kawał świata i wiem, co to jest głód. Wmówiliście sobie, że przodkowie wam wszystko ofiarują, i zarzuciliście uprawę kukurydzy, przestaliście łowić ryby i hodować lamy.

– Tak zrobiliśmy. Przodkowie sami chcą nas karmić. Może wasi przodkowie są inni, ale ludzie z Wyspy pamiętają o swoim potomstwie. Pamiętali o nas, kiedy byłem młodzieńcem i zrzucili z nieba pożywienie, to będą pamiętać nadal. Jeśli staniemy do pracy, obrazimy ich. Oni rozumieją, że my im nie wierzymy. Będzie straszna kara.

– Ale gdyby nie mister Nawtedź, którego tu przysłała organizacja narodów spoza Wyspy, wymarlibyście z głodu. Niech pan to powie, poruczniku.

– Wolałbym tego nie tłumaczyć.

Wódz uniósł nieco dzidę.

– Me understand. Ja rozumieć.

Przeszedł na swój własny, bełkotliwy język. Nawtedź słuchał uważnie, potem poinformował:

– Idzie o to, że ja jestem tylko narzędziem w ręku jego przodków.

– Gratuluję. A więc pańska zupa z UNO to także z nieba – westchnął Korwin. – Well, niech mu pan wreszcie wygarnie wszystko. Niech pan powie, skąd te zrzuty pochodziły. Że to nie były żadne ptaki ani żadni bogowie, tylko amerykańskie samoloty.

– Tak, amerykańskie samoloty – usłyszał dudnienie spoza czarnej galarety.

– I te puszki z konserwami były przeznaczone nie dla nich, tylko dla amerykańskich rozbitków. Dla białych ludzi spoza Wyspy.

– Tak im się wydawało – odparł wódz.

– Wydawało? Tak było!

Nie, wcale tak nie było. Nawtedź przekazywał już następną odpowiedź, ale Korwin był przekonany, że od razu ją zrozumiał, że ten bełkot spoza galarety (czarna porzeczką, aha, skojarzył sobie) jakąś tajemną drogą rozszyfrował się już wcześniej w jego mózgu.

– Jedni i drudzy – wyjaśnił zrezygnowany Nawtedź – w ogóle wszyscy byli tylko narzędziem w ręku jego przodków. Załatwił nas, jak chciał. Obawiam się, panie Korwin, że się pan z nim nie dogada, przynajmniej dziś wieczór on nie jest usposobiony.

Hindus miał rację: audiencja skończona. Wódz stał i czekał, Korwin słyszał jego świszczący oddech. Jest chory, pomyślał, jest zniszczony i niszczy własny lud, i do tego nas z Antonim, nigdy nie wygrzebiemy się z długów przez tego pręgowatego koka. Ale nie zrywajmy z trudem nawiązanych stosunków.

– Panie poruczniku, proszę powtórzyć panu Hatuate, że rozmowa była niezwykle interesująca i wzmogła mój podziw dla niego i ludu Wyspy.

– Rozumieć – odezwał się wódz.

– Prosiłbym go tylko o jedno. Żeby sam zapamiętał i żeby pamiętał to jego lud, że każdy, kto zechce pomóc w przekopaniu wzgórza, napelni rozkosznie swój brzuch.

– Wódz obiecuje powtórzyć to ludowi.

– Zapraszam go jutro do nas na śniadanie.

Nawtędż przekazywał tym razem jego słowa wyjątkowo długo. Trochę było to podejrzone – jak to, tyle o śniadaniu? Korwin go trącił: panie poruczniku. Hindus wciąż trajkotał. Smuga księżycowego światła wychyliła się spoza palm i oprzemieniła pomarszczoną głowę wodza. Wódz odpowiedział Hindusowi coś, co go rozgniewało, przez chwilę się kłócili.

– O co chodzi? – dopytywał się Korwin.

– O dziewczynę. Powiedziałem mu, że pan też chce mieć dzieci i żeby miały dzieci i tak dalej – i że wybrał pan Ikaahę.

– Nie prosiłem pana!

– Wiem, ale... Wspomniałem mu, że wystarczy kilka nocy, ale okazuje się, że to by było zarabianie, i od razu w grę wchodzi przodkowie i wszystkie te historie.

– Wobec tego nie dam jej nic i nie będzie żadnego zarabiania.

– Właśnie mu to proponowałem, ale tego on już nie może zrozumieć. Bo dlaczego nic? Z jakiej racji nic?

– Czego on chce?

– Wyznania miłosnego. Czegoś w rodzaju poematu. Powiem mu, że jej widok odebrał panu sen, zgoda? Że dotyk jej piersi jest dla pana kąpielą w dzień upalny. I coś o pięknie bioder, które obiecują zdrowe dzieci.

– Dobrze, mów pan – zgodził się Korwin.

Odpowiedź nadeszła szybko. Znow Hindus z tubylcem zawzięcie dyskutowali.

– Mówi, że biała lady jest piękniejsza niż Ikaahua. Biodra lady Jagody więcej obiecują. Opisował jej piersi bardzo poetycznie. Powiedziałem, że lady jest własnością drugiego pana. Ale u nich jest organizacja rodowa, nie znają tych rozróżnień. On radzi, żeby pan zapłacił swojemu przyjacielowi albo u niego odpracował. Powiedziałem, że pan jednak woli Ikaahę. On uważa, że jest pan dobrym kandydatem na wtajemniczenie Ikaahuy, bardzo mu się pan podoba. Ale musi pan wejść do rodziny.

– To znaczy co?

– Zamieszkać z nimi i czekać na zrzuty.

Korwin skinął lekko głową

– Piękna idea. Niech pan podziękuje wodzowi za jego przychylność. Powiedz mu pan, że jego propozycja podoba mi się i że się nad nią zastanowię. A tymczasem... – Korwin wyjął z kieszeni gruby biskwit i podał go wodzowi... – Dla Hatuate – powiedział.

– Thank you – bąknął wódz.

Korwin wyjął drugi biskwit.

– Dla Ikaahuy.

Wódz przyłożył dłoń do ust i krzyknął coś przeraźliwie, jakaś seria ptasich wrzasków, z których dopiero po chwili udało się Korwinowi złożyć imię dziewczyny. Usłyszał w ciemności szybki tupot bosych stóp i oto zjawiała się Ikaahua, zadyszana i łypiąca niespokojnie okiem na wodza. Korwin podał jej biskwit, ale dziewczyna nie ruszyła ręką. Wtedy wódz coś mruknął, widocznie przyzwolił, bo Ikaahua wyszarpnęła Korwinowi biskwit z dłoni, wepchnęła go do ust i rzuciła się do ucieczki. Wódz milczał.

Prezent zaręczynowy, myślał Korwin, zbliżając się do Antoniego i Jagody.  
– Zaprosiłem go na śniadanie – powiedział Korwin. – Może się uda go przekupić.  
Najpierw skorumpujemy wodza, a potem lud, jak tego uczyli doświadczeni imperialiści.  
– Kawał koka z tego twojego wodza.  
– Tak, kawał koka, ale spodobał mi się.  
– Beznadziejny facet.  
– Beznadziejny – zgodził się Korwin – ale w tym coś jest.  
– W czym, u Boga Ojca?  
– W ich postawie. W tym coś jest, jakiś światopogląd.  
– Do dupy ze światopoglądem – nieprawda, Malinko? Jak będziemy się rozczulać, to Williams przerobi nas na parówki. Jutro rano weźmiemy się do roboty, może dobry przykład ich ruszy. Dobranoc, stary.

– Dobranoc – odpowiedział Korwin.

Zaczekał, aż tamci dwoje wejdą do siebie, i dopiero wtedy schronił się w swoim namiocie. Odruchowo zasunął siatkę u wejścia i dotarł do swojego łóżka. Przez chwilę siedział bez ruchu. Potem po omacku odszukał latarkę i zaśwycił ją. Antoni i Jagoda, pomyślał. Antoniemu nie na żarty podobała się Banu. Co on sobie wyobraża? Jakich niezwykłości, jakich tajemnic się w tej kobiecie domyśla? Głuptasie, nie ma żadnych tajemnic, wszystko to samo, co na Piccadilly Circus, tylko jeszcze bardziej ordynarne, jeszcze bardziej chciwe i cuchnące. Tajemnica jest tylko w Jagodzie, smak tamtego kraju, w oczach niebo naszych przodków. Oddam wszystkie Banu, wszystkie Ikaahua... Próbował nastawić tranzystor. Gdzieś daleko zawodził Paul Anka, jęczał poprzez setki kilometrów nocy, skarżył się, że jakaś smarkula nie odwzajemnia jego uczuć. Łże jak pies, myślał Korwin, chce się do niej dostać i zostawić ją z dzieckiem, uważajcie, dziewczyny, uważajcie na siebie i pędźcie precz tych pojękliwców. Głos Paula Anki niķ – o Boże, jak daleko, dokąd nas zaniósł, pod jaki nieruchomy obłok. Wyłączył tranzystor. Cisza. W Londynie południe, przerwa na herbatę. A w Polsce? Nie mam pojęcia, myślał, zamykając oczy. Nie wiem, co to jest Polska.

O świcie alarm, muzyka dzwonek i huk basów. Jagoda i Antoni szarpnęli siatkę po tamtej stronie namiotu i wydzielali się:

– Korwin, przyszli! Korwin, są! Hop, hop, Korwin! Są!

– Easy, easy – mrucał zaspany. – Co za dzikie wrzaski pośród nocy? Kto przyszedł?

– Przyjaciele. Czarny wódz i jego ludzie.

Hatuata w towarzystwie kilkunastu współplemieńców stał na odległość dobrego pchnięcia kulą. Korwin rozpoznał między jego świtą wyschnięte ciało czarownika i jędrne krągłości Ikaahuy.

– Niech poczekają – zdecydował. – Bez pośpiechu.

Umył się starannie, a potem wszyscy troje flegmatycznie jedli śniadanie. Tubylcy stali wciąż w tym samym miejscu. Tylko Ikaahua podeszła do palmy i wspinając się na palce, zerkała spoza włochatego pnia. Ikaahua, moja narzeczona. Korwin kiwnął na nią. Ukryła się za palmą, a kiedy wykrzyknął jej imię, odwróciła się i kołysząc nagimi biodrami, wróciła do swoich.

– Na jej miejscu zakochałabym się w tobie, Korwin – powiedziała Jagoda. – Jesteś taki inny. Antoni od biedy mógłby udawać Mulata. Ty powinienes ją intrygować.

– Nie mierz jej swoją mentalnością – dociął Korwin.

– Dlaczego? Przecież jest też kobietą.

– Ale nie rozwydrzoną Europejką

– Ech, Korwin, co to ma do rzeczy. Założę się, że nie różnimy się wiele od siebie.

– All right, otworzę dla nich konserwę. I wyjmij sucharki.

Z otwartą puszką wołowiny i paczką sucharów Korwin podszedł do tubylców. Pozdrowił ich i Hatuate odpowiedział mu pozdrowieniem.

– Mięso – powiedział Korwin. – Proszę, wy jedzcie mięso.

Podał puszkę z łyżeczką wodzowi. Hatuate obejrzał puszkę i powiedział coś do czarownika. Czarownik wznosił oczy ku niebu. Hatuate zagłębił łyżeczkę w puszcze. Potem z przymkniętymi oczyma i w rozmodleniu rozcierał długo mięso językiem o podniebienie, a jego współplemieńcy łykali ślinę i grdyki im się poruszały. Wódz przekazał puszkę czarownikowi i czarownik powtórzył ten sam ceremoniał z rozcieraniem mięsa pod podniebieniem, z przymykaniem oczu i rozpamiętywaniem przeszłości. Następnie czarownik oddał puszkę do tyłu i zwrócił się do wodza skrzekliwym, rozedrganym patetycznie głosem.

– Co mówi? – spytał Korwin.

– Mówi dobry. Mówi mięso z niebo – Hatuate podniósł dłoń do góry. – On pamiętać. Ja pamiętać. Ten sam mięso.

Głos wodza zdradzał wzruszenie. Korwin uśmiechnął się przyjaźnie.

– No, widzicie. My dać mięso, co dzień mięso z niebo – wy pracować. Okej?

Antoni i Jagoda nie tracili czasu, rozdawali kilofy i łopaty. Tubylcy brali je i czekali na decyzję wodzów. Hatuate powiedział:

– Nie okej. Nie pracować. Nie wolno.

– Dostaniecie mięso – przekonywał Korwin. – Takie samo jak z nieba.

Pusta puszka wróciła do Hatuate. Wódz trzymał ją oburącz.

– Ten sam – powiedział. Jego oczy błyszczały, oczy mistyka, który doznał objawienia.

Przycisnął puszkę do serca. – Hatuate dziękować.

Potem zwrócił się z kilkoma słowami do swoich. Wszyscy poruszali się jak na komendę i złożyli pod palmą narzędzia, miękko, ostrożnie, żeby nie uszkodzić albo żeby nie obrazić. Więcej nie dyskutowano, tubylcy zawrócili i odeszli.

– Zostawili suchary! – zdumiała się Jagoda.

– Niech ich drzwi ścisną! – zaklął Antoni.

– Easy – uspokoił go Korwin. – Nie klnij. Łapiemy się za kilofy, Jagoda weźmie łopatę.

Trochę porobimy.

Wzgórze było nagie i bezdrzewne, twarda ceglasta ziemia jęczała pod ciosami kilofów, oni uderzali w nią i kopali wystawieni na łup palącego słońca, pot spływał z nich strugami i byłoby całkiem nieznośnie, gdyby nie to, że na tej wysokości wiał wiatr od oceanu, przynosząc powiew słony i wilgotny. Dochodziła ósma, kiedy zapalili pierwszego papierosa. Jagoda wcisnęła się w cień czegoś, co mogło uchodzić za tamaryszek, i zrzuciła mokry stanik – (nie patrz, Korwin, ty też nie, Antoni, tutaj jest równość) – ale mężczyźni nie zareagowali, pracowali bez przerwy.

– Oni patrzą – powiedziała naraz Jagoda.

Antoni przerwał pracę.

– Co? Gdzie? Przecież się schowałeś!

– Na was patrzą.

Korwin rozejrzał się. U stóp wzgórza nie było nikogo. Gdzie ona ich widzi? Ach tak, na sąsiednim wzgórzu. Było ich sporo, cała gromada czarnych cherlaków.

– Muszą mieć świetny wzrok – zauważył Antoni – bo ja na przykład nie mogę nikogo rozróżnić.

– Wystarczy im, że widzą dwóch białych i migające kilofy. Mają teatr za darmo, koki złamane – złościł się Korwin.

– Frajerze, to oni nas mają za koków. Za koków, którzy dla marnego bilonu pocą się

zamiast leżeć brzuchem do góry.

– Skąd wiesz? Może nam zazdroszczą?

– Nam? Czego? – rzucił Antoni. – Pot mi się wgryzł w pachwinę.

– Chłopie, przecież nie macha się rękami tylko dla waluty! Przecież człowiek lubi czasem porobić.

– Bo jest kokiem! – Antoni zaśmiał się. – Oni rozumieją, że praca to kara boska.

Człowiek spoza Wyspy zeżarł jabłko i musi tyrać, aż mu się robią odciski na barkach, ale człowiek na Wyspie nie grzeszył, jego kara nie dotyczy, nim mają się opiekować przodkowie, a on ma leżeć brzuchem do góry i czekać na amerykańskie konserwy.

– Jeśli tak myślą, to niedużo wiedzą o pracy – powiedział Korwin.

– Ty dużo wiesz?

– Wiem, że jak rąbnę kilofem, to czuję, że mam mięśnie. Popatrz! – Korwin nabrał tchu i zamachnął się. Spod kilofa przysnęły czerwone grudki. – Popatrz! – Zamachnął się znowu. Z płuc buchnął jęk powietrza. – Popatrz!

– Uwważaj, bo Wyspa się rozleci – powiedział ponuro Antoni. Jagoda wychyliła się spoza krzewu.

– Korwin, machnij no jeszcze raz – poprosiła. – Nie masz pojęcia, jak zabawnie ci się mięśnie napinają.

Antoni warknął:

– Zakryj cycki.

– Wygląda jak bóg słowiański – zachwyciła się Jagoda.

– Zakryj, do stu diabłów!

– Muszę je opalić – odparła, a w jej głosie cieniującym wysokie tony wyczuwało się lekki dysonans. – Za duży kontrast – dodała spokojniej.

– Zakryj – burknął Korwin. – Nie musisz ich opalać, mogą być, jakie są.

– Odpowiadają ci? – spytała.

– Najzupełniej – uciął Korwin. Kątem oka dostrzegł, że Jagoda go posłuchała. – Popatrz, Antek, oni tam wciąż jeszcze tkwią.

– Nie mogę pracować pod ich spojrzeniem. Zupełnie jakby się z nas nabijali.

– Ja ci mówię, że nam zazdroszczą.

– Nie, nabijają się.

– Chciałbym im móc wytłumaczyć, że lubię pracować – westchnął Korwin.

– Ja nie lubię. Piecze mnie w pachwinie.

Korwin, z dłonią u czoła, usiłował rozróżnić twarze tubylców.

– Szkoda, żeśmy nie wzięli z namiotu lornetki – powiedział.

– Po co ci?

– Zobaczyć, czy jest tam Ikaahua.

– Aha, podoba ci się! – zawołała Jagoda.

– Niezadługo każda mi się będzie podobać.

– Nawet ja – roześmiała się. – Biedny Korwińcio. – Zbliżyła się i pogładziła go po ramieniu. – Mój biedny, biedniūci. Dostaniesz na pociechę buziaka. No, schył się, drągalu.

Pozwolił jej pocałować swój zakurzony policzek. Antoni zawołał:

– Malinko, po co go drażnisz?

– On jest biedny. Nie powinniśmy byli pozwolić, żeby przyjeżdżał sam.

– Będzie miał Ikaahuę – przypomniał Antoni.

– A ty mu zazdrościsz!

– Co mam zazdrościć. Wezmę sobie Banu. To dopiero dziwka!

Jagoda znów pieściła ramię Korwina.

– Właściwie to, Antek, świństwo – mówiła – że my jesteśmy we dwoje, a on sam.

Antoni przestał pracować.

– Co takiego? – spytał.

– Nic. Ale to świństwo. Biedny Korwińcio.

– Przestań go drażnić.

– Nie bądź egoistą, Antek. Jemu się też trochę należy. Drażnię cię, Korwin? No, spójrz na mnie.

Zaczyna się, pomyślał. Matriarchat. Zrzucił jej dłoń ze swojego ramienia.

– Tak, drażnisz mnie – powiedział. – Najlepiej nie zbliżaj się do mnie.

Odpowiedziała ostro:

– Robię, co chcę! I będę robiła.

– Malinko! – zawołał Antoni.

– Nie podoba ci się? – spytała. – To weź sobie Banu! Rozwód możesz dostać nawet tu.

Antoni nie podjął tematu. Spojrzał na sąsiednie wzgórze:

– Stoją i patrzą. Nie można pracować pod ich spojrzeniem.

– Zróbmy przerwę – zaproponował Korwin.

Rozsiedli się pod krzakiem i pili zimny sok grapefruitowy z termosu. Piekielnie dużo roboty, myślał Korwin, przyglądając się czerwonym grudom. Najważniejsze, że zaczęliśmy. Potem może się złapią za robotę tubylcy.

– Przydałaby się koparka – odezwał się Antoni.

– Nie, mogłaby narobić szkód. To trzeba robić ręcznie.

– Ile taki posąg jest wart?

– Diabli wiedzą. Williams obiecał sto funtów od sztuki.

– Jedenaście sztuk pokryje pożyczkę – obliczyła. – Boys, to nie jest zły interes.

– Pod warunkiem, że jakiś dobry przodek odwali za nas całą tę robotę – powiedział

Antoni. – Piecze mnie we wszystkich możliwych otworach.

– Co z twoim ojcem, Antoni? – spytała Jagoda. – Nie możemy na niego liczyć?

Antoni chrząknął; możliwe, że był to krótki, urwany śmiech. Zrobiło się cicho. Korwin leżał ze wzrokiem utkwionym w pustce nieba, nieruchomy błękit oślepił i ogłuszał.

– Mój stary – wychrzząknął Antoni. – Hell! Znasz go przecież, jemu tylko baby w głowie. Na stare lata wciąż jeszcze się wygłupia. Teraz wziął sobie jakąś ścierkę z przedmieścia, ona czeka tylko na jego śmierć. Nigdy o mnie nie dbał, nigdy – uświadomił sobie Antoni i żal w jego głosie wydał się Korwinowi wyjątkowo ostry, bliski łez. – Te dzikusy powinny się o nim dowiedzieć, zrozumieliby, że ich przodkowie nie muszą być lepsi. Nie, to nie był ojciec, Malinko, nie zostawia się kobiety z dwojgiem małych dzieci i zwiewa w świat, ale o czym tu mówić, ja też nie będę lepszy, wszyscy są tacy sami, Korwin, możemy liczyć tylko na siebie.

Ma rację, pomyślał Korwin, cholerny świat, cholerne porządki, ale powiedział:

– Jeśli już o to idzie... Jeśli o to idzie, to się mylisz. Mój ojciec był inny. Na mojego ojca mógłbym liczyć.

– No to pomódl się do niego! – wykrzyknęła Jagoda. – Może jest tu gdzieś nad nami, co?

– Nie – uśmiechnął się Korwin – tu go nie ma. To nie to niebo.

– Nad Londynem?

– Nie. Nad Polską.

Nad Polską, myślał, pocąc się pod płótnem namiotu, nad krajem, z którego pochodzę i którego nie znam. Nigdy nie widziałem grobu mojego ojca, nie złożyłem kwiatka na jego mogile. Nie wiem, jak wygląda cmentarz, chociaż domyślam się, że jest dużo zieleni, szpalery brzoź,



ziemia paruje ciszą, rzędy krzyży, zbiorowe mogiły tych, którzy padli w powstaniu. Między nimi jest mój ojciec, druga kompania porucznika Wita. W dzień zaduszny nieznani ludzie zapalają świeczki pod tablicą z napisem. Antoni na swojego starego nie może liczyć, ale ja na mojego mógłbym, tylko że mój pchał się do każdej awantury, nawiał z niewoli, pracował w konspiracji, przedostał się do Warszawy, żeby zdążyć do powstania. Antoni nie może liczyć na nikogo, żyje chwilą, ale nie jest ta chwila zła, śpi teraz w jej ramionach, podczas gdy ja tu leżę sam, napięty jak sprinter na chwilę przed wystrzałem startera. Korwińciu, biedniūci, też ci się coś należy. Słowa. Należy mi się może Ikaahua, może jakaś Kachna albo Kitty, ale przecież nie ona, która jest żoną Antoniego, a ja byłem świadkiem na ich ślubie. Należało dziewczynę zostawić w Londynie i wszystko byłoby prostsze, ale wówczas nie zostałby może zawarty ten cały ślub, bo to ona, dziewczyna z Białegostoku, parła na Wyspę Forstera, może dlatego tylko wyszła za mąż, żeby pozełgować między Papuasy, żeby przeżyć coś niezwykłego i niebiałostockiego, coś niesłychanego (fenomenalne, fantastyczne, fajowe, wdechowe, uderzeniowe – takimi określeniami sypała dziewczyna z Polski), przeżyć to – a potem, co potem – potem będzie mogła wrócić, oczywiście do Polski – i opowiedzieć. Jeśli tak, jeśli mam rację, że tylko dlatego wzięła sobie Antka, to jestem trąba, bo to ja mogłem się z nią ożenić, biedny Korwińcio. Usłyszeć wystrzał startera, pomyślał, i runąć naprzód, dobiec zwycięsko do mety, przerwać taśmę i rzucić się na trawę, znużony, rozluźniony. And now, hell, what about me? – pomyślał jeszcze i ledwie przemknęła ta myśl, nieuchwytna jak zjawia senna, usłyszał skrzek za namiotem, także po angielsku, jakby ktoś mu odpowiadał.

– May I?

Co się wygłupiasz, chciał zawołać, ale naraz uświadomił sobie, że to nie był głos Antoniego. Porucznik Nawtedż („pisze się N-a-v-t-e-j, panie Korwin”) stał u progu z butelką, puszką i termosem. Naturalnie, proszę wejść. You are welcomed, sir, witamy po staropolsku, wy Hindusi i my Polacy...

W butelce była wódka, w puszcze sok grapefruitowy, a w termosie kawałki lodu. Proszę siadać, zaraz otworzę puszkę, będzie świetny koktajl. Czy to prawda, spytał Hindus, że to właśnie gdzieś w tych okolicach kapitan Cook wymyślił koktajle? Wszystko jedno, fuck'em all. Gdzie jest lady Yagoda? Śpi w swoim namiocie. Hindus bąknął nieśmiałą uwagę na temat Malinki, taka niedomówiona aluzyjka anatomiczna, a zresztą do diabła z kobietami, napijmy się tej trucizny. Nie żałował tym razem wódki, nie – a wie pan dlaczego? – nie mam pojęcia – pojutrze przyplywa statek ONZ, dostałem depeszę, zawinie tu „Dag Hammarskjöld” i przywiezie kilka skrzynek, co pan na to?

– Pańskie zdrowie – powiedział Korwin. – Nasz statek ma zawinąć za pięć tygodni, ale obawiam się, że wyjedziemy stąd bez posągów.

– Widziałem dziś rano przed pańskim namiotem wodza i jego ludzi.

– Przyszli tylko na małe śniadanko.

– Wódz chwalił pana, że dusza pana jest wielka i szlachetna.

– Jestem szlachetnym narzędziem w ręku jego przodków?

– Coś w tym rodzaju. Chwalił też konserwę. Taka sama jak z nieba.

– Ale łopaty kazał ludziom odłożyć.

– Obawiam się, że to jest beznadziejna sprawa. Oni już nigdy nie będą pracować.

– Tak pan myśli? Warto to opić – powiedział Korwin, żeby powiedzieć cokolwiek. Z sąsiedniego namiotu dobiegło zduszone westchnienie. Mój Boże, na taki upał, kiedy jeszcze pieką go pachwiny. – Jaka będzie przyszłość tego ludu? – spytał Korwin.

– Nie wiadomo. Możliwe, że należałoby ich rozesać na różne wyspy. Żeby ustało to, co moglibyśmy nazwać naciskiem opinii publicznej. Wtedy każdy będzie odpowiedzialny sam za

siebie. Ale wtedy przestaną być narodem.

– Po co im być narodem? – spytał Korwin. – Niech żyją, gdzie mogą i niech będą szczęśliwi.

– Nie warto nikogo uszczęśliwiać na siłę, panie Korwin. Byłby to gwałt, a mój rząd jest z zasady przeciwny przemocy.

– Czy pan myśli, że im jest dobrze na duszy z tym nieróbstwem? – zastanawiał się Korwin.

– Bardzo możliwe. Czerpią rozkosz z siły swojego charakteru. No i z wiary, że słusznie czynią.

Korwin rozpaczliwie szukał argumentów. Najpierw trzeba przekonać Hindusa, potem może się uda urobić Papuasów. Gdyby przestał dawać im zupę! – pomyślał nagle. Tak, w tym byłby ratunek.

– Pan wie, że człowiek jest istotą twórczą – zaczął. – Stworzeniem pełnym niepokoju, które szuka okazji do zmanifestowania siebie. I kiedy widzi rezultaty swojej pracy – może być szczęśliwy.

– Wierzę panu na słowo – przerwał porucznik. – Ale w takim razie może być szczęśliwy, również zwalczając w sobie ten nałóg. Nie pracować – to może być taka sama idea, jak nie palić albo obywać się bez mięsa. Wie pan co? Oni są tacy gandhiści, tylko że bez celów politycznych. Stawiają bierny opór samej naturze, samemu Panu Bogu. Dla mnie są wzruszający.

Korwin dolał do wódki soku. Nareszcie mogę rozrzedzać, nareszcie nie muszę udawać dzielnego Polaka. Ale rozrzedzone whisky nie smakowało tak jak to wczorajsze, piekące. Natura Polaka – pomyślał z ironią. Natura Hindusa pozwoliła tamtemu wykręcić wszystko na gandhizm i otrzymać w wyniku wzruszenie. Gdzieś tu tkwi błąd. Napijmy się wódki, może zrozumiemy. Aha, złapałem.

– Ale trwają przy życiu dzięki temu, panie poruczniku, że w Indiach, Polsce i w Anglii jakieś osły wstają co rano do pracy, nie stawiając biernego oporu naturze. Żyją dzięki pańskiej zupie z mięsem. I jeszcze robią z pana durnia!

– Ze mnie? – obraził się porucznik. – Dlaczego?

– Dlatego, że uznali pana za marionetkę w ręku przodków. Nie pomagają nadruki „United Nations” na każdej puszcze.

– Wszystko mi jedno. Wykonuję swoje obowiązki.

– Dla zgrai leniuchów! Te koki nie chcą pracować, panie poruczniku, bo w tym klimacie nikomu nie chce się pracować. Pieprzą coś o przodkach i dzieciach, ale lady może panu powiedzieć, że w Polsce jest odwrotnie: pracuje się po to, żeby dzieci, a może dopiero wnuki coś z tego miały.

To śmieszne, zreflektował się, to strasznie śmieszne, że powołuję się na kraj, że z niego czerpię argumenty, nigdy bym się tego nie spodziewał, i jeszcze biorę Jagodę na świadka, dziewczynę, która tam nie chciała wrócić, Hindus zaś przyjmuje to serio i nie znajduje żadnych kontrargumentów, do tego stopnia, że usiłuje wykręcić się żartem:

– Bo Polacy to nałogowcy! Lady dobrze zrobiła, że przyjechała na Wyspę, gdzie mądrzy mieszkańcy kombinują, jak nic nie robić.

– Mądrzy! – zawołał Korwin. Nie panował nad sobą. Ta wódka i ten upał, i wspomnienie Williama, oszust, któremu jesteśmy winni tysiąc sto funtów plus procenty. – Ci mędrzy żyją z naszych składek!

Hindus płukał spokojnie podniebienie. Potem przełknął wódkę i odpowiedział:

– Pan słyszał, co Hatuate mówił o polityce i propagandzie? Oni się wyłączyli z całego współczesnego świata. Obce im są dążenia, które nas doprowadzają do nieustannych katastrof.

Kaszmir, Himalaje, Cypr, Wietnam, Berlin, rozdarty świat, bijący się o doktryny, prestiże, surowce, kawałki pustyń i odłamki skał. Pan chciał o tym przypomnieć wodzowi, a on na to: niepotrzebnie, człowiek rodzi się nie do tego. Oni też mają swoją Biblię, swój pogląd na stworzenie świata, tylko u nich Kain może nie zabił Abla, może obaj pomarli z głodu, nie wiem, w każdym razie Biblia bez Kaina to byłaby nowość. Niepotrzebne – strasznie mi się to sformułowanie spodobało. Sława? Podboje? Eksport? Niepotrzebne.

Hindus śmiał się i kręcił z podziwu głową, nie wiadomo było, czy podziwiał tamtych naprawdę, czy dawał do zrozumienia, że tu się nic nie da odmienić, na niego nie ma co liczyć. Korwin wstał z łóżka, zrobił dwa kroki, doszedł do wyjścia z namiotu, zobaczył toń nieba, nieruchomy obłok przypominał kształtem wczorajszy. Hindus przestał się śmiać, urwał nagle, jakby przypomniał sobie coś smutnego. Korwin wrócił do stolika.

– Dobrze mu mówić, temu pańskiemu Hatuate – powiedział. – On jest u siebie. Ma Wyspę, do której żaden sąsiad nie zgłasza poprawek granicznych, a zamiast rolnictwa i przemysłu ma przodków, którzy go dożywają! W takim świecie Biblia naprawdę może być inna, nigdy nie było wygnania z raj, bo dokąd? – brak im wyobraźni przestrzennej. Przecież to fantazji! – zawołał. – Wyobrazili sobie jakiś inny, utopijny świat. Ale to nie dla nas, panie poruczniku, my mamy inne doświadczenia. Możliwe, że wy, Hindusi... Przepraszam, ale pan może liczyć na to, że kiedyś tam ojciec rzuci panu paczkę z nieba?

Nawtedź skubał wilgotną brodę.

– Tak, on by to zrobił – powiedział. – Gdyby sobie mógł pozwolić. Był nauczycielem wiejskim, pracował za garść ryżu. Jako dziecko zawsze byłem głodny, panie Korwin, i kiedy teraz piję scotch z lodem, myślę sobie, chciałbym, żeby ojciec to wszystko widział, ten termos, ten elektryczny wiatraczek, mój mundur i nawet numer „Playboya” z gołymi tyłkami białych Kanadyjek. I pana, i pańskich przyjaciół też. Nas było jedenaścioro dzieci, panie Korwin, nie licząc tych, które pomarły. Pan wie, co znaczy „Nawtedź”? „Światło dnia”. Ale takich światła miał mój stary za dużo i nie mógł nawet naszych imion spamiętać. Potem, kiedy Indie otrzymały niepodległość i Pendżab został podzielony, musieliśmy opuścić naszą wioskę. Była to wędrówka ludów, panie Korwin, coś dla filmu, szeroki ekran i kolor. Hindusi szli w jedną stronę, a muzułmanie w drugą, zaczęły się gwałty i morderstwa, wyrzynanie się zamiast biernego oporu, tysiące trupów. Mój ojciec spłonął wtedy w wagonie podpalonym przez muzułmanów, on i kilkoro rodzeństwa, a ja się uratowałem. Służę teraz w wojsku na tej Wyspie. A właściwie co za różnica, moja rodzinna wieś znajduje się w Pakistanie, no to i tak nigdzie nie jestem u siebie.

– A w Londynie? – spytał Korwin zaczepnie.

– Ach, Soho, well, chyba nie myśli pan serio, że Hindus może czuć się u siebie w Londynie?

Nie, nie myślę, chciał odpowiedzieć Korwin, ale nie powiedział nic, popatrzył na pusty kieliszek, rozmowa się urwała. Bohaterowie Hemingwaya zawsze w takiej sytuacji piją, fuck'em all, nie chce mi się pić, nie muszę, nie potrzebuję. Hindus rozczesywał szpakowatą, spoconą brodę. On też nie musi pić, ale pije, bo nigdzie nie jest u siebie – skąd ja to znam, chyba ze słyszenia – a więc pojutrze zawinie statek, przywiezie nowy transport skrzynek i puszek, a do tego czasu trzeba jakoś przegadać upał. Hindus zagarnął ze stołu butelkę z resztką whisky – przepraszam, panie Korwin, musi starczyć na jutro, idę pod swój wiatraczek – był z lekka rozczarowany, nie ukrywał tego, nie, gadało się dobrze, ale przyszedł tu zerknąć okiem na Polkę, a good piece of ass, jeszcze mu się nie opatrzyła, lepszaniż te z „Playboya”, a najważniejsze, że trójwymiarowa, jak żywa.

– Proszę przekazać lady wyrazy najgłębszego szacunku – powiedział Nawtedź, odchodząc. Został po nim w namiocie ciężki zapach smażonej oliwy, potu i perfum.

Nie przesadzajmy – powiedział Antoni, kiedy Korwin dał hasło, żeby znowu iść na wzgórze. – Ziemia jest cholernie nagrzana i nie ma sensu, żebyśmy się wykańczali. Rano porobiliśmy trochę i wystarczy.

– W ten sposób nigdy nic nie wykopimy.

– I tak nic nie wykopimy bez pomocy tubylców. Na podietę dosyć tego, cośmy zrobili. Korwin krążył niespokojnie po namiocie. Jagoda nie spuszczała z niego oczu.

– Antek! – wykrzyknęła. – Spójrz, ile w nim energii! Tygrys Oceanii!

Korwin zatrzymał się przed nią. Chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

– Gdyby wzrok mógł zabijać... – szepnęła dramatycznie.

– To przez ciebie on się mazgai! – wycedził Korwin. – Daj mu wreszcie urlop!

Zaśmiała się.

– A tobie oskoma? – spytała i wysunęła język.

– Malinko! – Aha, Antoni uznał za stosowne interweniować. – Zachowujesz się jak chamka.

Teraz buźka w ciup, głosik pieczosik, oczy dziewczątka:

– Biedny Korwińcio.

– Zamknij się – warknął Korwin.

– Słusznie, bracie – pochwalił go Antoni. – Tak z nią trzeba!

Jagoda miała tego dosyć.

– Pocałujcie mnie, wiecie... Obaj!

Ale kiedy odwróciła się, wypinając zad, nie wyszło to wcale jak u przekupki na bazarze, nawet usiłując ich obrazić, zachowywała styl, zakręciła kuperkiem jak rozkapryszona dziewczynka, o, tutaj całować, tutaj.

– Nawteż powiedział – zwrócił się Korwin do Antoniego – że pojutrze zawinie tu jacht z Oenzetu. Może zabrałby Jagodę?

– Niezła myśl – zgodził się Antoni.

Kobieta wyprostowała się gniewnie. Nie było już kokietowania kuperkiem. Jej twarz wykrzywiła się, a uniesione w górę dłonie zacisnęły. Chwila, a rzuci czymś ciężkim w łeb.

– Chamy! Banda łobuzów!

Korwin starał się ją uspokoić:

– Nie wściekaj się, dziewczyno. Jeśli mamy z Antonim popracować, musimy cię odesłać. Jagoda podeszła do męża.

– On to wszystko przez zazdrość – powiedziała.

Masz rację, zareagował w myśli Korwin, no i co z tego.

– Mnie idzie o konserwy – tłumaczył. – Umiesz liczyć do trzech? Bez ciebie starczy na dłużej i więcej wykopimy.

– Dobrze, kopcie sobie. A co będzie ze mną? Gdzie mam się podziać?

Korwin nie odpowiedział. Antoni poruszył się na łóżku.

– Korwin, ona musi tu zostać, z nami.

– No pewnie – zgodził się od razu. – Chodźmy do roboty.

– Dzisiaj już nie. Piecze mnie w pachwinie.

– Dobrze, no to nie. Przyniosę ci talku.

Korwin wszedł do swojego namiotu. Kiedy uklękł na ziemi, żeby wyciągnąć spod łóżka skrzynkę z medykamentami, usłyszał stąpanie bosych stóp i znieruchomiał. Wtargnęła do mojego namiotu! Talk, wziąć talk. Sto razy jej mówiłem, że nie wolno chodzić boso. Wciąż klęcząc, wpatrzony w białą skrzynkę z czerwonym krzyżem, słuchał jej przyspieszonego oddechu.

- Wróc do Antka – powiedział wreszcie.
- Korwin – usłyszał jej śpiew – naprawdę mnie nie lubisz?
- O Boże, dlaczego ona udaje, że nic nie rozumie?
- Lubię.

Podniósł białą skrzynkę i postawił na stoliku. Jagoda przypatrywała mu się ciepłymi oczyma, te polskie dziewczyny, pomyślał, naraz tyle tliwości. Ach, zdecydować się, przyciągnąć ją do siebie i niech wreszcie się stanie.

- No i co? – odezwał się.
- Korwin, jak masz właściwie na imię? – spytała.

– Nie pamiętam – zażartował. – Zawsze nazywano mnie Korwin. Najpierw w sierocińcu, a potem już tak zostało.

Położyła mu dłoń na nagim ramieniu. Nie powiedziała „biedny Korwińcio”, nie, jej dłoń przebiegła po szyi i wczepiła się we włosy.

– Ignacy – powiedział, czując rozchodzący się po ciele ciężar tego dotyku. – Śmieszne, co?

- Ignas – powtórzyła. – Rzeczywiście, trochę śmieszne. Ale miłe.

Teraz ją obejmę i stanie się. Serce zabiło mu mocno. Uwaga, na miejsca. Czarny żużel bieżni i białe pasy pędzące w horyzont. Gotowe. Ryk urwał się nagle, stadion zamarł w napięciu.

- Wracaj do Antoniego – powiedział. – On myśli, że Bóg wie co. Wracaj!

Nie patrzył w jej stronę i tylko słyszał, jak wyfrunęła z namiotu. Przez chwilę stał, czując łomot krwi w skroniach. Pistolet nie wystrzelił, gwizdek startera odwołał bieg. Stadion huczał zawiedziony. Jeszcze chwila i nastąpi rozluźnienie. W porządku, odpłynęło. Z pudełkiem talku Korwin wrócił do namiotu Antoniego.

– Malinka zameldowała mi, że między wami wszystko w porządku – powiedział Antoni. Obejrzał obsypane talkiem wstydlive miejsca. – Jutro będę pracować. Jak się nazywa ten statek, Korwin?

- „Dag Hammarskjöld”.
- Nie znam. Może uda się kupić coś dobrego w bufecie.
- Przydałyby się karty – odezwała się Jagoda.
- Tak, to prawda – przyznał Antoni. Otworzył tomik Cendrarsa.
- Tylko nie czytaj na głos – uprzedził Korwin.

Jagoda roześmiała się, a po chwili westchnęła:

- O Boże, nuda jak w świetlicy.

Korwin wyszedł z namiotu. W bazie Narodów Zjednoczonych dwaj hinduscy żołnierze nalewali wodę do kotła. To przez tę zupę, pomyślał Korwin. Przez ich cholerną filantropię tubylcy nie idą do roboty. Głód zmusiłby ich do pracy. Nie wierzę, żeby głód nie mógł sobie z tym głupim przesądem poradzić. Głód, powtórzył w myśli, głód i miłość.

Przed zachodem słońca dźwięk bębna zwołał głodnych na zupę z mięsem. Ustawili się w kolejce, brodaty kucharz rozlewał zupę do puszek po konserwach, porucznik z trzcinką w rękę kroczył obok tubylców i pokrzykiwał. O zmierzchu dźwięk bębna zwołał najedzonych na modły. Zapłonęły ogniska, wtoczono drewnianego ptaka, rozpoczęły się zawodzenia – oooo! – pienia modlitewne – oooo! Naga Ikaahua kuśiła bóstwo rozkwitającym ciałem, potem Banu ofiarowała bóstwu swoje bogate umiejętności. Polacy zeszli ku zatoce, pożyczili od porucznika motorówkę i wypłynęli na osrebrzony księżycowym światłem ocean. Krążyli wokół wyspy, przyglądając się ciemnym, nieruchomym sylwetkom wzgórz. Piękna i tajemnicza ziemia, gdyby wydrzeć jej skarby, można by spłacić długi, byłaby gotówka, domek, auto, może jakiś pamiętnik, niech diabli porwą tych czarnych leniuchów. Aleśmy się nacięli – myśleli, wracając w milczeniu do zatoki.

Umilkły już pienia, wypaliły się ogniska, wyspa spała, krzyczały tylko ptaki (musiały być ogromne i kolorowe) i z zatoki dobiegało chleptanie fal wpełzających między skały i liżących nadbrzeżne kamyki. Ten Australijczyk musiał wszystko wiedzieć, myśleli, zbliżając się do namiotów, wszyscy troje myśleli o tym samym – wiedział wszystko, nie mógł sobie sam dać rady, dlatego nas napuścił na ten interes. Wiedział więcej niż my, skoro zdołał sporządzić plan Wyspy i oznaczyć miejsca, w których trzeba kopać.

– Do jutra – powiedział Korwin, zatrzymując się przed namiotem.

– Nie wejdiesz? – spytała Jagoda z uśmiechem. Zupełnie jak w Londynie: darling, może wpadniesz do nas na chwilę, będzie kawa i trochę muzyki. – Co będziesz teraz robił?

– Chyba jednak pośpię sobie.

Antoni, znajomym wieczornym gestem, położył dłoń na ramieniu Jagody.

– No to dobranoc, stary – powiedział.

– Dobranoc. Budzę o pół do piątej – uprzedził Korwin. – Zaczekajcie – zatrzymał ich nagle. Zdawało mu się, że słyszy łopot płótna w swoim namiocie. Zwierz? Ale ta wyspa nie знаła zwierząt. To może ptak? Nie, złudzenie. Tam jest tylko ciemność, pustka – i jeszcze tranzystor, na którym złapie Australię. Nie było wiatru i płótno nie mogło łopotać, nie, to z zatoki jakaś przedpotopowa bestia wśliznęła się na wyspę i głośno czkała, to ocean łykał skały. – Zaczekajcie – powtórzył Korwin. – Nie myślcie, że coś jest w tym gadaniu? Jakaś dobra zasada. Nie wolno tak zostawiać potomstwa. Mój stary by mnie nie zostawił na pastwę losu. Ale co ja o nim wiem. Kiedy zginął, byłem już z matką w Teheranie. Nie wiem nawet, jak wygląda jego grób...

– Zajdź do nas, Korwin – powiedział miękko Antoni. – Zajdź, porozmawiamy sobie.

– Nie, posłucham muzyki.

Zawrócił i wszedł do swojego namiotu. Ciemno. Nie ma ptaka, nie ma zwierzęcia, a ten oddech, który pulsuje w namiocie, to mój własny, a ten szum to ocean. Stał w ciemności pełen niepokoju, serce waliło, co do cholery, przecież się nie boję, nie, ale tu ktoś jest, jakiś ciemny wór nad łóżkiem. Hell! – zaklął półgłosem. Ciemny wór poruszył się. Człowiek! Ręka Korwina obmacywała stolik, gdzieś tam powinna leżeć latarka, usta mruzczały „you damned bloody creature, what are you doing here”, latarka upadła na ziemię, cholera, schylić się czy nie schylić, stracę kontrolę nad tym czarnym worem – ale zanim się na coś zdecydował, usłyszał zachrypnięty dziewczęcy głos:

– Pan...

Powiedziała „mister”, musiała znać kilka słów po angielsku, skąd się tu wzięła i która to była, przysłali ją czy sama się zakradła, „pan” – brzęknęło raz jeszcze znad łóżka, jak szkłem, schylił się i szurając dłonią po macie, natrafił wreszcie na latarkę. Tamta zeskoczyła z łóżka, trzeba było zatarasować wyjście – pomyślał natychmiast, teraz mi wyfrunie, ale nieznajoma nie uciekła, stała obok i powtarzała:

– Pan. Ikaahua... Ikaahua... pan...

Tak przypuszczałem, pomyślał z satysfakcją. Rzucił na nią snop światła. Zmrużyła oczy, twarz jej skrzywiła się i zbrzydła. Miała na sobie naszyjnik z białych muszelek, a na biodrach przepaskę z kolorowego płótna. Zasłoniła twarz dłońmi.

– Pan, nie – szeptała, drżąc na całym ciele. – Nie. Nie.

Zgasił latarkę. Bała się! Więc dlaczego przyszła? Krzyknął:

– Ikaahua złodziej? Pracować nie, kraść tak? Przyszłaś tu kraść? Chcesz więzienie?

Chcesz policja?

Wiedział, że ona nie może go zrozumieć, nie wiedziała, co to znaczy policja i więzienie, ale nie miało to znaczenia, trzeba było krzyczeć, powinien jej być wystarczyć jego podniesiony głos. I rzeczywiście, ten krzyk wyzwolił z niej odwagę, przyskoczyła do niego i ścisnęła mu

palcami usta, jej długie paznokcie wpiły mu się boleśnie w policzek.

– Nie! Pan nie! – zaklinała go.

– Okej! – zgodził się. – Pan nie.

Podrapała mnie, dzikuska. Jagoda wszystkiego się domyśli, niepokoił się, pocierając piekący policzek. Mam być cicho, ona tu przysłała w tajemnicy przed tamtymi, zdradziła bóstwo i wodza – dla mnie! Ikaahua przez chwilę rozglądała się po namiocie, potem wgramoliła się na łóżko i usiadła na nim, podwijając nogi pod siebie.

– Pan chodź – szepnęła.

Zbliżył się do łóżka. Odszukała dłońmi jego usta i znów zacisnęła wokół nich palec. Wiem, już zrozumiałem, mam milczeć. Tajemnica.

– Pan kochać Ikaahua – szepnęła swoim szklistym głosem. – Ikaahua kochać pan.

Nie, pomyślał, nie mogę cię kochać. Nie mamy wspólnego szyfru, twoje kody nie są moimi kodami. To się nazywa inaczej, to, co my robimy, chociaż na Piccadilly Circus nazywają to tak samo, make love, robić miłość, *faire l'amour*. Stadion był pusty i ciemny, białe pasy zatarte przez noc, gdzieś w oddali majaczyło kilka sylwetek w dresach. Korwin stanął nad Ikaahua, przechylił jej łagodnie głowę na poduszkę, dłonie położył na jej piersiach, były miększe, niż przypuszczał, a jednak rozkosz, pomyślał, rozkosz w koniuszkach palców, odgadł błysk zębów i oczu – i usłyszał szept:

– Ikaahua jeść.

Powinienem był od tego zacząć, uprzytomnił sobie. Chwilę stał bez ruchu. Potem odszukał latarkę, zaśwycił ją i nakrył kapeluszem. Mamy więc intymne światło. Dziewczyna siedziała na łóżku. Na płóciennej ścianie przedrzeźniał ją niezgrabny cień. Otwierając konserwę, Korwin czuł na sobie jej pełen napięcia wzrok. Zdjął z półki suchary i położył na tacce obok puszek z konserwami. Strasznie jestem śmieszny, myślał, podsuwając jej tackę, zupełnie jakbym przyjmował w kawalerce dziewczynę, która wymknęła się do mnie z przyzwoitego londyńskiego domu. Brak tylko nastrojowej muzyki.

– Ikaahua jeść – powiedział, bo bawił go ten sposób prowadzenia rozmowy, ale nie musiał mówić, dziewczyna natychmiast wbiła palec w mięso, chwyciła suchar, odgryzła kawałek, potem oblizwała palec i znowu wbiła go w mięso.

Korwin usiadł na krzesełku, bokiem do niej, i słuchał gwałtownej pracy jej szczęk, żarłocznego mlaskania i łykania. Biedne, zagłodzone zwierzątko. Zdradziła ich, wymknęła się spod dyscypliny, zdradziła ideę, grupę, wodza i przodków, naplula im w twarz. Ona odgadła wszystko! Spojrzał na nią: oblizywała palce i zaglądała do pustej puszki.

– Koniec – powiedział. – Oddaj.

Nie rozumiała. Jeszcze wygrzebywała palcem kawałeczki mięsa. Wyrwał opróżnioną puszkę z jej ręki.

– Nie ma – powiedział. – Koniec.

A teraz deser, pomyślał, odłamując dla niej kawałek czekolady. Czy źle przyjmuje swoje dziewczyny? Żadna nie powie, że im skąpieć poczęstunku.

Ikaahua była zachwycona.

– Pan kochać – mówiła, rozmazując czekoladę wokół ust, jak dziecko. – Ikaahua kochać.

Podszedł do niej z kubkiem wody i obmył jej usta. Musiało ją to rozbawić, bo śmiała się swoim szklistym, ptasim głosem, a potem chwyciła jego dłoń i przyłożyła ją sobie do brzucha.

– Tu dobrze. Ikaahua dobrze.

Aha, najadłaś się, zrozumiał – i zgasił latarkę. W ciemności słyszał ciężki oddech sytej dziewczyny.

– Pan – usłyszał.

– Co?

Teraz będzie wyznanie. Zasłużyłem sobie. Jeśli nie ja, to moje suchary. Usłyszę, że ona mnie kochać zawsze-zawsze.

– Pan prędko-prędko – powiedziała dziewczyna. – Hatuate zły. Hatuate zabić Ikaahua. Korwin milczał.

– Pan prędko-prędko – prosiła.

– Ikaahua nie kochać – powiedział. – Ikaahua chce jeść.

– Prędko – usłyszał znowu.

Usiadł na krzeselku i zwiesił głowę. Well, zobaczymy, przekonamy się. Wszystkie dziewczyny świata mówią to samo: prędko-prędko. Ale ta jest dziewicą. Hatuate jest zły i może ją zabić.

– Ikaahua kochać? – spytał. Poruszyła się na łóżku.

– Pan – szepnęła. Ale w tym szepcie nie dźwięczała prośba. Ani namiętność. Ani tkliwość. Ptak był zniecierpliwiony.

Korwin siedział nieruchomo na krześle. Niech podejdzie, myślał, niech mnie dotknie dłonią.

– Ikaahua nie kochać – powtórzył.

Tym razem nie odpowiedziała. Zeskoczyła na matę. Nareszcie! Przymknął oczy. Ciemny stadion zaludnił się, rozjarzyły się reflektory – uwaga, na miejsca. Usłyszał kroki Ikaahuy, poczuł palmowy zapach jej potu, potem usłyszał szelest siatki u wyjścia, a wreszcie oddalający się tupot bosych nóg.

Wszystko jak przewidziałem, pomyślał. Ale od tego stwierdzenia nie zrobiło się lżej. Strzepał z łóżka okruchy, poprawił poduszkę i położył się. Tranzystor znajdował się obok, wystarczyło ręką sięgnąć. Ale właśnie tego gestu Korwinowi nie chciało się zrobić. Oni mają rację, pomyślał. Pod powieki cisnęły się łzy.

O świcie Hatuate i jego ludzie znowu zebrali się przed namiotem. Na odległość dobrego pchnięcia kulą, przypomniało się Korwinowi wczorajsze określenie. Wszystko jak wczoraj, wszystko, brak tylko radosnych okrzyków Jagody i Antoniego, którzy tym razem wynosili narzędzia z namiotu w ponurym milczeniu. Codziennie o brzasku ta sama czerwień tak samo rozlana nad wzgórzami. Strzępiasty obłok zajmuje swoje zwykłe miejsce na tym samym skrawku nieba, jak strażnik wracający na stanowisko. I ta jednakowość wszystkich poczynań tubylców, ten bierny rytm, któremu się poddają. Jak ptaki skaczące między prętami klatki. Jakim sposobem nie wpadają w obłęd? A może tak, wpadają, tylko nic o tym nie wiedzą? Przecież to wszystko jest paranoja, oczywiste szaleństwo – że też od razu na to nie wpadłem!

Niczego nie dostaniecie, niczego, myślał mściwie Korwin. Tym razem rytm się załamał. Wódz i jego ludzie przyglądali się w milczeniu trojgu białym, którzy przechodzili obok, dźwigając na ramieniu narzędzia.

– Morning, mister – wymamrotał Hatuate.

Polacy zatrzymali się. Wódz wykrzywił twarz w przymilnym uśmiechu. Obok niego stała Ikaahua, przypatrując się Korwinowi spode łba. Znajomy, szklisty głos powtórzył słowa powitania:

– Morning, mister.

– Korwin, coś im się stało – szepnęła Jagoda. – Chcą robić...

Wódz postąpił krok naprzód.

– Praca? – spytał.

– Tak. Ty chcesz? – Korwin podsunął mu łopatę. – Bierz i pracuj.

Wódz stał prosto jak struna, dzidę trzymał jak żołnierz karabin na „prezentuj broń”.



– Bierz – nalegał Korwin. – Chodź z nami. Praca!  
– Nie – odpowiedział Hatuate. Okrasił odmowę przymilnym uśmiechem. – Nie praca. Nie wolno.

– Zostaw tego połamańca! – zdenerwował się Antoni. – Idziemy!

Poszli więc na wzgórze, a sznur tubylców ciągnął za nimi.

– Czego oni chcą? – denerwowała się Jagoda.

– Idą na widowisko – wyjaśnił Antoni. – Cyrk za darmo!

– Niech tam – uspokajał Korwin.

– No to bierzmy przynajmniej za bilety. Dla mnie Banu, dla ciebie ta mała. Mam darmo być za błazna?

– Róbmy swoje.

Pracowali w milczeniu, zaciekle. Znaleźć uspokojenie w rozrąbywaniu czerwonych grud. Nie myśleć. Gdyby można było nie myśleć, hell, waliłbym kilofem co tchu w płucach. Słońce powoli się podnosiło i upał rósł.

– Papierosa? – zaproponował Antoni.

– All right. Jak pachwiny?

– Bojowo.

– Napijcie się? – spytała Jagoda, odkręcając termos.

– Zaczekaj z tym – zaproponował Korwin. – Jeszcze za wcześnie.

– Ten Australijczyk mówił, że powinniśmy natrafić na jakiś korytarz – przypomniał

Antoni.

– A jeśli Australijczyk jest stuknięty?

– Co? On? Niemożliwe, za dużo wybulił forsę! To dobry kupiec.

– Widzowie wciąż stoją – zauważyła Jagoda.

– Zróbmy dłuższą przerwę – zaproponował Korwin – może im się znudzi.

– Wobec tego jeszcze po papierosie.

Usiedli pod krzakiem i palili w milczeniu. Jagoda położyła się na wznak, twarz przykryła kapeluszem, wystawiając na słońce nagie piersi. Antoni nie reagował. Korwin zapytał:

– Jagódko, jaki jest twój ojciec? Morowy?

– Aha – chrząknęła spod kapelusza.

Po chwili usiadła i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach spojrzała na niego jak zbudzona ze snu.

– Chyba tak, dobry – mówiła, zastanawiając się. – Chociaż nie, właściwie nie bardzo. Może by mi rzucił czasem jakąś paczkę, ale musiałyby znaleźć na to trochę czasu.

– Gra na wyścigach? – spytał Korwin. Jagoda znów się położyła.

– Dobry żart. – Kapelusz przykrywał jej twarz. Jak tłumik na saksofonie, pomyślał Korwin, słuchając jej głosu. – Korwińciu, on jest cały dla innych. Dla klasy robotniczej, jeśli wiesz, co to znaczy.

– Ach, figura! – domyślił się Korwin.

– Żeby! – Jagoda nie mogła uleżeć, znowu gwałtownie się poderwała, tym razem nie skrzyżowała rąk na piersiach, tylko wymachiwała w powietrzu kapeluszem. – O to idzie! Dał się wykołować! Z jego przeszłością! Wszystko im poświęcił, wszystko, i guzik z tego mieliśmy, inni porobili kariery, stanowiska, mieszkania, a on...

Zamilkła nagle i sięgnęła po stanik.

– Co się stało? – spytał Antoni.

– Nic. – Przyłożyła dłoń do oczu. – Boys! – zawołała. – Publiczność rozeszła się do domów.

Antoni dźwignął się bez zapału. Ujął kilof i westchnął:

– A jednak piecze.

Przez kilka minut pracowali w milczeniu – mężczyźni kilofami, kobieta zgarniając za nimi łopatą. Korwin starał się nie spoglądać w jej stronę, słyszał tylko szuranie łopaty. Dzielna dziewczyna. Nagle szuranie ustało. Korwin podniósł kilof i opuścił go na ziemię bez uderzenia. Przygląda mi się, pomyślał. Stadion ryczał, dziesiątki stadionów wyły pod rozjarzonym słońcem. Ruszże łopatą, mylady. Dosyć mam tego, dosyć tego lęku, podniecenia i napięcia. Gotowe.

– Antek! – zawołała. – Popatrz, jaki on śmieszny! Jak mu się mięśnie pod skórą ruszają!

Można filmować!

– Rodzinna wada – mruknął Korwin.

– Antek, dotknij, zobacz jak to-to się rusza.

– Oszalałaś – uspokaja mąż.

– Nie, muszę dotknąć, to strasznie zabawne.

Antoni pokręcił głową

– No to dotykaj, byle prędko.

Korwin podniósł kilof.

– Uważaj, bo oberwiesz!

Wziął zamach, ostrze wbiło się w grunt i wydarło kilka czerwonych grudek.

– Odgarnij – rozkazał.

Zrobiła to, ale zaraz pokazała mu język.

– Nie mogę pracować – odezwał się Antoni.

– Piecze?

– Jak jasna cholera.

– Pójdę po talk – zaoferował się Korwin. – Odpocznij tymczasem.

Schodził ze wzgórza z takim pośpiechem, jakby przed czymś uciekał. Talk, wystukiwał znajomy automat, wczoraj szukałem talku, klęczałem, skrzynka, ona, wciąż klęczę, zapytała o imię, jej oczy były tkliwe. Talk. Zachowuje się prowokacyjnie, może nie zdaje sobie z tego sprawy, może to ja wszystko sobie tak tłumaczę, moje nienasycenie, moja czujność erotyczna.

Take it easy, myślał, sięgając po białą skrzynkę z czerwonym krzyżem, nie muszę się śpieszyć, co im po mnie, dadzą sobie radę i beze mnie.

– Korwin.

O mało nie wypuścił skrzynki. Więc jednak przybiegła tu za nim! Talk, talk, przypominał sobie. Wszystko jak wczoraj. Stała zadyszana u progu i przyglądała mu się rozelśnionymi oczyma.

– Zostawiłaś Antoniego – powiedział z wyrzutem.

Kiwnęła głową.

– Dlaczego? – spytał.

Splotła dłonie. Gdyby była w sukni, pomyślał, wiedziałaby, co robić z dłońmi, zaczęłaby ją zdejmować, odpinać, powoli, ostentacyjnie, patetycznie. Ale tutaj, kiedy stoi przed nim prawie naga, nie ma już miejsca na znaczące gesty, wszystkie stają się śmieszne.

Otworzyła usta i próbowała coś wydusić ze ściśniętego gardła.

– Powtórz – poprosił.

Usłyszał swoje imię.

Antoni czekał cierpliwie na wzgórzu. Mimo bólu stał prosto i rzucał kamykami do celu.

– Czy on wie? – zapytał Korwin, wspinając się za Jagodą.

– Myśle – odpowiedziała.

W głosie jej wyczuł przechwałkę. Zatrzymał się.

– Nie usiłowałaś nawet skłamać?

– Po co?

Szarpnął nią.

– Dlaczego? – spytał rozpaczliwie. – Chciałaś, żeby wiedział?

– Nie wiem.

– Miałaś w tym jakiś cel!

– Miałam, ale nie pamiętam jaki. Naprawdę nie pamiętam.

A więc wszystko musiało się spełnić, pomyślał. Nie ma ucieczki, nie ma schronienia.

Nawet tutaj, na Wyspie, Kain musiał zabić Abła.

– Zanieś mu talk – powiedział. – Ja skoczę na chwilę do Hindusa.

– Po co?

– Żeby wstrzymał wydawanie tej zupy. Do cholery, kiedyś to się musi skończyć!

Uśmiechnęła się. Przypomniał sobie jej prędkie szept, triumfalny monolog, mściwy wyraz oczu. Ani przez chwilę nie ztracała świadomości. Wiem, pomyślał. Teraz wiem. Zwilżył obolałe wargi.

Na wzgórzu Antoni przestał rzucać kamieniami. Czekał oparty o łopatę.

– Zachowuj się taktownie – poprosił Korwin.

– Bądź spokojny. – Znów się uśmiechnęła. – Popatrz, Korwin, podrapałam cię, nawet nie pamiętam kiedy.

– Głupstwo. (Myśli, że to ona, zabawne).

– Korwińciu, tak mi lekko...

Zostawił ją i zbiegł na dół do Hindusa. Przed namiotem zastąpił mu drogę żołnierz.

– Porucznik śpi.

– Obudzić – odpowiedział Korwin i gestem wskazał żołnierzowi drogę do namiotu.

Żołnierz wytrzeszczył oczy, mruknął „yes, sir” i zniknął, żeby wykonać rozkaz. Dobre wojsko, pochwalił Korwin w myśli. Po chwili usłyszał głos porucznika i zdecydował wejść do środka.

Nawtędz płukał usta po paście do zębów. Wypluł wodę i spytał:

– Napije się pan?

– Nie.

– Moje serce mówi, że ma pan sprawę – domyślił się porucznik. – Mogę nie wkładać bluzy?

– Oczywiście. – Korwin z miejsca przystąpił do rzeczy. – Chcę, żeby przestał pan dokarmiać tubylców.

– Pan sobie życzy? – przepytał Hindus, mrużąc jedno oko.

– Proszę pana o to. Przybyliśmy tu, żeby przekopać wzgórze, dwieście jardów na trzysta. (– Wiem – wtrącił porucznik. Mógłbym mu tego zaoszczędzić, ale jestem podniecony, znowu wygarniam wszystko od początku). Dajemy tubylcom szansę pracy i zarobku. Szansę powrotu do normy. A pan ich swoją zupą demoralizuje! Robi pan z nich leni i karłów!

– Wykonuję swoje obowiązki, panie Korwin.

– Przede wszystkim jest pan przedstawicielem cywilizowanych Narodów Zjednoczonych. Nie sztuka dokarmiać, trzeba coś zrobić, żeby sprawa ruszyła z miejsca.

– Za dużo słów, mister Korwin. Ja nie jestem Hatuate, mnie nie ma co agitować. Panu przecież idzie o pieniądze, więc po co ta cała demagogia?

– Tak, o pieniądze. Ale może nie tylko. Może o coś więcej. Dobrze, tylko o pieniądze – zgodził się nagle Korwin. – Zapożyczyliśmy się z kolegą na tę wyprawę, mamy ogromne długi. Jeśli zbankrutujemy, wszystkie plany życiowe wezmą w łeb.

– To okropne – współczuł Hindus.  
– Spróbujmy przez tydzień nie wydawać im posiłków. Jeśli się uda, obiecujemy panu udział w zyskach.

– Niepotrzebne – mruknął Hindus.

– Co pan powiedział?

– Cytowałem Hatuate.

– Będzie pan miał kapitał i będzie pan miał z czym wrócić do kraju.

Hindus zaśmiał się.

– A kto panu powiedział, że ja chcę stąd wyjechać? Mnie tu jest całkiem dobrze, panie Korwin. Ja się nigdzie nie śpieszę. Ta wyspa jest dla mnie w sam raz.

Przeklęta Wyspa, na której Kain musiał zabić Abła.

– Panie poruczniku.

– Słucham.

– Nie było tej rozmowy – powiedział Korwin.

– Jakiej rozmowy? – udał zdziwienie Hindus i roześmiał się.

Przeklęta Wyspa. Korwin spytał:

– Czy potwierdziła się wiadomość o jutrzejszym statku?

– Będzie o jedenastej rano.

– Kupiłby pan nasze wyposażenie?

– Chętnie. Dla nas to będzie oszczędność.

– Wystawię panu rachunek.

– Dojdziemy jakoś do ładu – zapewnił porucznik.

Teraz trzeba pójść na wzgórze i spojrzeć Antoniemu w oczy.

Antoni leżał na brzuchu, z głową wsuniętą pod gałęzie krzaka, a Jagoda siedziała obok, wachlując go palmowym liściem. Oboje nie odezwali się, kiedy Korwin podszedł, Antoni poruszył tylko nogą i jęknął, Jagoda zaś rzuciła krótkie spojrzenie i wróciła do swego zajęcia. Trwało to beznadziejnie długo, tak się wydawało Korwinowi, powiedz coś wreszcie, myślał, powiedz „ty zdrajco, podkradłeś się pod jej szept i triumf, i smak, pod to wszystko, co uważałem za moją tajemnicę”. Antoni leżał bez ruchu, muszę się odezwać, mogę skłamać, nie, powiedzieć prawdę, nie, po co, komu potrzebna prawda.

– Korwin, podaj mi kapelusz – Jagoda przerwała nagle milczenie.

Korwin schylił się i podniósł kapelusz.

– Nałóż mi go, staruszk. Dziękuję.

Rzeczywiście, miała ręce zajęte tym wachlowaniem.

Antoni poruszył się i znowu jęknął.

– Boli? – spytał Korwin.

– Cholernie. Załatwiłeś coś?

– Nie, nic. On nie chce stąd wyjechać, ten Hindus.

– No to klops – powiedziała Jagoda.

– Ale chętnie odkupi nasze wyposażenie.

– Nie obedrze ze skóry? – zadudniło spod krzaka.

– Myślę, że nie. Nie jego pieniądze.

– Jasne.

– Jutro o jedenastej zawinie tu ten statek – powiedział Korwin.

– O jedenastej?

– Tak on twierdzi. Mogliby nas zabrać.

Wysoko w górze unosił się obłok jak postrzępiona wata. Zawsze na stanowisku. Jutro

koniec z tym wszystkim, good bye, żegnaj, Wyspo. O jedenastej. W Warszawie będzie północ.

– O czym myślisz, Korwin? – spytała Jagoda.

– O moim ojcu. Że nigdy nie pomyślałem o jego grobie.

Jagoda wzruszyła ramionami. Zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało, jej oczy były takie jak zwykle, może trochę nazbyt rozszerzone, nazbyt niewinne, czaił się w nich jakby tłumiony uśmiezek.

– Wstań, Antosiu – powiedziała do męża. – W namiocie będzie ci lepiej. Korwin, pomóż go podnieść.

– Nie trzeba, ja sam.

Antoni dźwignął się z niespodziewaną energią i nawet schylił się po kilof.

– Zostaw. – Korwin machnął ręką. – Hindusi pozbierają.

Antoni schodził ze wzgórza pierwszy. Nogi rozstawiał szeroko, jak po wielogodzinnej jeździe wierzchem, ale nie zważał na to i śpieszył do namiotu. Jagoda szła obok tanecznym krokiem i tylko Korwin włókł się niechętnie z tyłu.

– Nie złożyłem nawet kwiatka – odezwał się.

Antoni przystanął i obejrzał się.

– Gdzie? – spytał.

– Na mogile ojca.

– Chodź no tu, Korwin. Spójrz na mnie.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem. Gdyby miał przy sobie kilof, myślał Korwin, dałby mi nim przez łeb.

– Malinko, popatrz na niego – powiedział Antoni.

– Już popatrzyłam.

– Dostrzegłaś coś?

– Nic ciekawego.

– Zbliź się, Korwin.

Zbliżył się posłusznie. Uderz, myślał, zrób to wreszcie, uderz śmiało. Ale Antoni podparł mu tylko podbródek i uniósł głowę do góry (Korwin zobaczył nieskończoność lazuru, a na nim znajomy obłok). Potem Antoni opuścił rękę.

– To skończony facet, Malinko – powiedział. – Stracony.

Powiał wiatr i obłok ruszył wreszcie z miejsca. W oddali szumiał ocean.

## Szóste, najmłodsze

W środę, 2 maja 1945 roku, tuż przed godziną ósmą rano, młodszy lejtnant Chitrow, Jewgienij Aleksandrowicz, oficer, jak mówiono, z mlekiem pod nosem, smarkacz można powiedzieć, ale wśród zdobywców Reichstagu szanowany, bo wykształcony, ze znajomością języków, w okularach zmontowanych przez niemieckiego optyka, zameldował się u swojego zwierzchnika, majora Chazina – pozornie niby tak, jak to czynił codziennie od dnia wkroczenia do Berlina, ale tym razem najwidoczniej jakoś inaczej, bo poprosił zawsze tkwiącego przy majorze sierżanta Pietuchowa, żeby był łaskaw opuścić pomieszczenie, a kiedy ten wyszedł, zamknął za nim szczelnie drzwi, co sprzeciwiało się przyjętym na te dni regułom – drzwi zawsze powinny być otwarte.

- Towarzyszu majorze – zaczął meldunek – mamy kłopot.
- Nic nowego – na to major. – Raport masz?
- Towarzyszu majorze, kłopot jest poważny.
- Zabrakło papieru?
- Nie o to chodzi, papieru w tym cholernym bunkrze jest po gardło i wyżej.
- To o co chodzi? Coś z babami? Jesteś w kropce, Żenia, tak? – domyślił się major.

Młodszy lejtnant Chitrow był spocony, a okulary miał zmętniałe. – Przetrzyj szkła. – Podczas gdy lejtnant przecierał chusteczką okulary, jego zwierzchnik, który włos na skroniach miał już posrebrzały, mówił: – I daruj sobie, Żenia, tego „towarzysza majora”, możesz zwracać się do mnie po otczestwu.

- Tak jest, towarzyszu... przepraszam, Siemionie Jakowlewiczu.
- Mów!

Młodszy lejtnant pochylił się nad stołem, za którym urzędował major, i powiedział szeptem:

- Zaginęła najmłodsza panna Goebbels.
- Zaginęła? Hedda?
- Heidi.
- Też na ha. Powiadasz zaginęła. Komu? Gdzie?
- To znaczy z tym jest tak. Frau Goebbels otruła sześcioro swoich dzieci.
- Zgadza się.
- Ale w sypialni jest ich tylko pięcioro.
- Nie mylisz się?
- Do pięciu liczyć umiem. Pięcioro martwych dzieci, przy każdym ciele zgnieciona

ampułka po cyjanku, przy każdym łóżku buciki. Szóste łóżko puste. I żadnych bucików.

- Ukradziono zwłoki? Na co one komu? Chociaż – zreflektował się major – kto wie...

Można coś rozegrać.

– Nie, Siemionie Jakowlewiczu. Przy szóstym łóżku ampułka była niedognieciona. Heidi uciekła.

- Przeżyła?
- Przeżyła.

Major klasnął w dłoń.

- Zuch dziewczyna! Ile ma lat?
- Nie więcej niż pięć.
- Zuch, zuch! Żenia, a ty skąd wiesz, że ona żyje?
- Od lokaja, Heinz ma na imię...

– Zobowiązałeś go, żeby trzymał język za zębami? Nie rozpowie?  
– Mowy nie ma. Będzie się bał. Bo to on pomógł jej się stamtąd wydostać. Strach, towarzyszu majorze, jest najlepszym strażnikiem naszych ust.  
– To z Szekspira?  
– Nie wiem, chyba to ja sam.  
– Strach strachem – a co z nagrodą?  
– Pozwoliłem Herr Heinzowi wynieść z bunkra pięć butelek szampana. Veuve Clicquot.  
– Dobrze – pochwalił major. – Daleko zajdziesz, Żenia.  
Młodszy lejtnant Chitrow wyprężył się na baczność.  
– Służę ojczyźnie – wyrecytował.  
– Zajdziesz dalej niż daleko. Znaczy jak to było?  
– Musiała mieć zaciśnięte usta śpiąc, kiedy ukochana mamusia usiłowała jej wcisnąć cyjanek. Może pani Goebbels się spieszyła, żeby zdążyć z własnym samobójstwem przy mężu. Nie dotruła... Kiedy dziewczynka się obudziła, zobaczyła, że jej rodzeństwo wciąż śpi. Nie mogła się ich dobudzić.  
– A wtedy ten Heinz...  
– Dokładnie tak, Siemionie Jakowlewiczu. To on powiedział jej, że rodzeństwo nie żyje, że zabici przez rodziców, którzy też już nie żyją. Założył jej sandaalki, jakąś bluzkę na koszulę, i wyprowadził z bunkra przez ogród. Jutro będzie przesłuchiwany. Słowa nie piśnie – zapewnił raz jeszcze Chitrow.  
– I gdzie ona teraz?  
– Pewnie gdzieś błąka się. Siemionie Jakowlewiczu, to co robimy?  
– My? Co mamy robić? Nic.  
– Nic?  
– Słyszałeś chyba: nic.  
– Jak to nic? Musimy ją odnaleźć.  
– A po co?  
– Miało być sześcioro. Jest pięcioro. Jak to wytłumaczyć?  
Major dźwignął się zza biurka i podszedł do młodszego lejtnanta.  
– Oj, Żenia, Żenia... A jeszcze powiadasz: studiowałem. Więc mamy ją znaleźć, sprowadzić tu – i potem co, dotruć?  
Żenia Chitrow poczerwieniał, najwidoczniej zrobiło mu się gorąco.  
– Tego nie powiedziałem.  
– Zabić – żeby rachunek się zgadzał?  
– Towarzyszu majorze, ja ani przez chwilę...  
– Wiem, wiem... nie pomyślałeś. Przecież to ona, ta szalona hitlerówka, ta, ta – brak mi słów! – to ona chciała te dzieci zabić, więc my cieszymy się, że jej się to do końca nie udało.  
– Herr Doktor Kunz, ten, który te dzieci uśpił, powiedział mi, że ona wciąż powtarzała: „Świat bez Führera nie zasługuje, żeby na nim żyć”.  
– A on sam, doktor Kunz? Woli żyć?  
– Tylko wdychał. To nie on dostarczył mamusi cyjanek. Jakiś inny Herr Doktor.  
Major znowu siadł za biurkiem. Uderzył dłonią w stertę papieru.  
– Mam tu raporty z ich ostatnich chwil. Jak tylko lokaj, Herr Günsche, wyszedł z tego pokoju, gdzie się Hitler z Ewą zamknęli, i powiedział oczekującym „Führer nie żyje” – wiesz, co się stało? Myślisz, że rwali włosy z rozpaczy?  
– Nie przypuszczam. Ulżyło im...  
– Tak, Żenia, ulżyło. Nie ma potwora, nikt ich nie będzie zmuszał do samobójstwa. Nic

im już nie groziło, no, będą przesłuchania u bolszewików, nie szkodzi, nawet tego wypatrywali, będzie można się wygadać. Zaczęło się pijaństwo, tańce, śpiewy, i to wcale nie pieśni nazistowskich.

– Goebbels się chyba wściekał, nie? Doktor Kunz mówił, że przed swoim samobójstwem Hitler mianował go kanclerzem. Ale mógł się przekonać, że nad tym tłumem w bunkrze nie miał żadnej władzy.

Major przybliżył do oczu jakąś kartkę. Potem rzucił ją na stół.

– To jest to. Oryginał. Rozumiesz, co się stało? Szczyt kariery na dzień przed śmiercią! Kanclerz – takie wywyższenie! Wykrzykiwał podobno, że jest dumny, że cieszy się, że dożył... I wciąż jeszcze na jego rozkaz rozstrzeliwano. Do samego końca. Im bardziej przegrani, tym bardziej szaleni.

– Nemezis – powiedział uczony młodszy lejtnant.

– Tak, Żenia, ja osobiście mam ochotę na stare lata stać się mistykiem. Zemsta Historii. Najpierw zabija się cudze dzieci – kończy się na zabijaniu własnych.

– Co dać w raporcie, towarzyszu majorze? Ile dzieci mamusia zamordowała?

– Ile trzeba: sześcioro..

– Ale przecież będzie identyfikacja, jednego zabraknie.

– Czy myślisz, że ktoś przyzna się, że mu jakieś ciało uciekło? Nie ma takich. Podpiszą ci rewers, potem będą udawać, że wszystko w porządku.

– A identyfikacja? Że to te dzieci, a nie inne?

– Wystarczy zidentyfikować jedno ciało, żeby potwierdzić, że to te dzieci. Pisz!

– Wedle rozkazu, towarzyszu majorze.

– Przekażesz kopie raportu podpułkownikowi Klimence, on przekaze generałowi Czujkowowi, Czujkow marszałkowi Żukowowi, a Żukow jemu samemu, na Kremlu. Zrozumiałeś?

– Tak jest, towarzyszu majorze.

– Ech – westchnął major. – Wiele bym dał, żeby się przekonać, jak się ta mała będzie czuła na świecie bez wuja Adolfa. Ruszaj.

– Jeszcze słówko, Siemionie Jakowlewiczu.

– Słucham. – Major wstał zza biurka, wyprostował się.

– Chciałem powiedzieć... – Chitrow zawahał się. – Kiedy nie wiem, jak to wyrazić...

– Zwiąże, po żołniersku.

– Chciałem powiedzieć, że cieszę się, że mogę służyć pod waszym dowództwem.

Major podszedł do drzwi i sam je otworzył.

– Już najwyższy czas, żebyś wziął się do roboty. I gęba na kłódkę, Żenia... Jeszcze coś. Właśnie złożyłem wniosek, żebyś został awansowany na pełnego lejtnanta. No cóż, myślę, że te trochę wazeliny nie powinno ci zaszkodzić. Bądź zdrow.

Padła deszcz, ale major, Siemion Jakowlewicz Chazin, nie zrezygnował z wędrówki po berlińskich ulicach, na mundur narzucił pelerynę, deszcz majowy, ciepły, przetrzymam, myślał. Szedł bez pośpiechu, z przewieszoną przez ramię ciężką, mocno załadowaną torbą polową. Wiatr nawiewał z pogorzelskich gorzki zapach spalenizny, ulice były pustawe, czasem przedreptał obok niego jakiś stary wychudły Niemiec, zwykle coś mamrocząc, chyba jakiś grzecznościowy zwrot, za to w parku, pod osłoną budzących się do życia gałęzi, rozpalono ognisko, przemykały wokół niego między pniami drzew cienie tańczących żołnierzy, ktoś zaciekle przygrywał na akordeonie. Czasem zaiskrzyło się na jaśniejącym niebie, kilka razy w oddali zagrzmiało. Deszcz rzednął.

Dziewczynka stała na schodkach pod markizą, za którą mroczyły puste oczodoły nieistniejącego już sklepu. Spryciula, pomyślał major, przemoczona, trzęsie się z zimna, ale w



końcu schronienie znalazła. Nie, to nie może być ona, pomyślał jeszcze, to by było zbyt proste. Jak rządzenie Opatrzności. Ale te sandały, koszulina, zielona bluzka... Chyba ona.

– Już nie pada – powiedział major. Wyciągnął do niej rękę. – Trzymaj się mojej ręki, nie poślizniesz się.

Pomógł jej zeskoczyć ze schodków.

– Głodna jesteś? – spytał.

Kiwnęła tylko głową. Major wyjął z kieszeni kawałek cukru.

– Posil się, dobrze ci zrobi. – Przyglądał się dziewczynce ssącej cukier. – Smakuje?

– Yhm.

– Lubisz słodczy? No pewnie, kto nie lubi? Nawet ja.

– Mama mówi, że słodczy rozpieszczają. – Nagle zauważyła: – Masz ciepłą rękę.

Na ty. Jeśli to ona, mała Heidi, to do wszystkich dorosłych mówiła ty – sami lokaje.

Dzięki tej ciepłej dłoni poczuła do niego zaufanie. Gdzieś daleko zahuczało chrapliwe poszczekiwanie werbli, czasem wdzierał się w ten huk akompaniament waltorni.

– Armaty! – zatrwożyła się dziewczynka. – Strzelają.

– Nie, nie armaty – powiedział major, starając się o uśmiech. – To grzmoty, burza. Nikt już nie strzela. Dziewczynko, a ty wiesz, jak masz na imię?

– No pewnie, że wiem. Heidi.

– Heidi – i co jeszcze?

– Goebbels. Heidi Goebbels. – Dziewczynka wyrecytowała: – Hermann-Goering Strasse dwadzieścia. Mam pięć lat.

Major rozejrzał się: nikogo w pobliżu nie było, ulice pustawe. Kobiety pochowały się, a mężczyźni – wiadomo...

– Nie kłam – powiedział, na pewno niepotrzebnie surowo – nie nazywasz się Goebbels.

– Nazywam się Heidi Goebbels. Hermann-Goering Strasse dwadzieścia. Mam pięć lat.

– Niecałe – sprostował major.

– Niecałe – zgodziła się dziewczynka. – Skąd wiesz?

– Znam się na tym. Dobrze, jesteś Heidi Goebbels, wierzę ci. Ale wiesz co? Ukryjemy to.

To będzie nasza tajemnica, twoja i moja. Jak się komuś z nas wypnie, daje fant.

– Taka gra?

– Gra. Wygadasz się – fant. Dobrze, co?

– Ale ja nie mam nic na fanty.

– To się pilnuj, żeby nie przegrać.

– Bo mnie będą szukać?

Rezolutna. Rozumniejsza od swoich rodziców. Major, który wiele doświadczył, pomyślał jeszcze: mądrzejsza – bo już z własnym dramatem.

– Nie znajdą cię – zapewnił ją. – Będę ci pomagał.

– To jak ja się będę nazywać?

Rezolutna. Rozsądna. Szkoda jej dla tych szaleńców. Zastanowił się:

– Jakoś krótko. Może coś biblijnego. Na przykład... na przykład – mam – Ruth.

– Ruth – powtórzyła. – Mam taką koleżankę, Ruth. I co jeszcze?

– Nazwisko? Dojcz. Może tak być: Ruth Dojcz.

– Tojcz – powiedziała dziewczynka.

– Nie, Dojcz. Przez de. – Usiłował znaleźć jakieś odpowiednie słowo. Jak Dynamit? Jak Dezerter? – Jak Danzig.

Ona, rozbawiona:

– Nazywam się Ruth Tojcz – nie, Dojcz. Hermann-Goering Strasse dwadzieścia. Mam

pięć lat. – Wciąż nie puszczała jego ręki. – A ty jak masz na imię?

Muszę mieć jakieś imię, jak każdy lokaj.

– Siemion. Major Siemion. Nic więcej nie trzeba.

– Czy ty masz dzieci?

– Miałem.

– Dlaczego mówisz „miałem”? Są z babcią?

– Nie żyją.

Uwolniła swoją dłoń.

– Zabiłeś je?

– Nie ja.

– Żona zabiła?

Major westchnął: Boże mój, te jej doświadczenia!...

– Ludzie zabili. Źli ludzie. Jeśli ich można nazwać ludźmi.

Znowu wcisnęła swoją małą dłoń w jego dużą, ciepłą. Szła obok niego posłusznie, prawie podskakując. Odezwała się wreszcie:

– Wcale się ciebie nie boję.

– A powinnaś się bać?

– Mama ostrzegęła.

– Mama... – powtórzył za nią. I nie dodał słowa komentarza, chociaż miał wiele do powiedzenia. – Głodna? – spytał. – Chcesz jeść?

– Pić.

Przyjrzał jej się: wargi miała wyschnięte.

– Zaraz to załatwimy.

Zastukał kołatką do drzwi solidnej, nieuszkodzonej kamienicy. Najpierw cisza, potem jakby jakieś szepty, gdzieś w głębi. Kroki. Kobieta, odgadywał.

– Kto tam? – Tak, kobieta, ale głos niski, zduszony.

– Proszę otworzyć!

– Pytam: kto?

– Major Chazin z komendy miasta. Otworzyć!

Drzwi tylko się uchyliły. W szczelinie, za łańcuchem, twarz kobiety trzydziestoletniej. Chyba niebrzydka, ale poszarzała, włosy ukryte pod chustą.

– Czy widział pan major afisz na murze? – powiedziała kobieta, zupełnie jakby udzielała mu nagany. – Chyba pan umie czytać w swoim języku?

Obok wisiało świeżo rozlepione obwieszczenie, że komendant miasta zabrania żołnierzom wchodzenia do niemieckich mieszkań – pod rygorem i tak dalej.

– Widziałem. To moi ludzie rozlepiali. Mnie te zakazy nie dotyczą. Proszę otworzyć!

Kobieta ściągnęła łańcuch i dopiero wtedy dostrzegła dziewczynkę z rączką w dłoni rosyjskiego majora.

– Ruth jest spragniona i zziębnięta – powiedział major, stojąc w progu. – Trzeba jej umyć buzię, czymś otulić i dać gorącej herbaty.

– Nie mam herbaty – burknęła kobieta. – I nie mam wody. A przy pompie kolejka – zawiesiła na chwilę głos – i lepiej się nie pokazywać.

– Rozumiem. Wszystko będzie.

Major zawołał przechodzącego ulicą żołnierza.

– Wania! Tu do mnie!

Żołnierz zbliżył się i zaszalutowawszy, powiedział z uśmiechem:

– Ja nie Wania. Ja Pietia.

– Wania, Pietia – dla nich zawsze będziesz Iwan.

Trzeba, wyjaśnił major, przynieść tej Frau dwa wiadra wody. Dodał, że to nie rozkaz, tylko prośba. Tak jest, towarzyszu majorze, prośba, wedle rozkazu – potwierdził zuchowato Pietia.

Kobieta kamiennymi schodami zaprowadziła ich do mieszkania na drugim piętrze. Mieszkania poniżej stały otwarte, puste. Lokatorzy uciekli albo schronili się na strychu, domyślił się major. Poczul unoszący się w powietrzu słodkawy zapach wypalonych papierosów. Ktoś tu pali dobry tytoń. Podczas gdy kobieta, Frau Hanna Jakośtam (uznała za właściwe się przedstawić), przemywała małej – zaraz, jak ją nazwałem? Ruth, Ruth – buzię jej przemywała, potem otuliła grubym, włochatym ręcznikiem, on rozglądał się po pokoju, szukając zapomnianych niedopałków czy rozsypanego popiołu. Ani śladu. A przecież były szepty, jakieś oznaki paniki.

Wyjął z torby połowej paczuszkę herbaty – gruzińska, poinformował Frau Hannę – i położył na stole. Potem położył na stole dwie świece – to dla pani – och, pięknie dziękuję, właśnie mi się skończyły – dodał do tego pudełko z kostkami cukru, paczkę koncentratu zupy grochowej, płócienną torebkę z sucharami, blaszaną puszkę amerykańskiej tuszonki i kawałek suchej kielbasy, „moskiewska” – pochwalił i spytał:

– Wystarczy?

Kiwnęła głową. Jej wymowny gest wskazujący stół: dziękuję, całkiem hojnie. Chwilę oboje milczeli. Wiem, co cię kobieto niepokoi, myślał major: czy zrobimy to teraz, od razu – a co z dzieckiem? Sprawilo mu przyjemność, że mógł powiedzieć:

– Proszę się zająć herbatą. Ja się zajmę tuszonką.

Nie zapytał o klucz do otwierania konserw, który na pewno w niemieckim domu był, ale wbił ostrze scyzoryka w blaszane wieko, tak jak to zwykł robić przez lata całe. Wyłożył mięso na dwa talerze i zachęcił dziewczynkę:

– Jedz. Ten drugi talerz dla pani.

Frau Hanna postawiła na stole trzy kubki gorącej herbaty. Palce jej drżały. Dziewczynka spytała:

– Pani jest chora?

Kobieta zaprzeczyła.

– Bo pani drży. Ja, jak jestem przeziębiona, to mam dreszcze.

– Nie jestem przeziębiona.

– Pani się nas boi – tłumaczył major. – Nie zrobimy jej nic złego, prawda, Ruth?

Dziewczynka siorbnęła herbatę i poskarżyła się:

– Parzy. A dlaczego pani się boi?

Frau Hanna powiedziała sucho:

– Przeżyłam swoje.

– Zabiła pani swoje dzieci?

Major prawie struchlał. Jeszcze trochę i ta mała się wygada. Kobieta wykrzyknęła:

– Dziecko, o czym ty na miłość boską mówisz! Dzieci się nie zabija! – Powtórzyła: – Ale i tak przeżyłam swoje.

Major spytał:

– Chce pani złożyć skargę?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie, po co?

Potem powiedziała:

– Czy to pozwoli mi zapomnieć?

– Jeśli się pani uda...  
– Tego bym chciała: zapomnieć. Nabrać odrobinę szacunku dla swojego ciała. Może nawet je w końcu polubić.

Major otworzył papierośnicę.

– Papierosa? Dobrze pani robi. Kazbeki.

– Nie palę – odpowiedziała szorstko, prawie z dumą.

Błąd. Powinna była podziękować i zapalić.

– To proszę wziąć kilka sztuk dla męża.

– Mąż nie żyje. – Dodała, jakby to mogło majora dotknąć: – Spłonął w czołgu. Tam u was, pod Kurskiem.

Aż tam go zaniósł – i po kiego czorta? – łatwo by było tak powiedzieć, aż się prosiło. Ale major wolał trzymać się swojego.

– To proszę wziąć dla tego pana, którego pani ukrywa.

– Nikogo nie ukrywam.

– Ukrywa pani, ukrywa. Słyszałem szept.

– Mówiłam do kota.

– I to ten kot pali? Egipski tytoń. No to jak? Przyzna się pani?

Milczenie. Jej twarz jeszcze bardziej poszarzała. Spytała cicho:

– Mam go zawołać?

– To nie mój wydział. Niech pani tylko nie myśli, że ja jestem taki wszystko wybaczący chrystusik. Nie! Ja po prostu lubię niemieckich dezertersów.

Pani Hanna spytała, tym razem nieśmiało, nie patrząc w oczy:

– To ile mogę wziąć?

– Połowę, dziesięć sztuk.

Kiedy kobieta wyciągała kazbeki z papierośnicy, palce jej już nie drżały. Major powiedział:

– A jednak trochę mi szkoda. Przydałby się silny chłop do rąbania tajgi. Ruth, podjadłaś sobie? Zagrzałaś się? To teraz siusiu i zmykamy.

Frau Hanna zamknęła za nimi starannie drzwi. Słyszał tylko brzęk łańcucha.

Na ulicy major Chazin dostrzegł swojego nowego ulubieńca, Pietię, tego samego, który nie chciał być Wanią.

– Pietia, chcesz się zasłużyć? To pędź do moich przy bunkrze i znajdź Chitrowa, młodszego lejtnanta. Żeby migiem łapał willysa i ganiał tu do mnie, pod to samo miejsce. Zrozumiałeś? – Major wskazał na oszołomioną dziewczynkę. – O nią tu idzie, chwytasz, bracie? Powiedz mu, że ją znalazłem. Ją!

– To rozkaz czy prośba? – spytał zadziornie żołnierz.

– Wszystko naraz. Ganiaj!

Już po kwadransie przy chodniku z piskiem zahamował amerykański willys. Chitrow zeskoczył z łazika i stanął przed dziewczynką, chwilę jej się przypatrując.

– Ona?

– Nie ma wątpliwości – odpowiedział major. – Ona.

– Jesteś Heidi? – zwrócił się do dziewczynki Chitrow.

– Ruth – odpowiedziała bez wahania. – Hermann-Goering Strasse dwadzieścia. Płać fanta.

Major wyjaśnił młodszemu lejtnantowi, na czym polegał układ i wydał dyspozycje.

– Zawieźcie ją do Charlottenburga, do Ośrodka Opieki. Tam zbiera się zagubione dzieci. Ona nazywa się teraz Ruth Deutsch. Przyklej jej do bluzki karteczkę z imieniem i

nazwiskiem. Albo najlepiej zawieś jej na szyi. Jasne?

– Jasne. Ruth Deutsch.

– Mam pięć lat – wtrąciła dziewczynka.

– To ona mówi. Ty nie wiesz, ile ona ma lat.

– Rodzice zginęli – domyślał się lejtnant. – Wszyscy zginęli, cała rodzina.

– Mama zabiła – odezwała się dziewczynka.

– Ani słowa o tym! – Major pogroził palcem. – Ty nic nie wiesz.

– Nic nie wiem.

– Adresu też nie podawaj. Był może jakiś wuj, ale spalono go w Buchenwaldzie. Albo nie, nic nie trzeba. Żadnych wujów. Ty, Żenia, też nic nie wiesz. Błąkające się dziecko.

– Ruth Deutsch – odpowiedziała dziewczynka.

– Brawo.

Major wydarł z notesu karteczkę, wyciągnął z kieszonki wieczne pióro (pelikan ze złotą stalówką, zauważył wyczulony na materiały piśmienne Chitrow) i szybko notował. Potem wręczył kartkę dziewczynce.

– Zachowaj to. Żeby nie wiem, co się działo, nie trać tej kartki. Popatrz, co tu napisałem, dużymi literami, żeby łatwo odczytać. „CHAZIN. SIEMION JAKOWLEWICZ. MOSKWA. NIKITSKIJ BULWAR 10”. To mój adres. Nie płacz, wszystko będzie dobrze. Kiedyś do mnie napiszesz. Jak już będziesz duża. Napisz koniecznie. Kiedy ci się powiedzie w życiu. Zgoda?

– Tak, wuju Siemionie.

– Beksa, znowu płaczesz. A jak ci będzie źle, tym bardziej napisz.

Tego już dziewczynka nie rozumiała, ale być może te słowa zapamięta. Major podsadził ją i umieścił w jeepie obok młodszego lejtnanta.

– Nie uściskasz jej? – spytał Żenia.

– No wiesz... – na to major, który odczuł nutę ironii w słowach podkomendnego. – Ty, Żenia, ruszaj głową, a uważaj, żeby nie wypadła. – Zwrócił się do kierowcy: – Ostrożnie z tym skarbem, bratku. Szerokiej drogi!

Willys ruszył. Już się trochę oddalił, kiedy major zakrzyczał:

– Ruth! Ruth!

Willys ostro wyhamował. Chitrow ofuknął dziewczynkę:

– Dlaczego się nie odzywasz? Ruth, to przecież jesteś ty.

Dziewczynka szepnęła:

– Zapomniałam. – I tym razem na dobre się rozpląkała.

Major podbiegł, posapując. Wyciągnął do niej dłoń.

– Daj piątkę, panienko. No, rączkę. I nie płacz, już nie trzeba. Bo chciałem ci coś jeszcze powiedzieć – mówił, nie wypuszczając jej dłoni ze swojej. – Coś ważnego. – Dziewczynka podniosła nań załzawione oczy. – Że masz żyć. Pilnuj swojego życia. – Ona wciąż płakała. – Pamiętaj, to najważniejsze. Żyć. To dla nas wszystkich bardzo ważne. Rozumiesz? – Kiwnęła głową zalana łzami. – Pamiętaj: masz żyć. – Powtórzył: – Po prostu to: żyć.

Major przetarł jej białą chusteczką oczy.

– Dosyć już tych łez, panienko – powiedział. – Szkoda ładnych zielonych oczu. Na pewno się kiedyś jeszcze zobaczymy. I będę cię trzymał za rączkę. – Zwrócił się do kierowcy: – No to jazda. – Zsalutował na pożegnanie i powiedział: – *Adieu!* – I po rosyjsku: – Z Bogiem!

Minęło ćwierć wieku z hakiem, zanim doktor Chitrow, niedawno jeszcze kandydat nauk, Jewgienij Aleksandrowicz, który kilka lat po wojnie opuścił wojsko w stopniu kapitana, mógł wreszcie jako uczony etnolog i nieco utajniony wykładowca z trudem odradzającej się rosyjskiej socjologii wybrać się zgodnie ze swoimi zainteresowaniami za granicę, na sympozjum naukowe

w Mülheim, i to nie do jakiejś NRD, w której nie miał czego szukać, ale do Niemiec Zachodnich, do Republiki Federalnej, w której, owszem, miał czego szukać i bardzo tym przyszłym szukaniem się podniecał. Był to okres topnienia lodów między Republiką Federalną a Związkiem Sowieckim, kanclerz Willy Brandt, przedtem nadburmistrz Berlina, odwiedził Moskwę, potem Warszawę, gdzie ukląkł przed pomnikiem Bohaterów Getta, co zaskoczyło jego otoczenie i dla niego samego podobno było niespodzianką – odruch serca i nagły nakaz głowy – później Breżniew wizytował Bonn, dostał w podarunku srebrzystego mercedesa, którego od razu rozbił.

Pięćdziesięcioletni Chitrow, kiedy wsiadał w Moskwie na pokład samolotu Lufthansy, nie przypominał już młokosa, który jako młodszy lejtnant zawiózł małą Heidi – przepraszam, Ruth – do Ośrodka Opieki w Charlottenburgu, nie miał już obfitego jasnego czuba, który wymykał mu się był na czoło spod założonej na bakier furazerki, opadając czasem i na okulary, ale trochę tych włosów wciąż miał, lekko już oszronionych, twarz zaokrągliła mu się umiarkowanie, brzuch nie rzucał się w oczy, można się było domyślać, że nie przesadzał z jedzeniem, pił umiarkowanie. Skorzystał z whisky, które zaoferowała mu stewardesa, zapił sokiem pomarańczowym, przetrął twarz chusteczką odświeżającą i opuścił powieki. Ale nie zasnął. Myślał o niej. Kobieta po trzydziestce. Jeśli żyje... Jaka jest? Czy ich pamięta? Czy uda się do niej dotrzeć? Ruth Deutsch – to nie byłoby takie trudne, ale co, jeśli zmieniła nazwisko? Ach, mniejsza o czekające go sympozjum (temat: „Nowe wyzwania edukacyjne we wspólnej Europie”), wie, że nie za bardzo się tam wyróżni – postarał się o ten wyjazd właśnie dlatego, żeby odszukać ją.

Na lotnisku w Tempelhof podeszła do niego wysoka szatynka, może nawet, jak mu się wydawało, niezwykle wysoka, szczupła, w ciemnym kostiumie, w pantoflach na płaskim obcasie.

– Pan profesor Chitrow? Jestem Dorothea – – – (wymieniła pośpiesznie nazwisko, którego nie uchwycił). Witam w imieniu Inter Nationes. To ja się mam panem zajmować.

Wymiana uprzejmości. Potem on:

– Nie spodziewałem się tak miłego powitania. Byłem pewny, że jestem zdany na siebie.

– Jeśli chce się pan mnie pozbyć, nie będę się narzucać. Może woli pan opiekę waszej misji wojskowej?

Niby wszystko serio, ale z wyczuwalną ironią.

– Dziękuję, będzie mi bardzo przyjemnie w pani towarzystwie.

– Wezmę pański bagaż.

– Mowy nie ma!

– Rozumiem: jakieś tajemnice. Tylko niech pan nie będzie zbyt oporny – ja tu przy panu zarabiam na życie.

To był żart. W sympatycznym hotelu Am Zoo wyszło na jaw, że pani Dorothea jest wolontariuszką, jak wiele hostess tej instytucji.

– Samolot do Düsseldorfu – powiedziała, studiując jego bilet – ma pan o ósmej rano. Postaram się, żeby się pan nie spóźnił. Jaki mogę zaproponować program na dziś?

On, bez wahania:

– Charlottenburg.

– „Seks na żywo”? Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje.

Doktor nauk roześmiał się.

– Sierociniec. To znaczy nie wiem, czy on jeszcze istnieje. Tam był Ośrodek Opieki. Zbierało się bezdomne dzieci, wojenne sieroty. Zawiozłem tam pewną dziewczynkę. Heidi – nie; Ruth. Tak, Ruth. Miała pięć lat. Chciałbym ją odszukać.

– To była Żydówka? Dziecko Holokaustu?

– Skąd Żydówka w wojennym Berlinie? Niemka. Jasne włosy, zielone oczy.

– Zapamiętał ją pan.

– No pewnie. Kobieta mojego życia.  
– I pan koniecznie chce ją odszukać.  
– Dobrze to pani określiła: koniecznie. Chcę wiedzieć, jak jej się powiodło. W pewnym sensie odpowiadam za jej życie.

– W porządku, panie doktorze. Ma pan teraz godzinę czasu dla siebie. A ja tymczasem dowiem się o ten Ośrodek. Zjemy razem obiad – i odszukamy tę małą.

– Kobietę po trzydziestce – przypomniał Chitrow.

– Jak ten czas leci, co? – udała westchnienie.

Ośrodek istniał, chociaż zmienił nazwę: był to teraz Instytut Janusza Korczaka.

Przywitała ich urzędująca pani dyrektor, kobieta młoda, włosy kasztanowate z końskim ogonem, ubrana swobodnie, plisowana popielata spódniczka, beżowy sweter, do którego przypięta była tabliczka z nazwiskiem i funkcją. Pani Dorota, jego opiekunka, została dyskretnie w poczekalni.

– Deutsch, powiada pan? – spytała młoda pani dyrektor.

– Ruth Deutsch. Przyjęta 2 maja 1945 roku.

– O Boże, co za data!... Z tamtego personelu nikogo już tu nie ma – powiedziała pani dyrektor. – Ale w aktach ślad powinien być. Porządek jest obowiązujący – tyle lat minęło, a ludzie wciąż jeszcze się szukają, wciąż mają nadzieję.

Wspięła się po małej drabince, żeby sięgnąć do górnej półki.

– Tu mam lata 45–49. Niech pan trzyma.

Podawała mu grubo wyładowaną papierową teczkę, niezbyt zakurzoną, co odnotował z uznaniem. Potem, już za biurkiem, przerzucała kartki.

– Drugi maja, powiada pan? Deutsch, Deutsch... Jest! Ruth Deutsch. To pan podpisał?

– Ja.

Przesylabizowała:

– Chitrow. Po rosyjsku. To pan?

– We własnej osobie. Myśmy wtedy te dzieci zbierali. Czy pani wie, co z nimi było dalej?

– Tak, jest notatka. Dzieci z sierocińca odprawiono samolotem na Zachód. – Nie odrywała oczu od karty. – Kłopoty z zaopatrzeniem. Napisano: „Z powodu blokady Berlina przez stronę sowiecką”. Ja o tym uczyłam się w szkole.

– A ja pamiętam: Stalin zablokował zachodni Berlin. Amerykanie odpowiedzieli mostem powietrznym. Co kilkanaście minut lądował samolot. Czy jest tu notatka, dokąd te dzieci wywieziono?

– Remagen. Nie, to tylko poczta. Oberwinter. Ładnie położona miejscowość. Blisko Renu.

Zaprowadziła go do wiszącej na ścianie mapy i wskazała długopisem drobny punkcik między Kolonią a Bonn.

– Tutaj. Trafi pan?

– Wynajmę samochód. Pewnie trzeba będzie i tam poszperać w aktach.

– Może pan zapyta o nią w Arolsen? Oni przeprowadzają bardzo skrupulatne poszukiwania żydowskich dzieci.

– Ona nie jest Żydówką.

– Pytał ją pan? Z dziewczynkami nigdy nie wiadomo.

– Nie, nie jest. – Miał ochotę powiedzieć: Nawet wręcz przeciwnie. – Wiem na pewno.

Dziękuję pani.

Pani Dorota, jego opiekunka, cierpliwie czekała.

– I co?

– Oberwinter.

Usłyszał to samo, co od dyrektorki:

– Ładnie tam. I nie tak daleko od Mülheim.

– Ale przecież i tam jej już nie ma.

– Mogą jednak wiedzieć, gdzie jest. Mogli ją urządzić, dać mieszkanie, kredyt.

– Na przykład tu, w Berlinie? – przyszło mu na myśl.

– Mało prawdopodobne.

– Czemu nie? Może pociągnęło ją do Charlottenburga.

– To by był dziwny przypadek.

– Moje spotkanie z tą dziewczynką to był dziwny przypadek.

Panna Dorota wyglądała na zniecierpliwioną.

– To co robimy, panie doktorze? Może kino? Niedaleko pańskiego hotelu powtarzają *My Fair Lady*. Co pan na to?

– Jako socjologa powinno by mnie to zainteresować. Zderzenie dwóch kultur, dwóch języków. Ale... – Nie mógł się odczepić od pewnej myśli. Natrętny obraz: Ruth, już jako dojrzała panna, w tańcu erotycznym. Tu, w Charlottenburgu. Wróciła i zarabia na życie w barze z „żywym seksem”. Przeżyła – mówiliśmy jej: pamiętaj, masz żyć – to najważniejsze: żyć – ale major nie powiedział: jak żyć? Może byle jak. Wszystko lepsze od cyjanku. – Pani Doroto – powiedział – chciałbym pójść na pokaz „żywego seksu”.

– Sex-show. Kabaret Salome.

– Znajdę.

– O nie, samego tam pana nie puszczę. O mój Boże – powiedziała ze śmiechem, widząc jego zmieszana minę. – Byłam tam chyba z pięć razy, zawsze jak ktoś od was przyjeżdża. Na koszt Inter Naciones. Nie krępijemy się tego. To jest wolny kraj.

– A wie pani, dlaczego ja chcę tam iść?

– Żeby doświadczyć naszej wolności?

– Żeby przekonać się, że Ruth tam nie ma.

Pani Dorota spytała:

– A jeśli okaże się, że jest?

Chitrow nie odpowiedział.

Lokal wyglądał niewinnie – jak café-bar, tyle że małe okrągłe stoliki były ocienione półmrokiem. Na nadsceńce para kościstych trzydziestolatków, raczej mało ponętnych, kopulowała, wykrzykując wyuzdane słowa, jęcząc i krzycząc z rozkoszy. Kelner przyniósł zamówiony dzin-tonik, od razu z kwitkiem rachunku. Pani Dorota szepnęła: – Te wszystkie jęki nadawane są z magnetofonu. – Tego się spodziewałem – odszepnął. Koścista para skończyła występ, kłaniając się. Brawa przy stolikach. – Może wolałby pan przy takiej okazji wódkę Smirnoff? – spytała jego opiekunka. – Wszystko jest okej. – Niech pan uważa, zaraz będzie „Wicky mit der Peitsche”. – Na estradę weszła tanecznym krokiem naga, młoda dziewczyna z pejczem i, usiadłszy na krześle, rozsunęła szeroko nogi. – Co pan o niej sądzi? – spytała pani Dorota. – Wszystko ma na miejscu. – To nie może być pańska Ruth? – Nie, za młoda – odpowiedział i poczuł, że sam jest tym odkryciem zdziwiony.

Dziewczyna na krześle zaczęła chłostać swoje ciało pejczem, na razie powoli, jakby od niechcenia – od stolików ktoś krzyknął: – *Go ahead*, Wicky – ona przyśpieszyła, jakby na tę zachętę czekała – chłostała coraz szybciej, z przyśpieszonym oddechem, aż wreszcie krzycząc z bólu, pastwiła się nad swoim ciałem bez opamiętania. I w końcu długi spazmatyczny jęk. – Orgazm? – upewniał się przybysz z Moskwy. – Taki dała sygnał. – Jęki z kabiny? – Nie, to ona sama, podobno ma to zastrzeżone w umowie. Dziewczyna znużona podnosi się z krzesła, kłania się nisko, widzowie przy stolikach klaszczą – oklaskują jej młode, ponętne ciało, pomyślał doktor



– jakaś spasiona kobieta z blond kędziorami wydziera się: – Brhawo! Brhawo! – Ruszyło ją, pomyślał cynik w moskiewskim doktorze.

To, co się teraz działo na scenie, przestało ich interesować. Dopijali następnego dzina, kiedy panna Dorota szepnęła:

– Jest.

– Kto?

– Wicky. Siedzi tam w kąciku, w cieniu, przy samej estradzie.

Chitrow wstał:

– Pójdę do niej, zapytam o Ruth.

– Nie zechce z panem gadać. Przepędzi.

– To po co tu usiadła?

– Żeby wypić. A może i coś zjeść.

– Idę – zdecydował Chitrow.

Podszedł do stolika, przy którym dziewczyna w ciemnoniebieskiej sukience piła wodę mineralną z bąbelkami, być może i z kroplą alkoholu. Ukłonił się i spytał:

– Frau Wicky?

– Fräulein – poprawiła go.

– Czy można do pani na chwilkę?

Zapraszający gest. Bitte.

– Jestem Rosjaninem – przedstawił się.

– Och. – Nie wiadomo, co to znaczyło.

– Przyjechałem w celach naukowych. Etnologia.

– Och. – To drugie „och” także nie wiadomo, co znaczyło.

– Badam stosunki społeczne, stan świadomości.

Nie było tym razem żadnego „och”.

– Czy pani rodzice – ma pani rodziców? – (skinięcie głową). – Czy oni wiedzą, czym się pani zajmuje?

– Wiedzą.

– I co oni na to?

– Miły panie, trzeba z czegoś żyć.

Kiedy to mówiła, jej palce głąskały wierzch jego leżącej na stoliku dłoni. Odruch – myślał – czy jakiś znak? Delikatne, ciepłe palce. Już ich nie zabierała.

– Podziwiałem panią.

– Dziękuję, bardzo pan miły.

– Proszę mi powiedzieć, czy pani coś podczas tego naprawdę przeżywała?

– Ach, skąd. – Prawie oburzona. Zupełnie jakby broniła swej godności. – Wszystko jest aktorstwem. (*Ein Schauspiel*). – Z dumą: – Jestem aktorką.

– Rozumiem. Panno Wicky, chciałem zapytać, czy w tej ekipie nie było kiedyś dziewczyny o imieniu Ruth?

Wciąż głąskała jego dłoń. Chyba jednak odruch. Coś miłego, co należy się mężczyźnie.

– Ruth? – Zajrzała mu w oczy, jakby chciała w nich coś odczytać. – Ruth, hm. Szuka jej pan?

– Była?

– Zaraz... Jakaś Ruth była.

Obręcz uciska głowę.

– Ruth Deutsch – uściślił.

– Była jakaś Deutsch, ale na pewno nie Ruth. – Przypomniała sobie: – Tamta była

Rumunką. Deutsch, tak, ale z Rumunii. Czarnowłosa.

– Szukam jasnowłosej. Zielone oczy.

– Och, nie. Tamta miała mocne czarne oczy, gęste brwi. Jak w tym romansie, ona go śpiewała: *Oczy czornyje*, na pewno pan zna. Pańskiej Ruth tu nie było. Współczuję panu.

– Nie ma powodu.

– Może była tu dawniej. Jestem tu dopiero od dwóch lat.

Chitrow wstał.

– Dziękuję pani. Wspaniale się z panią rozmawiało, Wicky.

– I mnie z panem. – Podała mu rękę, nie wstając od stolika. – Auf Wiedersehen, Herr Professor. Widzę, że jest pan w dobrym towarzystwie. (To nie był odruch). Good luck!

Było źle na duszy, kiedy wrócił do swojej opiekunki.

– Nie było tu takiej! – powiedział, triumfując. – No i co? Nie przepędziła mnie! Szkoda, że się z panią nie założyłem. Żałowała, że jestem w dobrym towarzystwie.

– Gratuluję powodzenia. To warto opić.

W Düsseldorfie u wyjścia z terminalu czekał na doktora z Moskwy wysoki mężczyzna, któremu wyprostowana postawa, przystrzyżony wąs, równy przedział w mocno posiwiałych włosach dawały wygląd angielskiego sahiba dowodzącego batalionem Gurkhów. W lewej ręce trzymał pałeczkę z tablicą INTER NATIONES, prawa, w czarnej rękawiczce, zwisała bezwładnie. Inwalida-wolontariusz, domyślił się Chitrow. Bohaterska przeszłość, którą, być może, wolałoby się zapomnieć, i aktywna, udzielająca się społecznie terażniejszość. Dżentelmen z tablicą podszedł bliżej.

– Doktor Chitrow? – zapytał. – Jestem Heinrich Sawitzky. Od tej chwili jest pan pod moją opieką.

Podsunał Chitrowowi wózek na walizkę.

– Da pan radę? – spytał, zupełnie tak, jakby to doktor nauk z Moskwy, a nie on, wolontariusz Sawitzky, był inwalidą wojennym.

Przy krawężniku czekała już na nich w słońcu taksówka.

– Domyślam się, że jedziemy do Mülheim – powiedział Chitrow.

– Pan dyrektor, doktor Müller, Erich Müller – chyba pan słyszał? – ma dla pana trochę inny program. Sympozjum zacznie się dopiero za trzy dni, będzie się pan nudził, proponujemy panu na razie Bad Godesberg, mamy tam upatrzony zaciszny hotelik, okolice są urocze. Podobno chce pan zajrzeć do Oberwinter, służę pomocą.

Tak musiałyby wyglądać hotelik w połowie dziewiętnastego wieku. Pokój otoczony drewnianą boazerią, sufit z brązowym belkowaniem, szerokim, można by na nim wypisać budujące sentencje, jakies „Kto rano wstaje...”, „Skrzętna gospodyni ma zawsze pełno w skrzyni”, lustro w drewnianej ramie, szafka z małym kluczykiem, a w niej przybory do szycia, kłębek nici, poduszczyk na igły, taka, jaką mały Żenia widywał u babci na Małej Bronnej, jeszcze pasta do butów i dwie szczotki, na łóżku spiętrzenie poduszek z haftowanymi nawleczkami, pod łóżkiem zabytkowy, ozdobny, porcelanowy nocniczek. Na wieszaku peleryna na wypadek deszczu, a może prochowiec, co kto woli.

W Ośrodku przyjęła Chitrowa zażywna, dostojnie ubrana (biały kołnierzyk bluzki zdobił popielaty żakiet), mocno pachnąca perfumami pani dyrektor, w okularach na małym, kartofelkowatym nosku i z czarną plamką z boku nad górną wargą. Jeszcze bystry obserwator z Moskwy (prawie szpion) zdążył odnotować naszyjnik z białych pereł.

– Deutsch, powiada pan? Ruth Deutsch? Przywieziona tu podczas mostu powietrznego? Czterdziesty dziewiąty rok, powinnam pamiętać – mówiła, przeglądając papierowe teczki. – Jestem tu od pierwszej chwili. Domyśla się pan, że byłam młodą, szczupłą dziewczyną, kiedy mi

to powierzono. Ona też pewnie dziś wygląda inaczej – kobieta po trzydziestce. Najlepszy wiek kobiecy.

Tym razem dyrektorka otworzyła skoroszyt, przerzuciła kilka kartek i westchnęła:

– Niedobrze.

– Co niedobrze?

– Była awantura, pamiętam. Jest opinia. Fatalna. Proszę spojrzeć: „Charakteryzuje ją kult dla nazizmu, którego pochodzenie jest u takiego dziecka niejasne”. Broni czci – proszę sobie wyobrazić, takie dziecko – czci Goebbelsa. Dlaczego akurat Goebbelsa?

Czuło się, że dyrektorka miała ochotę wyrzucić z siebie kilka obelżywych słów, ale się pohamowała.

– Nie wiem – powiedział były młodszy lejtnant.

– Przecież była za młoda, by zostać entuzjastką jego popisów.

– Na pewno nie. Mogły być jakieś inne powody.

– Jakie? Pan coś wie? – dopytywała się dyrektorka.

– Skąd mam wiedzieć? Jakies. Może czyjś wpływ. Co to była za awantura?

– Jakiś chłopak, trochę starszy od niej, powiedział, co myśli o Goebbelsie. Bez oburzenia, o ile pamiętam, raczej szyderczo. Ruth rzuciła się na niego z pięściami. „Nie waż się tak mówić! Ani słowa złego o Goebbelsie!” Krzyczała do rozdarcia gardła.

– A chłopak jej oddał?

– Nie, on tylko uchylał się i krzychał: „Wariatka! Wariatka!”. Przybiegłam i powstrzymałam ją. A jego uciszyłam, oczywiście.

– Płakała?

– Tak, płakała. Dlaczego pan to wszystko chce wiedzieć?

– Czuję się za nią do pewnego stopnia odpowiedzialny. To ja ją znalazłem błakającą się na ulicy i umieściłem w Ośrodku w Charlottenburgu. Jestem etnologiem, próbuję swych sił w socjologii, dlatego interesują mnie także jej dalsze losy. Jako objaw. Przemiany w Niemczech. Znamienne, chyba pani rozumie. Jakich ma przyjaciół, kontakty z rodziną – paplał, nie wiedząc, jak wytłumaczyć swoją natarczywość obcego właściwie człowieka.

Dyrektorka zajrzała do akt.

– Żadnej rodziny. Ojciec spłonął w czołgu.

– Pod Kurskiem? – rzucił na chybił trafił Chitrow.

– Że też pan zapamiętał. Matka i rodzeństwo (zerknięcie w akta) pod bombami. Ale pamiętam, że podczas tej awantury wrzeszczała coś o cioci. „Ciocia nigdy by nie pozwoliła tak mówić!” Ciocia też niezła hitlerówka, jak pan widzi.

– Jaka ciocia?

– Nie wiem. Ciocia i już. W kilka dni później Ruth uciekła. Poszukiwania – przez ośrodki, przez policję – nie dały rezultatu. Może ciocia ją przygarnęła? Może zmieniła nazwisko? Ruth Deutsch nam zniknęła.

Do akt przypięta była fotografia dziesięcioletniej dziewczynki. Były młodszy lejtnant nie mógł opanować wzruszenia. Dyrektorka to spostrzegła.

– Rozpoznawalna? – spytała.

– Ta sama. Chociaż o pięć lat starsza.

– Chce pan odfotografować? Skseruję panu.

Wyszedł z Ośrodka podniecony. Ciocia. Jestem na tropie. Ciocia, wiem która. Tuż przed wojną wyszła za męża, w Berlinie jej nie było, mieszkają w okolicach Julich. Trafię.

Ciocia mieszkała z córką i zięciem w solidnym domku, który tam, u nich, w Rosji, nazywają „osobniak”. W ogrodzie, między klombami, krzewami rododendronów i równiutkami

zagonami jarzyn stały dwa gipsowe, wąsate skrzaty z domalowanymi czerwonymi kapturami. Ciocia wyglądała jak na pracowitą Ciocię przystało: w przetartym ślusarskim kombinezonie na tęgim ciele, twarz okrągła, oczy za fotochromatycznymi szklami najpewniej niebieskie, ubarwione na lśniąca miedź włosy z grubym kokiem pod roboczą chustą, palce u dłoni szorstkie, pociemniałe od pielenia chwastów i zbierania truskawek.

Starala się być dla przybysza z Rosji w miarę uprzejma, formalnie zawsze w porządku. Przyjęła go w altanie porośniętej pnączami wina. Czy napije się pan? Może mleko ze świeżego udoju? To może schłodzonej lemoniady – nic nadzwyczajnego: woda z lodem, cytryna i odrobina wanilii.

Chitrow pokazał jej zdjęcie dziesięcioletniej Ruth.

– Czy przypomina sobie pani taką twarzyczkę? Miała się zgłosić do pani.

Ciocia marszczyła brwi, jak ktoś, kto z trudem (i z najlepszą wolą) usiłuje sobie coś przypomnieć.

– Kiedy to było? – spytała.

– Ponad dwadzieścia lat temu.

– No więc nic dziwnego...

Wyglądało to na koniec rozmowy, ale etnolog z Moskwy – uparty Rosjanin – się nie poddawał.

– Miała na imię Ruth. Ruth Deutsch.

Ciocia pacnęła się w czoło.

– Deutsch? Tak, pamiętam! Była taka! Panie doktorze, to oszustka! Czy wie pan, co ona chciała mi wmówić? Że jest córką Magdy! Że jest tą najmłodszą, Heidi. – Przyjrzała się jeszcze raz fotografii. – Córką Magdy, jeszcze czego. Przecież wiadomo, że Magda swoje dzieci uściła. Całą szóstkę.

– Zamordowała – poprawił Ciocię przybysz z Rosji.

– Mała kanciarą. Na pewno myślała, że uda jej się coś wyludzić. Wmówić mi, że Heidi przeżyła i że ona nią jest. Zupełnie jak u was w Rosji – zawsze się znalazł jakiś Samozwaniec. Widziałam operę. A właściwie dlaczego pan się tą smarkulą tak interesuje?

Zawsze to samo pytanie, to samo zdziwienie. I ta sama odpowiedź, pomyślał.

– Bo to ja tę dziewczynkę znalazłem w Berlinie i umieściłem w sierocińcu. Chciałbym wiedzieć – ot, ciekawość, zwyczajna rzecz – co z nią było dalej.

– Pewnie nienadzwyczajnie, jeśli posługiwała się kantami.

– A pani sama wtedy, w maju czterdziestego piątego, kiedy pani siostra otruła swoje dzieci i odebrała sobie życie, nie myślała o samobójstwie?

– Ja? Chyba pan żartuje. – Zaczęła mówić z większym przejęciem: – Magda była zawsze stuknięta. Ja nie, ja im się nie dałam. Powtarzałam, bez skutku niestety: Magda, jak ty możesz żyć z tym łajdakiem, tym erotomanem, wciąż polującym na kobiety. Miała świetnego kochanka, kiedy Adolf... Führer, proszę pana. – Coś w rodzaju śmiechu. – Dobry wujcio, który do wszystkiego się wtrącał, wszędzie wtykał swój szpiczasty nos. On ich oboje zobowiązał, żeby do siebie wrócili.

– Podobno pani siostra mówiła, że dzieci muszą odejść, bo świat bez Führera nie zasługuje na to, żeby na nim żyć.

– Ja tego nie słyszałam, nas w Berlinie nie było. Ach, ta Magda... Tyle tolerowała i nagle...

– A pani jak się podoba świat bez Führera?

Naskoczyła na niego:

– Co pan chce ode mnie wyciągnąć? I dla kogo? Dla radia? Dla jakichś szmatławców?

Mam powiedzieć, że lepszy? A może, że gorszy? To by była sensacja! Jest inny, całkiem inny. Fakt. Bez tamtych emocji, bez ekstazy. Fakt. Niektórzy może do tego tęsknią. Ja nie! – Spokojniej: – Lepszy, niech pan tak zapisze: ten świat jest lepszy. Nie ma bomb, nie ma Dachau, nie ma szturmówek, łagrów.

– Ale są trzęsienia ziemi i powodzie, krwawi terroryści, porywania samolotów, mordowanie sportowców. Ludobójstwo w Kongu. To jak?

Zamachała rękami, jakby odpędzała natrętne muchy.

– Da się wytrzymać. Niech pan spojrzy. Mam dom i dobrze zagospodarowany ogródek. A wie pan, w zeszłym roku przy ziemniakach pracowała u mnie pewna Szkotka. Dobrze, co? Nasi zwyczajcy przyjeżdżają do nas zarabiać na chleb. Nie można się skarżyć.

– A nie przychodziło pani na myśl, że tego właśnie pani siostra się bała?

– Czego?

– Tego, że dzieci, jak dorosną, przekonają się, cała szóstka, że świat bez Führera jest lepszy niż świat z Führerem.

– Więc pan myśli, że ona... Co też panu przychodzi do głowy?

– To, co pani słyszy. Że dzieci wyrosną, zażyją świata i odkryją, że wszystko, w co ona wierzyła, to było szaleństwo. Nie tylko zbrodnia, ale i straszliwa pomyłka. I do tej swojej porażki ona nie chciała dopuścić. Dlatego je zamordowała. Dlatego! Żeby nigdy się nie dowiedziały.

Kobieta milczała. Kiedy się wreszcie odezwała, była jakaś inna, zgaszona.

– To coś nowego, te pańskie słowa. Ja czasem coś czytam, ale żeby tak... Niech mi pan wierzy, Magda nie była złą osobą.

– Tyle że zakatrupiła swoje dzieci.

– No tak – odezwała się po chwili milczenia. – Nosiła je pod sercem, rodziła, karmiła – i żeby potem... Tak, pan ma rację, to okropne. Po co rodziła?

Jeszcze raz przyjrzała się fotografii dziewczynki i powiedziała:

– Oszustka. Chciała wykorzystać to, że ja tej Heidi właściwie nie znałam. No bo kiedy... Niech się pan nią nie zajmuje, ona nie jest pana warta. Szkoda pańskiego czasu.

Znajdę ją. Jeśli coś tu mam do roboty, myślał, to nie wygłaszanie i wysłuchiwanie referatów, ale właśnie to: znaleźć ją. Spojrzeć w oczy i zapytać: Heidi, jak się w tym wszystkim czujesz? Ciocia ją przepędziła, Ciocia nie wierzy, że przeżyła, przecież były oficjalne komunikaty – ale ona żyje, gdzieś jest, na pewno, Chazin jej to wtlaczał do głowy: pamiętaj, masz żyć – to brzmiało jak prorocstwo, jak zaklinanie: masz żyć – i Ruth żyje.

Gdzie? Kto mógłby wiedzieć? Do kogo się zwrócić? U kogo szukała pomocy? Może u Haralda, swojego przyrodniego brata? Nie zechce ze mną gadać, pomyślał Chitrow, wszystko wyda mu się podejrzanym. Rosjanin, niby socjolog, rozpytuje, węszy – *Achtung, Feind hört mit!* Szpion. Kto jeszcze? Lida Baarova? Nie, do niej, do kochanki ojca, mała się nie zwróciła. Raczej przygarnął ją w końcu któryś sierociniec. Potrzebny mi jakiś uporczywy tropiciel, pomyślał, mistrz w odczytywaniu śladów, Sokole Oko, Winnetou. I zarazem ktoś, kogo by te dzieci całkiem po ludzku obchodziły. Na pewno widywali je niektórzy ludzie filmu, na przykład ten reżyser, któremu Goebbels sypnął pieniędzmi, żeby nakręcił prawdziwie antysemicki film (na podstawie, żeby było pikantniej, powieści nieryjskiego autora emigranta, oczywiście odpowiednio zmasakrowanej). O Boże, ucieczko zabłąkanych socjologów, że też od razu o tym nie pomyślał. Kurt, uroczy Kurt, syn reżysera, tropiciel zakamuflowanych przestępców, zmora wysłużonych esesmanów, hitlerowskich sędziów, prokuratorów, ukrywających swoją tożsamość, większe i mniejsze podłostki, aż do wysyłania ludzi na śmierć. Chitrow poznał Kurta w Polsce, w tzw. domu pracy twórczej pod Warszawą, w pałacyku, który król Jan Sobieski kazał wybudować dla siostry swojej francuskiej żony, podobno dlatego, że chciał, aby komary ją zagryzły. Kurt

pojawił się tam w towarzystwie zakochanej w nim literatki, kobiety z ponętym różowym dekoltem, która z fałszywymi papierami przeżyła Oświęcim, co mogło mieć znaczenie dla jego uczucia. Miał wygląd efeba, urzekał kobiety i mężczyzn. Chitrow przebywał tam któregoś lata na zaproszenie kolegów z Uniwersytetu Warszawskiego. Zaprzyjaźnił się z Kurtem, który miał niezwykle łatwość zbliżania się do ludzi, to była część jego wdzięku. Żenia, ambitny psycholog, odgadywał w nim, w tej determinacji, z jaką tropił hitlerowców – tłumioną miłość do ojca. To dla tej miłości, dla poprawienia jego wizerunku, od dziecka czynił to, co miało odkupić winę ojca, reżysera, który się zhańbił. Jako trzynastolatek wyjechał do Izraela, pracował fizycznie w kibucu, nauczył się hebrajskiego, potem także jidysz. Przyszła kolej i na polski; był otrząskany w polskiej literaturze, szczególnie tej dotyczącej okupacji, zdrad i bohaterstwa. Wyjechał na studia do Stanów, wrócił z obywatelstwem amerykańskim, współpracował w ściganiu przestępców hitlerowskich z różnymi wywiadami, dorobił się dużej, prywatnej kartoteki, groźny dla wszystkich tajnych służb korzystających z fachowości dawnych agentów, miał pieniądze i biuro z zakochaną w nim sekretarką.

Kurt! On wie wszystko o wszystkich. W Polsce go już nie ma, nakazano mu wyjazd, bo Kurt, z punktu widzenia towarzyszy z obozu socjalistycznego, przedobrzył: sporządził listę sześciuset hitlerowców na odpowiedzialnych stanowiskach w NRD. Początkowo chciano go zatrzymać i osadzić w celi, ale Kurt zagroził interwencją ambasady amerykańskiej – był obywatelem USA – a Polska starała się akurat o pożyczkę.

Więc gdzie jest teraz? Najpewniej Paryż. Chitrow przypomniał sobie jego swobodną francuszczyznę. Zdaje się, że współpracował z „Les Temps Modernes”. Dawny młodszy lejtnant zadzwonił do miesięcznika, którego naczelnym redaktorem był Jean-Paul Sartre. Odebrała sekretarka. Mówiła – takie czasy! – całkiem dobrze po angielsku. Telefon pana Kurta X? *Just amoment* – tak, proszę notować.

W Düsseldorfie pan Heinrich Sawitzky, „Herr Hauptmann”, jak go w myśli nazywał młodszy lejtnant, zaprowadził swojego podopiecznego od razu na pocztę. Serce tłukło się w pięćdziesięcioletniej klatce piersiowej, kiedy wykręcał paryski numer. Kilka dłuższych sygnałów – i nagle głos Kurta. Tak, jego głos, ta sama uprzejma miękkość, delikatność, tylko brzmienie leciutko chropowate, tego chyba dawniej nie było.

– Kurt, dopadłem cię! – wykrzyknął przybysz z Moskwy. – Tu Żenia! Jewgienij Aleksandrowicz, jeśli pamiętasz.

– O, k...! – zaklął Kurt nie wiadomo dlaczego po polsku. – Jesteś w Paryżu? Wpadnij, zjemy razem kolację.

– Kiedy indziej, przyjacielu. Jestem w Düsseldorfie. Przyjechałem na sympozjum u ewangelików w Mülheim.

– Znam. Sympatyczne kiwanie palcem w bucie. Będziesz ośrodkiem zainteresowania.

– Możliwe, ale nie po to przyjechałem.

– I dzwonisz do Paryża, bo masz sprawę do mnie. No to wal.

– Kurt, mówi ci coś nazwisko Deutsch? Ruth Deutsch?

– Szukasz jej?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo to ja, to znaczy ja i major Chazin...

– Wiem – przerwał mu Kurt. – Siemion Jakowlewicz. Już wiem, o co chodzi. Żenia, najpierw przysięgnij, że jej nie sypniesz.

– Przysięgam.

– Uroczyście?

– Uroczyście.  
– Powiedziała: Deutsch? Przekręciłeś. Ona nazywa się Teutsch.  
– Zmieniła nazwisko – zrozumiał Chitrow. – Musiało ją to wiele kosztować, kiedy zgłosiła się do Cioci.  
– O! Nie wiedziałem o tym. I co Ciocia?  
– Przepędziła ją. Oszustka! Dymitr Samozwaniec! Nie rozpoznała jej.  
– A ja myślę – powiedział Kurt – że rozpoznała. Tylko że Ciotuchna nie chciała mieć kłopotów. Lepiej, żeby o niej zapomniano. Może tam, w chałupie, jest coś po siostrze, jakieś obrazy, srebra... Jakiś błąd życiowy... Po co?  
– Mów! Co ona robi? Z czego żyje?  
– Jest nauczycielką.  
– Nie wydaje mi się to szczytem kariery.  
– Żenia, a po co jej kariera? Kariera to telewizja, Bildy i Tagesblatty. Nie daliby spokoju, dobraliby się do kołyski. A zapowiadało się, że kariera będzie. Napisała fenomenalną pracę o Durkheimie.  
– Socjologia – stwierdził z satysfakcją doktor Chitrow.  
– Socjologia, antropologia, Levy-Strauss, Erich Fromm, Isaiah Berlin i inni starozakonni – wszystko w małym palcu. I nagle się wycofała. „Chcę uczyć w szkole od podstaw”. To ta ucieczka wzbudziła moje podejrzenie.  
– Kurt, gdzie mam jej szukać?  
– Najciemniej pod latarnią. Powinna być niedaleko, w Kolonii. Uczy w jakiejś małej miejscowości, zdaje się, że w Seelscheide. Znajdziesz ją bez trudu. Wystarczy książka telefoniczna.  
– Boże, Kurt, nie masz pojęcia, jaka to wielka sprawa. Spasibo.  
– Pamiętaj: Ruth Teutsch. Nie Deutsch. Teutsch!  
Uzbrojony w numer telefonu poszukiwanej Ruth Teutsch, doktor nauk Uniwersytetu im. Łomonosowa, Chitrow Jewgienij Aleksandrowicz, pozwolił się zawieźć swojemu opiekunowi, jednorękiemu wolontariuszowi, do ocienionego drzewami pałacyku Stinnesów w Mülheim. Padał deszcz, wiatr rozchwiewał gałęzie i obmywał młode liście. Słysząc było dalekie grzmoty. Jak wtedy, pomyślał były młodszy lejtnant, 2 maja w Berlinie.  
Niski, barczysty mężczyzna w swetrze zbiegł z ganku, chwycił energicznie jego walizkę i zaniósł na piętro, do pokoju. Czy należy mu się napiwek, zastanawiał się doktor z Rosji, podczas gdy mężczyzna zapalał i gasił lampki – nad łóżkiem, nad stołem, na ścianie nad fotelem.  
– Będzie miał tu pan skromnie, ale wygodnie. Zacisznie. Może pan używać maszyny. Łazienka jest obok. Telefon na miasto przez centralę.  
Mężczyzna, który przydźwigał walizkę, nie kwapił się do odejścia. Napiwek?  
– Gdyby pan miał jakieś życzenia...  
– Tak – powiedział Chitrow. – Chciałbym mówić z dyrektorem.  
– Ja jestem dyrektorem.  
Inne Niemcy, pomyślał etnolog z Moskwy, trzeba się ich uczyć.  
– Przepraszam – mówił mężczyzna w swetrze – nie przedstawiłem się. Człowiek jest próżny, myśli, że wszyscy go rozpoznają. Erich Müller, doktor. Pozwoli pan, że usiądę. Pali pan?  
– Już nie.  
– To i ja wytrzymam. O co chodzi, panie doktorze?  
Jewgienij Aleksandrowicz wyjął z kieszeni kartkę z zapisanym numerem telefonu.  
– O to. Ruth Teutsch. Czy znane jest panu to nazwisko?  
– Czy znane? Łaskawy panie doktorze, byłem kiedyś we Frankfurcie kimś w rodzaju jej

tutora. Dostała stypendium, nie bez mojego udziału, by mogła zrobić doktorat na Sorbonie. Wróciła stamtąd ze znakomitą pracą o Durkheimie. I nagle znikła. Nie odpowiadała na listy, telefony. Żyła, wiedzieliśmy o tym, ale odcięła się od nas.

– Może jest pora, żeby sobie o panu przypomnieliśmy? Jest nauczycielką, sympozjum poświęcone edukacji europejskiej może by ją zainteresowało? Albo inaczej: jest tu ktoś, kto przyjechał z Moskwy i marzy o rozmowie z nią. Niech pan spróbuje.

Dyrektor uzyskał połączenie z Kolonią. Teraz jej numer. Znowu to migotanie w sercu. Dostanę przez nią zawału. Już rozmawiają. Frau Teutsch? Znak dłonią do Chitrowa: to ona! Tu centrum ewangelickie w Mülheim. Erich Müller.

– Ruth, pamiętasz mnie jeszcze?

Odpowiedziała, że pamięta, a jakże.

– Ruth, dziś wieczorem zaczynamy sympozjum poświęcone problemom edukacji europejskiej. Zapraszam cię uroczyście. Nie będziesz musiała nic mówić. Posłuchasz, co inni mają do powiedzenia. I jeszcze coś, najważniejsze: jest tu etnolog z Moskwy, pan doktor Chitrow, który marzy – to jego słowo: marzy – marzy o rozmowie z tobą

– Bezpieczniej nie realizować swoich marzeń – dosłyszał Chitrow. Potem: – Czy przystojny?

– Przyjrzę mu się. Owszem, wygląda nie najgorzej. Ma pięćdziesiąt lat, okulary i trochę łyśiny.

– Skoro on tu jest obok, to może pozwolisz mu mówić?

Dyrektor przekazał słuchawkę gościowi.

– Doktor Teutsch? – odezwał się Chitrow, a na czoło, jak dawniej, kiedy był jeszcze soplakiem, wystąpiły mu kropelki potu.

– Do usług. (Głos dźwięczny, metaliczny, trochę jak Nusi, jego pierwszej żony). Pan życzył sobie podobno rozmowy ze mną. A o czym, jeśli wolno spytać?

– O Durkheimie.

– Stare dzieje.

– Nie dla mnie. Przestudiowałem pani pracę – kłamał Chitrow, ale jakaś prawda w tym dla niego była, zwłaszcza kiedy dodał: – Bardzo ją przeżyłem. Nie zawsze się z nią zgadzam – powiedział jeszcze, starając się o lekki ton.

– Ja też nie – usłyszał.

– Mogę na panią liczyć?

– Nie.

– Więc mam wrócić do Moskwy z niczym?

Nie ma odpowiedzi. Trwa to długo.

– Frau Teutsch? Jest tam pani?

– Jestem, panie doktorze, jestem. I tak sobie myślę... –Przerwa. Jakby nie mogła się zdecydować. – Myślę więc... że nie powinien pan rozpaczać. Aż taka wredna nie jestem. Niech pan poświęci trochę czasu temu sympozjum, a potem wpadnie do Kolonii. Zjemy razem obiad. Ja zapraszam! Czy odpowiada to panu?

– Pałę się do tego.

– Może być włoska kuchnia? Jeśli tak, to pojutrze o pierwszej. Czy są u was włoskie restauracje?

– Będą w następnej pięciolatce. – Przypomniał sobie powiedzenie z pewnej prześmiewczej anegdoty. – Wsjo budiet.

Zaśmiała się. (Nusia, całkiem jak ona!)

– Znajdzie pan bez trudu. Niech pan idzie Schieldgasse w stronę katedry. Podziwiać ją



będzie pan kiedy indziej. Restauracja jest po prawej stronie, o kilkadziesiąt metrów od Sex-Center Beate Uhse.

– Katedra, Sex-Center, spaghetti – pouczające sąsiedztwo.

– A sex-shopy u was są?

– Za dwie pięćdziesiątki. Wsjo budżet.

Tym razem zaśmiała się głośniej.

– Cieszę się na rozmowę z panem. Mam krótko ostrzyżone ciemne włosy. Będę w dzinsowym kostiumie. Jak John Wayne. Na stoliku postawię torbę z reklamą pewnego wydawnictwa. Pojutrze o pierwszej. Proszę się nie spóźnić!...

Najpierw dostrzegł stojącą na stoliku torbę reklamującą wielkie monachijskie wydawnictwo, potem ją samą. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy – tak jak zapowiedziała – kolor naturalny. Sukienka w duże kolorowe kwiaty, ramiona nagie, opalone. (A mówiła, że będzie w dzinsowym kostiumie – „jak John Wayne”. Zmieniła zdanie, stojąc przed lustrem, pomyślał. Ucieszyła go to: kobieta). Kształtny nos, aryjski – nie ma dwóch zdań – różowe wargi, niczym nie powleczone, ta górna lekko odwinięta do góry, jak u proszącego o coś dziecka, oczy za dużymi przeciwsłonecznymi okularami. Stolik na chodniku, pod chroniącym od słońca parasolem. (Markiza!, przypomniał sobie były młodszy lejtnant). Podniosła się na jego widok i zdobyła się na uśmiech. Ten uśmiech przez chwilę uczynił ją piękną, urodą inteligentnej kobiety. Podała mu rękę, palce delikatne – no, ta ziemniaków nie pieli, bieloruszka, knigi czytają. Żeby było bardziej formalnie, wymienili nazwiska. Ruth Teutsch. Chitrow, Jewgienij Aleksandrowicz.

Wciąż nie siadał. To już nie był głos jego Nusi – tutaj, nie przez telefon, to był głos należący do twarzy, której się przyglądał. Ciekawe, pomyślał, co ma po matce, ten nos, ta odwinięta warga, czy to po niej, podobno była piękna, kiedy ten, ten – szatan, tak – kiedy ten szatan się nią zachwyił. Tam, w bunkrze, kiedy truła, na pewno wyglądała już inaczej.

– Jakie pani ma oczy? – spytał z możliwie ciepłym, porozumiewawczym uśmiechem. – Czy wolno mi je zobaczyć? – Przesunęła okulary posłusznie na czoło. Przyjrzał się. – Zielone.

– Zielone – potwierdziła i osunęła okulary z powrotem na oczy. – Czy ta informacja zbliżyła pana do Durkheima? – spytała.

– Kto wie – odpowiedział i to miało zabrzmieć intrygująco. – Lubi się pani wylegiwać na plaży, czy też ta opalenizna przykleiła się do pani przypadkowo?

– Lubię się wylegiwać – odpowiedziała sucho. Może pożałowała tego tonu, bo dodała już bardziej intymnie: – I lubię, jak dociera do mnie szum morza.

Kelner był autentycznym Włochem, brunet z ognistymi oczyma, wszystko, co się na północy dobrze sprzedaje. Poradził na przystawkę małe porcje spaghetti al fungo, a później, jeśli państwo nie chcą mięsa, pizza po chłopsku, miękka, smakowita. Karafka chianti.

Jadła z apetytem, ale piła ostrożnie. Boi się, podejrzewał przybysz z Rosji, wino rozwiązuje język, boi się tego *veritas*.

– Dlaczego pani go rzuciła? – spytał, kiedy mowa była o Durkheimie.

– Bo stał mi się daleki. Wciąż się z nim wyklócałam. Ten jego „naukowy obiektywizm” – przecież to złudzenie, nic takiego nie istnieje. Badać zjawiska społeczne „bez uprzedzeń”. To niemożliwe! Panie doktorze, ja jestem pełna uprzedzeń. Inni zapewne też. A pan?

– Cóż, ludzka słabość. Ale jeśli zgodzimy się z nim, że religia i moralność to fakty społeczne, wytwór „świadomości zbiorowej”...

– Panie doktorze, nie będziemy tego rozstrzygać przy pizzy.

– Nie mógł skonfrontować swoich teorii na temat „świadomości zbiorowej”, bo zmarł przed rewolucją. Gdyby mógł...

– Powiedziałby, że wasz komunizm był systemem religijnym.

- Nie zaprzeczam.
- Odważny pan jest, doktorze.
- Nie boję się, pani mnie chroni. Ale przyzna pani, że dotyczy to także waszego nazizmu.
- Ich nazizmu – podkreśliła. – Ich! Ze mną to nie ma nic wspólnego. Namawiam na wino

i lody.

Przybysz z Moskwy uniósł kielich.

- Skol! Ale pani nie pije.
- I tak kręci mi się w głowie.
- To proszę opowiedzieć o sobie.
- Co mam opowiedzieć?
- Jak doszła pani do doktoratu na Sorbonie i jak się pani z tego wycofała.
- Skoro to pana interesuje... Właściwie dlaczego?
- Taka socjologiczna ciekawość.
- Socjologiczna, niech będzie. Ale dlaczego mnie pan chwyta za ramię? Też jako

socjolog?

- Przepraszam, odruch. Przemię ramię.

Podziękowała. Potem trochę milczenia, jakby zatopiła się w sobie. Wreszcie:

- Jestem pogrobowcem.
- To znaczy?
- Nie znałam ojca, zginął, zanim się urodziłam. Pod Narwikiem. Nie, to już była

Dunkierka.

- Współczuję.
- Nie współczuje pan, zginął wróg.
- Ale pani ojciec... A matka?

– Pod bombami. Myśmy byli w Berlinie, w jakimś domu blisko Reichstagu, adresu nie znam. Troje rodzeństwa, albo może czworo, nie wiem – skąd mogę wiedzieć. Mama, kiedy dom zamienił się w gruzy, w biały dzień, proszę pana, zauważyła, że żyję – wie pan, taki trzyletni szkrab ma zawsze większą szansę, że jakaś belka go nie przywali – i ona porwała mnie w ramiona i wybiegła ze mną na ulicę.

- Pani doktor, jestem poruszony. Ta matka...

– Prawda? Przykryła mnie własnym ciałem, kiedy leżeliśmy w trawie, na skwerze. Tak, panie doktorze, zginęła – ratując życie dziecku. Moje rodzeństwo też zginęło, nie znam swojego adresu, nazwiska, byłam maleństwem. Ruth – tylko tyle o sobie wiedziałam.

- Czyli całkiem możliwe, że nie nazywa się pani Teutsch.

– Na pewno jakoś inaczej. Nazwisko „Deutsch” dali mi w sierocińcu. Pewnie symbolicznie. Zmieniłam je na „Teutsch”, kiedy uciekłam stamtąd.

- Więc to dziecko przeżyło dzięki poświęceniu matki.

- Która sama zginęła – przypomniwała.

- Czyli pani też mogła w tym bombardowaniu zginąć.

– Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła – powiedziała i roześmiała się. – Jestem kinomanką. I zgrozą przejmuję mnie myśl, że gdybym nie przeżyła, umknąłby mi cały zaczarowany świat. Wszystko to, co wokół nas stwarza kino. Filmy Billy Wildera. *Bulwar Zachodzącego Słońca*. *Some like it hot*. Fellini. Westerny, Gary Cooper i *Wsamo południe*, Gregory Peck i *Rzymskie wakacje*. *Deszczowa piosenka*. Chaplin. *Dzisiejsze czasy* i *Światła wielkiego miasta* mogą oglądać na okrągło. Hitchcock.

- Eisenstein – podpowiedział Chitrow.

- Eisenstein. Pudowkin. *Dwunastu gniewnych ludzi*. W Mastroiannim kochałam się na

zabój. W Dustinie Hoffmanie też, chociaż trochę inaczej. Nieistnienie by mnie od tego odcięło. A pan? – spytała. – Nie czuje pan nad sobą czarodziejskiej władzy kina?

– Większości tych filmów nie znam, nie było ich u nas w oficjalnej dystrybucji.

– Będą w następnej pięciolatce.

– Za trzy. To wszystko nie tłumaczy, dlaczego rzuciła pani karierę krytyka i eseisty.

– Wołałam nauczycielstwo.

– Proszę o trochę litości dla socjologa z dalekiego kraju.

– Dobrze. Powiem wprost: zwątpiłam w siebie.

– To rzadkie.

– Pomyślałam sobie: smarkulo, skąd taka pewność siebie? Jakim prawem ferujesz wyroki? Czy nie przyszło ci na myśl, że możesz się mylić? Czy nie czujesz, że za dziełem stoi czyjaś uporczywa praca, bezsenne noce, nieustająca rozterka? – Zamoczyła usta w winie. – Wymierzać sprawiedliwość? Sprawiedliwość to mylny ideał. Potrzebne jest wyczulenie, a nie żadna tam sprawiedliwość. Zdaje się, że pana nie przekonałam.

– Droga pani Ruth – przybrał mimo woli ton pobłażliwy. – Znam trochę to środowisko. Bywałem w Pieredielkinie, jadałem w domu literatów na ulicy Worowskiego. Jeszcze nie spotkałem żyjącej z tego osoby, która by wątpiła w swój gust.

– Czyli nie wierzy mi pan?

– Pani wierzę. Pani przeżyła swoją śmierć.

Zapłaciła rachunek i dała sygnał do odejścia.

– Jewgieniju Aleksandrowiczu, kawę wypijemy u mnie. Mieszkam na Mommsenstrasse, to cicha i elegancka ulica, dużo zieleni. Pokażę panu swoje książki! Mam tysiące książek. Jeśli chce pan coś o mnie wiedzieć, musi pan zobaczyć moje książki.

No i niech pan powie – mówiła, przesuając się z nim wzdłuż półek – czy to nie jest prawdziwe życie? Po co mi kariery, doktoraty, alfa romeo? Ten garbus, którym pana przywiozłam, wydaje mi się w sam raz. W sypialni pod ręką są moi ulubieńcy, można rzec, towarzysze życia. Bertrand Russell, wydanie amerykańskie. Huxley. Popper. Machiavelli. Przyznaję: groch z kapustą. Ale tak jest i w życiu. Jak się panu podoba ten Tocqueville, stare francuskie wydanie? Niech pan nie myśli, że uganiam się za białymi krukami, nie, pierwsze wydania też mnie nie podniecają. Chociaż ten Montaigne... No cóż, zdarza się. – Ze śmiechem: – Nic co ludzkie nie jest mi obce. Nie pasjonują mnie wyłącznie arcydzieła. Cieszę się, że poznałam sporo literatury popularnej, nawet byle jakiej. Dzięki niej poznałam różne osoby, o których istnieniu nie miałabym pojęcia. Jakiś dżentelmen-włamywacz, jakiś uciekinier z galer i jego opętany prześladowca. I dziewczynka, którą ten galernik się zaopiekował...

Dziewczynka i opiekun galernik... Ona nie wie, pomyślał Chitrow, ile ja z tego, co ona papie – bo jej się wydaje, że ona papie, albo inaczej: ona chce, żebym ja myślał, że ona tak sobie beztrąsko papie – ile ja rozumiem, ile do mnie dociera.. Powiedział, stojąc obok niej z filiżanką kawy.

– Gorzej u pani z Rosjanami.

– Wszyscy wielcy są. Kocham Andrieja Bołkonskiego, Pierre'a Bezuchowa, a szczególnie tę małą, Nataszę Rostową. A tu Hercen, aż pięć tomów, po francusku. I żeby zadowolić pański patriotyzm, kilku nudziarzy z początku stulecia o bardzo trudnych do zapamiętania nazwiskach.

– Zastanawiam się tylko – powiedział – dlaczego pani to porzuciła i zajęła się nauczycielstwem.

– Bo lubię nauczycielstwo. I nie porzuciłam! Czytam.

Zasiedli przy stoliku z owocami. On upierał się (wydobyć z niej prawdę! zrzucić

zasłony!):

– Żeby uczyć, że Ala ma kota, niepotrzebny jest Russell ani Erich Fromm.

– Pan się myli, doktorze, są potrzebni. Potrzebne jest zaplecze, wszystko to, czym się nasiąkło, dorobek kulturalny, który geniusz ludzki wytworzył. Od Sumerów po... – zawahała się – po Heinricha Bölla, powiedzmy. Rzymian wykluczam – biję się w piersi: nie lubię Rzymian. Ich stosunek do dzieci, ta Skala Tarpejska! Obrzydliwość. I ten tłum w cyrku, który wrzeszczał do gladiatora: zabij! Wie pan, jak określił republikę rzymską Wells? „Demokracja neandertalska”.

– Może to krzywdzi neandertalów – wtrącił gość.

– Może – zgodziła się. Uśmiezek w zieleni oczu. On myśli: więc taka ona jest, ta dziewczynka z deszczu, dziewczynka spod markizy, ta Heidi vel Ruth. – Nie uczę ich o Montaigne’u, ale ja dzięki Montaigne’owi lepiej je rozumiem. I siebie. (Wciąż za zasłoną). Już wiem, że każde dziecko jest inne. Każde żywe stworzenie jest inne. Nam się wydaje, że stado białych gęsi jest jak produkt spod jednej sztancy. Nieprawda. Niech się pan uważnie przypatrzy temu zdjęciu. – Pokazała mu dużą odbitkę fotograficzną: w stadzie stłoczonych gęsi zbliżenie głów na długich białych szyjach. – Niech pan spojrzy: one patrzą w różne strony. Każda z nich ma swoje własne pragnienie, własne życie, dla każdej z nich jej życie jest oczywiste, najważniejsze.

– „I nie masz dwóch kłosek jednakowych” – coś takiego wyczytałem u Montaigne’a – powiedział uczony etnolog z Moskwy.

– Dokładnie.

– Ale może pan Montaigne przesadził – droczył się gość.

– Nawet jeśli... Te dzieci, którymi się zajmuję, wiedzą, że Frau Teutsch ma ściany zastawione półkami książek, są pewne, że ich Pani dużo wie – one mówią: wie wszystko – jestem dla nich kimś, kto budzi zaufanie. One liczą na moją mądrość, jeszcze nie wiedzą, że mądrość jest zawodna. Obiorę panu pomarańczę. Są u was pomarańcze, czy musicie czekać na następną pięciolatkę?

– Są. Z Kaukazu.

– Wie pan, co najbardziej lubię w nauczycielstwie? Kiedy widzę, jak one same zaczynają odkrywać słowa. Odczytywać je. Ala ma już tatę, dom, łóżeczko. Poznają nowy świat. To jest fascynujące. Ta ich chciwość świata, ciekawość, to natarczywe „dlaczego”. Kiedy ich oczy błyszczą inteligencją, bo zapaliło się w nich zrozumienie.

– Proszę mnie nie agitować.

– Przepraszam.

– Już wiem, co dla pani w życiu jest ważne. – Chitrow wyliczał na palcach, – Kino.

Książki. Nauczycielstwo. Jeszcze coś?

Bez namysłu:

– Miłość.

Chitrow poczuł się jak bokser, który odsłonił gardę. Trafiła go. Durak ty, Żenia, durak, pomyślał, akurat to nie przyszło ci do głowy. Miłość, no pewnie. Miłość jako aprobata istnienia.

Bąknął:

– No tak, Mastroianni.

– Nie mam na myśli smarkatych urzeczeń. Mam na myśli całkowite zagubienie się w uczuciu. Kiedy byłam studentką, zakochałam się w swoim profesorze. Powie pan: to częste, właściwie banalne. Ale ja nie byłam już podlotkiem, nie byłam dziewczyną, eksperyment fizyczny, tak to wyglądało, miałam za sobą. On był starszy o dwadzieścia lat, żonaty, miał dwoje dzieci.

Zamilkła.

– Nie chciał się rozwieść – zgadywał Chitrow.  
– Nie żądałam tego. Wszystko odbywało się u nas w konspiracji. Dla niego to była fascynacja fizyczna, satysfakcja całkiem nowa, jak twierdził. Kiedyś prawie wybuchłam. Wciąż mi mówisz o moim cielem, jak je uwielbiasz, tylko to. O co ci chodzi, on na to, o duszę, o to, że jesteś inteligentna, zdolna? Nie dlatego, mówił, tarzamy się na tapczanie. Ciało, ja na to, wciąż ciało, ciało – ciało kiedyś zwiędnie. A on: a dusza nie zwiędnie? Jeszcze jak! – i żaden lifting jej nie uratuje. A potem...

– Potem co?  
– Porzucił mnie.  
– Wziął sobie inną?  
– Mówił, że nie. Że zmęczyło go oszukiwanie żony. Niech mu będzie. Strasznie cierpiałam. Nieszczęśliwa miłość – czy pan wie, jaką to może dawać satysfakcję?  
– Była próba samobójstwa?  
– Nie! – Zaprzeczenie było gwałtowne. – Wołałam cierpieć. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – I opisywać swoje cierpienie. Zapisałam kilka notesów. – Teraz roześmiała się głośno. – Pewnie by z tego zrodziła się jakaś *Nowa Heloiza*, gdyby nie to, że w popularnym piśmidle opublikowano fragmenty dzienników pewnego oprawcy z tamtych czasów – mniejsza o nazwisko – i on zanotował, jak cierpi z powodu rozstania z kobietą, że ma, ten facet bez serca, „złamane serce”. O nie! – powiedziała sobie. – To, że ten facet, który posyłał na śmierć tysiące ludzi, dzieci, dzieci także, potrafił cierpieć, poniżej to uczucie. Tak sobie powiedziałam: koniec z cierpieniem. Odtąd będę się kochać tylko szczęśliwie.

– Wspaniałe założenie – powiedział Chitrow. Wiedział, o czyich dziennikach mowa. Jakiś łajdak poskarżył się, że ma „złamane serce”. Zbliża się chwila, w której będzie musiał tę wiedzę ujawnić. – Udało się? – spytał.  
– Na ogół.  
Zamoczyła usta w zielonym cointreau.  
– Nie powinnam pić – powiedziała. – Ale jest za co. Wie pan, zawsze mnie ciągnęło do starszych panów.  
– Wyrosła pani bez ojca...  
– Proszę nie upraszczać. Do ludzi z doświadczeniem, mędrców. Och, niewielu jest takich. Kiedy miałam pięć lat, nie więcej, otoczył mnie opieką pewien rosyjski major. To trwało godzinę, może dwie, nigdy go nie zapomniałam. (Tym razem to nie było migotanie, tylko ucisk w sercu, jakby ciążył na nim kamień). Miał taką ciepłą dłoń. I tyle dobroci, i mądrości. – Zaśmiała się. – Byłam zakochana. Wypisał mi swoje nazwisko na karteczce: major Chazin.  
Teraz – zdecydował były młodszy lejtnant.  
– Siemion Jakowlewicz – powiedział.  
Spojrzała nań osłupiała.  
– Co powiedziałaś?!  
Na ty. Jak wtedy!  
– Siemion Jakowlewicz Chazin.  
– A ty jesteś...  
– Żenia.  
– Żenia! Pamiętam! Żenia, Żenia. To ty mnie odwoziłeś.  
Objął ją. Spytała, tuląc się:  
– Mam prawo się rozpłakać?  
– Zasłużyłaś sobie na to.  
Chwilę stali objęci, ona szepnęła:

– Ty też... Masz mokre oczy.  
Poprzez łzy promieniała uśmiechem. A on:  
– Heidi, Heidi – powtarzał. – Odnalazłem cię!  
– Heidi? Daj fant! – zakrzyknęła.  
Oboje wybuchli śmiechem. Potem ona:  
– Pisałam do niego. Z Francji, z Sorbony. Chciałam mu donieść, że powiodło mi się. Że robię doktorat. Nikitskij Bulwar dziesięć. List wrócił. Adresat nieznany.  
– Zmarł – powiedział Żenia.  
– Tak myślałam. Był samotny?  
– Nie, nie. Ktoś się znalazł. Żaden facet po wojnie nie zostawał samotny. Był straszny deficyt facetów.  
– Tak jak tu. Mówił mi, że jego dzieci nie żyją. Jak to się stało: on przeżył, a dzieci, chyba razem z matką, zabite.  
– Zginęli w Babim Jarze, koło Kijowa. On był w wojsku, zmobilizowany jako uczony germanista. Przesłuchiwał niemiecką generalicję.  
Osunęła się ciężko na fotel.  
– Chryste Panie – mówiła cicho. – Co ty sobie myślałeś, kiedy ja tak kłamałam? Ta mama, która mnie ratuje... własnym ciałem...  
– Myślałem: jakie to piękne kłamstwo.  
– Tylko mnie nie częstuj jakimś *si non è vero*... Żadnych obiegowych pocieszeń. Ty też kłamałeś! – wykrzyknęła z satysfakcją.  
– Kłamałem. Ruth, czuję, że muszę się napić. Czegoś prawdziwego, sznapsa. Sytuacja do tego dojrzała.  
Dźwignęła się z fotela i podeszła do barku.  
– Jest! – powiedziała, wyciągając ze światła barku butelkę. Nalała pół szklanki wódki. Tylko jemu.  
– A ty? – spytał.  
– Ja nie powinnam pić. – Chwila oczekiwania i wreszcie: – Jestem w ciąży.  
– Zadowolona?  
– Bardzo. Mogę liźnąć trochę likieru. Temu chłopczykowi we mnie to nie zaszkodzi. Jak ceremonia po latach: on haustem pół szklanki smirnoffa, ona liźnęła cointreau.  
Uśmiechnęła się:  
– Widzę, Żenia, że masz jakąś niepewną minę. Spokojnie: jestem mężatką. Wszystko się dobrze układa. On jest Amerykaninem, podobny do Jamesa Stewarta. Nawet ma Jimmy na imię. Zaraz go zobaczysz, wróci z pracy. Pracuje w supermarkecie.  
– Kasjer?  
– W dyrekcji. Odpowiada za jakość. Skończył masę fakultetów: towaroznawstwo, zarządzanie. Rozmawiamy na ogół po angielsku.  
– Ruth, czy on wie...?  
– Nie, nie wie. Po co mu to?... To może być dla niego trudne. Zna historię o mamie, co wyciągnęła dziecko spod bomb i przykryła własnym ciałem. Wie o sierocińcach. Czyli jakąś część prawdy zna. – Zamyśliła się. – Kiedyś tak, kiedyś na pewno... Jak oboje będziemy dojrzałsi.  
Żenia nalał sobie wody mineralnej.  
– Byłem w Oberwinter – powiedział, nie patrząc na nią.  
– No to wiesz... Ja nie mam do tego chłopca żalu. Odwrotnie: ja mu coś zawdzięczam. Wiedzę o tym, co się działo, on mnie do tego pchnął. Dlaczego krzyczał „wariatka”? Co on

wiedział, czego ja nie wiedziałam? O procesie w Norymberdze w naszym sierocińcu nie mówiono. Ci z ławy oskarżonych u nas w domu nie bywali. Doenitz, Keitel, Ribbentrop, Goering – żaden z nich. Z wyjątkiem Speera, on tak, on przynosił zabawki, mama skarżyła się, że nas psuje, niemieckie dziecko powinno być chowane surowo, wiesz, znasz to dobrze.

– Dowiedziałas się prawdy. Jak to przyjęłaś? Dla takiej dziewczynki to powinien być wstrząs. Histeria, łzy.

– Przyjęłam to z ciężkim sercem – nie więcej. Wiedziałam przecież, że ta matka usiłowała mnie otruć. I ten szalony niby-ojciec, on też.

– Syn Hansa Franka napisał książkę przeciw swojemu ojcu.

– Nie miałam takiej potrzeby. To nie są moi rodzice! To, że pojawiłam się na świecie z tego brzucha, z tych plemników, to czysty przypadek. Ja jestem ja. Tylko ja! Nic wspólnego z nimi nie mam. Niby jest przykazanie „czcij ojca i matkę”, ale jak ich czcić? Powiedziano też: „Nie zabijaj”. Które przykazanie jest ważniejsze? Kościoły traktują je równorzędnie. Ale my wiemy, że one nie są równorzędne, że „nie cudzołóż” czy „nie składaj fałszywego świadectwa” nie ma tej samej wagi, co „nie zabijaj”.

– Są kraje – powiedział on, bądź co bądź człowiek starszy od niej – w których cudzołóżne kobiety się kamieniuje, a zabójcy uchodzą za bohaterów.

– Żenia, w Europie wprawdzie kobiet się nie kamieniuje, ale pomników zabójcom wzniesiono do licha i trochę.

Słychać było otwieranie drzwi.

– Jimmy? – zawołała i zerwała się z fotela.

Ktoś coś zamruczał po angielsku, jakieś „Well, it’s me”, nosowo, jak filmowy kowboj.

– Jimmy! – wołała. – Chodź tu, mamy gościa z Moskwy, przedstaw się.

Dyryguje.

– Za chwilę – odpowiedział.

Kroki. Chitrow podniósł się z fotela. Na progu stanął Mulat. Wysoki, szczupły, uśmiechnięty, James Stewart o ciemnooliwkowej cerze. Ucałował na przywitanie Heidi, to znaczy Ruth. Ona przedstawiała:

– Jimmy, mój mąż. Pan doktor Chitrow z Moskwy, mój stary przyjaciel. – Nice to meet you. (To on). – Cała przyjemność... Był pan koszykarzem?

– Każdy kimś był – odparł niedbale mąż.

– Jimmy – mówiła Ruth – masz w kuchni boef strogonoff, zagrzej z ryżem, ale uważaj, nie przypal, ja tu dokończę rozmowy z naszym gościem...

Mąż zasalutował.

– Yes, Madame.

Kiedy wyszedł, Ruth spytała, przypatrując się gościowi z uśmiechem:

– Jesteś usatysfakcjonowany?

– Mogłem się tego spodziewać. Chociaż, prawdę mówiąc, przypuszczałem, że to będzie

Żyd.

Roześmiała się.

– Ja też. Ale wszyscy fajni Żydzi zostali wyłapani! A ci późniejsi... – Lekceważące machnięcie ręką. – Takie resztki...

Nagle spowaźniała. Spytała szeptem, najwidoczniej bojąc się, że jej mąż Mulat dosłyszcy:

– Żenia, czy to może być dziedziczne?

– Co?

Jeszcze ciszej:

– Obłąd.

Wiedział, co odpowiedzieć. Czego jej trzeba.  
– Ruth, to nie był obłęd. Coś gorszego. Kalectwo charakteru. Fanatyzm, który zaślepia, tworzy własną rzeczywistość. Tego się nie dziedziczy. To się odrzuca.  
– Jesteś pewny? – spytała, przyglądając mu się uważnie.  
– Klnę się!  
Ucałowała go. Potem nachyliła się nad swoim cointreau.  
– Żenia, ja jednak kogoś uwielbiam.  
Zgrywa się. To ja też.  
– O, to groźne.  
– Naprawdę! Uwielbiam naszego kanclerza. Prawdziwy kult jednostki.  
– To przerażające. Czy jesteś gotowa za niego polec?  
– Jestem gotowa pójść do lokalu wyborczego i oddać na niego głos.  
– To dużo – powiedział przybysz z Moskwy, wpadając w jej ton.  
– Ale nie podczas zimnego deszczu. Podczas takiego deszczu wolę zostać w domu. –  
Unosząc z dumą głowę: – Ja jestem córą Słońca.  
Gość z Moskwy wskazał na okno:  
– Słyszysz? Grzmi. Uprzedzam: grozi ulewa.  
Uśmiechnęła się:  
– No i niech sobie grozi, nie szkodzi. – Zawołała: – Jimmy! Jimmy! Słyszaleś, jak grzmi?  
Zamknij okna! Będzie ulewa.

2011



## Długa chyża łódź

Wujku Matuzalemie – odezwał się młody Człowiek. – Co ci się ostatnio śniło?  
– Tsss!... – syknął stary Czarownik. Dotychczas truchtem, z podniesionymi rękami, biegał wokół izby, teraz zatrzymał się, posapując. – Już ją prawie miałem, kiedy ty, z tym swoim pytaniem... Wymknęła mi się!  
– Kogo miałeś, wujku Matuzalemie? – spytał młody Człowiek, który miał na imię Jafet.  
– Nie wujku, nie wujku – obruszył się Czarownik. – Masz do mnie mówić Czcigodny. Tak nakazał pan Misjonarz, słyszałeś chyba?  
– Ojciec Nehemiasz? Chyba nie pan?  
– Tak, ojciec, ale pan, stamtąd. Mister. Siedź teraz cicho, synu, nie otwieraj ust bez potrzeby. Muszę złowić duszę tego nieszczęśnika.  
Na ziemi, na skąpym posłaniu z liści, charczał nieznany Jafetowi Człowiek.  
– Słyszysz go, synu? On cierpi, chociaż on sam może o tym swoim cierpieniu nie wiedzieć.  
– Czcigodny potrafi mu pomóc? – spytał młody Człowiek.  
– Od tego jestem – odparł Czarownik. – Przydreptał do mnie z dalekiej wsi. Jego ciało jest wynędzniałe i dusza się zeń wymknęła. Umyka przede mną, krążąc tu gdzieś pod zadaszeniem. – Czarownik Matuzalem pokazał Jafetowi buteleczkę wypełnioną przejrzystym płynem i z igłą wciśniętą w korek. – Widzisz? Złapię jego sprytną duszę do tego naczynka, złapię i już mi się nie wymknie. Kucnij sobie teraz i nie przeszkadzaj.  
Jafet posłusznie przykucnął.  
– Będę obiegał ściany, klaszcząc i tańcząc. Duszę najrzęczniejsz zwabić tańcem. A ty uważaj, nie otwieraj ust, bo jak jego dusza schroni się w tobie, to będzie źle, bardzo źle... I jemu, i tobie.  
Czarownik Matuzalem wyklaskał takt na udach i zaczął taniec – taki jak zwykle tańczą Ludzie w jego wiosce. Małymi kroczkami sunął wokół izby, minął z pokłonem zwisający ze ściany nagi, odrapany krzyż, jeszcze trochę pomachał nad głową rękami i nagle wykrzyknął:  
– Mam!  
Z buteleczką uniesioną wysoko odtupał zwycięski taniec, wykrzykując:  
– Jesteś, duszo przebiegła, duszo sprytna, duszo nieposłuszna, jesteś, mam cię i zmuszę, byś mi służyła, jak dusza służyć powinna.  
Po czym zwrócił się do młodzieńca:  
– Popatrz, synu, jest tutaj! – Pokazał mu buteleczkę z igłą. – Nie widzisz jej, bo dusze są niewidoczne, dlatego trudno je złapać. A teraz popatrz... – Czarownik zbliżył się do chorego Człowieka, ukląkł przy nim i wbił mu igłę w chudy pośladek. Płynu z buteleczki powoli ubywało, aż wreszcie się opróżniła. – Wbiłem mu do wnętrza jego duszę – powiedział Czarownik, podnosząc się z przykłęku – ona będzie w nim się rozrastać i wypełni go całego.  
– Już nie rzezi – zauważył Jafet.  
– Nie cierpi. – Czcigodny Matuzalem jeszcze zapewnił: – Będzie spał.  
– Wyzdrowieje?  
– Jeśli jego dusza nie będzie się sprzeciwiać. Mów, synu. Chciałeś przecież o coś zapytać.  
– O to, co się Czcigodnemu ostatnio śniło. Gdyby to była szybka długa łódź, tobym ten sen kupił.  
Przez chwilę obaj milczeli, stary i młody. Jafet dopowiedział:  
– Mam dwie paczki lakistrajków.

Czarownik Matuzalem wciąż milczał. Jafet mruknął:

- To niemało.
- Mało – na to Czarownik.
- No to trzy paczki. Okej?
- Oho, wzbogaciłeś się.
- Dźwigałem skrzynki dla pana Misjonarza. Bardzo był zadowolony, pochwalił mnie i dodał puszkę koli.
- Trzy paczki, powiadasz... – Czcigodny Matuzalem poskrobał się w pokrytą szarzejącymi kędziorami głowę.. – Tak, to by było dosyć. Ale nie śniła mi się żadna łódź.
- Szkoda.
- Szkoda, synu. Może się zdarzy. Jak ci na imię?
- Jafet.
- Jafet. Dziwne imię. To też z tej księgi, którą dźwiga ze sobą pan ojciec Nehemiasz?
- Dobrze mówisz, Czcigodny, to on mi je nadał. Zanurzył mnie w jeziorze i tak powiedział: chrzczę cię w imię pana naszego – nie nazwał tego pana – i nadaję ci imię Jafet. Dlatego, mówił, Jafet, że się różnię od Ludzi, nie mam czarnych włosów, tylko złociste.
- Trochę tu mroczno, ale chyba takie są, złociste. No cóż, nie martw się.
- Nie martwię się – odpowiedział Jafet.
- Jakby cię ktoś próbował krzywdzić, to ja cię obronię.
- Ale mnie potrzebna jest łódź.
- Na wszystko przyjdzie czas. Sny nie pojawiają się, kiedy chcesz. Trzeba cierpliwie czekać. I jeszcze coś: nie wspominaj o tym panu Misjonarzowi.
- On wie.
- Wie? – Czcigodny wydał się Jafetowi zaniepokojony. – I co?
- Powiedział: nie szkodzi. Oł rajt, tak powiedział.
- Oł rajt, aha, dobrze. On, ten ojciec Nehemiasz, wielu w naszej wiosce pozanurzał w jeziorze, ochrzcił i imiona nadał. I przysłał mi tu zręcznych do roboty Ludzi, z daleka przywędrowali, wbili nowe bale w ściany, żeby poszerzyć izbę, i pokryli ją nowymi grubymi liśćmi, gęsto je ułożyli, żeby nie przeciekało. I powiesił ten krzyż i powiedział: niech tu wisi, duch pana naszego, mówił, zamieszkał w tych deszczułkach, które ja poświęciłem, mówił, i niech Ludzie przychodzą i błagają o zmiłowanie za grzechy, a pan się zmiłuje, bo jest miłością.
- Miłością – powtórzył Jafet. – O co mu chodzi?
- Kiedyś ci powiem.
- Dlaczego nie od razu?
- Na wszystko przyjdzie czas. O czym to ja...? Aha, jeszcze powiedział pan ojciec Nehemiasz, że on, ten ich Czarownik, cierpiał na krzyżu, dawno, dawno temu, cierpiał za nasze grzechy. To był wielki Czarownik.
- Nikt dziś nie przyszedł – powiedział Jafet. – Nikogo tu nie widzę, prócz tego chorego.
- Popatrz, śpi spokojnie.
- Przychodzą Ludzie błagać o zmiłowanie?
- Przychodzą kupować sny.
- I złowić duszę.
- Tak, to też.
- Nie grzeszą – powiedział Jafet.
- Oł rajt – zgodził się Czcigodny. – Tutaj Ludzie nie grzeszą.
- Ja nie mam żadnych grzechów. Mnie wystarczy długa szybka łódź. Czy to grzech?
- Przychodzą do mnie nieszczęśliwi, chorzy, ale nie grzeszni. Nie tak jak tamci, w ich

kamiennych domach. Za nas, Ludzi, wielki Czarownik nie musiałby cierpieć. – Czcigodny Matuzalem wskazał na przybite na krzyż deszczułki. – Jego dusza wciąż cierpi.

– Tak myślisz?

– Słyszałem, co się tam u nich dzieje. Na pewno cierpi.

Matuzalem otrząpał dłonie, jakby coś z nich zrzucił. Koniec rozmowy, zrozumiał Jafet. I usłyszał:

– Miałem ostatnio sen, który mógłbyś kupić.

– Ale nie łódź.

– Dziewczyna. Smukła, giętka – nie wiem, czy taka ci odpowiada. Kup sobie ten sen.

Odstąpię ci go za jedną paczkę lakustrajków.

– Ale po co mi dziewczyna?

– Jak po co? Nie możesz żyć bez Człowieka-samicy.

– Kiedy ja właśnie mam jedną na oku. Jezebel, widział ją Czcigodny? Chyba chętna.

– Ale to nie będzie dziewczyna ze snu.

– To prawda, Czcigodny Matuzalemie. Nie ze snu.

Przez chwilę obaj, stary i młody, milczeli. Potem ten młody odezwał się:

– Ma wszystko, czego mi trzeba. Jest co ująć w dłonie. Tylko że...

– Tylko co?

– Kiedy nie wiem, czy wolno mi o tym mówić.

– Tu możesz mówić wszystko. – Matuzalem przypomniał: – Jestem czarownikiem.

Czarownik nie powtarza słów, które powierzono mu w zaufaniu.

– Wymyśliła sobie, ta moja przyszła, że będzie zasłaniać piersi.

– Naprawdę? Nie żartujesz?

– Nie!

– Tak jak tamte?

– Jak tamte.

Obaj wiedzieli, o kim mowa.

– To źle wróży, Jafecie – powiedział zasmucony Czcigodny. – Przyzwoita samica nie ukrywa piersi. Może są płaskie?

– Nie, duże i prężne. Dotknąłem. Oł rajt.

– Czyli ona tak lubi – orzekł doświadczony Czarownik. – Ukryć i przez to podniecić.

– Ja i tak byłem podniecony.

– Podniecić jeszcze bardziej.

– Tego się spodziewam. – Jafet wreszcie się uśmiechnął. – Z poprzednią było inaczej.

Noemi, tak ją ze swojej księgi ochrzcił pan Misjonarz. To ta Noemi była jak wszystkie. Całkiem przyzwoita.

– Już z nią nie jesteś?

– Już nie.

– Odeszła do innego?

– Nie, to ja kazałem jej odejść. Gaduła. Nie mogłem wytrzymać tego gadulstwa. Wciąż miała coś do powiedzenia.

– O czym? – zaciekał się stary Czarownik.

– O byle czym. Idziemy w stronę lasu, po pożywienie, i tylko to jest w moim oku, to, co mamy zebrać, a ona: Popatrz, kwiat. No, kwiat. To ona: Ale jaki piękny. A jaki ma być kwiat? A ona: jakie kolory! Kwiat, kolory, piękny, jak tu pachnie – no, pachnie – o czym tu mówić? Ja cały czas myślę, ile tego pożywienia z drzewa ściągnąć, a ona, że kwiat. Bo ona musi tym jęzorem trząpać. I jeszcze spogląda na mnie o tak, z ukosa, mocno patrzy, przylepia się do mnie

tymi ciemnymi oczyma, a te gałązki rąk ruszają się przy tym jak w tańcu, jak kiedy chce jej się do siebie poprosić, no i prosi: chodź, Jafecie, wejdź we mnie. Tak tu pachnie. Jestem w niej, a ona gada: prawda, że ten kwiat był piękny – tak jak – i mówi: jak twój ptak, jest piękny – i jeszcze: trzyj, trzyj, szybko trzyj, szybko, mój słodki Jafecie – i po co to mówi – czy ja nie wiem, co mam robić? A potem, kiedy dostała, czego jej było trzeba, wybucha śmiechem, nie wiadomo dlaczego. W ogóle to ona wszystko wita i żegna śmiechem. Żółw sunie po ścieżce, to ona: popatrz jaki śmieszny! I śmieje się jak... jak strumyk, kiedy bije o kamyczki. Byle co ją śmieszyło.

– Młodość – powiedział z westchnieniem Czarownik.

– Czcigodny Matuzalemie, ja też jestem młody i wcale mnie byle co nie śmieszy.

– Kiedy ostatnio się śmiałeś?

– Czy ja wiem...

– To niedobrze, synu, niedobrze. Ona mądrzej żyje. Co z tym żółwiem, ugotowała go?

– Pozwoliła mu odejść.

– Polubiła go – orzekł Czarownik. – Dobra samica była ta Noemi, nie umiałeś jej odgadnąć. Ta paplanina... że kwiat, że kolory, byle co – to taka ich radość. Czarodziejstwo. I te przylepne spojrzenia, spod powiek, zerkania z ukosa, źrenice jak trzepoczące motyle, jakby szeptały: chcesz? podobam ci się? Tak, to najmilsze, czym nas darzą. – Dodał jeszcze, z westchnieniem: – Póki młode...

Chłopiec rozejrzał się po izbie, jakby chciał coś odszukać, nie znalazł tego widocznie, bo spytał:

– A Czcigodna gdzie? Przyniesie bataty?

Czarownik Matuzalem siedział ze zwieszoną głową. Jafet nalegał:

– A może owoce chlebowca?

– Nie ma Rebekki – wydusił z siebie Matuzalem. – Zabrali ją.

– Zabrali? Kto? Jak?

– Pan Misjonarz, ojciec Nehemiasz. Powiedział, że lejdi, tak o niej mówił, lejdi Rebekka wymaga leczenia. Tam, u nich. I że ja nie daję już rady. Tak mogło być, jej dusza nie była mi posłuszna, za dobrze się znaliśmy. Najpierw wstawili nam tu łóżko, z miękką podściółką, żeby lejdi Rebekka nie leżała na posłaniu z liści. Żelazne białe łóżko. Ale ona spadała z tego łóżka, kto wie, czy nie specjalnie, nie chciała go, a ja szedłem do niej, podnosiłem moją lejdi i to ona chyba lubiła. Czasami przychodziła pani Misjonarka, nie pamiętam, jak miała na imię, ale Rebekka jej nie chciała, nie chciała od niej ani ryb, ani krewetek, ani nic. Krzyczała, żeby ta pani sobie poszła, w tym domu może być tylko jedna lejdi, ona. Przedtem, kiedy ja sam się nią zajmowałem, było z Rebekką lepiej. Obmyślałem w nocy, co jej rano dam do jedzenia, zawsze była kapryśnicą, a teraz to w ogóle. Ale to, co ja obmyśliłem, chwaliła. W nocy wystarczyło, żeby się poruszyła, a ja się budziłem, wstawałem do niej, wyprowadzałem moją lejdi na zewnątrz, wycierałem ją liśćmi, myłem. Stale brak mi było snu.

– Stale zmęczony?

– Stale.

– Czcigodny powinien bardziej się szanować.

– Nic mi nie będzie, mogę się męczyć, jak trzeba. Tyle lat razem... Kiedy ją sobie wziąłem, była zakwitającą dziewczyną, z cycuszkami jeszcze jak małe jabłuszka. Potem te jej cycuszki rosły, nabrzmiwały, a kiedy pojawiali nam się synkowie, nigdy im mleka nie brakowało. Teraz oni są daleko, wszyscy trzej, pociągnęły ich te kamienne domy, w których nie zamieszkuje dusze, inaczej tam się żyje i inaczej umiera. Zostaliśmy we dwoje. A jak teraz wyglądam jej piersi, łatwo sobie wyobrazić.

Czarownik stanął przed krzyżem, przez chwilę przyglądał mu się bez słowa – po czym

znowu zwrócił się do młodego Jafeta:

– Ach, Rebekka – jak ona łowiła dusze! Ona więcej nauczyła mnie niż ja ją. Ten taniec to jest jej. – Matuzalem wybił kilka taktów na udach. – Ale ostatnio jej głowa pracowała coraz gorzej. Znowu była dzieckiem i mówiła, że musi wrócić do taty, który na nią czeka. Pytała: czy wiesz, sir, kto jest moim tatą? Wielki Czarownik Matuzalem. Wędrują do niego z dalekich wiosek, tak, sir. A on był dla mnie taki dobry.

– A byłeś? – spytał młody Człowiek.

– Nie zawsze. Ale ona mi tego nie pamiętała. Musimy tam iść, mówiła – tam, do tej wioski, z której ją zabrałem – do taty, bo on myśli, że ja zabląkałam się w lesie, zginęłam gdzieś na bagnach. Nie ma już twojego ojca, staram się jej to jakoś wytłumaczyć, dawno nie ma, jego dusza ulotniła się. A ona jak nie wrzaśnie: – Nie ma żadnych dusz! Nie ma! – krzyczała. – Wszystko kłamstwo! Tak, synu, głowa popsuta. Głowa, Misjonarz Nehemiasz mi to wyłożył. Ale ja i bez niego wiedziałem, że głowa, głowa wszystkiemu winna. Przez nią nie śpisz. Przez nią cierpisz.

– Ja śpię – na to Jafet. – Ja nie cierpię. Teraz i ty, Czcigodny, możesz spać.

– Mogę.

– Już nie musisz wstawać w nocy.

– Nie muszę. Ale nie śpię i wstaję. Patrzę: nie ma jej, nie ma żelaznego łóżka, zabrali razem z Rebekką.

– Nie musisz już obmyślać dla niej pożywienia.

– Nie muszę. Ale obmyślam.

– I przyrządzać go nie musisz.

– Nie muszę.

– Żadnych obowiązków.

– To prawda.

– No to ci się łatwiej żyje.

– Łatwiej.

– Wygodniej.

– Wygodniej, wygodniej – powtarzał za chłopcem Matuzalem.

– To przecież dobrze?

– Nie, niedobrze.

Jafet:

– Że jest łatwiej i wygodniej?

– Że jest łatwiej i wygodniej. Niedobrze. – Matuzalem ocierał łzy. – Nie powinno być łatwiej.

Jafet więcej o nic nie pytał.

– Idź już – powiedział Czarownik. – Jak mi się przyśni łódź, pošlę po ciebie.

Wyprowadził Jafeta na zewnątrz, pod mrugające gwiazdkami niebo, wśród których zegłował pełny srebrzysty księżyc. Czarownik przypomniał:

– Trzy paczki.

Dwa razy księżyc się srebrny odmienił, zanim Czarownik Matuzalem mógł posłać po Jafeta.

– Niech to przyjdzie o świcie – powiedział usługującemu chłopcu – i niech nie zapomni lakistrajków.

Był różowiejący świt, kiedy Jafet ukazał się na progu.

– Czcigodny? – zagadnął młody Człowiek. – Wzywałeś mnie?

– Tak, Jafecie, przypomniałem sobie nasze rozmowy.

Czarownik Matuzalem odczekał, trzymając młodego przybysza w niepewności, zanim oznajmił:

– Bo śniła mi się łódź.

– Och, Czcigodny!

– Długa, smukła łódź. Przykląkłem w niej, poruszyłem wiosłem wodę, a ona chyżo pomknęła do przodu. Rzekłbyś strzała wypuszczona z cięciwy. Teraz wiem: śniłem ją dla ciebie. Taką łódź, jakiej chciałeś.

– Długa i chyża – upajał się słowami Jafet.

– Właśnie taka.

– Sprzedasz mi ten sen, Czcigodny?

– Trzy paczki.

– Wujku Matuzalemie, mam tylko dwie.

Matuzalem kiwnął głową.

– Okej.

– Dziękuję ci, wujku Matuzalemie.

– To był sen dla ciebie. Odstąpiłbym ci go nawet za darmo, bez lakistrajków.

– Nie, nie – sprzeciwił się wystraszony Jafet. – Za darmo nie byłoby kupna. Jeśli ma być łódź...

– O! rajt – przerwał mu Matuzalem. – Daj lakistrajki.

Jafet podał Czarownikowi dwie kolorowe paczki, Matuzalem otworzył jedną z nich i spytał:

– Zapalisz?

– Ja nie palę, Czcigodny Matuzalemie.

– Okej, to ja też nie zapalę.

Stary Czarownik i młody Człowiek uścisnęli sobie dłonie.

– No to stało się – powiedział Czarownik. – Sen jest twój.

Matuzalem w milczeniu kuśtykał wokół izby. Chłopcu przyszło na myśl, że powinien odejść, kiedy Matuzalem powiedział:

– Rebekka zmarła.

Chłopiec spytał nieśmiało.

– Tam, u nich?

– Tam.

– Nie umieli złowić jej duszy?

– Tam inaczej umierają.

– Czcigodny, kiedy to się stało?

– Jeszcze przy poprzednim księżycu.

– Dawno.

– Tak, dawno.

– No to mogłeś już się przyzwyczaić.

– Że jej nie ma? Tego najbardziej się obawiam: że się przyzwyczaję. Że tak ma być, nowe życie – bez niej. Ojciec Nehemiasz przekazał mi takie ich słowo: „normalnie”. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale domyślam się i się nie zgadzam. Na szczęście, na szczęście...

Stary Człowiek urwał. Młody Człowiek spytał:

– Na szczęście – co?

– Nie przyzwyczaiłem się. Ta izba stała się pusta, zbyt obszerna. Jest tu sporo drobiazgów, które okazały się niepotrzebne – były potrzebne, kiedy ona tu była. Kiedy jej nie ma – nie są potrzebne.

– A gdybyś przywołał jej duszę?

– Ona tu nie przyjdzie. Nie, nie zechce. Było raz tak, kiedy obmywałem ją i ona rozumiała, dlaczego to robię, bo jej głowa czasem pracowała i wtedy było najgorzej, bo było jej ze sobą źle, i ona odezwała się: „Matuzalem, wystaraj mi się o kurarę. Matuzalem, po co ja mam żyć?”. I ja nie wiedziałem najpierw, co powiedzieć, jak jej wytłumaczyć, że ja jej kurary nie dam, bo ona ma żyć i po co ma żyć, i wreszcie powiedziałem: „Żeby być przy mnie”.

– Tak powiedziałeś?

– Może tylko chciałem powiedzieć. – Stary Czarownik rozejrzał się. – Ale ona tu jest. W tych przedmiotach, które zostały po niej. Widzisz? W tych naszyjnikach, wisiorach, pierścieniach, bransoletach. W olejkach i pachnidłach. W barwiczkach, którymi malowała twarz i ciało. W woreczkach, torebkach. Jej oko mi się przypatruje – w nim, w oku, chowa się jej dusza. Nie trzeba przywoływać.

Stary Człowiek wytarł wierzchem dłoni oczy. Szepnął, odwróciwszy się od Jafeta:

– Czemu pozwoliłem ją stąd zabrać...?

Młody Człowiek dosłyszał. Położył dłoń na ramieniu Czarownika.

– Wujku Matuzalemie – odezwał się łagodnie – potrzebna ci tu nowa osoba, nowa towarzyszka życia.

– Chyba ci się głowa popsuka!

– Nie, Czcigodny Matuzalemie, ja swoje wiem, ja wiem, że potrzeba, żeby przy tobie była samica, doświadczony Człowiek, ale jeszcze niezwiądnęła...

– Po Rebecce?! – wzburzył się Matuzalem. – Tu – jakaś inna? Z twoją głową naprawdę coś nie w porządku.

Jafet się nie poddawał.

– Czcigodny, przypomnij sobie, lejdi Rebekka nie była jedna, miałaś związki z innymi samicami, Ludzie to spostrzegli, z jedną to to się nawet długo ciągnęło.

– Tak, nie mówię, że mnie one nie obchodziły – zgodził się stary Czarownik. – To bywały kuszące istoty, starania o nie były podniecające jak łowy, bo trzeba było się ukrywać, podkładać się, zachowywać ciszę, być przebiegłym – tak, podniecające, bo groziło za nie wydrapanie oczu. A pazury Rebekka miała długie i ostre. A teraz co? Nic nie grozi. Wszystko mogę. Izba pusta. Nie muszę oglądać się za siebie. Niektóre z nich gotowe są nawet już przyjść, wyszorować mi stare plecy, opleść ramionami. Ale... – Jafet cierpliwie czekał, co nastąpi po tym „ale”. – Sam nie wiem dlaczego, ale stały się obce. Może dlatego, że to już nie są łowy. Nikt nie czyha.

– Chyba że jej dusza.

– O tak... Dusza, tak... Gdyby dusza miała paznokcie...

Czarownik przetarł oczy, a kiedy odezwał się, głos miał już opanowany, niski, głęboki i władczy.

– Jafet!

– Słucham.

– Pójdiesz do pana Misjonarza. Rozumiesz?

– Rozumiem. Mam pójść do pana Misjonarza.

– Pożyczysz od niego mocną siekierę. Powiesz, że ja prosiłem. Nie zwlekaj z tym.

– Nie będę zwlekał.

– Pójdiesz do lasu i wybierzesz mocne, tęgie i proste drzewo.

– Wybiorę. I co z tym drzewem?

– Zwalisz je. Może ktoś ci pomóc?

– Mój brat Sem.

– Okej. Zwalicie we dwóch pień na co najmniej czterdzieści stóp długości. Oczyścicie go

z kory, żeby był lżejszy.

– A potem co?

– Wydrążysz narzędziem wnętrze pnia i będziesz miał łódź.

– Po co mam to robić? Wuju Czarownika, przecież ja łódź kupiłem.

– Kupiłeś sen. Sen o łodzi. Teraz trzeba tę łódź zrobić, żeby ona wpłynęła w twoje życie.

– Ale to ciężka robota.

– Potrzebna jest ciężka robota. Potrzebny jest pot.

Młody Człowiek kiwał głową.

– Pot, tak. Zdaje się, że rozumiem. – Jafet przez chwilę się zastanawiał, zanim powiedział: – Mój brat Sem mi pomoże. On się na łodziach lepiej zna niż ja. On się ciężkiej pracy nie boi.

– To dobrze. Pamiętaj: im więcej potu, tym lepsza łódź. Będziesz miał taką łódź, jaka pokazała się we śnie. Długą, chylą łódź.

– Długa, chylą łódź – powtórzył Jafet, jakby wypowiadał zaklęcie.

– Nie zapomnij o wiosłach.

– Nie zapomnę.

Jafet podszedł do wyjścia, już miał odsunąć zasłaniającą je plecionkę, kiedy przypomniał sobie, że Czarownik obiecał mu coś wyjaśnić.

– Czcigodny Matuzalemie, chciałem cię prosić...

Czarownik przetarł oczy i nabrał powietrza, żeby zdusić szloch. Jafet już chciał się wycofać.

– Bo jeśli nie chcesz...

– Chcę – odpowiedział Czarownik.

– Bo pan Misjonarz, to jest ojciec Nehemiasz, wciąż o tej miłości. O co mu chodzi? Miłość? Co to jest miłość? Czcigodny na pewno wie.

– Tak, wiem. Miłość to... Zaraz, niech pomyślę... Miłość to...

Czarownik zapłakał.

– Nie, nie wiem – powiedział przez łzy.

Przecierał wierzchem dłoni mokre oczy i powtarzał:

– Nie wiem, nie wiem.